

ANNE
BISHOP

NAZNACZONA

INNI - tom CZWARTY

ANNE
BISHOP

NAZNACZONA

INNI - tom CZWARTY

Przełożyła
EMILIA SKOWROŃSKA



KRAKÓW 2016

Tytuł oryginału: MARKED IN FLESH

Copyright © Anne Bishop, 2016

All rights reserved

www.annebishop.com

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo INITIUM

Tłumaczenie z języka angielskiego: Emilia Skowrońska

Redakcja i korekta: Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta: Natalia Musiał

Projekt okładki, skład i łamanie: Patryk Lubas

Współpraca organizacyjna: Barbara Jarzab

Fotografie użyte na okładce:

© George Mayer - Fotolia.com

© hitdelight - Fotolia.com

Grafika na stronach rozdziałowych © Roman Malyshev

www.shutterstock.com

Wydanie I

ISBN 978-83-62577-50-7



Wydawnictwo INITIUM

www.initium.pl

e-mail: info@initium.pl

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

Podziękowania

Plan Lakeside

Dziedziniec w Lakeside

Krótką historia świata

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Inne tytuły

Dla

Julie i Rogera

oraz

Nadine i Michaela

Podziękowania



Chciałabym jak zawsze podziękować Blairowi Boone za to, że jest moim pierwszym czytelnikiem, a także za informacje na temat zwierząt i innych rzeczy, które wykorzystałam do tworzenia świata Innych. Dziękuję też Debrze Dixon, która była moim drugim czytelnikiem i zapoznała mnie z procedurami policyjnymi, Dorannie Durgin, która zajmuje się moją stroną internetową, Adrienne Roehrich, która prowadzi mój fan page na Facebooku, Nadine Fallacaro za informacje medyczne, Anne Sowards i Jennifer Jackson, których uwagi pomagają mi pisać lepsze historie, Jennifer Crow za comiesięczne wesołe spotkania i wymieniane na nich informacje oraz Pat Feidner, która jak zwykle służyła mi radą i oparciem.

Chciałabym szczególnie podziękować osobom, które użyczyły

swych imion i nazwisk postaciom z tej książki, wiedząc, że będzie to jedyny łącznik pomiędzy rzeczywistością a fikcją: Bobbie Barber, Elizabeth Bennefeld, Blairowi Boone, Douglasowi Burke, Starr Corcoran, Jennifer Crow, Lornie MacDonald Czarnota, Julie Czerneda, Rogerowi Czerneda, Merri Lee Debany, Michaelowi Debany, Mary Claire Eamer, Sarah Jane Elliott, Chrisowi Fallacaro, Danowi Fallacaro, Mike'owi Fallacaro, Nadine Fallacaro, Jamesowi Alanowi Gardnerowi, Mantovaniemu „Monty'emu” Gay, Julie Green, Lois Gresh, Ann Hergott, Larze Herrera, Robertowi Herrera, Danielle Hilborn, Heather Houghton, Pameli Ireland, Lorne'owi Katesowi, Allison King, Janie Paniccia, Jennifer Margaret Seely, Denby „Skip” Stowe'mu, Ruth Stuart i Johnowi Wulfowi.

NAMID – ŚWIAT

KONTYNENTY I TERYTORIA (jak dotąd)

Afrikah

Australis

Brytania/Dzika Brytania

Celtycko-Romańska Wspólnota Narodów/Cel-Romania

Felidae

Kościste Wyspy

Burzowe Wyspy

Thaisia

Tokhar-Chin

Zelande

WODY

Wielkie Jeziora: Największe, Tala, Honon, Etu i Tahki

Pozostałe jeziora: Jeziora Piór/Jeziora Palczaste

Rzeka: Talulaha/Wodospad Talulaha

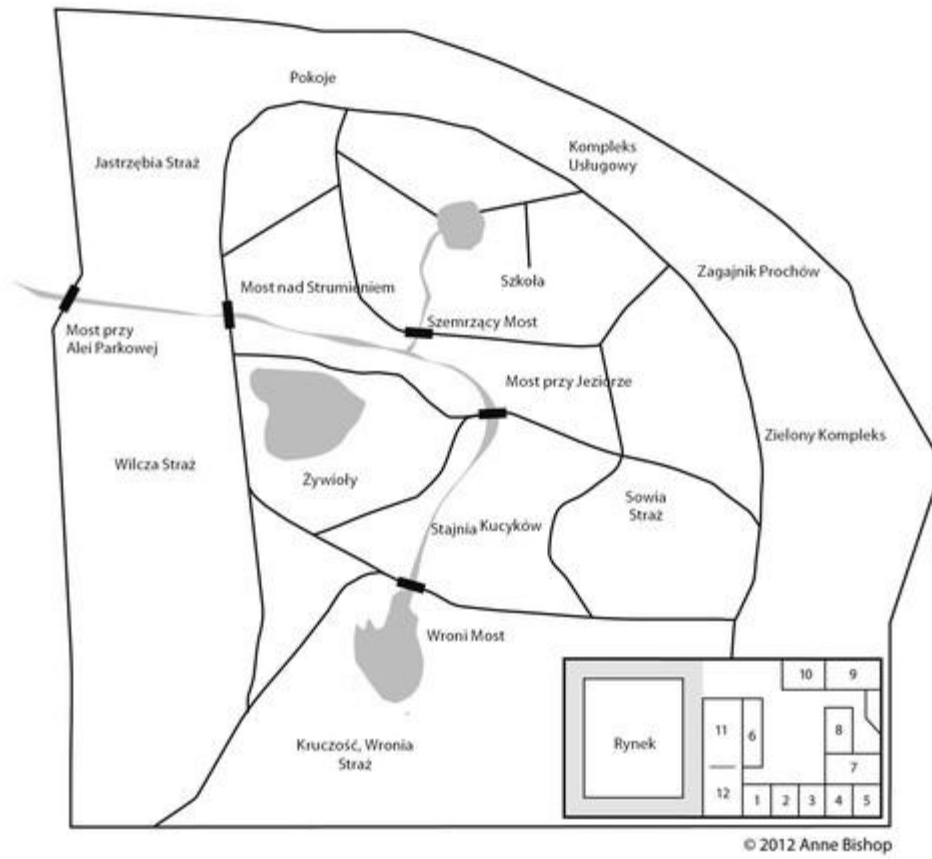
GÓRY

Addirondak, Skaliste

MIASTA I WIOSKI

Przystań Przewoźników, Centrum Północ-Wschód
(Dyspozytornia), Georgette, Laketown, Podunk, Sparkletown, Talulah
Falls, Toland, Orzechowy Gaj, Pole Pszenicy, Bennett, Wioska
Wytrzymałych, Złota Preria, Shikago, Sweetwater

Dziedziniec w Lakeside



© 2012 Anne Bishop

1. Pracownia krawiecka/ mieszkania służbowe	7. Galeria i pracownia Henry'ego
2. Coś na Ząb	8. Biuro łącznika
3. Zabójczo Dobre Lektury	9. Konsulat
4. Siup i Łup	10. Trzy P
5. Świetlica	11. Parking dla pracowników
6. Garaże	12. Parking dla klientów

Krótką historia świata



Dawno, dawno temu Namid zrodziła wszelkie istoty żywe – w tym te nazywane ludźmi. Podarowała ludziom żyzne obszary samej siebie i wodę zdatną do picia, a znając ich delikatną naturę, jak również naturę innych swoich dzieci, odizolowała ich, by mieli szansę przeżyć i rozwijać się. Ludzie dobrze wykorzystali tę szansę. Nauczyli się budować domy i krzesać ogień. Nauczyli się uprawiać ziemię i wznosić miasta. Zbudowali też łodzie i zaczęli łowić ryby w Morzu Śródziemnym i Morzu Czarnym. Rozmnażali się i rozprzestrzeniaли po swojej części świata, aż natrafili na dzikie miejsca. To wtedy odkryli, że resztę świata zasiedlają inne dzieci Namid. Jednak Inni nie dostrzegli w ludziach zdobywców. Dostrzegli w nich nowy rodzaj mięsa.

Tak zaczęły się wojny o dzikie miejsca. Czasami ludzie wygrywali i rozprzestrzeniaли się nieco bardziej, częściej jednak znikaly całe

fragmenty ich cywilizacji, a ci, którzy ocaleli, trzęśli się ze strachu, słysząc wycie wilków. Zdarzało się też, że ktoś za bardzo oddalił się od domu, a rano znajdowano go martwego, pozbawionego krwi.

Mijały wieki. Ludzie zbudowali większe statki i przepłynęli Atlantyk. Kiedy natrafili na dziewiczy ląd, na wybrzeżu zbudowali osadę. Wówczas odkryli, że i to miejsce zajęte jest przez *terra indigena*, czyli tubylców ziemi. Innych.

Terra indigena rządzący kontynentem nazywanym Thaisią poczuli gniew, gdy ludzie zaczęli wycinać drzewa i orać ziemię, która nie należała do nich. Zjedli więc osadników i nauczyli się przybierać ich kształt, tak jak wcześniej wielokrotnie nauczyli się przybierać kształt innego mięsa.

Druga fala osadników znalazła opuszczoną osadę i ponownie spróbowała ją zasiedlić.

Ich również zjedli Inni.

Na czele trzeciej fali osadników stał człowiek, który był mądrzejszy niż jego poprzednicy. Zaproponował Innym ciepłe koce, materiał na ubrania i interesujące błyszczące przedmioty – w zamian za zgodę na zajęcie osady i uprawę okolicznej ziemi. Inni uznali, że to uczciwa wymiana, i opuścili tereny użyczone ludziom. Otrzymali więcej prezentów w zamian za prawo do polowań i połowu ryb. Taki układ zadowalał obie strony, choć jedna z trudem tolerowała nowe sąsiedztwo, a druga ogradzała swe osady i żyła w ciągłym strachu.

Płynęły lata, osadników przybywało. Wielu umierało, ale wielu wiodło się całkiem dobrze. Osady rozrastały się w wioski, te w miasteczka, a te z kolei w miasta. Stopniowo ludzie rozprzestrzenili się po całej Thaisii na ziemiach użyczonych im przez Innych.

Mijały wieki. Ludzie byli bystrzy, ale Inni również. Ludzie wynaleźli elektryczność i kanalizację. Inni kontrolowali wszystkie rzeki, które zasilają generatory, i wszystkie jeziora, które dostarczały wody pitnej. Ludzie wynaleźli silniki parowe i centralne ogrzewanie. Inni kontrolowali zasoby paliwa potrzebnego do pracy silników i ogrzewania domów. Ludzie wynajdowali i produkowali różne rzeczy. Inni kontrolowali surowce, a zatem decydowali o tym, co można, a czego nie można produkować w ich części świata.

Oczywiście zdarzały się konflikty i niektóre ludzkie miasta znów pochłonął las. Wreszcie ludzie pojęli, że to *terra indigena* rządzi Thaisią i tylko koniec świata może to zmienić.

Obecnie sytuacja kształtuje się następująco: na ogromnych terenach należących do Innych rozrzucone są niewielkie ludzkie osady. W większych miastach znajdują się ogrodzone parki nazywane Dziedzińcami, gdzie mieszkają Inni, których zadaniem jest obserwowanie ludzi i pilnowanie przestrzegania umów, jakie zawarli z *terra indigena*. Po jednej stronie wciąż panuje niechętna tolerancja – a po drugiej strach. Ale jeśli ludzie będą ostrożni, przetrwają. Przynajmniej niektórzy z nich.

Naszym prawem, naszym przeznaczeniem, jako ludzi, jest zajęcie świata. Musimy okazać męstwo, niezbędne do wyrwania ziemi z łap zwierząt, które zabrały wodę i ziemię, które nie wykorzystują zasobów, takich jak drewno czy ropa, które nie rozwijają nauki ani sztuki i nie poprawiają warunków bytowych innych stworzeń. Nie staniemy się najważniejszymi istotami, którymi mieliśmy się stać, dopóki będziemy pozwalać zwierzętom na zastraszanie nas i zmuszanie do życia w wyznaczonych granicach. Rasa ludzka nie ma granic. Jeśli staniemy do walki razem, będziemy niepokonani. Będziemy władcami, a świat będzie należał przede i nade wszystko do nas. Na zawsze.

Mikołaj Strzępiel,

mówca ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko

Zawsze chodzi o terytorium. O zapewnienie stada bytu, pokarmu i dobrej wody. O dostateczną ilość tego wszystkiego, tak by stado mogło przetrwać, a szczenięta dorosnąć. Nasze czy ludzkie – wszyscy chcemy tego samego. A gdy jeden gatunek zwierzęcia opanowuje terytorium do tego stopnia, że inne gatunki zaczynają zdychać z głodu, zadaniem drapieżników jest zdziesiątkowanie jego stad, tak by ocalić inne zwierzęta. To prosta prawda, niezależnie od tego, czy mówimy o ludziach czy o jeleniach.

Simon Wilcza Straż,

przywódca Dziedzińca w Lakeside

Aby osiągnąć błyskawiczny sukces, musimy uderzyć jak najszybciej. Zebrać sojuszników i rozpocząć dywersje, które odwrócą uwagę od portów w Thaisii. Wysyłaj statkiem, co tylko możesz i jak tylko możesz. Głodna armia nie może walczyć z wrogiem, któremu musimy stawić czoła. Gdy tylko ostatnie statki będą bezpieczne w naszych portach, odbierzemy to, co zgodnie z prawem należy do mieszkańców Cel-Romanii, i pokonamy szkodniki, zajmujące dziewiczą ziemię.

Ojciec

Do: Wszystkie sekcje LPiNW, Thaisia
Rozpocząć pierwszy etap odzyskiwania ziemi.

MS



Słodka krew wiele zmieniła. Wy się zmieniliście. Intrygują nas ludzie, którzy zebrali się wokół twojego Dziedzińca, damy wam więc czas na decyzję, ilu ludzi zachowają terra indigena.



Simon Wilcza Straż, dowódca Dziedzińca w Lakeside, leżał, wpatrując się w sufit sypialni. Słowa ostrzeżenia i groźby od kilku nocy spędzały mu sen z powiek.

Nie tylko słowa uniemożliwiały mu wypoczynek. Prokrastynacja była wprawdzie cechą ludzką, jednak w ostatnim tygodniu odkrył, że czasami i on jej ulega. Wilki nigdy nie zwlekały. Gdy sfera potrzebowała jedzenia, ruszały na polowanie. Nie szukały pretekstów, w ostatniej chwili przed polowaniem nic nie było ważniejsze. Cały czas zajmowały się swoimi sprawami, a te zajmowały się nimi.

Chciałem, żeby Meg wyzdrowiała po cięciu z zeszłego tygodnia. Chciałem dać jej czas, zanim poproszę ją o częściowe przejęcie ciężaru tych decyzji. To ona jest Pionierką, znajduje sposób na przetrwanie innych cassandra sangue. Przez dwadzieścia cztery lata nie decydowała za siebie ani za nikogo innego, a teraz ma podjąć szereg ważnych decyzji, które mogą oznaczać życie bądź śmierć dla... kogo? Dla innych wieszczek krwi? Dla wszystkich ludzi żyjących w Thaisii?

Warknął, jakby mógł w ten sposób odpędzić złe myśli. Przewrócił się na bok, zamknął oczy i wcisnął głowę w poduszkę. Chciał zasnąć, choćby na chwilę. Jego myśli niweczyły jednak plany odpoczynku.

Damy wam trochę czasu na decyzję, ilu ludzi zachowają terra indigena.

W ciągu ostatniego tygodnia wciąż znajdował kolejne wymówki – przed sobą i przed resztą Stowarzyszenia Przedsiębiorców. Pozwalali mu na to, ponieważ nikt – ani Vlad, ani Henry, ani Tess – nie chciał powiedzieć Meg, jaka jest teraz stawka. Ale nie mógł marnować czasu – tak samo jak nie mógł marnować wyjątkowej, delikatnej skóry Meg.

Odwrócił się na drugi bok, w stronę okna. Uniósł głowę, a jego uszy przybrały kształt wilczych, żeby mógł lepiej wyłapywać dźwięki z zewnątrz.

Wróble. Ich pierwsze senne ćwierkanie zapowiadało świt, gdy niebo zmieniało barwę z czarnej na szarą.

Poranek.

Odsunął pogniecioną pościel, wstał i poszedł do łazienki. Wysikał się i umył ręce. Czy musi brać prysznic? Pochylił głowę i obwąchał się. Pachniał zdrowym Wilkiem. Weźmie prysznic później, kiedy będzie musiał zadawać się z więcej niż jednym człowiekiem, z którym łączyła go wyjątkowa przyjaźń. Poza tym ona też nie będzie się teraz kąpać.

Zrobił krok w stronę drzwi, ale się zatrzymał. Rezygnacja z prysznica to jedno, ale zapach dochodzący z ludzkich ust po nocy mógł uniemożliwić wszelkie bliższe kontakty.

Szczotkując zęby, przyglądał się swojemu odbiciu w lustrze. Ciemne włosy, które zaczynały się kołtunić – przed przyjazdem gości na Dziedziniec będzie musiał coś z tym zrobić. Skóra, trochę zbrązowiała od pracy w promieniach słońca. I bursztynowe oczy Wilka. Zawsze takie

same – niezależnie od tego, czy przybierał postać ludzką czy wilczą.

Wyplukał usta i schował szczoteczkę do szafki nad zlewem. Potem jeszcze raz spojrzął w lustro i uniósł wargi, żeby przyjrzeć się swoim zębom.

Podczas zmiany w Wilka oczy pozostawały takie same, ale...

Przybrawszy wilczą postać, jeszcze raz nałożył pastę na szczoteczkę i wyszorował drugie, lepsze zęby. Potem warknął z wściekłością – płukanie wilczej paszczy było nie lada wyzwaniem. Ostatecznie pochylił się nad zlewem i zaczął polewać kły i język wodą. Jeszcze komuś przysłoby do głowy, że toczy pianę z pyska.

– Następnym razem będę żuć gałązkę, tak jak zwykle – mruknął, przybrawszy z powrotem ludzką postać.

Wrócił do sypialni, by założyć koszulkę i dżinsy. Potem podszedł do okna i przysunął twarz do szyby. Na zewnątrz było na tyle chłodno, żeby założyć skarpetki i tenisówki – i bluzę. Będą chodzić w tempie Meg, nie jego.

Ubrał się do końca, a potem wyjął klucze z pojemnika stojącego na komodzie i wyszedł na korytarz, który dzielił z Meg. Ostrożnie uchylił drzwi prowadzące do jej kuchni. Czasami, dla bezpieczeństwa, zamykała dodatkowo zasuwę. Jej wyrwanie oznaczałoby dla niego tylko dodatkowe kłopoty.

Sprawił dostatecznie dużo problemów, celowo wyłamując drzwi.

Tym razem żadnej zasuwy. Świetnie.

Cicho zamknął za sobą drzwi. Potem ruszył do sypialni Meg.

Delikatny wiatr, wpadający do pokoju przez uchylone okno, poruszał firankami. W ich zakupie i wieszaniu pomogło Meg stado samic – jej ludzkie przyjaciółki. Przez okno sączyło się poranne światło, dzięki czemu Simon mógł dokładnie przyjrzeć się dziewczynie, skulonej pod kołdrą.

Czy było jej zimno? Gdyby został z nią zeszłej nocy, z pewnością by nie zmarzła.

– Meg? – Ostrożnie dotknął jej ramienia. Gdy się bała, potrafiła kopać mocno jak łoś. – Meg, pora wstawać.

Stęknęła i schowała się głębiej pod kołdrę. Teraz na zewnątrz wystawał tylko czubek jej głowy.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwał.

Podniósł jedną rękę, żeby osłonić się przed potencjalnym kopnięciem, a drugą położył na biodrze dziewczyny i kilka razy poklepał.

– Co? Co? – Widział, że siada z trudem, więc usłużnie podał jej rękę i pociągnął.

– Pora wstawać.

– Simon? – Odwróciła głowę w stronę okna i zamrugała. – Przecież jest jeszcze ciemno...

Opadła z powrotem na łóżko i spróbowała naciągnąć na siebie kołdrę.

Simon złapał za poszewkę. Po krótkiej szamotaninie Meg znowu siedziała na łóżku.

– Wcale nie jest ciemno, już świta – powiedział. – No dalej, Meg. Chodźmy na spacer.

– Jeszcze nie dzwonił budzik.

– Nie potrzebujesz budzika. Masz wróble, które mówią, że już czas. – Nie odpowiedziała, więc postawił ją na nogi i pokierował do łazienki. – Czy jesteś na tyle przytomna, żeby zrobić siku i umyć zęby?

Trzasnęła mu drzwiami przed nosem.

Uznał to za potwierdzenie, więc wrócił do sypialni i zaczął szykować ubrania, których potrzebowała. Wszystkie poza bielizną. Ponoć samiec nie powinien wyjmować bielizny samicy z komody, chyba że wcześniej się parzyli. Poza tym samiec nie powinien widzieć bielizny samicy, chyba że samica tego chce.

Nie potrafił pojąć, dlaczego wszyscy robili takie zamieszanie wokół wyjmowania czystych ubrań z szafy. Przecież bielizna pachniała o wiele bardziej interesująco po tym, jak samica ją z siebie zdjęła.

Ale ludzkie samice prawdopodobnie nie chciały o tym wiedzieć.

Pościelił łóżko, głównie po to, żeby zniechęcić Meg do ponownego rzucenia się w pościel. Poza tym gładzenie jej pościeli i wdychanie jej zapachu go uszczęśliwiała.

Dlaczego zeszłej nocy stwierdził, że lepiej spać w ludzkiej postaci, chociaż o oznaczało to spanie w pojedynkę? Gdyby przemienił się w Wilka, tak jak zwykle, mógłby zostać z Meg i zwinąć się w kłębek na

łóżku obok niej.

W porządku, został w ludzkiej postaci nie dlatego, że tak było lepiej, po prostu uznał to za niezbędne ćwiczenie. W przyszłym tygodniu na Dziedziniec w Lakeside miało przybyć sześciu Wilków z gór Addirondak, żeby doświadczyć kontaktu z ludźmi w sposób, jaki na ich terytorium był niemożliwy. Trzech z nich miało już do czynienia z ludźmi mieszkającymi w miastach, założonych w górach Addirondak i wokół nich. Pozostała trójka to jeszcze szczeniaki, które ukończyły pierwszy rok ludzkiej edukacji, by strzec ludzi z Thaisii.

Pilnowanie, żeby ludzie dotrzymywali umowy, którą ich przodkowie zawarli z *terra indigena*, było ryzykownym zadaniem. Inni mogli traktować ludzi jak myślące mięso – i tak właśnie robili – jednak dwunożni byli również drapieżcami, którzy przy każdej okazji grabili dane terytorium. I wbrew zapewnieniom ludzkich urzędników tak naprawdę nie zależało im na dobrobycie swojego gatunku. Dwunożni należący do ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko głośno narzekali na brak żywności w Thaisii i oskarżali o to *terra indigena*. Ale to właśnie ludzie z LPiNW sprzedali nadwyżki żywności Celtycko-Romańskiej Wspólnocie Narodów, żeby wyciągnąć z tego profity, a potem jeszcze skłámali na ten temat. Owe kłamstwa doprowadziły do walk w Lakeside, w których zginęli posterunkowy Lawrence MacDonald i Crystal Wronia Straż. Zachowując się w ten sposób, ludzie zwrócili na siebie uwagę *terra indigena*, którzy – chociaż mieli dobre intencje – z reguły trzymali się z daleka od obszarów przez nich kontrolowanych.

Tubylcy ziemi, mieszkający głęboko w dziczy, stwierdzili, że ludzie zajmujący Thaisię nadużyli ich zaufania i być może będzie trzeba anulować wszelkie umowy między ludźmi a Innymi. Najpewniej będzie trzeba je anulować. Już wprowadzono restrykcje odnośnie do tego, jakie towary można załadowywać na statki pływające po Wielkich Jeziorach. Ograniczono podróżowanie ludzi między miastami. Ludzkie rządy, które nadzorowały ludzkie sprawy na poziomie regionalnym, były wstrząśnięte wprowadzonymi sankcjami. Jeśli statki nie będą mogły transportować żywności i przewozić jej z wyspy na wyspę, jeśli pociągi nie będą mogły zawozić żywności i paliwa do miast, które ich potrzebowały, to co się stanie z ludźmi żyjącymi na kontynencie?

Gdyby ci, którzy mieli dowodzić, przeanalizowali historię Thaisii, wiedzieliby, co się stanie z ludźmi. Agresywni, dwunożni drapieżnicy zostaną wyeliminowani, a teren wróci w ręce tubylców ziemi, *terra indigena*, Innych.

Teraz jednak nie będzie już tak łatwo jak kilka wieków temu. Wtedy ludzie nie budowali ani nie wykorzystywali niczego, co – pozostawione samo sobie – zniszczyłoby ziemię. Teraz były rafinerie, które przetwarzają ropę naftową, wydobywaną z wnętrza ziemi. Były miejsca przechowywania paliwa. Były zakłady przemysłowe, które – niedopilnowane – mogły zniszczyć ziemię. Jak duży obszar ucierpiałby na zrównaniu z ziemią bądź porzuceniu tych miejsc?

Simon nie znał odpowiedzi na to pytanie, a *terra indigena*, którzy nadzorowali dzikie tereny – niebezpieczne, pierwotne istoty, skrywające swą prawdziwą naturę w tak pierwotnej postaci, że owe kształty nie miały nazw – nie będą zastanawiać się nad odpowiedziami. Nawet jeśli z powierzchni ziemi zniknie wszystko, by zrobić miejsce dla nowego, zrodzonego ze zniszczenia i zmian, oni będą istnieć nadal.

Zmiennokształtni *terra indigena*, tacy jak Wilki i Niedźwiedzie, Jastrzębie i Wrony nazywali te istoty Starszymi – dla drapieżników Namid słowo to brzmiało dobrotliwie.

Meg w końcu wróciła z łazienki. Wyglądała na trochę bardziej obudzoną, ale też na mniej zadowoloną z jego obecności. Gdy się dowie, dlaczego chciał iść z nią na spacer, będzie jeszcze mniej zadowolona.

– Meg, ubieraj się. Musimy porozmawiać.

Wskazała drzwi sypialni.

Był dowódcą Dzedzińca, a ona tylko tam pracowała, nie powinna zatem wydawać mu rozkazów, nawet tych niewerbalnych. Jednak nauczył się już, że w norach nie zawsze obowiązuje ta hierarchia. A to oznaczało, że Meg rządziła w swojej norze, lekceważąc fakt, że on rządził wszędzie poza nią.

Wyszedł z pokoju, zamknął za sobą drzwi i przycisnął ucho do drewna. Słyszał tylko odgłosy otwieranych i zamykanych szuflad. A po chwili:

– Simonie, przestań się tu kręcić! – W jej głosie pobrzmiwała irytacja.

Stwierdziwszy, że wystarczająco już rozdrażnił jeżozwierza, Simon udał się do kuchni, żeby sprawdzić, czy w szafkach i w lodówce Meg jest dostatecznie dużo ludzkiego jedzenia. Pół litra mleka, kilka kęsów sera – może trochę więcej, w końcu ludzkie kęsy są mniejsze niż wilcze – mała miska truskawek, które poprzedniego dnia zebrała z Henrym Niedźwiedzią Strażą, pół kanapki z Czegoś na Ząb – baru na Dziedzińcu. Poza tym słoik brzoskwiń, słoik sosu do spaghetti i paczka makaronu.

– Jeśli szukasz resztek pizzy, to zjadłam ją wczoraj wieczorem – usłyszał głos za plecami. – Zamknął szafkę. Czy dla ludzi jest to typowa ilość jedzenia w ciepłych miesiącach? W swojej kuchni miał niewiele więcej, ale on z reguły zdobywał pożywienie, polując, i zjadał je na świeżo, pozostałe pokarmy były więc tylko dodatkami, które po prostu mu smakowały i były odpowiednie dla ludzi. – Chcesz coś zjeść? – spytała.

– Później.

Simon opuścił kuchnię i zszedł po tylnych schodach, prowadzących do zewnętrznych drzwi. Był przekonany, że Meg pójdzie za nim. I poszła.

Na zewnątrz wziął ją za rękę, splótł swoje palce z jej – tę formę kontaktu i bliskości zaczęli praktykować tydzień po tym, jak wypowiedziała przepowiednię na temat Osiedla Nadrzecznego.

– Trawa jest mokra – zauważyła. – Może powinniśmy pójść drogą?

Pokręcił głową. Tego ranka droga, tak szeroka, że mieścił się na niej pojazd, i tworząca koło wewnątrz Dziedzińca, zdawała mu się zbyt ludzka.

Jak miał zacząć? Co powiedzieć?

Minęli powiększony ogród warzywny dla Zielonego Kompleksu, jedyne, w którym żyło wiele gatunków. Aby pomóc ludziom pracującym na Dziedzińcu, Inni zgodzili się dzielić z nimi zbiorami, o ile ludzie dobrze wykonywali swoją pracę. Codziennie do ogrodu zaglądał co najmniej jeden człowiek; sprawdzał, czy rośliny zostały odpowiednio nawodnione i wypatrywał chwastów – tu najlepiej sprawdzały się samice.

Na skraju ogrodu dostrzegł fragment futra, ale nie pokazał go Meg. Jakieś stworzenie widocznie przyszło tu, żeby poskubać sadzonki,

i skończyło jako czyjaś kolacja.

– Chciałeś porozmawiać – zaczęła. – Chodzi ci o sankcje?

W „Wiadomościach Lakeside” drukuje się wiele artykułów na temat zasad, których ludzie muszą teraz przestrzegać.

– Sami są sobie winni – mruknął.

– Ludzie się boją. Nie wiedzą, co takie sankcje oznaczają dla ich rodzin.

– Oni zawsze próbują zbudować tamę z kilku gałęzek. Zasady są bardzo proste. Każdy, kto należy do ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko, ma bezwzględny zakaz podróży przez dzikie tereny. To oznacza brak dróg i kolei.

– A łodzie?

Pokręcił głową.

– Wszystkie wody w Thaisii należą do *terra indigena*. Statki po jeziorach i łodzie po rzekach pływały tylko dzięki ich uprzejmości. Zawsze tak było. A Żywioły, znane jako Pięć Sióstr, zapowiedziały już, że każdy statek, który będzie próbował przepłynąć przez Wielkie Jeziora bez ich zgody, nie dotrze do celu. No dobrze, statek może i dotrze, ale załoga na pewno nie. Bądź co bądź, zatopienie statku byłoby równoznaczne z zanieczyszczeniem wody paliwem i różnymi śmieciami. O wiele bardziej prawdopodobne było to, że po usunięciu ładunku taki statek zostanie wypuszczony z powrotem na wodę, a jego załoga stanie się posiłkiem dla *terra indigena*, zajmujących się oczyszczaniem wód z ludzi.

– A co z żywnością? Według dziennikarzy nie można jej transportować z miejsca w miejsce.

– Albo kłamią, żeby wywołać zamieszanie, albo byli zbyt zajęci krzyczeniem na ten temat, żeby słuchać. – Inni byli przekonani, że ludzie, jako gatunek, musieli otrzymać brutalną lekcję życia, bo nie słuchają, nie chcą zrozumieć ostrzeżeń. – Meg, posłuchaj – podjął Simon – możliwość kupowania i sprzedawania żywności pomiędzy ludnością Prostego Życia, Intuitami i *terra indigena* nie ulegnie zmianie. Podobnie będzie we wszystkich kontrolowanych przez nas osadach ludzkich. Cała żywność pochodząca z ludzkich farm musi zostać zatwierdzona przez Intuitów i inspektorów *terra indigena*, zanim będzie mogła zostać

przetransportowana do innego regionu. Robimy tak, by ludzie nie mogli już skłamać, że brakuje tu żywności, jednocześnie wysyłając jedzenie do ludzi z innej części świata. – Odetchnął głęboko. – Ale nie o tym musimy porozmawiać. Starsi, tubylcy ziemi, którzy strzegą dzikich terenów, nałożyli obowiązek na Dziedziniec – a właściwie na wybraną grupę mieszkańców Dziedzińca. I do tej grupy należysz między innymi ty, ponieważ to ty przyczyniłaś się do zmian.

– Ja? – Meg się potknęła. – A co ja takiego zrobiłam?

Uśmiechnął się.

– Po prostu jesteś sobą.

Meg Corbyn, łączniczka z ludźmi na Dziedzińcu w Lakeside, była *cassandra sangue* – wieszczką krwi, która po nacięciu swojej skóry doświadczała wizji. Podczas burzy śnieżnej wpadła do Zabójczo Dobrych Lektur, szukając pracy po tym, jak uciekła od mężczyzny, który był jej właścicielem i ciął ją dla zysku. Ponieważ była bezbronna i niedoświadczona, pracowała ciężko, żeby poznać obowiązki łącznika, ale przede wszystkim nauczyć się życia. Wokół niej zebrało się kilkoro ludzkich pracowników Dziedzińca – szkolili ją, pomagali jej, a nawet stawali w jej obronie. Wszystko to zmieniło ich relacje z Innymi.

Uśmiech Simona zaczął znikać.

– Jaką część ludzkości zechcą zachować *terra indigena*? Musimy to ustalić.

Zatrzymała się.

– Co to oznacza?

– To kolejna rzecz, jakiej musimy się dowiedzieć. – Pociągnął ją za rękę, ale ona tylko na niego patrzyła. Jej szare oczy miały odcień porannego nieba.

– Jaką część ludzkości chcesz zachować? O czym masz zdecydować? Przecież przedstawiciele *terra indigena* pod ludzką postacią mają dwie lewe ręce. A ręce są naprawdę przydatne. Henry jest rzeźbiarzem, nie poradziłby sobie bez nich. Ty też nie.

Przyjrzał się jej. Może i ludzkie umysły budziły się dłużej niż umysły *terra indigena*. On, gdy tylko się budził, był w pełni sił umysłowych. Ziewał, przeciągał się i już był gotowy do zabawy, polowania czy nawet zajęcia się ludzką pracą w Stowarzyszeniu

Przedsiębiorców czy Zabójczo Dobrych Lekturach, księgarni, którą prowadził z Vladimirem Sanguinatim. Meg wprawdzie była przedstawicielką wyjątkowej ludzkiej rasy, jednak najwyraźniej jej mózg nie budził się tak szybko. Ale przecież spał z nią przez większość nocy i wiedział, że z reguły nie myślała aż tak wolno. Może poranne ćwierkanie wróbli wystarczyło, żeby obudzić ciało, ale umysł potrzebował mechanicznego budzika? A może po prostu na tym polegała różnica między ludzkimi samcami i samicami? Będzie musiał spytać o to Karła Kowalskiego, męża Ruthie Stuart i jednego z policjantów wyznaczonych do współpracy z Dziedzińcem.

Ruszył z miejsca, ciągnąc za sobą Meg, aż wreszcie zaczęła iść z własnej woli.

– Nie chodzi o ludzką powłokę. – Uderzył się w pierś. A potem, ponieważ miał do czynienia z Meg, z którą zgłębiał różne aspekty życia ludzi, powiedział więcej, niż powiedziałby jakimkolwiek innemu człowiekowi: – No dobrze, pod pewnymi względami chodzi o powłokę. Namid uczyniła z tubylców ziemi swoich najsilniejszych drapieżników. Cały czas jesteśmy najsilniejsi, ponieważ uczymy się od innych drapieżników, którzy żyją na naszym świecie. Przybieramy ich postać, poznajemy ich, obserwujemy, jak polują i jak żyją. Chłoniemy część ich natury dzięki samemu życiu w tej postaci. Ale nie chłoniemy wszystkiego. Zawsze będziemy przede wszystkim tubylcami ziemi. Ponieważ jednak zwierzęca postać to część tego, co jest przekazywane naszym młodym, Wilk *terra indigena* nie jest już tym samym, co Niedźwiedź, Jastrząb czy Wrona *terra indigena*. Te postacie istnieją od bardzo dawna – a postacie, takie jak Rekinia Straż, nawet jeszcze dłużej.

Przez dłuższą chwilę szli w ciszy.

– Boisz się, że staniesz się zbyt ludzki? – spytała nagle Meg.

– Tak.

– Z pewnością tak się nie stanie – odparła energicznie, ściskając jego palce. – Jesteś Wilkiem, nawet wtedy, gdy na niego nie wyglądasz. Sam tak mówiłeś. Ani ludzki wygląd, ani prowadzenie księgarni tego nie zmieniają.

Simon zaczął się zastanawiać, co kryło się pod jej słowami. Nie chciała, żeby był bardziej ludzki. Pragnęła, żeby pozostał Wilkiem.

Ufała Wilkowi bardziej, niż zaufałyby ludzkiemu samcowi.

Nagle poczuł się lżejszy. Dla *terra indigena*, którzy musieli spędzać mnóstwo czasu w towarzystwie ludzi, praca na Dziedzińcu była szczególnie niebezpieczna, ponieważ zawsze zachodziło ryzyko przyswojenia zbyt wielu ludzkich cech, wskutek czego Wilk mógł przestać pasować do przedstawicieli własnego gatunku. Bardzo go to martwiło, zwłaszcza że ostatnimi czasy zaczęły go łączyć z ludźmi głębsze relacje. Ale Meg nie pozwoli, żeby stał się zbyt ludzki, ponieważ potrzebuje, by miał naturę i serce Wilka.

Spojrzał na nią z ukosa, na jej szare oczy, delikatną skórę i zaróżowione policzki, na jej krótkie, gęste czarne włosy, przypominające szczenięcy puch. Była niska i szczupła, ale pod jej delikatną skórą odznaczały się mięśnie.

Jak bardzo ludzki będzie dla niej *zbyt* ludzki? Odsunął od siebie tę myśl. Miał dość zmartwień.

– Nie musisz się bać tego, co przejmiesz od naszych ludzkich przyjaciół – powiedziała cicho. – To dobrzy ludzie.

– Skąd wiesz?

– Znałam już złych. – Meg mimowolnie wróciła myślami do miejsca, w którym została wychowana, wykształcona, oraz w którym cięto ją dla zysku.

Pokiwał głową.

– Musimy się zastanowić, co chcemy zachować, co damy radę robić sami, jeśli w pobliżu nie będzie ludzi.

Popatrzyła na niego ostro i spytała drżącym głosem:

– Czy ludzie odchodzą?

– Być może. – Nie wspomniał, że mieli wymrzeć. Meg była dostatecznie mądra, żeby się tego domyślić. Nie powiedział jej też, że Starsi nie podjęli jeszcze decyzji odnośnie ludzi zamieszkujących Thaisię tylko ze względu na Dziedziniec Lakeside.

– Czy mogę o tym porozmawiać z Ruth, Merri Lee i Theral?

– Meg, one są ludźmi. Będą chciały zachować wszystko.

– Ale przecież nie wiem o wszystkim, czego potrzebują ludzie.

Przez dwadzieścia cztery lata mieszkałam w kompleksie, w celi, tak długo, aż byłam dostatecznie stara, by stać się sobą. Nie pamiętam, jak

żyły dziewczyny przed rozpoczęciem szkolenia. Ty natomiast wiesz, czego potrzebuje Dziedziniec, ale to też na pewno nie jest wszystko.

– W umowach z ludźmi ustalono, że na Dziedzińcu będzie wszystko, co ludzie mają w mieście, więc jeśli czegoś tam nie ma Dziedzińcu, to znaczy, że ludzie tego nie potrzebują. – Oboje doskonale wiedzieli, że to bardzo kiepska wymówka. – Poza tym jeśli poinformujesz o tym swoje stado, to Ruthie i Merri Lee przekażą wszystko swoim mężom policjantom.

– Którzy są bardzo pomocni – odparowała Meg. Nie dało się temu zaprzeczyć. Karl Kowalski i Michael Debany bardzo się starali zrozumieć *terra indigena* i byli sympatycznymi samcami, chociaż ludzkimi. Lawrence MacDonald, kolejny policjant i kuzyn Theral, zginął niedawno, gdy grupa ludzi i Innych przysłała do hali targowej w Lakeside, żeby dać Wroniej Straży szansę na zakup błyskotek i niewielkich skarbów. Wycieczka zakończyła się atakiem ze strony członków ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko. Podczas walki ranni zostali niemal wszyscy poza Vladem, a MacDonald i Crystal Wronia Straż zginęli.

– Powinieneś spytać o zdanie również Steve’a Przewoźnika – rzekła.

– Meg...

– Ci Starsi chyba nie powiedzieli ci, że nie wolno ci pytać o zdanie ludzi, prawda?

Westchnął.

– Nie. Ale musimy ostrożnie wybrać tych, którzy zostaną o tym poinformowani. Członkowie LPiNW to nasi wrogowie. Poukrywali się w miastach w całej Thaisii, i to właśnie przez nich Starsi patrzą teraz wrogo na wszystkich ludzi na kontynencie, zamiast wyeliminować źródło zła w jednym mieście i odzyskać ziemię.

Oczywiście Simon opowiedział o stawce już trzem ludziom. Uważał, że kapitanowi Burke’owi i porucznikowi Montgomery’emu można było zaufać, nie znał jednak trzeciego mężczyzny obecnego na spotkaniu, podczas którego przekazał informację o sankcjach. Greg O’Sullivan pracował dla gubernatora Rejonu Północno-Wschodniego, możliwe więc, że istnieli wrogowie *terra indigena*, którzy planowali

kolejne akcje, by przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę.

Jeśli tak by się stało, nie po raz pierwszy ludzie zniknęliby z jakiejś części świata – a Simon podejrzewał, że nie po raz ostatni.

A ponieważ mogło to wszystkim bardzo zaszkodzić, należało skupić się na zadaniu i oszacować, ilu ludzi powinni zachować *terra indigena*.

– W porządku – powiedział po chwili. – Porozmawiaj ze swoim stadem samic. Ale musisz zaznaczyć, że to bardzo ważna informacja.

– Dobrze. – Nagle Meg zatrzymała się gwałtownie i powiedziała cicho: – Królik...

Królik? Poczul, jak do ust napływa mu ślina. Ale w ludzkiej postaci nie miał szans na złapanie żadnego królika. Rozejrzał się. Czuł go, ale nie widział. W końcu zrozumiał, że Meg wpatruje się w brązowy wałeczek w trawie, znajdujący się długi sus od nich. Równie dobrze mogła to być skała albo wystający kawałek korzenia – te jednak nie miały uszu.

Westchnął, zawiedziony. Taki piękny króliczek, w sam raz na jeden kęs. Meg zaczęła się cofać, pociągając go za sobą.

– Uroczy, prawda? – szepnęła, kierując się z powrotem do Zielonego Kompleksu.

– Nie nazwiesz go uroczym, gdy zje wszystkie twoje brokuły.

– Nie robi tego, prawda?

– Brokuły są zielone, a on jest królikiem.

Naburmuszyła się i przyśpieszyła kroku.

– No cóż. I tak jest uroczy.

I pewnie zdąży dorosnąć, bo teraz i tak nikt się nim nie naje. Simon nie powiedział tego na głos, gdyż podejrzewał, że Meg i tak wołała nazywać króliczka uroczym zamiast chrupiącym.



Wtorek, 5 czerwca

Meg patrzyła na dziewczyny zebrane w sortowni – Ruth Stuart, Merri Lee i Theral MacDonald – a one wpatrywały się w nią.

– Już o tym słyszałyście.

Muffinki, kupione przez Meg w Czymś na Zęb, leżały na stole nietknięte.

– Nie – odrzekła Ruth. – Ale Karl udał się do domu kapitana Burke’a na specjalne potajemne spotkanie. Tak przynajmniej udało mi się wywnioskować z tego, czego nie mógł mi powiedzieć. Uważa, że kapitan Burke i porucznik Montgomery wiedzą na temat sankcji więcej, niż podano do publicznej wiadomości. Jeśli im o tym powiedziano...

– Michael też został wezwany na to spotkanie. – Merri Lee odetchnęła głęboko i powoli wypuściła powietrze. – Meg, nie możemy

brać odpowiedzialności za tak poważną sprawę. Jak moglibyśmy podjąć decyzję odnośnie do tego, ilu ludzi zatrzymają *terra indigena*?

– To nie my mamy podjąć tę decyzję – odparła Meg. – Po prostu zapewniamy informacje, porządkujemy je, tak żeby... – Przycisnęła dłonie do blatu stołu, próbując zignorować bolesne klucie, jakby setki igieł wbijały się najpierw w jej ręce, a potem w cały tułów.

Trzy dziewczyny od razu zwróciły na to uwagę.

– Meg? – Merri Lee w lot pojęła, co się dzieje. Jej głos stał się ostry.

Meg starała się nie zwracać uwagi na ból, nie myśleć o tym, że euforia, która następowała po nacięciu i wygłoszeniu przepowiedni, zapewniłaby jej takie cudowne odczucia. Cięła się w zeszłym tygodniu, nie chciała zbyt szybko tego powtarzać. Nie wiedziała, czy to prawda, że *cassandra sangue* może przeżyć tylko tysiąc cięć, a kolejne ją zabije lub doprowadzi do szaleństwa, jednak miała świadomość, że jeśli chce pożyć jeszcze chociaż dziesięć lat, musi rozłożyć cięcia w czasie.

– Opowiedz mi o dzisiejszym poranku – poprosiła Merri Lee. – Co robiłaś? Meg!

Ruth i Theral pośpieszyły na tyły biura i przymknęły za sobą drzwi – ale tak, żeby wszystko słyszeć.

– Wróble zaczęły świergotać, Simon się przebudził i kazał mi wstać, bo chciał iść na spacer. Posraniec jeden.

Merri Lee parsknęła śmiechem.

– To nie było zbyt miłe.

– Przecież on tego nie słyszał. – Poza tym nie miała zamiaru używać tego określenia w towarzystwie szczeniąt, a zwłaszcza Sama, siostrzeńca Simona. Nauczyła się tego słowa od ludzkiego chłopca, Roberta Denby'ego, i była pewna, że spodobałoby się młodemu samcom wszystkich gatunków – a ona wreszcie zostałaby ugryziona przez któregoś z dorosłych Wilków, któremu to wyzwisko nie przypadłoby do gustu. W tygodniu Sam nie mieszkał już z Simonem. Tęskniła za nim, ale być może to lepiej, że spędzał więcej czasu na zabawie z innymi Wilkami w kompleksie Wilczej Straży niż na dokazywaniu z ludzkimi dziećmi. – Widzieliśmy młodego królika – podjęła. – Był uroczy. Simon powiedział, że króliki jedzą brokuły...

– Być może – przerwała jej Merri Lee. – Jak się czujesz?

Meg potarła najpierw jedną, potem drugą rękę.

– Już lepiej. – Klucie prawie minęło.

Wróciły Ruth i Theral.

– Nie musicie tego robić – zwróciła się do nich. – Simon prosił o pomoc mnie, nie was.

– Oczywiście, że ci pomożemy – odparła Merri Lee. – Musimy się zająć dwiema kwestiami: ile z tego, co nazywamy ludzką naturą, Inni chcą zachować dla siebie – a tego żadna z nas nie może wiedzieć – oraz ile z tego, z czego korzystają ludzie, Inni chcą lub muszą zachować dla ludzkiej populacji w Thaisii.

– Jeśli chodzi o wyroby, powinniśmy zacząć od nas samych i stopniowo poszerzać zakres – zaproponowała Ruth. – Zróbmy listy przedmiotów i dóbr konsumpcyjnych, które posiadamy. I tego, bez czego nie wyobrażamy sobie życia, na przykład instalacja wodno-kanalizacyjna czy ogrzewanie zimą.

– Możemy wydrzeć część biznesową z jakiejś książki telefonicznej – dodała Theral. – Przecież te firmy nie mogłyby istnieć, gdyby nie było zapotrzebowania na ich produkty czy usługi.

– Mieszkańcy komuny Proste Życie nie korzystają z wielu przedmiotów, które są przydatne innym ludziom. – Meg zaczęła drapać się po prawej ręce, ale po chwili udało się jej opanować.

– Wiedza na temat tego, czego używają, może się okazać użyteczna – stwierdziła Merri Lee. – Jutro porównamy nasze listy. Elementy, które znajdują się na wszystkich, trafią na główną listę Tego, Co Chcemy Zachować – dodała Ruth.

– Jak bardzo szczegółowe mają być te listy? – spytała Theral.

Meg zamknęła oczy i wyobraziła sobie kartkę z napisem „Narzędzia”, a następnie ujrzała spis narzędzi: młotek, śrubokręt, piła, obcęgi.

Otworzyła oczy, przekonana, że zna już odpowiedź.

– To mają być ogólne kategorie. Nie wiem, ile czasu Simon będzie miał na zebranie informacji przed podjęciem decyzji, dlatego zacznijmy od ogółów. Po prostu „narzędzia” zamiast konkretnych narzędzi; „książki” zamiast tytułów czy nazwisk autorów.

– Dzisiaj wszyscy pracujemy po drugiej stronie ulicy – zauważyła Ruth. – W zeszły piątek wyprowadziła się pani Tremaine, więc Eve Denby chce dokładnie wysprzątać parter i piętro. Powiedziała, żebyśmy najpierw pomalowali mieszkanie na górze, bo Karl śpi teraz z Michaeliem, a ja śpię na podłodze w służbowym mieszkaniu Merri Lee.

Meg już miała spytać, dlaczego Karl i Ruth nie mieszkają ze swoimi rodzinami, jednak w porę przypomniała sobie, że najbliżsi byli na nich wściekli o sympatię dla Wilków – to potwarz dla osób, chcących współpracować z *terra indigena*.

– Nie wspomnimy o tym Eve – rzekła Ruth. – Chyba że otrzymamy na to pozwolenie.

– Ale wszystko będzie w porządku? – Merri Lee przechyliła się na bok, żeby wyjrzeć na recepcję, a potem szepnęła: – Właśnie otworzyły się drzwi wejściowe, ale nie mogę dojrzeć...

Jeden z Wilków stanął na tylnych łapach i walnął przednimi w ladę.

– *Arreooooo?*

– Dzień dobry, Nathanie – odezwały się chórem.

Przybył Wilk stróżujący, zatem należało zabrać się do pracy.

Dziewczyny zawinęły babeczki w papierowe ręczniki, zapewniły Meg, że spotkają się wieczorem na zajęciach Spokojnego Umysłu, i wyszły z biura tylnymi drzwiami.

Meg podeszła do lady. Nathan, jeden z największych Wilków w Lakeside, należał do stróżów Dziedzińca. Był z Simonem, gdy ich grupa została zaatakowana na targu. Kilka głębszych ran Innego wciąż pokrywały strupy.

– Chciałyśmy trochę pogadać przed pracą – rzekła Meg. Popatrzył na nią pytająco. – O sprawach, które nie powinny cię obchodzić. – Cały czas się w nią wpatrywał. – O *babskich* sprawach.

Odepchnął się od lady i poczłapał do wilczego legowiska, znajdującego się pod jednym z wielkich frontowych okien.

Meg westchnęła i poszła do sortowni zjeść babeczkę. Wystarczyło wspomnieć Wilkowi o „babskich sprawach”, żeby natychmiast się oddalił – oczywiście, nie można było korzystać z tego wybiegu zbyt często, bo tracił swoją skuteczność, ale w pewnych sytuacjach sprawdzał

się idealnie. Wilki żywiły przekonanie, że babskie sprawy są jak jeżozwierze – skutki szturchnięcia ich nosem okazywały się nader bolesne.

Doszła do wniosku, że ma niewiele czasu, zanim Nathan ponownie spróbuje się dowiedzieć, co się dzieje, wyjęła więc z szuflady kartkę w linie i długopis.

Ilu ludzi chcieli zachować *terra indigena*?

Listy z pewnością się przydadzą. Zastanawiała się jednak, czy Merri Lee słusznie sądziła, że sprawa ta miała więcej wspólnego z sercem i rozumem. Jeśli tak, Meg pozostało żywić nadzieję, że listy pomogą Starszym dostrzec prawdziwą odpowiedź.



Porucznik Crispin James Montgomery zapłacił taksówkarzowi, a potem odwrócił się, by zlustrować dwurodzinny dom, należący do kapitana Douglasa Burke'a. Budynek nie wyróżniał się spośród pozostałych, przy których można było zobaczyć ładnie przystrzyżone trawniki i inne dowody na to, co matka porucznika nazywała dbaniem o porządek – a w ustach Twyly Montgomery był to komplement.

W ciągu sześciu miesięcy przebywania w Lakeside nie zdążył jeszcze odwiedzić domu swojego kapitana. Na podstawie tego, co wiedział, wnioskował, że Burke nie był osobą rozrywkową – a jeśli już oddawał się jakimś rozrywkom, miały one miejsce w przestrzeni publicznej. Nie chodziło również o spotkanie towarzyskie, ponieważ Burke zorganizował je przed zmianą na komisariacie przy Orzechowej, żeby omówić sprawy, których nie chciał poruszać w miejscu pracy.

W momencie gdy porucznik zadzwonił do drzwi, na podjazd wjechał samochód. Wysiedli z niego posterunkowi Karl Kowalski i Michael Debany i szybko dołączyli do Monty'ego. Drzwi się otworzyły.

– Poruczniku. – Kowalski skinął do niego głową, a następnie spojrzał na stojącego w drzwiach mężczyznę. – Kapitanie.

Douglas Burke był wielkim facetem o imponującej posturze i niebieskich oczach, patrzących surowo, ale i życzliwie. Miał zawsze porządnie wyprasowane ubrania, a ciemne włosy poniżej łysego czubka głowy były schludnie przystrzyżone. Monty nigdy nie widział go poza

pracą, nie potrafił zatem wyobrazić sobie tego mężczyzny w stroju innym niż garnitur, na przykład w dżinsach i podniszczonym swetrze, koszącego trawnik czy kopiącego rabaty. Tak naprawdę Monty nie widział go jeszcze nawet ubranego tak jak teraz – bez marynarki i z podwiniętymi rękawami koszuli.

– Wejdźcie, panowie. – Burke odsunął się, by zrobić przejście. – Siedzimy w jadalni. Częstujcie się kawą i ciastkami.

Idąc za gospodarzem, Monty rozejrzał się po salonie. Widać było, że mieszka tu mężczyzna – pokój sprawiał wrażenie wygodnego, ale minimalistycznego. Porucznik nie zdziwiłby się, gdyby owe nieliczne meble były bardzo drogie – może nawet zabytkowe.

Nie widział żadnego pokoju dla dzieci ani też śladów ich obecności. Monty szukał ich intuicyjnie, ponieważ od zeszłego miesiąca w Lakeside zamieszkała z nim jego siedmioletnia córka, Lizzy. Wyjawiono wszystkie tajemnice, przywiezione przez Lizzy do Tolandu, dziewczynce nie groziło już niebezpieczeństwo ze strony zabójcy jej matki. Jednak Monty wciąż się uczył, w jaki sposób łączyć samotne rodzicielstwo z pracą w policji. Jak na razie nowa administrator nieruchomości na Dziedzińcu Lakeside, Eve Denby, zgodziła się zaopiekować Lizzy.

Monty wszedł do jadalni i zawahał się, dojrawszy Louisa Gresha i Pete’a Denby’ego. Siedzieli przy stole i właśnie nakładali sobie na talerze ciastka i świeże truskawki. Nie był zaskoczony ich obecnością, bądź co bądź należeli do grona zaufanych ludzi Burke’a.

Ktoś spuścił wodę w toalecie, zakręcił kurek i dołączył do reszty. Z kolei obecność tego mężczyzny wprowadziła Monty’ego w niemalże zdumienie. Był niższy, szczuplejszy i młodszy od Burke’a, miał gęste, lekko kręcone brązowe włosy – a jego przyjazne i zarazem surowe spojrzenie świadczyło o tym, że należał do rodziny.

– Panowie, to jest Shamus David Burke, mój krewny, który przyjechał z Brytanii. – Gospodarz dokonał prezentacji. – Pracuje tam w organach ścigania, pomyślałem więc, że może nam pomóc. Shady, to porucznik Crispin James Montgomery i jego ludzie, Karl Kowalski i Michael Debany. To głównie oni zajmują się Dziedzińcem w Lakeside. Facet, który tak podejrzliwie przygląda się ciastkom, to Louis Gresh,

dowódca oddziału saperów. Dowódco, ciastka są świeżutkie. Często się bez obaw.

– Jeśli nie sprawdzasz jedzenia pod kątem niespodzianek, to znaczy, że nigdy nie miałeś dzieci – odrzekł Louis. Wgryzł się w ciastko i zaczął je dokładnie przeżuwać.

– Drugi facet, wpatrujący się w to, co ma na talerzu – podjął Burke – to Pete Denby, prawnik, który niedawno przeniósł się tu z Regionu Środkowo-Zachodniego.

– Który również ma dzieci – odparł Pete z uśmiechem.

– Jedynym człowiekiem niezwiązanym z wymiarem sprawiedliwości jest doktor Dominic Lorenzo, pracujący dla gubernatora i pomagający *cassandra sangue* w tej części Rejonu Północno-Wschodniego. – Burke poczekał, aż wszyscy usiądą. Po chwili splótł dłonie i oparł je o blat stołu. – Porucznik Montgomery zna już stawkę. Zanim zaczniemy, musicie zrozumieć, że pod żadnym pozorem nie wolno wam ujawnić tego, czego się tutaj dowiedzie. Nikomu. Ani przyjaciółom, ani rodzinie, ani znajomym. Kto nie wyraża na to zgody, niech wyjdzie od razu, bo...

– Bo inaczej w niebezpieczeństwie znajdą się wszyscy mieszkańcy Lakeside – dokończył poirytowany Lorenzo. – Kiedyś już tak było.

– Tak naprawdę to w niebezpieczeństwie znajdzie się każdy człowiek w Thaisii. – Łagodny ton głosu Burke'a kontrastował z jego dzikim spojrzeniem.

Zapadła cisza. A potem rozległy się słowa Shady'ego, wypowiedziane takim samym spokojnym tonem:

– Douglasie, czy my rozmawiamy o zagładzie?

Burke przytaknął.

Lorenzo przełknął głośno ślinę.

Pete odsunął talerz z ciastkami.

Louis wypuścił powietrze.

– Na bogów na górze i na dole, mówimy o bombie. Jakie są szanse, że stracimy nad tym kontrolę?

– Mniej więcej pięćdziesiąt na pięćdziesiąt – odparł Burke. – Może mniej.

Monty popatrzył na swoich ludzi.

- Nie wyglądacie na zaskoczonych.
- Nie – przyznał Kowalski. – Zauważyliśmy...

Burke uniósł dłoń.

– Zanim do tego przejdziemy, musimy upewnić się, że wszyscy chcą zostać. – Popatrzył na Lorenzo.

Doktor zastanawiał się przez chwilę, a następnie odsunął krzesło i wstał od stołu.

– Znam zbyt wiele tajemnic. To, co wiecie, musi pozostać w ścisłym kręgu osób, a ja nie mam już pewności, czy jeśli ktoś mnie pyta o Dziedziniec w Lakeside czy o wieszczki krwi, to pyta z ciekawości, w związku ze sprawami zawodowymi, czy dlatego, że jest członkiem ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko i próbuje wyciągnąć ode mnie informacje, które można by wykorzystać przeciwko Innym. Podczas wykonywania zadań dla jednostki specjalnej zawsze podróżuję samotnie. Zorganizowanie na mnie zasadzki i ... przesłuchanie mnie byłoby niezmiernie proste.

Monty zapragnął, żeby ktoś zaczął żartować, żeby powiedział, że Lorenzo wszędzie widzi spisek godny scenariusza thrillera. Jednak nikt nie stroił sobie żartów – głównie dlatego że po tym, jak Pete Denby pomógł Burke'owi odkryć informacje na temat mężczyzny zwanego Kontrolerem i razem ze swą rodziną uciekał samochodem do Lakeside, został zepchnięty z drogi, prawdopodobnie przez członków ruchu LPiNW.

– Rozumiem. – Burke się zawahał. – Poproś Simona Wilczą Straż o możliwość przejścia przez dzikie tereny. Powinien wiedzieć, co to oznacza. Zaznaczone na mapie trasy to drogi, którymi mogą przemieszczać się ludzie. Istnieją jednak też nieoznaczone ścieżki, prowadzące do miejsc, w których ludzie nie powinni się pojawiać. Jeśli nabierzesz podejrzeń, że ktoś cię śledzi, skręć w którąś z nich, otwórz okno i zacznij krzyczeć, trąbić i zwracać na siebie uwagę *terra indigena* w każdy możliwy sposób, tak by ludzie nie zdążyli cię dopaść. Wówczas będziesz miał o wiele większą szansę na przeżycie spotkania z Innymi niż z ludźmi.

Lorenzo pokiwał głową.

– Powodzenia. – Ruszył w kierunku drzwi, ale po chwili

przystanął. – Jeśli którykolwiek z was będzie potrzebował dyskretnej pomocy lekarskiej, otrzyma ją u mnie bez zbędnych pytań.

– Dziękujemy – odparł Burke.

Poczekali, aż Lorenzo odjedzie z podjazdu pod drugą częścią domu, wtedy gospodarz zapytał:

– Ktoś jeszcze chce wyjść? – Pozostali pokręcili głowami. – W takim razie zacznijmy od spraw lokalnych i skończmy na końcu znanego nam świata. Poruczniku? Masz nam coś do zaraportowania?

Aby zyskać trochę czasu do namysłu, Monty zaczął nalewać sobie kawy, chociaż wcale nie miał na nią ochoty.

– Dwurodzinny dom na Wroniej Alei został przejęty przez Dziejziniec. Transakcja przebiegła pomyślnie, poprzedni właściciel dostał pieniądze, rodzina Denbych wkrótce się tam wprowadzi. Tak samo jak Karl i Ruthie.

Pete pokiwał głową.

– Wczoraj właściciel budynków po obu stronach domu zaakceptował ofertę Dziejzinca. Ponieważ Stowarzyszenie Przedsiębiorców planuje zapłacić gotówką, podejrzewam, że szybko uwiniemy się z papierologią i pod koniec miesiąca będziemy mogli zająć budynki. Poruczniku, mieszkania mają po dwie sypialnie. Może więc Lizzy będzie mogła zamieszkać tutaj na stałe.

Monty zaczął się zastanawiać, czy przyjąłby któreś z mieszkań, gdyby Simon Wilcza Straż złożył mu taką propozycję. Miał dużo powodów, by ją zaakceptować – ale było też kilka przyczyn, dla których wolałby trzymać się z dala od Innych. Jeśli zamieszkałby naprzeciwko Dziejzinca, a jego sąsiadami byłiby Kowalski, Denby – i prawdopodobnie Debany – to praktycznie mieszkałby w pracy.

Ale byłiby dobrymi sąsiadami, pomyślał. A bezpośrednio sąsiedztwo policji pozwalałoby na uniknięcie kłopotów. Jednak nikt z nas nie zastanawia się, do której szkoły w przyszłym roku pójdą dzieci – przy założeniu, że będą na tyle bezpieczne, by pójść do szkoły publicznej, a może nawet prywatnej, prowadzonej przez ludzi. Bądź co bądź, ten, kto zamieszka w budynku należącym do Innych, zostanie uznany za miłośnika Wilków, a przecież każdy, kto w jakikolwiek sposób współpracuje z terra indigena, spotyka się z uprzedzeniami. On i Lizzy

potrzebowali innego miejsca do życia. Przed podjęciem decyzji będzie musiał dokładnie rozważyć wszelkie za i przeciw. Ale to później.

– Co dalej? – spytał Burke.

– Pierwsi goście Dziedzińca przyjadą w przyszłym tygodniu – rzekł Kowalski. – Wilki z gór Addirondak. Nie wspomniano o tym, że w tym samym czasie przybędą inne gatunki *terra indigena*. Michael i ja odnosimy wrażenie, że mamy być widoczni w sklepach i na rynku, przynajmniej przez jakąś część każdego dnia.

– Przybywają, żeby komunikować się z ludźmi – dodał Monty. – To naturalne, że Wilcza Straż będzie chciał mieć was pod ręką.

– Czy mogą w tym uczestniczyć tylko konkretne osoby? – spytał Shady. – Jeszcze nigdy nie widziałem Dziedzińca ani nie rozmawiałem spontanicznie z żadnym *terra indigena*. Chciałbym wykorzystać tę okazję. Transakcjom, które przeprowadzałem z kilkoma Innymi, gdy... transportowano... *cassandra sangue* do Brytanii, towarzyszyła napięta atmosfera. Wszyscy ludzie, biorący udział w akcji, byli zdenerwowani. Pomijając tych mieszkających wzdłuż granicy lub na wybrzeżu, większość mieszkańców Brytanii nigdy nie miała kontaktu z Innymi. Biorąc pod uwagę to, co dzieje się teraz na świecie, chciałbym mieć z nimi jakieś doświadczenia, niekoniecznie zebrane podczas walki na śmierć i życie.

Monty zauważył wzrok Burke'a i stwierdził:

– Poproszę Simona Wilczą Straż, żeby pozwolił nam przyprowadzić ludzi z zewnątrz.

– Czy mamy jakieś obawy związane z mieszkańcami Wielkiej Wyspy lub informacje na temat Osiedla Nadrzecznego? – spytał Burke.

– Nie – odrzekł Monty.

Shady, jako jedyny przy stole, nie wiedział o pominięciu Wodospadu Talulah, miasta, które nie znajdowało się już pod kontrolą ludzi po tym, jak w wyniku wybuchu bomby życie straciło kilka Wron, a Sanguinati został zabity podczas polowania na ludzi, mającego na celu wyłapanie organizatorów zamachu.

– Skoro już Shady o tym wspomniał, porozmawiajmy o najważniejszym wydarzeniu – powiedział cicho Burke.

– O zagładzie. – Pete spojrzał na niego ponuro. – Inni naprawdę

rozpatrują taką możliwość?

– Ze względu na ostatnie problemy tubylcy ziemi z dziczy rozważają zagładę, dzięki której mogłyby się zakończyć problemy w Thaisii, a jednocześnie istoty, które były tu jeszcze przed naszymi przodkami, miałyby się poczuć zagrożone.

– Ale przecież próbowaliśmy pomóc – zaprotestował Louis. – Monty i jego ludzie codziennie ryzykowali i kontaktowali się z Innymi na Dziedzińcu. Na bogów, podczas ataku na targu zginął jeden z naszych! Czy to się w ogóle nie liczy?

– Owszem – odrzekł Monty. – Czas, który spędzamy na Dziedzińcu, nasza pomoc... To dzięki nam ludzie w Thaisii nie znikną z tego kontynentu.

– Przynajmniej na razie – dorzucił Burke. – Dziedziniec, kilku policjantów i cywili muszą równoważyć każdą głupotę, jaka przyjdzie do głowy LPiNW. Ustalmy też, kto zniknie, jak to określił porucznik. Moim zdaniem oszczędzone zostaną wioski Intuitów. Oraz farmerzy i rzemieślnicy z Prostego Życia, którzy starają się trzymać z dala od mieszkańców miast kontrolowanych przez ludzi i jednocześnie są ostrożni w interesach z *terra indigena*. Myślę też, że Inni będą potrzebować niektórych ludzi – chociażby do wykonywania konkretnych prac i wytwarzania produktów.

– Czyli zniknie reszta z nas – stwierdził Pete.

– Czyli zniknie reszta z nas – zgodził się Burke.

– Wybaczcie, ale macie przesrane – odezwał się nagle Shady. Nalał śmietanki do filiżanki, a potem dolał kawy z dzbanka, stojącego na grubej tekstylnej podkładce. – Powinniście zacząć gromadzić zapasy i myśleć o tym, jak przetrwać.

– Czy to pewne? – spytał Burke. – Czy Celtycko-Romańska Wspólnota Narodów idzie na wojnę?

– Tak. I to nie ze swoimi przedstawicielami, na co, szczerze mówiąc, mieli nadzieję mieszkańcy Brytanii. Przez jakiś czas gromadzili zapasy i broń, teraz jednak wszystko stało się jasne, poszczególne oddziały są rozlokowywane wokół Morza Śródziemnego. Prawda jest taka, że nie mają dostatecznie dużo ziemi, żeby zapewnić żywność wszystkim mieszkańcom. Tak to wygląda. Zastanawiam się więc nad

następującą kwestią: czy Cel-Romania spróbuje podbić kontrolowaną przez ludzi część Brytanii – jesteście położeni najbliżej nich – czy spróbuje zająć któryś z dzikich terenów, zakładając, że ma dostatecznie dużo broni, by wyeliminować panujących tam zmiennokształtnych.

– Zmiennokształtni nie będą jedynymi żyjącymi tam tubylcami ziemi – stwierdził Monty.

Shady przytaknął.

– Wiem. Większość mieszkańców Brytanii nie miała z nimi do czynienia, ale wyciągamy wnioski z historii naszych terenów i wiemy, dlaczego tak mało ludzi mija niską kamienną ścianę biegnącą przez szerokość wyspy i oddzielającą podarowaną nam część Dzikiej Brytanii. Tak samo, jak wiemy, że historie opowiedane przez kupców, którzy odważyli się przejść na drugą stronę ściany i wrócili żywi, nie są zmyślane.

– Dlaczego Cel-Romania uparła się akurat na tę stronę Atlantyku?
– spytał Kowalski. – Z pewnością nie uda im się przetransportować armii przez ocean.

– Racja – stwierdził Shady. – Obserwowane są nawet łodzie rybackie. Nigdy nie dopuszczono by do tego, żeby do brzegu dobiły okręty z oddziałami.

– Przecież z Thaisii udało się wywieźć jedzenie – rzekł Burke. – Więc uda się również przemycić do niej wojsko. Przy odpowiedniej zapłacie kapitanowie z pewnością spróbują niepostrzeżenie przepłynąć obok wszystkich, którzy obserwują wody.

– To nie rozwiązuje problemu zagłady – zauważył Monty.

– Poruczniku, nie możemy nic z tym zrobić – rzekł łagodnie Burke.
– Po prostu cały czas mamy otwarte kanały komunikacji. Pomagamy zawsze, gdy tylko możemy. I mamy nadzieję, że uda nam się zniweczyć wszelkie głupie plany innych ludzi. – Rozejrzał się po twarzach osób siedzących przy stole. – Coś jeszcze?

Michael Debany zaczął się wiercić na krześle.

– Kapitanie, powiedział pan, że to, o czym rozmawiamy, nie może wyjść poza ten pokój. Czy to oznacza również, że mamy nie mówić o niczym dziewczynom? Dzisiaj rano – spojrzał na Kowalskiego – miały spotkanie. Więc niewykluczone, że już o tym wiedzą.

– Nie wydaje mi się, by Wilcza Straż powiedział pannie Corbyn o planach tubylców ziemi – stwierdził Monty. – Być może jednak zdradził jej coś, czego nie zdradził nam.

– Panowie, musimy się tego dowiedzieć – rzekł Burke. – Na razie wykluczamy dziewczęta. W przyszłym tygodniu na Dziedzińcu będą goście, nie ma potrzeby, żeby zamartwiały się każdym słowem czy gestem i obawiały, że coś może przeważyć szalę przeciwko nam.

– Czyli to będą standardowe interesy – odrzekł Louis.

– Tak. – Burke wstał od stołu. – Jeśli to wszystko...

Monty pojechał na komisariat razem z Louistem, dzięki czemu Kowalski i Debany mogli porozmawiać sam na sam w drodze na Dziedziniec, gdzie Debany miał przez kilka godzin pomagać Eve Denby i dziewczynom.

– Rozmawiałeś już z Debany o nowym partnerze? – spytał Louis.

– Jeszcze nie – odparł Monty. – Nikt nie chciał być czwartym w ekipie, nawet po uwzględnieniu dodatku za pracę w niebezpiecznych warunkach.

– No coż, nie chodzi tylko o użeranie się z ludźmi, którzy zaczynają sprawiać problemy, prawda? Od członków zespołu oczekuje się, że będą nawiązywać kontakty i spędzać czas na Dziedzińcu również po pracy. A to daje do myślenia nawet policjantom, którzy bez wahania poszliby za tobą w ogień.

– Boją się, że zostaną napiętnowani jako miłośnicy Wilków.

– Nie chodzi tylko o napiętnowanie. Nie chodzi tylko o codzienne komunikowanie się z Innymi. Kilka dni temu moja żona wraz z sąsiadką – kobietą, z którą przyjaźniła się od lat – wybrały się na zakupy. Żeby zaoszczędzić na benzynie, pojechały jednym samochodem, należącym do sąsiadki. Zaparkowały przy sklepach. Na dwóch sąsiednich ulicach znajdowały się dwa sklepy mięsne. W oknie jednego wisiał symbol LPiNW, właściciel drugiego nie popierał tego ruchu. Przyjaciółka żony poszła do rzeźnika z symbolem stowarzyszenia w witrynie – żeby zostać obsłużonym w takim miejscu, należy wylegitymować się kartą członkowską. Żona poszła do drugiego sklepu, bo zgodnie ustaliliśmy, że nie chcemy mieć nic wspólnego z tą organizacją.

– I co się stało? – spytał Monty.

– Przyjaciółka nie odezwała się ani słowem, ale gdy moja żona kupiła już wszystko i wróciła na parking, nie znalazła samochodu. Jej przyjaciółka po prostu ją zostawiła i od tej pory z nią nie rozmawia. Na bogów, pilnowały wzajemnie swoich dzieci, niedługo miały spędzić razem wieczór, iść na kolację i do kina. A teraz...

– Stały się wrogami.

– Tak. Mam tylko nadzieję, że gdy nadejdzie odpowiedni czas, po naszej stronie opowie się dostatecznie dużo osób.



Środa, 6 czerwca

Tuż przed świtem milczący mężczyźni, którzy zajęli miejsca w kabinach i na pakach trzech pick-upów, pojechali na południe piaszczystą drogą, prowadzącą do Złotej Prerii. Doskonale znali tę trasę, jednak tego dnia byli jednocześnie przerażeni i pełni euforii. Oto wreszcie oni i dziesiątki innych mężczyzn z miast na Środkowym i Północnym Zachodzie przeprowadzą pierwszy atak i uwolnią ludzi od owłosionych i kłapiących kłami tyranów, którzy nie dopuszczają ich do niczego, co oferuje ta ziemia.

Gdy dotarli do rozdroża, zwolnili i powoli przejechali pomiędzy bydłem, które stanęło po obu stronach drogi. Po jednej stronie znajdowało się trzydzieści sztuk bydła z rancza ludzi, po drugiej – trzysta bizonów, pasących się na ziemi, należącej do *terra indigena*.

Bizony tłoczyły się przy lizawce, wystawionej kilka dni wcześniej. Parę sztuk zostało odciętych od głównego stada i zaprowadzonych na ogrodzony teren rancza – była to niezbędna ofiara w tej niebezpiecznej, potajemnej wojnie.

Mężczyźni oficjalnie wystawili tę lizawkę i powiedzieli Wilkom *terra indigena*, które przybiegły, by sprawdzić, co ludzie robią na nie swojej ziemi, że to taki przyjazny gest. Teraz ci sami mężczyźni wysiedli z samochodów i zaczęli sprawdzać strzelby. Gdy już wszystko się zacznie, nie będzie miejsca na błędy.

– Kompania A, za mną! – powiedział dowódca. – Kompanie B i C... – Wskazał drugą stronę drogi. – Pamiętajcie, że to nieważne, czy zabijacie, czy ranicie. Po prostu powalcie na ziemię tyle sztuk, ile zdołacie. Zaczynamy, gdy gwizdnę.

Ci z kompanii A odeszli od drogi i po cichu podeszli do bydła. Pozostali mężczyźni zakradli się do bizonów na odległość strzału. Wszyscy podnieśli broń w oczekiwaniu na sygnał.

Sprowokować Wilki, zabijając zwierzęta, które stanowiły ich pokarm. To był pierwszy etap planu odzyskiwania ziemi. Ostatecznie im mniej bizonów, tym więcej miejsca dla bydła należącego do ludzi.

Sprowokować Wilki. Namieszać. I co najważniejsze – nie dać się złapać.

Dowódca gwizdnął. Mężczyźni otworzyli ogień. Strzelali tak długo, aż skończyły im się naboje. Potem uciekli do samochodów i odjechali, przyśpieszając na piaszczystej drodze, by dotrzeć do baraków czy domów, zanim ktokolwiek zauważy ich nieobecność.

Przeprowadzili pierwszy atak. Od tej chwili obowiązywała zasada: dyskrecja albo śmierć.

Thaisia mogłaby być spichlerzem całego świata. Zmarnuje się wiele tysięcy akrów ziemi, która przecież mogłaby zapewnić ludziom pożywienie. W każdym razie terra indigena muszą zostać zmuszeni do oddania części ziemi, którą tak egoistycznie trzymają, nie zważając na potrzeby innych gatunków tego świata. Jeśli Inni nie chcą zaprzętać sobie tym głowy, niech pozwolą, by zajęli się tym ludzie. Wykorzystajmy tę pustą ziemię, tak byśmy nie musieli patrzeć, jak nasze dzieci umierają z głodu!

– przemowa Mikołaja Strzępiela podczas zjazdu LPiNW w Toland.

W Thaisii nie ma zmarnowanej, pustej ziemi. Każde miejsce na tym świecie jest pełne mieszkańców, którzy potrzebują tego, co ziemia już im zapewnia. Nawet na pustyniach mieszkają stworzenia żywiące się tym, co uda im się tam znaleźć. Zamieszkałe są również najchłodniejsze i najodleglejsze tereny. Gdy pan Strzępiel opowiada o potrzebach innych gatunków, tak naprawdę ma na myśli tylko jeden gatunek – ludzki. Pana Strzępiela i jego zwolenników nie interesuje nic więcej, zatem terra indigena muszą zajmować się całą resztą.

– Elliot Wilcza Straż w odpowiedzi na przemowę Mikołaja Strzępiela.



Środa, 6 czerwca

Białe ściany, białe meble, biała odzież.

– Proszę, potrzebuję kolorów. Mogę je zobaczyć.

– Cs821, nie potrzebujesz kolorów. Potrzebujesz cięcia. Po nim poczujesz się lepiej.

– Proszę.

– Mała uparta zdzira, mająca obsesję na punkcie kolorów.

Zalecamy jak najczęstsze nacinanie palców. Trzeba maksymalnie wykorzystać tę skórę, na wypadek gdybyśmy musieli amputować całe palce, żeby powstrzymać ją przed rysowaniem, które zmniejsza siłę przepowiedni.

To uczucie, gdy ostrze brzytwy rozcina skórę. A potem... Kolor. Ten odcień czerwieni, niepodobny do niczego innego, przynajmniej w jej

oczach. Ogarnięta euforią, która nadeszła po cięciu – po tym, jak zaczęła mówić, patrzyła na białe ściany, na ciemne pasy, którymi przypięto ją do krzesła.

– *Cs821, nie potrzebujesz kolorów. Potrzebujesz cięcia.*

Białe ściany, biały sufit, białe meble, biała odzież. Część ściany, na którą patrzyła, nagle pociemniała i zaczęła przybierać konkretny kształt. Cztery łapy. Ogon. Wielki łeb z rogami. Inna część ściany zaczęła przybierać kształt kolejnego zwierzęcia. I kolejnego, aż na ścianie pojawiło się całe stado kształtów.

Potem pokazały się nad nimi kropki – w tym wyjątkowym i niepowtarzalnym odcieniu czerwieni. Kropki zaczęły się robić coraz większe, spływały i spływały po ścianie, zalewając stado krwawymi łzami.



Dyszając ciężko, z walącym sercem, Nadzieja wygramoliła się z łóżka i slaniając się na nogach, podeszła do zasłoniętego moskitierą okna. Głęboko wciągnęła rześkie, poranne powietrze i przycisnęła dłonie do drewnianego parapetu.

Nie mieszkała już w kompleksie. Nie miała białych ścian w pokoju. W domku Wilczej Straży na osiedlu *terra indigena* w Sweetwater ściany i podłogi były drewniane. Wszystko było drewniane i proste – poza toaletą i zlewem w niewielkiej łazience obok sypialni. Do ściany przypięto kilka rysunków, które wykonała, odkąd przeprowadziła się do Jacksona, Grace i reszty. Kilka z nich nawet oprawiono.

Na niektórych po prostu narysowała swoje stado, ziemię, wszystko, co znajdowało się na terytorium Sweetwater, po którym wolno jej było się poruszać.

– Nazywam się Nadzieja Wilcza Pieśń – szepnęła. – *Nie jestem cs821. Już nie. I nigdy więcej nie będę.*

Ale ten sen... Było coś więcej i to więcej pokryło jej skórę wyczuwalną warstwą. Musiała przenieść to na papier, pokazać Jacksonowi i Grace. Obraz zwierzęcia wyblakł już w jej pamięci na tyle, że nie dałaby rady opisać go słowami.

Zamknęła okiennice i po omacku podeszła do łóżka. Włączyła

lampkę stojącą na stoliku nocnym.

Czekała.

Czasami Jackson i Grace nocowali na ganku z innymi Wilkami. Niekiedy jednak sypiali w głównym pokoju domu, z którego słyszeli, co robiła.

Nie rozległo się ani drapanie w jej drzwi, ani warczenie. Żadnego męskiego głosu, zachrypniętego po śnie, żadnych gardłowych dźwięków, które pozostały po części wilcze. Nikt nie spytał, co się stało.

Poruszając się tak cicho, jak tylko potrafiła, wzięła duży notes, kredki i pastele, które przyniósł jej Jackson. Zaczęła odwracać strony notesu, potem jednak zamarła i spojrzała na rysunek, który wykonała zeszłego wieczoru tuż przed snem. Nie wiedziała, czy miało to jakiegokolwiek znaczenie, ale ostatnią rzeczą, jaką dodała przed wyjściem z transu, w który czasami wpadała podczas rysowania, były słowa: „Dla Meg”.

Wyrwała kartkę z rysunkiem i położyła ją na biurku. Usiadła na łóżku, krzyżując nogi, i położyła przed sobą notes. Patchworkowa kołdra, której kształty i kolory z reguły były dla niej inspiracją, teraz ją rozpraszała. Nadzieja odsunęła ją na bok, po czym zdjęła prześcieradło – białe, ponieważ zdaniem Innych coś, co po zgaszeniu światła było niewidoczne, nie musiało być kolorowe – i położyła je na podłodze. Potem wzięła kredki i zaczęła rysować.

Kształty. Tak, pamiętała kształty. I niebo. I...

Zaczęła szukać wśród kredek i pastelii. Nic. Jak to się stało, że nie miała niezbędnego odcienia?

Skoczyła na równe nogi, otworzyła szufladę w biurku i wyjęła srebrną składaną brzytwę, którą cięto tylko ją, gdy mieszkała w kompleksie Kontrolera. Jacksonowi kazano zostawić brzytwę, na wypadek gdyby Nadzieja poczuła potrzebę wykonania cięcia – w takiej sytuacji użycie brzytwy było bezpieczniejsze niż ewentualne próby przecięcia delikatnej skóry czymś innym. Jackson i Grace kupili jej papier i kredki i pozwolili rysować. Bardzo się starała być grzeczna i się nie ciąć, ale...

– Potrzebuję tego – wymamrotała, całkowicie skupiając się na kształcie, który miała narysować. – Potrzebuję tego kształtu.

Gdy kolory zaczęły płynąć, odrzuciła brzytwę, zanurzyła palce w kolorze i wróciła do rysowania.



Zapach krwi wybudził Jacksona Wilczą Straż na chwilę przed tym, jak usłyszał krzyk. Zerwał się z miejsca i ruszył w kierunku sypialni Nadziei. Czuł za sobą oddech Grace, swojej małżonki. Wilki, które spały na ganku albo na ziemi wokół domu, też się obudziły i zaczęły wyć na alarm – albo próbowały uchronić młode przed potencjalnym niebezpieczeństwem.

Wciąż znajdując się pomiędzy wcieleniami, Jackson otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Pamiętał o zasadzie, że dorosłe ludzkie samce nie powinny pokazywać się młodym samcom ani szczeniakom bez ubrania, teraz jednak nie interesowały go ludzkie zasady – nie gdy Nadzieja wpatrywała się na zmianę w leżący na podłodze notes i w krew płynącą z głębokiego nacięcia na jej lewym przedramieniu, kapiącą na papier i leżące pod nim prześcieradło.

– Och, Nadziejo... – zawołała Grace, wyraźnie zmartwiona.

Jackson nie był zmartwiony. Był wściekły. I porządnie przerażony. Krew *cassandra sangue* stanowiła zagrożenie zarówno dla Innych, jak i dla ludzi. Po tym, jak przygarnęli Nadzieję, słyszał, że niektórzy z *terra indigena* nazywają dziewczyny dziełem Namid, niezwykłym, ale i strasznym.

Aż do tej pory nie uważał Nadziei za coś strasznego.

Jackson?, krzyknęło kilka Wilków, wykorzystując sposób komunikowania się *terra indigena*.

Nie wchodźcie tutaj!, nakazał im.

Nadzieja nie pachniała jak zwierzyna. Żadna z wieszczek krwi tak nie pachniała. Ale jej krew! Jeszcze nigdy nie czuł takiego zapachu. Zapragnął poczuć jej smak.

Gdy biegł w stronę chwiejącej się dziewczyny, czuł, jak jego wściekłość zaczyna napędzać strach. Złapał brzytwę, którą odsunęła. Już miał rzucić ją na biurko, gdy zauważył kolejny rysunek z nazwiskiem Meg Corbyn, napisanym w prawym dolnym rogu. Położył brzytwę z dala od rysunku, a następnie odwrócił się do podopiecznej.

Grace już ściągała z Nadziei koszulę nocną i przyciskała do rany

zwinięty w kłębek materiału. Wieszczyca została w samych majtkach.

– Potrzebowałam koloru – szepnęła, wpatrując się w podłogę. – Potrzebowałam...

Jackson trzepnął ją w głowę, Grace warknęła na niego. Nie było to mocne uderzenie, ale udało mu się wyrwać dziewczynę z transu i sprawić, że na niego spojrzała.

– Ale masz wielkie zęby – szepnęła.

– Są takie wielkie po to, żebyś je dobrze poczuła, gdy cię ugryzę – zawarczał i podszedł bliżej. Nie wiedział, czy do końca przeszedł już przemianę w człowieka, ale niezbyt go to obchodziło.

– Jacksonie – ostrzegła go Grace. – *Musimy zabrać ją do chodzącego ciała w wiosce Intuitów. Rana krwawi, a my nie możemy jej wylizać, żeby przyspieszyć gojenie.* – Zawahała się. – *Po raz pierwszy w życiu mam do czynienia z rannym człowiekiem.*

Dobrze. Zabierz ją do łazienki i załóż na nią dużo ubrań, żeby ludzie nie warczeli. Ja zetrę tyle krwi, ile się da.

Jackson poczekał, aż Grace zaprowadzi Nadzieję do łazienki, a potem podszedł do okna. Otworzył okiennice i z ulgą wciągnął powietrze nieskażone metalicznym zapachem. Zobaczył, że przyglądają mu się inne Wilki.

Jacksonie? Czy ludzkie młode jest ranne?

Tak. Potrzebny nam jest mały wóz, żeby zawieźć ją do osady Intuitów. Nie dojdzie tam na piechotę.

Wilcze pyski zniknęły w gęstwinie. To osiedle *terra indigena* nie miało własnych koni ani osłów. Gdy Inni potrzebowali takich stworzeń, wypożyczali je razem z ludźmi, którzy potrafili się z nimi obchodzić. Ale mieli mały wóz, którym mogło jechać do trzech pasażerów. Wykorzystywano go przeważnie wtedy, kiedy Inni jechali po wytworzone przez ludzi towary. Był dostatecznie duży, by pomieścić Grace i Nadzieję.

Jackson wziął ostatni głęboki oddech i odwrócił się w stronę pokoju. Na prześcieradle widniały plamy krwi, ale nie tak duże, jak zdawało mu się na początku. Większość krwi znajdowała się na rysunku, chociaż będzie musiał dokładnie sprawdzić wszystkie kartki, żeby się upewnić, że są one idealnie czyste.

Odkąd z nimi zamieszkała, tak świetnie sobie radziła. Powiedziała, że chce żyć. Przecież uczynili wszystko, żeby jej w tym pomóc. Dlaczego więc...?

Patrzył na rysunek. Martwe bizona. Krwawe odciski łap Wilków na wszystkich trupach. Bez sensu. Wilki nie ułożyłyby swoich ofiar w taką stertę, poza tym zabicie jednego bizona to ciężka praca, a mięso z jednej sztuki zapewniało wyżywienie dla całej sfory – dla osiedla *terra indigena*. Dlaczego więc Nadzieja narysowała rzeź całego stada bizonów? Nie zaznaczyła na kartce żadnych punktów orientacyjnych. Czy to się wydarzy w pobliżu Sweetwater? A może gdzie indziej?

Meg Corbyn – Pionierka – widywała przepowiednie dotyczące Dziedzińca w Lakeside. Jednak nie zawsze były one prawdziwe. Mogłoby się zdawać, że po tym, jak przez kilka tygodni mieszkała w Lakeside, jej umiejętności i wrażliwość ograniczyły się głównie do Lakeside i pobliskich społeczności związanych z Dziedzińcem. Natomiast rysunki i wizje Nadziei obejmowały cały obszar.

Spojrzał na kartkę leżącą na biurku. Czy te dziewczyny, te wieszczki krwi, mogły łączyć się z konkretnymi miejscami dzięki własnym związkom z ludźmi? Meg i Nadzieja znały się z kompleksu, w którym były przetrzymywane i cięte, dzięki czemu bogaci ludzie mogli poznawać swoją przyszłość.

Meg walczyła z uzależnieniem od nacinania swej skóry, dla pozostałych *cassandra sanguine* była jednak Kimś, Kto Przeciera Szlak, i być może znała odpowiedzi, których Jackson teraz potrzebował.

Zmienił ludzkie dłonie w wilcze łapy – z przydatnymi w różnych sytuacjach pazurami – i wyrwał kartkę, wyszarpując jednocześnie cały notes z płóciennej okładki. Ułożył na niej kartki. Gdy zapach krwi omamił go do tego stopnia, że zaczął się ślinić, uświadomił sobie, że papier wchłonął więcej krwi, niż początkowo przypuszczał.

To więcej niż tylko nacięcie, pomyślał z niepokojem, zwijając zaplamioną część rysunku. Rysowała własną krwią... bo potrzebowała tego koloru.

Otworzyły się drzwi do łazienki i Grace wprowadziła Nadzieję do sypialni. Ujrzawszy go, przystanęła.

Jacksonie? spytała.

Potrzebujemy pomocy, odparł. Kogoś więcej niż chodzącego ciała.

Młoda wyglądała na przerażoną. Czyżby myślała, że teraz wyrzuci ją ze stada? Owszem, mógł to uczynić. Może nawet powinien. Ale do połączeń nie zawsze dochodziło poprzez miejsca, a kilka poprzednich rysunków Nadziei dawało jasno do zrozumienia, że między Sweetwater a Lakeside istniało jakieś wspólne ogniwo.

On i Simon, przyjaciele od czasów szczeniństwa, byli tym ogniwem.

Patrząc na obrazek przedstawiający martwe bizony, pomyślał o jeszcze jednym Wilku, z którym się przyjaźnili.

Zgniół kartkę, wyszedł z sypialni i wrzucił ją do metalowego wiadra, wypełnionego do połowy świeżą wodą. A potem się ubrał i podał Grace letnią sukienkę – tę samą, którą miała na sobie poprzedniego dnia, zanim przybrali postać Wilków.

Tak, jeśli chcieli utrzymać to młode przy życiu, potrzebowali czegoś więcej niż pomocy chodzącego ciała.



Środa, 6 czerwca

Joe Wilcza Straż zmrużył oczy, chroniąc je przed piachem i ostrym słońcem. Był nowo wybranym przywódcą osiedla *terra indigena*, znajdującego się w południowym krańcu Wzgórz Starszych, oraz Intuitów mieszkających w Żółtej Prerii, miasta związanego z osiedlem. Próbował więc nie warczeć na Intuita, który prowadził pick-upa. To nie wina Tobiasa, że jakimś ludziom odbiło i zastrzelili tyle bizonów.

– Będziesz musiał wystawić w mieście straże – powiedział Joe. – Może trzeba postawić na drodze szlaban, żeby powstrzymać obcych, zanim za bardzo się zbliżą do waszych samic i młodych. I porozmawiać z Jastrzębiami, Orłami i Krukami, żeby mieli oko na okolicę i informowali o każdym kierującym się do miasta człowieku lub pojeździe.

Tobias Walker, zarządca rancza na Żółtej Prerii, zacisnął palce na kierownicy.

– Sądzi pan, że coś nam grozi?

– A ty tak nie sądzisz? – Tobias nie odpowiedział. – To, że ci ludzie zaczęli od czworonożnych zwierząt, nie oznacza jeszcze, że nie ruszą za ofiarami, które są podobne do nich.

– Będzie pan musiał spytać o to moją matkę – odparł Tobias. – To ona z nas wszystkich jest najbardziej wrażliwa na innych ludzi.

Jesse Walker, matka Tobiasa, była starszą, pełną życia, siwowłosą kobietą i przywódczynią Intuitów w Żółtej Prerii – tak się przynajmniej zdawało, ponieważ reszta ludzi zwracała się do niej za jego pośrednictwem po odpowiedzi na pytania dotyczące miasta. Prowadziła sklep wielobranżowy i wiedziała wszystko o wszystkich – łącznie z *terra indigena*, którzy zaczęli ryzykować i kupować produkty wytworzone przez ludzi, zamiast zdawać się na pudła z zaopatrzeniem zostawiane dwa razy w miesiącu na granicy ich osiedla. Była ciekawa jak Wrona, zawsze zadawała pytania i wtykała nos w nie swoje sprawy, ale jednocześnie była tak przyjazna, że nikomu chyba nie przeszkadzało jej zachowanie, zwłaszcza że następnym razem, gdy taka wypytana przez nią osoba przyszła do sklepu, dostawała dokładnie to, czego potrzebowała, chociaż wcześniej nie wiedziała, że tego właśnie chce.

Mimo różnicy wieku między tymi dwiema kobietami przyjazne i szczerze zainteresowanie Jesse innymi istotami przywodziło Joemu na myśl Meg Corbyn. Tak naprawdę został wybrany na nowego przywódcę Żółtej Prerii, ponieważ podczas swej wizyty na Dziedzińcu w Lakeside poznał Meg i zobaczył, ilu ludzi i Innych mogło współpracować. Od kiedy kilka dni temu wrócił, zaczął odwiedzać sklep wielobranżowy raz lub dwa razy na tydzień tylko po to, by porozmawiać z Jesse Walker, podczas gdy inni *terra indigena* obserwowali go z dystansu. Był to pierwszy krok do zdobycia jak najszerszej wiedzy o Intuitach, którzy trzy pokolenia wcześniej otrzymali pozwolenie na stworzenie społeczności wśród *terra indigena*. Poza biznesami w mieście Intuici prowadzili farmę, gospodarstwo mleczne i ranczo, z którego mieli użytkowe konie i bydło na mięso.

– Wygląda na to, że nie tylko my się o tym dowiedzieliśmy –

zauważył Tobias.

Wcześniej tego ranka niektóre Kruki, Jastrzębie i Orły dostrzegły padlinę i wszczęły alarm. Natomiast Joe pojechał na ranczo w Złotej Prerii, by przyprowadzić Tobiasa i jego ludzi oraz sprzęt, niezbędny do przetworzenia takiej ilości mięsa. Jednak mężczyźni pracujący na sąsiednim, zarządzanym przez ludzi ranczu, również musieli zostać ostrzeżeni, ponieważ Joe zobaczył trzy pick-upy i kilkunastu ludzi stojących wokół martwego bydła.

– Zatrzymaj się tam – powiedział Joe. – Przecież nie staniemy pysk w pysk z nimi.

Tobias zaparkował pick-upa. Joe wysiadł i otworzył pakę z tyłu samochodu dla trzech Wilków, którzy z nimi jechali. Wskoczyły i natychmiast zaczęły sprawdzać zapachy. Tak samo jak Kojoty, siedzące z tyłu drugiego pick-upa. Trzeci samochód był pożyczony od przewoźnika, miał dźwig i mógł przewozić ciężkie ładunki – na przykład wielkie tusze. A ostatni pojazd przyciągnął przyczepę z dwoma końmi, które miały pomóc w ciągnięciu mięsa do samochodu.

– Szlag! – powiedział Tobias, gdy razem z Joem przyjrzeni się martwym bizonom. – Musi ich być co najmniej setka. Taką ilością mięsa można by było karmić całe miasto i osiedle przez co najmniej rok.

– A nawet dłużej – rzekł Wyatt Niedźwiedzia Straż, dołączając do nich. – I nawet z kimś takim jak ja, żywiącym się wszelkim dostępnym mięsem.

Niedźwiedź również był nowy w osiedlu. Pachniał dostatecznie intensywnie, by zniechęcić należące do ludzi bydło do „zgubienia się” na terenie Innych, a jego obecność była ostrzeżeniem dla ludzi, że każda sztuka bydła, która „ucieknie” przez otwór w płocie i zostanie znaleziona na nie swojej ziemi, będzie szybko skonsumowana.

Oczywiście, Niedźwiedź nie był największym drapieżnikiem, który wychodził z takiego założenia. Mimo że na terenie było kilka ludzkich rancz oraz ludzkie miasto Bennett, w którym znajdowała się stacja dla pociągów towarowych, były to dzikie tereny, a zmiennokształtni, tacy jak Joe, byli łącznikami między ludźmi a pierwotnymi Starszymi, których rozmiary i apetyt pozwalały utrzymać stałą liczbę zwierząt pasących się na łąkach. Byli również strażnikami wody płynącej wśród

wzgórz i nieustannie służącej mieszkańcom Żłotej Prerii i ich uprawom. Ludzie mieli wodę na swoich terenach, ale woda w Żłotej Prerii była tak pewnym źródłem, że inni właściciele rancz jej zazdrościli. Gdy ruch LPiNW zaczął krzyczeć głośniejsz na temat praw ludzi, farmerzy przestali ukrywać tę zawiść – poprzedniego dnia Jesse powiedziała o tym Joemu w sklepie.

Joe wypuścił powietrze i spojrział na Wilki, które wciąż obwąchiwały trupy zwierząt leżące najbliżej drogi.

Macie coś?

Są stare i nowe zapachy. Pasują do ludzi z drugiej strony drogi, padła odpowiedź. Trzech zapachów nie rozpoznajemy. Może to ktoś z miasta, a może obcy.

Czy trzech myśliwych było w stanie urządzić taką rzeź? Dlaczego bizony nie uciekły po pierwszych strzałach?

Ludziom nie wolno polować na naszych terenach bez pozwolenia, więc bizony nie uznały ich za zagrożenie i nie przestraszyły się dwunożnych zwierząt z kijami – przynajmniej dopóty, dopóki niektóre ze zwierząt nie zaczęły zdychać.

Joe spojrział na lizawkę, którą zostawił farmer z sąsiedniego rancza – prawdopodobnie w geście przyjaźni. Czy ktoś mógł posmarować ją tym narkotykiem, euforką, przez co zwierzęta stały się otumanione? Powiedziano mu, że w tej części Regionu Środkowo-Zachodniego wilczenie i euforka nie były problemem, ale to nie oznaczało, że nagle ktoś nie zaczął ich tu stosować. Fakt, że Kontroler – człowiek, który stworzył te narkotyki – już nie żył, nie oznaczał, że nie było dostępu do tych substancji. Ilu jednak ludzi, poza wybranymi policjantami, wiedziało, że narkotyk był produkowany z krwi *cassandra sangue*? Niektórymi z tych dziewcząt wciąż opiekowali się ludzie. Niektóre z nich nadal mieszkają w kompleksach i bardzo chętnie nacinały swoją skórę tylko po to, by ktoś się nimi zajął. Tak więc niebezpieczeństwo związane z tymi narkotykami wcale nie minęło, po prostu przestano o nim rozmawiać.

Czy zapach mięsa jest taki jak zwykle? spytał Joe. Czy byłoby chore? A może było pod wpływem narkotyków, o których wam mówiłem?

Wilki i Kojoty zamarły, a następnie wróciły do obwąchiwania.

Pachnie dobrym, świeżym mięsem.

Jeden z Wilków rozerwał mniejszego bizona. Zjadł kilka kęsów i zaczął czekać. Wszyscy czekali.

To tylko mięso, powiedział po chwili. Nie czuję się ani słaby, ani wściekły, tylko głodny.

– Ile z tego zmieści się do waszych zamrażarek? – Joe zwrócił się do Tobiasa, machając ręką w stronę martwych zwierząt.

– Niezbyt dużo – odparł Tobias. – Proszę spytać jeszcze Floyda Tannera, to miejscowy rzeźnik, na pewno ma dużą zamrażarkę. Na ranchu powinno się przetrzymywać zapasy na miesiąc dla wszystkich mieszkańców, ale w tym miesiącu chyba już i tak zwiększyliśmy rezerwy.

– Mamy altanę, w której przechowujemy mięso. Może uda się tam zmieścić jakiegoś poćwiartowanego mniejszego bizona. Floyd Tanner może poćwiartować kolejnego i rozdać mięso rodzinom w mieście. Może mógłby wysłać trochę Simonowi, sprzedać za coś, do czego Simon ma łatwiejszy dostęp w Lakeside niż my tutaj.

Tobias popatrzył na niego ponuro.

– To była jedna trzecia stada Złotej Prerii. Nawet jeśli zabierzemy tyle, ile zdołamy, i tak większość mięsa zgnije tu, na drodze.

Nagle Joe poczuł dziki i niebezpieczny zapach. Reszta Wilków i Kojotów również go poczuła.

Nie zgnije tyle mięsa, ile ci się wydaje. Starsi już szykują się na ucztę.

Joe spojrzał na Wyatta. Tak jak wszyscy zmiennokształtni Niedźwiedź patrzył na tereny poza martwymi bizonami.

– Zabierzmy, ile się da, i wycofajmy się – zagrzemiał Wyatt.

Joe pokiwał głową. Nad ich głowami zaczęły już krążyć Kruki, Orły i Jastrzębie, czekające na odebranie swoich udziałów w ucztę. Będą mieć oko na poczynania ludzi po drugiej stronie drogi.

– Zabierzmy bizona średniej wielkości – zaproponował. – Łatwiej nam będzie je holować, a jednocześnie będziemy mieć dużo mięsa. Popatrzył na Tobiasa i dodał: – Powiedz Trumanowi, żeby przygotował konie.

Tobias spojrzał przez ramię, po czym odwrócił się od drogi

i powiedział łagodnie:

– Widzisz tamtego mężczyznę, stojącego trochę na uboczu? To Daniel Black. Właściciel tego rancza. Jeśli zaproponuje ci jakiegokolwiek mięso, nie bierz go.

Joe wyciągnął szyję.

– Masz przeczucie? – Intuici reagowali na otaczający ich świat: na pogodę, zwierzęta, ludzi. I gdy coś wzbudzało niepokój któregoś z nich, należało wziąć to pod uwagę.

– Nie chodzi o mięso, a o zabranie czegoś do domu.

Tobias odszedł w tej samej chwili, w której Daniel Black przeszedł przez drogę.

– Kiepska sprawa – powiedział właściciel rancza. – Masz pomysł, kto mógł to zrobić?

– Ludzie z bronią – odparł Joe, chociaż to oczywiste, że nie była to sprawa istoty uzbrojonej jedynie w kły i pazury. Żaden drapieżnik nie pozwoliłby na zmarnowanie takiej ilości mięsa.

Nagle nastąpiła zmiana w ludzkim zapachu. Zabrakło czegoś, co było tu jeszcze chwilę temu. Strach. Nie było już strachu. Farmer wyraźnie się cieszył, że *terra indigena* nie wiedzieli, kto jest sprawcą tej masakry.

– Słuchaj, oboje mamy ten sam problem: zgnije zbyt dużo mięsa. Nikt na tym nie skorzysta. – Black zdjął kapelusz, podrapał się po głowie i z powrotem go założył. – Chcecie trochę tego bydła? – Coś się nie zgadzało. Coś w jego oczach. Słowa zabrzmiały przyjaźnie, ale wzrok mężczyzny był czujny i zimny. Black przypominał Joemu grzechotnika – ale wąż był przynajmniej na tyle uprzejmy, że ostrzegał przed atakiem.

– Dzięki za propozycję, ale mamy dostatecznie dużo mięsa. – Machnął ręką w stronę zabitych zwierząt. – Czytałem w waszej gazecie, że w niektórych miejscach brakuje wam żywności. Może chcecie wysłać tam trochę mięsa?

Black nadal patrzył na niego ostro.

– Brakuje im zboża i mąki. Potrzebują chleba, a nie mięsa.

– Gdy jest się głodnym, to obojętne, co się dostanie do zjedzenia. – Odpowiedź Joego wyraźnie rozzłościła Blacka, chociaż mężczyzna starał się to ukryć. Najwyraźniej zasada ta nie odnosiła się w takim samym

stopniu do ludzi i do Innych.

– Róbcie, co chcecie – rzucił Black i poszedł do swoich ludzi.

Warknął do nich coś, po czym wszyscy wsiedli do samochodu.

Odjechali, zostawiając bydło tam, gdzie leżało. Po chwili powrócił Tobias.

– Znaleźliśmy kilka zabitych cieląt.

– Zabierzcie je, to smaczne mięso – odparł Joe, odprowadzając wzrokiem odjeżdżających mężczyzn. – Panie Wilcza Straż? – Joe odwrócił się do przywódcy, który nagle zaczął dziwnie pachnieć. – Możesz mówić do mnie Joe.

Tobias pokiwał głową.

– Dlaczego Wyatt... – Dyskretnie wskazał palcem.

Joe spojrział na Niedźwiedzia, który zamienił ręce w łapy i zaczął rozrywać pazurami podbrzusza bizonów.

– To drugi powód, dla którego inne zwierzęta czekają na swoją część po polowaniu. Wilki i Niedźwiedzie potrafią rozerwać ciało i dostać się do mięsa. Wtedy pozostałym jest o wiele łatwiej zdobyć coś dla siebie i swoich młodych.

Załadowali całą pakę w samochodzie, po czym odesłali kierowcę do Złotej Prerii, by rozładował mięso i jak najszybciej wrócił.

Wilki i Kojoty zaczęły krążyć wśród zabitych bizonów, szukając jak najmłodszego mięsa. Kilka bizonów przywiązano do koni, które miały zaciągnąć je na drogę. Najmniejsze kawałki zostały przeniesione przez grupki mężczyzn – albo przez samego Wyatta.

A potem nagle, gdy czekali na powrót samochodu, a ludzie poili konie, Truman Skye, jeden z pracowników rancza, pobladł i spytał:

– Na bogów na górze i na dole, co to jest?

Jeden z bizonów, niemal dorosły, uniósł się nad trawą i dotykając ziemi tylnymi kopytami, zaczął się odsuwać. Powietrze zalsniło niczym podczas upału.

– Nie widzieliście tego – powiedział Joe niebezpiecznie cicho.

Tobias z trudem przełknął ślinę.

– Co mogło podnieść kilkaset kilogramów z taką łatwością, jak by to było młode jelenia?

Joe powiódł wzrokiem po Wilkach i Kojotach. Połowa z nich

spoglądała na Intuitów. Pozostali przyglądali się z uwagą temu, co poruszało się wśród padliny, wybierając kawałki mięsa. A potem złapał Tobiasa i Trumana za ramiona i odwrócił ich siłą w stronę drogi.

– Jeśli chcecie, żeby ludzie w waszym mieście byli bezpieczni, to udawajcie, że tego nie widzieliście! – ryknął.

Tobias popatrzył na niego wyzywająco.

– Dogłębnie, w razie potrzeby rozbijamy obozy z dala od rancza. Często któryś z nas podróżuje w samotności. Jeśli Intuici i *terra indigena* mają współpracować, musimy dowiedzieć się o niektórych sprawach. Na przykład o tym, co to jest.

Joe wiedział, że ma rację. Jedną z przyczyn, dla których wiele dekad temu Intuici i Inni zawarli przymierze, było istnienie wspólnego wroga: innego gatunku ludzi.

– To, co widzieliście, było tu na długo, zanim poprosiliście o możliwość osiedlenia się wśród tych wzgórz – odparł. – Na skutek obecności ludzi te dzikie tereny zostały... zmienione... Ci, którzy schodzą ze wzgórz, by polować na bizona... To gatunek *terra indigena*, który od bardzo dawna zamieszkuje tę okolicę.

– Ale co to jest? – spytał cicho Tobias.

– To pazury i kły Namid. – Joe popukał się w pierś. – *Terra indigena*, tacy jak my, nazywają ich Starszymi. Rzadko zmieniają swoją pierwotną postać, a gdy już to robią... – Zakłopotany, wzruszył ramionami.

– Więc teraz są już świadomi naszej obecności.

– Zawsze byli jej świadomi. Po prostu dziś pozwolili wam zrozumieć, co obserwuje – i osądza – ludzi, którzy opuszczają swoje miasta i osady. Owe wzgórza to w pewnym sensie miasto Starszych w tej części Thaisii. Założyliśmy nasze osiedle jak najbliżej waszego, żeby stać się swego rodzaju buforem między nimi i wami. W ten sposób macie dzięki nam dostęp do drewna, wody i zwierzyny, która żyje wśród wzgórz.

– Czyli udajecie, że ich nie ma – stwierdził Tobias.

Joe pokręcił głową.

– W porównaniu z nimi nasza postać *terra indigena* jest niewielka. Nawet duże stado Wilków nie przetrwałoby ataku ze strony jednego

Starszego. Jesteście jeszcze mniejszymi drapieżnikami od nas, więc największą szansę na przeżycie spotkania z którymś z nich daje wam okazywanie szacunku.

Podszedł do nich Wyatt, zlizujący krew ze swych łap.

Kiedy robisz to, gdy masz ludzką postać, przerażasz ich, powiedział Joe, spoglądając na Tobiasa i Trumana.

Niedźwiedź popatrzył na niego przeciągle i opuścił łapę.

– Pick-up wrócił. Załadujmy go po raz drugi, to będziemy mieć dostatecznie dużo mięsa.

– Oprócz tego sprzedamy mięso z jednego bizona – powiedział Joe.

Wyatt zaryczał tak głośno, że Tobias i Truman aż podskoczyli.

– Chcesz handlować z ludźmi? Zostawili w upale dobre mięso, żeby się zepsuło; na pewno nie będą chcieli go od nas kupić.

– Nie chcę handlować z ludźmi. Chcę się dowiedzieć, czy da się wysłać część mięsa do Dziedzińca w Lakeside.

Po dłuższej chwili milczenia Wyatt pokiwał głową.

– Wrócimy po jeszcze jednego.

Gdy już zaciągnęli kolejnego bizona dostatecznie blisko, żeby ludzie dali radę załadować go na pakę samochodu, wprowadzili konie do przyczepy i odwieźli na ranczo. Załadowany samochód powoli odjechał w stronę farmy. Wilki i Kojoty zjadły tyle, ile zdołały, a następnie wskoczyły do pick-upów, zadowolone, że w drodze do domu będą mogły uciąć sobie drzemkę.

Tobias włączył silnik i spojrzał na Joego.

– Wysadzić cię gdzieś?

Joe pokręcił głową.

– Muszę porozmawiać z Jesse Walker i skorzystać z telefonu. – Począł, aż Tobias wrzucił bieg. – Coś jeszcze?

– Starsi. Joe, czy oni chcą nas skrzywdzić? Pytam o to, bo ostatnimi czasy ludzie zrobili dość dużo, żeby ich wkurzyć.

Joe ostrożnie dobierał słowa:

– Jeśli będziecie przestrzegać umów zawartych z *terra indigena*, to nie będzie powodów, Starsi po prostu będą żyli swoim życiem. Ale... wiesz co, Tobias? Gdyby chcieli wyrządzić krzywdę tobie i twoim ludziom, nawet nie zdążyłbyś zadać tego pytania.



Ich kroki wypełniały ziemię wokół Bennett straszliwą ciszą. Chodzili wśród zabitego bydła, wdychając mieszaninę woni Wilków, Kojotów, koni i dwunożnych bestii, zwanych ludźmi.

Wyszli na drogę, na której zapachy nie były wymieszane. Tutaj pachniało czymś innym, kwaśnym, nieprzyjemnym – ludzkimi bestiami, które bez pozwolenia weszły na teren ich wzgórz. Bestie te się skradły, jakby dzięki temu miały się ukryć przed *terra indigena*, i popędziły do jednego ze strumieni, by zabrać trochę żółtych kamieni. Pomyśleli, że może nowy Wilk wydał na to pozwolenie, więc pozwolili, by bestie zebrały kamienie i odeszły. Okazało się jednak, że ten nowy Wilk wcale na to nie pozwolił, zatem następnym razem, gdy bestie przyjdą po żółte kamienie, staną się mięsem, a kamienie wrócą nad strumień, gdzie znajdują je mniejsze *terra indigena*.

W tej części Thaisii ludzie wciąż byli zjawiskiem nowym, które należało obserwować. Należało śledzić również działania nowego Wilka. Był on niezmiernie interesujący – coś go łączyło z Wilkiem żyjącym w pobliżu Etu. Wielu go obserwowało, podczas gdy Starsi ze wschodu zastanawiali się, czy świat w ogóle potrzebował tych małych drapieżników, zwanych ludźmi.

Zaczęli rozrywać ciała bizonów i wyjadać ich wnętrzności. Potem wyrwali kawały mięsa i wrócili do wzgórz, by nakarmić nim swoje młode, odpocząć – i dalej obserwować.

Rozdział 6



Środa, 6 czerwca

Vlad oparł się o framugę drzwi do górnego biura ZDL.

– Mógłbyś przestać budzić Meg tak wcześnie rano? Niektórzy z nas chcieliby pospać trochę dłużej.

Simon odsłonił zęby.

– To nie ja obudziłem ją dzisiaj rano, tylko ona obudziła mnie.

Wrócił do pracy na komputerze. Tego ranka wszyscy mieszkańcy Zielonego Kompleksu wstali bardzo wcześnie – i każdy winił za to Simona.

A to przecież nie jego wina. W jednej chwili był pogrążony w błogim śnie, a w drugiej usłyszał wrzask Meg, która się na niego rzuciła. Przestraszyła go do tego stopnia, że aż zaskowitył. Naprawdę głośno. A ponieważ zostawił otwarte okna, a *terra indigena* mieli doskonały słuch, krzyk i skowyt obudziły wszystkich wokół. Po chwili

przybiegli, by sprawdzić, co się dzieje.

Vlad podszedł do biurka.

– To tylko zły sen? Jesteś pewien, że nie została ranna, nawet przez wypadek?

– Żadnych nacięć. Ani zranionej skóry.

– Jesteś pewien?

Simon przytaknął. Zanim Henry Niedźwiedzia Straż zaczął walić do drzwi domu Meg, a Vlad zamienił się w dym i przedostał się przez moskitierę w oknie sypialni, położył łapę na plecach Meg i obwąchał ją szybko, ale dokładnie, by się upewnić, że nie było żadnej krwi.

Oczywiście, nie miał zamiaru nikomu o tym wspominać.

– Nie zacząłeś dnia dużo wcześniej – warknął Simon. – Poza tym przecież sam kazałeś nam złożyć dziś zamówienia na książki, żeby magazyn był pełen, gdy w przyszłym tygodniu przyjadą Wilki z gór Addirondak.

– W porządku. Ja zacznę od tych, a ty możesz...

Zadzwoił telefon. Simon podniósł słuchawkę po drugim sygnale.

– Zabójczo Dobre Lektury, słucham?

– Simonie? Z tej strony Jackson. Musimy porozmawiać z Meg.

Simon popatrzył na Vlada.

Przyrowadź Meg. Natychmiast.

Vlad otworzył tylne okno w biurze, zmienił się w dym i sfrunął po bocznej ścianie budynku – był to najszybszy sposób na dotarcie na tyły biura łącznika.

– Vlad zaraz ją przyprowdzi – powiedział Simon do słuchawki. – Jak tam twoja wataha, wszystko w porządku?

– Tak. Posłuchaj, włączyliśmy tryb głośnomówiący w telefonie. Są ze mną Grace i Nadzieja. – Ponieważ Jackson zakończył zdanie warknięciem i chciał rozmawiać z Meg, łatwo było odgadnąć, kto sprawił kłopoty w grupie ze Sweetwater.

Na schodach rozległy się kroki i po chwili do biura wpadła Meg.

– Simonie? – Była zdyszana. Będzie musiał trochę popracować nad jej kondycją, żeby wzmocnić jej płuca. – Vlad powiedział...

Simon przywołał ją gestem. Gdy się zawahała, Vlad łagodnie popchnął ją w odpowiednim kierunku.

– Jacksonie? – spytał Simon. – Meg jest tutaj, więc ja również przełączę na tryb głośnomówiący.

Po chwili z głośnika rozległ się nieśmiały kobiecy głos:

– Meg?

Meg usiadła na krześle, Simon oparł się biodrem o biurko, a Vlad stanął obok.

– Tak, tu Meg.

– Powiedz jej, dlaczego byłaś niegrzeczna? – Oprócz gniewu w głosie Jacksona brzmiała troska.

Simon uśmiechnął się ze współczuciem. Trącił ramię Meg.

– Meg, ty też powiedz, dlaczego byłaś niegrzeczna.

Vlad spojrzał na niego ostro.

– Ja tylko potrzebowałam koloru! – Usłyszeli żalony płacz.

– Pamiętam cię – rzekła Meg, ignorując komentarz Simona. – Nosiałaś nazwę *cs821*.

– Tak.

– Wybrałaś już sobie imię?

– Nadzieja... – Szloch. – Nadzieja Wilcza Pieśń...

– Przepiękne imię.

Ciekawe, czy po dzisiejszych wydarzeniach nadal będzie się tak nazywać, rzucił wesoło Vlad, ale gdy Simon przyjrzał się twarzy Sanguinatiego, stwierdził, że brak na niej śladów rozbawienia. Nie było nic zabawnego w *cassandra sangue*, tnącej się brzytwą.

– Lubiłaś kolory, lubiłaś rysować – mówiła dalej Meg.

– Tak. Teraz już mogę rysować. A raczej mogłam... – Szloch.

Biedne szczenię, pomyślał Simon. Brzmiała na przerażoną. Ale i tak weźmie stronę Jacksona, ponieważ Wilk zapewne też był przerażony.

– Narysowałaś coś? – podpowiedziała jej Meg.

– Tak.

– A potem pocięłaś się brzytwą?

– Tak. Nie. Nie chciałam się pociąć. Po prostu potrzebowałam tego odcienia czerwieni. – Simon ponownie szturchnął Meg w ramię.

– Powiedz jej o zasadach – rzekł podniesionym głosem, chociaż dobrze wiedział, że Jackson i tak doskonale go słyszy. – Istnieją pewne

zasady.

Vlad stłumił śmiech, gdy Meg spojrzała na niego i odsłoniła zęby. Przechyliła się w stronę telefonu.

– Nadziejo? Czy to pierwszy raz, gdy się cięłaś od czasu opuszczenia kompleksu?

– Nie do końca...

– Pierwszy raz brzytwą?

– Tak.

– No cóż, Simon ma rację: istnieją pewne zasady.

– Mówiłem ci – powiedział cicho.

Meg zrobiła obrażoną minę.

– Nadziejo, prędzej czy później cięcie cię zabije. Wiesz o tym, prawda?

Usłyszała szept:

– Wiem...

– W cięciu chodzi o wypowiedanie przepowiedni. Dzięki euforii, jaką wtedy odczuwamy, nasze ciało chroni umysł przed tym, co widzimy. Jedynym sposobem na to, żebyśmy zapamiętały wizję, jest jej przełknięcie – jeśli nie przemówimy, jeśli nie opiszemy tego, co widzimy, nasz umysł to zachowa.

– Widzę moje rysunki – rzekła Nadzieja, a Meg odruchowo pokiwała głową.

– U ciebie jest inaczej. Ale twoje rysunki oznaczają również, że nie musisz się ciąć, żeby uwolnić wizje.

– Zrobiłam dla ciebie rysunek.

Meg oparła się na krześle.

– O mnie?

– Nie... Tak.

– W dzielnicy Sweetwater należącej do Intuitów jest pewien sklep – przerwał im Jackson. – Mają tam aparat fotograficzny, którym można zrobić zdjęcie i później wysłać je mailem. Simonie, zrobimy dla Meg zdjęcie i wyślemy je na twój adres.

– W porządku.

– Założę Meg konto mailowe i dodam je do adresów Zabójczo Dobrych Lektur – zaproponował Vlad. – Za dzień lub dwa sama będzie

mogła odbierać maile.

Może korzystać z mojego adresu, powiedział Simon.

Vlad się uśmiechnął.

Jeśli będzie myśleć, że tylko ona ma dostęp do swoich wiadomości, będzie bardziej szczerą.

Simon rozważył ten pomysł. Przez jakiś czas Meg i tak będzie wiedziała na temat maili tylko to, czego nauczy ją Vlad.

Czy to ty będziesz ustalać hasła?

Oczywiście.

Jesteś bardzo podstępny.

Przezorny zawsze ubezpieczony.

Nie trafiały do niego żadne argumenty.

– Czy twój rysunek przeraził cię na tyle, że zaczęłaś się ciąć? – spytała Meg.

– Nie! Nie bałam się, a ten rysunek nie był dla ciebie! To był ten drugi rysunek. Narysowałam coś na drugiej kartce. – Nadzieja wciągnęła głośno powietrze. – A potem zobaczyłam...

– Co? – dopytał Simon, gdy przez dłuższy czas jedynym odgłosem, jaki słyszeli, był drżący oddech.

– Martwe bizona – odparł ponuro Jackson. – Stos martwych bizonów.

– Stos? – Simon zmarszczył brwi. – Przecież bizona są wielkie. Kto mógłby ułożyć je w stos? Kto mógłby zabić taką ich liczbę?

Na dole zaczął dzwonić telefon. Druga linia ZDL.

– Odbiorę – powiedział Vlad i wybiegł z pokoju.

– Możecie przysłać mi również zdjęcie tego rysunku? – spytał Simon.

Chwila wahania. W końcu Jackson odparł:

– Dobrze. – A potem dodał: – Musimy się dowiedzieć, co zrobić w sprawie cięcia.

Nikt nie przerywał Meg, która zaczęła wyjaśniać, że należy przecinać skórę na tyle głęboko, żeby zostawała blizna, ale nie tak głęboko, żeby spowodować poważną ranę; że należy kłaść ostrze brzytwy na starej bliźnie, a potem tak odwracać rękę, żeby znalazło się w nowym miejscu, tuż obok. Gdy podkreśliła, że przed rozpoczęciem

cięcia należy przyprowadzić kogoś, kto wysłucha przepowiedni i w razie potrzeby udzieli pomocy, Simon pokiwał głową.

– Masz coś do pisania? – spytała na końcu. – Podam ci numer telefonu do biura łącznika. Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz miała jeszcze jakieś pytania.

– Meg, to rozmowa zamiejscowa – rzekł Simon. – Takie rozmowy są bardzo drogie. Poza tym niedługo będziesz miała własny adres mailowy.

– Nadziejo? Jeśli to będzie coś pilnego, to dzwoń. Jeśli nie, pisz maile. – Nagle twarz Meg się rozpromieniła. – Możemy też wysłać do siebie listy. Gdzie mogę tu wysłać list?

Do rozmowy wtrąciła się Grace, która podała Meg adres osiedla *terra indigena* w Sweetwater. Wtedy Meg zapytała:

– Lepiej ci już?

Simon nie wiedział, kto powinien odpowiedzieć na to pytanie, ale odezwała się Nadzieja:

– Tak.

– Simonie, i tak musimy porozmawiać – rzekł Jackson.

Simon spojrział na Meg.

– Sio. – Zamrugła gwałtownie, więc powtórzył: – Sio mi stąd.

Był przekonany, że gdy wstawała, nieprzypadkowo przejechała kółkami krzesła po jego stopie.

Począł, aż usłyszy jej kroki na schodach, a potem podniósł słuchawkę i wyłączył tryb głośnomówiący.

– Co jeszcze, Jackson?

– Masz jakieś wieści od Joego?

– Wiem, że się przesiedlał. Wszystkie wilki, które pomogły w zniszczeniu Kontrolera i jego kompleksu, postanowiły się przenieść i zorganizować nową watahę, która miała pilnować ludzi w mieście. Joe powiedział, że jak tylko będzie mógł, skontaktuje się ze mną... – Simon przerwał na chwilę, po czym zapytał: – A dlaczego pytasz?

– Chodzi o te martwe bizony. Od rana Jastrzębie, Orły i Kruki sprawdzają terytorium Sweetwater. Mamy tu pasące się stado bizonów, ale nasza młoda wizjonerka rysuje obrazki, które są z nami związane, ale nie zawsze są o nas. Wydaje mi się, że to nie tutaj znajdziemy bizony

zabite przez ludzi.

– Skoro jest tyle mięsa, być może to nie ludzie je zabili.

– Być może.

– Wydaje mi się, że Joe nadal przebywa w północnej części Środkowego Zachodu – rzekł Simon po chwili. – Może słyszał coś o martwych bizonach.

– Na wszystkich zwierzętach Nadzieja narysowała odciski wilczych łap. Własną krwią. A potem zaczęła krzyczeć.

Simon zadrżał. Co zobaczyła dziewczyna poza swym obrazkiem? Może w jakiś sposób udałoby się do tego dotrzeć?

– Bądźmy w kontakcie – powiedział. – Porozmawiam ze Stevem Przewoźnikiem. Jego ludzie wysyłają do osad Intuitów maile z informacją o wieszczkach krwi i o tym, w jaki sposób można pomóc im przetrwać. Poproszę, żeby dodał cię do listy odbiorców z Lakeside i dowiedział się, czy w którejś z osad Intuitów wiadomo coś na temat zabitych bizonów.

Skończywszy rozmowę z Jacksonem, Simon zadzwonił do Steve'a, a potem do porucznika Montgomery'ego. Mało prawdopodobne, że policja będzie miała wieści o zabitych zwierzętach, ale może Montgomery i jego kapitan słyszeli o jakichś niecodziennych wydarzeniach na swoim terenie.

Dopiero potem zszedł po schodach, żeby się dowiedzieć, kto zadzwonił na drugą linię.



Środa, 6 czerwca

Jesse Walker odrzuciła siwe kręcone pasmo włosów i spojrzała na Shelley Uczoną, bibliotekarkę, która szybkim krokiem weszła do sklepu.

– Skontaktowałam się z każdym, kto przyszedł mi do głowy, a kto mógłby pomóc Floydowi w obróbce mięsa lub ma trochę miejsca w zamrażarce – zaczęła Shelley. – Założyłam też listę dyskusyjną, na wypadek gdybyśmy mieli rozmawiać o czymś więcej niż tylko o mięsie.

– Nie naciskałabym na rozmowy – ostrzegła ją Jesse. – Przynajmniej do czasu, gdy będziemy wiedzieli, jak bardzo wściekły jest Joe Wilcza Straż.

– Wiem, wiem. Ale to oni zainicjowali kontakt po raz pierwszy od czasu, gdy nasi przodkowie rozbili tu kilka namiotów i zaczęli upominać się o ziemię. W zeszłym tygodniu przyszedł do biblioteki.

– Zabrał jakieś książki?

– Nie. Wycofał się, gdy tylko mnie zobaczył, ale wcześniej wszedł do środka.

Jesse spojrzała na swoją listę.

– Zadzwoiłam do gospodarstwa mlecznego, na farmę i na ranczo. Kilka kobiet z farm zadeklarowała pomoc. Już do nas jadą. Z rancza przybędą Tom i Ellen Garcia. Na razie możemy zrobić tylko tyle.

Patrzyła, jak młoda kobieta podchodzi do drzwi i wygląda na zewnątrz. Tak jak Tobias, Shelley miała trzydzieści lat i była dzieckiem Złotej Prerii. Mieszkała w tej niewielkiej społeczności przez całe życie, pomijając okres, w którym pojechała do szkoły, by zdobyć dyplom bibliotekarki. Zewnętrzny świat nie był dla Intuitów łatwym miejscem do życia, a ponieważ Shelley nigdy nie opowiadała o latach spędzonych na zewnątrz, Jesse podejrzewała, że młoda kobieta została zdradzona, a jej serce złamano. Niezależnie od tego, co się wydarzyło, Shelley tolerowała mężczyzn, o ile chcieli się z nią przyjaźnić, ale nigdy nie dopuszczała do niczego więcej.

A szkoda, ponieważ bycie z właściwym mężczyzną sprawiało wiele radości. Jesse miała okazję się o tym przekonać.

Młoda kobieta pośpieszyła z powrotem do lady.

– Właśnie przyjechali Tobias i Joe Wilcza Straż – oznajmiła.

– Tylko na nich nie naciskaj.

Jesse otworzyła stojącą za nią niewielką przeszkloną lodówkę i wyjęła dzbanek lemoniady, którą przyrządziła rano. Wystawiła z szafki plastikowe kubki i postawiła je na ladzie. Zaczęła rozlewać lemoniadę, akurat gdy otworzyły się drzwi i do środka wszedł Tobias w towarzystwie nowego przywódcy *terra indigena*, który pilnował Złotej Prerii i kilku należących do ludzi rancz, graniczących z terenami Innych.

– Pomyślałam sobie, że może jesteście spragnieni. – Jesse uśmiechnęła się do mężczyzn. – Przez dłuższy czas byliście na zewnątrz. – Wręczyła po kubku mężczyznom i Shelley, zostawiła też jeden dla siebie.

– Moja mama robi pyszną lemoniadę – odparł Tobias, pijąc zachłannie.

Joe powąchał płyn i upił ostrożnie. Uniósł brwi ze zdziwieniem i wziął kolejny łyk.

– To jest lemoniada? – zapytał po chwili. Jesse pokiwała głową, nie spuszczać z niego wzroku. – Kiedyś już piłem coś, co tak się nazywało. Było podobne w smaku, a jednak zupełnie inne. – Znowu się napił i stwierdził: – To jest lepsze.

– Uznam to za komplement.

– Tak. – Joe wypił wszystko i ostrożnie odstawił kubek na ladę.

– Dolać panu?

– Nie, dziękuję. – *Nie ufa nam*, pomyślała. *Nie wie, jak się z nami obchodzić. Ale przynajmniej ma jakąś wiedzę.* – Muszę zadzwonić – powiedział, patrząc na telefon, stojący na ladzie obok kasy. – Do Dziedzińca w Lakeside. Na Północnym Wschodzie.

– Dobrze. – Jesse starała się nie skrzywić na myśl o kosztach takiej rozmowy. – A czy możemy włączyć głośnik, tak żebyśmy wszyscy słyszeli?

Spojrzał jej uważnie w oczy i zastanowił się. Nie była wścibska – w każdym razie nie za bardzo wścibska. Po prostu czuła, że ta rozmowa może dużo zmienić w Złotej Prerii, zarówno na lepsze, jak i na gorsze, dlatego chciała znać jej przebieg.

– Dobrze – zgodził się. – To twój telefon, więc niech tak będzie.

Tobias popatrzył na Jesse ostrzegawczo, ale zignorowała spojrzenie syna i odwróciła telefon, żeby ułatwić Joemu zadanie.

– Na Północnym Wschodzie jest jeszcze bardzo wcześnie – zauważył Tobias.

Jesse spojrzała na niewielki zegar wiszący na ścianie za ladą.

– Zaraz rozpoczną się godziny pracy.

Joe wzruszył ramionami i ostrożnie wybrał numer.

– Zabójczo Dobre Lektury, słucham? – odezwał się głos o delikatnym akcencie. Był miły i służbowy, a mimo to Jesse zadrżała, a na wierzchu dłoni Joego Wilczej Straży zaczęła wyrastać sierść.

– Vladimir? Z tej strony Joe Wilcza Straż.

– Joe. – Głos stał się odrobinę bardziej przyjazny.

– Muszę porozmawiać z Simonem.

– Simon i Meg rozmawiają właśnie z Jacksonem na drugiej linii.

Dzisiaj rano doszło do pewnego... incydentu... z Nadzieją.

– Z tym szczenięciem, młodą wieszczką Jacksona?

Jesse zmusiła się, by nie okazać emocji. Młoda wieszczka. Czyżby Joe miał na myśli jedną z *cassandra sangue*, o których czytała w gazecie? Dziewczynę wypowiadającą przepowiednie? Informacje na temat wieszczek pojawiały się i znikwały, a Jesse cały czas zastanawiała się, co tak naprawdę się wydarzyło.

Musimy być częścią tego, pomyślała. *Nie wiem, jak ani dlaczego, ale w jakiś sposób musimy być związani z tymi dziewczynami.*

Zapadła cisza. Po chwili Vlad spytał:

– Dlaczego twój głos wydaje się taki odległy?

– Bo dzwonię z telefonu Jesse Walker. Włączyliśmy głośnik, żeby wszyscy słyszeli naszą rozmowę.

– Jacy wszyscy? – Przyjazna nuta w głosie Vlada momentalnie zniknęła.

Jesse patrzyła, jak uszy Joego zmieniają się z ludzkich w wilcze, dostrzegła też kiel, który z pewnością nie należał do uzębienia zwykłego człowieka. Niezależnie od tego, kim był ów Vladimir, sprawiał, że ich nowy przywódca stawał się czujny.

– Jestem Jesse Walker – powiedziała. – Są ze mną Shelley Uczona, miejscowa bibliotekarka, oraz mój syn Tobias. Tutaj również doszło do incydentu, dlatego poprosiliśmy pana Wilczą Straż o możliwość wzięcia udziału w tej rozmowie.

– A ja nazywam się Vladimir Sanguinati i jestem współwłaścicielem Zabójczo Dobrych Lektur, księgarni na Dziedzińcu w Lakeside. – Usłyszawszy nazwisko Vlada, Shelley pobladła jak ściana. Wcześniej nie zareagowała ani na jego głos, ani na imię, co oznaczało, że go nie znała. A więc Sanguinatich należało się bać. Jesse postanowiła, że później się dowie dlaczego. – Joe? – odezwał się Vlad. – Czy incydent u was ma coś wspólnego z martwymi bizonami?

– Tak – mruknął Joe. – Dzisiaj rano zastrzelono jakieś sto sztuk.

– Jak wyglądały?

Joe spojrzał z zaskoczeniem na telefon.

– Jak martwe bizony. Padały tam, gdzie je zabito.

– Czyli nie określilibyś ich mianem stosu martwych zwierząt?

– Stosu? Bizony są wielkie. Nie układa się ich w stosy. Dorosłe są wręcz tak duże, że każdy z nich mógłby być osobnym stosem. – Joe cały czas wpatrywał się w telefon. – Czy wiesz coś na temat naszych bizonów? Ale skąd...? Przecież dzwonię, żeby opowiedzieć o tym Simonowi.

– Stąd telefon od Jacksona. Nadzieja narysowała martwe bizony. Coś w tym rysunku zdenerwowało ją do tego stopnia, że się pocięła. To pierwszy raz, gdy wykonała cięcie, odkąd Jackson i Grace zabrali ją do swojej watahy w Sweetwater. Co zrozumiałe, są bardzo zdenerwowani, dlatego też oni i Nadzieja rozmawiają przez telefon z Simonem i Meg.

– Ale młodej nic nie będzie?

– Jeśli sfrustrowany Jackson jej nie pogryzie... Simon również jest przygnębiony.

– Meg i wybuchowe puszyste kulki z pewnością się z nim nie solidaryzują.

Jesse zamruła. Wybuchowe puszyste kulki? Czyżby zaatakowane króliki nagle zaczęły wybuchać? Nie, to głupie. To musiało mieć jakiś związek z wieszczkami krwi.

Vlad zachichotał.

– Na szczęście nasze ludzkie pracownice nie przyszły jeszcze do pracy. Przynajmniej ja jeszcze ich nie widziałem. – Chwila ciszy. – Chcesz, żeby Simon do ciebie oddzwonił, czy mam przekazać mu wiadomość o zabitych bizonach?

– Sto sztuk to mnóstwo mięsa – odparł Joe. – Zastanawiałem się, czy Simon i Henry nie chcieliby trochę wziąć. W Dziedzińcu nie macie takiego rarytasu.

– Myślę, że z radością przyjmą jakąś część. Masz je jak dostarczyć?

– Możemy je spakować i wysłać wieczornym pociągiem – wtrąciła Jesse. – Albo pierwszym jutro rano. Zawsze jest jeden wagon z chłodnią, w którym transportuje się artykuły spożywcze.

– Ale żaden transport do *terra indigena* nie jest możliwy bez eskorty – podkreślił Vlad.

– Czyli ktoś będzie musiał jechać do Lakeside? – zainteresował się Tobias.

– Żeby wytrzymać w wagonie z chłodnią, trzeba mieć futro – zauważył Joe. – Czyli to zadanie dla Wilka, Niedźwiedzia albo Pantery.

– Ale przecież eskorta nie musi przez cały czas siedzieć z towarem – rzekł Vlad. – *Terra indigena* zorganizowali dyżury z różnych osad, tak by nikt nie musiał wyjeżdżać daleko od domu, ale transport z jedzeniem wciąż musi być strzeżony.

Joe pokiwał głową.

– W podzięce możemy zrobić też małe paczki z mięsem.

– Na pewno się ucieszą. A co chcesz w zamian za mięso wysłane do Lakeside?

– Nie potrzebujemy...

Jesse uniosła dłoń. Joe spojrzał na nią surowo i od razu poczuła, że jej zachowanie jest nieodpowiednie. Jednak nie wolno im było przegapić takiej okazji.

– Chcesz czegoś w zamian? – spytał ją Joe.

Spojrzała na Shelley, która bez słowa podała jej listę.

– Zależy nam głównie na komunikacji.

– Nie rozumiem – powiedział Vlad.

– Bennett to najbliższe miasto kontrolowane przez ludzi. Dzięki niemu mamy połączenie z innymi miejscami, ponieważ ma stację kolejową i autostradę dla większych ciężarówek. Tutaj, w Złotej Prerii, staramy się być tak samowystarczalni, jak tylko się da, ale jednocześnie jesteśmy zależni od pociągów i ciężarówek dowożących nam towary, których sami nie produkujemy. – Odczekała chwilę. Vlad najwyraźniej również czekał. – Mamy bibliotekę – podjęła – a Shelley robi, co może, żeby ją utrzymać i sprowadzać nowe książki. Mamy też niewielką księgarnię, w moim sklepie jest kilka półek i klienci mogą kupić nowe i używane książki. Chodzi o to, że kiedyś mogłam zamawiać od wydawców zestawy różnych książek, a Shelley była na listach mailingowych, na których ogłaszano tytuły nowych dostępnych pozycji. Teraz nas odsunięto, wykreślono z list i powiedziano, że mamy kupować duże liczby książek, których nie damy rady wykorzystać. Przez kilka miesięcy jeździliśmy do księgarni w Bennett i kupowałyśmy egzemplarze do biblioteki, ale gdy pojechałyśmy tam w zeszłym tygodniu, okazało się, że księgarnia była zamknięta. To dziwne, bo było

jeszcze przed południem. Obie mamy wrażenie, że owe zmiany mają związek z nowym znaczkiem, który pojawił się w rogu jej wystawy.

– LPiNW? – Głos Vladimira Sanguinatiego brzmiał przyjaźnie, jednak Jesse żywiła nadzieję, że nigdy nie będzie musiała mieć z nim osobiście do czynienia, gdy będzie mówił tym tonem. Miała pewność co do jednego: był większym drapieżnikiem niż Wilk stojący po drugiej stronie lady.

– Tak – odparła. – To były te litery.

– Czyli ruch Ludzie Przede i Nade Wszystko dotarł już tak daleko na zachód. – Vlad się zamyślił. – Nie będą już sprzedawać książek nikomu z waszego miasta. Przynajmniej przez jakiś czas.

– To tylko przykład. Ja, no cóż, jak każdy, kto w ostatnich miesiącach pojechał do Bennett, mam wrażenie, że mieszkańcy tego miasta próbują się nas pozbyć.

– Jesteś Intuitką – odparł Vlad.

– Tak. – Nie było sensu temu zaprzeczać, Jesse podejrzewała, że już o tym wiedział. – A o tych dziewczynach, wieszczkach, mówiono ostatnio w wiadomościach. Chciałabym się więcej o nich dowiedzieć. Może moglibyśmy pomóc. Nie wiem jeszcze jak, ale mam przeczucie, że możemy to zrobić. – Usłyszała w swoim głosie gniew i spróbowała to zmienić. Wiedziała jednak, że w tej konkretnej chwili miało to ogromne znaczenie.

– Mamo! – odezwał się Tobias w tej samej chwili, w której Joe rzekł:

– Trzeba nad nimi długo pracować. O wiele dłużej niż nad innymi młodymi.

Zapadła cisza.

– Vlad? – spytał wreszcie Joe. – Jesteś tam jeszcze?

– Nie mogę sam podjąć takiej decyzji – padła odpowiedź. – Trzeba rozważyć różne aspekty. Myślę jednak, że dobrze by było mieć jakieś połączenie między Lakeside, Żółtą Prerią a Sweetwater, chociażby dlatego że *cassandra sangue* widzą w swoich wizjach jakiś związek między tymi trzema miejscami. Joe, masz adres mailowy?

Joe odskoczył od lady tak gwałtownie, jakby telefon nagle zamienił się w grzechotnika.

– Nie.

– Mogę mu założyć konto mailowe w naszej bibliotece – zaproponowała Shelley aż nazbyt radośnie. – Jesse też sprawdza tam swoją pocztę.

– W porządku – odparł Vlad. – Podajcie mi jakiś adres, na który będę mógł wysłać informacje, a potem wy nam odpiszecie. Dodajcie też jakieś numery telefonów, żebyśmy w razie potrzeby mogli jak najszybciej się z wami skontaktować. Dopilnuję, żeby Jackson miał i numery, i adresy mailowe.

– Świetnie. – Jesse podała mu maila i numer telefonu swojego sklepu. – Damy ci znać, którym pociągiem pojedzie mięso.

– W porządku. – Chwila wahania. – A kiedy dokładnie zabito te bizona?

– O brzasku, może trochę później – odparł Joe. – Dlaczego pytasz?

– I nie zadzwoniliście do Jacksona, żeby poinformować go o tej sprawie?

– Nie. A co?

– Jeszcze nic. Jesse Walker? Jeśli się zgodzisz, dam kontakt do ciebie Steve'owi Przewoźnikowi z Wielkiej Wyspy.

Kim jest Steve Przewoźnik?

– Dobrze – odparła Jesse.

Chyba udzieliła właściwej odpowiedzi, bo Vlad zakończył rozmowę obietnicą przysłania informacji. Ale zanim odłożył słuchawkę, zapytał jeszcze:

– Czy w waszym mieście jest jakieś miejsce, w którym mogą zatrzymać się podróżni?

– Przy granicy znajduje się motel z tanią restauracją. Nocuje tam większość gości.

– Dobrze wiedzieć. Będziemy w kontakcie. Powiem Simonowi o mięsie – odparł Vlad, a później się rozłączył.

– Powinniśmy mu pomóc przy tym mięsie. – Joe rozejrzał się wokół, odwrócił na pięcie i wyszedł ze sklepu.

Tobias kiwnął głową do matki i ruszył za nim.

– Synu, tylko bądź ostrożny – zawołała za nim Jesse.

Sięgając do klamki, odwrócił się jeszcze.

– Zawsze jestem ostrożny. Ty też na siebie uważaj.

Jesse nalała jeszcze po kubku lemoniady dla siebie i Shelley.

– Gdy usłyszałaś nazwisko Sanguinati, wyglądałaś, jakbyś zobaczyła ducha – powiedziała bez ogródek. – Dlaczego?

Shelley wypła pół lemoniady, dopiero później odpowiedziała:

– Bo to jest postać *terra indigena*, która pije krew. W mieście, w którym chodziłam do szkoły, plotkowano, że kilku Sanguinaticich polowało na terenie uniwersytetu, jednak nie udało się połączyć z nimi żadnej śmierci. Za to kilka dziewczyn chwaliło się malinkami, które według nich były jakimiś specjalnymi ugryzieniami miłości. Ale tego też nie udowodniono. Prawdą jest, że po kampusie kręciło się kilku bardzo przystojnych młodych mężczyzn, a ja słyszałam, że tacy potrafią sprawić dziewczynie ogromną przyjemność.

– Czyli nie rozmawiałaś z żadnym z nich?

Shelley uśmiechnęła się gorzko, wspominając stare rany.

– Nie. Nie podobałam się nikomu, nawet wampirom. – Odstawiła kubek. – Lecę już, zobaczymy się później. Dzięki za lemoniadę.

Jesse wstawiła dzbanek z powrotem do lodówki i zdjęła z blatu kubki. Potem rozejrzała się po sklepie. Co widzieli Joe Wilcza Straż i inni *terra indigena*, gdy tu wchodzili? Czy on i Inni potrzebowali czegoś, co ona mogła im dać? I do tego ten Vladimir Sanguinati. Tak bardzo odległy. A może nie tak bardzo?

Teraz nie mogła się niczego dowiedzieć. Miała jednak przeczucie, że wkrótce wszyscy zdobędą potrzebne informacje.



Vlad patrzył beczynn timer na książki na stole wystawowym i w przednich regałach. Czy dwie pozostałe księgarnie i biblioteki w Przystani Przewoźników miały ten sam problem z zamawianiem książek, co obiekty w Złotej Prerii? Mieli przecież jeszcze bibliotekę na kółkach – autobus, który jeździł do społeczności Prostego Życia na Wielkiej Wyspie oraz zatrzymywał się w miejscach, w których Inni zbudowali podstawowe struktury społeczne, potrzebne im, gdy byli w ludzkiej postaci. Oni też pragnęli książek. Może Meg mogłaby się zająć zamówieniami książek z Przystani Przewoźników i Złotej Prerii? Mogliby od razu włączyć w to Sweetwater. On i Simon nadal

zamawialiby towar dla ZDL i *terra indigena* na obszarach otaczających Lakeside, natomiast Meg zajęłaby się pozostałymi miejscami i dałaby im listę.

Należało to rozważyć. A na razie...

Przyprowadził z magazynu pusty wózek. Ludzie w Żółtej Prerii z pewnością nie czytali jeszcze książek napisanych przez *terra indigena*. Zanim coś wybierze, porozmawia z Simonem. Ostatecznie nie chciał przecież sprawić kłopotów Joemu Wilczej Straży ani przerazić Intuitów.

Nadal mieli dużo uroczych książek, które on i Simon zdjęli z półek. Mógłby je dorzucić i spytać tę bibliotekarkę, Shelley, jakie książki były popularne wśród jej ludzi.

Martwiło go jednak to, że czas się nie zgadzał. *Cassandra sangue* wypowiadały przepowiednię, ich wizje były ostrzeżeniami na temat tego, co mogło się wydarzyć, a nie tego, co się wydarzyło. Pomijając zajścia z przeszłości, które stanowiły kontekst lub odniesienie dla czegoś z przyszłości.

Czy Nadzieja narysowała obrazek przedstawiający martwe bizona w tym samym czasie, kiedy naprawdę je zastrzelono? A może zobaczyła coś innego, a martwe bizona Joego to nie te same zwierzęta, które narysowała? I dlaczego była tak przerażona faktem, że się pocięła? Nie, nie pocięła się – powiedziała, że się skaleczyła, bo potrzebowała koloru. Chciała malować krwią. Ale co zobaczyła, gdy już to zrobiła?

Czas się nie zgadzał. Należało zadać pewne pytania – i uzyskać na nie odpowiedzi.

– Co robisz? – spytał Simon, wchodząc do głównej części Zabójczo Dobrych Lektur.

– Szykuję zamówienie na książki – odparł Vlad.

Wilcza Straż spojrzał na tytuły na górnej półce wózka.

– Kto kupuje aż tyle?

– To bardziej handel wymienny niż sprzedaż. W Sweetwater wszystko w porządku?

– Tak. Meg rozmawiała z Nadzieją, ja pogadałem z Jacksonem. Nikt nikogo nie pogryzie. Przynajmniej na razie.

Simon patrzył, jak Vlad wybiera kolejne książki.

Co jest nie tak?

– Gdy rozmawiałeś z Jacksonem, zadzwonił Joe Wilcza Straż. Nic mu nie jest, ale... – Vlad spojrzał na swojego przyjaciela i współnika. – Musimy porozmawiać, Simonie. Wszyscy musimy porozmawiać.



Środa, 6 czerwca

„Po burzy, która nawiedziła wczoraj Wschodnie Wybrzeże, rozgorzały spory. Niektórzy właściciele, których łodzie uległy zniszczeniu podczas sztormu, twierdzą, że szkody wyrządzili członkowie ruchu LPiNW, ponieważ owi właściciele nie zgodzili się wypożyczyć im swych łodzi w celu przeprowadzenia *podejrzanych działań*.”

Reprezentanci oskarżonych z sekcji LPiNW gwałtownie zaprzeczyli tym oskarżeniom i stwierdzili, że właściciele łodzi ich oskarżyli, bo *przekłętego oceanu nie da się oskarżyć o zniszczenie twojej własności*”.

„Zeszłej nocy w Lakeside zdewastowano kilka firm. Jak na razie policja nie ma żadnych tropów prowadzących do osoby bądź osób, które powybijały okna i namalowały na budynkach obsceniczne obrazki. Jeden z właścicieli powiedział, że zostawi na publicznej ławce słownik, tak by

wandale, wypisując wulgaryzmy, przynajmniej nie robili błędów ortograficznych. Zauważono, że na witrynie żadnego ze zniszczonych sklepów nie było symbolu LPiNW. Komisarz policji Kurt Wallace, który ostatnio przyznał się do członkostwa w ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko, jest niedostępny i nie może skomentować tej sytuacji. Mówi dla państwa Ann Hergott z WZAS. A oto kolejne wiadomości...”

Monty usłyszał już dostatecznie dużo.

– Poruczniku?

Z pokoju socjalnego wyszedł Kowalski.

– Jesteście gotowi?

– Jeszcze nie. Czy słyszałeś w wiadomościach coś na temat zabitych bizonów?

Zaskoczony Kowalski zamrugał szybko.

– Bizonów? Tutaj?

– Nie, nie tutaj. Gdzieś w Thaisii.

– Nic takiego nie słyszałem. – Kowalski podszedł bliżej i spytał ściszym głosem: – Czy to jakiś problem?

– Możliwe. Muszę porozmawiać z kapitanem, a potem wyruszamy.

Monty poszedł do gabinetu Burke’a, zapukał we framugę – i zaczął się zastanawiać, co Shady, kuzyn kapitana, tak naprawdę robi w Lakeside, ponieważ większość czasu spędzał na komisariacie.

– Kapitanie? Możemy porozmawiać przez chwilę?

– Nawet przez dwie – odparł Burke.

Monty nie wiedział, czy to był żart, czy miał dosłownie potraktować jego słowa.

– Dzwonił Simon Wilcza Straż. Dzisiaj rano na terytorium Joego Wilczej Straży zastrzelono sto bizonów. Simon pytał, czy doszły nas wieści o innych incydentach.

– Bizonów? – zdziwił się Shady.

– Wielkich, stadnych, pasących się trawą zwierząt – odrzekł Burke.

– Żyją głównie na Środkowym Zachodzie i w kilku częściach Regionu Środkowo-Zachodniego, chociaż wydaje mi się, że można je spotkać również na wyżynach Północy. Niektóre organizacje farmerów twierdzą, że bizona stanowią dla ludzi przeszkodę w uprawianiu ziemi i wypasaniu bydła.

– A jeśli bizona zostaną wyeliminowane?

– Jeśli wyeliminujesz bizona, łosie, jelenie i wszystko, czym się żywią *terra indigena*, to Inni zaczną polować na bydło, owce, kozy i – co najbardziej prawdopodobne – na parszywych ludzi, którzy próbują zagarnąć ziemię. Jeśli to jednorazowy incydent, wywołany przez kilku prowokatorów z jakiegoś miasta na Środkowym Zachodzie, to jedno – rzekł Monty. – Jeśli jednak dojdzie do kilku takich zdarzeń...

– To mogą to być wysiłki LPiNW, którzy chcą zrazić do siebie Innych – dokończył za niego Burke. – Może też stać za tym ktoś inny, ale mój pierwszy wybór pada na LPiNW. Wykonam kilka telefonów i sprawdzę, czy uda mi się czegoś dowiedzieć. Wybierasz się na Dziedziniec?

– Jeszcze nie. W wiadomościach mówili, że zeszłej nocy zniszczono kilka budynków, chcę więc sprawdzić, co u Nadine Fallacaro. Zaopatruje w żywność bar na Dziedzińcu, w związku z czym ona również mogła się stać celem ataku.

– Dzięki bogom, w naszym okręgu nie zgłoszono żadnych aktów wandalizmu. – Burke oparł się na krzesło. – W porządku, poruczniku. Sprawdźcie, co u pani Fallacaro. Ja spróbuję się dowiedzieć czegoś o bizonach.

Monty zwrócił się do Shady'ego:

– Będę dziś na Dziedzińcu. Spytam Simona Wilczą Straż o ludzkich gości.

– Bardzo mnie to cieszy – odparł Shady.

Oczywiście, że będzie na Dziedzińcu. Monty dzielił swój czas między dwupokojowe mieszkanie, które wynajął tuż po przybyciu do Lakeside, i kawalerkę na Dziedzińcu, w której zostawała Lizzy, gdy on był w pracy. Oba miejsca miały swoje wady, ale musieli się przemęczyć do czasu, gdy będzie mógł przeprowadzić się do jednego z trzypokojowych mieszkań na Wroniej Alei. Nadal nie wiedział, jak to będzie mieć za gospodarzy Innych, miał jednak świadomość, że nie uda mu się znaleźć dla Lizzy bezpieczniejszego miejsca – albo bardziej niebezpiecznego, jeśli w Lakeside dojdzie do gwałtownych starć między ludźmi wspierającymi ruch Ludzie Przede i Nade Wszystko a tymi, którzy uważali, że rozwój zależał od zawarcia pokoju z *terra indigena*.

- O co więc chodzi z tymi bizonami? – spytał Kowalski.
 - To mógł być jednorazowy incydent. Ale mógł to być również pierwszy etap wojny Cel-Romanii przeciwko Innym.
 - A ja myślałem, że Cel-Romania przygotowywała się do prowadzenia wojny w swojej części świata.
- Monty wyjrzał przez boczne okno.
- Może tak właśnie mamy myśleć.



- Vlad postawił na stole małą miskę i uśmiechnął się do Meg.
- Przyniosłem ci trochę truskawek.
- Wyciągnęła rękę, ale nie wzięła żadnego owocu.
- Chyba nie oddałeś mi swojej części?
 - Nie, kupiłem ich trochę na targu i postanowiłem się z tobą podzielić.
 - No cóż, w takim razie dziękuję.
- Począł, aż zje jedną truskawkę, i dopiero wtedy przeszedł do rzeczy:
- Meg? Co tak bardzo zdenerwowało cię dziś rano?
- Obserwował, jak przęłyka truskawkę. Szyje – z żyłami, w których płynęła tak łatwo dostępna krew, zawsze przyciągały jego uwagę. Ale Meg była jak subtelna rzeźba – można było ją podziwiać, ale nie tknąć, ponieważ *cassandra sangue* były stworzeniami Namid, zarówno niezwykłymi, jak i straszliwymi, a Sanguinati nie mogli pić ich krwi.
- Miałam zły sen – odparła. – A potem się obudziłam. I chyba narobiłam dużo hałasu.
 - Krzyczałaś i rzuciłaś się na Simona. – Ponieważ panował upał i w każdym mieszkaniu było otwarte okno, krzyk Meg obudził wszystkich mieszkańców Zielonego Kompleksu. Ale ona krzyczała nawet na widok myszy, więc nikt nie pośpieszyłby do jej pokoju, gdyby nie rozpaczliwy skowyt Simona. Dla wszystkich skowyt oznaczał fizyczną krzywdę. Pod pewnym względem była to prawda, ponieważ Meg uczepliła się Simona, który próbował się spod niej wydostać i nie wyrządzić jej krzywdy. Przynajmniej mieli niezłe przedstawienie. – A co ci się śniło?
- Policzki dziewczyny oblał rumieniec.

– Nie pamiętam. – Vlad przyglądał się jej, żałując, że pewnie nie chodziło o sen erotyczny. Musiało to być coś innego. Meg właśnie go okłamała. – Dlaczego mój koszmar ma dla ciebie takie znaczenie? – zapytała.

– Gdyby chodziło o kogoś innego, nie byłoby sprawy. Ale ty jesteś *cassandra sanguine*.

– Nie pocięłam się ani nie skaleczyłam, więc to nie była przepowiednia, tylko sen.

Pokiwał głową, jakby dał się przekonać, ale powiedział jej o tym, co go martwiło, co sprowadziło go do biura łącznika.

– O tej samej porze dnia wydarzyły się trzy istotne rzeczy. Ty miałaś koszmar, coś zmusiło Nadzieję do narysowania obrazka, który ją przeraził, a bizona na terytorium Joego zostały zabite. I wszystko zdarzyło się o świcie. Nie sądzisz, że to dziwne?

– Świt w Rejonie Północno-Wschodnim nadchodzi dwie godziny później niż w miejscu, w którym mieszka Nadzieja – zauważyła Meg.

– I o dwie godziny wcześniej niż u Joego. Jednak ty nie pamiętasz swojego snu, nie wiemy zatem, czy miałaś jakąś wizję, w której pojawiły się bizona.

Niezręczna cisza, która zapadła w sortowni, trwała aż do chwili, gdy przyjechała dostawa. Wtedy Meg się odezwała:

– Muszę odebrać.

– A ja muszę wrócić do pracy. – Vlad wyszedł przez tylne drzwi biura łącznika, ale po chwili przystanął. Nie chciał jeszcze wracać do Zabójczo Dobrych Lektur, nie chciał rozmawiać z Simonem.

Meg okłamała go. Powiedziała, że nie pamięta kosmaru. Nie chodziło o to, że był przekonany o jej prawdomówności. Bądź co bądź była człowiekiem. Nigdy jednak nie pomyślał, że mogłaby okłamać kogoś z *terra indigena*, z którymi się zaprzyjaźniła.

Czy teraz, gdy wokół było więcej ludzi, przyjaźń z Innymi straciła na wartości? A może za bardzo przejmował się błahostkami?

Był zbyt poruszony, by pracować, poszedł więc na targ, żeby usiąść i porozmyślać.



Akurat w momencie, gdy dostawca przekroczył próg, Meg

wybiegła na tyły biura i wyjrzała przez tylne drzwi, by się upewnić, że w pobliżu nie ma nikogo. Następnie otworzyła drzwi na oścież i oparła się o futrynę.

Musiała okłamać Vlada – tak samo jak wcześniej musiała okłamać Simona, Henry’ego i Tess, gdy pytali, czy pamięta swój koszmar. Pamiętała dostatecznie dużo. A nawet więcej.

Śniła o cięciu. Ten sen był tak realistyczny, że wciąż czuła brzytwę, rozcinającą jej skórę. Przed nacięciem gładziła się po ramionach i nogach. Ale na rękach ani na nogach, na plecach ani na brzuchu nie miała żadnej rany. Na końcu przyłożyła ostrze brzytwy do prawej strony szczęki i przycisnęła. A potem przeszła męczarnię, zanim *cassandra sangue* zaczęła wypowiadać przepowiednię. Tortury trwały, ponieważ Meg musiała być cicho. W tym śnie zobaczyła coś tak strasznego, że musiała rzucić się na Simona, żeby go chronić, żeby go ocalić.

We śnie krwawiła i widziała czyjeś proroctwo. Wilkom stanie się coś złego. Niestety to nie ona widziała proroctwo, więc nie mogła powiedzieć nikomu o tym, co się zbliżało, nie mogła ich ostrzec.

Czy któreś z żyjących poza kompleksami *cassandra sangue* również doświadczały wizji bez nacinania skóry? Nadzieja rysowała i aż do tego ranka było to jej sposobem na przeżycie proroctwa bez zadawania sobie ran. A co z Jean, która zamieszkała z rodziną w komunie Prostej Życie na Wielkiej Wyspie? Czy ona też miała różne doświadczenia bez używania brzytwy?

Wizje ich trzech zdawały się ze sobą splatać, ale czy każda widziała to samo? Meg, Jean i Nadzieja pochodziły z tego samego kompleksu, nauczono je tych samych obrazów, tak więc ich wizje miały ze sobą wiele wspólnego. Teraz jednak każda z nich wiodła inne życie. Jean mieszkała na farmie. Nadzieja żyła na osiedlu *terra indigena* na Północnym Zachodzie. A Meg przebywała w Dziedzińcu w Lakeside. Codziennie każda z nich chłonęła nowe obrazy – każda z nich inne. Było tak ze wszystkimi uwolnionymi dziewczynami. Czy młodsze, dorastające bez surowego szkolenia, będą w ogóle potrafiły się komunikować, gdy zobaczą jakąś wizję? I czy miało to znaczenie?

Nagle poczuła, jakby w skórę na jej głowie wbiły się setki szpilek.

Zacisnęła zęby z bólu.

Tak, to miało znaczenie. Może nie tutaj, może nie w tej chwili, ale miało znaczenie.

Jak więc dziewczęta mieszkające poza kompleksami mogły osiągnąć spójność obrazów, tak by móc się ze sobą porozumiewać?

Musiała znaleźć jakieś inne, dostępne już źródło obrazów. Przecież na tym polegało jej zadanie jako Pionierki: miała pomóc innym wieszczkom krwi odnaleźć sposoby na przetrwanie, prawda?

Kłucie w głowie trochę zelżało. Idąc w stronę drzwi oddzielających pomieszczenie na tyłach od sortowni, zawołała:

– Nathanie, pójde do Trzech P! Wracam za kilka minut!

– *Arreoooo?*

Owszem, rzadko się zdarzało, żeby wychodziła z biura podczas pracy, ale jeśli przyjedzie kolejna dostawa, Nathan – i Jake Wronia Straż, który siedział na żerdzi na ścianie między ogrodem Henry’ego a terenem dostaw – z pewnością ją o tym poinformują.

Szybko przeszła przez korytarz. Do tej pory była w Trzech P tylko raz – przytłoczyła ją wtedy liczba artykułów papierniczych, zgromadzonych na niewielkiej powierzchni sklepu przez Lorne’a Katesa. Teraz skupiła się na ladzie i pośpieszyła w jej stronę, gdy Lorne wyszedł zza niskiej ściany, odgradzającej komputery i drukarki od części dla klientów.

– Dzień dobry, Meg.

– Dzień dobry. – Oparła dłonie na blacie.

– Wszystko w porządku?

Pokiwała głową.

– Chciałabym kupić kilka pocztówek.

– Chcesz zobaczyć, co mam na stojaku?

– Nie. Potrzebuję po prostu zestawu zdjęć, obrazów. Jeśli w swojej wizji zobaczyłam Wodospad Talulah i chcę przekazać, że ujrzałam ten konkretny wodospad, to druga *cassandra sangue* ma zobaczyć to samo, tak żeby dokładnie wiedziała, o co mi chodzi.

– Czy nie zrobiłaś sobie segregatora z obrazami, by móc rozpoznawać przedmioty i miejsca w swoich wizjach?

– Segregatory są za duże. – Gdy wypowiedziała te słowa,

wiedziała, że to prawda. Segregatory świetnie nadawały się do zbierania obrazów wpływających na każdą z dziewczyn, ale wieszczki krwi potrzebowały dodatkowo obrazów spójnych, czegoś wielkości pocztówki.

Dlaczego była tego taka pewna? Czyżby widziała coś podczas cięcia albo słyszała o czymś, czego teraz nie mogła sobie przypomnieć?

Gdy rozległ się ryk, oboje odwrócili się do drzwi.

– Ktoś cię szuka – rzekł Lorne. – Wybiorę po jednej pocztówce z każdego rodzaju i podrzucę ci je do biura łącznika. W wolnej chwili je przejrzysz, zostawisz sobie te, które zechcesz, a resztę mi zwrócisz, dobrze?

– Tak. Dzięki, Lorne.

Meg prychnęła ze zniecierpliwieniem, gdy Nathan zawył po raz kolejny. Ruszyła korytarzem, ale zatrzymała się na widok Blaira Wilczej Straży. Opierał się o tylne drzwi biura i najwyraźniej na nią czekał.

Blair był głównym stróżem prawa na Dziedzińcu i zupełnie nie szanował ludzi. Meg żywiła przekonanie, że sprawiła mu sporo kłopotów od czasu, gdy zaczęła pracować i żyć wśród *terra indigena*... Tak więc zawsze istniała możliwość, że Blair zapomni o zasadzie „nie gryźć Meg” – albo świadomie ją zignoruje.

– Dzisiaj rano wywołałaś potężne zamieszanie u siebie w domu – rzekł.

– Miałam zły sen i tak jakoś spadłam na Simona.

Ile jeszcze razy będzie musiała to powiedzieć?

– Co ci się śniło?

– Nie pamiętam.

Bursztynowe oczy popatrzyły na nią uważnie.

– Powiedziałaś mi, gdybym miał zwrócić na coś uwagę, prawda?

– Tak. Ale w tej chwili nie mam ci nic do powiedzenia.

Otworzył tylne drzwi i stanął z boku, żeby puścić ją przodem.

W tym momencie podbiegł do nich Lorne. Zerknął nerwowo w stronę Blaira.

– Meg, spójrz na te! – zawołał. – A tutaj jest katalog z firmy, w której drukuje się pocztówki. Przejrzyj go. Możesz zrobić listę zdjęć, jakie mam dla ciebie zamówić.

– Dzięki. – Wzięła od niego pocztówki i katalog.

Lorne jeszcze raz zerknął na Blaira, a potem pobiegł korytarzem w stronę swojego bezpiecznego sklepu.

– Wracam do pracy – powiedziała.

Stróż uparcie wpatrywał się w drugie piętro Zabójczo Dobrych Lektur i w Wilka stojącego przy oknie. Po chwili odszedł bez słowa.

Zadrżała, chociaż zaczęło się robić ciepło. Weszła do biura i położyła pocztówki na stole w sortowni. Zaczęła je oglądać – były to zwykłe obrazy dla wieszczek krwi, mieszkających w różnych częściach Thaisii. Ale ona, Jean i Nadzieja potrzebowały czegoś innego. To były zdjęcia z malowniczych, pięknych miejsc – a przepowiednie rzadko dotyczyły rzeczy pięknych. W przeciwnym razie wieszczki krwi nie potrzebowałyby euforii, która zasłaniała przed nimi to, co widziały, i sprawiała, że niczego nie pamiętały.

Skłamała w sprawie snu, ponieważ Simon, Vlad i reszta jej przyjaciół z pewnością zmartwiliby się tą częścią, którą zdołała zapamiętać.

Po prawej stronie szczęki nie było żadnej blizny. Ale blizna się pojawi. Wkrótce Meg będzie musiała przeciąć skórę w tym miejscu, żeby ocalić Simona i resztę Wilków.



– Vladimirze?

Vlad spojrzał w górę i zmusił się do uśmiechu.

– Dziadku. Co cię sprowadza na targ?

W ludzkiej postaci Erebus Sanguinati wyglądał jak staruszek o pomarszczonej twarzy. Na jego dłoniach widać było zgrubienia stawów i żył, ale jego paznokcie nie były pożółkłe ani zrogowaciałe jak u osób w tym wieku. W ten sposób delikatnie dostosował swój wygląd po tym, jak Meg zaczęła dostarczać paczki do Pokojów, części Dziedzińca, należącej do Sanguinatic. Mężczyzna mówił z delikatnym akcentem i nie zachowywał się jak szczególnie niebezpieczny wampir, dowodzący Sanguinatimi w Thaisii.

Usiadł na ławce obok wnuka.

– Nasza Meg zobaczyła w tutejszym sklepie kilka filmów i pomyślała, że mogą mi się spodobać. Przyszedłem więc, żeby je

zobaczyć. A potem dostrzegłem ciebie. – Uśmiechnął się łagodnie. – Masz jakieś kłopoty?

Meg mnie okłamała. Vlad nigdy by mu się do tego nie przyznał – dziadek wprost szalał na punkcie tej dziewczyny.

– Tak, mam problem – odparł. – Cały czas myślę o porannych wydarzeniach i o sposobie działania przepowiedni.

– Przepowiednia dotyczy przyszłości, czegoś, co dopiero się wydarzy. Prawda?

– Tak. Ale czasami przyszłość następuje za kilka minut, przez co zostaje bardzo mało czasu na działanie. – Vlad głośno wypuścił powietrze. – Świt. To właśnie mnie martwi. Martwi mnie *stos* bizonów. Muszą mieć jakiś związek z koszmarem Meg i z rysunkiem Nadziei, ale Joe Wilcza Straż powiedział, że bizona padły tam, gdzie stały. Nie zostały ułożone w żaden *stos*.

– Myślisz, że słodka krew zobaczyła coś innego? Coś, co jeszcze się nie wydarzyło?

Vlad pokiwał głową.

– To, co zobaczyły Meg i Nadzieja, każda na swój sposób, jest związane z czymś, co wydarzy się niedaleko miejsca zwanego Żółtą Prerią.

Milczeli przez dłuższą chwilę.

– Jesteśmy o wiele lepiej dostosowani do polowań w pobliżu większych ludzkich miast niż inni *terra indigena* – rzekł w końcu. – Gorzej jest w przypadku mniejszych ludzkich osad, tak licznych w Regionie Środkowo-Zachodnim.

– Wiem o tym, dziadku.

– Teraz jednak przywódca Dziedzińca w Lakeside i nasza słodka krew są związani z dwoma miejscami, w których wśród pilnujących ludzi *terra indigena* nie ma Sanguinatic. Martwisz się, że Wilki nie przekażą nam informacji?

– Nie o to chodzi. Ufam Simonowi, a on ufa Jacksonowi i Joemu. Ale Wilki i Sanguinatic mają różne mocne strony. Zastanawiam się, czy fakt, że jesteśmy nieobecni na tak rozległych terenach Środkowego Zachodu, oznacza, że inne gatunki *terra indigena* stają się bardziej wystawione na ciosy.

Śmiech Erebusa przypominał szelest suchych liści.

– Powiedziałbyś Niedźwiedziowi i Panterze, że nie są w stanie bronić swojej ziemi? Powiedziałbyś coś takiego Wilkom?

– Tutaj udało nam się wspólnie walczyć. Równie dobrze możemy walczyć gdzie indziej.

Ponownie zapadła cisza. Po chwili Erebus spytał:

– Czy w miejscu, w którym zginęły bizona, znajdzie się jakieś schronienie dla Sanguinatic?

Vlad pokiwał głową.

– Jest tam motel z kilkoma pokojami do wynajęcia. Spytałem o to Jesse Walker, właścicielkę sklepu wielobranżowego.

Na twarzy dziadka zagościł uśmiech.

– Bardzo dobrze, Vladimirze. Może najwyższy czas, by ponownie rozważyć naszą obecność w Regionie Środkowo-Zachodnim. Poproszę dwóch naszych krewnych, żeby udali się do tej Złotej Prerii.

– Możemy podać im powód tej wizyty. *Terra indigena* zbierają złoto, które znajdują w strumieniach Wzgórz Starszych. Sanguinatic mogliby wymienić ludzkie pieniądze na złoto i przywieźć kruszec z powrotem do Toland. Poza tym wydawało mi się, że Jesse Walker nie ufa ludziom w Bennett – mieście ze stacją kolejową, w którym Intuici kupują wiele towarów. Może uda się nam wprowadzić handel bezpośredni.

– Dobrze, Vladimirze. Ale poinformuj tamtejsze Wilki o przyjeździe Sanguinatic. Z czystej uprzejmości.

– Oczywiście, dziadku.

Erebus wstał. Poklepał wnuka po ramieniu i poszedł do Muzyki i Filmów, żeby sprawdzić, jakie produkcje wybrała dla niego Meg.

Vlad posiedział jeszcze chwilę, a później wrócił do Zabójczo Dobrych Lektur. Sanguinatic jadący do Złotej Prerii mogliby zabrać ze sobą pierwsze zamówienie książek.



Wybita część okna piekarni i kawiarni Nadine była zasłonięta dyktą. Na drzwiach i drugim oknie napisano słowa „Kórwa Wilków”.

– Skoro wandale nie potrafią napisać poprawnie nawet tego słowa, to chyba rzeczywiście potrzebują słownika – rzekł Kowalski.

Monty poczuł wyrzuty sumienia i zebrało mu się na mdłości. To on przekonał Nadine, żeby zajęła się wypiekami dla Czegoś na Ząb. Inni przychodzili do niej po odbiór zamówień dwa do trzech razy w tygodniu. Podjeżdżali w minivanie, takim jak setki innych w tym mieście. Ale ktoś musiał się czegoś domyślić i coś komuś powiedzieć.

Monty wszedł do przytulnej części kawiarni – z kilkoma stolikami i wielkimi oszklonymi gablotami, w których z reguły było mnóstwo pysznych przekąsek. Tego dnia jednak gabloty stały puste.

Z zaplecza piekarni wyłoniła się Nadine.

– Poruczniku.

– Panno Fallacaro, bardzo mi przykro z powodu tego, co się wydarzyło.

– Mogło być gorzej. Te małe sukinsyny mogły... mogłyby... wyrządzić o wiele większe szkody, gdyby Chris nie zbiegł po schodach z kijem baseballowym i nie zaczął nim wymachiwać. – Ojciec Chrisa był kuzynem Nadine oraz właścicielem sklepu Klucze i Zamki Fallacaro – i należał do ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko. Chris odmówił wstąpienia do stowarzyszenia i właśnie dlatego mieszkał teraz z Nadine. Monty zastanawiał się, czy Fallacaro wiedział o tym, że LPiNW obrali sobie za cel członków jego rodziny – i czy w ogóle go to obchodziło. – Jednemu z nich chyba złamał rękę – mówiła dalej Nadine.

– Miał szczęście, że go nie przelecieli – odparł Kowalski.

Uśmiechnęła się gorzko.

– Oni należą do „prawych” ludzi. Nie podejrzewali, że ktokolwiek się sprzeciwi temu, co robią; nie byli przygotowani na atak.

Nie tym razem, dodał Monty w myślach. Ale co, jeśli będzie następny raz?

– Wyjaśnię wszystko Tess – powiedział. – Ona i pan Wilcza Straż z pewnością zrozumieją, dlaczego nie możesz zaopatrywać...

– Ani mi się waż – prychnęła Nadine. – Jeśli się poddam, ich następnym żądaniem będzie wstąpienie do LPiNW. Myślisz, że nie zauważyłam, ile sklepów wywiesiło dziś rano ten znaczek w dobrze widocznym miejscu? Nie, nie, poruczniku. Nie zamknę kawiarni. Nie pozwolę, żeby ci kretyńcy mówili mi, kto może kupować moje wypieki i, na bogów, *nie* wywieszę znaczka LPiNW w swojej witrynie. – Ponownie

prychnęła i wyprostowała się bojowo. – Poza tym każdy, kto chce się przeciwstawić LPiNW w tej okolicy, musi mieć gdzie kupować jedzenie.

Monty podał jej swoją wizytówkę.

– Gdybyście ty albo Chris mieli jeszcze jakieś problemy, zadzwoń do mnie.

– Jedziesz na Działowice? – spytała Nadine.

– Tak.

– Możesz zabrać przesyłkę?

– Mogę – odparł Monty i zwrócił się do Kowalskiego. – Podjedźcie samochodem pod drzwi dla dostaw.

– Tak, sir.

– To z ostrożności, poruczniku? – spytała Nadine, gdy Kowalski wyszedł z piekarni.

– Nie, ze względów praktycznych.

Potarła przedramiona, jakby chciała się ogrzać.

– Powiedz Tess, że dodatki, o które prosiła, będą w przyszłym tygodniu.

– Przekażę...

Przeraźliwy dźwięk sprawił, że Monty podskoczył.

– Muszę wyjąć ciastka z piekarnika – uspokoiła go Nadine. – Podejdź do tamtych drzwi.

Otworzyła dla niego drzwi z napisem „Tylko dla personelu” i pobiegła na tyły sklepu. Monty ruszył za nią.

Patrząc na wypieki, które przygotowała tego ranka, stwierdził, że musiała być na nogach od brzasku – przecież należało posprzątać rozbite szkło i osłonić dziurę w oknie. Potem najwyraźniej wzięła się za gotowanie i pieczenie. Robiła, co mogła, żeby ukoić ból w sercu.

– Nie tylko mnie obrano za cel zeszłej nocy – rzekła, pakując żywność do pudełka. – Dlaczego ci ludzie sądzą, że będzie lepiej, jeśli zaczniemy ze sobą walczyć?

– Nie wiem – odparł łagodnie, a potem rozejrzał się wokół. – Gdzie Chris?

– Szuka szyby. Jeśli nic nie znajdzie, pojedzie do sklepu z narzędziami i zobaczy, czy w miejsce dykty da się wstawić coś innego.

Po zapewnieniach Nadine, że ona i Chris mają wszystko pod

kontrolą, Monty i Kowalski załadowali żywność na tył radiowozu i odjechali.

– Nie jesteśmy firmą transportową i nie powinniśmy tego robić – zauważył Monty.

– Wydaje mi się, że nie będzie dziś miała zbyt wielu klientów – odparł Kowalski. – Zapakowała nam większość tego, co upiekła.

– Wiem.

Kowalski spojrzał na partnera uważnie.

– Poruczniku, o czym pan myśli?

Monty westchnął.

– Skoro sprawy w Lakeside przybrały taki obrót, to jak wygląda sytuacja w innych częściach Thaisii?



Komputer skończył ściągać pierwsze zdjęcie z tych, które przesłał Jackson. Simon włożył do drukarki dwie kartki specjalnego błyszczącego papieru i wydrukował dwie kopie. Potem utworzył kolejną wiadomość i zaczął ściągać drugie zdjęcie.

Gdy wyjmował z podajnika kopie pierwszej fotografii, do biura weszli Vlad, Blair i Tess. Pokazał im kartkę, podczas gdy drukarka wypluła drugą kopię.

– Stos bizonów – stwierdził ponuro Henry.

– Nadzieja jest niezła – rzekł Vlad. – Jeszcze nigdy nie widziałem prawdziwego bizona, ale mam wrażenie, że gdybym dotknął kartki, poczułbym potarganą, ostrą sierść i rogi.

– I krew – dodał Simon. – No cóż, oryginał z pewnością pachnie krwią.

Tess wpatrywała się w zdjęcie.

– Krwawe odciski łap, wilczych łap, wokół bizonów i na ich ciałach. Dlaczego?

– Przecież my nie polowalibyśmy w ten sposób. My tak nie polujemy. – Vlad pokręcił głową. – Czegoś nie widzimy – albo nie rozumiemy. Pokażesz to Meg?

Był to straszny obraz. Przedstawiał bezsensowne okrucieństwo. To nie było zabijanie w obronie własnej czy dla zdobycia żywności.

– Czy to jest wielki odcisk łapy? – Vlad wskazał dolną część

rysunku, kształt jakby namalowany krwią, która wsiąkła w papier, aż pozostał tylko delikatny ślad na trawie obok stosu bizonów.

– To mógł być odcisk na pierwszym planie – rzekła Tess.

Simon spojrział na Henry'ego.

– Przecież Nadzieja to jeszcze szczenię, nie mogła ich widzieć.

– Kogo? – spytał Blair. – Czy ty próbujesz nam powiedzieć, że na Środkowym lub Północnym Zachodzie istnieją olbrzymie Wilki?

– Nie Wilki.

– Nie – odrzekł Henry. – Nie Wilki. Pierwotni *terra indigena* w ich prawdziwej postaci. Starsi są bardzo duzi – nawet jeśli przybierają postać podobną do Innych, takich jak my.

– Jednak nawet wtedy, w naszej prawdziwej postaci, nikt z nas nie jest widziany. – Simon spojrział na Henry'ego, który w ludzkiej postaci był wielki i masywny niczym niedźwiedź. Jednak w swej prawdziwej postaci był jeszcze większy.

Ale i tak niewielki w porównaniu ze Starszymi.

– Czy oni mogli to zrobić? – spytała Tess, wskazując rysunek Nadziei.

Simon zawahał się, ale po chwili pokiwał głową.

– Niektórzy z nich są dostatecznie duzi i silni, żeby zaciągnąć ciała dorosłych bizonów w jedno miejsce i ułożyć w stos. Ale oni nie polują w ten sposób.

Tak jak reszta *terra indigena* Starsi przyglądali się metodom innych drapieżników – i uczyli się od nich.

– Simonie, musisz pokazać to Meg – rzekł Vlad.

W komputerze rozległ się krótki dźwięk, sygnalizujący, że zakończyło się ściąganie drugiego pliku. Simon włożył do drukarki kolejne dwie kartki i wcisnął „drukuj”.

– Porozmawiam z Meg, ale nie... – Utkwił wzrok w drukującym się zdjęciu.

– Simonie? – Nie doczekawszy się odpowiedzi, Vlad wyjął kartkę z drukarki. – Co to jest?

Rysunek przedstawiał starą kobietę w słomkowym kapeluszu. Miała nagie, opalone ramiona, poprzecinane cienkimi białymi bliznami. Siedziała za niewielkim stolikiem i jedną ręką wskazywała rozłożone

przed sobą karty. W drugiej trzymała dwie karty – jedna przedstawiała młodego Wilka... Simon rozpoznał w nim siebie ze szczenięcych lat. Na drugiej karcie widniał wizerunek Meg. Ale Simon nie znał jej takiej. Była młodsza. Zagubiona. W jej oczach niemal nie było nadziei. Mimo wszystko patrzyła odrobinę wyzywająco. – Simonie? – Ostry głos Włada sprowadził go na ziemię.

– To część wspomnień – odparł. – I czegoś jeszcze. Stara kobieta nie znała Meg, dlaczego więc Nadzieja narysowała taki obrazek?

– Które kobiety pracują dziś na Dziedzińcu?

– Merri Lee i Ruthie na dole, szykują towary do wysyłki dla Jesse Walker w Złotej Prerii – odparł Wład.

Simon wyciągnął rękę po zdjęcie.

– Pokażę im to. Chciałbym, żebyś wysłał je mailem do Jesse Walker i Steve’a Przewoźnika. Może Intuici będą mogli wyczuć, co to oznacza.

– Tylko to zdjęcie czy oba?

– A czy Intuistów z Wielkiej Wyspy będą obchodzić bizona? – spytał Henry.

Wład wzruszył ramionami.

– Wyślij oba. – Simon wziął obrazek przedstawiający staruszkę i zszedł na dół.

Znalazł obie dziewczyny w magazynie, zajęte zmniejszaniem stanów magazynowych o to, co chciał mieć w sklepie w przyszłym tygodniu.

– Spójrzcie na to – polecił.

Przerwały pracę i popatrzyły na zdjęcie.

– Nie bardzo wiem, na co powinnyśmy zwrócić uwagę – powiedziała Ruthie.

On też nie wiedział. Dlatego pokazał im to zdjęcie.

– Jakie karty wskazuje ta kobieta? – spytała Merri Lee.

Simon ryknął cicho.

– Nie wiem. Przepowiada przyszłość. Na podstawie kart. – Tyle że w dniu, w którym zatrzymał się przy jej stoliku, nie używała kart. Tego dnia otworzyła srebrną brzytwę i nacięła sobie skórę.

Przechyliły głowy, tak jak robiły Wilki, co bardzo go zaskoczyło.

– Tarot? – Merri Lee popatrzyła na Ruthie.

– Być może – odparła dziewczyna. – Ale ta staruszka jest *cassandra sangue* tak jak Meg. Czy któraś z nich używałaby kart tarota? I skąd pan wie, że to właśnie na ich podstawie przepowiadała przyszłość?

– Widziałem ją raz, gdy byłem szczeniakiem. – Simon przyjrzał się kobietom. Nie miał zamiaru się wycofać. Ani uciec. Ale drapieżniki patrzą w ten sam sposób na swoją ofiarę tuż przed tym, jak się na nią rzuca.

Mają małe zęby i niezbyt ostre, niewielkie kły. A ja biegam szybciej.

– Spotkał ją pan już – rzekła powoli Merri Lee. – Czyli to jest...

– Rysowanie wizji – dokończył. – Tak nazywamy rysunki Nadziei.

– Wiadomość. – Ruthie wskazała prawy dolny róg. – Dla Meg. Znowu to spojrzenie.

– Pokażę jej to – powiedział jakby na swoją obronę.

– Wokół uniwersytetu w Lakeside jest kilka sklepów, w których być może sprzedaje się karty do tarota.

– Lepiej niech się pan trzyma z daleka od tych sklepów – rzekła Ruthie. – Pójdę tam z Karlem, gdy skończy pracę.

Simon pokiwał głową. W tej kwestii nikt nawet nie spytał go o zdanie. Ale na uniwersytecie Merri Lee została zaatakowana przez czterech studentów, tylko dlatego że pracowała na Dziedzińcu. Gdyby zatem pojawiła się w tej okolicy, mogłaby zostać rozpoznana. To właśnie dlatego przerwała studia i zamieszkała w mieszkaniu służbowym. Gdyby wznowiła naukę, byłaby jak królik lawirujący pomiędzy dzikimi, wygłodniałymi psami.

– Dobrze. Sprawdzę wszystko w książce adresowej i zrobię listę potencjalnych miejsc – zaproponowała Merri Lee.

Wróciły do pracy, ale po chwili znów popatrzyły na Simona.

– Coś jeszcze, panie Wilcza Straż?

– Nie. – Ponieważ stały między nim a tylnymi drzwiami, ruszył na przód Zabójczo Dobrych Lektur, a potem przeszedł pod łukiem łączącym księgarnię z Czymś na Ząb i udał się do biura łącznika.

Żałował, że podczas rozmowy z Meg o rysunku musiał zachować

ludzką postać. Wolałby przemienić się w wilka i móc polizać przyjaciółkę po dłoni. To zawsze dodawało mu otuchy. Nie mógł tego uczynić, kiedy wyglądał jak człowiek. Prawda, że nie mógł? Nie widział, żeby Kowalski czy Debany lizali swoje samice po rękach.

Kolejna rzecz dotycząca ludzi, o której nie miał pojęcia.

W sortowni znalazł Meg. Stała przy stole, na którym rozłożyła pocztówki. Zaczął się zastanawiać, czy nie podejrzewała już, co się dzieje.

– Meg? – Poczekał, aż na niego spojrzy. Wtedy powiedział: – Muszę ci coś pokazać.



Środa, 6 czerwca

Jesse Walker, stemplując towar, obserwowała, jak Shelley Uczona wchodzi do sklepu. Przypomniały się jej historie, w których bohaterki zakradały się, by szukać tropów. Z reguły kończyło się to samymi kłopotami.

– Nie powinnaś być teraz w bibliotece? – zagaiła.

– Zastępuje mnie jeden z moich pomocników. – Shelley szybkim krokiem podeszła do Jesse. – To przyszło do ciebie. Prosiłaś mnie, żebym sprawdzała twoje maile. *On* przysłał to z prośbą, żebyśmy przekazały kopię Joemu Wilczej Straży.

– Co to jest? – Jesse wzięła kopertę z drżącej dłoni Shelley. Otworzyła ją i wyjęła dwie kartki.

Na widok pierwszego obrazka poczuła gwałtowny ścisk w żołądku.

Przyjrzała się martwym bizonom i krwawym odciskom łap, przypominającym ślady dziecięcych rączek na dużej kartce papieru.

– Chcę to pokazać Tobiasowi. – Włożyła obrazek z powrotem do koperty. – Dzisiaj rano był tam razem z Joe Wilczą Strażą. Może stwierdzić, czy ten rysunek nas dotyczy.

Obrazek przedstawiający kobietę o ciele pełnym blizn zaniepokoił ją w inny sposób – i napełnił przeświadczeniem, że gdzieś już to widziała.

Dzwonek u drzwi się poruszył. Zanim Jesse zdążyła odłożyć drugi rysunek, podeszła do nich Abigail Burch.

Abigail i Kelley Burch byli nowymi mieszkańcami Złotej Prerii. Zamieszkali w mieście zeszłego lata. Kelley trudnił się złotnictwem, ale szybko się zorientował, że większości ludzi w niewielkim miasteczku nie było stać na wyrabianą przez niego piękną biżuterię, rozpoczął więc produkcję przedmiotów ze srebra i kamieni półszlachetnych. Nadal jednak z trudem wiązał koniec z końcem.

Abigail była od niego kilka lat młodsza. Miała niebieskie oczy i blond włosy. Nosila długie sukienki, jakie w latach młodości chętnie zakładała babka Jesse. Nikt o to nie pytał, ale wszyscy się zastanawiali, czy Abigail nie była trochę dziwna, bo jako jedyna spośród społeczności nie należała do Intuitów. W każdym razie Kelley, który był Intuitem, kochał ją, i to wszystkim wystarczyło, żeby ją zaakceptować.

– Jesse? – Abigail zawsze mówiła niepewnym głosem, jakby miała zadyszkę. – Rozmawiałaś z Wilkiem, który dowodzi... – Machnęła ręką w kierunku wzgórz i osady *terra indigena*. – Mogłabyś spytać go o łój?

– Łój? – Jesse popatrzyła na Shelley.

Abigail pokiwała głową.

– Wykorzystuję go do produkcji świec i mydeł. Wychodzą mi naprawdę pięknie.

– Owszem – zgodziła się Shelley. – Kupiłam już kilka.

– Ale co z tym łojem? – dopytała Jesse z nadzieją na jakieś wyjaśnienia.

– Kelley słyszał o martwych bizonach i pojechał do Floyda Tannera, żeby mu pomóc. Z reguły kupuję trochę tłuszczu, gdy owce lub bydło są zabijane na mięso, ale teraz pomyślałam o tych bizonach.

Przecież one też mają tłuszcz, prawda? I podejrzewam, że niektóre z nich się po prostu zmarnują. Zastanawiam się więc, czy nie mogłabym zabrać trochę *loju*? O ile bizony go mają...

Jesse poczuła ból w lewym nadgarstku. Miała przeczucia odnośnie do wszystkich mieszkańców Żółtej Prerii, przeważnie była to zwykła intuicja na temat kogoś konkretnego. Jednak ból nadgarstka oznaczał ostrzeżenie, a ona nie ignorowała ostrzeżeń.

– Spytam pana Wilczą Straż. Ale nie wychodź sama na pole i nie próbuj zbierać tego tłuszczu. Żeruje tam już wiele gatunków drapieżników. Skoro Kelley pomaga Floydowi, mógłby przynieść ci trochę tłuszczu na wypróbowanie.

Abigail uśmiechnęła się promiennie, a potem spojrzała na obrazek w ręku Jesse.

– Co to jest? – zapytała.

– To tylko zdjęcie, które ktoś mi wysłał.

– Czy ta kobieta układa tarota? Ja umiem czytać z takich kart! Nauczyła mnie babcia. Gdy zachorowała, podarowała mi swoje karty. A potem kupiłam własny zestaw, gdy byłam... w podróży. – Przyjrzała się obrazkowi. – Dlaczego ta kobieta ma tyle blizn?

– Chyba jest *cassandra sangue*.

– Tak jak te dziewczyny, które... – Abigail zamrugała szybko. – A po co jej karty do tarota?

– To nie tarot – odparła łagodnie Jesse. – To coś podobnego. Coś, co prawie pamiętam. Czy mogłabym zobaczyć twoje karty, Abigail?

– Oczywiście! Zaraz je przyniosę.

Kobieta pobiegła w stronę wyjścia. W progu prawie wpadła na Tobiasa.

– Potrzebuję zimnych napojów. Jakichkolwiek – oznajmił.

– To może ty porozmawiaj z Tobiasem, Jesse, a ja spakuję skrzynię – rzekła Shelley.

– O czym chcesz ze mną rozmawiać? – Mężczyzna otarł czoło rękawem.

– O tym. – Jesse wyjęła z koperty rysunek przedstawiający martwe bizony. Patrzyła, jak jej syn blednie. – Czy to wyglądało właśnie tak?

Pokręcił głową.

- Mamo, nie możesz pokazywać tego rysunku wszystkim wokół.
- Poproszono mnie, żebym przekazała to Joemu Wilczej Straży.

Jak na razie jedynymi osobami w mieście, które widziały zdjęcie, jesteście ty i Shelley. I tylko wy je zobaczycie. – Miała ochotę pomasować sobie nadgarstek, ale wtedy Tobias od razu zorientowałby się w sytuacji. Tak samo jak ona wiedziała, że gdy przyciskał dłoń do prawej części żeber, wyczuwał coś złego. – Co cię w tym przeraża?

- Nie wiem.
- Nie wiesz czy nie chcesz powiedzieć?

Popatrzył na nią ostro.

– Nie chcę. Dzisiaj rano ja i Truman zobaczyliśmy coś, co ludziom z reguły nie jest dane zobaczyć.. A jeśli już to zobaczą, nie żyją na tyle długo, by komuś o tym opowiedzieć.

Jesse popatrzyła na odcisk łapy, tak inny od pozostałych, mniejszych śladów łap Wilków na ciałach bizonów.

– W porządku. I tak muszę przekazać to zdjęcie Joemu Wilczej Straży. – Zawahała się. – Abigail Burch spytała mnie, czy mogłaby dostać trochę tłuszczu z bizonów do produkcji świec i mydła.

– Mamo... – Na chwilę zapadła taka cisza, że Jesse słyszała tykanie swojego starego zegara. A potem: – Dobrze, zapytam. Ale dopilnuj, żeby Abigail i Kelley nie zapuszczali się tam w pojedynkę.

Shelley postawiła na ladzie skrzynkę wypełnioną butelkami soku i napojów gazowanych.

– Zakładam, że Floyd ma wodę.

– Ma. Dzięki, Shelley. – Tobias podniósł skrzynkę, popatrzył na matkę surowo, a zarazem błagalnie, po czym wyszedł ze sklepu.

– Jakież kłopoty? – spytała Shelley.

– Możliwe.

Jesse schowała zdjęcia do koperty i wsunęła ją pod ladę. W tym czasie do sklepu wróciła Abigail.

– Przyniosłam oba zestawy kart – powiedziała, kładąc na blacie dwie zawinięte w jedwab paczuszki.

To nie są karty do tarota, pomyślała Jesse, gdy Abigail pokazała talię babci, a potem ze swojej talii odczytała przyszłość Shelley. To nie tarot, ale coś podobnego. Już kiedyś to widziałam.

– Spotkam niebezpiecznego i mrocznego obcego? – Po chwili Shelley patrzyła, jak Abigail przebiega przez ulicę w stronę swojego sklepiku. Parsknęła. – Tutaj, w Złotej Prerii, to bardzo mało prawdopodobne.

– Nie naszło cię żadne przeczucie? – Jesse miała ochotę przyłożyć łód do obolałego nadgarstka.

– Nie. – Shelley popatrzyła na nią z zaciekawieniem. – A ciebie?

– Lepiej wracaj do biblioteki, zanim któryś z twoich pomocników znów zacznie z nudów przedstawiać książki. – Pomocnikami Shelley były przeważnie starsze dzieci, które uwielbiały książki i chciały sobie zarobić. Wykazywały się odpowiedzialnością, ale tylko do pewnego momentu. – I poszukaj czegoś dla mnie.

– Chcesz mieć własny zestaw kart do tarota? – Shelley zaczęła się z nią droczyć.

– Chcę wiedzieć, kto je robi. Chcę ustalić, czy któraś intuicka firma produkuje takie lub podobne karty.

– Masz przeczucie?

Przez chwilę Jesse widziała wszystko na szaro. Przeraziła się nie na żarty.

– Tak. Mam przeczucie.



Środa, 6 czerwca

Jean zacisnęła palce na krawędziach umywalki. Gardnerowie, rodzina z Prosteego Życia, którzy pozwolili jej zostać w swym niewielkim domku gościnnym, nigdy nie komentowali jej cięć, wiedziała jednak, że komuś je zgłaszali.

Może nadejdzie dzień, kiedy będzie potrafiła się oprzeć pokusie cięcia skóry na zewnątrz – przed drzwiami domu, gdzie mogła obserwować życie toczące się wokół farmy, słuchać odgłosów dziecięcej zabawy. Może nadejdzie dzień, kiedy będzie potrafiła się oprzeć temu wszystkiemu. Dzisiaj jednak stara blizna swędziała tak bardzo, że aż paliła.

Nacinanie starej blizny i uzyskanie nowych obrazów, nakładających się na poprzednią wizję, było niebezpieczne. Jeszcze

większe zagrożenie stanowiło cięcie w poprzek starych blizn i mieszanie obrazów z różnych przepowiedni. Takie nacięcie rzadko było przydatne, w dodatku mogło doprowadzić wieszczkę krwi do szaleństwa lub uszkodzić jej umysł w mniejszym zakresie. Ta blizna nie była po prawdziwym cięciu. Powstała z rany, którą Jean miała po tym, jak pobili ją ludzie Kontrolera, żeby pozyskać krew do produkcji narkotyku zwanego wilczeniem.

Musiała się ciąć. I co gorsza, musiała zapamiętać obrazy, które zobaczyła.

Wyjęła brzytwę. Zwinęła w rolkę czysty ręcznik do rąk i przygryzła go. Wreszcie ostrożnie rozcięła starą bliznę. Odłożyła ostrze na sekundy przed tym, jak jej ciało zaczęły przepelniać katusze, a umysł – wizje.

Dwa obrazy, odtwarzające się wciąż na nowo i nowo. Te, które widziała wcześniej, wtedy, gdy bili ją ludzie Kontrolera.

Stała na szczycie pagórka i patrzyła na wielką mapę Thaisii – jej granice wnikały w ziemię. Po całym kontynencie były porozrzucane małe świece. W pierwszej wizji niektóre świece były zestawione razem, być może oznaczały miasta o dużej liczbie ludności. W większości miejsc stały pojedyncze świece, prawdopodobnie wyznaczające miasto. Te wszystkie świece... Więcej wzdłuż obu wybrzeży. Nigdy nie podejrzewała, że istnieje aż tyle ludzkich miast.

Drugi obraz przedstawiał tę samą mapę Thaisii, widzianą z tego samego miejsca. Kilka świec wciąż się paliło. Ale było ich tak mało... Nadal jednak płonęła świeca w miejscu Lakeside i druga – w miejscu Wielkiej Wyspy. Zamiast wielu świec w Toland paliły się tylko te dwie. Oprócz nich było jeszcze kilka na Środkowym i Północnym Zachodzie, ale w miejscach, w których nie знаła żadnych miast.

Wypluła ręcznik i przycisnęła go do rany. Leżała na podłodze, ciało bolało ją za bardzo, żeby mogła spróbować wstać.

Czy powinna spisać to, co widziała, i opowiedzieć o tym Meg? Czy powinna obciążyć tą wizją wieszczkę krwi, która – jako Pionierka – próbowała pomóc przeżyć reszcie wieszczek?

– Wilk Meg... – szepnęła Jean. Tak. Był przywódcą Dziedzińca w Lakeside. Ocalił ją, bo Meg poprosiła go o pomoc. Może wiedza, że

Lakeside mogło przetrwać nadchodzące wydarzenia, pomoże mu podjąć właściwe decyzje.

Trzęsąc się, stanęła na nogach. Oczyszczyła ranę i zabandażowała ją, a następnie umyła brzytwę i zjadła niewielki posiłek. Dopiero potem usiadła i zaczęła pisać list do Simona Wilczej Straży.

Do: Simon Wilcza Straż i Vladimir Sanguinati

Intuici ze Środkowego i Północnego Zachodu słyszeli o zabitych bizonach w wielu miejscach na tych terenach. W wiadomościach nie podaje się informacji o bizonach zabitych celowo, wspomina się natomiast o bydle i owcach, przeprowadzono też wywiady z oburzonymi farmerami i mieszkańcami sąsiednich miast. Wszyscy zignorowali prosty fakt, że Wilki, Pantery i Niedźwiedzie nie strzelają do swoich ofiar, czyli zwierzęta nie mogły zostać zabite przez *terra indigena*. Może część z was powinna opanować posługiwanie się strzelbą. O wiele łatwiej będzie wam złapać coś na obiad, a jednocześnie będziecie mniej ryzykować stratowanie czy pogryzienie.

Otrzymałem prośbę od Jesse Walker, która prowadzi sklep wielobranżowy w Złotej Prerii. Napisała, że Vlad zgodził się, żeby ona i Shelley Uczona zostały włączone do odbiorców maili o *cassandra sangue*. Potwierdź to, proszę.

Otrzymałem zdjęcia. Chciałbym móc ci za nie podziękować.

– Steve Przewoźnik

Do: Steve Przewoźnik

Potwierdzam prośbę Jesse Walker. Chcemy, żeby Lakeside, Wielka Wyspa, Złota Preria i Sweetwater były ze sobą jak najbardziej związane.

Podziękuj Jacksonowi Wilczej Straży za zdjęcia. Ponieważ narysowała je wieszczka krwi, należy je traktować jako ostrzeżenia. Jednak Simon potrzebuje wszystkich informacji, jakie wasi ludzie mogą mieć na temat kart, dzięki którym można przepowiedzieć przyszłość.

– Vlad Sanguinati

Do: LPiNW, sekcja w Lakeside

Pierwszy etap oczyszczania miasta ujawnił problematyczne obszary. Rozpocząć etap drugi w wyznaczonym czasie.



Czwartek, 7 czerwca

Joe Wilcza Straż pomógł Tobiasowi Walkerowi wstawić piąty pojemnik z bizonim mięsem do chłodni niewielkiej ciężarówki, którą Tobias zaparkował przed sklepem mięsnym Floyda Tannera. Nie rozumiał, dlaczego cała społeczność Złotej Prerii była dumna z posiadania takiej ciężarówki, doceniał jednak jej przydatność przy transporcie jedzenia, które mogłoby się popsuć podczas kilkudniowej jazdy w upale.

Poza tym Vlad spełnił już swoją obietnicę i nazwiska Jesse Walker i Shelley Uczonej znajdowały się teraz na liście informacyjnej Steve'a Przewoźnika. Shelley założyła Joemu adres mailowy w bibliotece, tak więc Simon i Jackson – a także Vlad – mogli bezpośrednio wysyłać mu wieści.

W osadzie *terra indigena*, w której mieszkał, zanim tu przybył, istniało specjalne miejsce do komunikowania się – takie z komputerem i telefonem, a osada była położona na tyle blisko ludzkiej wsi, że, przynajmniej od czasu do czasu, mogli korzystać z telefonów komórkowych. Ale Złota Preria była o wiele prostszym miejscem, więc komunikacja musiała się stać mniej bezpośrednia. W tutejszej osadzie *terra indigena* nie było telefonu ani komputera, nie było słupów i drutów, które umożliwiłyby porozumiewanie się w ten sposób. Poza tym Inni wcale tego nie potrzebowali. Dużo większe znaczenie miał fakt, że Starsi nie chcieli, by ludzie wkraczali na teren ich wzgórz.

Teraz jednak, gdy ludzie sprawiali kłopoty w tyłu miejscach, możliwość komunikowania się z innymi *terra indigena* na odległość wykraczającą poza zasięg ryku była bardzo istotna. Będzie musiał o tym pomyśleć. Może Orla Straż zechciałaby mu pomóc i odegrać rolę kurierów, gdyby musiał wysłać ekspresową wiadomość do innej części Thaisii lub otrzymać wieści od Simona czy Jacksona? Jeśli nie, Wronia lub Krucza Straż z pewnością ucieszy się, że jako pierwsza pozna najświeższe informacje.

Czy ludzie w biurach telegraficznych wybierali tę pracę, dlatego że – tak jak Kruki i Wrony – chcieli jako pierwsi o wszystkim się dowiadywać?

– Co pan o tym sądzi? – spytał Tobias.

Joe zamrugał, a potem przypomniał sobie pytanie, które zadał mu Tobias, gdy załadowywali mięso do chłodni.

– Tłuszcz z bizona? Czy ludzie to jedzą?

– Nie. Abigail chce spróbować produkować z niego świece i mydło. Z reguły kupuje łój od Floyda Tannera po zabijaniu bydła czy owiec na mięso. Ale skoro na zewnątrz jest teraz mnóstwo padliny i łój się zmarnuje, pomyślała, że może mogłaby trochę uszczknąć. – *Za dużo padliny już pewnie nie zostało*, pomyślał Joe. Wilk mógł przebyć sto sześćdziesiąt kilometrów dziennie. Starsi przebywali jeszcze więcej. Wielu z nich zeszło ze wzgórz, żeby zjeść dostępne mięso, zamiast ruszać na polowanie. Jak podejrzewał, byli bardzo zaciekawieni tą sytuacją i chcieli się przyjrzeć Intuitorom mieszkającym przy południowej granicy wzgórz – ludziom, którzy bardzo się starali utrzymać przyjazne

stosunki z *terra indigena*. – W zamian dałaby wam trochę świec i mydła – dodał Tobias.

To akurat brzmiało rozsądnie. Świece czasami się przydawały. Będzie musiał sprawdzić, czy potrzebują też mydła. Inni zbudowali sobie miejsca, w których produkowali mydło, którego używali, gdy byli w ludzkiej postaci. Nie śmierdziało tak jak ludzkie i nie zanieczyszczało ziemi. Spyta Jesse Walker, czy sprzedawała to mydło w swoim sklepie. Ale jeśli Abigail Burch produkuje dobre mydło, to nie będą musieli zaopatrywać się w innej części Thaisii.

– W drodze powrotnej do pociągu możemy zebrać trochę tłuszczu – powiedział Joe.

Tobias zamknął drzwi chłodni.

– Skoro mowa o pociągu, lepiej się pośpieszmy. Musimy jeszcze zatankować.

– Hej, Tobias! – rozległ się głos.

Tobias kiwnął głową do mężczyzny biegnącego ku nim od strony sklepu.

– Cześć, Tom.

Tom Garcia wskazał kciukiem w kierunku sklepu.

– Jesse powiedziała, żebyście weszli do niej w drodze powrotnej. Ma dla was kosz jedzenia i napojów.

– To miłe. I tak musimy zrobić tu przystanek i zabrać kilka wielkich pojemników z łojem dla Abigail.

Tom kiwnął głową do Joego i wszedł do mięsnego. Wszyscy dorośli, którzy mieli czas, pomagali tu Floydowi w dzieleniu i obróbce mięsa zabitych bizonów.

– Potrzebujesz czegoś jeszcze? – spytał Tobias.

– Nie. – Pozostali *terra indigena* wiedzieli już, że razem z Tobiasem jechał na stację kolejową. Z nieba miało ich obserwować wiele Orłów, Jastrzębi i Kruków.

Odebrali od Jesse prowiant i napoje, zatankowali i wyruszyli w dwugodzinną trasę do Bennett.

– Na pewno nie chce pani kart do tarota?

Jesse starała się nie okazywać zniecierpliwienia. Shelley znalazła trzy intuickie firmy, które produkowały między innymi karty do tarota

i do przepowiadania przyszłości – jak jej powiedziano, jedne różniły się bowiem od drugich. To było już trzecie przedsiębiorstwo. Dwa pierwsze albo nie wiedziały, o czym Jesse mówi, albo nie chciały przyznać, że wiedzą. W pewnej chwili zaczęła się nawet zastanawiać, jakim cudem utrzymały się w biznesie. Miała wrażenie, że zaufanie stało się ostatnio towarem cenniejszym niż złoto.

– Na pewno nie chcę – odparła do słuchawki. – Pamiętam talię kart wykorzystywaną przez niektóre kobiety do wyczuwania nadchodzących zdarzeń, ale to było cztery dekady temu. Teraz próbuję się dowiedzieć, czy takie karty nadal są w produkcji.

Zapadła cisza. Po chwili Jesse usłyszała pytanie:

– Przez jakie kobiety?

– Przez wieszczki krwi. Szukam takiej talii dla jednej z *cassandra sangue*. – Może nie była to do końca prawda, ale trudno.

– Czy w waszej społeczności mieszka któraś z tych dziewczyn?

– Nie, ale chcemy wziąć na wychowanie jedną lub dwie. – Po raz kolejny zapadła cisza, co oznaczało, że rozmówczyni pogrążyła się w rozmyślaniach. Po dłuższej chwili Jesse podjęła: – Przywódca osady *terra indigena* w Złotej Prerii ma kontakt z dwiema dziewczynami. Jedna z nich miała wizję dotyczącą kart.

W słuchawce rozległy się trzaski.

– Na bogów – rzekła cicho kobieta. – Szuka pani kart Pioniera?

– Ja... – Jesse poczuła ostry ból w nadgarstku. – Być może tego właśnie szukam. – Teraz ona się zawahała. – Naprawdę istnieje taka talia?

– Nieoficjalnie. Wczoraj wyjęłam z magazynu kilka kompletów kart do przepowiadania przyszłości. Miałam przeczucie, że potrzebna jest nowa talia, jednak nie wiedziałam jaka.

– Może to nie pani powinna o tym decydować. Może pani zadaniem jest wyprodukowanie specjalnej talii dla Pioniera. – Jesse zamyśliła się. – Czy mogą państwo wyprodukować talię kart z nowego wzoru?

– Oczywiście. Ale nie mamy nowego wzoru.

Jeszcze nie macie.

– A talie, które wyjęła pani wczoraj... Z pewnością uczyniła to

pani nie bez powodu. Czy może mi pani wysłać po dwie talie z każdego rodzaju?

– Tak – głos kobiety złagodniał. – Oczywiście.

Jesse podała jej adres w Złotej Prerii, podziękowała i rozłączyła się. Następnie przeczesła palcami włosy i mocno za nie pociągnęła, żeby uśmierzyć ból głowy.

Muszę zrobić zapasy, pomyślała, przeglądając zawartość półek w swoim sklepie i próbując ignorować coraz ostrzejszy ból w lewym nadgarstku. *Żywność w puszkach, suszone jedzenie, słoiki – wszystko, co przetrzyma do...*

– Do czego? – Dźwięk własnego głosu przeraził ją. Przystanąła i zaczęła się zastanawiać, dlaczego w myślach przeskoczyła od kart do przepowiadania przyszłości do przekonania, że musi zgromadzić zapasy, i to *natychmiast*.

Nagle jej wzrok padł na półki z książkami. Nie mogła już kupować książek od wydawców ani w księgarni w Bennett. Niektórzy mogliby twierdzić, że książki to nie konieczność, ale zbędny luksus. Nie zgadzała się z tym, może jednak należało sprawdzić, jak odizolowana społeczność zareaguje na brak możliwości zakupu książek? Z pewnością ludzie będą niezadowoleni, ale nie wściekli. Przynajmniej z początku. Co jednak, jeśli nagle nie będą mogli kupić bardziej potrzebnych towarów? Na przykład jedzenia, ubrań, i – na bogów – czegoś tak podstawowego, jak papier toaletowy?

Dwa lata temu mieli bardzo ostrą zimę. Wskutek kilku potężnych nawałnic zostali odcięci od reszty świata na kilka tygodni. Tego roku Jesse miała przeczucie i zaczęła gromadzić zapasy już jesienią, ignorując przytyki ze strony Tobiasa i Shelley, którzy twierdzili, że zachowuje się jak zbieraczka. Śnieżyce nastąpiły kilka tygodni później. Gdy udało się im odblokować drogę i dojechać do Bennett po zapasy, Jesse zostało na półkach już tylko kilka puszek zupy, dwa pudełka spaghetti i ostatnia paczka papieru toaletowego, który sprzedawała na rolki, tak by wystarczyło dla każdej rodziny.

Kiedy teraz patrzyła na asortyment w swoim sklepie, miała podobne przeczucie, ale gorsze. O wiele gorsze.

Wyjęła notes, w którym spisywała towar do zamówienia, i zaczęła

przeoglądać półki. Kończyła spisywać suszoną żywność, gdy do sklepu wpadła Shelley.

– Joe Wilcza Straż dostał maila – powiedziała. – Od Włada Sanguinatiego!

– Joe pojechał z Tobiasem do Bennett – odparła Jesse.

– Myślisz, że możemy przeczytać tę wiadomość?

– Nie.

– Mam dostęp do maili i...

– *Nie.*

– Ale to może być coś ważnego!

Jesse odwróciła się i spojrzała na Shelley.

– Nawet jeśli jest to coś ważnego, to i tak nikt nic z tym nie zrobi aż do powrotu Joego i Tobiasa.

– Ale mogłybyśmy zerknąć...

– To, że założyłaś mu konto, nie oznacza, że masz prawo czytać jego wiadomości czy choćby sprawdzać jego maila, żeby się dowiedzieć, czy dostał coś nowego – odrzekła ostro Jesse. – Biblioteka i poczta to jedyne miejsca w Żółtej Prerii, w których są komputery. Musi z nich korzystać każdy, kto chce wysyłać lub otrzymywać wiadomości. Czy czytasz maile wszystkich osób, które korzystają z komputerów w bibliotece? Nadużywasz zaufania swoich przyjaciół i sąsiadów?

– Oczywiście, że nie! Ale to co innego!

– Nie, to nie jest co innego. Fakt, że Joe Wilcza Straż przekazuje nam jakiegokolwiek informacje, jest niezwykle cenny. Jeszcze nigdy nie mieliśmy tak intensywnego kontaktu z *terra indigena*. Shelley, nie możemy utracić jego zaufania. Nie teraz. – Jesse objęła prawą dłoń lewy nadgarstek. – Nie teraz.

– Masz rację – odparła speszona Shelley i zaczęła się wpatrywać w nadgarstek przyjaciółki. – Masz rację. Ale nie ciekawi cię, o czym ze sobą rozmawiają?

– Lepiej, żebyśmy o tym nie wiedziały.

– Wypełniliśmy już wszystkie dokumenty, pojemniki są czytelnie oznaczone, zapłaciliśmy też za przewóz dziewięćdziesięciu kilogramów mięsa, które trzeba było zamrozić – powiedział Tobias.

– Tak jak mówiliśmy. – Jeden z bagażowych uśmiechnął się

pochlebczo do Tobiasa i Joego. – Niestety nasza chłodnia jest już pełna.

Opanuj się, pomyślał Joe. Tylko się nie przemieniaj. I nie gryź bagażowych. To nic nie da.

Tobias wskazał na wagon kolejowy, który przez otwarte drzwi wypuszczał kłęby zimnego powietrza.

– Przecież widać, że znajdzie się miejsce na pięć naszych skrzyń.

Bagażowy zamknął drzwi.

– Mamy pełny wagon.

Wilku? Jestem Powietrzem. Czy potrzebujesz mojej pomocy?

Kobiecy głos – i propozycja – bardzo go zaskoczyły. Jeszcze nigdy nie miał bezpośredniego kontaktu z Żywiołami – aż do nocy, w której wszyscy zebrali się w celu przeprowadzenia ataku na kompleks Kontrolera. Ilu z nich mieszkało w Thaisii, nie mówiąc o reszcie świata? Czy istot zwących się Powietrzem było tysiąc? Dziesięć tysięcy? Więcej? Wśród *terra indigena* występowały zarówno samce, jak i samice. Czy gdzieś na dzikich terenach istniało miejsce, w którym się zbierali, łączyli w pary i wychowywali swoje młode? Czy istniała gdzieś wspaniała dolina, gdzie ich klacze rodziły źrebięta, które bawiły się i dorastały do czasu, gdy ujawniła się ich natura? Czy słabe tornado było niczym źrebak, a wielki lej – niczym dorosły ogier?

Imiona Żywiołów pochodziły od materii, jaką władały. Nie miały innych imion, przynajmniej nikt poza Żywiołami ich nie znał. Gdy więc ta samica nazwała siebie Powietrzem, nie założył, że była przy kompleksie Kontrolera – z pewnością nie mieszkała w Lakeside.

Chcemy wysłać trochę mięsa Simonowi Wilczej Straży i Meg Corbyn z Dziedzińca w Lakeside, ale ludzie mówią, że w wagonie z zimnym powietrzem nie ma już miejsca na nasze skrzynie.

Słyszeliśmy o Meg, która mieszka niedaleko Etu. Czy ona lubi takie mięso?

Nigdy nie próbowała mięsa z bizona, więc to będzie dla niej niespodzianka – o ile nie zepsuje się, zanim dotrze do Lakeside.

Wokół peronu zaczął wiać delikatny wiatr. Po chwili otworzyły się drzwi do kolejnego wagonu.

Włóżcie mięso dla Meg do tego pojemnika, powiedziała Powietrze. Ale on nie jest chłodzony.

Zaraz będzie.

– W takim razie załadujemy nasze skrzynie do tego wagonu – Joe zwrócił się do Tobiasa. – Chodź, pomożesz mi.

– Ale to nie...

– Chodź – warknął Joe.

Wstawili pięć skrzyń mięsa do pustego wagonu, po jednej stronie drzwi.

Bagażowi uśmiechali się ironicznie – do chwili, w której kobieta w długiej sukni, jakby utkanej z chmur, przeszła przez peron, prowadząc niskiego i krępego białego kuca.

– Bogowie... – szepnął Tobias.

– Szzza – ostrzegł go Joe.

Dziękujemy za pomoc.

Uśmiechnęła się do niego. Następnie spojrzała na bagażowych, a miejsce jej uśmiechu zajęła dzika, groźna mina. Razem z kucem weszła do wagonu towarowego i zamknęła za sobą drzwi.

– Co to, u diabła, było? – rzucił jeden z bagażowych.

Joe nie odpowiedział. Jego wyczulony słuch wyłapał odgłosy, których ludzie nie słyszeli albo nie chcieli słyszeć – odgłosy rozpętującej się burzy.

– Proszę wsiadać! – krzyknął konduktor.

– Chwileczkę! – Na peron wbiegł mężczyzna pchający wózek pełen pudeł. – Trzeba je jeszcze załadować!

– Jeśli wstawi je pan do tamtego wagonu, to zwilgotnieją – ostrzegł Joe, udając, że chce pomóc.

– Ty i twoja wilcza kurwa możecie się walić – warknął bagażowy.

– Ale dlaczego? – Joe nie widział związku między wagonem a kopulacją.

Nie otrzymał jednak odpowiedzi na swoje pytanie, ponieważ gdy bagażowy otworzył drzwi do wagonu, mroźny wiatr i śnieżycy zawiąły mu w twarz z taką siłą, że się przewrócił.

– Bogowie... – powtórzył Tobias.

– Nie, to Powietrze i Zamieć – odparł rzeczowo Joe. – Dzięki nim mięso się nie zepsuje. Chodź. Pora na nas.

W drodze powrotnej do Złotej Prerii zastanawiał się, czy powinien

zadzwoń do Simona i powiedz mu, że Żywioły pytały, czy Meg Corbyn lubi mięso z bizona.

Ich kroki wypełniły ziemię wokół Bennett straszliwą ciszą.

Przez cztery godziny krążyli po mieście, węszyli wokół stacji kolejowej, wysłuchiwali trajkotania małych dwunożnych drapieżników. Niewiele z tego rozumieli. W przeciwieństwie do odgłosów wydawanych przez tych, którzy pomogli zmiennokształtnym, te rozmowy nie interesowały kłów i pazurów Namid. Ale cały czas nasłuchiwali. I obserwowali. I poznawali.

Do: Jesse Walker

Dostawa książek na stację kolejową w Bennett nastąpi w sobotę, 9 czerwca. Niech ktoś odbierze przesyłkę. Załatw, proszę, również transport i nocleg dla dwóch osób, które na kilka dni zatrzymają się w Żółtej Prerii. Najlepiej, żeby to były dwa osobne pokoje.

– Vladimir Sanguinati

Do: Simon Wilcza Straż

W drodze do ciebie jest pięć skrzyń mięsa z bizona. Mam nadzieję, że zasmakuje ono tobie i Meg, zwłaszcza że Powietrze i Zamieć ze wszystkich sił starają się zapewnić transportowi chłód. Poza tym jakaś ludzka samica chce wyprodukować mydło i świece z łożu bizonów. Podeślę ci trochę.

– Joe



Piątek, 8 czerwca

Gdy Vlad wszedł do biura ZDL, Simon wyciągnął w jego kierunku rękę z listem.

– Przeczytaj to.

Vlad wziął kartkę i zerknął na podpis.

– To od Jean.

– Tak. Przeczytaj.

Podczas gdy Vlad czytał list, Simon przeczytał maila od Joego. Na samą myśl o smacznym bizonie zaczął się ślinić, chociaż wiedział, że mięso nie będzie najświeższe. Miał nadzieję, że zasmakuje Meg.

Spojrzał w monitor komputera. Nie wiedział, ile gospodarstw rolnych – i jakiego typu – planowano założyć w Osiedlu Nadrzecznym, rozbudowywanym przy Dziedzińcu w Lakeside i Przystani

Przewoźników należącej do Intuitów. Tereny wokół Jeziora Etu nie przypominały pastwisk Środkowego Zachodu, ale rosła na nich trawa. Myślał o stadzie bizonów. Kilka w Osiedlu Nadrzecznym, kilka w Dziedzińcu. To bardzo dobre mięso. Nawet jeśli wliczyć jelenie, które były już na Dziedzińcu, z pewnością wystarczy trawy dla kilku bizonów, prawda? Oczywiście bezpieczniej będzie przetransportować młode bizony, żeby dorastały na miejscu. Będzie trzeba je karmić przez kilka lat, zanim urosną do takich rozmiarów, że same będą mogły stanowić pokarm dla tutejszych mięsożerców. Mięsem z jednego bizona można było karmić całą społeczność przez kilka dni.

Należało to rozważyć.

Vlad opadł na krzesło po drugiej stronie biurka.

– Gdy powiedziano ci, że mamy się zastanowić, ile tego, co ludzkie, chcą zachować *terra indigena*, myśleliśmy, że chodzi o to, co ludzie wytwarzają. Ale ta przepowiednia brzmi, jakby miało się wydarzyć coś, wskutek czego zniknie wiele ludzkich miast w Thaisii.

– Wiem. – Simon oderwał się od rozmyślania o bizonim mięsie. – Ale Lakeside i Wielka Wyspa przetrwają.

– Przepowiednia nie daje gwarancji co do konkretnych wydarzeń w przyszłości.

To prawda, nie dawała gwarancji. Konkretnie decyzje mogły zmienić bieg wydarzeń.

Vlad położył kartkę na biurku.

– Chciałbym pokazać ten list dziadkowi Erebusowi. I Stavrosowi. Blair odbierze go na stacji. Razem z nim z Toland przyjechał Tolya – on i Nyx pojedą do Złotej Prerii. Zawiozą książki Jesse Walker i Shelley Uczzonej i porozmawiają z Joem Wilczą Strażą.

– Nie musiałeś aż tak uszczuplać naszego magazynu – warknął Simon.

– Już wszystko zamówiłem. Nadal mamy dużo książek dla Wilków z gór Addirondak, by mogły dokonywać zakupów w księgarni. Poza tym wysłałem Jesse Walker te wszystkie przesłodzone książki, których nikt nie chciał kupić. – Vlad spojrzał na niego przeciągle. – Ale spis stanu magazynowego bardzo się różnił od rzeczywistego stanu. Nie wiesz przypadkiem, co się stało z resztą książek?

– Och. No cóż. Nie chciałem się pozbywać wszystkich, na wypadek gdyby Meg chciała przeczytać takie historie. Nie teraz, ale może kiedyś...

– Wydaje mi się, że rozsądniej byłoby spytać ludzkiego samca, czy to właściwy sposób na nakłonienie samicy do parzenia się, niż zakładać, że *takie historie* dostarczą przydatnych informacji.

Oczywiście. W kompleksie Meg musiało spotkać coś tak strasznego, że nagi męski samiec nadal wprawiał ją w zakłopotanie. To jednak nie oznaczało, że któregoś dnia nie dostanie rui i nie będzie chciała kontaktu z samcem. Dlatego próby zrozumienia, co podoba się samicom, które chcą czegoś więcej niż nocny spacer po lesie, zdaniem Simona miały sens.

– Po co Stavros tu przyjeżdża? – zmienił temat.

Vlad znów rzucił mu przeciągłe spojrzenie.

– Musi omówić kilka spraw z Dziadkiem i Stowarzyszeniem Przedsiębiorców.



Simon był przywódcą Dziedzińca w Lakeside już od kilku lat, ale aż do dzisiaj jego łapa nie stanęła w Pokojach – części, którą zamieszkiwali Sanguinati. Z tego terenu korzystały zwierzęta – jelenie, kaczkę, gęsi czy dzikie indyki. Przelatywały nad nim również Jastrzębie, Wrony i Sowy – ale tylko przelatywały.

Meg jako pierwsza otrzymała pozwolenie na wejście do Pokojów, przekroczenie progu domu Erebusa Sanguinatiego i zostawienie tam paczki. To dzięki niej Sam, siostrzeniec Simona, był w Pokojach, chroniony przez Erebusa, podczas gdy Meg odciągnęła wroga – ów akt odwagi niemal kosztował ją życie.

Podjechali do jednej z bram w czarnym zdobionym ogrodzeniu. Simon, Elliot, Tess i Henry wysiedli z minivana i poczekali przy bramie. Pełnia już zanikała, ale Wilk widział dostatecznie dużo, by dostrzec unoszący się za nimi dym. Po obu stronach bramy stało czterech Sanguinatic. Tylko Vlad zmienił postać na ludzką. Otworzył drzwi w geście zaproszenia.

Zielone włosy Tess skrzyły się mocniej, co oznaczało, że czuła się mniej pewnie.

To chyba oznacza, że nawet Żniwiarz nie mógłby przetrwać walki z taką liczbą Sanguinatic, pomyślał Simon, idąc za Vladem krętą ścieżką i dalej, przez kładkę, do wyblakłego od słońca budynku, ukrytego wśród drzew przed spojrzzeniami obcych.

Stavros Sanguinati, który rozwiązał problem Dziedzińca w Tolandzie, czekał już w środku razem z Erebussem.

– Witajcie – rzekł Erebus. – Siadajcie. Rozgoście się. Mamy napoje. Vladimirze?

Możemy odmówić picia tych napojów? Elliot zwrócił się do Simona.

Nie. Już samo przebywanie tam było czymś niezwykłym, będą musieli wypić to, co im podadzą.

– Żaden z nas nie lubi napojów gazowanych, za którymi tak przepadają ludzie, przyniosłem więc sok jabłkowy i dzbanek lemoniady, którą sam zrobiłem.

– Skąd wiesz, jak się robi lemoniadę? – spytała Tess, spoglądając podejrzliwie na naczynie.

– Po tym, jak musiałem znieść zażartą debatę między Merri Lee a Ruthie na temat tego, ile cytryn i cukru daje najlepszą na świecie lemoniadę, może nie mogę powiedzieć, że *wiem*, jak ją przyrządzić, ale zrobiłem wszystko zgodnie z instrukcjami.

Tess zaczęła się śmiać.

– Chętnie spróbuję.

– Ja również – rzekł Simon.

Vlad nalał wszystkim. Erebus i Stavros napili się i odstawili szklanki. Henry uczynił to samo. Tess zdawała się rozkoszować lemoniadą, a Simon uznał, że napój – chociaż nigdy nie zastąpiłby smaku świeżej wody – był znośny. Mógłby pić lemoniadę, gdyby Meg postanowiła ją przyrządzić.

– Stavros musi nam o czymś powiedzieć – rzekł Erebus.

– O Sanguinatic? – spytał Simon. Według niego był to jedyny powód, dla którego doszło do spotkania w Pokojach – chyba że Stavros chciał mieć pewność, że nikt nie podsłucha tego, co miał do powiedzenia.

– O wielu sprawach. Ale tak, dotyczą one Sanguinatic

i Dziedzińca w Toland – odparł Stavros.

– A policja z Toland? – Scaffoldon, kapitan policji z wydziału kryminalnego w Toland, zaginął tuż po zabójstwie matki Lizzy, Elayne. W tym czasie zniknęła również matka Elayne.

Czy porucznik Montgomery uświadomił sobie już, że to dzięki Stavrosowi ludzie, którzy grozili jego córce, przestali stanowić jakiegokolwiek zagrożenie?

– Oni nas nie interesują. – Stavros lekceważąco machnął ręką. – W radiu ani w telewizji nie podano żadnej informacji na temat zastrzelonych bizonów. I nic dziwnego: ludzi – a zwłaszcza mieszkańców Wschodniego Wybrzeża – to nie interesuje. Kilka sklepów w Toland, głównie tych, które łączyły kontakty handlowe z naszym Dziedzińcem, zostało zniszczonych przez wandalów, tak samo jak u was. Wybite szyby, napisy na ścianach i witrynach. Sklepy, na których następnego dnia pojawił się znaczek LPiNW, bez problemu załatwiły szyby u szklarzy i naprawiły szkody. Ale właścicielom, którzy nie ugięli się pod presją, nie wiedzie się tak dobrze.

– Podczas rozmowy z urzędnikami z Lakeside odniosłem wrażenie, że wszędzie występują te same problemy – rzekł Elliot.

Stavros pokiwał głową.

– Razem z Tolyą śledziliśmy wiadomości w radiu i telewizji, czytaliśmy też ludzkie gazety. Mikołaj Strzępiel milczy na temat aktów wandalizmu. Nie wygłosił żadnych przemówień ani nie rozmawiał z dziennikarzami. To dziwne, ponieważ zawsze przedstawiał swoje opinie na temat kontaktów ludzi z *terra indigena*.

– Może nie jest to takie dziwne, jeśli wie, że za aktami wandalizmu stoi ruch LPiNW. Może wyjechał z Toland?

– Nie, nadal tam jest i spotyka się z członkami ruchu. – Stavros napił się lemoniady. – Rozmawiałem już o tym z dziadkiem i podjęliśmy decyzję, że opuścimy Dziedziniec w Toland.

Elliot, Henry i Tess oniemieli. Simon zeszywniał.

– Ludzie was wypędzili? – spytał, zaszokowany.

– Nie ludzie – odparł Erebus. – Ale w Toland jest pełno ludzi. Zbyt dużo. Zazdroszczą nam ziemi, którą mamy.

– Zazdroszczą całej Thaisii – zagrzmiał Henry.

Włosy okalające twarz Tess nabrały czerwonej barwy.

– Jeśli nie zostaną powstrzymani, zajmą cały kontynent i wszystko zniszczą.

– Nie, nie zrobią tego. – Simon popatrzył na Vlada. – Pokaż im list.

– Przeczytam go na głos. – Vlad wyjął z tylnej kieszeni kartkę papieru, rozłożył ją i przeczytał proroctwo Jean na temat ludzkich miast w Thaisii.

Pierwszy odezwał się Henry:

– Głupcy. – Popatrzył na Erebusa i Stavrosa. – Jeśli to nie ludzie wyrzucają *terra indigena* z Toland, to kto to robi?

– Podczas gdy *terra indigena* byli skupieni na zabitych bizonach, a ludzie zajęli się aktami wandalizmu w sklepach nienależących do LPiNW, z trzech kontrolowanych przez ludzi miast na Wschodnim Wybrzeżu wypłynęło kilkanaście statków. Pięć z nich wyruszyło z Tolandu, reszta z dwóch pozostałych miast. Nie wiem, czym były załadowane, ale myślę, że musiała to być jakaś kontrabanda, ponieważ każdy statek przewoził beczki z trucizną, które wrzucono do wody, wskutek czego zginęły wszystkie ryby.

– A co z Rekinią Strażą? – spytał Simon.

Stavros pokiwał głową.

– Trucizna zabiła rekiny i Rekiny. I delfiny. I całe ławice ryb. Część z Rekiniej Straży przeżyła na tyle długo, by wysłać ostrzeżenie. Aby zapobiec kolejnym ofiarom, unikano kontaktu z tymi statkami, ale wysłano inne, które płynęły za nimi aż do Morza Śródziemnego i Cel-Romanii.

– I co się teraz stanie? – spytała Tess.

Stavros zaśmiał się gorzko.

– Ocean wyrzyga martwe ryby na brzegi tych trzech miast. Zwróci zatrutą wodę i zaleje nią ulice osad odpowiedzialnych za zabicie *terra indigena*, które w nim żyły. A potem sprawi, że ludzie poczują jego gniew.

— I to właśnie dlatego Sanguinati opuszczają Toland, tak jak wszyscy *terra indigena* – skwitował Erebus.

– Odchodzimy po cichu – rzekł Stavros. – Większość Wilków już odeszła. Idą wzdłuż północnego wybrzeża albo w stronę gór

Addirondak. Jastrzębie, Orły i Wrony jak zwykle wyfruwają z Dziedzińca i przelatują nad Toland. Ale nie wszystkie wracają. Ponieważ Sanguinati tam rządzą i byli tam najmniej narażeni na gniew Żywiołów, pakujemy wszystko, co możemy, i późno w nocy wywozimy to ciężarówkami w inne miejsca albo posyłamy wyładowane skrzynie z kimś, kto akurat udaje się w podróż.

– Wygląda na to, że powinniśmy zamówić jak najwięcej książek od wydawców z Toland – stwierdził Vlad.

Stavros pokiwał głową.

– Zasugerowałem to już w kilku Dziedzińcach.

– Ile mamy czasu?

– Niewiele. Woda już zaczyna wyrzucać na ląd martwe ryby.

– W takim razie złożymy jeszcze jedno zamówienie – zdecydował Simon. – A potem będziemy korzystać z usług Intuitów i innych *terra indigena*, którzy wydają i drukują książki. Zaczniemy kupować od nich.

– Już od nich kupujemy – poprawił go Vlad. – Ale wciąż wydają za mało.

– Mogą poszerzyć swoją ofertę. Poza tym jeśli Ocean planuje zemścić się za zabicie części Rekiniej Straży i zatrucie jej wód, w Toland może nie być już żadnych książek do kupienia. – Simon spojrzął na Stavrosa. – A co będzie z tobą? Czy ty... – przerwał. Wprawdzie był dowódcą Dziedzińca, ale to nie on powinien proponować Stavrosowi miejsce w Lakeside. Nie gdy obok siedział Erebus.

Dziadek uśmiechnął się.

– W następnych dniach znajdzie się wielu, którzy będą szukać schronienia w Lakeside, ale zbyt dużo drapieżników w jednym miejscu oznacza konflikty. Jednakowoż chciałbym, żeby Stavros mieszkał tu w czasie, kiedy jest poza Dyspozytornią, gdzie będzie czuwał nad ludzkim rządem. Wydaje mi się, że w następnych dniach będzie trzeba objąć go ścisłym nadzorem.

Simon dopił lemoniadę. Czy mu się zdawało, czy na końcu stała się bardziej kwaśna?

– Nie powiecie o tym żadnemu człowiekowi, prawda?

– A dlaczego mielibyśmy to zrobić? – zdziwił się Stavros. – Sami to na siebie sprowadzili.

– Nie wszyscy.

– W Toland nie ma teraz słodkiej krwi – rzekł Erebus. – Usunęli je Stavros i ten rządowy agent, O’Sullivan.

– Zastanawiam się, czy porucznik Montgomery ma tam jakąś rodzinę.

Zapadła cisza.

– Ach – odezwał się w końcu Erebus. – To ten pomocny policjant. Co moglibyście mu powiedzieć?

Simon zamyślił się. Nie można było przewidzieć, kiedy Ocean uderzy. Jeśli nagle wszyscy ludzie będą chcieli uciec z Toland, to dokąd się udadzą? Poza ludzkimi farmami, zaopatrującymi miasto w żywność, między Toland a Dyspozytornią, oddaloną od niego o godzinę drogi pociągiem, nie było żadnego miejsca, w którym mogliby się schronić ludzie. Miasto otaczały dzikie tereny, z żyjącymi na nich *terra indigena*, którzy coraz rzadziej byli skłonni tolerować wybryki mądrych małp.

– Nie wiem, co mógłbym mu powiedzieć – odparł Simon.

– Z Brytanii przyjechał kuzyn kapitana Burke’a – zauważył Henry.

– Można by spytać, czy któryś z krewnych porucznika nie planuje odwiedzić jego i Lizzy.

– Meg powinna go o to spytać. W przeciwnym razie Montgomery zacznie się zastanawiać, dlaczego tak nagle interesujemy się jego rodziną.

Wszyscy uznali, że to dobry pomysł. To Meg rozmawiała z ludźmi o różnych sprawach i zadawała pytania. Możliwe, że nawet już wiedziała, czy Montgomery nadal ma rodzinę w Toland.

Nie było nic więcej do powiedzenia. Przynajmniej nie dzisiaj. Jedyne, czego pragnął teraz Simon, to przemienić się w wilka i pobiegać w świetle księżycy. Chciał zwinąć się w kłębek obok Meg, podczas gdy ona będzie oglądać telewizję albo czytać książkę. Chciał, żeby ludzie znowu stali się irytujący, acz niegroźni.

Nie było nic więcej do powiedzenia. Poza...

– Tutaj też mamy problemy, ale nie wyjeżdżamy z Lakeside.

– Nie, nie wyjeżdżamy – zgodził się Erebus.

– Zostawiając Toland, niczego nie ryzykujecie – rzekł Henry. – Ale jeśli wyjedziemy z Lakeside, narazimy Wielką Wyspę, zwłaszcza że nie

podjęto jeszcze decyzji, czy wszyscy ludzie z Wodospadu Talulah zostaną odesłani i zastąpieni Intuitami i Innymi, którzy potrafią obsługiwać maszyny. W obecnej sytuacji Steve Przewoźnik nie chce, żeby jego ludzie tam jeździli – to zbyt niebezpieczne. A to oznacza, że niemal wszystko, co pochodzi z innych części Thaisii – albo z reszty świata – musi przejść przez Lakeside.

Erebus wstał, co oznaczało zakończenie spotkania. Vlad zaprowadził Simona, Elliota, Henry'ego i Tess do miejsca, w którym zaparkowali minivana. Bramy wciąż pilnowało czterech Sanguinatic pod postacią dymu.

Podczas podróży powrotnej do Zielonego Kompleksu w samochodzie panowała cisza. Henry zaparkował pojazd na jednym z miejsc dla gości i wszyscy rozeszli się do swoich mieszkań.



Simon rozebrał się, rzucił ubrania na sofę i zamienił się w Wilka. Potem wyszedł, obwąchał budynek, obsikał kilka drzew, wrócił do letniego pokoju pod mieszkaniem Meg i wsunął jedną łapę pod drzwi, żeby je otworzyć.

– Cześć – powiedział.

Przystanął w drzwiach. Myślał, że śpi, bo nie zapaliła światła.

Ale ona nie spała.

– To będzie pracowity weekend, prawda? – rzuciła. – Za kilka dni przybędą Wilki z gór Addirondak, żeby przez tydzień obserwować ludzi. – Zaśmiała się łagodnie. – Wydaje mi się, że zrozumieliście to dopiero po dzisiejszej rozmowie między Ruth, Merri Lee i mną. Zorientowaliście się, że chodziło o obserwowanie ludzi.

Właściwie to chodziło o nawiązywanie kontaktów. Przecież obserwowali ludzi przez cały czas. Nie, żeby to mogło powstrzymać złe wydarzenia...

W kwestii Toland nie można było już nic zrobić. Nie mógł zrobić nic w sprawie martwych bizonów na terytorium Joego. Mógł jednak pomóc mu w wysyłce książek do Innych i Intuitów. Mógł pomóc Jacksonowi w opiece nad Nadzieją. Poza tym on, Meg, ludzkie stado i *terra indigena* tutaj, w Lakeside, mogliby pokazać Starszym, którzy wszystko bacznie obserwują, że *terra indigena* i ludzie mogą

współpracować i sprawić, że Thaisia będzie dobrym miejscem do życia dla wszystkich wokół.

Kilka razy polizał Meg po ręce, a potem położył się obok niej na fotelu i zasnął.



Wyrwany z niespokojnego snu, Monty złapał telefon po drugim dzwonku. Zaczął się drapać po twarzy, jakby to miało wspomóc pracę jego mózgu – albo przekonać serce, że Lizzy była bezpieczna.

– Słucham?

– Crispin?

Jego serce zaczęło walić jak oszalałe, gdy włączył lampkę i spojrzał na zegarek.

– Mamo? Co się stało? – Musiało się coś stać, przecież była północ.

Twyla Montgomery westchnęła smutno.

– Dzisiaj wręczono mi wypowiedzenie z pracy. Ochroniarz patrzył, jak wyjmuję rzeczy z szafki, a później nawet sprawdził moją torebkę, żeby się upewnić, że niczego nie ukradłam.

– Wypowiedzenie? – Monty nie potrafił tego pojąć. – Zostałaś zwolniona?

– Przestałam być potrzebna. Muszą zapewnić miejsca pracy dla tych, którzy bardziej na nie zasługują.

– Tak ci powiedzieli? – Dopiero teraz wszystko zrozumiał. – Żeby utrzymać pracę, musiałyś wstąpić do LPiNW.

– Tak jakby przynależność do jakiejś organizacji była potrzebna do sprzątania ubikacji, którą ci głupcy codziennie zapaskudzają.

– Na bogów... – Oparł głowę o zagłówek. – Mamo, dobrze zrobiłaś, że nie wstąpiłaś do LPiNW. Oni nie robią nic poza sprawianiem problemów.

– Myślisz, że tego nie widzę?

Uśmiechnął się, słysząc ironię w jej głosie. Jego mama nie tolerowała głupców – zwłaszcza głupców noszących garnitury, które kosztowały więcej, niż wynosiły jej miesięczne zarobki. Jednak przestał się uśmiechać, gdy uświadomił sobie, co dla mamy oznaczała utrata pracy.

- Kiedy musisz wyprowadzić się z mieszkania?
- Wkrótce. Przez kilka dni mogę pomieszkać u twojej siostry, ale ona też ma swoje sprawy.

Kiedy ostatnio rozmawiał ze Sierrą? Wysyłała mu w listach strzępy informacji, które, jak sobie teraz uświadomił, nic mu nie mówiły.

Rozejrzał się po mieszkaniu. Lizzy nocowała u Sarah Denby, córki Eve i Pete'a. Planował przespać się w mieszkaniu służbowym na Dziedzińcu, ale kapitan Burke powiedział, że mieszkanie w pewnym sensie należy do policji – przypominając, że jego gospodyni miała klucze i mogła go wyrzucić, a następnie wynająć lokal komuś za dwukrotnie wyższą stawkę. Chciał utrzymać swoją kawalerkę do końca umowy najmu, czyli do końca roku – albo do czasu, gdy Dziedziniec przejmie dwa budynki na Wroniej Alei, a on i Lizzy będą mogli się wprowadzić do jednego z trzypokojowych mieszkań.

- Często powtarzasz, że nowe możliwości wynikają zarówno ze złych, jak i z dobrych sytuacji.

– A gdzie tu widzisz nowe możliwości? – spytała ostro Twyla.

– Potrzebuję pomocy przy opiece nad Lizzy. Gdy jestem w pracy, zajmują się nią przyjaciele, ale Eve pracuje i ma dwoje własnych dzieci. Tak naprawdę zastanawiałem się nad tym, odkąd Lizzy przybyła do Lakeside. Mamo, ona cię potrzebuje. Ja też.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

- A są szanse na to, żebym znalazła tam jakąś pracę?

Zawahał się.

- Być może.

– Crispinie, nie mam zamiaru żerować na własnych dzieciach. Ani na tobie, ani na Sierrze.

Nie wspomniała o Jimmym, młodszym bracie Monty'ego. Ale przecież on, mimo że był żonaty i miał dwoje dzieci, wciąż wpadał do matki po pieniądze. I zawsze sprawiał wrażenie urażonego, gdy nie otrzymywał tego, co chciał.

- Może i znajdzie się jakaś praca, ale nie wiem, jak czułabyś się w towarzystwie współpracowników.

– Czy jest tam więcej tych głupców z LPiNW?

- Nie, mamo. Oni z całą pewnością nie są członkami tego ruchu.

- No cóż, będę musiała to przemyśleć.
- Masz pieniądze na pociąg?
- Mam trochę oszczędności. Poza tym mogę przyjechać busem.

Już chciał zaprotestować, ale ugryzł się w język. Wielu ludzi jeździło busem.

- Daj mi znać, kiedy i gdzie po ciebie wyjść.

Westchnęła cicho.

- Dziękuję, Crispinie. Trochę mi ulżyło. Dobranoc.

- Dobranoc, mamó.

Pierwsza odłożyła słuchawkę. Zawsze tak robiła. On nie potrafił się z nią rozłączyć.

Wstał i się przeciągnął. Dostatecznie dużo spraw łączyło go z Innymi na Dziedzińcu w Lakeside. Nie był pewien, czy chce poprosić Simona o znalezienie pracy dla jego matki.



Sobota, 9 czerwca

– Z reguły przyjeżdżamy do Bennett raz w tygodniu, żeby uzupełnić zapasy – powiedział Tobias Walker, parkując samochód przy stacji kolejowej.

Joe Wilcza Straż próbował rozpoznać emocje w głosie mężczyzny.

– Nie podoba ci się, że przyjechaliśmy tu po raz drugi, bo z Bennett do Złotej Prerii jest bardzo daleko?

– Nie. Po prostu podaję panu informacje, które kiedyś mogą się przydać. – Tobias skrzyżował ręce na górze kierownicy. – Staramy się oszczędzać paliwo. Teraz jest to szczególnie ważne, ponieważ cysterna z paliwem, która wypełnia podziemne zbiorniki na stacji benzynowej, nie przyjechała wczoraj, a zgodnie z planem powinna przyjechać. Mamy jeden awaryjny pojazd, który może przewieźć kogoś stąd do Bennett,

jeśli ta osoba jest ranna lub zbyt chora, by mógł zająć się nią lekarz w naszym szpitalu. Ten pojazd zawsze tankujemy jako pierwszy. Pierwszeństwo ma również samochód z chłodnią z mleczarni. Pozostali tankują tuż przed następną dostawą, tak byśmy wszyscy mieli jak najwięcej w bakach.

– A możemy tu kupić jakieś paliwo? – spytał Joe. Czy teraz powinien zająć się również tym, co się stało z cysterną z paliwem, czy był to problem wyłącznie ludzi? Może Simon będzie to wiedział. Chociaż chyba raczej powinien spytać o to Blaira, ponieważ główny stróż prawa w Lakeside spędzał więcej czasu na prowadzeniu różnych pojazdów i prawdopodobnie miał więcej doświadczenia w kupowaniu paliwa.

– Możemy. Pod warunkiem, że dostawa dotarła do miejscowej stacji benzynowej. – Tobias się zawahał. – Czy goście, którzy mają do pana przyjechać, wiedzą, że możemy im zaproponować tylko proste pokoje w motelu?

– Jesse Walker powiedziała Vladowi, czym dysponujemy.

– A czy istnieje jakiś powód, dla którego pańscy goście nie chcą zostać w pańskiej osadzie? Tak tylko pytam.

– Vlad ma specyficzne wymagania odnośnie warunków mieszkalnych. – Nie interesowało go za to, kto przywiezie książki.

Weszli na peron akurat w chwili, w której na stację wjechał pociąg. Połowę peronu zajmowała poczekalnia dla ludzi. Druga połowa była przeznaczona na wyładunek towarów, które przyjechały pociągiem. Joe od razu przypomniał sobie biuro Meg Corbyn – z człowiekiem za ladą i osobnym pokojem, w którym przechowywano paczki.

Po schodach wagonów zaczęli schodzić ludzie. Niektórzy byli bladzi i śmierdzieli. Gdyby polował z watahą Wilków, skupiłby się na śmierdzącej zwierzynie jako najłatwiejszej do upolowania.

– Tym razem przyjechali jacyś „ą, ę” – ocenił Tobias.

– „Ą, ę”? – Joe jeszcze nigdy nie słyszał o takich ludziach.

Walker wysunął podbródek w stronę trzeciego wagonu pasażerskiego.

– Bogaci. Wazni. Nie zawsze dołączają prywatny wagon – wyjaśnił.

Bogaci. Ważni. *Albo śmiertelnie niebezpieczni*, pomyślał Joe, patrząc na samca z dużą sportową torbą – zszedł po schodach, a potem odwrócił się, by zaproponować pomoc samicy. Był ubrany w czarny garnitur i jasnoszarą koszulę. Samica miała na sobie długą, staromodną szatę z czarnego aksamitu, z drapowanymi rękawami. Oboje mieli oliwkową cerę, czarne włosy i ciemne oczy. Samiec mógłby jeszcze uchodzić za człowieka i wtopić się w tłum – przynajmniej na jakiś czas. Samica nie starała się ukryć swojej natury.

– Na bogów na górze i na dole... – westchnął Tobias. – Czy to...?

– Sanguinati – dokończył Joe. – Chodź.

Ruszył przed siebie dynamicznym krokiem – głównie po to, by powstrzymać ludzi przed atakiem paniki, gdy już uświadomią sobie, kim są te postacie. W końcu szedł na spotkanie ze swoimi gośćmi.

Gdy samiec dostrzegł swoich przyszłych gospodarzy, uśmiechnął się, natomiast samica sfrunęła po peronie, by popatrzeć na mężczyzn, którzy rozładowywali wagony bagażowe.

Joe zauważył, że czoło Tobiasa pokrywa warstewka potu. Strach. To niezbyt dobry początek kontaktu z drapieżnikami, takimi jak Sanguinati.

– Joe Wilcza Straż? – spytał samiec. – Jestem Tolya Sanguinati. Kilka miesięcy temu spotkaliśmy się w Lakeside. – Delikatnie machnął ręką w stronę drugiej Sanguinati. – Czy Vlad uprzedził was o naszym przybyciu?

– Tak. – Joe spojrział w stronę mężczyzn, którzy ostrożnie rozładowywali paczki. Układali je tak, jakby chcieli zbudować ścianę między ludźmi a samicą.

Sanguinati należeli do *terra indigena*, którzy zniszczyli Kontrolera i kompleks, w którym przetrzymywał *cassandra sangue*, takie jak Meg Corbyn. Joe doceniał ich jako drapieżników, nie wiedział jednak, czy mógłby zaprzyjaźnić się z nimi, tak jak Simon przyjaźnił się z Vladem.

Teraz już wiem, dlaczego Vlad chciał, żeby pozostali w pobliżu ludzi. Chociaż pod postacią dymu mogą polować na cokolwiek.

– To Tobias Walker, kierownik farmy w Złotej Prerii – powiedział Joe.

– Przywieźliśmy dużo książek dla Jesse Walker i Shelley Uczonej

– powiedział Tolya, a gdy dołączyła do nich samica, dokonał krótkiej prezentacji: – To jest Nyx.

– Proszę pani. – Tobias dotknął róna kapelusza, a następnie zwrócił się do Joego: – Panie Wilcza Straż, powinniśmy zapakować paczki i zbierać się do drogi.

Joe usłyszał czujność w jego głosie. Rozejrzał się wokół. Zbyt wielu ludzi ją usłyszało.

– Tak, powinniśmy.

Tobias odebrał wózek od bagażowych, a Joe pomógł mu ustawić pudła i zaprowadzić wózek na parking. Tolya i Nyx poszli za nimi.

Po tym, jak załadowali pudła na pakę, Joe przypomniał sobie komentarz Tobiasa na temat wyjazdów do Bennett.

– Czy mamy coś do kupienia w mieście?

– Tylko paliwo. – Tobias spojrział w stronę Nyx, ale nie na nią. Otworzył drzwi od strony pasażera. – Proszę pani.

Od talii w dół kobieta zmieniła się w dym i przefrunęła do pick-upa.

– Tolya, dla ciebie też jest miejsce na kanapie – rzekł Joe. – Ja mogę jechać z tyłu.

Spanikowany, Tobias najpierw na niego spojrział, a następnie spuścił głowę, tak by kapelusz zakrywał jego twarz.

– Mogę jechać z tyłu razem z tobą – rzekł Tolya.

Joe pokręcił głową i poklepał się po udzie.

– Jestem ubrany adekwatnie do pozycji tylnego miejsca. Ty wyglądasz zbyt elegancko. – *Przynajmniej w ludzkiej postaci*, dodał w myślach. Gdy już wyjadą z Bennett, nie będzie to miało znaczenia. A Tobias poczuje się mniej zagrożony, jeśli z przodu razem z nim będzie jechać tylko jeden Sanguinati.

– Ty lepiej znasz zwyczaje w tej części Thaisii – rzekł Tolya, po czym wsiadł i zamknął drzwi od strony pasażera.

Joe wskoczył na tył i zajął wolne miejsce. Przywieźli dużo książek. Więcej, niż się spodziewał. Zauważył swoje imię napisane na dwóch pudłach; ucieszył się, że Vlad i Simon przysłali książki również dla *terra indigena*.

Tobias obszedł samochód i zamknął pakę.

– Panie Wilcza Straż...

– Nie zjedzą cię – zapewnił go Joe i dodał w myślach:
przynajmniej nie wtedy, gdy prowadzisz.

Tobias wszedł za kółko i skierował wóz na stację benzynową. Gdy na nią wjechał, Joe przyjrzał się ludzkim samcom, którzy patrzyli na mężczyznę w kombinezonie, przyklejającego nad dystrybutorami kartkę zapisaną odręcznym pismem.

Twój człowiek jest zły, powiedział Tolya. Nie rozumiem wszystkiego, co mówi, bo używa innego języka niż ludzie w Toland, ale usłyszałem kilka przekleństw.

Tobias dojechał do dystrybutorów i wyłączył silnik. Joe zeskoczył z paki i obszedł pojazd, by powstrzymać chłopaka przed ugryzieniem mężczyzny w kombinezonie. Albo pobiciem go. To drugie było o wiele bardziej prawdopodobne, ponieważ Tobias miał silne ręce od pracy na farmie i niewielkie zęby.

– Co to za gówno? – spytał ostro Tobias. – Gdy tylko nas zobaczyłeś, podwoiłeś cenę benzyny?

– Jest podaż, jest popyt – odparł Kombinezon i uśmiechnął się brzydko. Uśmiech zniknął, gdy w pick-upie otworzyły się drzwi od strony pasażera i wysiadł z niego Tolya. Kombinezon skupił się jednak na Tobiasie. – Powinniście mieć tego świadomość.

– Mamy – odrzekł Tolya głosem tak miłym, że Joe zadrżał pod jego wpływem. Potem Sanguinati spojrział ostrzegawczo na Tobiasa, by ten nie sprawiał kłopotów. – Ponieważ musieliście przyjechać specjalnie po nas, ja zapłacę za benzynę. – Wyciągnął portfel z kieszeni garnituru, wyjął z niego dwa banknoty pięćdziesięciodolarowe i skoncentrował się na Kombinezonie. – Tak na wszelki wypadek, gdyby miał pan wątpliwości, czy nas stać.

Joe chciał już wyjechać z tego miasta, uciec od tej watahy ludzi, którzy zdawali się gotowi do ataku. Otworzył wlew paliwa i warknął:

– Tobias.

A potem rzekł do Tolyi:

Pozwolenie na zmianę ceny, tylko dlatego że chcieliśmy kupić trochę benzyny, to to samo, co pozwolenie na zabijanie mniejszym drapieżnikom, zanim naje się twoje własne stado. Jeśli teraz im

*zapłacisz, będą żądać coraz więcej pieniędzy od ludzi w Żółtej Prerii.
Już niedługo.*

Złowieszcze słowa przepełniły Joego niepokojem, ale zapach unoszący się w powietrzu – zapach, który pojawiał się i znikał w zależności od kierunku wiatru – był jeszcze bardziej zatrważający.

– To, co robią, jest nie w porządku – rzekł Tobias i zaczął nalewać benzynę.

Joe ryknął na niego. To nie był ani czas, ani miejsce na analizowanie chciwości czy skąpstwa ludzi. Nie gdy Starsi byli tak blisko, że czuć było ich woń.

Tobias nalał paliwa do pełna. Tolya zapłacił i odjechali.

Jesteście głodni? spytał Joe.

Nie, dziękujemy. Jedliśmy w pociągu, odparł Sanguinati.

Gdy tylko wyjechali z miasta, Tobias zatrzymał samochód, żeby Nyx i Tolya mogli wysiąść. Joe, który jechał na pace, zdjął koszulę i buty.

– Muszę się stać Wilkiem. – Wstał i odpiął pasek.

– Chwileczkę – zaprotestował Tobias, ale Joe pokręcił głową.

– Muszę się stać Wilkiem. – Zdjął dzinsy i kopnął je na bok, a następnie przybrał swą naturalną postać o wyostrzonych zmysłach. Otrząsnął się porządnie, usiadł i spojrzał na Tobiasa, który odwrócił się tyłem do samochodu.

– Możemy jechać dalej – rzekł grzecznie Tolya.

Tobias zerknął przez ramię, a potem zwrócił się w ich stronę.

– Muszę coś powiedzieć.

Gdy zamilkł, Tolya zaczął go ponaglać:

– Słuchamy.

Po chwili Sanguinati rzekł do Joego:

Jest zły, ale chyba boi się kary.

Joe też tak sądził.

Chcę usłyszeć, dlaczego jest zły.

– Czekali na nas – powiedział w końcu Tobias. – Być może wiedzieli, że cysterna z paliwem nie dojechała wczoraj do Żółtej Prerii i wszystkie osoby, które przyjadą do Bennett, będą chciały kupić benzynę. Dzisiaj było was stać na zapłacenie tej kwoty i bardzo to

doceniam. Ale co zrobi kolejna osoba, jeśli jutro cena znowu zostanie podwojona? Zaryzykuje, że uda jej się dojechać do domu na tym, co ma w baku, bo nie będzie jej stać na zapłatę tak wysokiej kwoty? Mam nadzieję, że cysterna dojechała już na naszą stację benzynową?

– Mogę pomóc Joemu w ustaleniu, dlaczego nastąpiło opóźnienie w dostawie paliwa – zaproponował Tolya. – Między nami mówiąc, powinniśmy znaleźć bardziej zaufanego sprzedawcę. Innymi słowy: rafinerię należącą do *terra indigena* i prowadzoną przez Intuitów.

Tobias zamrugął.

– Istnieją takie miejsca?

– Jedno lub dwa. Na pewno dostatecznie dużo, żeby zapewnić Intuitom transport i obsługę maszyn. Produkcja jest ograniczona, wydaje mi się jednak, że uda się zorganizować dostawę paliwa dla waszego miasta.

Joe starał się opanować ryk. Czyżby Tolya przybył do Złotej Prerii, żeby wygryźć go z pozycji lidera osady *terra indigena*? Jeśli tak, Joe powinien zostać o tym uprzedzony, ponieważ wybrano go na nowego przywódcę dopiero niecały miesiąc temu. Chociaż z drugiej strony to dobrze, że miał obok siebie *terra indigena*, którzy znali się na ludzkich sprawach, takich jak rafinerie. On należał do Innych, którzy mogli podszywać się pod ludzi, poza tym odebrał trochę humanocentrycznej edukacji, a zatem mógł dogadywać się z dwunożnymi w imieniu własnego gatunku. Jednakże w przeciwieństwie do Simona Wilczej Straży nigdy nie chciał prowadzić Dziedzińca ani nawet w nim mieszkać.

– Panie Walker, rozumiemy zasadę podaży i popytu – rzekł Tolya. – Gdy jest dużo zwierzyny, przybiegają drapieżniki z innych terenów, żeby zapolować i nakarmić siebie i swoje młode. Jest dostatecznie dużo jedzenia dla nas wszystkich, a nasze młode przetrwają i będą coraz silniejsze, a potem nauczą się polować. Kiedy zwierzyny robi się coraz mniej, drapieżniki wracają na swoje terytoria. W przeciwnym razie rozpoczną się między nimi walki o zdobycz. Nie przetrwają ani ich młode, ani najsłabsze osobniki. Wreszcie równowaga Namid zostaje przywrócona i znów jest dostatecznie dużo pokarmu zarówno dla drapieżników, jak i dla ich ofiar.

Tobias z trudem przełknął ślinę.

– Czy chce pan przez to powiedzieć, że w Bennett jest za dużo zwierzyny?

– Chcę przez to powiedzieć, że nie ma powodu, by *terra indigena* ze Złotej Prerii zajmowali się Bennett. Możemy jechać dalej?

Walker wszedł za kierownicę i włączył silnik. Nyx wyfrunęła z samochodu, przeleciała z boku i usiadła obok Joego, natomiast Tolya usiadł z przodu z Tobiasem.

Ludzie z Bennett są zmartwieniem watahy ze Złotej Prerii, Joe zwrócił się do Tolyi. Mamy pilnować ludzi i zbierać pieniądze za ziemię, którą tu od nas dzierżawią. Dotyczy to zarówno farm, jak i tego miasta.

Skoro łamią warunki umowy, Inni mogą zażądać zwrotu ziemi i zmusić ich do odejścia – prawda?, odparł Tolya.

Tak. Joemu nie podobał się sposób myślenia Sanguinatiego.

Może powinniście pozwolić im na takie zdzierstwo. Niech ich własne działania udowodnią, że nie powinno się im pozwolić pozostać tutaj.

Ale Intuitem obiecano ochronę przed innymi gatunkami ludzi w zamian za umiejętność, których nie chcemy zdobyć, ale które nam się przydadzą, odrzekł Joe. *Pozwalanie tym ludziom na podbijanie cen benzyny tak długo, aż Intuici nie będą mogli jej kupić, nie jest chronieniem ich.*

Minęła dobra minuta, zanim Tolya odparł:

*Zawsze mieszkałem przy większych ludzkich miastach, zatem ta część Thaisii jest dla mnie nowa. W Bennett wyczułem coś, co rozpoznałem jako *terra indigena*, ale jeszcze nigdy tego nie spotkałem.*

*Starsi. To *terra indigena*, którzy żyją na dzikich terenach i otaczają je opieką. Z reguły nie zbliżają się do ludzkich miast.*

Skoro tak, to może nie powinniście liczyć na Bennett jako na źródło zapasów dla Złotej Prerii. W tych słowach pobrzmiwało ostrzeżenie.

Joe westchnął i pomyślał, że mimo wszystko Tolya ma rację. Dowiedział się o swoim nowym terytorium tyle, żeby wiedzieć, że ludzie żyjący w Bennett nienawidzili Innych za wyznaczenie granic tego, co było dozwolone, a co niedozwolone. Poza tym wszyscy nienawidzili Intuistów, ponieważ Złota Preria miała coś, czego nie miały ludzkie

farmy: wodę, spływającą ze wzgórz i płynącą naturalnymi kanałami do wodopojów. Dzięki nim z kolei Intuitem było łatwiej prowadzić farmę mleczną, produkcyjną i ranczo z hodowlą bydła i koni. W ciągu wielu lat kilku ludzi weszło na wzgórze i wróciło ze złotem. Jednak tego, co mógł zrobić jeden człowiek, nie mogło zrobić kilkunastu. Niektórzy ludzie zaczęli mieć obsesję na punkcie niewyobrażalnego skarbu, który mógł uczynić człowieka obrzydliwie bogatym, ale był niedostępny. Pragnęli czegoś, czego nie mogli mieć, ponieważ coś już zajęło te tereny i wodę – nie dla bogactw, ale żeby przeżyć.

Nie wiedział, jaka dokładnie miała być rola Nyx i Tolyi, nie zdziwiłby się jednak, gdyby zaczęli pełnić funkcję przywódców bądź stróżów. Przecież nie przyjechali tu tylko po to, żeby dostarczyć książki. A może ich przybycie miało coś wspólnego z rysunkami tej młodej wieszczki Jacksona?

Gdy na horyzoncie pojawiła się Złota Preria, Joe przybrał z powrotem ludzką postać i ubrał się. Pierwszy przystanek zrobili w motelu, by Tolya i Nyx mogli się zameldować i zostawić swoje bagaże. To właśnie tam się dowiedzieli, że dzień wcześniej na autostradzie eksplodowała cysterna z paliwem. Zginęło dwóch mężczyzn, którzy nią jechali. Próbowano ustalić, czy do wybuchu doszło wskutek błędu kierowcy, czy może mężczyźni byli ranni bądź martwi już w chwili eksplozji.

– Popyt i pierdolona podaż! – wściekł się Tobias, usłyszawszy tę informację. Spojrzał na Nyx i dodał, już spokojniej: – Przepraszam za mój język.

Niezależnie od tego, czy było to celowe, Złota Preria miała nie otrzymać potrzebnego paliwa, dopóki *terra indigena* nie zorganizują go z innego miejsca.

Jesse Walker była zmartwiona sytuacją z brakiem paliwa, ale na widok pudeł z książkami, wnoszonych do jej sklepu, okazała ogromną wdzięczność i grzecznie podziękowała za pomoc Tolyi i Nyx. Natomiast Shelley Uczona na widok Sanguinatich zdawała się mieć problemy z oddychaniem.

Po otrzymaniu od Tobiasa obietnicy, że zawiezie pudła z książkami do miejsca, w którym *terra indigena* kupowali ludzkie towary, Joe

zaczął oprowadzać Sanguinaticów po mieście. Ludzie stali w drzwiach i oknach i patrzyli na nich.

– Jak długo zostaniecie? – spytał Joe. – Czy mam poprosić jakiegoś *terra indigena*, żeby trzymał się blisko miasta?

– Przecież to osada Intuitów na ziemi Innych – odparował Tolya. – Czy istnieje jakiś powód, dla którego powinniśmy obawiać się tych ludzi?

– Nie. Przypominają mi dwunożnych ze stada Meg Corbyn. Chcą przynależeć do większego stada.

– Mądrze – zauważyła Nyx. – Pobędę tu przez kilka dni, a następnie wrócę do Lakeside. Tolya zostanie dłużej.

– Oczywiście, jeśli się zgodzisz – zaznaczył Tolya, patrząc na Joego. – Dziadek Erebus chce, żeby na Środkowym Zachodzie było więcej Sanguinaticów. Pragnie, żebyśmy pomagali zmiennokształtnym. A dzięki temu, że zatrzymałem się w motelu, będę miał oko na Intuitów, podczas gdy ty dopilnujesz całej reszty... – Przerwał. – Wydaje mi się, że *terra indigena* powinni jak najrzadziej odwiedzać Bennett.

Joe się z nim zgadzał, ale nie miał zamiaru się do tego przyznać.

– Nie musimy chodzić po mieście, wystarczy, że będziemy jeździć na dworzec kolejowy. – Gdy zrozumiał, co powiedział, na jego piersi i ramionach wyrosła sierść, a jego kły się wydłużyły. Zatrzymał się i pohamował przemianę. – Nasz zapach w tym miejscu oznacza akceptację – rzekł. – Wysyła pozostałym wiadomość, że ci ludzie z nami współpracują. Czy Starsi potrafiliby to zaakceptować?

Tolya pokiwał głową.

– Czyli brak zapachu również wysyła jakąś wiadomość, prawda?

Było to kolejne zawołane ostrzeżenie – po sugestii, że Inni powinni przestać jeździć do Bennett i wcześniejszej uwadze na temat odzyskiwania ziemi.

Wrócili do motelu. Nyx chciała jeszcze zbadać tereny poza miastem, a Tolya planował wykonać kilka telefonów. Joe natomiast zapragnął pozbyć się myśli o sprawiających problemy ludziach, pójść do domu i sprawdzić, jakie książki Simon wysłał Wilkom.

Po zaproszeniu od Tolyi zdjął ubrania, złożył je i schował do dolnej szuflady w komodzie.

– Może będziesz chciał się stać długoterminowym najemcą jednego z tych pokoiów – rzekł Tolya. – Byłoby to wygodne miejsce na przechowywanie odzieży i mycie się w okresie, w którym będziesz musiał być w ludzkiej postaci.

To była rozsądna propozycja. Joe będzie musiał ją rozważyć. Zamiast w Dziedzińcu Inni często mieli domy w niewielkich ludzkich miastach, ale w Złotej Prerii nie było żadnych pustych budynków. Budowano tylko tyle, ile należało wybudować. Pokój rzeczywiście bardzo by mu się przydał; poza tym być może dzięki temu udałoby się zachęcić więcej zmiennokształtnych do wejścia w ograniczoną interakcję z ludźmi.

Zmęczony, ale zadowolony, Joe wyszedł z motelu i ruszył do domu. Przemykał za budynkami, zamiast kroczyć ulicą. Rozmyślał o oznaczaniu terenu i o tym, czy ludziom grozi coś jeszcze gorszego niż żądni władzy ludzie z Bennett. W pewnym momencie zatrzymał się i podniósł tylną łapę, by oznaczyć sklep Jesse Walker.



Niedziela, 10 czerwca

Jackson Wilcza Straż zapukał do drzwi sypialni Nadziei i poczekał na pozwolenie wejścia do środka. Nie żeby potrzebował takiego pozwolenia. Przecież był Wilkiem alfa, a ona po prostu przyłączyła się do jego stada. Ale ludzkie samice w wieku Nadziei były dziwne. To przecież nie jego wina, że gdy wtedy usłyszał jakieś niepokojące dźwięki dochodzące z jej sypialni, wpadł do środka, nie bacząc na nic, by sprawdzić, czy nie dzieje się jej krzywda. A ona przestała podskakiwać i... miauczeć... i zaczęła wrzeszczeć, bo zobaczył ją bez ubrania. Jakby to miało dla niego jakieś znaczenie. Przecież miał swoją samicę. Poza tym chodziło nie tylko o to, że Nadzieja była człowiekiem – była zbyt delikatnej budowy, by rozważać łączenie się w pary. Tym bardziej nie rozumiał, dlaczego wystawione na widok części ciała miały aż takie

znaczenie.

Oczywiście jej wrzaski sprowadziły kolejne Wilki, które również ją zobaczyły – i zaczęły się zastanawiać, co to za futro, które miała między nogami i pod pachami. Czy samice zmieniające się w ludzi też powinny takie mieć?

W tej sprawie wciąż czekali na odpowiedź od Meg Corbyn.

Mimo wszystko ryczenie na niego było nie w porządku. Skąd miał wiedzieć, że ona po prostu *śpiewała*? On jeszcze nigdy nie słyszał takiego śpiewu. Brzmiało to bardziej jak wrzask młodego rysia, którego łapa zaklinowała się między skałami. Dlatego pomyślał, że Nadziei dzieje się krzywda.

Zapukał raz jeszcze i usłyszał nieśmiałe „Proszę wejść”. Wszedł do pokoju, ale zostawił otwarte drzwi.

– Dość tego, szczeniaku – rzekł. – Ja i Grace nie mamy nic przeciwko temu, żebyś sobie rysowała, ale nie przez cały dzień. Niania z naszego stada zabiera szczeniaki na spacer. Pójdiesz z nimi. Zakładaj buty i czapkę.

– Straciłam czapkę – wymamrotała Nadzieja.

Co oznaczało, że szczeniaki „przez przypadek” zabrały jej czapkę i porwały ją na strzępy.

– Grace kupiła ci drugą.

Właściwie to kilka.

Przyjrzał się jej. Z reguły była posłuszna, ale od czasu wizji i narysowania stosu martwych bizonów zachowywała się trochę dziwnie. Ponieważ nie przerwała rysowania i nie odłożyła kredek, podszedł i ukucnął obok niej.

– Robię szkice kart, których będzie potrzebować Meg – powiedziała. Obrazki były niedokończone, w porównaniu z innymi rysunkami – bardzo niedokładne.

– A po co Meg takie rysunki?

– Nie wiem.

– Masz zamiar je dokończyć?

Pokręciła głową.

Gdy przestała przesuwac ołówkiem po papierze, wiedział, że skończyła, że nie miała już nic, co chciałaby przekazać.

– Wyjdź na zewnątrz, szczeniaku. Pooddychaj świeżym powietrzem. Pobaw się z innymi młodymi. – Zauważył róg innego rysunku, który wystawał spod jej łóżka. – Co to jest?

Zapadła cisza. Po chwili Nadzieja westchnęła, wyciągnęła obrazek spod łóżka i wręczyła go Jacksonowi.

– Masz zamiar odejść na zawsze?

– Nie planowałem odejść – odparł, przyglądając się nakładającym się na siebie obrazom. Był Wilkiem, zaganiającym dziesięć... nie, jedenastkę... młodych bizonów. Na środku kartki Nadzieja narysowała pociąg, pędzący na wschód przez łąki Środkowego Zachodu. Nieopodal znajdował się charakterystyczny wodospad Talulah, obok domy, które już wcześniej rysowała. Na końcu narysowała jego i Simona, prowadzących bizony.

– Nie zostawiłbyś Grace, prawda? – zapytała.

– Nie zostawiłbym żadnej z was. Możliwe jednak, że będę musiał pojechać do Lakeside. – Spojrzał na rysunek, a potem wstał i pociągnął ją na zewnątrz. – Wychodź. Idź pospacerować, pobaw się, przyjrzyj się strumieniowi.

Zamrugwała.

– Przyjrzeć się strumieniowi?

– Tak. Woda w nim jest bardzo czysta i niezbyt głęboka.

Poobserwuj żyjące w niej stworzenia. Po powrocie będziesz mogła je narysować.

Uśmiechnęła się do niego tak samo promiennie jak wtedy, gdy powiedziała mu, że ma na imię Nadzieja.

Założyła skarpetki i tenisówki i wybiegła z pokoju. Grace, w wilczej postaci, trzymała w zębach słomkowy kapelusz i tak długo blokowała drzwi, dopóki dziewczyna nie zawiązała posłusznie kokardki pod brodą.

Patrzyli, jak zeskoczyła z ganku i pobiegła, by dogonić resztę szczeniąt. Dopiero wtedy Jackson pokazał Grace rysunek.

– Muszę zejść na dół, do kabin komunikacyjnych, i zadzwonić do Simona.

Przecież jest niedziela. Nie będzie go w księgarni.

– Mam numer jego telefonu komórkowego. Jeśli nie odbierze, to

oddzwoni, gdy tylko będzie mógł. – Jackson pogłaskał ludzką dłonią białą sierść Grace, rozkoszując się dotykiem jej futra na nagiej skórze. – Gdy wrócę, pójdziemy pobiegać. Tylko we dwoje.

W jej bursztynowych oczach pojawił się uśmiech.

Najpierw będziesz musiał mnie znaleźć, powiedziała i wybiegła z domku.

Pragnął zapomnieć o rysunkach, wizjach i nieznośnych ludziach. Pragnął iść pobiegać ze swoją samicą i trochę się rozerwać. Wiedział jednak, że musi zejść na dół i zadzwonić, ponieważ był ciekaw, co Meg Corbyn powie Simonowi na temat obrazów na rysunkach Nadziei.



Simon podbiegł do tylnych drzwi Zabójczo Dobrych Lektur i podniósł łapę na tyle wysoko, by móc przekreślić gałkę. Spędził bardzo przyjemny poranek, pomimo ludzkiego towarzystwa. Wilki, które asystowały Kowalskiemu, Debany'emu i grupie dziewcząt, poznały Grę w Piski, bardzo zabawną, choć krótką.

Wilki z gór Addirondak miały przybyć następnego dnia i Vlad był trochę niezadowolony z faktu, że nikt nie pomagał mu w zmianie asortymentu na półkach. John Wilcza Straż popełnił błąd – wyraził opinię, że to Vlad zdziesiątkował liczbę książek przed tą wizytą – i z tego względu to Simon musiał spędzić kilka godzin w sklepie i pomagać Vladowi zamiast Johna. Dogryzanie najbardziej zaufanej broni Erebusa Sanguinatiego tutaj, w Lakeside, było niezmiernie głupie.

I chociaż nikt nic nie mówił, Simon wiedział, że Vlad martwi się tym, iż Tolya i Nyx znajdowali się tak daleko od jakiegokolwiek twierdzy Sanguinatich.

Zmienił się w człowieka i podszedł krzesła, na którym zostawił dzinsy. Ryknął, gdy zorientował się, że krzesło jest puste. A potem zaczął szukać. Cholerne samice! Przecież zostawił spodnie na tym krześle nie bez powodu! Będą musiały przestać zabierać rzeczy i „odkładać je na miejsce”.

Pobiegł na przód sklepu z nadzieją, że spotka którąś z samic ze stada i ta zapiszczy na jego widok – przecież był nagi. Jednak nie zdążył tam dotrzeć, ponieważ powstrzymał go głos Vlada:

– Simonie? Czy to ty?

Wbiegł po schodach do biura.

– Następnym razem, gdy znajdę cokolwiek, co te samice zostawią w sklepie, to... – przerwał, bo zobaczył minę Vlada.

– Jak tam twoi krewni?

– W porządku. Wczoraj Joe odebrał ich na stacji kolejowej. Zeszłej nocy Tolya zadzwonił, żeby podać mi numer telefonu motelu i swojego pokoju na wypadek, gdybym musiał się z nim skontaktować. – Vlad wyciągnął słuchawkę w stronę Simona. – Jackson dzwoni.

Simon podbiegł do biurka i wziął słuchawkę.

– Jacksonie? Co znów zrobiła Nadzieja?

Chwila wahania.

– Co wiesz na temat bizonów?

Dziwne pytanie.

– Są smaczne. Trudno je upolować, chyba że są młode albo w dużym stadzie. – Przecież Jackson doskonale o tym wiedział. – Joe wysłał nam paczki z bizonim mięsem. Wczoraj przyjechały. Stado samic robi pieczeń, tak by ludzie mogli go spróbować.

– A co z żywymi bizonami?

– Co masz na myśli? – Wtedy Simon przypomniał sobie prorocstwo Meg na temat Osiedla Nadrzecznego. – Meg zobaczyła kilka bizonów pasących się przy mieszanej osadzie, którą budujemy. Są tam Inni i Intuici. Widziała tam również ciebie.

– Podczas swojej ostatniej wizji Nadzieja narysowała mnie, jak prowadzę młode bizony do ciebie, do wodospadu Talulah. – Cisza. – Czy tak właśnie funkcjonują wieszczki krwi na wolności?

– Nie wiem – odparł Simon. – Może to dlatego że Nadzieja, Meg i Jean – bo ona też jest częścią tego wszystkiego – dorastały w tym samym kompleksie. A może dlatego że cała ta trójka ma kontakt z *terra indigena*, którzy z kolei są ze sobą związani. To jest nowe zarówno dla nich, jak i dla nas.

Jackson westchnął.

– Nadzieja widzi mnie prowadzącego do ciebie bizony i pyta, czy zostawię ją i Grace na zawsze. Twoja Meg też mnie tam widzi. Nie wiem, co robić. Samotne podróże... Teraz dziwnie się tu czuję. Blisko Wytrzymałości, miasta kontrolowanego przez ludzi, woda jest kwaśna,

a powietrze gorące. Czuli to też Intuici, którzy pojechali tam zrobić zapasy.

– Potrzebujesz książek?

Vlad spojrział na Simona i odsłonił kły. W odpowiedzi Wilcza Straż odsłonił swoje.

– Zajmujemy się ludzkim szczeniciem. Pod względem fizycznym jest młoda, ale wiesz, co mam na myśli.

Wiedział.

– Dobrze by było, gdyby miała książki. Zobaczymy, co uda nam się przysłać. – Simon postanowił, że każe stadu samic sporządzić listę pozycji, jakie chciałaby przeczytać młoda samica.

– Nyx – rzekł cicho Vlad. – Skoro Jackson się tu wybiera, to czy mógłby najpierw pojechać do Złotej Prerii? Wtedy on i Nyx przyjechaliby razem.

Simon przekazał zapytanie swojemu rozmówcy.

– W porządku – odparł Jackson. – Nie mieliśmy tu zabójstw bizonów, ale jeśli problemy będą przesuwac się na zachód, to chciałbym się o tym dowiedzieć.

– Daj mi znać, kiedy przyjedziesz. Wyjdziemy na pociąg i załatwimy transport. – Zadzwoń do Jerry’ego Saniarza z Wielkiej Wyspy i sprawdź, czy może przewozić bydło.

– Nasza Nadzieja i wasza Meg – powiedział nagle Jackson. – Przecież mogą się mylić.

– Jedna z nich może i tak, ale z pewnością nie obie. – Nie jeśli Jean zobaczyła Thaisię ogołoconą z tyłu ludzkich miast. – Vlad ma numer do motelu, w którym zatrzymali się Nyx i Tolya. Zadzwoń do niej, żeby wiedziała, że przyjeżdżasz.

– W porządku. Simonie? Przekaż Meg, że robimy, co możemy, żeby Nadziei było u nas dobrze.

– Pewnie.

Skończywszy rozmowę, Simon pomyślał o prorocztwie Jean i o tym, jakie miało ono znaczenie dla Innych.

– Nie możemy już ufać ludziom, Vlad – powiedział.

– A czy kiedykolwiek im ufaliśmy?

– Nie. Ale liczyliśmy na to, że chcą pokonać swoją chciwość.

Wydaje mi się, że dłużej nie możemy na to liczyć.

Droga Jean,

niedziela to na Dziedzińcu dzień, w którym sklepy są zamknięte, a Inni przez cały czas noszą pióra bądź futro, ponieważ nie utrzymują kontaktu z ludźmi. Dzisiaj jednak było parno i duszno, więc Henry powiedział, że on i Wilki spędzą dzień przy dziurze z wodą. Tak naprawdę nie jest to dziura z wodą, tylko niewielkie jezioro w części Dziedzińca należącej do Wroniej Straży. W każdym razie Simon zaprosił również niektórych z moich ludzkich przyjaciół. Wydaje mi się, że to był test, żeby sprawdzić, jak będą się zachowywać w części Dziedzińca, która z reguły była niedostępna dla innych ludzi poza mną.

Theral MacDonald pojechała PNK razem ze mną i Simonem. Merri Lee, Michael, Ruth i Karl pojechali na rowerach. Nie wiem, czy Inni widzieli już kiedyś rowery, może po prostu nigdy nie podejrzewali, że to przydatny środek transportu, ale coś w rowerach bardzo podekscytowało Wilki. Gdy dojechaliśmy nad jezioro, wszystkie rzuciły się do wążania, ale zachowały się przyzwoicie i nie zaczęły obsikiwać opon.

Jezioro jest jednym z trzech akwenów, które – razem z rzeką – zaopatrują Dziedziniec w świeżą wodę. Inni ją piją, pływają w niej i łapią ryby do jedzenia. Michael i Karl chcieli wiedzieć, co to za ryby, ale nikomu nie chciało się przybierać ludzkiej postaci, żeby im to powiedzieć, a ja nie wiem, więc będą mieli o czym jutro rozmawiać.

Jezioro przy jednym brzegu ma głębokość do pasa, a przy drugim woda sięga mi ponad głowę. Wilkom to odpowiadało, ale Wronom już nie. A zatem gdy Simon został przywódcą Dziedzińca, on, Henry i Blair zrobili obok brodzik o głębokości zaledwie kilku centymetrów, tak by Wronia Straż mogła się tam pluskać i bawić.

Gdy nadszedł czas, żeby wejść do wody, nikt nie wiedział, co robić. Przynajmniej ja nie wiedziałam. Simon, Blair i Nathan popatrzyli na nas, potem wskoczyli do wody, a następnie wyszli na brzeg i zaczęli się obok nas otrząsać.

Woda była bardzo zimna! Merri Lee, Ruth, Theral i ja zaczęłyśmy skakać wokół, piszczeć i wołać: „Zimna, zimna, zimna!”

Wilki ponownie wskoczyły do wody, wyszły na brzeg i znów zaczęły się na nas otrząsać! Za trzecim razem, gdy to zrobiły, byłyśmy

całkowicie przemoczone i woda nie była już dla nas taka zimna – i zakończyliśmy Grę w Piski. Niestety obawiam się, że bardzo spodobała się ona Wilkom, podejrzewam zatem, że przez resztę lata będziemy znienacka opryskiwane wodą.

Ale kiedy już weszliśmy do wody, było cudownie! W pewnej chwili Nathan na mnie wpadł, przewróciłam się i wynurzyłam, dławiąc się i krztusząc. I wtedy Ruth spytała mnie, czy potrafię pływać. Odparłam, że nie.

Simon zmienił się w człowieka i zaczął się we mnie wpatrywać, zaszokowany. Jak to możliwe, żebym nie wiedziała, jak się pływa? Przecież wszystkie szczeniaki to potrafią.

Udawałam, że Simon miał na sobie kąpielówki, tak jak Michael i Karl, i chociaż woda była bardzo czysta, to, co miało pozostać niewidoczne, na szczęście było niewidoczne w cieniu drzew.

Michael zaproponował, że nauczy mnie pływać pieskiem. Został owarczany z trzech stron, ponieważ nikt nie miał zamiaru uczyć mnie wiosłować jak pies! Wilki nie mają nic do psów, ale nie chcą być z nimi mylone; wydaje mi się, że nie chcą, żebym ja również była wzięta za psa.

Michael chyba trochę sparodiował ich ruchy, ponieważ Simon się obraził, wrócił do wilczej postaci i zaczął pływać wokół nas, żeby pokazać mi, jak należy to robić. Michael mnie trzymał, a ja próbowałam machać nogami i rękami. Potem spróbowałam sama, z Simonem i Nathanem, płynącymi po obu stronach. Gdy się zmęczyłam, wszyscy wyszliśmy na brzeg i usiedliśmy na kocach pod drzewami.

Musiałam przysnąć. Obudziłam się bardzo zadowolona.

Ale to zadowolenie nie będzie trwało wiecznie, prawda? Woda wyrzuca martwe ryby na brzeg w trzech miastach na Wschodnim Wybrzeżu. Słyszałam, jak Vlad mówił Tess, że takie ryby zwiastują burzę. Gdy to usłyszałam, nie poczułam jednak igieł pod skórą. Nie wiem, czy powinnam czuć ulgę, czy się bać.

Mam nadzieję, że dobrze ci na farmie Gardnerów. W tym tygodniu ma przyjechać Steve Przewoźnik, żeby pokazać Simonowi – i mnie – plany nowego kampusu dla cassandra sangue. Steve mówi, że dziewczyny dobrze sobie radzą, a opiekunka, którą dla nich zatrudnił, ma intuicję i wie, kiedy wprowadzić im coś nowego, a kiedy zostać przy tym, co

znajome.

Próbuję nie używać brzytwy. Czasami to bardzo łatwe, a czasami – niezmiernie trudne. Może młodszym dziewczynom będzie łatwiej uciec od tego uzależnienia. A jeśli całkiem im się to uda, to może cassandra sangue, takie jak ty, ja czy Nadzieja, znajdą inny sposób na przekazywanie prorocत्व. Nie wiem tylko, czy wtedy będziemy potrafiły chronić nasze umysły w dostatecznym stopniu i czy zapłatą za zachowanie wszystkich zmysłów będzie euforia, która następuje wskutek cięcia – i prawdopodobieństwo wcześniejszej śmierci.

Zawsze uważałaś, że możemy przetrwać w świecie zewnętrznym. Robię, co mogę, by przynajmniej niektórym z nas dać szansę nie tylko na przetrwanie, lecz także na prawdziwe życie.

Twoja przyjaciółka

Meg

„Powiedzieć, że *powinniśmy mieć* pożywienie i wodę, drewno i benzynę, to za mało. Pora powiedzieć, że *będziemy mieć* pożywienie i wodę, drewno i benzynę, że będziemy mogli nakarmić nasze dzieci, budować nasze miasta, ogrzewać nasze domy, uruchamiać nasze maszyny, które sprawiają, że jesteśmy lepsi od stworów kryjących się na tak zwanych dzikich terenach. Są dzikie, tylko dlatego że nie używano na nich siekier ani pługów. Są dzikie, tylko dlatego że wciąż kulimy się ze strachu pod wpływem bajek, które opowiadano nam w dzieciństwie. Pozbądźmy się urojeń i mrzonek, zobaczmy, że owe stwory to jedynie zwierzęta, których świata jeszcze nie podbito. Pora wypędzić mrzonki dzieciństwa. Pora zająć należne nam miejsce na świecie.

– Przemówienie napisane przez Mikołaja Strzępiela i odczytywane na spotkaniach przywódców LPiNW w całej Thaisii



Poniedziałek, 11 czerwca

Kilka minut po tym, jak Meg otworzyła biuro łącznika dla porannych dostaw, Steve Przewoźnik i Jerry Saniarz wjechali na Dziedziniec i zaparkowali na miejscu dla pracowników. Zaalarmowany przez wycie Nathana i krakanie Wroniej Straży, Simon zostawił Vlada, który kończył ustawiać książki na półkach w ZDL. Gdy po południu przyjadą Wilki z gór Addirondak, półki miały być całkowicie zastawione.

Spotkał się z mężczyznami na drodze do księgarni.

– Porozmawiamy w biurze łącznika, żeby Meg również mogła zobaczyć plany. – Uśmiechnął się, odsłaniając kły, dłuższe niż ludzkie, by grzecznie przypomnieć ludziom, że wszelkie próby polowania na Meg będą niemile widziane. Nie żeby podejrzewał, że któryś z Intuitów

mógłby spróbować, ale nie zaszkodziło im o tym przypomnieć. I nie żeby Meg była jego terytorium, ale był odpowiedzialny przed całym Dziedzińcem, a ona stanowiła połączenie z niejadalnym światem ludzi, których teraz było wszędzie pełno.

Poprowadził ich przez zaplecze do sortowni.

– Cześć, Steve. Cześć, Jerry – przywitała się Meg, patrząc na Simona z zaskoczeniem.

– Dzień dobry, Meg – odparł Steve. – Czy mogę to rozłożyć na stole?

Przesunęła kilka stosów katalogów. Steve rozłożył plany kampusu dla *cassandra sangue* na Wielkiej Wyspie.

– Mamy do dyspozycji trzydzieści akrów, uważamy jednak, że większość budynków powinna stać obok siebie – powiedział Steve. – Wtedy łatwiej będzie zaopatrzyć je w wodę, kanały ściekowe i elektryczność. Poza tym chcieliśmy zachować jak najwięcej trawy i drzew dla dziewczyn i żyjących tam dzikich zwierząt. Ostatecznie budujemy dla stu mieszkańców. Starsze dziewczęta i dorosłe kobiety będą miały apartamenty studio i części wspólne, by mogły się socjalizować. Młodsze dostaną własne pokoje i części wspólne w swoim budynku. Pam Ireland, która pracuje teraz z dziewczynami i będzie zarządzać budynkiem, otrzyma własne mieszkanie. Będzie też stajnia z końmi – kilka do ciągnięcia wozów, reszta do jazdy konnej. Rodzina Stajennych da nam konie i je wyszkoli. W ramach swojego wkładu w kampus zapewnią nam również kogoś, kto zajmie się zwierzętami. Ponieważ chodzi o to, by dziewczęta nauczyły się różnych rzeczy i były niezależne, zbudujemy tam też niewielką farmę mleczarską – z jedną lub dwiema krowami i kilkoma kurami. Myśleliśmy o świniami, ale stwierdziliśmy, że krowy, kury i konie wystarczą dla dziewczynek między ósmym a jedenastym rokiem życia. Poza tym będzie ogród warzywny, ale to już prawdopodobnie w przyszłym roku. Najważniejsze są budynki mieszkalne. – Spojrzał na Meg. – Co o tym sądzisz?

Przyjrzała się planom.

– Powinno być jakieś miejsce do pływania.

Steve skrzywił się, chociaż Simon podejrzewał, że tego nie zauważyła.

– Mamy basen w naszym centrum – odparł Steve, patrząc na Simona w niemej prośbie o poparcie. – Nie ujęliśmy basenu w naszym budżecie.

– Nie mówię o miejscu zwanym oficjalnie basenem. – Meg spojrzała na Simona. – Chodzi mi o coś takiego jak brodzik w tej części Dziedzińca, która należy do Wroniej Straży.

– Chodzi jej o dziurę do pływania – powiedział Simon. – Pokażę ci tę, którą tu mamy.

Odczuwał niechęć przed zabieraniem kolejnych ludzi do części Dziedzińca, do której z reguły nie mają dostępu. Tak naprawdę ostatnio postawili większą tablicę ostrzegawczą z napisem „Intruzi będą zjadani”, żeby przypomnieć ludziom, że wolno im było dochodzić tylko do Zielonego Kompleksu i ani kroku dalej, ale niektórzy ludzie zapuszczali się bez nadzoru drogą prowadzącą do Stajni Kucyków i aż się prosili, żeby porwało ich Tornado albo uderzyła w nich Błyskawica.

– A biblioteka? – spytała Meg.

– Na razie będzie tylko pięć dziewczyn, stwierdziliśmy więc, że wystarczy kilka regałów z książkami w części wspólnej.

Analizowali plany jeszcze przez kilka minut. *To nie jest kompleks, pomyślał Simon. To nie jest więzienie z celami. To spokojne miejsce, w którym cassandra sangue będą mogły liczyć na rutynę dnia codziennego, żeby zrównoważyć rzeczy, które będą się zmieniać.*

Zastanawiał się, czy Jean powiedziała coś Steve’owi na temat wizji, w której zobaczyła tak niewiele ludzkich miast.

Gdy znikwały znajome szlaki, trzeba było znaleźć – albo stworzyć – nowe, żeby zapewnić byt swojemu stadu.

– Potrzebujecie materiałów na budowę legowiska dziewcząt, mieszkania Pam, stajni, stodoły i budynków dla zwierząt oraz na składowanie żywności – powiedział.

– Tak, ale możemy zacząć od... – Steve przerwał.

– Musicie kupić wszystkie materiały budowlane, jakie tylko zdołacie.

– Pewnie, ale mamy zaplanowany budżet i...

– Musicie zrobić to teraz.

Zapadła cisza. Pierwsza odezwała się Meg:

– Simonie?

Wilcza Straż nie spuszczał wzroku ze Steve'a.

– Musicie kupić wszystkie materiały. Musicie kupić zaopatrzenie dla ludzi, potrzebne członkom Prostej Życia i *terra indigena*. Musicie już teraz przygotować się na ciężką zimę.

Meg popatrzyła w osłupieniu na trzech mężczyzn.

– Ale... Przecież mamy czerwiec. Dopiero zaczęło się lato.

Steve wpatrywał się w Simona.

– Jak długo potrwa ta zima i jak ciężka będzie?

– Będzie długa i bardzo ciężka – padła odpowiedź. – Jeśli kupujecie jakiś produkt w innym mieście, dopilnujcie, by wystarczyło go do wiosny. – Dzięki temu będą mieć kilka miesięcy, żeby obmyślić sposoby na pozyskanie tego, czego potrzebowali.

– Moja żona zaczyna robić zapasy papieru toaletowego już we wrześniu, żeby mieć pewność, że nie będziemy musieli walczyć o ostatnią rolkę w sklepie, jeśli prom z zaopatrzeniem do nas nie dopłynie – rzekł Jerry. A potem, patrząc w podłogę, dodał: – Robi też zapasy artykułów... dla kobiet. – Tym zdaniem wkroczył na niebezpieczny teren. Simon miał nadzieję, że Meg zrozumiała aluzję.

– A czy wiemy, kiedy w tym roku nadejdzie zima? – spytał Steve.

Simon pokręcił głową. Poczul ulgę, że Steve zrozumiał, iż nie rozmawiają o porze roku. Taka rozmowa o jednym i myślenie o drugim była co prawda dziwna, ale o niektórych sprawach nie chciał mówić ludziom, nawet tym zaufanym.

– Nadejdzie błyskawicznie. – On i Vlad słyszeli w wiadomościach o przemowie wygłaszanej przez wszystkich liderów LPiNW w Thaisii. Czy kapitan Burke i porucznik Montgomery zauważyli, że to dziwne, iż wszyscy ci liderzy wyli do reporterów, ale Mikołaj Strzępiel tajemniczo zniknął z mediów?

Terra indigena wiedzieli, że nadchodzi burza. Należało się jedynie zastanowić, kiedy uderzy i co po sobie zostawi.

– Poczekajcie przy samochodzie – powiedział Wilcza Straż. – Pokażę wam jezioro.

Steve zwinął plany. On i Jerry pożegnali się z Meg, po czym wyszli przez zaplecze.

Simon patrzył, jak Meg drapie blizny na lewym przedramieniu.

– Ty coś wiesz – powiedziała.

– Wiem, że powinniśmy zrobić zapasy dla ludzi, nawet gdy ludzie nadal będą przysyłać nam towar.

– Muszą nam go wysyłać.

– Zrobili się bezczelni. Żywią przekonanie, że jeśli złamią zasady, to ujdzie im to na sucho. Bo dlaczego mieliby przestrzegać zasad?

LPiNW mówi im to, co chcą usłyszeć – że mogą działać bez żadnych konsekwencji. – Delikatnie odciągnął dłoń Meg od blizn. – Ty i twoje stado samic musicie zacząć kupować najważniejsze dla siebie rzeczy. Nie wiem, jak długo utrzyma się obecna sytuacja. Niektóre firmy mogą przestać działać.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Jakim cudem firmy produkujące papier toaletowy mogą przestać działać?

Czy powinien pokazać jej list od Jean? Czy to źle, że chciał chronić ją przed tymi informacjami, skoro i tak miała już tyle spraw do przemyślenia?

Zanim zdążył wyjąć list z kieszeni, spojrzała na niego w *ten* sposób – w sposób, który oznaczał, że przeglądała w głowie obrazy szkoleniowe i wspomnienia.

– Jakiś czas temu Ruth powiedziała nam, stadu samic, o liście, którą znalazła w jakiejś starej książce – rzekła z taką ostrożnością, że Simonowi od razu przyszedł na myśl Wilk uważnie stawiający łapy, by zbadać teren. – To była lista ludzkich miast, które już nie istnieją. Podejrzewam, że można by powiedzieć, iż firmy w tych miastach przestały działać.

– Można by tak powiedzieć – zgodził się. – Możliwe, że jakaś inna firma w innym mieście zajęłaby się produkcją brakujących towarów, ale to by trochę trwało.

– Rozumiem.

Naprawdę rozumiała? Miał nadzieję, że tak.

– Meg, niezależnie od tego, ile postanowisz im powiedzieć, te informacje nie mogą wyjść poza wasze stado. Pozostałe dziewczyny muszą to zrozumieć.

Pokiwała głową. Nie wyglądała na szczęśliwą, przez co on również poczuł się nieszczęśliwy. Czasami jednak nie można było dzielić się zwierzyną – ani informacjami – jeśli chciało się, żeby własne stado miało dostatecznie dużo jedzenia.

– Steve i Jerry na ciebie czekają – powiedziała po chwili.

Zaprzagnął przycisnąć usta do jej skóry, ale pewnie by mu na to teraz nie pozwoliła, odszedł więc do reszty samców.

– Będzie chciała kupić papier toaletowy dla każdej napotkanej osoby, prawda? – Steve otworzył tylne drzwi i wszedł do samochodu, zostawiając dla Simona miejsce obok kierowcy.

– Nie będzie mogła tego zrobić.

O co chodziło z tą obsesją na punkcie papieru toaletowego?

Po chwili Jerry spytał:

– Dokąd?

Simon kazał mu wyjechać na drogę i skręcić na Dziedziniec należący do Wroniej Straży – co oznaczało minięcie nowego znaku. Wyczuł strach, ale żaden z mężczyzn nie odezwał się słowem.

– Z informacji, jakie otrzymałeś, wynika, że nadchodzi wielka burza – rzekł Steve. – Te wiadomości nie są od Meg, prawda?

Simon pokręcił głową.

– Od Jean.

– Na bogów na górze i dole...

– Słyszał, jak Steve próbuje uspokoić oddech.

– Simonie, Jean jest...

Wilcza Straż zawahał się, myśląc o tym, co właśnie powiedział Meg na temat zachowywania dla siebie ważnych informacji. Ale przecież zdradził już tym samcom wieści o nadciągającej burzy. Nie chciał dodawać nic więcej, ale mimo wszystko wyjął z kieszeni list i wręczył go Steve'owi.

– Ona ma chory umysł. Nie dlatego widzi to, co widzi, ale może dlatego chce to zapamiętać.

– Na bogów... – powtórzył Steve, przeczytawszy list. –

W porządku, kupimy wszystko, co tylko zdołamy.

– Kupcie, co się da. Dziedziniec ma pieniądze. Zapłacimy. I lepiej zróbcie też zapasy dla Osiedla Nadrzecznego.

– Dobrze. – Steve oddał mu list. – Dzięki mailom od Meg Pionierki mamy teraz większą sieć intuickich osad. Zaczęliśmy już drugą listę rzeczy, które potrzebuje każda osada. Rada podjęła decyzję, że tyle, ile zdołamy, kupimy za swoje.

– Wyślij tę listę Meg i Vladowi, bo Meg często zapomina o sprawdzeniu maili. – Simon machnął ręką. – Zatrzymaj się przy moście. Właśnie to jezioro chciała wam pokazać Meg.

– W kampusie nie ma jeziora, ale jest strumień. Wydaje mi się, że moglibyśmy znaleźć miejsce, w którym można by było urządzić naturalną dziurę do pływania – rzekł Steve. – Sprawdźmy to jeszcze raz po powrocie na wyspę.

Wrócili na targ i wysadzili Simona przy drodze do księgarni.

– A tak przy okazji – odezwał się, otwierając drzwi – czy Przewozy Saniarza transportują również bydło?

– Pewnie – odparł Jerry. – Mamy wielką przyczepę na bydło. Przeważnie wozimy konie, ale przyczepa świetnie nada się również dla innych zwierząt. Potrzebujecie coś przetransportować?

– Tak. Niedługo dostaniemy bydło. – Simon wysiadł i poczekał, aż Steve przesiądzie się na przód. Dopiero wtedy powiedział: – A wy musicie znaleźć kogoś, kto potrafi jeździć konno i pilnować młodych bizonów.

Popatrzyli na niego w osłupieniu.

– Bizonów? – spytał Steve.

– Jedenastu. Możemy rozdzielić stado między Osiedle Nadrzeczne a Dziedziniec.

Ich miny przypominały mu Jedynaka w czasie, gdy jego umysł nie pracował zbyt dobrze. Z nadzieją, że Jerry nie odjedzie, dopóki nie wróci mu zdolność myślenia, Simon wrócił do Zabójczo Dobrych Lektur, żeby przygotować się na przyjęcie gości.



Meg wezwała całe stado samic, łącznie z Eve Denby, zapewniając, że spotkanie będzie krótkie, ale musi do niego dojść natychmiast.

– Babskie sprawy – powiedziała, zamykając drzwi do recepcji.

Tak jak się spodziewała, Nathan podniósł się z legowiska i ryknął w proteście swoje *arroou*. Gdy jednak dostrzegł resztę dziewcząt,

odwrócił się i poczłapał z powrotem w kierunku łóżka. Pilnowanie zdziczałych dostawców to jedno, użeranie się z ludzkimi samicami, których nie wolno ugryźć, to drugie.

Meg opowiedziała o spotkaniu ze Stevem Przewoźnikiem. Sprawa kampusu na Wielkiej Wyspie była interesująca, ale nie miała nic wspólnego z żadną z kobiet. Natomiast część, w której omawiali robienie zapasów...

– Z reguły nie zaczynam bawić się w wiewiórkę przed jesienią, ale ponieważ członkowie LPiNW przejmują coraz więcej firm, Simon kazał kupić teraz wszystko, co się da – powiedziała Merri Lee.

Meg zmarszczyła brwi.

– Bawić się w wiewiórkę...?

– Kupować puszki z zupą, słoiki sosu do spaghetti i pudełka makaronu. Gromadzić papier toaletowy, ręczniki papierowe i chusteczki. I rzeczy, których potrzebujemy my, dziewczyny, bo chyba żadna z nas nie chce po nie lecieć w samym środku zamieci śnieżnej.

Popatrzyła na nie, zdziwiona. Czy żadna z nich nie czuje niepokoju?

– Czyli to jest normalne? – upewniła się.

– W Lakeside? Pewnie. – Zamrugła. – Meg, zeszłej zimy nie myślałaś o takich zapasach, ale gdy w radiu ostrzegają przed potężnymi zamieciami, zawsze staramy się robić zapasy – dodała Merri Lee. – I uwierz mi, nauczyliśmy się doceniać rolę papieru toaletowego.

Ruth pokiwała głową.

– Gdy nadchodzi śnieżycy, należy się spodziewać, że ze sklepu znikną całe zapasy, aż do ostatniej rolki. – Po chwili zmarszczyła brwi. – Jak myślisz, dlaczego pan Wilcza Straż tak bardzo przejmuje się robieniem zapasów?

Bo zniknie wiele ludzkich miast.

– Ponieważ w związku z nałożonymi ostatnio sankcjami opóźniają się dostawy wszystkich towarów z jednego regionu do drugiego. – Meg wybrała mniej przerażające wytłumaczenie. – Opóźnienia te mogą się przeciągnąć, a wtedy może zabraknąć czegoś na dłużej.

– Jeśli zostaną wprowadzone przydziały papieru toaletowego na rodzinę, ludzie pracujący na Dziedzińcu zaczną kupować wszystko

w sklepach na targu – rzekła Eve. – A mówiąc z punktu widzenia menedżera nieruchomości: gdy zostaną sprzedane te dwa budynki mieszkalne, zrobi się miejsce dla dziesięciu potencjalnych ludzkich rodzin, które też będą miały swoje potrzeby. A może Stowarzyszenie Przedsiębiorców słyszało plotkę o deficytach?

Albo coś więcej niż plotkę. Meg poczuła, jak zaczyna walić jej serce. Poczuła mrowienie w rękach. Nagle zapragnęła poczuć ulgę, jaką przynosi cięcie.

Nie teraz, pomyślała. Nie teraz...

– Simon powiedział, że musimy zachować to dla siebie, że nie powinniśmy nikomu wspominać o konieczności gromadzenia zapasów. – Potarła jedną rękę, potem drugą, ignorując fakt, że jej towarzyszki zeszywniały na ten widok.

– Może nie powinniśmy przejmować się przyczyną, tylko skupić się na gromadzeniu różnych towarów – rzekła Eve, a pozostałe kobiety jej przytaknęły.

– Wydaje mi się, że powinniśmy kupić trochę słoików – dodała Ruth. – Będziemy ich potrzebować na przetwory z owoców. Mogą też się przydać słoiki na dżem. Meg, czy możemy poprosić kobiety z Prostego Życia, żeby nauczyły nas konserwowania żywności?

– Spytam o to – odparła Meg.

– Gaza, bandaże i szyny. – Theral wskazała na usztywniony palec Merri Lee, który dziewczyna złamała kilka tygodni wcześniej podczas bójki na targu. – Lekarstwa bez recepty. Inne artykuły medyczne.

Eve pokiwała głową.

– Jako matka muszę dodać, że przydałyby się również leki na receptę.

– Simon powiedział, że nie powinniśmy, ale może lepiej powiedzmy... – Meg zawahała się, widząc rezygnację i rozgoryczenie w oczach przyjaciółek.

– Powiedzmy komu? – spytała Merri Lee. – Przyjaciołom, którzy już z nami nie rozmawiają? – Skinęła głową w stronę Ruth. – Rodzinie, która się do nas nie przyznaje?

Meg też spojrzała na Ruth.

– Myślałam, że przyjdą w środę pomóc tobie i Karlowi

w przeprowadzce?

Oczy Ruth wypełniły się łzami.

– Mama zapowiedziała, że wszystko, co trzymam u niej w domu, pójdzie do śmieci, chyba że odbiorę to przed przyjazdem śmieciarki. Gdy razem z Karlem przyjechaliśmy do nich do domu, wszystko leżało już na chodniku. Mama stała w drzwiach i nas obserwowała. Nie wyszła i nie porozmawiała z nami. A wiesz, co krzyknęła do ojca, gdy skończyliśmy ładować rzeczy do samochodu? „Śmiecie zabrały już wszystkie pudła!”... – Z piersi dziewczyny wyrwał się szloch.

– Jakież problemy? – W drzwiach stanęła Tess. Jej włosy były czerwone i poskręcane w sprężynki.

– Nie – odparła Meg. – Nie ma żadnego problemu.

Ile usłyszała?

Tess podeszła do stołu i położyła na nim swój worek.

– Świeże babeczki. Zjedzcie coś. A potem wracajcie do pracy – powiedziała i wyszła.

Dziewczyny odetchnęły z ulgą. Ruth otarła oczy.

– Babeczki. Praca.

– I gdzie trzymasz teraz swoje rzeczy? – podjęła Meg.

Zamiast Ruth odpowiedziała Theral:

– Moja ciocia i wujek przechowują je do chwili, w której Ruth będzie mogła je odebrać. Chcą pomóc. Nie zapomnieli o tym, że pan Wilcza Straż pozwolił im wziąć część plonów z ogrodu w Zielonym Kompleksie, tę należącą do Lawrence’a. Nie musiał tego robić.

– Babeczki. Praca – powtórzyła Merri Lee, po czym otworzyła worek i wyjęła muffinkę. – Dzisiaj po południu na Działziniec przyjeżdżają goście, więc wszyscy musimy dawać dobry przykład. – Spojrzała na Meg. – Wszystko w porządku?

– W porządku, chociaż wasza sytuacja bardzo mnie zasmuciła. – Mrowienie zniknęło i nic nie wskazywało na to, że po cięciu Meg ujawniłaby jakąkolwiek wizję dotyczącą przyjaciół czy Działzinca.

Bez pytania, które wymagałoby odpowiedzi, bez uzasadnienia, nie mogła się pociąć, nie martwić przy tym swoich przyjaciółek, nie mówiąc już o Simonie.

Zjadły babeczki i wróciły do pracy. Meg otworzyła drzwi na

recepcję, ignorując spojrzenie Nathana.

– Możesz się dąsać na to, że cię pominęłyśmy, albo możesz zjeść jedno ze świeżych ciastek, które Jerry Saniarz przyniósł z piekarni Eamera.

Dąsanie się dla samego dąsania nie mogło konkurować ze świeżymi ciasteczkami o zapachu wołowiny, pieczonymi specjalnie dla Wilków. Ponieważ Meg miała wrażenie, że Simon też będzie trochę obrażony, przezornie odłożyła dwa ciasteczka.



Tess, wracając do Czegoś na Zęb, przystanęła na widok Henry'ego. Patrzył na nią znad drewnianej bramy swojego ogrodu. Spojrzała na biuro łącznika i otwarte okno sortowni.

Słyszalesz to?

Tak, ryknął. Nie da się z tym nic zrobić.

Nie da się, przytaknęła, a potem dodała cicho: Póki co.

Kowalski poprosił o pożyczenie vana albo pick-upa z Kompleksu Usługowego na jutro. Chce przewieźć rzeczy, które trzyma w norze swojej rodziny. Pojadę z nim i zniechęcę go do dalszego gadania bzdur.

Skręt na jej włosach trochę się rozluźnił. Obecność Niedźwiedzia mogła zniechęcić do wielu rzeczy, ale nie zaszkodzi zasugerować Simonowi, że gdy któryś z Jastrzębi znajduje się na terytorium wroga, reszta obserwuje teren z powietrza.



Środa, 13 czerwca

– Zatrzymaj samochód na parkingu dla klientów – Monty zwrócił się do Debany’ego.

Kowalski wziął kilka dni urlopu okolicznościowego, żeby przeprowadzić się do dwurodzinnego domu po drugiej stronie Dziedzińca, więc Debany pełnił zarówno funkcję kierowcy, jak i partnera Monty’ego.

Wielu policjantów z komisariatu przy Orzechowej popierało pomysł współpracy z Innymi i utrzymania pokoju z istotami, które kontrolowały większą część świata i miały ostatnie słowo w kwestii losu ludzi mieszkających w Lakeside. Ale wspieranie nie oznacza stania na linii ognia i codziennej interakcji z *terra indigena* – zwłaszcza jeśli skutek jednej decyzji oficera członków jego rodziny może spotkać

ostracyzm ze strony znajomych i sąsiadów. A to było wysoce prawdopodobne – przekonali się o tym na własnej skórze Louis Gresh i jego rodzina. Jak na razie nikt nie zgłosił się na nowego partnera Monty’ego, a czwarty członek zespołu został wyznaczony do zajmowania się Dziedzińcem w Lakeside.

Monty nie wiedział, co z tym zrobić. Najwyraźniej nie radził sobie z tą sytuacją również kapitan Burke. A może Burke, rozumiejąc, że wybranie kogoś nie oznaczało jedynie wyznaczenia do patrolowania okolicy, nie chciał wciągać w to kolejnej osoby, ponieważ w głowie każdego policjanta mającego stały kontakt z Innymi pobrzmiwało tylko jedno słowo: „zagłada”.

Druga sprawa związana z wyznaczaniem kolejnego policjanta sprawiała, że Monty dostawał zgagi, musiał jednak zaakceptować prawdę: nie mogli pozwolić na to, by jakiś policjant należący do ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko infiltrował Dziedziniec i szpiegował Innych, tak by ruch mógł planować bardziej efektywne ataki.

Gdy weszli do Zabójczo Dobrych Lektur, Monty zatrzymał się i przyjrzał się dwurodzinnemu domowi.

– Jak tam przeprowadzka? – zapytał. – Czy Karl zabrał wczoraj swoje meble i rzeczy? – Słyszał, co przytrafiło się Ruth i zastanawiał się, czy sytuacja Karla była równie trudna.

Debany się zawahał.

– Rodzice Karla nie są złymi ludźmi – odparł. – Zeszłego lata Lawrence, ja i kilku innych policjantów byliśmy u nich na grillu. Świetnie się bawiliśmy. Teraz jednak na wyznaczenie Karla do pomocy zwalają wszystko, od braku mięsa u rzeźnika – ostatnio ktoś zwinął pani K. ostatnią pieczeń sprzed nosa – po rosnące ceny benzyny. Wczoraj rano, gdy Karl wszedł do domu, zastał swojego brata, Tima, podpitego i agresywnego. Nikt nie pomógł Karlowi w załadowywaniu mebli, a niektórych naprawdę nie dało się podnieść w pojedynkę. Wtedy podjechał pick-up z Henrym i Blairem. Nic nie powiedzieli, po prostu załadowali meble na pakę, a Karl zapakował do vana wszystkie pudła. Potem odjechali.

– Czy rodzice Karla powiedzieli cokolwiek na temat tego, że synowi pomogli *terra indigena*?

Kolejna chwila wahania.

– Bardzo możliwe. Ale on nie chce o tym rozmawiać.

Monty cały czas patrzył na budynek po drugiej stronie ulicy. Na bogów, ci ludzie byli upokarzani za to, że chcieli pomóc wszystkim mieszkańcom miasta.

– A co z tobą i twoją rodziną? – zapytał.

– Martwię się, zwłaszcza po tym, jak na targu zabito Lawrence’a, ale mnie wspierają. I tak są pod ostrzałem krytyki za to, że jestem miłośnikiem Wilków, dzięki czemu trochę się uodpornili. – Debany uśmiechnął się z zawstydzeniem. – Moja siostra chce mieć pracę, w której będzie mogła jeździć konno i pracować ze zwierzętami, więc cały czas pyta o Osiedle Nadrzeczne – jakich umiejętności wymagają, od kiedy będą przyjmować aplikacje i tak dalej.

– Może porozmawiaj z Rogerem Czernedą? Pewnie będzie miał więcej informacji na ten temat i z chęcią się nimi podzieli – poradził Monty i westchnął: – Cóż, miejmy nadzieję, że rodziny Ruth i Karla pójdą po rozum do głowy.

– Karl nie da się zniechęcić.

Znowu zawahanie.

– Przełożyli datę ślubu.

Zastanawiał się, dlaczego ostatnio nikt nie wspominał o ślubie, pomyślał jednak, że Karl i Ruthie po prostu postanowili urządzić prywatną ceremonię, a przyjęcie zrobią dopiero po przeprowadzce.

– Ich rodziny i tak by się nie zjawiły – stwierdził Debany.

Ciężko się tego słuchało. Monty zaczął się zastanawiać, czy przyjazd jego matki i siostry do Lakeside to rzeczywiście dobry pomysł.

Gdy skręcili w stronę Zabójczo Dobrych Lektur, uświadomił sobie, że sprzed dwóch budynków mieszkalnych po obu stronach domów dwurodzinnych zniknęły tabliczki „Na sprzedaż”. Oznaczało to, że Dziedziniac w dalszym ciągu wykupywał budynki. Jak na razie nie było żadnych protestów odnośnie do tego, że Inni mieli majątki poza Dziedziniacem, ale prędzej czy później ta informacja przedostanie się do mediów. Monty podejrzewał, że obecny właściciel budynków mieszkalnych chciał najpierw zgarnąć pieniądze, a dopiero potem zacznie nagłaśniać tę sprawę.

– Może przekąś coś w Czymś na Ząb i zastanów się, co jeszcze mogłoby stanowić problem – zaproponował.

– Tak, sir – odparł Debany i upewnił się: – Czy mówimy o ludzkich problemach?

– Mówimy o wszystkich problemach. – Monty chciał porozmawiać z Kowalskim o sprawach, o których jeszcze nie rozmawiali. Wcześniej jednak musiał zamienić słowo z Simonem Wilczą Strażą.

Debany posłusznie wszedł do Czegoś na Ząb, a Monty przekroczył próg Zabójczo Dobrych Lektur. Na drzwiach ujrzał tabliczkę „Tylko dla mieszkańców”. Póki co był mieszkańcem tymczasowym, zatem wszedł do środka.

Kowalski, w pociemniałej od potu koszulce i obciętych dżinsach, stał przy stole wystawowym z przodu sklepu i czytał notkę na okładce jednej z książek. Podniósł wzrok na gościa.

– Czy nie powinienes teraz ustawiać mebli? – spytał Monty.

Karl wyglądał na zmęczonego. Trudno było stwierdzić, czy to ze względu na sytuację rodzinną czy na trudy przeprowadzki.

– Och, litości – jęknął Kowalski. – Ile razy można przestawiać mebel z miejsca na miejsce?

Monty uśmiechnął się szeroko.

– To podchwytliwe pytanie.

– Tak, zwłaszcza że Ruthie dziś pracuje i zajmuje się przyjezdnymi Wilkami. Pete Denby i ja nosimy rzeczy, a Eve Denby ustala ich rozkład zgodnie z notatkami zostawionymi przez Ruthie. Jest trochę rozkojarzona, bo w mieszkaniu na dole Jester Kojocia Straż pilnuje trójki dzieci. Gdy po raz trzeci powiedziała nam, żebyśmy przestawili kanapę, bo stoi w złym miejscu – co oznaczało postawienie jej tam, gdzie stała na samym początku – ja i Pete zastrajkowaliśmy i zarządziliśmy półgodzinną przerwę. Poza tym Eve musi poważnie porozmawiać z Jesterem na temat jego sposobów postępowania z dziećmi. Przed chwilą uczył je wyc.

Monty westchnął. Jednym z tych trojga dzieci była Lizzy.

– Kowalski. – Podszedł do nich Nathan. Ciągnął za sobą nastoletniego chłopaka ubranego w koszulę z krótkim rękawem, dżinsy i tenisówki. Chłopak ścisnął w ręce kawałek papieru. Wyglądał, jakby

w każdej chwili miał się rzucić do ucieczki.

To pewnie jeden z gości, stwierdził Monty. W wyglądzie nastolatka nie było nic oczywistego poza bursztynowymi oczami, ale też nie do końca mógł uchodzić za człowieka.

– Nathanie. – Kowalski uśmiechnął się najpierw do stróża prawa, a następnie do chłopaka.

– Karl Kowalski jest policjantem. – Nathan odwrócił głowę na tyle, żeby było wiadomo, że mówi do młodego Wilka, ale nie spuszczał wzroku z funkcjonariuszy. – Dzisiaj nie ma na sobie munduru.

– Jeśli chcesz zobaczyć policjanta w mundurze, to w Czymś na Ząb siedzi Debany – zaproponował Monty.

Nathan pokiwał głową, a potem spojrzał na Kowalskiego.

– Mam pytanie. – Karl wyciągnął dłoń. Po chwili zawahania chłopak podał mu złożoną na cztery kartkę. Dostrzegłszy nagłówek biuletynu z *Dziedzińca*, Monty przysunął się do nich. Większość biuletynów drukowanych raz w tygodniu przez Lorne'a Katesa zawierała listy nowych dostępnych książek i filmów oraz listę filmów wyświetlanych w pokoju socjalnym w kompleksie każdej straży. – Zajrzyj do środka – powiedział Nathan.

Kowalski otworzył biuletyn.

– Kolumna *Etykieta Innych*?

Nathan przytaknął, a następnie kiwnął głową w stronę młodego Wilka.

– Chce wiedzieć, czy to prawda.

Monty zajrzał nad ramieniem Kowalskiego i zaczął czytać.

„Droga Wszechwiedząca,

zeszłego wieczoru ludzka samica zaprosiła mnie na kolację i zabawę we czwórkę. (Okazało się, że była to zabawa we dwójkę, ponieważ nikt inny nie przyszedł). Po kolacji chciała siedzieć z tyłu swojego samochodu i się bawić. Ponieważ była to moja pierwsza społeczna interakcja z człowiekiem, próbowałem być miły i nie powiedziałem, że na pobliskim polu było o wiele więcej miejsca do zabawy. Nie dodałem również, że przecież nie miała żadnych zabawek. W każdym razie zaczęła mnie dotykać i lizać mój pysk. Gdy wsadziła mi język do pyska, pomyślałem sobie, że jest głodna, chociaż właśnie

zjedliśmy obfitą kolację. Wyświadczyłem jej więc przysługę i zwróciłem jej część nieco przetrawionego pokarmu.

Zacząła pluć i krzyczeć, kazała mi wysiąść z samochodu, a potem odjechała. Musiałem wracać do domu na piechotę.

Dlaczego tak się zachowała?

Podpisano

Zdumiony Wilk”.

„Drogi Zdumiony,

jednym z wyzwań relacji międzygatunkowych jest to, że konkretny gest czy sygnał może zostać odczytany na dwa sposoby. Jako Wilk odpowiedziałeś tak, jak odpowiedziałbyś szczeniakowi liżącemu twój pysk: zapewniłeś mu pokarm. Zatem twoje zdumienie jej reakcją jest całkowicie naturalne. Ludzie jednak liżą i wkładają języki do pysków na znak, że mają ochotę się parzyć. Twoja towarzyszka nie prosiła o jedzenie, lecz wysyłała ci zaproszenie do pierwszych wspólnych doznań seksualnych. To się nazywa gra wstępna. (To nie to samo, co zabawa w czwórkę, chociaż z badań Wszechwiedzącej wynika, że czasami ludzie robią to właśnie w czwórkę).

Proponuję, żebyś zaopatrzył się w książkę *Kobiocy umysł dla idiotów*, która może pomóc ci zrozumieć ludzkie samice. Należy jednak podkreślić, że zgłębianie tego tematu może być niebezpieczne, musisz zatem podchodzić do niego niezwykle ostrożnie. Bądź co bądź, ludzkie samce od wielu pokoleń próbują zrozumieć swoje samice i zwykle wychodzą z tych potyczek z podkulonymi ogonami”.



Kowalski zaczął wydawać z siebie dźwięki, jakby się zakrztusił. Wreszcie udało mu się z siebie wydusić:

– Taaak... – Oddał biuletyn chłopakowi. – Tak, to prawda.

Chłopak spojrzał na arkusz.

– Aha – powiedział, a następnie ruszył w stronę Czegoś na Ząb.

Nathan kiwnął do mężczyzny i ruszył za nastolatkiem.

– *Kobiocy umysł dla idiotów*? – odezwał się Monty. – Czy taka książka naprawdę istnieje?

– Mają tu na sprzedaż jeden egzemplarz, w bibliotece jest drugi, już mocno zniszczony, więc chyba ktoś próbował go przeczytać.

– A ty? Czytałeś?

Kowalski powstrzymał się od śmiechu.

– Na bogów, poruczniku...

Monty przyjął to za zaprzeczenie.

– Wprowadzasz się na drugą stronę ulicy? – zmienił temat. Znał odpowiedź, chciał jednak zachęcić Karla do powiedzenia czegoś, co jeszcze nie zostało powiedziane.

Miła atmosfera prysnęła niczym bańka mydlana. Kowalski spojrzął na niego, a potem skupił się na stole wystawowym.

Wokół nie było nikogo, ale dla Innych ten fakt nie miał żadnego znaczenia.

– Dzisiaj rano pojechaliśmy do domu MacDonalldów, żeby odebrać rzeczy Ruthie – zaczął cicho Kowalski. – Eve Denby zrobiła wszystko, żeby wysprzątać i pomalować dla nas mieszkanie. Potem my pomożemy jej i Pete'owi zrobić to samo w mieszkaniu na dole. Simon Wilcza Straż zaproponował, że przyniesie ich osobiste rzeczy ze starego mieszkania na Środkowym Zachodzie. *Terra indigena* na tym terenie spakowali wszystko, co mogli, począwszy od tego, co według Denbych było najcenniejsze.

– Rzeczy osobiste... – rzekł tak samo cicho Monty.

Kowalski pokiwał głową.

– Zostawiono bardzo dużo. Dużego sprzętu, na przykład kanapę. Materace... – Monty wiedział, że na początek potrzebne będą duże pieniądze. Czekąło go to samo. Jego była partnerka, Elayne, zatrzymała wszystkie meble, które wspólnie kupili do mieszkania w Toland. Brat Elayne został znaleziony martwy, a jej matka wciąż była uznawana za zaginioną, więc Monty nie miał pojęcia, kto powinien zająć się sprzedażą majątku Elayne. Podejrzewał, że Lizzy była teraz jej najbliższą krewną. Będzie musiał jak najszybciej porozmawiać z Petem Denbym, by mieć pewność, że interesy córki są dobrze chronione. – Czy Eve albo Pete Denby rozmawiali z tobą o tym, że jesienią trzeba będzie zapisać Lizzy do szkoły? – zapytał Kowalski.

– Nie. – Monty przyjrzał się czujnie partnerowi. – Czy powinienem o czymś wiedzieć?

– Eve poszła porozmawiać z dyrektorem szkoły, do której jesienią

powinni pójść Sarah i Robert.

Monty poczuł dreszcz.

– *Powinni?*

– Usłyszała, że jej dzieci nie mają prawa korzystać z zasobów przeznaczonych dla prawdziwych ludzi.

– A skąd wiedzieli, że ona nie jest prawdziwym człowiekiem?

– Podała swój nowy adres. Wydaje mi się, że dyrekcja szkoły tylko czekała na okazję, żeby odrzucić kandydaturę dzieci Eve i sprawdzić, jak przebiega dyskwalifikowanie dzieci, których rodzice trzymają z Wilkami.

– Nie mogą tego zrobić – zaprotestował Monty. – To nie jest prywatna placówka. Rozmawiamy o publicznej szkole, prowadzonej przez miasto.

W „Wiadomościach Lakeside” Ruthie widziała krótki artykuł na temat tego, że wkrótce wszystkie szkoły zostaną sprywatyzowane. Jeśli tak się stanie, będą mogli wybierać, kogo chcą uczyć.

– Na bogów na górze i na dole. – Po raz kolejny miał wrażenie, że ktoś dźgnął go nożem. Ilu rodziców zostanie członkami LPiNW, skoro będzie to jedyny sposób na zapewnienie dzieciom edukacji?

– Pomyślałem, że powinieneś o tym wiedzieć – rzekł Kowalski.

– Doceniam to ostrzeżenie.

– Lepiej zapłacę już za tę książkę i wrócę do pracy, zanim Eve zacznie mnie szukać.

– Do zobaczenia jutro na komisariacie.

– Nie mogę się doczekać.

Monty się uśmiechnął. Uśmiechnął się jeszcze szerzej, usłyszawszy głos Simona Wilczej Straży:

– Biblioteka to miejsce, w którym możecie pożyczyć książki kupione przez Dzielnicę albo stado, tak by wszyscy mogli je czytać. – Simon wkroczył do sklepu. Za nim weszło pięć Wilków. – Natomiast księgarnia, taka jak Zabójczo Dobre Lektury, to miejsce, w którym kupuje się książki, które chce się zatrzymać dla siebie bez konieczności oddawania ich z powrotem. – Stał za ladą i spojrzał na Kowalskiego.

– Dzisiaj tylko ta jedna. – Karl położył książkę na ladzie i wyjął portfel z tylnej kieszeni spodni.

– Jaką książkę kupił ten człowiek? – spytał jeden z Wilków, patrząc na Simona.

Kowalski podniósł książkę, tak by Wilki widziały okładkę.

– Napisał ją Alan Wilcza Straż.

– Tak. Bardzo lubię jego historie – wyznał Karl.

Przez chwilę Wilki patrzyły na niego w zdumieniu, aż wreszcie odważyły się na kolejny komentarz:

– Przecież w jego opowieściach występują źli ludzie.

– Tak samo jak w książkach napisanych przez ludzi.

Wilki patrzyły na niego jeszcze przez dłuższy czas, a następnie skierowały się w stronę Simona.

– Polecę wam kilku autorów, którzy piszą takie historie – obiecał Wilcza Straż. – Poruczniku Montgomery?

– Byłbym wdzięczny, gdybyśmy mogli zamienić słówko na osobności.

Simon pokiwał głową, a następnie zaprowadził gości do regału z thrillerami.

– Wygląda na to, że jest pan zajęty – rzekł Monty, gdy Kowalski wyszedł z księgarni, a Simon wrócił za ladę.

– Tak, jestem. Jesteśmy.

– Nikt nie podejrzewał, że ta grupa kobiet będzie miała tyle samo pytań, co Wilki z gór Addirondak.

– Grupa?

– Brzmi mniej niebezpiecznie niż „stado” – mruknął Simon. – Poza tym wczoraj na kilka dni przyleciał Charlie Wronia Straż. Musieliśmy wysłuchać jego *Pieśni o Kobiecie o Kształtach Imbryka i Dziewczęciu niczym Kij od Miotły*. Charlie powiedział, że pieśń ta powstała na podstawie wydarzeń, w których Meg i Merri Lee pokrzyżowały plany ataku na Dziedziniec, i że Merri Lee jest Kobietą o Kształtach Imbryka. Żaden Wilk nie chciał później stanąć obok niej, gdy trzymała dzbanek z kawą.

Monty parsknął śmiechem. Kontakty z Innymi były bez wątpienia niebezpieczne, ale absurdalne sytuacje, takie jak ta opisana w biuletynie czy reakcja Wilków na piosenkę, dawały mu nadzieję na to, że mimo wszystko ludzie i *terra indigena* mogą znaleźć wspólny język. Szybko

jednak spoważniał.

– Przyszedłem poprosić o przysługę w imieniu kapitana Burke’a – powiedział.

– Jaką przysługę?

– Jego kuzyn przyjechał z wizytą na kilka dni. Shady Burke pomagał w bezpiecznym sprowadzeniu pewnych wyjątkowych dziewcząt. Inni zmienili kierunek statku płynącego do Cel-Romanii, na którego pokładzie były *cassandra sangue*, i sprowadzili „zaginiony” statek do Brytanii. Shady brał udział w ratowaniu dziewcząt.

– Pamiętam – odparł Simon. Shady byłby wdzięczny za możliwość interakcji z kilkoma *terra indigena*, żeby zwiększyć umiejętność współpracy z nimi, gdy wróci do domu. – W różnych częściach Namid mieszkają różne istoty. Shady Burke może nie spotkać tu takich samych stworzeń, chociaż Wronia Straż mogą mieszkać również w Brytanii. Mieszkają w wielu miejscach.

– On doskonale to rozumie. Ale jeszcze nigdy nie widział Dziedzińca.

Zapadła cisza. W końcu Simon stwierdził:

– Charlie Wronia Straż będzie dziś grać na targu. Theral zagra kilka utworów na skrzypcach. To dobry czas, żeby kapitan Burke i jego krewny przyszedli na Dziedziniec. Mogliby posilić się w Mięsie i Zieleninie.

A może znaleźliby jeszcze jakiś inny rodzaj rozrywki? pomyślał Monty, ale głośno powiedział tylko:

– Dam im znać.

– Simonie? – rozległo się wołanie Wilka.

Monty jednak ani drgnął.

– Coś jeszcze? – spytał Simon.

Czy naprawdę chciał o to pytać? A czy miał wybór?

– Na jakiś czas przyjedzie do mnie moja mama. Zajmie się Lizzy. Być może dojadą też moja siostra i dwójka jej dzieci.

Simon świdrował policjanta bursztynowymi oczami.

– Czy to całe twoje stado?

– Mam jeszcze brata, ale dawno nie miałem od niego wieści.

– Simonie! – krzyknął ponownie Wilk.

– Zaraz przyjdę!

Monty nie próbował nawet odgadnąć, o czym myśli Wilcza Straż. Stado wilków zmieściłoby się w dwupokojowym mieszkaniu, które dla trojga dorosłych i trojga dzieci z pewnością byłoby za małe.

– Gdzie jest teraz twoja matka? – spytał Simon.

– Mieszka w Toland. Tak jak moja siostra.

Dłuższa chwila ciszy. Monty słyszał rozmowy dobiegające od strony regałów z książkami. Ktoś inny musiał pomóc Wilkom.

– Ludzie mają ważne dokumenty – rzekł Simon, nie patrząc na niego. – Takie, które muszą zachować.

– Tak.

– Twoja matka i siostra. Niech szybko przyjadą i przyniosą ze sobą ważne papiery.

– Nie muszą zabierać takich rzeczy, jadąc w odwiedzinę – odparł Monty z uśmiechem, pomyślał jednak, że to dobry pomysł, skoro mama ma zamiar na stałe przenieść się do Lakeside.

Simon podniósł na niego wzrok.

– Poruczniku, niech przyjadą jak najszybciej i przywiozą ze sobą wszystko, co najważniejsze.

Po raz kolejny Monty poczuł, jak przeszywa go dreszcz. Wilcza Straż nie pomylił się, mówiąc o ważnych dokumentach, przywożonych nawet w odwiedzinę. W ten zawołany sposób chciał go ostrzec.

Wilk odszedł od lady. Po chwili zniknął między półkami.

Monty poszedł do Czegoś na Ząb i zamówił kawę. Zamiast wziąć ją na wynos, jak zwykle, usiadł przy stole obok okna. Zignorował zaskoczony spójrzanie Debany'ego.

Ostrzeżenie w tak zawołany sposób było typowe dla Simona Wilczej Straży. Jednak wiadomość była dostatecznie jasna: Zabieraj rodzinę z Toland, bo wkrótce coś się wydarzy.

O ile jeszcze się nie wydarzyło, pomyślał, przypominając sobie wiadomości na temat martwych ryb wyrzucanych na brzeg wokół Toland i dwóch innych miast na Wschodnim Wybrzeżu.

Wypił kawę, odniósł filiżankę na ladę, a następnie dał Debany'emu znak, żeby wyszedł za nim.

Gdy już znaleźli się w radiowozie, Debany zapytał:

– Dokąd jedziemy, poruczniku?

– Z powrotem na komisariat. Albo nie. – Monty nieoczekiwanie wysiadł z samochodu. – Poczekaj tutaj. Muszę zadzwonić. Wracam za kilka minut.

Poszedł na górę, do mieszkania służbowego, w którym mógł spokojnie porozmawiać. Wyjął telefon komórkowy i zadzwonił do domu siostry. Nie był zaskoczony, gdy odebrała matka.

– Mamo? Tu Crispin.

– Crispin? Wszystko w porządku?

– W porządku, mamo. – Nabrał powietrza i powoli je wypuścił. – W porządku. Ale musisz mnie bardzo uważnie wysłuchać.



Środa, 13 czerwca

Wiatr roztańczony nad Dziedzińcem łagodził upał, gdy Simon i Sam biegli drogą. Meg i Tess pojechały na targ po ubrania dla dwóch Wilków. Sam mógł zostać w wilczej postaci, jednak Simon czuł, że tego dnia powinien wyglądać po ludzku – z grzeczności wobec ludzi, którzy mieli do nich dołączyć.

Pamiętaj, szczeniaku, nie wyjemy podczas każdej piosenki, upomniał Simon. Charlie Wronia Straż powie nam, w którym momencie możemy się odezwać.

Wiem, odparł Sam. Umiem się zachować.

Co oznaczało, że ktoś inny tego nie wiedział. Czy ludzkie szczeniaki często zachowywały się źle podczas publicznych wydarzeń? Czy powinien ostrzec porucznika Montgomery'ego i Pete'a Denby'ego,

że każdy, kto będzie przeszkadzał w słuchaniu muzyki, zostanie ugryziony? Pomyślał, że może ludzie brali udział w koncercie z czystej grzeczności, ale mógł się mylić. Theral zagra na skrzypcach i inni ludzie będą znali te piosenki. Stado samic bardzo ekscytowało się koncertem, nie mogły się doczekać gry Theral i występu Charliego Wroniej Straży. A Kowalski i Debany pytali go dwa razy, czy Charlie zaśpiewa piosenkę o tym, jak Meg i Merri Lee pokonały złego człowieka, Phineasa Jonesa.

Gdy dotarli na targ, Kowalski i Debany już tam byli. Ustawili na środku placu trzy rzędy krzeseł.

– Vlad kazał nam tak to rozstawić – powiedział Kowalski, gdy Simon do nich dołączył. – A Henry powiedział, żeby za krzesłami i po obu stronach postawić żerdzie.

Nie wszyscy *terra indigena* mogli wziąć udział w koncercie. Niektórzy musieli stać na straży. Jednak tego dnia chodziło zarówno o nawiązanie kontaktu z ludźmi, jak i o posłuchanie muzyki. Dla tych, którzy nie mogli – albo nie chcieli – wziąć udziału w wydarzeniu, Charlie miał dać prywatny koncert.

Z Mięsa i Zieleniny wyszła Tess. Tuż za nią przyszły Meg, Merri Lee, Ruthie i Eve.

– Jesteśmy przygotowane – oznajmiła Tess. – Mamy pizzę z Chrupiących Przymaków, którą możemy podgrzać, świeżo zerwane jagody, kanapki i słodycze. Jest również mielone mięso z bizona dla tych, którzy chcieliby usmażyć sobie burgera.

Charlie siedział na krześle i stroił gitarę. W jego czarnych włosach było trochę więcej piór niż zwykle – co oznaczało, że bardzo ekscytował się wystąpieniem przed ludźmi.

Henry wniósł na środek wielki bęben. Nathan wszedł za nim, niosąc drewniany flet. Położył go na taborecie obok Charliego i zajął miejsce na widowni.

Skoro ty grasz na flecie, to kto gra na bębnie? spytał Simon.

Zobaczmy, odparł Niedźwiedź. Stał obok Charliego, gdy z gabinetu medycznego wyszła Theral. Musiała się ostrzec przed występem.

W powietrzu unosił się zapach zdenerwowania i potu, ale uśmiech, jakim obdarzyła Charliego, zdawał się być prawdziwy. Simon zauważył,

że woń zdenerwowania zaczęła się rozprzestrzeniać, gdy Theral pokazała swoje skrzypce rozentuzjasmowanej Wronie.

Potem na targ weszły Wilki: Blair, Elliot, Jane i John oraz sześć Wilków z gór Addirondak. Łącznie z Simonem, Samem i Nathanem – było trzynaście Wilków. Dostatecznie dużo, by wyrównać liczbę obecnych ludzi. Tym bardziej że Simon widział dym, unoszący się po drugiej stronie krzesel. Erebus i dwóch innych Sanguinatic przybrali ludzką postać. Dwa pozostałe słupy dymu usiadły w cieniu, by popatrzeć.

Sowy zleciały na dół i usiadły na żerdziach z jednej strony targu. Jastrzębie ulokowały się na żerdziach tuż za Erebusem i jego krewnymi. Żerdzie bezpośrednio za krzesłami zostały dla Wron – w ten sposób miały one najlepszy widok na Charliego.

Simon ucieszył się, gdy przyleciał Jake, a za nim Jenni i Starr. Śmierć Crystal uderzyła we wszystkich we Wroniej Straży, Stowarzyszenie Przedsiębiorców zastanawiało się, czy Jenni i Starr zostaną w Lakeside, a jeśli tak, to czy nadal będą prowadzić Błyskotki i Starocie. Nie był to jednak odpowiedni czas na analizowanie tego. Znajdowali się tutaj, wśród ludzi – gatunku, który przez większość czasu był prawdziwym wrogiem *terra indigena*. Simon miał nadzieję, że ich obecność oznaczała, że Wrony potrafiły odróżnić przyjaciół od wrogów.

Następnie przybyli ludzie. Małżeństwo Denbych z dwoma szczeniakami. Razem z nimi przyszedł porucznik Montgomery. I Lizzy.

Sam skoczył, żeby się przywitać, ale się zawahał.

Samie? Chcesz się przemienić? Jeśli pragniesz pobawić się z ludzkimi szczeniakami, to Meg przyniosła dla ciebie ubrania.

One są niemądre, odparł Sam. Chcę zostać z tobą i Meg. I posłuchać muzyki.

Sam wrócił do Meg i wcisnął się między jej białe stopy. Jeśli zrobi jej się zbyt gorąco, to go przesunie. Meg i Sam świetnie się dogadywali. Natomiast ludzie...

Ludzkie szczeniaki zdawały się celowo nieposłuszne, jakby specjalnie zakłócały spokój. Wilki znały różnicę między dobrym humorem a sprawianiem kłopotów i patrzyły na dwunożne szczeniaki trochę zbyt surowo. Tak samo jak Ruthie. Patrzyła tak, jak patrzy niania

stada planująca powstrzymać jakieś bezsensowne zachowanie podopiecznych.

Montgomery zaczął rozmawiać z Denbymi. Potem Pete spojrzął przeprasząco na Simona i odprowadził najmłodsze szczeniaki, a Eve weszła do Mięsa i Zieleniny po skrzynki z żywnością. Powiedziała coś do Tess i poszła za swoim samcem.

Ich zdaniem szczeniaki nie będą potrafiły się dzisiaj zachować, powiedziała Tess w odpowiedzi na pytające spojrzenie Vlada. *Nie chcę popsuć nam zabawy, więc zabierają młode do domu. Puszczą im film. Podejrzewam jednak, że Pete i Eve będą wychodzić na zewnątrz, żeby chociaż trochę posłuchać.*

Wystarczyłoby lekkie ugryzienie i od razu zachowywałyby się lepiej, odrzekł Simon.

Prawdopodobnie każdy obecny tu Wilk myśli tak samo. I właśnie dlatego Pete i Eve zabrali dzieci do domu.

Simon zastanawiał się, w jaki sposób dorośli zdecydowali, kto zostanie posłuchać muzyki, a kto będzie się zajmował szczeniakami. Potem zobaczył, jak na targ wchodzi kapitan Burke i drugi mężczyzna – i zrozumiał, że nie było żadnej decyzji. Montgomery został, ponieważ policja była kolejnym stadem, które strzegło Dziedzińca, musiał więc być tu z Burke’em.

– Simonie? – Meg nie musiała unosić głosu, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. Jednak usłyszawszy ją, przypomniał sobie, że pora zamienić się w człowieka, jeśli chciał poznać obcego, którego przyprowadził Burke. Spojrzął na Meg wyczekująco. – Zniosłam twoje ubrania do Mięsa i Zieleniny – powiedziała.

Pobiegł się przebrać i wypełnić obowiązki gospodarza wieczoru. W nagrodę będzie mógł trzymać Meg za rękę podczas koncertu.



W swoich wizjach Meg widziała orkiestry, sale koncertowe i amfiteatry. Jednak te obrazy nie miały nic wspólnego z ich doświadczeniem. Na środku placu targowego znajdowały się trzy szerokie stopnie, prowadzące na podwyższenie z ławkami i stolikami, przy których Inni mogli usiąść, zjeść, poczytać lub po prostu odpocząć, gdy byli w ludzkiej postaci.

Meg rozpoznała, że gitara i bęben to instrumenty muzyczne, a podczas jednej z wizyt w jego mieszkaniu Henry pokazał jej swój drewniany flet.

Pochyliła się i położyła dłoń na ramieniu Sama, tak by szczeniak nie podskoczył i nie uderzył głową w jej brodę.

– Ależ to ekscytujące – szepnęła, głaszcząc go. – Byłeś już kiedyś na koncercie?

– *Arroo*.

Odchylił głowę i polizał ją po brodzie.

Nie wiedziała, co to oznaczało, ale stwierdziła, że to nie ma znaczenia.

Gdy podeszli do niej kapitan Burke, porucznik Montgomery i jakiś obcy mężczyzna, jej palce zacisnęły się na futrze Sama, który wydał z siebie zmartwione *whuff*.

Nie było żadnego powodu, by się bać. Siedziała na Dziedzińcu, ufała kapitanowi Burke'owi i porucznikowi Montgomery'emu. Nie przyprowadziliby tu kogoś, kto stanowiłby zagrożenie dla kogokolwiek z nich.

– Panno Corbyn? – Burke uśmiechnął się do niej. – To mój kuzyn, Shamus Burke. Przyjechał aż z Brytanii, żeby mnie odwiedzić i zobaczyć Lakeside.

– Dzień dobry, panie Burke – odrzekła.

– Miło mi panią poznać. – Shamus również się uśmiechnął. – Proszę mi mówić „Shady”. Wszyscy tak mówią.

Przestała ścisnąć Sama. Poczowała się lepiej, gdy Shady ukucnął i podał mu rękę do powąchania. Po chwili odwzajemniła uśmiech.

Nie musiała się rozglądać, żeby wiedzieć, że wszystkie Wilki przybliżyły się, widząc obcego człowieka przy szczeniaku. Po chwili Shady wstał i cofnął się. A potem Simon, już w ludzkiej postaci, stanął między ludźmi i Wilkami i został przedstawiony Shady'emu.

Charlie Wronia Straż uderzył w struny i wszyscy pośpieszyli na swoje miejsca. Merri Lee i Michael Debany usiedli po prawej stronie Meg, miejsce po jej lewej zostawiając dla Simona. Karl i Ruthie siedzieli za nimi razem z Tess i porucznikiem Montgomerym. Obejrząwszy się przez ramię, Meg dostrzegła Burke'a i Shady'ego – siedzieli w trzecim

rzędzie razem z Vladem i Erebussem. Dopiero gdy wszyscy zajęli miejsca, Simon usiadł obok niej.

Na żerdziach i dachach domów było pełno Wron, Jastrzębi i Sów. Sanguinati, którzy weszli na targ tak cicho, że Meg zastanawiała się, czy ktokolwiek w ogóle zdawał sobie sprawę z ich obecności, siedzieli teraz na szerokich schodach po jednej stronie targu. Wilki zajmowały drugą stronę.

Lampy olejne, stojące w rogach najbliższej muzyków, zapewniały dostatecznie dużo światła; w kilku sklepach wokół targu również paliły się słabe żarówki.

Na widok Henry'ego zapalającego kolejną lampę Meg pochyliła się i zaczęła pocierać skórę nad prawą kostką. Gdy się wyprostowała, usłyszała szept Merri Lee:

– Meg? Wszystko w porządku?

Simon przysunął się do niej tak blisko, że mogła czuć jego ciepło – i poczuła delikatne mrowienie nad kostką.

– Po prostu coś mnie swędzi – odparła cicho. Tak bardzo chciała w to uwierzyć.

– Przyniosłam preparat na owady. – Merri Lee spojrzała na Simona i skrzywiła się. – Prawdopodobnie tobie nie spodoba się jego zapach, ale nie wiemy jeszcze, jak Meg zareagowałaby na ugryzienie.

Charlie zaczął śpiewać. Mrowienie prawie znikło.

– Nic mi nie jest – szepnęła Meg.

Trzymając Simona za rękę, zaczęła słuchać muzyki, zachwycając się, gdy Henry zagrał na flecie utwór *terra indigena* – znała go z płyt, których słuchał, robiąc swoje rzeźby i totemy. Ona i Merri Lee wzdrygnęły się, gdy zaczął śpiewać *O Kobiecie o Kształtach Imbryka i Dziewczęciu niczym Kij od Miotły*. Wzdrygnęły się jeszcze bardziej, gdy Wrony zaczęły krakać, Wilki wyć, Sanguinati klaskać, a Karl i Michael śmiać się i krzyczeć z zachwytu.

Theral zagrała piękny utwór na skrzypcach, a potem dołączył do nich Shady i wspólnie wykonali pieśń pochodzącą z Brytanii – mężczyzna śpiewał pięknym tenorem.

Wszyscy bili brawo. Meg potarła skórę nad kostką i delikatnie odsunęła Sama od swoich nóg. Szczeniak posłusznie położył się dalej,

ale zaskamlał smutno, gdy musiał zająć miejsce przed jej krzesłem.

– Meg? – spytał Simon. W tym jednym cichym słowie słychać było troskę, ostrzeżenie i pytanie.

– Nie czuję żadnego mrowienia – odszepnęła. – Po prostu jest mi trochę za ciepło. – Uśmiechnęła się do niego przeproszająco.

Trochę za ciepło. Merri Lee mówiła, że gdy ktoś za bardzo się opali, odczuwa mrowienie skóry, która zaczyna się łuszczyć. Brzmiało to obrzydliwie – i dla *cassandra sangue* mogło być niebezpieczne, chociaż tak naprawdę skóra nie została przecież przecięta. Czy rzeczywiście siedziała dzisiaj zbyt długo na słońcu? Czyżby ten fragment skóry zdawał się bardziej gorący niż reszta nogi, czy po prostu rozgrzał się od Sama albo od drapania?

– Potrzebujemy bębniarza – powiedział głośno Charlie. – Czy ktoś ma ochotę spróbować?

Z początku nikt się nie ruszył. Potem jednak kapitan Burke wstał i podszedł do bębna.

– Sprawdźmy, czy jeszcze pamiętam coś z czasów zmarnowanej młodości.

Przez kilka chwil walił w bęben, poznając miejsca, w których instrument wydawał różne dźwięki. Potem kiwnął głową do Charliego.

– Daj nam rytm – rzekł Henry. – Dopasujemy się.

Targ wypełniły proste rytmy. Instrumenty przypomniały Meg szelest liści na wietrze. A potem dołączyła do nich Theral, jej skrzypce wydawały dźwięk płytkiego strumienia. Zaczęły śpiewać Wilki – i cały Dziedziniec, w którym znajdowały się ludzkie sklepy i ludzkie instrumenty, wypełnił się dźwiękami dziczy.

Gdy Simon odchylił głowę i zaczął wyć, dołączyła do niego Meg, a po chwili rozległy się także głosy Merri Lee i Ruth. Odezwali się Karl i Michael, podczas gdy Wrony krakały, a Sowy pohukiwały. Milczeli tylko Sanguinati i Jastrzębie.

Meg spojrzała w prawo, gdzie Sanguinati siedzieli na schodach lub stali obok pod postacią słupów dymu.

Dym, pomyślała, gdy skóra pod jej prawą kostką znów zaczęła mrowieć. *Kanapka z grillowanym serem. Merri Lee mówiąca „Nie martw się, Meg. To twoja pierwsza próba. Skórka się trochę spiekła.*

Zeskrobiemy ją i kanapka będzie w porządku”.

Spojrzała na lampy olejne, na tańczące w nich płomienie, osłonięte szklanymi kulami.

Dym... i ogień.

Denerwujące mrowienie, które czuła podczas koncertu, nagle zmieniło się w bardzo bolesne wrzenie i pieczenie pod skórą.

Krzyknęła i złapała się za kostkę. W ciszy, która zapadła, wydawało jej się, że słyszy w oddali wycie syren, nie wiedziała jednak, czy to prawda.

– Muszę się naciąć... – wydyszała. – Muszę...

Nie było czasu na wyjaśnienia czy spory. Nie było czasu.

Wybiegła z targu.

Musiała dotrzeć do biura łącznika.

Recepcja.

Bandaż.

– Meg! – ryknął Simon, rzucając się za nią.

Wpadła na drzwi prowadzące na zaplecze i prawie się przewróciła, gdy stanęły przed nią otworem. Simon złapał ją w ostatniej chwili.

Poczuła, jak jego pazury wbijają się w jej koszulkę.

– Co możemy zrobić? – spytał Charlie, który wbiegł na zaplecze razem z kilkoma Wilkami.

– Przepuście mnie. *Szybko.* – Merri Lee zaczęła torować sobie drogę między Wilkami, które, zaskoczone, odsłoniły zęby.

– Wynocha! Wszyscy wynocha! – Meg nie widziała Tess, ale jej głos był dziwnie zachrypnięty.

Wilki i Charlie spojrzeli na stojącą za nimi Tess i wybiegli do sortowni.

– Muszę się naciąć... – wydyszała Meg i wyjęła z kieszeni srebrną brzytwę. – Muszę. – Była zbyt zdesperowana, by przejść kilka kroków do łazienki, usiadła więc na podłodze i drżącymi rękami rozłożyła brzytwę.

– W porządku. Musisz się naciąć. Ale pozwól, że zrobimy to prawidłowo – powiedziała Merri Lee stanowczym, choć drżącym głosem. Ze stolika na zapleczu wzięła długopis i notes.

Tak. Trzeba zrobić to prawidłowo.

Dym. Ogień. Wycie syren.

Meg spojrzała na Simona. Wpatrywał się w nią bursztynowymi oczami, których tańczyły czerwone płomienie, oznaczające wściekłość. Nie przybrał w pełni ludzkiej postaci. Był na to zbyt zdenerwowany.

– Nie mogę... czekać – wysapała.

– Skup się na nas – nakazała jej Tess i uklękła przed nią. – Wiesz, co musisz nam powiedzieć. Mów, wieszczko, a my cię wysłuchamy.

Rozkaz i obietnica.

Meg przyłożyła brzytwę w miejscu, w którym płonęła skóra nad kostką. I zrobiła cięcie.



Monty wepchnął się na zaplecze za Tess. Za nim weszli Burke i Shady. Poczul zmianę powietrza i stwierdził, że ktoś musiał otworzyć drzwi dla dostawców, żeby wpuścić więcej Innych bez konieczności wyklócania się z Tess – albo z Simonem.

– Wiesz, co musisz nam powiedzieć – rzekła Tess. – Mów, wieszczko, a my cię wysłuchamy.

Gdy wypowiedziała te słowa, w Meg zaszła ogromna zmiana. Monty był przekonany, że Burke, a tym bardziej Shady, który jeszcze nigdy tego nie widział, wszystko obserwowali – to, jak Merri Lee klęka obok Meg i trzyma długopis nad notesem, żeby spisać każde słowo proroctwa; cierpienie na twarzy Meg, gdy przecina skórę; nieobecny wyraz twarzy dziewczyny, gdy nieprzytomnym głosem zaczyna wypowiadać proroctwo.

– Kobieta. Ciemne włosy. Bochenek chleba. Czerniała skórka. Czerniałe ramiona. Dym. Ogień. Krzyk. Chleb płonie. Kobieta krzyczy. Płonie. – Meg westchnęła i wyciągnęła się na podłozie.

– Och, na bogów... – Merri Lee patrzyła na zapisaną kartkę.

Tess ruszyła w kierunku Monty'ego. Cały czas patrzyła w dół. Na jej głowie pojawiły się czarne i czerwone loki.

– Piekarnia i cukiernia Nadine – rzekł Monty z przekonaniem, ale i z przerażeniem. Potem odwrócił się do Burke'a i dodał: – Jej mieszkanie znajduje się nad sklepem. Mieszka nad sklepem.

Przepychając się między stłoczonymi przy drzwiach postaciami, wyjął telefon komórkowy. Nie znał numeru do jej domu, miał jednak

numer do piekarni. Spojrzał na zegarek, zaskoczony, że jest już tak późno. Czy jeśli Nadine spała, obudzi ją telefon w piekarni?

Burke wyszedł z biura, wybierając numer na swojej komórce. Wściekły wyraz jego twarzy i gwałtowne kroki przstraszyły zarówno dziewczęta, jak i jego ludzi, czekających na rozkazy.

Vlad wyszedł szybko zza rogu biura – z otwartą książką telefoniczną.

– Czy to ten numer? – Wskazał coś na liście.

– Tak. – Monty rozłączył się i wybrał numer domowy.

Nadine odebrała po drugim sygnale.

– Chris? Gdzie jesteś?

– Nadine, z tej strony porucznik Montgomery. Twój budynek płonie. Musisz się stamtąd ewakuować. Teraz.

Czy już wszystko się paliło, czy było to tylko ostrzeżenie przed tym, co miało się wydarzyć?

– Ja... Chris.

– Znajdziemy go. Nadine, wyjdź stamtąd.

Odłożyła słuchawkę.

– Róbcie, co możecie. – Usłyszał głos Burke'a, który zaklął siarczyście i spojrzał po wszystkich zgromadzonych – policjantach, dziewczynach, Simonie, Vladzie i Tess. Ta ostatnia nadal nie patrzyła nikomu w oczy.

– Na ulicy Targowej podpalono kilka sklepów, w mieście wybuchły kolejne pożary. Jest ich zbyt dużo. Poruczniku, proszę za mną.

– Chwileczkę – rzekł Kowalski. – Przyniosę służbową broń.

Tego wieczoru żaden z nich, może poza Burke'em, nie miał przy sobie broni.

– Szafka w kuchni, górna półka. – Monty wyjął kluczyki i wręczył je Kowalskiemu, wskazując dwa z nich. – Klucz do mieszkania. Klucz do skrzynki.

Karl wziął kluczyki i wbiegł po schodach prowadzących do służbowych mieszkań.

– Poczekam tu na was i spróbuję zrobić wszystko, żeby pomóc – zadeklarował Shady.

– Debany, ty i Kowalski macie podzwonić po szpitalach

i pozostałych dzielnicach – nakazał Monty. – Musimy znaleźć Chrisa Fallacaro.

– Myślisz, że stała mu się krzywda? – spytał Vlad.

Monty spojrział na Simona. Zaczął się zastanawiać, czy Wilk był w stanie mówić ludzkim językiem.

– Mam nadzieję, że nie. Ale musimy go znaleźć. – Chris, który był ślusarzem, również pracował na Dziedzińcu i mógł się stać celem ataku.

Wrócił Kowalski.

– Poruczniku! – Podał Monty’emu broń i kaburę. – Naładowana. A tu są dodatkowe naboje, na wypadek gdyby były potrzebne.

Monty schował szybkoładowacz do kieszeni kurtki i pobiegł, żeby dogonić Burke’a, który był już na parkingu dla pracowników, przy swoim samochodzie. Wsiadł i włączył niebieskiego koguta. Gdy tylko Monty zajął miejsce pasażera i zatrzasnął drzwi, Burke gwałtownie ruszył.

Ostrożnie przejechali między Wilkami i ludźmi, skręcili w prawo, potem jeszcze raz w prawo, włączyli syrenę i pomknęli Wronią Aleją do Alei Parkowej. Tam skręcili na północ z prędkością, która dla każdego innego kierowcy stanowiłaby ogromne zagrożenie.

– Nie damy sobie rady z ogniem – rzekł cicho Monty. Proroctwo można było zmienić. Spalony chleb? Owszem, sklep był już pewnie stracony. Ale...

– Nie, nie ugasimy ognia – odparł Burke. – Możemy jednak zapewnić pannie Fallacaro bezpieczeństwo po tym, jak wydobędzie się z budynku.

– Bezpieczeństwo? – Monty czuł, że robi mu się niedobrze. – Myślisz, że ktoś może czekać na nią na zewnątrz?

– A jak sądzisz?



Syreny. Straszliwe – ludzkie – wycie.

Simon wsłuchiwał się w te odgłosy, starając się opanować furję. Przecież Nadine nie robiła nikomu krzywdy, sprzedając chleb i ciasta Tess do Czegoś na Ząb. Tak naprawdę pozostałym piekarniom w mieście pozwolono prowadzić działalność tylko dzięki jej ugodzie z Dziedzińcem.

Zbyt wielu *terra indigena* z dziczy było na tyle blisko miasta, by zauważyć walki między ludźmi. Nie chodziło o konflikt, który można byłoby zrozumieć – na przykład gdyby dwóch piekarzy walczyło o dominację i kontrolę nad piekarnią, a przegrany musiałby szukać sobie nowego miejsca pracy. Nie, to zniszczenie było skierowane przeciwko Innym oraz ludziom, których sklepy i domy właśnie płonęły.

Tess?! krzyknął.

Zostaw mnie w spokoju, Wilku. Potrzebuję trochę czasu w samotności.

Nie wiedział, gdzie była, podejrzewał jednak, że zaszyła się w Czymś na Ząb.

– Simonie, udostępnię Kowalskiemu i Debany’emu telefony w Zabójczo Dobrych Lekturach, żeby mogli zadzwonić – powiedział Vlad. – Zostanę z nimi w sklepie.

Meg. Chciał zostać z Meg, obwąchać ranę i upewnić się, że jest czysta. Teraz jednak Merri Lee posmarowała nacięcie śmierdzącą maścią i owinęła je bandażami, żeby nikt go nie lizał.

– Nic jej nie jest. – Vlad kiwnął głową w stronę tylnych drzwi.

Simon się odwrócił.

Stała między Ruthie a Merri Lee. Dziewczyny były blade i pachniały strachem.

– Meg powinna coś zjeść – rzekł Vlad. – Niech razem ze stadem samiec pójdzie do Mięsa i Zieleniny. Zajmą się nimi dziadek Erebus i Shady Burke.

Małpy. *Są coraz bardziej rozwścieczone.*

– Tak. Ale ta choroba ma swoją nazwę: Ludzie Przede i Nade Wszystko.

Simon patrzył, jak Jester Kojocia Straż, z podkulonym ogonem, przepycha się między Wilkami i ludzkimi samcami. Gdy dotarł do Simona, stanął na tylnych łapach, prawdopodobnie chcąc przybrać ludzką postać. Gdy dostrzegł Meg i pozostałe dziewczyny, opadł na cztery łapy. Spojrzał na Simona.

Dostarczam pytanie.

Pytaj.

Czy mają zareagować?

Simon rozważył pytanie – i fakt, kto je zadał. Czy chciał, żeby Żywioły odpowiedziały na ten atak na ludzi, którzy przestrzegali umów zawartych z *terra indigena*? A jeśli Dziedziniec nie zareaguje, czy ludzie uznają to za słabość i będą nadal atakować? Ale przecież *terra indigena* na dzikich terenach, którzy byli kłami i pazurami Namid, rozważali już wyeliminowanie tego problematycznego gatunku, chcieli się pozbyć ludzi z Thaisii.

Owa eliminacja miała wkrótce nastąpić. Sanguinati i reszta *terra indigena* wyjechali z Dziedzińca w Toland. Bez wątpienia ludzie pomyślą, że to dlatego, iż Inni uznają ich dominację. Ale przecież Inni nie opuszczali Toland z powodu dwunożnych, tylko chcieli zejść z drogi nadchodzącej furii.

Jednak to było Toland, a Jester i dziewczęta nad jeziorem czekali na decyzję odnoszącą się do Lakeside.

W mieście płonęło dziś zbyt wiele budynków. Więcej, niż mogliby ugasić strażacy w wozach strażackich.

Zbyt wiele pożarów. I jednocześnie za mało.

Simonie? odezwał się Jester. *Czy mają zareagować?*

Simon popatrzył na niego.

Tak.



Gdy Monty i Burke skręcili w ulicę, przy której znajdowała się piekarnia Nadine, pożar szalał już na dobre.

– Gdzie, u diabła, są wozy strażackie? – warknął Burke. Wyskoczył z radiowozu, na dachu którego wciąż błyskał kogut, i otworzył bagażnik.

Monty również wysiadł i po chwili doszedł do wniosku, że odpowiedź na pytanie Burke’a jest oczywista. Wystarczyło rozejrzeć się po ulicy – strażacy gasili inne pożary.

Porucznik szybko przyjrzał się tłumowi gapiów, ale nie zauważył ani Nadine, ani Chrisa Fallacaro.

Burke zamknął bagażnik i zdjął sportową marynarkę, kabura z bronią odznaczała się pod jego koszulą. W ręku trzymał długą rurkę.

Monty spodziewał się jakiejś strzelby. Wolał się nie zastanawiać, dlaczego Burke wozil długą rurkę w samochodzie służbowym.

- Kapitanie?
- Widzi ją pan?
- Nie. Ale za jej domem jest miejsce do parkowania.

Burke ruszył w tamtym kierunku. Monty pobiegł za nim, nie spuszczać wzroku z budynku. Na bogów, jakiej substancji łatwopalnej użyto, że ogień tak błyskawicznie się rozprzestrzenił? Czy Nadine...

Usłyszeli krzyk. Lekko myślnie zignorowali temperaturę powietrza oraz płomień i pobiegli na tyły budynku. Nadine udało się dobiec do swojego samochodu. Została ostrzeżona w ostatniej chwili i zdołała wydostać się z domu, nie uciekła jednak przed grupą mężczyzn, którzy przybyli, żeby ją zabić. Napastnicy wybili szyby samochodu i właśnie wyciągali z niego kobietę, gdy przybył Burke. Zaczął wściekle wymachiwać ręką, powalił na ziemię dwóch agresorów i przepędził resztę.

– Policja! – wrzasnął Monty, celując z broni w przestępców. – Na ziemię!

Nagle w przestrzeń między nim a mężczyznami runął fragment płonącego domu. Podejrzał, że napastnicy nie posłuchają rozkazu.

– Poruczniku, niech pan ją stąd zabierze! – ryknął Burke.

Monty schował broń i pobiegł do samochodu. Zepchnął Nadine na siedzenie pasażera, włączył silnik i wyjechał z wąskiego podjazdu, niemal potrącając dwoje ludzi, którzy albo biegli im na pomoc, albo po prostu chcieli popatrzeć. Minął radiowóz i stanął za nim, blokując samochody zaparkowane na ulicy.

– Zostań tutaj. – Wyskoczył na zewnątrz i już miał biec do dowódcy, gdy go dostrzegł. Burke szedł w jego stronę. Nie spuszczać z niego wzroku, Monty pochylił się do Nadine.

– Jesteś ranna? – zapytał. – Potrzebujesz lekarza?

Nie usłyszał odpowiedzi, pomyślał więc, iż kobieta jest w szoku. Miał nadzieję, że Burke wozil w bagażniku koc. Nagle się odezwała:

– Po twoim telefonie ubrałam się, złapałam torebkę, kluczyki i dwa pudła, w których trzymam najważniejsze dokumenty. Załadowałam je do bagażnika i wtedy usłyszałam krzyki, usłyszałam...

– Potem złożysz zeznania. Teraz...

– Chcieli mnie wrzucić z powrotem do budynku, w ten ogień –

powiedziała oszołomiona. – Powiedzieli mi to. Planowali mnie wrzucić w ten ogień...

Monty dołączył do kapitana, który otworzył bagażnik radiowozu, wrzucił do niego rurkę i wyjął swoją marynarkę.

– Ma pan tam koc? – spytał Monty.

Burke wyjął jeden i podał go porucznikowi. Monty pobiegł z powrotem do Nadine, otulił ją, a następnie wrócił.

– Kapitanie...

– Spada dużo odłamków. – Burke założył marynarkę. – Podczas ataku kilku napastników potknęło się o fragmenty płonącego domu.

– Na bogów, kapitanie! A co, jeśli pana oskarżą?

Z reguły Burke uśmiechał się przyjaźnie, jednak teraz jego uśmiech był przerażający.

– Myślisz, że którykolwiek z tych mężczyzn będzie chciał, żeby *terra indigena* dowiedzieli się, kto podpalił piekarnię pani Fallacaro i próbował ją zabić? – odezwał się. – Poraniłem kilku ich ludzi, ale nie chciałem wyrządzić im większej krzywdy. Wątpię, czy ich rany są na tyle poważne, żeby chcieli iść do lekarza, nie mówiąc już o czekaniu na izbie przyjęć. Jeśli jednak zechcą się zgłosić i ujawnić, tak by wiele osób zobaczyło ich twarze, jestem gotów ponieść konsekwencje swojego czynu.

– A co się z nimi stało?

– Przeszli przez płot do sąsiedniej posesji. Tak mi się wydaje. – Nie słyszał strzałów. Przynajmniej Burke nie zastrzelił żadnego z nich.

Nagle rozdzwonił się telefon Monty'ego.

– Montgomery.

– Poruczniku, z tej strony Kowalski. Znaleźliśmy Chrisa Fallacaro. Był w okolicy uniwersytetu. Przywieziono go razem z kilkoma innymi młodymi mężczyznami, którzy brali udział w bójce. Rozmawiałem z kapitanem Wheatleyem. Jego zdaniem Fallacaro padł ofiarą ataku i nie za bardzo mógł się bronić po tym, jak ktoś złamał mu młotkiem lewą rękę.

– Co przerwało bójkę?

– Dzieciak z młotkiem uniósł go nad głowę, żeby zadać kolejny cios... i trafił w niego piorun. Właśnie wiozą go do kostnicy.

Na bogów na górze i na dole, pomyślał Monty.

– Fallacaro złożył zeznania. Jest w drodze do szpitala. Czy ja i Debany mamy do niego pojechać i zostać z nim?

– Chwileczkę. – Monty przekazał tę informację Burke'owi.

– Dobry pomysł – stwierdził Burke. – Niech jadą. Shady będzie miał oko na wszystko. Gdy tylko wrócimy na Dziedziniec, zadzwonię do kapitana Wheatleya i o wszystkim mu opowiem...

Przerwał mu potężny odgłos eksplozji. Spojrzeli w stronę źródła dźwięku. Dwie ulice dalej z jednego z budynków wystrzeliła kula ognia.

– Jedźmy już – szepnął Burke, gdy eksplodował drugi budynek. A potem trzeci. I czwarty. Nieopodal nich trafił piorun. – Jedźmy już – powtórzył Burke.

Monty wrócił do samochodu Nadine i pojechał za błyskawicznym niebieskim kogutem na dachu auta Burke'a.

Po chwili od północy nadciągnęła rześista ulewa, która zgasiła pożary i zalała ulice.



– Co sądzisz? – spytała Eve Denby.

Henry rozejrzał się po pokoju nad biurem łącznika – pomieszczeniu, które okazjonalnie było wykorzystywane do uprawiania seksu z ludźmi. Zastanawiał się, co powinien sądzić. Co więcej, zastanawiał się, czy to on powinien udzielić odpowiedzi na to pytanie. Potem popatrzył na Ruthie, Theral i Eve. Najwyraźniej rozważały kandydatury na członków Stowarzyszenia Przedsiębiorców i postanowiły, że w tej chwili to właśnie on jest najlepszy.

Tess uciekła z Dziedzińca. Nikt nie wiedział, gdzie się ukryła, wiadomo było jednak, że w najbliższym czasie kilkoro członków ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko umrze z powodu tajemniczej zarazy, która w ciągu ostatnich miesięcy kilkakrotnie atakowała mieszkańców miasta. Simon wycofał się, żeby zastanowić się nad prostym, a jednocześnie trudnym zagadnieniem: Czy Lakeside było warte ocalenia, a jeśli tak, to jaką część Dziedzińca da się uratować? Vlad i Blair zajmowali się obroną Dziedzińca i jego własności. Wilki patrolowały granice i strzegły trzech bram, przez które dostęp był najprostszy. Sanguinati ochraniali targ i budynki na Wroniej Alei, żeby

mieć pewność, że nikt nie zaatakuje mieszkania Denbych ani nie zagrozi bezpieczeństwu ich dzieci. Wrony i Jastrzębie patrolowały budynki z góry, a Sowy latały wzdłuż ogrodzenia, szukając intruzów. Nathan, Erebus i Shady Burke siedzieli w barze Mięso i Zielenina razem z Meg i Merri Lee.

A więc sam musiał znaleźć odpowiedź na pytanie, którego nawet nie rozumiał.

– To miejsce nie różni się zbytnio od hotelowego pokoju – wyjaśniła Ruthie. – Jest osobna łazienka. Szybko posprzątałyśmy i zmieniliśmy pościel. Nie żebyśmy uważali, że ta, która leżała na łóżku, była używana, ale... – przerwała na chwilę, po czym z trudem dokończyła: – Pani Fallacaro będzie musiała się gdzieś zatrzymać, przynajmniej dzisiaj. W zwyczajnym hotelu byłaby całkiem sama.

– A nikt, kto może się stać celem ataku, nie pragnie być sam – dodała Eve.

Teraz zrozumiał.

– Czyli chcecie, żeby pozwolono jej tu zamieszkać?

Zgodnie pokiwały głowami.

– Zastanawialiśmy się też, czy ktoś mógłby sprawdzić, co u Lorne'a – rzekła Ruthie. – Powiedział, że przyjdzie na koncert, ale się nie zjawił. Nie odbiera też telefonu stacjonarnego ani komórkowego. Mieszka niedaleko stąd.

– Spróbujemy go znaleźć – obiecał Henry. Postanowił, że porozmawia z Vladem również o poszukaniu Elizabeth Bennefeld i Dominica Lorenzo, dwojga pozostałych ludzi, którzy świadczyli usługi dla mieszkańców Dziedzińca. – Coś jeszcze?

– Czy macie jakąś przestrzeń magazynową, którą mogliby wykorzystywać ludzie? – spytała Eve. – Musimy gdzieś upchnąć rzeczy, których nie chcemy się pozbywać.

– Porozmawiam z Simonem. – Podczas zim ludzkie osady na dzikich terenach często były odcięte od miast, mieszkańcy musieli więc gromadzić zapasy. Ucieszyło go, że te kobiety szykują się do podobnej izolacji.

Wyszedł z pomieszczenia. Usłyszawszy ryk silników samochodowych, zbiegł po schodach za biurkiem łącznika i zmienił ręce

w bardziej praktyczne i skuteczne niedźwiedzie łapy, zakończone ostrymi pazurami. Rozejrzał się, ale nie dostrzegł żadnych intruzów. Nie rozpoznał samochodu, w którym wybito szyby, ale prowadził go porucznik Montgomery, natomiast czarnym samochodem jechał kapitan Burke.

Ruszył za pojazdami. Burke zaparkował na miejscu dla pracowników, a Montgomery podjechał na parking dla ciężarówek przywożących dostawy na targ. Gdy tylko wyłączył silnik, wyskoczył i obiegł samochód, by pomóc wysiąść jakiejś kobiecie. Na targ wybiegły Wilki. Zawróciły natychmiast, gdy Simon, Vlad i Elliot wyszli z biblioteki.

– Czy w gabinecie lekarskim jest ktoś, kto mógłby zająć się panią Fallacaro? – spytał Montgomery, gdy Simon do niego podbiegł.

– Zadzwonimy do naszego chodzącego ciała – odparł Wilcza Straż.

– Nic mi nie jest – wtrąciła Nadine. – Po prostu trzęsę się z zimna. Simon zrobił krok w jej stronę i zaczął węszyć.

– Jesteś ranna. Czuję krew. – Przerwał. – Nie jest jej dużo, ale na pewno jesteś ranna.

Montgomery odprowadził Nadine do gabinetu. Kilka chwil później Merri Lee wyrzała zza drzwi Mięsa i Zieleniny, a następnie ruszyła biegiem do pacjentki.

To ma sens, stwierdził Henry. Przecież to właśnie ona najczęściej pomagała Meg po nacięciu. Nawet, jeśli ktoś inny będzie musiał opatrzyć rany, bo Merri Lee nadal ma palec w łupkach, to i tak ona najlepiej się zna na tych wszystkich ludzkich bandażach i lekach.

Gdy dołączył do nich Burke, wszystkie samce, poza Montgomerym, wróciły do miejsca, w którym czekali Vlad i Elliot.

– Burmistrz dzwonił już dwa razy – powiedział Elliot. – Chce wiedzieć, czy mamy jakieś informacje na temat pożarów.

– To dziwne, że jego ekscelencja pracuje tak późno w nocy – zauważył Burke.

Elliot uśmiechnął się do niego złośliwie.

– Też tak pomyślałem.

– I co mu odpowiedziałeś? – zainteresował się Simon.

– Że powinien spytać o pożary komisarza policji, ponieważ należy

on do ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko i z pewnością będzie najlepiej poinformowany w kwestii tych ataków. Rozłączył się.

Burke wybuchnął śmiechem.

– Tess dzwoniła – powiedział Vlad. – Przyprowdzi tu Lorne’a, chociaż uważa, że należy go zabrać do ludzkiego chodzącego ciała. Ona na razie nie chce chodzić w takie miejsca.

Oczywiście – Żniwiarz nie powinien chodzić w takie miejsca.

– Mogę zawieźć go do szpitala – zaproponował Burke. – Powinien tam już być Chris Fallacaro. Dowiem się, kiedy go wypuszczą, a potem pomyślę, gdzie go umieścić.

– Przywieź go tutaj – powiedział Simon. – Zostawiłem wiadomość na poczcie głosowej doktora Lorenzo i ostrzegłem go przed pożarami. Vlad zadzwonił do Elizabeth Bennefeld. Dzisiaj dzwoniło do niej z pogroźkami, ponieważ kilka dni w tygodniu pracuje w naszym gabinecie lekarskim. Vlad kazał jej tu przyjść, bo musimy założyć, że ci ludzie spróbują spalić każdego, kto z nami współpracuje. – Spojrzał wyzywająco na Burke’a.

– Tak, musimy tak założyć – zgodził się kapitan. – Na bogów, cały świat oszalał...

– Nie świat – zagrzmiął Henry. – Tylko wasz gatunek.

Każdy poszedł swoją drogą, by strzec i chronić – i przygotować się na nadchodzące burze.



„Mówi się, że za dziesiątki pożarów, w których spłonęły budynki w kilku dzielnicach biznesowych miasta, odpowiadają podpalacze i organizacje przestępcze. Najpierw podłożono ogień w firmach, które w zeszłym tygodniu zostały zniszczone. Niektórzy oskarżają o to ruch Ludzie Przede i Nade Wszystko. Druga fala pożarów, które szalały w mieście, objęła piekarnie, zwłaszcza piekarnie z wiszącymi znakami LPiNW, ale jak na razie policja odmawia podawania informacji w tej sprawie. Komisarz Kurt Wallace obiecał, że sprawy wszystkich pożarów zostaną dokładnie zbadane, a sprawców spotka kara, niezależnie od ich przekonań politycznych czy gatunku”.

„Piekarnie, które przetrwały wczorajsze ataki, są zamknięte do odwołania. Ich właściciele odmówili komentarza, jednak ludzie

mieszkający w sąsiedztwie twierdzą, że właściciele po prostu boją się otwierać swoje interesy”.

„Jakby zeszłej nocy było mało problemów, na Jeziorze Etu wybuchł wczoraj sztorm. Ulewne deszcze ugasiły pożary, z którymi walczyli strażacy w całym mieście, ale woda zalała samochody, uniosła też gruzy i fragmenty spalonych budynków, zamykając drogę ucieczki wielu osobom, które próbowały wydostać się z płonących budynków. W powodziach zginęło co najmniej dwanaście osób, ponad drugie tyle uznaje się za zaginione. Ulica Rynkowa jest obecnie zamknięta dla ruchu, a policja, strażacy i ochotnicy przeszukują gruzy spalonych lub zalanych budynków. Za pół godziny podamy państwu pełną listę zamkniętych dróg. Mówiła dla państwa Ann Hergott z WZAS”.

Do: Joe Wilcza Straż

Jadę na najbliższą stację kolejową. Muszę wyjechać ze Sweetwater. W czwartek powinienem być w Bennett. Zadzwoń do ciebie, gdy tylko będę wiedzieć coś więcej.

Jackson



Czwartek, 14 czerwca

Tess naląa sobie kawę do kubka, a następnie usiadła przy stole. Nadine wpatrywała się w talerz z jedzeniem. Miała ciemne cienie pod oczami oraz liczne siniaki i rany. Pamiątki po tym, jak mężczyźni próbowali wyciągnąć ją z samochodu.

– Ruch Ludzie Przede i Nade Wszystko... – szepnęła ledwie słyszalnie. – Myślałam, że to po prostu pyszałkowaci goście, rozkoszujący się dźwiękiem własnego głosu. Spodziewałam się z ich strony jakichś kłopotów, ale na pewno nie tego. – Spojrzała w górę. – Chcieli wrzucić mnie w ogień. Jak można zrobić coś takiego i nadal nazywać siebie człowiekiem? – Tess, która z gruntu uważała ludzi za dzikusów, nie odezwała się. – Muszę coś zrobić – dodała Nadine.

– Co?

– Nie wiem. Pracować. Zająć czymś ręce, podczas gdy... Porozmawiam z moją firmą ubezpieczeniową. Pewnie nic z tego nie będzie, bo na ich drzwiach też znajduje się znaczek LPiNW, ale przynajmniej wypełnię papiery.

– I co dalej?

Nadine wzruszyła ramionami, a potem zadrżała.

– Doceniam fakt, że zeszłej nocy pozwoliłaś mi tu zostać, ale źle się czuję, będąc na czyimś utrzymaniu.

– Chodź ze mną. – Tess wstała i zaprowadziła Nadine do pracowni.

– Czy jest tu coś, czego potrzebujesz?

– Pytasz o sprzęt? Tak. Ale jeśli miałabym piec tu chleb, potrzebowałabym formy. – Nadine wskazała blachy do ciastek i babeczek. – Czy ktoś już coś tu wypieka?

– Ja, gdy jestem w nastroju. Ale to za mało, żebym mogła zaopatrywać Coś na Ząb. – Tess się zawahała. Powinna omówić tę sprawę z pozostałymi członkami Stowarzyszenia Przedsiębiorców. Jednak z drugiej strony Simon często podejmował decyzje samodzielnie, a to przecież był jej sklep. – Możesz zamieszkać w pokoju nad biurem łącznika do czasu, aż coś sobie znajdziesz – zdecydowała. – A w ramach czynszu możesz piec dla Czegoś na Ząb. Będziemy sprzedawać chleb, żeby ludzie, tacy jak rodzina Denbych, mogli robić sobie kanapki. Albo mogę cię zabrać do Mięsa i Zieleniny, żebyś obejrzała tamtejszą kuchnię, w razie gdybyś chciała również gotować.

– A skąd weźmiemy zaopatrzenie? – zapytała Nadine, rozglądając się wokół.

– Zrób listę rzeczy, które z reguły zamawiałaś do swojej piekarni, i sprzętów, jakie chciałabyś tu mieć. Zobaczę, co uda mi się załatwić. Możliwe, że nie będę mogła kupić wszystkiego, ale na pewno wystarczy. Zaopatrzenie nie powinno być problemem. – *Terra indigena*, którzy uprawiali zboża na farmach między Jeziorem Etu a Jeziorami Piór, wysłali wiadomość, że sprzedadzą swoje plony tylko innym *terra indigena* albo intuickim osadom należącym do *terra indigena*. Tess stwierdziła, że jeśli zrobiliby tak wszyscy Inni w Thaisii, Dziedziniec w Lakeside mógłby wymieniać owoce i warzywa na pszenicę ze Środkowego Zachodu, żeby produkować mąkę.

– A co z Chrisem? – spytała Nadine.

– Nadal leży w szpitalu. Z tego, co słyszałam, lekarze potrzebują trochę więcej czasu, żeby złożyć jego rękę. Jest bezpieczny, policjanci z komisariatu na Orzechowej cały czas go pilnują. Jeśli chcesz, jedna z dziewczyn cię do niego zawiezie.

Nadine pokiwała głową.

– Powinien być z nim teraz ktoś z rodziny. Ale ojciec Chrisa wstąpił do LPiNW i nie wiem więc, czy któreś z rodziców zjawi się w szpitalu. Czy w ogóle pozwolą mu wrócić do domu, żeby wyzdrowiał.

Simon miał rację, pomyślała Tess. Z tymi ludźmi łączy nas coraz więcej.

– Wymyślimy coś, gdy już go wypuszczą.

Nadine pociągnęła nosem i skrzyżowała ręce na piersi.

– No cóż, w takim razie podgrzeję sobie śniadanie, a potem zabiorę się za te listy.

Tess stanęła za ladą i pozwoliła Nadine pobuszować na zapleczu. Zastanawiała się nad tym, co powiedzieliby członkowie ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko, gdyby dowiedzieli się, że na Dziedzińcu jest jedyna piekarnia w całym Lakeside?



Czwartek, 14 czerwca

Jackson wysiadł z pociągu na stacji w Bennett. Miał ochotę uciec. W powietrzu unosił się kwaśny zapach. Czyżby wśród miejscowych ludzi szerzyła się jakaś zaraza?

Joe?, zauważył trzech podejrzanych mężczyzn idących w jego kierunku. Wszedł na peron. *Joe? Jesteś tam?*

Wcześniej zadzwonił do sklepu wielobranżowego w Złotej Prerii i powiedział samicy Jesse, o której przyjedzie. Czy Joe otrzymał jego wiadomość?

Wciąż obserwował trzech mężczyzn. Starał się nie zmieniać postaci, bo to z pewnością wywołałoby panikę, a może też sprowokowało innych ludzi do ataku.

– Panie Wilcza Straż! – Ludzki głos nie należał do Joego. Ani do

nikogo, kogo Jackson znał.

Na jego dźwięk jeden z trzech mężczyzn odwrócił głowę i klepnął w ramię stojącego bliżej towarzysza.

Od strony ludzi wysiadających z pociągu czuć było ledwo kontrolowany strach. Żeby wyjść na peron, musieli minąć kolumnę dymu.

Sanguinati.

Jackson podszedł do mężczyzny w dżinsach i koszuli w kratę. Trzech podejrzanych typów zeszło mu z drogi, ale jeden z nich rzucił jeszcze niskim, ostrym głosem:

– Przybijemy twoją skórę do ściany stodoły, pieprzony Wilku.

Gdy Jackson podszedł bliżej, dym przybrał ludzką postać.

Sanguinati wyszczerzył kły w uśmiechu.

– Nazywam się Tolya – powiedział. – Spotkaliśmy się już na Dziedzińcu w Lakeside.

Jackson pokiwał głową.

– Pamiętam cię.

– To Tobias Walker, kierownik rancza w Złotej Prerii.

Walker. To samo nazwisko nosi samica Jesse.

– Jesse czeka na paczkę. Sprawdzę, czy coś do niej przyszło. – Tobias spojrzął na Jacksona. – Czy mam wziąć pański bagaż?

– Nie. – Jackson podniósł dużą sportową torbę. – To wszystko, co ze sobą przywiozłem.

– Czyli może pan sam nieść własny bagaż? – Tolya rzucił okiem w stronę trzech mężczyzn, którzy nadal stali na peronie.

– Tak, dam sobie radę. Może poczekaś na mnie przy samochodzie?

Tobias wszedł do budynku, a Tolya zaprowadził Jacksona do pick-upa.

– A gdzie jest Joe? – spytał Jackson, wrzucając torbę na pakę.

– Eskortuje do Złotej Prerii cysternę z paliwem należącą do tubylców ziemi – odparł Tolya. – Ostatnia dostawa paliwa nie dotarła, przynajmniej nie dotarł przydział dla Złotej Prerii, więc załatwiliśmy to inaczej.

My?

Tobias wyszedł ze stacji, niosąc ogromne pudło. Za nim szli trzej mężczyźni – ci sami, którzy byli na peronie.

– Mogę jechać z tyłu – powiedział Jackson, gdy już pomógł Tobiasowi załadować pudło na pakę.

– W kabinie jest miejsce dla całej naszej trójki – zauważył Tolya tak uprzejmie, że Jackson z trudem powstrzymał się przed zamianą w Wilka. – Poza tym Tobias czuje się o wiele lepiej, gdy ktoś siedzi między nami.

Ponieważ Walker nie zaprzeczył, Jackson zajął środkowe miejsce.

– Jedź wokół placu w mieście – powiedział Tolya.

– To nie jest dobry pomysł – sprzeciwił się Tobias. – W powietrzu wisi dziś coś złego.

– Ja też to czuję – mruknął Jackson.

– Jedź wokół placu w mieście – powtórzył Tolya. – Muszę obejrzyć biznesy.

Tobias, nie kryjąc niezadowolenia, wrzucił bieg.

– Jakie waszym zdaniem są najważniejsze działalności w okolicy? – spytał Tolya. – Wiem, że na pewno kolej, ważna dla transportu i niezbędna do wysyłania i odbierania żywności i towarów. Stacja benzynowa, bo pojazdy potrzebują paliwa i serwisu. Bank. Co jeszcze?

– Ludzie potrzebują miejsca do robienia zakupów – zauważył Tobias. – Ważny jest sklep z narzędziami. I jakiś punkt z żywnością oraz zaopatrzeniem dla farm.

– I miejsce do jedzenia i spania – dodał Jackson. Pomyślał o Nadziei. – Miejsce, w którym można kupić książki, muzykę, kredki i papier do rysowania.

– I sklep z odzieżą, chyba że będzie sprzedawana w sklepie wielobranżowym razem z butami i książkami.

Gdyby Tobias był Wilkiem, pewnie by teraz dyszał i skamlał, pomyślał Jackson.

Tolya, dlaczego o to pytasz?

Kazano mi się dowiedzieć, ilu ludzi trzeba będzie zastąpić, żeby utrzymać budynki i najważniejsze miejsca.

Czy zastąpieni zostaną ludzie z Bennett?

Nie wiem, ale chyba coś w tym może być.

A czy Intuici mogliby zająć się obsługą tych miejsc?

To nie takie proste. Mają tylko tylu ludzi, ilu potrzebują. Poza tym, Intuici czy nie, nadal są ludźmi, więc poproszenie ich o to chyba nie będzie mądre. Na pewno nie należy ich o to prosić od razu.

Zabrzmiało złowieszczo. W co on się wpakował?

Po raz kolejny okrążyli plac, ale nikt nie zasugerował już nic więcej poza fryzjerem i usługami podobnego typu.

Gdy wyjechali z miasta, Tobias i Jackson odetchnęli z ulgą. Tylko Tolya zdawał się niczym nie przejmować, ale on w każdej chwili mógł się zamienić się w dym i po prostu odpłynąć.

Niewiele ze sobą rozmawiali. Jackson postanowił, że jeśli Simon na niego nie czeka, jeżeli woli rozmawiać z Meg Corbyn o Nadziei, to zamieni się w Wilka i mimo sporego dystansu wróci do domu na łapach.



Daniel Black zaklął siarczyście, gdy wiatr zachwiał pick-upem. Piach, który unosił się w powietrzu, był gęsty jak cholerna śnieżna zamieć.

– Panie Black? – Brygadzista zasłonił oczy. – Musimy się zatrzymać. Nie zdążymy na rozdroże.

– Zdążymy, do jasnej cholery – warknął Daniel, z trudem panując nad pojazdem. Ledwo widział drogę. – Im dłużej ta wspólnota otrzymuje zaopatrzenie, tym dłużej się utrzymają. Gdy znikną, stracimy dojście do wzgórz i wszystkich bogactw, które w sobie kryją.

Mężczyźni na pace zaczęli walić w tył kabiny.

– W tym piachu nie mogą oddychać – zauważył brygadzista. – Musimy się zatrzymać.

– Nie zatrzyma... – Nagle z zamieci wyłoniły się słupki płotu i drut kolczasty. Black gwałtownie wcisnął hamulec. – Kurwa! – wrzasnął, gdy samochód rąbnął w płot.

Nagle wiatr ustał. Piach i kurz opadły. Black słyszał, jak mężczyźni z tyłu siadają, kaszlą, łapiąc powietrze.

Powinno być tak łatwo, jak za pierwszym razem, pomyślał, dostrzegłszy samochód, jadący drogą do Złotej Prerii.

Black próbował wysiąść i ponownie zaklął, uświadomiwszy sobie, że jego drzwi są zablokowane przez drut kolczasty. Tak samo jak drzwi

od strony pasażera. Będą musieli poczekać, aż mężczyźni z tyłu ich uwolnią.

Patrzył, jak pick-up zwalnia na skrzyżowaniu, jakby kierowca zastanawiał się, czy im pomóc. A potem, gdy czterech ludzi Blacka zeskokczyło z paki, samochód pojechał dalej.

– Są już jakieś wieści na temat ataku? – spytał brygadzysta.

– Mamy czekać, aż z Cel-Romanii przybędzie specjalny sprzęt.

Gdy wyznaczone grupy LPiNW otrzymają właściwe wyposażenie, będziemy gotowi na przeprowadzenie skoordynowanego ataku. – Black nie lubił słuchać rozkazów, a już na pewno nie od gładkich, ugrzecznionych chłoptasiów z Cel-Romanii. Początkowo plany Strzępiela były w porządku, jednak potem wszystko wzięło w łeb, gdy wybuchł skandal, ponieważ stowarzyszenie farmerów sprzedawało do Cel-Romanii zboże i żywność, potrzebne na tutejszych ranczach i w miastach. Czy jeśli nie będzie miał paszy dla bydła na zimę, będzie musiał sprzedać swoją wołowinę poniżej kosztów? Przecież nie będzie w stanie wykarmić całego stada! Nie, ten atak tak dowali pieprzonym *terra indigena*, wypchnie ich na dzikie tereny tak daleko, że już nikt nie będzie musiał kłaniać im się w pas.

– Poczekamy na rozkaz ataku. – Black w końcu otworzył drzwi. – A teraz naprawmy ten płot.



Joe Wilcza Straż stał przed drzwiami pokoju Tolyi i obserwował mieszkańców Żółtej Prerii. Ustawiali właśnie pojazdy w rzędzie na stacji benzynowej po drugiej stronie ulicy, czekając na cysternę z paliwem.

Nagle podpłynęła do niego Nyx.

– Słyszałam rozmowę pewnych ludzi. Kierowca cysterny zaparkuje tutaj, żeby ludzie mogli napełnić baki paliwem. Potem będzie uzupełniał paliwo w ich zbiornikach.

To miało sens. Po polowaniu Wilki pozwalają najeść się wszystkim członkom stada, a dopiero potem zabierają trochę mięsa na zapas.

Na dachu motelu usiadł Jastrząb.

Powietrze i Ziemia urządziły sobie zabawę z ludźmi i powstrzymały ich przed spotkaniem z wielką ciężarówką.

Eskortując cysternę do Żółtej Prerii, Joe widział burzę piaskową.

Zastanawiał się, czy Żywioły chciały powstrzymać ludzi przed ponowną kradzieżą paliwa albo wyrządzeniem krzywdy kierowcy. Nigdy nie słyszał, by mieszały się w sprawy zmiennokształtnych, do czasu, gdy te z Dziedzińca w Lakeside zainteresowały się Meg Corbyn.

Już miał spytać, czy Jastrząb widział Tobiasa i Tolyę, gdy ujrzał pick-upa z rancza. Minął ich i zatrzymał się przed sklepem ogólnobranżowym.

Jacksonie? zawołał Joe.

Joe! odparł Jackson z ulgą. Ze zbyt dużą ulgą.

Joe pośpieszył do sklepu Jesse Walker. Nyx cały czas trzymała się za nim, zamiast ruszyć do przodu na spotkanie z Tolyą.

Znowu spojrzął na pick'upa. Był zakurzony, ale nie bardziej niż zwykle.

– Udało się wam uniknąć burzy? – spytał, gdy Tobias wysiadł z ciężarówki.

– Złapała co najmniej jeden samochód, ale nie dotarła do rozdroża – odparł Tobias. – Przynajmniej nie wtedy, gdy tamtędy przejeżdżaliśmy.

– To dobrze. – Joe przyjrzał się człowiekowi, którego głos brzmiał bardzo dziwnie. – To niedobrze?

Tobias spojrzął na Tolyę i Jacksona, który wysiadł z drugiej strony samochodu, a potem nachylił się do Joego i zapytał:

– Czy to zawsze tak wygląda? Myślałem, że... Burza. Uderza błyskawica, wywołuje pożar. Zaczyna się wichura, musisz ją przeczekać i mieć nadzieję, że ty i twoje zapasy przetrwacie. Ale tak to już jest, taka jest pogoda. Przynajmniej tak mi się wydawało.

– Przeważnie tak właśnie jest – odrzekł Joe. – Istnieją jednak *terra indigena*, którzy potrafią kierować pogodą, a nawet ją zmieniać. – *Albo sprawić, by stała się bronią przeciwko wrogowi.* – Gdy wysłaliśmy mięso bizonów do Lakeside, Powietrze i Śnieżyca dopilnowały, by się nie zepsuło w drodze. Tak, to było dobre.

– Powiedziałyś nam, gdybyśmy zaczęli robić coś złego, prawda? Dałyś nam szansę naprawić nasz błąd, zanim... Zanim nastąpiłaby zmiana pogody albo stałoby się coś jeszcze gorszego?

Strach. Wyczuł go wyraźnie.

– Tak. Powiedziałbym wam. – Gdy dołączyli do nich Tolya i Jackson, Joe zaczął się zastanawiać, gdzie się podziała Nyx. – Czy pociąg się spóźnił?

– Nie. Chciałem się rozejrzeć po mieście – odparł Tolya. – Zobaczyć, jakie prowadzi się w nim biznesy.

A raczej się zastanowić, co należałoby utrzymać, na wypadek gdyby ludzie odeszli, dopowiedział Jackson.

A odchodzą? spytał Joe.

Tolya tego nie wie. Może należy zadać to pytanie Simonowi... i Meg Corbyn.

Ta odpowiedź nie napawała optymizmem. Gdyby nie stacja kolejowa, trzymałby się z daleka od Bennett – tyle że zbieranie opłat za dzierżawę ziemi i korzystanie z wody należało do Innych mieszkających w Żółtej Prerii.

Pomyślał o tym ranczerze, Danielu Blacku. On również był winien *terra indigena* pieniądze za ziemię i wodę. Przeczował, że w przyszłym miesiącu Black nie uiści należności.

– Wynająłem dla Jacksona pokój w motelu – rzekł Tolya. – Właściwie to Jesse Walker go zarezerwowała. Czują, że będziecie go potrzebować.

Jackson się skrzywił.

– Mam tu odebrać jedenaście bizonów.

– Będziemy musieli je zagonić – odparł Tobias. – No cóż, najpierw trzeba wybrać odpowiednie sztuki.

– Roczniki – odparł Joe. – Możemy poprosić Jastrzębią i Kruczą Straż, żeby pomogła nam w poszukiwaniach.

– Nyx i ja spróbujemy uspokoić zwierzęta. – Tolya się uśmiechnął.

Joe przypomniał sobie zapach ludzi na dworcu w Bennett, gdy przyjechali Tolya i Nyx. Sanguinati wyglądali jak dym, ale w swej innej postaci wcale nie pachnieli jak on. Czy bizona dostrzegą ich w ciemności? Czy wyczują niebezpieczeństwo, gdy dym zacznie je otaczać i upuszczać krew przez skórę?

– Chłopcy, będziecie tam sterczeć cały dzień czy zaprosicie naszych gości na coś do picia? – Jesse Walker wyszła ze swojego sklepu.

– Tobias, uzupełnij paliwo, skoro wreszcie masz okazję.

– Cysterna na razie tu zostanie – odparł syn.

Dominująca samica? spytał Jackson.

Tak, odparł Joe. *Tobias to jej szczeniak.*

– Czy przyjechała paczka dla mnie? – spytała Jesse.

– Tak. Mam ją ze sobą – odparł Tobias.

– W takim razie przynieś ją do mnie. Część jej zawartości pojedzie na Dziedziniec w Lakeside razem z Nyx i panem Wilczą Strażą.

– Tak? – Jackson spojrzał na Joego.

– Ja tylko pomagam przy bizonach. – Joe wzruszył ramionami.

Tobias wyładował pudło i zaniósł je do sklepu. Czwooro *terra indigena* ruszyło za nim. Ledwo Joe przekroczył próg, gdy drzwi ponownie się otworzyły i do sklepu wkroczyły dwie samice. W jednej z nich rozpoznał Shelley Uczoną, drugiej nie znał.

– Przyjechały? – spytała Shelley. – Zobaczyłyśmy ciężarówkę Tobiasa i przyszłyśmy sprawdzić.

– Co takiego jest w tym pudełku? – spytała Nyx, wpatrując się w kobiety.

– Najpierw się poznajcie – powiedziała Jesse. – To jest Shelley Uczona, miejscowa bibliotekarka. A to Abigail Burch. Chce robić świece i mydła z tłuszczu bizonów.

Dlatego pachnie trochę jak bizon. Czy wypadało o tym wspomnieć?

– Powinienem wiedzieć, co jest w tym pudle? – spytał Tobias.

– Wątpię, żeby cię to interesowało. – Jesse zaczęła rozcinać taśmę klejącą.

– W takim razie stanę w kolejce po paliwo. – Tobias spojrzał na Joego. – Wpadnę w drodze na ranczo, na wypadek gdyby potrzebował pan podwózki do osady.

– W porządku.

– Karty? – spytał Tolya, nie kryjąc zaskoczenia zawartością pudełka. – Sklepy w Lakeside chyba sprzedają karty do gry?

– To karty do przepowiadania przyszłości – powiedziała Jesse, podnosząc dwa zapieczętowane pudełeczka z rysunkami na zewnątrz. – Różne talie. Jeden zestaw zostanie tutaj. – Spojrzała na Jacksona. – Drugi pojedzie z panem do Lakeside, do Meg Corbyn. Mam przecucie,

że dzięki temu przynajmniej część wieszczek krwi będzie mogła doświadczać wizji bez nacinania skóry.

– A dlaczego nie wysłałaś ich bezpośrednio do Lakeside? – spytał Joe.

Jesse spojrzała na Innych w taki sposób, że Jackson warknął, a paznokcie Joego zaczęły przybierać kształt szponów.

Po chwili odparła:

– Kazałam przysłać je tutaj, ponieważ miałam silne przeczucie, że będzie lepiej dla wszystkich, jeśli karty nie zostaną wysłane bezpośrednio do miejsca, w którym mieszka wieszczka krwi.



Piątek, 15 czerwca

Wilkom, przy pomocy ludzi z rancza, którzy jechali na koniach, udało się odłączyć jedenaście roczniaków od stada ze Złotej Prerii. Nad karkami zwierząt unosił się dym. Tolya i Nyx żywili się każdym zwierzęciem tylko do tego stopnia, żeby ułatwić Wilkom i ludziom zamknięcie bydła w prowizorycznej zagrodzie z wodą i paszą.

Nakarmiwszy i napoiwszy stado, ruszyli do Bennett pick-upem pełnym zapasów. Za nimi ludzie i Wilki popędzali bizona.

Tolya zadzwonił na stację, żeby dać znać, że w pociągu jadącym na wschód do Lakeside potrzebny będzie wagon bydłocy. Joe nie słyszał, co powiedział człowiek ze stacji, słyszał natomiast odpowiedź Tolyi: Jeśli *terra indigena* nie będą mogli zarezerwować wagonu dla bydła, to z tej części Thaisii nie wyjedzie pociągiem *żadne* bydło. To oznaczało, że

ranczerzy, którzy wysyłali zwierzęta do rzeźni w miastach spoza Regionu Środkowo-Zachodniego, zostaliby ze zwierzętami, których nie będą mogli sprzedać ani przetransportować bez utraty połowy stada, ponieważ drapieżniki z pewnością skrzykną się na ucztę.

Czy mógł powstrzymać Tolyę przed wypowiedzeniem takiej groźby? Czy to w ogóle miało jakiegokolwiek znaczenie? Sanguinati o wiele lepiej radzili sobie z ludźmi w Bennett niż on. Poza tym zwracał się do niego za każdym razem, gdy podejmowane decyzje dotyczyły Intuitów, czyli ludzi, z którymi *terra indigena* musieli się regularnie kontaktować.

Stado szło równym tempem. Joe chciał przyśpieszyć, dopóki było jeszcze jasno, ale Tobias się sprzeciwił, twierdząc, że za rozdrożem nie będzie miejsca na rozbiście obozu. Wszędzie między rozdrożem a Bennett znajdowały się rancza kontrolowane przez ludzi. Gdy już dotrą do miasta, będą musieli trzymać bizony w zagrodzie do odjazdu pociągu. Im krócej będą w mieście, tym mniej czasu będą mieć ludzie, by narobić kłopotów.

Ponieważ Tolya się z tym zgadzał, a Tobias żywił przekonanie, że jeśli wyruszą o brzasku, zdążą dotrzeć do Bennett na pociąg, Joe poszedł razem z nimi. Rozbili obóz w pobliżu rozdroża – niezbyt daleko od miejsca, w którym w zeszłym tygodniu zastrzelono bizony. Nikt nie wspominał o tym wydarzeniu ani nie mówił o liczbie trupów, po których zostały już same kości, ale Wilki zaczęły obwąchiwać teren w poszukiwaniu zapachów intruzów. Tobias i pomocnicy z rancza założyli pasy z bronią, sprawdzili rewolwery i ustanowili straż na noc.

Nazajutrz wyruszyli tuż po śniadaniu. Gdy Joe kłapnął zębami, żeby zachęcić jednego z bizonów do trzymania się z resztą stada, zauważył zaparkowane na poboczu drogi ciężarówki i mężczyzn, którzy przestali pracować i obserwowali ich niewielkie stadko, zmierzające drogą do Bennett.

Co robią ludzie? zawołał do jednego z Kruków.

Naprawiają płot, który Ziemia i Powietrze niedawno przewróciły.

To miało sens. Bydło bląkające się poza terenami należącymi do ludzi było uznawane za jadalne, a Starsi, którzy w zeszłym tygodniu zeszli z gór, by pożywić się martwymi bizonami, nadal przekraczali

granice ludzkiej ziemi. To dzięki ich zapachowi, który wciąż był wyczuwalny, oraz umiejętnościom prowadzenia stada, jakimi mogli się pochwalić ludzie i Wilki, bizona nie próbowały się wydostać. Słychać było również odgłosy i zapach wody, która chlupotała w dwóch beczkach załadowanych na tył pick-upa. Gdy ludzie zatrzymali się na odpoczynek, Nyx karmiła bizona z ręki, ponieważ chciała je do siebie przekonać.

Joe zastanawiał się, czy Sanguinati robili coś podobnego z ludźmi. Czy uspokajali ich, by wampiry mogły się żywić, nie wzbudzając niepokoju u swych ofiar?

Zaczął się też zastanawiać, jak długo Tolya planuje zostać w Złotej Prerii.

Gdy dotarli na stację kolejową, zobaczyli dwa załadowane bydłem wagony. Powiedziano im, że mogą zaprowadzić swoje bizona do trzeciego wagonu, który zostanie podstawiony. Jackson i Joe postanowili wykorzystać wolny czas na przemienienie się w ludzi i założenie ubrań.

W pewnym momencie jakiś człowiek zauważył ich i bizona. Powiedział coś do dwójki ludzi na koniach, a następnie podszedł do Joego i Jacksona.

– Nazywam się Stewart Dixon. – Kiwnął głową w stronę bizonów.
– Pomóc wam w załadowaniu ich do wagonu?

Widząc spojrzenie Tobiasa, Joe zrozumiał, że to on powinien podjąć decyzję. Zrozumiał również, że w towarzystwie tego człowieka Tobias nie czuł takiego zagrożenia, jak Intuici w towarzystwie Daniela Blacka.

– Dziękujemy – odparł.

Mężczyzna machnął, przywołując swoich towarzyszy na koniach.

Tobias spojrział na bydło, które zostało załadowane do dwóch pierwszych wagonów.

– Przepraszam, że się wtrącam, ale wasze bydło jest chyba młode i ma zbyt niską wagę, żeby wysyłać je na targ.

Stewart się uśmiechnął.

– Ma pan dobre oko. I w kwestii targu ma pan rację. Chciałem jednak zmniejszyć stado, a na wschód stąd znajdują się dwie osady, które pragnęły kupić trochę bydła, żeby rozpocząć własne hodowle.

Z tego, co mówili, mają już niewielkie stado krów mlecznych, dostatecznie dużo zwierząt, by zapewnić sobie mleko i produkty mleczne. A chcieliby jeść coś poza mięsem łośia w sytuacji, gdy pogoda i zły stan dróg uniemożliwią wyjazd do większego miasta po zaopatrzenie.

– Ludzie nie lubią mięsa łośia? – spytał Joe.

– Oczywiście, że lubią. Jedna z lodówek na moim ranczu jest wypełniana mięsem łośia co sezon, ale dla większości ludzi jest to przysmak, tak jak mleko i sery dla was.

Joe, Jackson, Tobias i Stewart zeszli z drogi, gdy ludzie na koniach zaczęli zaganiać bizona do pustego wagonu bydłęcego.

– Pozwolę sobie zauważyć, że te bizona są trochę za młode na sprzedaż – odezwał się Stewart.

– Jeszcze nie nadają się na mięso – odparł Joe. – Jadą na wschód do miasta nad Jeziorem Etu. Wysłanie młodszych bizonów miało większy sens. Poza tym Simon chciał, żeby wszyscy na Dziedzińcu w Lakeside przyzwyczaili się do żyjących tam bizonów, zanim dorosną na tyle, żeby się rozmnażać.

– Pomogę Nyx i Tolyi załadować paczkę jadącą do Lakeside – powiedział Jackson. A potem dodał: *Zobaczmy się jeszcze na peronie przed moim odjazdem?*

Tak.

Joe spojrzał na Tobiasa.

– Pomożesz mu?

– Pewnie.

Został sam ze Stewartem Dixonem.

– Dziękujemy za pomoc – powiedział.

– Cała przyjemność po naszej stronie.

– Nie jest pan związany z osadą w Złotej Prerii.

Stewart pokręcił głową.

– Moje ranczo znajduje się kilka godzin drogi na północ stąd, ale w Bennett jest najbliższa linia kolejowa, jest też najwięcej sklepów i to najbliższa możliwość, żeby wyskoczyć gdzieś na wieczór i noc. Następne miasto z muzyką i kinem to cały dzień drogi w którymkolwiek kierunku. Ziemi na północ od Bennett pilnuje inna grupa *terra indigena*.

Tak przynajmniej zakładam, bo nigdy wcześniej was tu nie widziałem.

– To inna grupa – zgodził się Joe. Czy Wilki z północnych wzgórz wyczuły obecność Starszych?

Stewart się zawahał.

– Posłuchaj, nie chcę nadepnąć nikomu na odcisk ani wywołać konfliktu między wami a Wilkami, z którymi z reguły współpracuję, ale... – Wyjął z kieszeni niewielki notes i krótki ołówek, napisał coś i podał Joemu. – To numer telefonu na ranczo. Jak powiedziałem, znajdujemy się na północ od Bennett, nie jestem więc pewien, co moglibyśmy uczynić, ale jeśli będziecie potrzebować pomocy, zadzwoń.

Joe zerknął na kartkę.

– Dlaczego mielibyście nam pomagać?

– Każdy głupi widzi, że nadchodzą poważne kłopoty. Moja rodzina nigdy nie miała z wami problemów i nie chcę, żeby je miała. Byliście dobrymi sąsiadami. Spróbujemy być tacy sami. – Stewart obejrzał się przez ramię, bo ktoś go zawołał. – Muszę już iść.

Wyciągnął dłoń. Po chwili wahania Joe ją uścisnął.

– Do zobaczenia.

Gdy mężczyzna odszedł, Joe ruszył na peron, żeby pożegnać się z Jacksonem i Nyx.

– Bezpiecznej podróży – powiedział Tobias, gdy Jackson i Nyx wsiadali do pociągu.

– Nic im nie będzie – rzekł Tolya, dołączywszy do nich. – Przez całą drogę do Lakeside pociąg będzie pod nadzorem.

Joe z ulgą przyjął jego zapewnienie. Jackson znajdował się z dala od swojego stada, ale nie był sam. Spojrzał na Tobiasa i zaczął się zastanawiać, czy fakt, że mieszkańcy dzikich terenów cały czas obserwują wszystko i wszystkich, którzy podróżują przez ich krainę, dodaje otuchy również ludziom.

– Panie Walker – odezwał się Tolya, gdy pociąg odjechał – czy pan i reszta chcielibyście przenocować w mieście? Bardzo się napracowaliście, przyprawiając bizony.

– Słyszałem, że mają kino i muszlę koncertową – dorzucił Joe. Takie rozrywki zdawały się ważne dla Stewarta Dixona.

– Przyjrzałem się obu tym miejscom, gdy jeździliśmy po mieście –

rzekł Tolya, a potem zwrócił się tylko do Joego:

Dopiszę to do listy.

Tobias popatrzył na nich.

– Rozmawiałem z tymi mężczyznami. Wszyscy czujemy, że nie należy tu zostawać. Jeśli nie robi wam to różnicy, to sprawdzę w przechowalni bagażu na stacji, czy zostawiono dla nas jakieś paczki, a potem oddalimy się od tego miasta.

– Dobrze – zgodził się Joe. – A czy ludzie wracający konno nie będą potrzebować żywności i wody? Mamy tu coś kupić? – Zabrali do pick-upa zaopatrzenie, ale już prawie nic nie zostało. Chciał jak najszybciej wydostać się z tego miejsca. Wiedział, że inne Wilki czują to samo. Ale podczas tej wyprawy ludzie należeli do jego stada i nie byli tak odporni jak *terra indigena*, którzy mogliby wytrzymać bez jedzenia i wody aż do Złotej Prerii.

– Zadzwońię do Jesse i powiem jej, że już wracamy. Wyśle do nas samochód z zaopatrzeniem – powiedział Tobias. – Możemy rozbić obóz w tym samym miejscu, co zeszłej nocy – na terenie *terra indigena*.

Chce się stąd wynieść, powiedział Tolya.

Pomóżmy mu sprawdzić paczki i zabierajmy się stąd, odparł Joe.

Wynieśli dwa pudła książek z Zabójczo Dobrych Lektur i osiem pudeł towarów z różnych części Thaisii, wszystko zaadresowane na Sklep Wielobranżowy Walker. Wokół nich zaczęli się zbierać ludzie, którzy już dawno powinni opuścić stację. Stali i się gapili, zionąc nienawiścią.

Skąd w nich tyle złości?, zastanawiał się Joe. Spojrzał na Tobiasa. Mocno zaciskał palce na kierownicy pick-upa.

– Zawsze tak było między wami i innymi ludźmi?

– Nie aż tak – odparł Tobias.

– Czy to przez nas? Dlatego że do miasta przyjechało kilku *terra indigena*? – Pociągi nie mogły kursować, nie wjeżdżając na dzikie tereny, i dzięki temu *terra indigena* mogli podróżować pociągiem. Od czasu do czasu Inni jechali pociągiem, żeby odebrać gości lub paczki. Nie musieli jednak wychodzić poza budynek stacji. Nawet gdy podczas niedawnej wizyty Tolya poprosił o zwiedzanie miasta, nikt – także Tobias – nie wysiadł z samochodu.

– Ostatnio słyszy się historie o tym, że koryta górskich strumieni są pełne bryłek złota – rzekł Tobias. – Ponoć można je zbierać garściami.

To nie było takie proste, ale Wilki, mieszkające przez jakiś czas w osadzie *terra indigena*, powiedziały mu, że w niektórych miejscach znajdowały się łatwe do wydobycia żółte kamyki – był to dar od Starszych, dzięki któremu Inni mogli handlować z Intuitami.

Ale gdyby ludzie najechali wzgórze... Joe się wzdrygnął.

– Wszystko w porządku? – Tobias najwyraźniej to zauważył.

– Tak. Po prostu z radością wrócę na nasze terytorium.

– Ja również.

Tolya milczał, ale gdy się zatrzymali, żeby dać odpocząć koniom, zamienił się w dym i ruszył na zwiady. Joe rozebrał się i przemienił. Drugi Wilk przez jakiś czas jechał w szoferce razem z jednym z pomocników.

Świadomość, świadomość, świadomość. Jechali dalej, zwracając uwagę na wszystko i wszystkich.

Stewart miał rację: nadchodziły poważne problemy. Biegając, Joe pomyślał o Intuitach. Mieli w swojej osadzie kilka szczeniąt i żadnego schronienia, w razie gdyby inni ludzie nagle postanowili zaatakować.

Joe nie lubił zwracać na siebie uwagi Starszych – w porównaniu z nimi był nic nieznaczącym zmiennokształtnym – ale pójdzie się z nimi spotkać i poprosi ich, by w razie ataku na Złotą Prerię Intuici mogli się skryć wśród wzgórz.



Poniedziałek, 18 czerwca

Ożywiona debata między członkami Stowarzyszenia Przedsiębiorców Dziedzińca zakończyła się na kilka minut przed tym, jak Jerry Saniarz przyjechał ze stacji kolejowej samochodem pełnym bizonów. Żaden Inny nie był zadowolony z faktu, że Jerry wjechał tak daleko na Dziedziniec, jednak wszyscy zgodzili się co do tego, że rozładowywanie zwierząt na targu nie było mądrym pomysłem, zwłaszcza że mogłyby one sparaliżować ruch na ulicy Głównej.

To właśnie dlatego pięć roczniaków zostało wypuszczonych w Stajni Kucyków. Świadcami przybycia przyszłego składnika menu byli Kowalski i stado samic.

Simon miał ogromną ochotę zamienić się w Wilka i zagonić stado do części Dziedzińca, w której planowano hodowlę – gdy już wreszcie

wszyscy zdecydowali, gdzie to będzie. Henry tylko się śmiał, mówiąc, że jelenie błąkały się po trzech tysiącach akrów na Dziedzińcu i bizony będą robić dokładnie to samo. Simon się z nim zgadzał, więc nic już nie dodawał. Dorosłe bizony pójdą, dokąd zechcą, ale większość Innych na Dziedzińcu nigdy nie mieszkała na Północnym Zachodzie i nie miała doświadczenia z tymi zwierzętami.

– Mówiłeś, że dostaniemy młode bizony. – Meg spojrzała na stado, a potem na Simona.

– To są młode bizony – odparł.

Machnęła ręką w stronę swojego stada.

– Myślałyśmy, że masz na myśli *dzieci* bizonów.

– Roczniaki to prawie dzieci.

– Nie zagłębiaj się w ten temat – mruknął do niego Kowalski.

– Poza tym – ciągnął Simon, ignorując towarzysza – gdybyśmy przywieźli cielęta, musielibyśmy przywieźć również ich matki, a one są naprawdę wielkie.

– Och... – sapnęła Meg. Wpatrywała się w bizony podobnie jak reszta stada samic.

– Są większe, niż się spodziewałyśmy, ale mimo to są urocze – rzekła Ruthie. – I takie potulne.

Jerry Saniarz podrapał się po głowie i zawiesił wzrok gdzieś na czubkach drzew. Vlad przycisnął pięść do ust i przymknął powieki, a na twarzy Nyx zagościł uśmiech najedzonego i zadowolonego wampira.

Tymczasem Jackson siedział w Mięsie i Zieleninie, zaspokajając potężny głód. W przeciwieństwie do niego Nyx nie zgłodniała podczas podróży. Dowodem na to były potulne zwierzęta.

– Jak je nazwiecie? – spytała Meg.

– Może „obiad”? – podsunął Simon.

Stado samic spojrzało na niego tak, że zapragnął uciec, ale w porę przypomniał sobie, że przecież był dowódcą i nie wolno mu się wycofać.

– Simonie? Czy ty i Jackson nie powinniście jechać do Osiedla Nadrzecznego, żeby odebrać drugą część stada? – Vlad spojrzał ostro na samice. – I czy reszta nie powinna zabrać się do pracy? Wiem, że część z was musi przejrzeć towary, które Jackson przywiózł ze Złotej Prerii.

Ruthie i Theral odjechały na rowerach, a Meg i Merri Lee udały się

do PNK. Simon spojrzał na Kowalskiego, nie kryjąc zdziwienia – z reguły o tej porze był w pracy.

– Gdzie je umieścisz? – spytał Kowalski, wskazując głową w stronę bizonów.

– Dlaczego pytasz?

– Co z oczu, to z serca. Jeśli dziewczyny będą je codziennie widywać, nadadzą im imiona, a wtedy nie wybaczą ci, jeśli Fred czy inna Henia wylądują na talerzu.

Jerry pokiwał głową.

– On ma rację.

Simon zastanowił się nad tym. Wilki nie będą serwować swoich bizonów na żadnym talerzu, po prostu część mięsa zostanie sprzedana ludziom u rzeźnika na targu. Skąd będą wiedzieć, który bizon zamienił się w pieczeń? I czy w ogóle miało to jakieś znaczenie? Ludzie stwarzali problemy, zanim cokolwiek zrobili.

– W porządku – powiedział. – Nie będziemy nadawać imion jedzeniu.

– Jackson powiedział, że przez większość czasu samce i samice są trzymane oddzielnie – zauważyła Nyx. – Możemy trzymać samice w Pokojach. Są ogrodzone.

Nie mógł tam również wejść nikt poza Sanguinatimi – a przecież umieszczanie bizonów tam, gdzie nie da się na nie polować, było nielogiczne. A z drugiej strony wszędzie biegało mnóstwo jeleni, więc przez rok czy dwa nie zajdzie potrzeba urządzania polowań na bizony, a na terenach Pokojów znajdowało się dużo pastwisk i świeżej wody.

– Czy Erebus się na to zgodzi? – spytał Simon. – Bizony nie są zbyt apetyczne, gdy robią kupę.

Vlad wzruszył ramionami.

– Przecież mamy też jelenie.

– Nie rozumiem... – Jak na zawołanie jeden z bizonów podniósł ogon i zademonstrował, o co chodzi. – Aha.

– Wszystko będzie w porządku – zapewniła Nyx.

– Powinienem już wracać – zauważył Jerry. – Macie coś do Przystani Przewoźników?

Simon pokręcił głową, patrząc na bizony, które przeszły przez

drogę i zaczęły się paść.

– Nie dzisiaj.

– Podrzucić kogoś do wyjazdu? – spytał Jerry.

– Chętnie – odrzekł Kowalski. – Pora udać się do pracy.

– Ja się przejdę – rzekł Simon.

Nyx zmieniła się w dym i odleciała w stronę Pokojów.

Vlad wyruszył z Simonem w stronę targu, gdzie przy wanie czekali już Blair i Jackson. Razem z nimi do Osiedla Nadrzecznego przyjechały dwa młode Wilki ze stada z Addirondak.

– Czy nie łatwiej byłoby zarządzać czymś mniej... egzotycznym? – spytał Vlad.

– Mamy dostęp do wołowiny i produktów mlecznych z farm *terra indigena* – odparł Simon. – Nie potrzebujemy krów. Poza tym bizonów nie trzeba doglądać, o ile mają zapewnione pożywienie i wodę. A za rok jeden z nich zapewni Dziedzińcowi pożywienie na wiele dni.

– Myślisz, że ludzie w Lakeside pozwolą, by ciężarówki tubylców ziemi dojechały na Dziedziniec z zaopatrzeniem dla nas?

– A sądzisz, że to miasto przetrwa, jeśli tego nie zrobią? – Simon odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Nie. Na szczęście w policji w Lakeside są ludzie, którzy też to rozumieją.

Przez dłuższą chwilę milczeli. Ciszę przerwał Simon:

– Będziesz miał na oku Meg?

Vlad pokiwał głową.

– Henry szlifuje coś w swoim studiu albo pracuje w ogrodzie. Przy otwartym oknie sortowni będzie słyszał, o czym rozmawiają Meg i inne dziewczyny, co mówią o przywiezionych przez Jacksona kartach – i co sądzą o rysunkach, które Nadzieja zrobiła dla Meg.

Blair minął ich, nie zatrzymując się. Simon miał jeszcze kilka minut, by dojść do targu i zastanowić się, jak podejść do następnego zadania.



Meg otworzyła jedną talię i rozłożyła karty w rzędach na stole w sortowni.

– Przepiękne obrazki – rzekła Ruth. – Jak ilustracje ze świata

fantazji.

– Owszem, piękne, ale mało realistyczne.

– Sztuka ma symbolizować to, co reprezentują karty, a nie być realistyczna.

– I właśnie na tym polega problem, prawda? – Merri Lee spojrzała na Meg. – Nie będziesz miała wizji dotyczących ludzi ze świata fantazji, więc potrzebujesz rysunek ognia zamiast smoka, który symbolizuje ogień.

– Tak – przyznała Meg. – No i musimy jakoś inaczej nazwać te karty. Gdy mówimy o przepowiadaniu przyszłości, to brzmi, jakbyśmy oddawały się jakimś rozrywkom, a przecież te karty mają być narzędziem dla prorocत्व.

– I tak właśnie je nazwiemy! Karty prorocत्व. – Merri Lee złożyła rzędy. Jej ruchy spowalniała szyna na palcu wskazującym lewej dłoni.

– Długo jeszcze? – spytała Ruth, wskazując rękę przyjaciółki.

– Mam nadzieję, że pozbędę się tego jutro, po badaniu u doktora Lorenzo. Bogowie, z jaką radością umyję włosy obiema rękami...

– Na szczęście to było nieskomplikowane złamanie. Wyglądało...

– Jakby kość przebiła skórę. Dobrze, że ze wszystkich odłamków naczyń, które potłukły się podczas walki na targu, trafiłam na porcelanową skorupę. Z pewnością wyglądała jak kość, zwłaszcza że miałam zraniony palec. – Merri Lee głośno wypuściła powietrze. – Większość z nas miała szczęście.

Meg milczała. Dziewczęta, które przybywały do kompleksu, później znikwały, ale żadnej z nich nie знаła na tyle, by odczuć tę stratę – nie w sposób, w jaki odczuła utratę Lawrence’a MacDonalda i Crystal Wroniej Straży. Z nimi zdążyła się zaprzyjaźnić.

Nie chcę stracić więcej przyjaciół, pomyślała, patrząc, jak Ruth chowa talię do pudełka i otwiera kolejną.

Drugie karty im się nie spodobały, za to po dotknięciu trzeciej tali Meg poczuła delikatne mrowienie w dłoniach. Realistyczne ilustracje. Wybrała wszystkie obrazki przedstawiające wodę – jeziora, strumienie, wodospady, spienione fale.

– To ilustracja dla Wielkich Jezior – rzekła Merri Lee, dokładając kolejną kartę do tych, które ułożyła Meg.

– Pojęcia konkretne i ogólne. – Meg podeszła do szafy i wyjęła pocztówki, które otrzymała od Lorne’a. Wskazała jedną z kart prorocत्व.
– Wodospad mógłby być ogólnym pojęciem, pasującym do wielu miejsc.
– Pod spód położyła pocztówkę z Wodospadem Talulah. – Ale to mogłoby oznaczać konkretne miejsce.

– Ile takich konkretnych miejsc znasz? – spytała Ruth. – Mieliśmy wrażenie, że nauczono cię jednego obrazu reprezentującego dane pojęcie, na przykład jeden rysunek małego psa, jeden dużego, ale żadnej rasy.

– Ale przecież Wodospad Talulah to charakterystyczny punkt orientacyjny – rzekła Merri Lee. – Może różne kombinacje kart mogłyby oznaczać różne rzeczy? Meg, co oznacza dla ciebie oglądanie tych dwóch kart jednocześnie? – Położyła pocztówkę z Wodospadem Talulah na pocztówce z Wielkimi Jeziorami.

– Jezioro Etu – odparła Meg. Gdy położyła palce na pocztówkach, zdziwiła się, że w ogóle nie musi się nad tym zastanawiać.

– Albo równie dobrze Jezioro Tahki – dodała Ruth. – Aby dokładnie określić lokalizację, może być potrzebna trzecia karta.

– Dobry pomysł. – Merri Lee wręczyła Meg pocztówkę, na której widniało zachodzące za górami słońce. – A z czym ci się kojarzy ten obraz?

– Zachód.

– A razem z tym? – Wzięła drugą kartę.

– Wschód słońca.

Ruth spojrzała na Meg.

– Co czujesz?

– Lekkie mrowienie w dłoniach. Ale mam tak, odkąd otworzyliśmy tę talię.

– To jeszcze nic nie znaczy – zauważyła Ruth. W jej głosie słychać było rozczarowanie.

– Ale nie zadałyśmy pytania – rzekła Merri Lee. – Podzielmy te karty na poszczególne kategorie. Tak jak Meg zrobiła to z wodą. A potem przeprowadzimy test. Włączymy w to też pocztówki.

– A co z pozostałymi taliami?

– Zaczniemy od tego, co mamy tutaj. Potem będziemy się

zastanawiać, co dalej. Gotowe?

Meg pokiwała głową.

– Skąd przybyły bizona na Dziedziniec?

– Przecież na to pytanie znam już odpowiedź.

– Tak, ale gdybyś musiała odpowiedzieć nam na nie przy użyciu kart, które z nich byś wybrała?

Meg spojrzała na karty. Po krótkiej chwili wyjęła tę z Zachodem, a potem drugą – przedstawiającą wysoką trawę. Następnie zmarszczyła czoło i podrapała się po prawej dłoni.

– Nie ma go tutaj. Nie ma tu żółtego kamienia.

– Poczekaj. – Ruth otworzyła kolejną talię i szybko zaczęła przeglądać karty. Po chwili podniosła obrazek przedstawiający kilka sztabek złota w skarbcu.

– Tak. – Meg wzięła kartę i położyła ją pod pozostałymi.

– Zachód to kierunek lub obszar, zdjęcie tego, jak według mnie wygląda preria – pan Wilcza Straż potwierdzi nam to po swoim powrocie – i sztabki złota. – Merri Lee wyglądała na zadowoloną. – Odpowiedź na pytanie to Złota Preria, znajdująca się na zachód od nas.

Mrowienie osłabło.

Meg znów spojrzała na karty. Czy to mogłoby zadziałać? Czy naprawdę mogła w ten sposób odpowiadać na pytania?

– Będziemy potrzebowały kart, które przedstawiają złe rzeczy – zdecydowała.

– Owszem – zgodziła się Merri Lee.

– Ale to wcale nie musi być grafika.

– W porządku – powiedziała Ruth. – Meg, czy w talii kart z krajobrazami jest karta, która według ciebie nie pasuje do reszty albo po prostu jest zła?

Meg przyjrzała się wszystkim kartom i pokręciła głową.

– Nie.

Ruth dołożyła kartę ze sztabkami złota do reszty kart, zebrała talię i schowała ją do pudełka.

– To była talia z krajobrazami. Ta jest z pejzażami miejskimi.

Gdy Merri Lee i Ruth zaczęły dzielić karty na poszczególne kategorie, Meg skrzyżowała ramiona na piersi.

– Meg? – spytała czujnie Merri Lee.

Poczuła ogień w łydkach i udach. Wszystko ją piekło, piekło, piekło – zawsze tak było przed nadchodzącą przepowiednią. Zacisnęła zęby i położyła jedną dłoń nad kartami, przenosząc ją powoli od jednej kategorii do innej. Kiedy dotarła do ostatniej, poczuła ogromny ból. Przesunęła karty na bok, a następnie zaczęła się cofać, tak długo, aż ręka przestała boleć, a pieczenie ustało.

Merri Lee i Ruth spojrzały na karty, a potem podniosły wzrok na nią.

– Meg? – odezwała się łagodnie Ruth. – Dlaczego odłożyłaś te karty? Przecież przedstawiają linie horyzontu różnych miast.

Pieczenie, pieczenie, pieczenie. To samo uczucie w kostce miała, gdy doświadczała wizji płonącego sklepu Nadine. Gdyby nacięła skórę, gdyby zobaczyła... Nie. Nie chciała zobaczyć, co wydarzy się w tych miejscach. Nie chciała również, żeby jej przyjaciółki niosły brzemie tej wiedzy.

– Dlaczego odłożyłaś te karty na bok? – spytała Merri Lee.

Meg zadrzała. Z trudem przełknęła ślinę.

– Chyba nie będziemy ich potrzebować. – Poczuła nagły skurcz w żołądku. – Dzisiaj nie mogę już na to patrzeć.

Pobiegła w stronę łazienki, ale gdy tylko znalazła się poza sortownią, jej brzuch natychmiast się uspokoił.

Kiedy wróciła, karty były już zebrane, powkładane do pudełek i ułożone na ladzie.

– Nie chciałyśmy ich odkładać – powiedziała Ruth.

– Ale możemy to zrobić – dodała Merri Lee.

– Zaznaczyłam talię, w której było za dużo fantastyki, tę, która cię nie zainteresowała, oraz na dwóch pozostałych. Karty jednej talii są zbyt wymyślne.

Meg pokiwała głową.

– Jutro obejrzymy kolejne.

Gdy przyjaciółki wymieniły zaniepokojone spojrzenia, zapewniła:

– Nie muszę się ciąć. – Pod pewnymi względami mówiła prawdę.

Nie potrzebowała cięcia. Ale pragnęła euforii, która następowała po nim.

– Przyda mi się teraz trochę rutyny.

– Możemy coś jeszcze zrobić? – spytała Ruth.

– Nie, dziękuję.

– A powinniśmy powiedzieć komuś o tym, że nie potrzebujesz kart?

– Niczego nie wiemy na pewno. – Gdy Kontroler ciął ją dla klientów, nie wiedziała, co widzi, ani kto się dowie o jej przepowiedni. – Jeśli komuś powiecie... musicie dać mu do zrozumienia, że niczego nie wiemy na pewno.

Pokiwały głowami. Obiecały, że wrócą w przerwie i zjedzą razem lunch, a następnie wyszły.

Meg otworzyła drzwi do recepcji i przyjrzała się Nathanowi. Wyglądał zupełnie zwyczajnie – rozłożony na swoim posłaniu pod jednym z frontowych okien. Założyłaby się o tygodniową wypłatę, że podsłuchał wszystko, o czym rozmawiały, i opowie o tym Simonowi.

Patrzyła, jak w miejsce dostaw podjeżdża ciężarówka z pocztą, i poczuła ulgę, że przez chwilę odda się rutynowym zajęciom. Zanim listonosz wysiadł z samochodu, powiedziała jeszcze do Nathana:

– Tylko powiedz Simonowi, że niczego nie wiemy na pewno.



Poniedziałek, 18 czerwca

Gdy Simon, Jackson, dwa młode Wilki i Jerry Saniarz dotarli do Osiedla Nadrzecznego, sześć pozostałych bizonów bynajmniej nie było uległych. Kiedy tylko Simon i Jackson opuścili rampę w samochodzie do przewozu bydła, zwierzęta zaczęły uciekać w popłochu – były dalej od domów i stworzeń, które stały na dwóch nogach, ale pachniały Wilkami.

– Mamy ich popilnować? – rozległ się czyjś głos.

Simon spojrział na dwóch samców Sanguinati, którzy podплыnęli pod postacią dymu, a następnie przybrali ludzką postać.

– Tak – odrzekł. – Dobrze byłoby za nimi pójść.

Dwa samce z powrotem przyjęły postać dymu i pofrunęły za bizonami. Simon obserwował, jak do grupy dołącza czterech młodych Sanguinatic. Przynajmniej zajmą się pilnowaniem bizonów.

– U nas ziemia ciągnie się aż po horyzont i zwierzęta widać przez długi czas. – Jackson przyjrzał się krajobrazowi. – Tutaj będzie trudno upilnować stada.

– Może należy kupić kilka samochodów terenowych, z których będą mogli korzystać farmerzy i opiekunowie zwierząt? Steve chce mieć kilka takich pojazdów do obozu *cassandra sangue* razem z kilkoma niewielkimi wózkami, którymi można przewozić sprzęt albo żywność.

– Ludzie mogą też jeździć na koniach – wtrącił Simon.

– Jeśli chcesz koni, pogadaj z Kupcami. Musicie jednak zbudować jakieś schronienie i przygotować miejsce na wypas. Pojazdy terenowe można by przechowywać w starym budynku przemysłowym.

– Niektóre z tych budynków będą należeć do *terra indigena*. Większość z nich nie ma samochodu, więc garaż będzie stał pusty. Czy w takim garażu zmieści się koń?

Jerry podrapał się po karku.

– Nie mówię, że kilka koni by się tu nie przydało, ale lepiej zbudować pomieszczenie specjalnie dla konia, niż próbować zamienić garaż w bezpieczną stajnię. Można by było przechowywać w nim paszę, gdyby na podłodze rozłożyć drewniane palety, żeby siano nie zawilgotniało, ale to przyciągnęłoby myszy, które dostałyby się potem przez garaż do domu. Wtedy należałoby sprawić sobie również kilka kotów.

– Panterza Straż z reguły nie jada myszy, ponieważ na jeden posiłek trzeba złapać zbyt dużo gryzoni – zauważył Simon. – Ale inni *terra indigena* mogliby się nimi zadowolić. A jeśli Inni obiecaliby, że nie zjedzą kotów, można by rozważyć wzięcie kilku futrzaków do siebie, tak by ludzie byli pewni, że nie zagraża im plaga myszy. Kotom mieszkającym z ludźmi byłoby łatwiej polować niż na przykład Sowom. Może na Wielkiej Wyspie będą jakieś koty do wzięcia?

Konie, koty i pojazdy terenowe. Kolejne punkty na liście, które wpisze przy okazji następnej rozmowy ze Steve'em Przewoźnikiem.

– Potrzebujecie czegoś jeszcze? – spytał Jerry.

Simon pokręcił głową.

– Prawie zapomniałem. – Jerry otworzył drzwi od strony pasażera, wyjął z auta worek i podał go Simonowi. – W naszych centrach

komunikacji mamy korty tenisowe, zarówno na wyspie, jak i na stałym lądzie w Przystani Przewoźników. Nie wiem, czy ktoś z was gra w tę grę, ale Ming Niedźwiedzia Straż widział, jak Pam Ireland rzuca piłkę swojemu psu, i pomyślał, że może zechcielibyście kilka piłek dla młodych.

– Dziękuję. – Wilki znały ten rodzaj piłek. Dobrze się odbijały i były na tyle miękkie, że nie robiły krzywdy szczeniakom, gdy te dostały nimi w łeb. Nie powiedział jednak Jerry’emu, że na Dziedzińcu w Lakeside to żadna nowość. Poza tym piłki mogły zostać tu dla Wilków, które osiadą w Osiedlu Nadrzecznym.

Jerry ruszył w drogę. Po chwili skręcił na północ w Ulicę Nadrzeczną, żeby wrócić do Przystani Przewoźników.

Jackson sięgnął po worek.

– Mogę zobaczyć jedną? – Przyjrzał się żółtej piłce, ścisnął ją, a następnie rzucił.

Młode Wilki patrzyły, jak piłka znika w wysokiej trawie.

– Powinniście za nią pobiec i mi ją przynieść. Na tym polega zabawa w rzucanie – uświadomił je Simon.

Jackson rzucił drugą piłkę w ślad za poprzednią. Tym razem Wilki pobiegły. Gdy znalazły obie piłki, wróciły do Jacksona, a ten rzucił je ponownie.

Obserwując przyjaciela, Simon nagle poczuł ekscytację. Jackson rzucający piłkę znalazł się w przepowiedni Meg!

– Roy Panterza Straż przesiedli się tutaj – powiedział. – Może przybędzie z nim jakaś samica.

Jackson zatrzymał w górze rękę z piłką i spojrzał na Simona, wyraźnie zaskoczony.

– Samica? Ci z Panterzej Straży nie żyją samotnie, tak jak zwykle pantery, ale jakim cudem dwoje miałyby – jak mogłoby – mieszkać tak blisko siebie?

– Nie wiem. Nie wiem też, czy ta samica planuje zostać, czy po prostu chce się rozejrzeć po tej części Thaisii, a potem podjąć decyzję. W każdym razie Roy przeniesie się tutaj... – Simon się zawahał. – A ty?

– Ja? – Jackson rzucił piłkę tak niedbale, że Wilkom wystarczyły dwa susy, żeby ją złapać. – Pomyślałeś, że tu zostanę? Dlaczego?

Simon wzruszył ramionami.

– Bo Meg widziała cię tutaj. – Wciąż łatwo było uwierzyć, że wszystko, co zobaczyła wieszczka krwi, wydarzy się w przyszłości, zwłaszcza że Meg często miała rację. Nie można było jednak niczego zakładać. Jackson popatrzył na niego niepewnie, ale Simon kontynuował: – Opisała, jak rzucasz piłkę młodym Wilkom. A ja pomyślałem, że to oznacza, że tu zamieszkasz.

Wilki upuściły piłki u stóp Jacksona, a potem odbiegły, by rozejrzeć się po terenie wokół domów. Widocznie miały już dość tej zabawy.

– Ale ja lubię mieszkać w Sweetwater – rzekł Jackson. – Poza tym Grace jest z Północnych Wyżyn i będzie jej brakować śniegu.

– Przecież mamy śnieg.

Jackson parsknął śmiechem.

– Uwierz mi, nie macie tego, co Grace nazywa śniegiem. – Miał nadzieję, że nikt nie przekaze jego słów Żywiolom z Lakeside. Nie chciał, żeby Zima zapragnęła udowodnić, że umie zapewnić tyle śniegu, ile generują Żywioly na Północnym Wschodzie czy te z Północnych Wyżyn. – Poza tym – ciągnął – Nadzieja się wprowadziła. Poznaje teren i uczy się o sobie dbać. I teraz jest inaczej, prawda? Intuici bardziej interesują się rozmawianiem z nami, wymianą informacji o młodych wieszczkach, dopytują, co mogłoby pomóc osobom, którymi się zajmują. To nie jest już zwykła cotygodniowa wizyta na targu.

– A ty jesteś liderem, z którym rozmawiają. – Simon przytaknął. – Tak jak Joe rozmawia z Intuitami w Żółtej Prerii.

– Ty i Meg udowodniliście Intuicom, że współpraca między waszymi gatunkami jest jak najbardziej możliwa.

– Nie wszyscy ludzie wychodzą z tego założenia – ostrzegł Simon.

– Tak samo jak nie wszyscy *terra indigena*. – Jackson podniósł jedną z piłek i zmarszczył czoło. – Chyba nie wrzucę jej do tych czystych.

– Te dwie zabierzemy ze sobą, a worek z czystymi piłkami zaniemiemy do garażu przy domu Sanguinatic.

Gdy byli już gotowi do odjazdu, Simon zawołał młode Wilki:

Pora wracać do Lakeside.

Ale jeszcze nie obwąchaliliśmy wszystkiego!

Moglibyśmy tu zostać i pomóc pilnować bizonów.

Chyba raczej za nimi poganiać, pomyślał. Cały problem polegał na tym, że bizony wyczuwały obecność Wilków; młode wiedziały o bizonach zbyt mało i z pewnością wpakowałyby się w poważne tarapaty. A gdyby zostawić dwa stada młodych, bez żadnych dorosłych w pobliżu? Nie ma szans.

Wsiadajcie do vana! ryknął.

Wyraźnie przestraszone, Wilki posłusznie do niego wróciły. Simon podejrzewał, że wynikało to nie tyle z posłuszeństwa, co z obawy przed zakazem spacerów.

Jesteś rozczarowany faktem, że tu nie zostanę, powiedział Jackson, gdy Wilcza Straż odjechał spod wspólnoty.

Tak. Ale ja też nie chciałbym się przenieść i opuścić Meg. Dlatego rozumiem, że nie masz zamiaru zostawiać Nadziei samej sobie.

Umiałem utrzymać ludzką postać i rozumiałem, w jaki sposób wykorzystują różne przedmioty, ale nie chciałem kierować żadnym Dziedzińcem ani nawet na nim mieszkać. Przynajmniej nie w taki sposób, jak ty. Teraz w ciągu tygodnia mam do czynienia z większą liczbą ludzi i związanych z nimi spraw, niż kiedyś przez cały sezon.

Bo ludzie przyczepiają się do nas. Jak rzepy.

Jackson zaśmiał się cicho.

Ale kilkoro z nich jest wartych czegoś więcej.

Simon pomyślał o Samie. O tym, jak wyglądał, gdy był z Meg, jak bardzo urósł od czasu pierwszej nocy, gdy wyczuł jej zapach, gdy ciekawość zwyciężyła strach. Pomyślał również, jak sam się czuł, mając Meg za przyjaciółkę.

Tak, niektórzy są warci czegoś więcej.



Meg zgmiotła egzemplarz „Wiadomości Lakeside” i cisnęła go w kąt sortowni. Po chwili namysłu podniosła, wygładziła i włożyła do drucianego kosza, do którego odkładała gazety przeznaczone do recyklingu.

Jak to określiła Merri Lee? Te same wieści, inny dzień: gubernator Patrick Hannigan nadal nawołuje władze miast do zachowania zdrowego

rozsądku i niereagowania na sensacyjne wieści o ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko, a agent Greg O'Sullivan mówi, że Biuro Śledcze wciąż bada sprawę martwych ryb, które pojawiły się wokół Toland.

Czytając te artykuły, czuła mrowienie w rękach, ale ten, w którym cytowano słowa Mikołaja Strzępiela...

„Ludzie są potężni. Ludzie mają rację. Zasługują na wszystkie bogactwa tego świata. Nie powinni musieć okazywać wdzięczności za jałmużnę przyznawaną zgodnie z kapryсами *zwierząt*”. Skóra paliła ją tak bardzo, że nie mogła już dotknąć tej gazety.

Jest za wcześnie na cięcie, pomyślała, idąc do łazienki, żeby umyć ręce. *Poza tym teraz to byłoby bez sensu, bo mrowienie minęło.*

Wróciwszy do sortowni, położyła na stole pudełka z taliami prorocstw i otworzyła każde z nich. Zawahała się, ale po chwili wyjęła karty z miejskimi krajobrazami – te, które symbolizowały większe miasta w Thaisii. Dodała nawet dwie fantastyczne talie. Na końcu rozłożyła rysunek Nadziei, ten z kartami, na podstawie którego w jakiś sposób miała utworzyć talię Pioniera.

Na szkicu widać było różne karty. Niektóre przedstawiały sceny jako całość, inne odnosiły się do jakiegoś pojęcia, a jeszcze inne je przedstawiały. Czy taka mieszanina znajdowała się już w kartach? Tak naprawdę nie zdążyła im się dokładnie przyjrzeć.

Nie wiedziała, jak długo wpatrywała się w karty. Czuła się zmęczona na samą myśl o nich. Nagle uświadomiła sobie, że nie jest sama. Podniosła głowę. Po drugiej stronie stołu ujrzała wielkiego mężczyznę.

– Henry?

– Westchnęłaś. Zastanawiałem się, co się stało.

– Usłyszałeś moje westchnięcie? – Spojrzała w stronę otwartego okna. Ona i jej przyjaciółki nie myślały nawet o tym, że ktoś z zewnątrz mógłby je podsłuchać, zwłaszcza że z reguły rozmawiały tak cicho, by Nathan, siedzący w pokoju obok, niczego nie słyszał.

– Pracowałem na zewnątrz i słyszałem cię. A Jake usłyszał cię ze swej żerdzi na ścianie. Nathan też cię słyszał. Westchnęłaś bardzo głośno.

Nie wydawało jej się, żeby jej westchnięcie było *bardzo* głośne, ale

Inni mieli doskonały słuch, więc dla nich rzeczywiście mogło to tak zabrzmieć.

– Czytałam gazetę i się zmartwiłam – przyznała.

– To aktualna?

Pokiwała głową.

– Za każdym razem, gdy czytam o LPiNW lub o tym, co powiedział Mikołaj Strzępiel, czuję mrowienie albo wręcz pieczenie skóry. Staram się nie ciąć. Naprawdę bardzo się staram.

– Ten cały Mikołaj Strzępiel i LPiNW sprawiają naprawdę duże kłopoty. Nie musisz się ciąć, żeby powiedzieć nam o tym, o czym już wiemy. – Henry wskazał talie kart, leżące na blacie. – A to?

– Nie wiem, co z nimi robić. Nie wiem, jak połączyć obrazki, by stały się użyteczne dla *cassandra sangue*. A jeśli odrzucę coś, co nie będzie miało znaczenia dla mnie, a będzie bardzo ważne dla innej dziewczyny?

Henry zacisnął usta. Blizna po prawej stronie jego twarzy wciąż była świeża i codziennie przypominała o ukrytym celu LPiNW.

– Dlaczego tak ci zależy na tej wiedzy? – spytał w końcu.

– Bo chcę, żeby inne dziewczyny mogły korzystać z tych kart, zamiast się ciąć. – Inne dziewczyny. Czyżby sama była tak uzależniona od cięcia, że dla siebie nie chciała żadnej innej opcji? Nie. Nacinanie skóry w końcu ją zabije. Mogła – i robi to – nauczyć się stosowania tych kart dla własnych celów oraz dla celów innych wieszczek krwi.

– Najpierw musisz poznać naturę rzeczy – rzekł Henry. –

W Niedźwiedziej Straży opowiadamy sobie pewną pouczającą historię. Otóż młody niedźwiedź jest głodny, więc idzie nad rzekę poszukać ryb. Czeka przy wodzie przez wiele dni, aż wreszcie słabnie z głodu, ale nie widzi żadnej ryby. Dlaczego? – Spojrzał na nią w oczekiwaniu.

– Nie znam tej historii. Nie wiem, dlaczego nie ma ryb.

– Bo przyszedł za wcześnie. Gdyby poznał naturę ryb, które składają ikrę w rzece, poszukałby sobie czegoś innego do jedzenia, a nad rzekę wrócił w odpowiednim czasie. – Uśmiechnął się lekko. – Obserwuj. Ucz się. A wtedy znajdziesz to, czego szukasz.

Westchnęła.

– *Arroo?* – rzucił Nathan z sąsiedniego pomieszczenia.

– Nic jej nie jest, Wilku – odparł Henry i spojrzał na nią przeciągle.
– Nic ci nie jest, Meg, prawda?

Dotknęła jednej z talii.

– Karty mogą ujawnić odpowiedź na pytanie, ale korzystanie z nich nie wywołuje euforii. Nie jest tak przyjemne, jak nacinanie skóry.

– Dopóki nie poznasz ich natury, nie dowiesz się, czy to prawda.

Nie miała na to właściwej odpowiedzi, ale musiała zapytać:

– Henry, czy bizona będą się błąkać po Dziedzińcu?

– Dwa samce zostały zabrane do Pokojów. Płoty powinny powstrzymać je przed błąkaniem się poza tym terenem. Samice pasą się, gdzie chcą. Dlaczego pytasz?

– Bo będą rosnać.

– Tak, będą dużo większe.

– Czy one lubią ganiać za różnymi rzeczami?

Z początku wyglądał na rozbawionego. Odpowiedział jednak z powagą:

– Aha. Chodzi ci o PNK.

– Gdy robię dostawę, czasami na drogę wyskoczy mi jeleni, ale zaraz ucieka. Jednak dorosły bizon pewnie nie zejdzie mi z drogi. Merri Lee obiecała sprawdzić informacje o bizonach w Zabójczo Dobrych Lekturach, a Ruth w bibliotece. – Martwiły się głównie o to, że nowi mieszkańcy zniszczą ogródki warzywne. Meg zastanawiała się, co bizona pomyślą na temat Pudełka na Kólkach, które jeździ z warkotem po drogach Dziedzińca.

– Gdy się tego dowiem, to udzielę ci odpowiedzi – obiecał Henry.

Gdy wyszedł, Meg podeszła do okna, cały czas pozostając poza zasięgiem wzroku. Usłyszała, jak drewniana brama się otwiera i zamyka. Potem rozległy się odgłosy kroków na ścieżce. Ucichły, zanim Henry dotarł do studia, ponieważ nagle zakrakał Jake, oznajmiając przyjazd ciężarówki z dostawą.

Wiedziona impulsem, otworzyła losowe pudełko z kartami. Nie wiedząc, jak je potasować, rozłożyła karty w wachlarz i położyła obrazkami do dołu. Wybrała jedną i odwróciła.

Kosz dojrzałych owoców, wyglądających na...

Zgniłe. Robaczywe.

Zamrugnęła. Nie. Ta karta ukazywała kosz dojrzałych owoców – pięknych i z pewnością pysznych.

Drzwi do biura się otworzyły. Usłyszała, jak Nathan schodzi z posłania i podchodzi do lady, żeby porozmawiać z dostawcą.

Rzuciła karty i szybko wybiegła z sortowni.

– Cześć, Harry.

– Panna Meg. – Jego głos... Zmęczony. Zestresowany.

– Czy coś się stało?

– Mam paczkę dla panny MacDonald. Napisano, żeby przechowywać ją w chłodnym miejscu.

– Harry?

Nathan stanął na tylnych łapach i jedną z przednich oparł o blat.

– Możliwe, że nie będę już waszym dostawcą. – Harry pochylił się w stronę Meg i zniżył głos: – Mówi się, że Dostarczamy Wszędzie zamieni się w Dostarczamy Wszędzie Ludziom.

– *Arreoooo?* – Nathan odezwał się równolegle z Meg:

– I co teraz zrobisz?

– Złożę wypowiedzenie, ot, co. – odparł Harry, wyraźnie zdenerwowany. Potem jednak zerknął przez ramię, jakby się bał, że ktoś go usłyszy. – Oczywiście nie wiem, co ja i żona zrobimy bez mojej wypłaty, ale słyszałem plotki, że jeśli zostajesz zwolniony za bycie sympatykiem Wilków, tracisz to, co zostało z twojej pensji. Tak więc sam odejdę i spróbuję wydebić od nich jak najwięcej forsy. Dla was to jednak oznacza, że możecie mieć problemy z dostawami. I coś takiego, jak to – popukał w pudełko – może do was dotrzeć już zepsute.

Meg pomyślała o karcie proroctwa i zadrżała.

– *Arreoooo?*

– Powiem panu Wilczej Straży o tym, co nam przekazałeś. – Odsunęła się od lady. – Dzięki.

– Uważajcie na siebie. – Harry popatrzył na Nathana. – Oboje.

Meg nagle złapała się framugi drzwi do recepcji. Poczekała, aż Harry odjedzie i skupiła się na Nathanie. Zaciśnęła zęby, żeby nie ugryźć się w język, ponieważ czuła tak silne pieczenie i ból.

– Zawołaj Henry’ego. – Nathan podniósł głowę. – Z tym pudłem jest coś nie tak. – Mówiła przez zaciśnięte zęby. – Zawołaj Henry’ego.

I Tess.

Nathan zawył.

Meg tymczasem przebiegła przez sortownię i zaplecze. Zaczęła szarpać za klamkę, aż wreszcie udało jej się otworzyć drzwi i wybiec na zewnątrz.

– Meg? – Pete Denby, który zbiegł po schodach ze swojego biura, złapał ją w ostatniej chwili, zanim nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Zawłókł ją na schody, posadził i delikatnie ułożył jej głowę między kolanami.

– Meg? – Głos Tess był ostry niczym brzytwa.

– Paczka. Coś jest nie tak... – wymamrotała Meg. – Język mnie piecze.

– Co to oznacza? – spytał Pete.

– Że nie wolno ci spuszczać jej z oczu. – Tess weszła do biura łącznika.

– Nacięłaś się? – Pete delikatnie dotknął ramienia Meg. – Widziałaś coś?

– Usłyszałam nadjeżdżającą ciężarówkę. Wyjęłam jedną z kart prorocत्व z talii. Zobaczyłam zgniłe jabłka, ale na obrazku widać było zwykłe, dojrzałe owoce.

– Na bogów... No dobrze. A jak twój język?

Podniosła głowę.

– Już lepiej.

– Bo wypowiedziałaś ostrzeżenie. To tak działa, prawda?

– Nie wydaje mi się, żeby ktoś wysłał do Theral kosz jabłek. To pudełko jest niewielkie.

Pete wyjął z kieszeni telefon komórkowy.

– Doug? – rzucił. – Ty albo porucznik Montgomery musicie natychmiast przyjechać na Dziedziniec. Mamy tu podejrzanego pakunek. – Przez chwilę słuchał rozmówcy i jednocześnie obserwował Meg. – Nie, to chyba nie jest ładunek wybuchowy – dodał.

Meg pokręciła głową.

– Ludzkie prawo nie ma zastosowania na Dziedzińcu – powiedziała, gdy Pete skończył rozmawiać.

– Theral jest człowiekiem. Czyli zagrożenie musi pochodzić ze

strony innego człowieka. A to już sprawa dla policji. – Pete wyciągnął do niej rękę. – Dasz radę wrócić do środka?

– Wolałabym jeszcze trochę tu posiedzieć. Ale będę wdzięczna za szklankę wody.

Skrzywił się.

– Nie mam zamiaru potem tłumaczyć się Tess z tego, że zostawiłem cię samą.

Westchnęła. Naprawdę bardzo chciało jej się pić.

Jake sfrunął przy tylnej ścianie domu Henry’ego, wylądował obok schodów i zamienił się w człowieka.

– Ja przyniosę wodę dla naszej Meg.

Pete aż sapnął ze zdumienia. Meg odwróciła wzrok. Zaczynała się przyzwyczajać do tych szybkich przemian zwierząt czy ptaków w nagich ludzi i odwrotnie – o ile to nie był Simon. Z nim sytuacja wyglądała *inaczej*.

– Tylko szukając wody, nie zjedz mojego lunchu! – zawołała. Jake nie odpowiedział. Pewnie zgłosił się na ochotnika właśnie dlatego, że pod pretekstem szukania wody będzie mógł poszperać na zapleczu.

A jednak szybko wrócił. Przyniósł jej szklankę wody, a następnie zamienił się z powrotem we Wronę i odfrunął do swojego ulubionego miejsca na ścianie.

Wtem usłyszała wycie syren. Jednocześnie na podjeździe z piskiem opon zatrzymał się jakiś pojazd. Zanim zdążyła się odwrócić i sprawdzić, kto przyjechał, Simon już obok niej kucał.

– Meg?

– Nic mi nie jest. – Tylko tyle zdołała powiedzieć, zanim obok niego ukucnął Jackson. Zaczął ostentacyjnie węszyć, próbując wyczuć zapach krwi.

Potem tylnymi drzwiami Zabójczo Dobrych Lektur wybiegła Merri Lee.

– Michael mówi, że wezwano policję. Czy coś się stało? Meg, wszystko w porządku?

– Mamy tu podejrzaną paczkę – rzekł Pete. – Policja powinna się jej przyjrzeć. Meg zareagowała na nią źle i musiała wyjść na świeże powietrze. Nie ma potrzeby wszczynać alarmu.

– Ty, Ruth i ja porozmawiamy później – Meg zwróciła się do Merri Lee.

– Wszyscy musimy porozmawiać – mruknął Simon.

Napiła się wody. *Poznaj naturę rzeczy*. Dopóki nie dowie się, co znajduje się w paczce, nie będzie mogła zrozumieć związku między nią a koszem jabłek – ani tego, dlaczego zobaczyła coś, czego nie było.



Monty wszedł do biura kapitana Burke'a razem z Kowalskim. Louis Gresh, który kroczył za nimi, zamknął drzwi.

Burke spojrzął na drzwi, a następnie oparł splecione dłonie na biurku i uśmiechnął się przyjaźnie do mężczyzn.

– Z reguły to ja decyduję o tym, czy spotkanie toczy się za zamkniętymi drzwiami.

– Musieliśmy zamknąć – odparł Monty.

– Czy na Dziedzińcu było jakieś zamieszanie? – spytał Louis.

– Można tak powiedzieć. Z Theral MacDonald wszystko w porządku. Nie wiedziała, co się stało ani czy dotyczyło to jej, dopóki nie poszliśmy do gabinetu lekarskiego, żeby z nią porozmawiać. Meg nie było. Ale Nathan Wilcza Straż opowiedział nam o wszystkim, co się wydarzyło.

– Tak jak Pete Denby – dodał Burke. – Zadzwoił raz jeszcze, gdy spisywałeś oficjalne zeznania od Nathana. Czy sprawdzono już paczkę?

Monty pokiwał głową.

– To pudełko drogiej czekoladek z kartką z dedykacją: „Słodcyce dla słodkiej dziewczyny”. Nie było żadnego podpisu. Jedyne, co mógł nam powiedzieć pracownik Dostarczamy Wszędzie, to że paczkę przyniesiono do nich wczoraj tuż przed zamknięciem, a mężczyzna zapłacił dodatkowo za przechowanie łatwo psujących się towarów, które należy dostarczyć następnego ranka. Pracownik nie zapamiętał tego mężczyzny, zeznał tylko, że facet wyglądał, jakby pracował na zewnątrz: miał ubłocone buty, a na ubraniu ślady od trawy. Nic nie świadczy o tym, że paczka została wysłana przez Jacka Fillmore'a, brutalą i byłego partnera Theral.

– Ale? – ponaglił go Burke.

– Ale pewne ślady sugerują, że przy czekoladkach ktoś majstrował.

W środku nie było żadnych ciał obcych, tak więc laboratorium będzie musiało przeprowadzić testy, żeby sprawdzić, co zawierała paczka. – Monty z trudem przełknął wściekłość. Gdyby Meg Corbyn nie zareagowała tak na tę przesyłkę, Theral mogłaby dać te czekoladki dzieciom. Co stałoby się z Lizzy, Sarah czy Robertem Denby, gdyby zjadły coś, co z założenia miało zaszkodzić dorosłemu?

– W wolnym czasie oficer Debany i ja podzwoniliśmy po hotelach i pokojach do wynajęcia, głównie takich na tydzień – rzekł Kowalski. – Nie znaleźliśmy nikogo, kto zameldowałby się pod nazwiskiem Jack Fillmore.

– Co oznacza, że albo przyjeżdża specjalnie za każdym razem, żeby przypuścić taki emocjonalny atak i uciec, albo podał fałszywe nazwisko.

– Prawdopodobnie to drugie, nawet jeśli mieszka i pracuje w innym mieście – powiedział Louis.

– To może wyjaśniać odstęp w czasie między dniem, w którym wysłał Theral kwiaty, żeby potwierdzić, że pracuje na Dziedzińcu, a dniem doręczenia czekoladek – rzekł Monty. – Istnieje ograniczona liczba miast kontrolowanych przez ludzi, znajdujących się w sensownej odległości od Lakeside, a zostanie na noc pod domem MacDonaldów czy obserwowanie Theral w czasie jej rutynowych czynności oznaczałoby wzięcie kilku czy nawet kilkunastu dni wolnego. Jeśli Fillmore brał jakieś wolne, to z pewnością jego pracodawca to zarejestrował i będziemy mieli schemat działania.

– Nie mamy dowodu na to, że to Fillmore wysłał kwiaty i czekoladki – zauważył Burke. – Założyliśmy tak na podstawie opowieści Theral. Uwierzyliśmy jej, tym bardziej że Lawrence MacDonald był jej kuzynem i jednym z nas.

– Jak na razie on, lub ktoś inny, podjął dwie próby i nie udało mu się przedostać dalej niż do lady w biurze łącznika. I to właśnie o tym biurze chciałem z wami porozmawiać.

Monty przekazał informacje od Nathana na temat firmy Dostarczamy Wszędzie.

Burke westchnął z wściekłością.

– Dostarczamy Wszędzie Ludziom? Kretyni. Jeśli ludzie się nie

uspokoją, naprawdę zostaną wyrzuceni z Lakeside. Poproszę Pete'a, by sprawdził wynajmowanie terenów i to, jaką część miasta i kiedy możemy utracić. Bogowie wiedzą, co zrobimy, jeśli pociągi do i z Lakeside nie będą mogły przejeżdżać przez dzikie tereny, a nasze miasto przestanie być opłacalnym kierunkiem transportu.

– Drogi między miastami również są wydzierżawione – zauważył Louis. – A statki przewożące ładunki na Wielkich Jeziorach już znajdują się na niebezpiecznej pozycji. Możemy zostać odcięci od świata.

– Może się tak stać w każdym kontrolowanym przez ludzi mieście. Ostatnio ludzie zupełnie o tym zapominają. – Burke popatrzył na trzech mężczyzn. – Coś jeszcze? Nic? W takim razie zrobmy, co tylko się da, żeby jakoś rozwiązać ten problem.

Gdy Monty został sam, zadzwonił do matki. Musiał ją ponaglić. Niech przyjedzie do Lakeside, gdy tylko będzie mogła.



Simon, Jackson, Blair, Henry i Vlad stali wokół jednego z PNK.

– Twoja Meg jeździ tym po Dziedzińcu? – spytał Jackson.

– Nie można tym jeździć po ulicach miasta, ale tutaj dobrze sobie radzi – wytłumaczył Simon. Czuł potrzebę bronięcia Meg – w ciągu ostatnich miesięcy naprawdę „dobrze sobie radziła”. Gdy jednak spojrzął na Jacksona, zrozumiał. Dlatego dodał: – Dorosłe bizona będą większe niż PNK.

– Większe i cięższe. – Jackson oparł dłonie o samochód i pchnął. Niewielki pojazd zaczął się bujać. – Pod wpływem takiego cielska cały się wgniecie.

Simon zadrżał ze strachu. PNK jeździły wolno po drogach Dziedzińca. Osobie, która nimi podróżowała, zapewniały ochronę przed deszczem i zimnem. Doświadczony kierowca potrafił poradzić sobie na mokrej czy śliskiej nawierzchni. Ale rzeczywiście, czy PNK – i jego kierowca – przetrwałyby zderzenie z czymś tak wielkim jak bizon? Nie będą miały powodu, żeby gonić PNK albo weń uderzać. To jednak nie oznaczało, że któryś z bizonów nie pomyli PNK z czymś, co powinno się gonić lub zaatakować.

– Czy one będą stanowiły problem dla jeleni? – spytał Blair. – Ziemia Dziedzińca może wykarmić stado, które mieszka na tym terenie,

a stado jest na tyle duże, by zapewnić mięso wszystkim mieszkańcom Dziedzińca. Ile pokarmu dla jeleni zjedzą bizona?

Vlad zmarszczył brwi.

– Przypomnij mi, proszę, po co nam bizona na Dziedzińcu?

Simon miał wokół siebie dużo przestrzeni, mimo to odnosił wrażenie, że zapędzono go w kozi róg.

– Meg zobaczyła bizona w Osiedlu Nadrzecznym, a Nadzieja narysowała wizję, w której Jackson przyprawia do nas jedenaście zwierząt. – Dopiero teraz dotarło do niego, że być może źle zinterpretowali wizję *cassandra sangue*. Ostatecznie to, co widziały wieszczki, nie zawsze się spełniało.

Może ściąganie bizonów na Dziedziniec wcale nie było takim dobrym pomysłem.

– No cóż, jeśli bizona zaczną być problemem, to po prostu zjemy je wcześniej – stwierdził Henry.

Simon, niezadowolony z podjęcia chybionej decyzji, przeczesał palcami włosy. Zapragnął na chwilę zapomnieć o bizonach. Tego dnia nie było zbyt gorąco, więc może uda mu się przekonać Meg, by przed kolacją pobawili się w ganianego. Mógłby też gonić ją w drodze do ogrodu Zielonego Kompleksu i z powrotem, o ile planowała wyrywać chwasty. – Jeśli będziemy jeść wszystko, co stanowi problem...

– ...szybko przytyjemy – dokończył Blair.

Henry parsknął śmiechem.

– Dopóki nie postanowimy, co z nimi zrobić, upewniamy się, że ktoś pilnuje bizonów, gdy Meg będzie jeździć PNK.

Podjąwszy taką decyzję, przepchnęli PNK do jednego z garaży za Zielonym Kompleksem i podłączyli pojazd do prądu, żeby się naładował.

– Jedziesz jutro porannym pociągiem, Jacksonie? – spytał Simon, gdy szli przejściem między garażami a mieszkaniami.

– Chcę wrócić do domu. Tyłu ludzi zachowuje się agresywnie i irracjonalnie, że boją się o Grace i Nadzieję. – Jackson rozejrzał się. – Możemy sobie jeszcze pobiegać?

Vlad nagle przystanął i zrobił dziwną minę.

– Co? – spytał Simon.

– Tess mówi, że jeden z nas musi porozmawiać z Meg o jej umiejętnościach przepowiadania przyszłości. Ty i Jackson idźcie pobiegać. Ja się tym zajmę.

– Ale wiesz, jak to ma wyglądać?

– Nie. – Vlad, już pod postacią dymu, ruszył w stronę targu i biura łącznika z prędkością, jakiej nigdy nie osiągnąłby na nogach.

– Idźcie – rzekł Henry. – Biegajcie. Poczujecie się lepiej.

Nie dało się temu zaprzeczyć. Dlatego Simon, Jackson i Blair poszli do mieszkania Wilczej Straży, zrzucili ubrania i ludzką postać – i przypomnieli sobie, kim tak naprawdę są.



W cieniu wejścia Vlad zmienił się w człowieka, a następnie wszedł do biura łącznika.

Meg nagle zaczęła wątpić w to, czy widzi właściwe wizje i czy dobrze je interpretuje, powiedziała mu Tess. Mówi, że źle jej to idzie. Martwi mnie to. Dlatego ty albo Simon musicie z nią porozmawiać.

Żaden problem. I tak miał mnóstwo do powiedzenia Meg Corbyn.

Muszę porozmawiać z Meg.

Nathan zerknął w stronę drzwi recepcji.

Jest nieszczęśliwa. Nie wiem dlaczego. Nikt jej nie niepokoił.

Vlad wskazał drugie wilcze posłanie – puste.

Gdzie Jedynek?

Bawi się z Samem. Przez krótki czas bawili się z ludzkimi szczeniakami, ale te zaczęły skamleć, że się nudzą. Co to znaczy?

To cecha ludzi, której nie chcemy od nich przejąć, pomyślał Vlad.

Czyli Sam i Jedynek nie są z Meg?

Nie, Sam zostawił ubrania w Zabójczo Dobrych Lekturach i razem z Jedynekem wrócili do kompleksu Wilczej Straży i do dziury do pływania.

Ustaliwszy to – i nabrawszy przekonania, że nikt nie przerwie rozmowy – Vlad otworzył drzwi do recepcji.

Meg odwróciła się od stołu. Była wyraźnie zaskoczona.

– Vlad?

Zamknął drzwi na zaplecze, a następnie podszedł do stołu.

– Rozumiem, że czekasz na ocenę swojej pracy. Tak to się u was

nazywa? – Usłyszał, że mówi bardzo ostrym tonem.

– Dlaczego jesteś na mnie zły?

Miał jedenaście powodów do niezadowolenia, ale tak naprawdę bizona nie były jej winą.

– Nie na ciebie. Ale jestem zły. Bardziej, niż myślałem. – Chcąc dać sobie czas na zebranie myśli, spojrzął na talie kart na stole. – Jak to działa?

– Nie jestem pewna.

– Co to znaczy?

– Że nie jestem pewna!

Gwałtowność w jej głosie sprawiła, że wreszcie dokładnie jej się przyjrzał. W jej oczach było widać przerażenie i ogromne napięcie. Inni wymagali od niej za dużo. Była jeszcze bardzo młoda, niezależnie od jej fizycznego wieku.

– Zdajesz się wątpić w swoje umiejętności wieszczki. Dlaczego? Tylko mi nie mów, że nie jesteś pewna – pisnął jak dziewczyna. Zabrzmiało to tak obraźliwie, że nabrał przekonania, iż za chwilę Meg albo wybuchnie płaczem, albo zacznie czymś wymachiwać.

– Nawet małe dziecko potrafi odróżnić pudełko czekoladek od kosza z jabłkami! – wrzasnęła.

Złość. Świetnie. Wolał złość od płaczu.

– Zakładam, że gdybyś pokazała dziecku zdjęcie obu tych przedmiotów, to wiedziałoby, co jest co – o ile oczywiście byłoby odpowiednio duże – odparł łagodnie. Wybrał losowo jedną z kart i odwrócił ją. Na obrazku widniał stół z jedzeniem: tłuczonymi ziemniakami, sałatką, koszem chleba, gotowanymi warzywami, a na środku stała wielka pieczeń. *Oto moja odpowiedź na pytanie o to, co należy zrobić z bizonami*, pomyślał, odkładając kartę na miejsce. – Czyli denerwujesz się tak strasznie tylko dlatego, że wybrałaś kartę, która nie pasowała do konkretnego zagrożenia? – Nie czekał na odpowiedź. – Czy ktokolwiek zadał ci jakieś pytanie? Czy ktokolwiek, łącznie z tobą, zapytał: „Co jest w tej paczce?”

Zmarszczyła brwi i skupiła się.

– Wybrałam kartę z jabłkami w chwili, w której samochód listonosza wjechał na podjazd. Zanim paczka trafiła do biura. Ale przez

chwilę obrazek...

Przerwała, a Vlad dokończył za nią:

– To było jak w przypadku obrazów treningowych, które nałożone na kartę ukazują prawdę w ślad za tym, co widziało oko.

– Tak. A gdy podeszłam do lady, żeby porozmawiać z Harrym, język zaczął mnie piec. To właśnie wtedy poczułam chęć przecięcia skóry i ujawnienia przepowiedni.

Wiedział, ile krwi może wypłynąć z przegryzionego lub odciętego języka. Nie chciał wyobrazić sobie Meg, która wkłada brzytwę do ust.

– Ale nie musiałaś tego robić, ponieważ wyczuwałaś, że w tej paczce znajduje się coś niebezpiecznego. – Niedbałym ruchem dotknął kolejnej talii. – Meg, połączyłaś dwie sprawy i nas ostrzegłaś. Co w tym złego?

– Muszę się dowiedzieć, w jaki sposób sprawić, by działało to dla wszystkich wieszczek! – Machnęła ręką w stronę kart.

– Nie, nie musisz – warknął. – Poproszono cię o rozważenie wykorzystania tych kart jako alternatywy dla dziewczyn, które nacinają skórę, by wygłosić wizje, a nie o zrozumienie wszystkiego w kilka dni. Poza tym nie mówimy teraz o innych dziewczynach, a o tobie. Tylko o tobie, Meg. O co tak naprawdę ci chodzi?

– Kiedyś moje przepowiednie były precyzyjne! – krzyknęła. – Nacięcie mojej skóry kosztowało dużo pieniędzy, ponieważ moje przepowiednie były precyzyjne.

– Nadal są.

Pokręciła głową tak gwałtownie, że obawiał się o jej kark.

– Nie, już nie. Nie tak jak wtedy, gdy byłam w... – Przełknęła głośno ślinę. – W kompleksie.

– Gdy wypowiadasz przepowiednię, nie pamiętasz, co widzisz, nie pamiętasz, co mówisz. To skąd wiesz, że były bardziej precyzyjne?

– Inaczej klienci Kontrolera nie płaciliby za nie takich pieniędzy – szepnęła. Unikała jego wzroku. – Gdzie Simon?

– Biega z Jacksonem i Blairem. I zastanawia się, co zrobić z jedenastoma wielkimi śmierdzącymi problemami. – Westchnął. – Może wcale nie chodzi o to, że nagle twoje przepowiednie stały się nieprecyzyjne? Może chodzi o umiejętności osób, które interpretują

wizje? Przecież dla wszystkich z Dziedzińca jest to nowe doświadczenie. Jeszcze nigdy nikt nie dał ci przeczytać tego, co powiedziałaś, ani nie pokazał ci obrazków, które rysowała Merri Lee, żeby przedstawić wizje. Nigdy nie widziałaś swoich przepowiedni, więc nie wiesz, czy były prawdziwe.

– Aż do teraz. – Rozejrzała się po sortowni.

– Nie zapisywałem tego, ale wydaje mi się, że co najmniej połowa przepowiedni, które wypowiedziałaś na Dziedzińcu, się nie spełniła, dlatego że miałaś wizje. Przemyśl to, Meg. Kucyki nie padły od trucizny, bo zobaczyłaś je umierające i potrafiłaś powiedzieć, gdzie znajdziemy truciznę. Nadine Fallacaro nie zginęła w pożarze swojego sklepu, ponieważ zobaczyłaś obrazy, na podstawie których wywnioskowaliśmy, o kogo chodzi i co się stanie. Udało się ocalić wiele wieszczek krwi, ponieważ dostrzegłaś zagrożenie. – Ponownie poczuł gniew. – Tak naprawdę, pani Corbyn, pani przepowiednie były tak precyzyjne, że to z pani winy mamy teraz u siebie te cholerne bizony!

Cofnęła się o krok, mimo że dzielił ich stół.

– Ale ja je widziałam! Gdy Simon spytał mnie o Osiedle Nadrzeczne, zobaczyłam bizony. No i... i Nadzieja je narysowała!

– Widziałaś je. Nadzieja je narysowała. Wszyscy zrobili wszystko, żeby to się stało prawdą, nie zastanowiwszy się ani przez chwilę, czy to powinno stać się prawdą! – Zamrugła szybko. Vlad zaczął chodzić po pomieszczeniu, próbując wyładować emocje. – Większość Sanguinaticich poluje w mieście. Co wiemy na temat bizonów? – Nic, dopóki oni nie zaczną szukać informacji na ten temat. Ale w chwili, gdy otrzymali od Tolyi wiadomość, w której wyraził zaniepokojenie zaistniałą sytuacją, bizony były już w pociągu. – Henry, który dorastał na Północnym Zachodzie, nie sprzeciwił się temu pomysłowi. Elliot też nie. A Simon... W porządku. Do pewnego stopnia rozumiem jego sposób myślenia. Świeże mięso w zasięgu ręki. Dużo świeżego mięsa. Tyle, że będzie nim można wyżywić *terra indigena* i ludzi. Ale przecież potrzebne jest stado, wprawione w polowaniach na takie wielkie zwierzęta. Inaczej zachodzi ryzyko odniesienia ran.

– Ran? Wilki mogłyby zostać zranione? Nikt nie mówił, że tak będzie. – Była naprawdę zdenerwowana. Wściekłość w jej oczach

sprawiła, że stał się jeszcze bardziej czujny.

Zatrzymał się. Już ją sobie wyobrażał – dziewczynę, którą można było pokonać, kalecząc jej skórę zwykłym papierem – jak wymachuje miotłą w stronę bizona, gotowa walić go tak długo, aż ten straci przytomność, byleby tylko ochronić jakiegoś wilczego szczeniaka. Pomysł, że mogłaby to zrobić, był zarazem śmieszny i przerażający.

Nadeszła pora, by odciągnąć myśli Meg od tych wielkich zwierząt z kopytami. Wilk mógł zostać ranny również wskutek kopnięcia przez jelenia lub uderzenia jego rogami. Ponieważ Wilki nie miały zamiaru przestać polować na jelenie, on nie planował przekazywać innym informacji, które mogłyby wywoływać konflikty w Zielonym Kompleksie za każdym razem, gdy ktoś wróci do domu z kawałkiem mięsa.

– Ty również mogłabyś zostać ranna. A tego nie braliśmy wcześniej pod uwagę – rzekł. – Bizony są młode i wciąż rosną. Nie możemy wiedzieć, jak zareagują na widok PNK, zwłaszcza gdy będą już dorosłe. – Obraz rannej i krwawiącej Meg w PNK, który podsuwała mu wyobraźnia, było tak straszny, że wołał się na nim nie skupiać. Oczywiście zostałaby szybko znaleziona – nawet gdy jeździ sama, zawsze znajduje się pod obserwacją kilku *terra indigena*.

Jednakże nie chciał martwić tym dziadka Erebusa. Gdyby doszło do czegoś takiego, z bizonów zostałaby upuszczona krew, jeszcze zanim Simon miałby szansę na podjęcie decyzji jako przywódca Dziedzińca. To mogłoby doprowadzić do konfliktu między Sanguinatimi a Wilczą Strażą, a na to – w obliczu problemów z ludźmi – nie mogła sobie pozwolić żadna ze stron.

– Chodzi o to, że dwie wieszczki krwi zobaczyły bizony na naszym terenie. Powinniśmy jednak zapytać, czy właśnie takiej przyszłości chcemy – i jakie będą konsekwencje sprowadzenia zwierząt na teren, na którym nie występują w naturze.

Meg nabrała głęboko powietrza i powoli je wypuściła.

– Wybierz talię.

– Co?

– Chciałeś sprawdzić, jak to działa. Wybierz talię. – Wybrał tę samą talię, na którą wcześniej spojrział. Patrzył, jak Meg niezgrabnie

tasuje karty, a następnie rozkłada je na stole i kładzie dłoń na ostatniej z nich. – Zadaj swoje pytanie.

– Co powinniśmy zrobić z bizonami? – zapytał, a potem dodał cicho: – Mów, wieszczko, a ja cię wysłucham.

Zamknęła oczy i odetchnęła kilka razy. Potem wybrała kartę ze środka talii i odsłoniła obrazek. Była to ta sama karta, którą widział wcześniej – stół zastawiony jedzeniem, na środku wielka pieczeń.

Zaśmiał się.

– Pokaż to Simonowi.

Meg spojrzała na kartę i skrzywiła się.

– Tak bardzo się cieszył z mięsa, które przesłał Joe. On i Sam tak za nim przepadają, że nie chciałam psuć mu radości, ale...

Znowu się zaśmiał.

– Burgery z bizona wcale ci nie smakowały.

– Nie.

Gdyby powiedziała o tym Simonowi, to pytanie o bizona na Dziedzińcu padłoby wcześniej, jeszcze zanim załadowano je do pociągu, pomyślał Vlad.

Wjeżdża ciężarówka z dostawą, powiedział Nathan.

– No, dobrze. Pora, żebyśmy oboje zabrali się do pracy. – Obszedł stół i uśmiechnął się, otwierając przed Meg drzwi do recepcji. Poszedł za nią do lady, a potem oparł się o blat. Zauważył, że Nathan obserwuje człowieka, który wysiada z samochodu. Rzadko się to zdarzało.

Meg zmarszczyła czoło, zapisując w notesie nazwę firmy widoczną na pace ciężarkówki.

– Dostawa. – Mężczyzna postawił paczkę na ladzie.

Sposób, w jaki Meg odskoczyła od mężczyzny i paczki, ostrzegł Vlada i Nathana, że coś jest bardzo nie w porządku. Vlad delikatnie popchnął Meg w stronę recepcji, natomiast Nathan dyskretnie stanął w drzwiach wyjściowych, blokując je.

– Chwileczkę – powiedział Vlad, gdy mężczyzna odwrócił się do wyjścia. – Nie przyjąłem tej paczki.

– Musi pan ją przyjąć.

– Nie, nie muszę. – Przesyłka była zaadresowana do pani Miłośniczki Wilków MacDonald. Nazwa firmy to Klub Martwych Glin.

Vlad uśmiechnął się, ukazując kły, a następnie podniósł słuchawkę i zadzwonił na bezpośredni numer Burke'a w komisariacie przy Orzechowej.

– Kapitanie? Właśnie otrzymaliśmy paczkę od Klubu Martwych Glin. Co mamy zrobić z facetem, który nam ją przyniósł? Tak, wciąż tu jest. No cóż, może pan go aresztować, ale równie dobrze możemy go zjeść.

Mężczyzna nabrał gwałtownie powietrza.

Meg upuściła notes na stół w sortowni i wydała z siebie osobliwy dźwięk. Ponieważ obcy człowiek już jej nie zagrażał, Vlad przestał zwracać na nią uwagę – bardziej skupiał się na słowach Burke'a, który po chwili namysłu obiecał przysłać radiowóz.

Minęło sporo czasu, zanim oficer Debany, ubrany w mundur, wbiegł do biura. Niemal potknął się o Nathana, który wciąż blokował drzwi wejściowe.

– Jest pan aresztowany – powiedział policjant.

– Przecież ja tylko doręczyłem pieprzoną paczkę! – zaprotestował mężczyzna.

Debany się zawahał, a następnie spojrzał na Vlada.

– Wierzycie mu?

Gdy Vlad zerknął na Meg, zobaczył, jak dziewczyna rozcina skórę na wewnętrznej części palca prawej dłoni.

– Proszę go aresztować. Inaczej go zabijemy – warknął. – Nie interesuje mnie jak, po prostu ma stąd zniknąć!

Nathanie, wyjdź na zewnątrz z Debanym.

Po co? odburknął Wilk.

Idź!

Vlad pobiegł do sortowni, przeklinając Meg i siebie. Po telefonie do Burke'a powinien był zostawić Nathana z obcym, a sam mieć oko na wieszczkę.

Wyjął z jej ręki brzytwę i położył ją na stole. Na ostrzu ani na kartach nie było widać krwi. Nie miał czasu na szukanie czegoś, czym mógłby wytrzeć krew z jej palca, podłożył więc dłoń pod jej dłoń, starając się nie zamieniać w dym i nie spić kropli krwi, gdy te dotknęły jego skóry.

– Mów, wieszczko, a ja cię wysłucham. – Ile czasu minęło, odkąd próbowała przełknąć słowa razem z bólem poprzedzającym przepowiednię?

Tess! Do biura łącznika! Natychmiast! To nie był najlepszy wybór – Tess już wystarczająco martwiła się o Meg – ale przynajmniej miała doświadczenie w radzeniu sobie z dziewczyną podczas przepowiedni.

– Zgniłe jaja – szepnęła Meg. – Dłonie. Stopy. Kości. Robaki. – Zawahała się, aż wreszcie wyszeptała ostatnie słowo: – Kula.

Potem upadła. Vlad kucnął obok, wciąż trzymając dziewczynę za rękę, by krew nie kapała na podłogę. Poczuł, jak Tess wpada i wypada z pomieszczenia. Gdy wróciła, uklękła obok Meg, ujęła jej zakrwawioną dłoń i owinęła ręcznikiem. Drugi ręcznik podłożyła pod dłoń Vlada. Szybko starł krew Meg ze swojej skóry.

– Wrzuć ręcznik do zlewu. Gdy będziesz myć ręce, zalej go zimną wodą. Samice mówią, że to pomaga usunąć plamy krwi. Nie marnujmy niczego, co może się później przydać – instruowała Tess.

Dasz radę sama się nią zająć? spytał Vlad, biegnąc do łazienki. *Muszę porozmawiać z porucznikiem Montgomerym i kapitanem Burke'em.*

Słyszysz syreny. Chyba nie będziesz musiał szukać żadnego z nich. Tess przyjrzała mu się, gdy wrócił do sortowni.

Jest źle?

Miejmy nadzieję, że tym razem nasza Meg się myli.

Do tej pory jeszcze nie wprowadziła nas w błąd. Przynajmniej nie do końca.

W innej sytuacji słowa te sprawiłyby, że wątpliwości Meg wydawałyby się zabawne. W innej sytuacji...



Monty wyjął korespondencję ze skrzynki na listy i wszedł po schodach do swojego mieszkania. Nie wiedział, czy spędzi tu noc. Nie wiedział, czy samotny mężczyzna, nawet jeśli jest policjantem znanym ze współpracy z *terra indigena*, będzie bezpieczny w tej części miasta. Pomijając pożary, które wybuchły w tyłu firmach na ulicy Rynkowej, i gwałtowne powodzie, które zalały miasto tej samej nocy, ta część Lakeside pograżyła się w chaosie. Kilka razy dziennie policja była

wzywana do bójek między członkami LPiNW, którzy obwiniali *terra indigena* o wszystkie problemy w mieście, a ludźmi, którzy obwiniali o nie ruch LPiNW.

A dziś jeszcze na Dziedziniec doręczono tę paczkę. Uwierzył doręczycielowi, który twierdził, że nie wie, co jest w środku. Histeria, w jaką wpadł, gdy pokazał mu, co im przyniósł, nie mogła być udawana.

Dwie dłonie i kości wystające w miejscach, w których wyjedzono mięso. Dwie stopy, a w nich mnóstwo wijących się robaków. I kula. Nie wystrzeliła z broni, więc nie mieli na czym przeprowadzać testów.

Po skonfiskowaniu ciężarówki i zignorowaniu pretensji właściciela firmy na temat pozostałych klientów, którzy czekali na swoje paczki, Louis Gresh i jego zespół sprawdzili i opisali każde pudło. Znaleźli trzy kolejne paczki z Klubu Martwych Glin – zawartość każdej była taka sama. Zostały one przekazane technikom kryminalnym po tym, jak saperzy potwierdzili, że w pudłach nie ukryto bomb.

Rozpoczęły się poszukiwania czterech ciał – albo raczej próby ustalenia tożsamości zamordowanych. Burke uważał, że niczego nie znajdą, ponieważ kremowanie zwłok było standardem – poza bogaczami, których było stać na budowę pomnika i chowanie członków rodziny w wielopokoleniowych grobowcach. Wszystkie fragmenty były nieświeże, tak więc ciała z pewnością nie znajdowały się już w kostnicy ani w domu pogrzebowym.

Jednak policja chciała szukać ciał i ludzi, odpowiedzialnych za wysłanie makabrycznych przesyłek członkowi rodziny Lawrence’a MacDonalda.

Burke dowiedział się, że właściciel firmy dostawczej i jego pracownicy należeli do ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko, natomiast pracownicy krematorium – którzy również należeli do tego ruchu – zarzekali się, że nigdy, „nawet na minutę”, nie pozostawiają ciał bez nadzoru, a nie zauważyli żadnych brakujących dłoni czy stóp. Gdy się okazało, że dłonie wysłane na Dziedziniec należały do Lawrence’a MacDonalda, w ciągu godziny dowiedział się o tym każdy policjant z Lakeside. Wszyscy funkcjonariusze, którzy potajemnie bądź oficjalnie należeli do LPiNW, odpięli przypinki i wyrzucili je do śmieci.

Niezależnie od tego, co sądzili o ludziach współpracujących z *terra*

indigena, uważali, że to, co zrobił Klub Martwych Glin, to nie był niewinny figiel. Tym razem ruch przekroczył pewną granicę.

Monty był tak zmęczony, że musiał dwa razy przeczytać wiadomość od matki, zanim zrozumiał jej treść. Błyskawicznie stracił nad sobą panowanie. Rzucił list, podniósł słuchawkę i wybrał numer siostry.

– Sissy? – Naprawdę starał się zachować spokój. – Chodzi o CJ-a. Chcę porozmawiać z mamą.

– Napisała do ciebie? Gdy usłyszała o rozmowie telefonicznej, wściekła się i stwierdziła, że do ciebie napisze. Jimmy zadzwonił, żeby spytać, co u nas, i...

– Zadzwonił, żeby wyciągnąć od was trochę pieniędzy. – Żywił szczerą nadzieję, że nie miała wolnej gotówki.

Gdy rodzice adoptowali Sierrę, Monty miał dwanaście lat. Niemowlę potrzebowało domu, a jego rodzice z chęcią wzięli je pod opiekę. On nie miał nic do powiedzenia. Za to dla dziewięcioletniego wówczas Cyrusa Jamesa, zwanego w rodzinie Jimmym, pojawienie się Sierry oznaczało mniejszy kawałek tortu. Pieniądze na ubrania, zabawki – to, czego pragnął, a pragnął niemal wszystkiego – musiały być dzielone między troje dzieci, a nie dwoje, jak dotychczas. Jimmy nigdy nie pozwolił Sissy zapomnieć, że przez nią zawsze mu czegoś brakowało. Kiedy każde z dzieci dostawało ciastko, on zjadał swoje i połowę jej, ponieważ, jak twierdził, gdyby jej nie było, dostałby dwa ciastka. Za każdym razem, gdy udało jej się zbierać pieniądze na coś, co chciała sobie kupić, on znajdował coś, czego pragnął i co kosztowało więcej pieniędzy, niż miał. Wtedy Sissy musiała pokrywać różnicę i oszczędzać dalej na to, co sobie wybrała.

Gdy Monty mieszkał w domu, stanowił swego rodzaju bufor – a po wyprowadzce Jimmy'ego odetchnął z ulgą. Pod wieloma względami Sierra była silną i mądrą młodą kobietą. Ale Jimmy potrafił ją tak przycisnąć, że w starciu z nim nie miała szans.

– Nie, to nieprawda... – zaczęła z wahaniem. – Nie do końca... Zapytał, co robimy. Powiedziałam, że razem z mamą i dziewczynkami jedziemy do ciebie, do Lakeside, na jakiś czas. A on mi na to, że to świetny pomysł, ale niby jak chcemy się do ciebie dostać, skoro nie

mamy pieniędzy...

– Daj mi mamę do telefonu. – Nie chciał tego słuchać.

– ... Powiedział, że może on również powinien do ciebie przyjechać, w końcu dawno się nie widzieliście.

A nawet więcej niż dawno. Jimmy lubił alkohol i narkotyki, poza tym uwielbiał dostawać pieniądze bez konieczności pracowania na nie. Ponieważ miał brata glinę, jego przyjaciele czuli się niepewnie.

– Czy zasugerował, że on i jego żona przyjadą do Lakeside razem z tobą, a mama zostanie w Toland i będzie się opiekować czwórką dzieci? – zapytał. Kiedy nie odpowiedziała, poczuł, jak krew zaczyna mu pulsować w żyłach. – Albo zaraz dasz mi mamę, albo nikt do mnie nie przyjedzie.

W końcu słuchawkę przejęła Twyla Montgomery.

– Mamo!

– Tylko nie tym tonem, Crispinie.

Całe życie uczyła go, jak być grzecznym. Mówiła ostrzej tylko w przypadku, gdy ktoś ją do tego zmusił.

– Przepraszam, mamó. Dzisiaj wydarzyło się dużo złych rzeczy. – Przez chwilę zbierał się w sobie. – Mamo...

– Nie musisz nic mówić. Powiedziałam już Sierrze, że jadę do Lakeside, żeby pomóc ci w opiece nad Lizzy. Byłeś tak miły i zapewniłeś środki na to, by ona i jej dzieci przyjechały do ciebie razem ze mną. A ponieważ ona też właśnie straciła pracę, nie ma powodu, by zostać w Toland. Jednak nagle się wycofała. Powiedziała, że nie potrafi podjąć decyzji. Powiedziałam więc, że jeśli chce zostać, to jej wybór, ale ja na pewno nie dam jej pieniędzy na pociąg, bo dostałam je od ciebie, a ona przekaże je Cyrusowi, który roztrwoni wszystko na swoje rozrywki. Jeśli chce przyjechać do Lakeside, niech sam sobie załatwi transport i nocleg, ponieważ mam wrażenie, że mógłby być niezadowolony z warunków, jakie ty nam zapewnisz.

– Będziecie otoczone policją i Wilkami.

– Aha.

Mimowolnie się uśmiechnął. Twyla Montgomery nie dała się nikomu zastraszyć.

– Czyli przyjeżdżasz?

– Jestem już spakowana. Mam wszystkie ważne dokumenty, które kazałeś mi przywieźć. Chyba właśnie to przestraszyło twoją siostrę. Czuli się zobowiązani, by powiedzieć twojemu bratu o nadchodzących kłopotach. Tylko głupiec by tego nie zauważył... – Przerwała. – Może będzie mieć na tyle rozumu, żeby wyciągnąć swoją rodzinę z miasta.

– Może. – Tak naprawdę był zdolny do pozostawienia żony i dzieci na pastwę losu. – Czy Jimmy zostawił jakiś numer telefonu?

– Za każdym razem dzwoni do nas spod innego numeru. A ponieważ Sierra nie dała mu tego, czego chciał, tym razem nie zaszczycił jej tą informacją... – Chwila ciszy. – Crispinie? Te problemy, które nadchodzą... Czy będą straszne?

Musiła to wiedzieć.

– Nie umiem tego powiedzieć.

– Czy to ma coś wspólnego z dzisiejszymi wiadomościami o tym, że ludzie, sprzątający martwe ryby znaleźli fragmenty ludzkich rąk i nóg?

Prawdopodobnie tak.

– Mamo, przyjeżdżaj jak najszybciej.

– Crispinie, mówiłeś to już ostatnim razem. Doskonale rozumiem, co chcesz mi powiedzieć. Chcę jednak dać Sierrze trochę czasu, żeby mogła zdecydować, co jest najlepsze dla niej i dla dziewczynek. Jeśli tego nie zrozumie, to przyjadę sama.

Monty poczekał, aż mama zakończy rozmowę. Następnie zadzwonił do kapitana, żeby dowiedzieć się, czy dotarli do niego najnowsze wieści – i czy istniała jakaś możliwość, że dłonie i stopy z paczek były przetrzymywane w słonej wodzie i zostały wysłane z Toland.

Do: Simon Wilcza Straż

Cztery z sześciu bizonów wypuszczonych w Osiedlu Nadrzecznym zabito. Daleko od domu znaleźliśmy dwa trupy. Gdy dojechaliśmy na miejsce, żerowali na nich padlinożercy, ale to, co zaatakowało bizony, musiało być bardzo duże i bardzo głodne, ponieważ zjadło większość mięsa w bardzo krótkim czasie.

Dwa pozostałe trupy pozostawiono przy granicy miasta z Wodospadem Talulah. Wiem o tym, ponieważ zadzwonił do mnie

jeden z przywódców *terra indigena*, by podziękować za mięso. Podczas rozmowy odniosłem wrażenie, że *terra indigena*, którzy zostali przysłani, by przejąć kontrolę nad wodospadem, są zmęczeni użeraniem się z ludźmi, i chcą wrócić do domu – albo przynajmniej udać się do jakiegoś innego miejsca, by mieć z nimi jak najmniej wspólnego. Miałem również wrażenie, że jeśli ludzie, którzy przeszli specjalne szkolenie, by sterować takimi miejscami, jak elektrownia wodna i tym podobne, których nie można zostawić bez nadzoru, postanowią zostać, *terra indigena* pozwolą wyjechać z miasta reszcie ludzi.

Jak napisałem, to tylko wrażenie, ale po raz pierwszy to Inni zainicjowali kontakt z kimś z Przystani Przewoźników, odkąd kilka miesięcy temu zamknięto wodospad.

Jastrzębie i Wrony szukają dwóch pozostałych bizonów. Dam ci znać, gdy je znajdziemy.

Jestem przekonany, że Ming Niedźwiedzia Straż wie, kto zabił bizona, ale chyba boi się powiedzieć. Czy moi ludzie pracujący w Osiedlu Nadrzecznym są bezpieczni?

Steve Przewoźnik

Do: Steve Przewoźnik

Twoim ludziom raczej nic nie grozi, ale na razie Ming czy inni *terra indigena* powinni towarzyszyć Intuitorom, jeśli ci muszą wychodzić z domów, żeby rozejrzeć się po ziemi, którą chcemy przeznaczyć na pastwiska i uprawy. Innych, żyjących na dzikich terenach, ciekawi, co robimy w Osiedlu Nadrzecznym. To obserwatorzy.

Stwierdziliśmy, że bizona są zbyt niebezpieczne, żeby mogły żyć na Dziedzińcu, poza tym wygląda na to, że zapewnienie dzikiego mięsa *terra indigena* nad Wodospadem Talulah będzie korzystne dla nas wszystkich. Mamy dostatecznie dużo miejsca do przechowywania mięsa z jednego bizona. Poproś Jerry'ego Saniarza, żeby przyjechał swoją ciężarówką do przewożenia bydła i zabrał pozostałe cztery bizona do Wodospadu Talulah. Dzięki temu wszędzie wystarczy mięsa.

Simon Wilcza Straż

Do: Stavros Sanguinati

Kilka razy próbowałem się z tobą skontaktować. Martwią mnie plotki o tym, że *terra indigena* zostali wypędzeni z Dziedzińca w Toland. Skontaktuj się ze mną jak najszybciej.

Greg O'Sullivan,
Biuro Śledcze



Cel-Romania

Mężczyźni i kobiety z niewielkich wsi położonych przy granicy oddzielającej Cel-Romanię od dzikich terenów wiedli proste życie. Uprawiali rolę i zbierali plony. Hodowali trochę zwierząt na jedzenie i runo. Chodzili do sklepów na wsi, by posłuchać radia lub skorzystać z telefonu, ponieważ w większości domów nie było takich urządzeń. Śmiali się, śpiewali, brali śluby, kochali się i wychowywali dzieci.

W każdej wsi była jedna – góra dwie – rodzina, której obowiązkiem było chodzenie przy pełni księżyca ścieżką na dzikie tereny i zostawianie prezentu w wyznaczonym miejscu. Czasami darem był specjalny rodzaj jedzenia, innym razem tkanina lub pled. Niekiedy książka, na którą zrzuciła się cała wieś.

Członkowie wyznaczonych rodzin chadzali w to miejsce, mówili

na głos: „To dla naszych przyjaciół”, i wyciągali ręce z darami. Czasami z lasu wychodził Lis albo Wilk i przyjmował prezent. Czasami Wrona czy Jastrząb lądowały nieopodal i dawały znak, że dar został zaakceptowany.

Kolejne pokolenia przestrzegały tego rytuału. W zamian mężczyźni mogli wchodzić do dzikiego lasu i rąbać drewna na opał, a kobiety – zrywać owoce. A gdy do wsi przyjechali Ważni Mężczyźni z Wielkich Miast, żeby zabrać większość plonów, konie, tak bardzo potrzebne na farmie, albo inne zwierzęta, które miały zostać sprzedane rzeźnikowi za pieniądze potrzebne rodzinie na przetrwanie kolejnego roku, na progu drzwi zostawiano czasem upleciony z winorośli kosz wypełniony owocami. Czasami można było też trafić na królika lub niewielkiego jelenia, dzięki któremu wiele rodzin cieszyło się pożywieniem.

„To dla naszych przyjaciół”. Ludzie wiedzieli, że Wilk czy Lis pod postacią człowieka, Wrona czy Jastrząb byli posłańcami. Wiedzieli, że na dzikich terenach – i w morzu – są rzeczy zbyt niebezpieczne, by mogli je oglądać ludzie. Mieszkali na granicy dziczy i na brzegu morza. Od zawsze wiedzieli to, czego nie chcieli wiedzieć Ważni Mężczyźni z Wielkich Miast – że jedyną możliwością przetrwania jest przyjaźń.

Po Nowym Roku Ważni Mężczyźni przyjechali i zabrali jeszcze więcej żywności i zwierząt; wzięli silnych, zdrowych synów. „Potrzebujemy pracowników do naszych fabryk; potrzebujemy żołnierzy na wielką bitwę”, mówili.

Nie będzie żadnej bitwy. Ludzie na wsiach, którzy przekazywali sobie stare opowieści, doskonale o tym wiedzieli. Ale Ważni Mężczyźni nie chcieli ich słuchać. Twierdzili, że potrzebują więcej jedzenia, zwierząt i ryb dla konkretnego celu. Potrzebowali więcej drewna, szkła, metalu, tkanin, skóry...

Więcej ludzi.

„Tylko nie zapomnijcie. Jeśli nie zapomnicie, to do nas wróćcie”, szeptali ojcowie do synów.

Dzień po dniu ludzie doglądali swoich stad i orali pola. Piekli chleb i tkali materiał. I chadzali ścieżkami w wyznaczone miejsca, przynosząc nie tylko prezenty, lecz także cenne zdjęcia swoich synów.

– To dobry chłopak. Pozwólcie mu wrócić do domu.

Żadnej odpowiedzi. Gdy jednak wieśniacy wrócili do domów wzdłuż granicy Cel-Romanii, zastali straszliwą ciszę.



Kościste Wyspy

Wyłoniła się ze spienionej fali, która pieściła Kościste Wyspy, i poczekała chwilę, aż od jej szaty odczepi się większość krabów i małych rybek. Potem ruszyła w stronę skarbców. Znajdowały się tam skrzynie pełne złotych monet, stoły, uginające się pod ciężarem naszyjników, zdobionych taką liczbą drogich kamieni, że myślała o nich jak o skałach pokrytych kolorowymi skorupiakami.

Monety i naszyjniki jej nie interesowały – najważniejsze były mapy. Chciała spojrzeć pod innym kątem na to, co już знаła; sprawdzić, gdzie mieszkają jej krewni. Gdy chodziła po ziemi, jej główną rozrywką i źródłem wiedzy były właśnie mapy.

Dzisiaj jednak chodziła od komnaty do komnaty, patrząc na to, co zostało ocalone przez te wszystkie lata, i nie odczuwała żadnej

ciekawości ani przyjemności. Stworzenia, które wyprodukowały te przedmioty, już kiedyś były wrogami – a teraz stały się nimi ponownie. Zabiły jej Rekinia Straż. Zgładziły swoją trucizną wszystkie gatunki ryb. I z jakiej przyczyny? Żeby zapełnić swoje stateczki złotem czy innymi skarbami i przewieźć je od brzegu do brzegu?

A niech walczą. Niech walczą sami ze sobą. Miało to dla niej mniej więcej takie samo znaczenie, jak samce krabów walczące o terytorium, by pojąć samicę. Ale podnieśli rękę na jej własność, wylali truciznę do jej wód.

Ponieważ Rekinia Straż szanowała lądowe drapieżniki, jakimi byli Sanguinati, wysłała ostrzeżenie, żeby zdążyli się wycofać w głąb lądu. Wkrótce uderzy. Ale jeszcze nie teraz. Powietrze powiedziało, że widziało ostatnio dziwne latające przedmioty. Stara Tetyda była pobudzona, przerwała spokojne obserwowanie Morza Śródziemnego. Nawet Indeus zaczął się rzucać na swoje brzegi, zaniepokojony zmianą nastroju Ziemi i Powietrza.

Dwie linie brzegowe – Thaisia i Cel-Romania. Gdzie jej potrzebowano?

Wyszła ze skarbca, wróciła do wody i popłynęła na zachód. Trucizna przybyła z Thaisii. Najpierw porachuje się z tamtejszym wrogiem.

Unosząc się na morskich prądach, słuchała wieści, które przekazywały jej Rekinia i Orkowa Straż. Czeką na właściwą chwilę.

Inne *terra indigena* nazywały jej żywioł Oceanem. Wśród swoich krewnych była znana jako Alantea.

A ludzie – ci dwunożni karierowicze – nazywali ją Atlantykiem.



Środa, 20 czerwca

Wilcza Straż z Lakeside wiedziała, jak polować na jelenie i walczyć, by bronić Dziedzińca – nie miała jednak pojęcia, w jaki sposób polować na bizona. Przynajmniej do chwili, w której urządziła na nie obławę. Najpierw Wilki pogoniły roczniaka, ale potem uświadomiły sobie, że nie chcą go zabijać, chyba że rzeczywiście będą bardzo głodne i nie będą mieć wyboru. Tak naprawdę jedynym Wilkiem, który chciał gonić za bizonami, był Jedynak. To między innymi przez jego samobójcze zapędy Simon postanowił wysłać cztery bizona do Wodospadu Talulah w geście przyjaźni wobec tamtejszych *terra indigena*.

Wilki nie wiedziały, jak polować na bizona, natomiast bizona doskonale wiedziały, jak bronić się przed Wilkami. Nie były jednak

przygotowane na Niedźwiedzia w koszulce i džinsach, który zaczął na nie ryczeć, a gdy w ich stronę ruszyło niewielkie tornado, potulnie dały się zapędzić do ciężarówki.

Zmęczony i spragniony, Simon patrzył, jak Jerry Saniarz odjeżdża wraz ze zwierzętami.

Załatwione, powiedział, gdy dołączył do niego Blair, wytrząsając futro.

Boone Jastrzębia Straż mówi, że w zamrażarkach mają dostatecznie dużo zapasów, by przechować pół mięsa z roczniaka, którego zabili Sanguinati. Druga połowa będzie dla nas wszystkich, łącznie z ludźmi.

Simon westchnął.

Meg nie smakowały burgery z bizona. Ruthie i Merri Lee też chyba nie przypadły one do gustu.

Ich samce dojadły po nich wszystkie resztki. Możemy sprzedawać hamburgery z bizonów i porcje pieczonego mięsa w Mięsie i Zieleninie. Kowalski i Debany z pewnością chętnie je zjedzą. Tak samo jak kapitan Burke i Shady, jeśli pozwolimy im na następną wizytę.

Ludzie to kolejne stado, które chce jeść pokarmy pochodzące z wnętrza Dziedzińca, Simon ruszył w stronę Stajni Kucyków, gdzie Meg doglądała pozostałe zwierzęta.

Jedzą jak Wilki i zbierają się w grupy liczniejsze niż Wronia Straż na jakimkolwiek Dziedzińcu. Przez chwilę Blair milczał. Ilu ludzi może mieszkać w tym stadzie? Ilu zapragnie zaopatrzenia, które trafia na targ? Nie możemy zabić kolejnych jeleni, żeby wykarmić następną grupę. W stadzie będzie za mało młodych.

On bez problemu mógłby chodzić głodny przez kilka dni. Ale Sam nie. Meg też nie. Ani żadne młode *terra indigena*, które mieszkały na Dziedzińcu.

*Jak na razie, nasi ludzie zachowują się sensownie. Oczywiście pod wpływem głodu racjonalne zachowanie znika. Jednak nie to było teraz największym problemem. Na Dziedzińcu rosło mnóstwo pokarmu, mieli też sporo mięsa, chociaż mało wołowiny i wieprzowiny, na które musieli czekać aż do następnej dostawy od *terra indigena*. A ile ludzkie szczenięta piły mleka! Skończyło mu się mleko dla Sama, Meg też nic*

nie miała. Dostali trochę dopiero podczas dostawy od tubylców ziemi. Ponieważ nie mogli prosić o więcej, musiało im wystarczyć.

Ale Meg i Samowi nie wystarczyło.

Idę do dziury do pływania, rzekł Blair.

Też chętnie by to uczynił, ale poszedł do Meg, która wyszła ze Stajni Kucyków. Blair ruszył dalej.

– Pewnie jest ci gorąco – powiedziała, przeczesując palcami jego futro. – Tak, było mu gorąco. – Dokąd poszedł Blair?

To była jedna z jej sztuczek: zadawała mu pytania, gdy był w wilczej postaci i nie mógł na nie odpowiedzieć.

Jester Kojocia Straż wyszedł ze stajni i uśmiechnął się szeroko.

– Popływać.

Spojrzała na Simona.

– Też chcesz popływać?

Oczywiście, że chciał popływać. Było mu gorąco i miał zakurzone futro. Spojrzał na nią z nadzieją.

– Nie. Nie jest mi gorąco i nie chcę się bawić w Grę Pisków – powiedziała stanowczo. Westchnął. Ten dzień był pełen rozczarowań. – Poczekam tu na ciebie – dodała.

– I bardzo rozsądnie – zauważył Jester – ponieważ twoje ubrania znajdują się z tyłu PNK Meg.

Mrucząc coś pod nosem, Simon pobiegł w stronę dziury do pływania. Zimna woda smakowała wyśmienicie i cudownie chłodziła. A ponieważ w pobliżu nie było żadnych ludzkich samic, które można by ochlapać wodą, popływał sobie jako Wilk, a potem zmienił się w człowieka i zaczął pływać na plecach, rozkoszując się chłodną wodą obmywającą jego rozgrzaną słońcem skórę.



Meg wróciła na składane krzesło, które wystawił dla niej Jester. Wzięła kolejną talię kart prorocत्व i westchnęła.

– Simon naprawdę chciał mieć bizony.

– I miał. Dzięki swojemu pragnieniu i temu, co zobaczyłaś. – Jester rozłożył drugie krzesło i usiadł obok niej. – Dzięki temu bizony do nas przybyły i wyrządziły wiele dobrego. *Terra indigena* z Wodospadu Talulah zaczęły rozmawiać z Mingiem Niedźwiedzią Strażą i Steve'em

Przewoźnikiem, ponieważ mięso bizonów to pierwsza rzecz, jaka ich uszczęśliwiła od czasu, gdy przybyli do wodospadu, by pilnować ludzi. Henry, Elliot, Vlad i Nyx pojechali do Wodospadu Talulah z Jerrym Saniarzem, żeby dostarczyć bizona z Dziedzińca. Steve Przewoźnik i Ming dołączą do nich na spotkanie z przywódcami *terra indigena* i kilkoma ludźmi.

– Skąd wiesz, kto weźmie udział w tym spotkaniu?

– Mam swoje źródła informacji. – Mrugnął do niej. – Uważam, że wkrótce Wodospad Talulah będzie miał nowe... kierownictwo. Takiego słowa używają ludzie, prawda? Dobrze, pokazałaś mi mało interesującą talię z miastami – i tę z naturą, która bardzo mi się spodobała. A jaka jest ta?

Meg wyobraziła sobie wielki napis „NOWE KIEROWNICTWO” na drodze do Wodospadu Talulah. Minęła chwila, zanim zrozumiała, że nastąpiła zmiana tematu.

– To talia ze stworzeniami fantastycznymi.

Uśmiech Jesterza zaczął zanikać.

– Mogę zobaczyć?

Wręczyła mu karty.

– Zostały zmyślane. Nie wiem, w jaki sposób odczytaliby je Intuici, nie sądzę jednak, żeby były użyteczne dla *cassandra sangue*. Po co komu proroctwo o czymś, co nie istnieje?

Pomyślała o kartach z liniami horyzontu miast, które odłożyła na bok w przekonaniu, że nie będzie ich potrzebować. Obserwowała Jesterza. Gdy patrzył na te obrazki, jego ludzkie uszy zaczęły się zmieniać w kojocie, a skóra na szyi i rękach porastała futrem. Większość kart wypadła mu z rąk, ale kilka jej wręczył.

– Jester?

– Kto jeszcze wie o tych kartach?

– Nie mam pojęcia. Wydaje mi się, że Jesse Walker ma komplet takich samych tali.

Spojrzał na karty, które trzymała w dłoni.

– Nie mów o nich nikomu. Powinnaś je zatrzymać. Poznać je. Ale z nikim o nich nie rozmawiaj.

Przyjrzała się obrazkom, które tak go zdenerwowały. Przedstawiały

wyprostowane w pionie stwory i to była jedyna cecha, która łączyła ich z ludźmi. Z pewnością nie ukazywały form *terra indigena*. A jeśli nawet, to Meg nie rozpoznawała żadnego z tych zwierząt.

Karty oddzielone od reszty talii ją przerażały – i sprawiły, że zaczęła czuć mrowienie z tyłu nóg.

– Obiecuj, że nikomu o nich nie powiesz – szepnął Jester. – Złóż je razem z kartami natury i miej nadzieję, że już nigdy nie zobaczysz żadnej z nich.

– Ale to przecież tylko czyjaś wyobraźnia...

Mrowienie zamieniło się w pieczenie, gdy Jester rzekł:

– Albo wspomnienia.

Uświadomiła sobie, że Kojot się trzęsie. Zacisnęła palce na kartach.

– Te obrazki zostały zmyślane.

– Nie. Nie zostały.

Do: Erebus i Vladimir Sanguinati

Reszta *terra indigena* opuściła Dziedziniec w Toland. Kilka Wron i Sanguinatic pozostanie w pobliżu stacji kolejowej, aby obserwować i zgłaszać wszelkie podejrzone działania lub znaki świadczące o tym, że z miasta nagle wyjeżdża większa liczba osób.

Ja i kilku moich krewnych jeszcze przez jakiś czas będziemy śledzić statki wypływające z Toland. Żywioty obiecały nam pomoc – i ostrzec nas przed nadejściem burzy, tak byśmy my i inni *terra indigena* ze Wschodniego Wybrzeża Thaisii zdążyli uciec w głąb lądu.

Stavros Sanguinati

„Uznając przewagę rasy ludzkiej, Inni uciekli z Dziedzińca w Toland, oddając nam tak potrzebne tereny do uprawy roślin i pastwiska dla naszych zwierząt. Niektórzy ludzie twierdzą, że tych kilka akrów to żadne zwycięstwo. Ja mówię, że to pierwszy krok do odzyskania ziemi i zasobów, których potrzebujemy”.

– przemowa Mikołaja Strzępiela w ratuszu w Toland

Do: Greg O’Sullivan

Wprawdzie ludzie ponoszą pośrednią odpowiedzialność za naszą

decyzję o zamknięciu Dziedzińca w Toland, nie można jednak powiedzieć, że zmusili nas do opuszczenia miasta, jak chciałby myśleć Mikołaj Strzępiel. Wyjechaliśmy, ponieważ zachowanie ludzi sprowadzi na te tereny wielką tragedię.

Stavros Sanguinati

Do: Simon i Jackson Wilcza Straż

Wilcza Straż w całej północnej części Środkowego Zachodu i na Północnym Zachodzie wyje na temat drugiego zabicia bizonów, których ciała zostały pozostawione, żeby zgniły. Straciliśmy więcej zwierząt ze stada ze Złotej Prerii, a Tobias Walker powiedział, że z rancza zniknęło kilka sztuk bydła. Jak mówi, nazywa się to kradzieżą. Ponieważ nie znaleźliśmy rogów ani kopyt, które świadczyłyby o tym, że to Starsi zjedli bydło, wydaje mi się, że Tobias Walker ma rację. Nie wiem jednak, w jaki sposób znaleźć złodziei. Wilki ze Złotej Prerii cały czas czuwają, szukają poza miastem obcych zapachów. Tolya Sanguinati i Bennett cały czas obserwują Złotą Prerię. Tolya mówi – z obrzydliwym uśmiechem – że w Bennecie kiełkuje jakieś złe przeczucie i że jego zdaniem wkrótce coś się wydarzy.

Jesse Walker nic nie mówi, tylko cały czas robi zapasy do swojego sklepu. Tolya pożycza jej na to pieniądze. Kobieta cały czas rozciera sobie lewy nadgarstek, gdy myśli, że nikt na nią nie patrzy. Zdaniem Tobiasa to zapowiedź problemów.

Czy Meg albo Nadzieja odczuwały swędzenie?

Joe Wilcza Straż



Środa, 20 czerwca

Vlad usiadł wygodnie i pozwolił, by Steve Przewoźnik i Elliot Wilcza Straż mówili. Albo – co bardziej zgodne z prawdą – pozwolił im się skupić na ludziach i *terra indigena* z Wodospadu Talulah, którzy brali udział w tym spotkaniu.

Jeszcze nigdy tak dosadnie się nie przekonał, jak wielki wpływ na los tylu osób mogą mieć z pozoru niewielkie sprawy. Simon zatrudnił Meg, która była *cassandra sanguine*. Łączyła w sobie dziecięcy urok, powagę prorocत्व, które wypowiadała, chęć do nauki i pragnienie życia, przez co *terra indigena* zaczęli patrzeć trochę inaczej na ludzi pracujących na Dziaźnińcu Lakeside. Wysiłki porucznika Montgomery'ego, który pragnął stworzyć związek między Dziaźnińcem i policją, również dały obu stronom okazję do kontaktowania się ze sobą

bez cienia wrogości.

Widział już efekty tych działań. Ludzie z Wodospadu Talulah nie przywieźli ze sobą urzędników – o ile w ogóle jacyś przetrwali. Przywieźli kierownika elektrowni wodnej i kapitana policji. W sposobie, w jaki kapitan z Wodospadu wypowiadał się na temat tego, jak zachować pokój wśród ludzi, którzy pozostali w mieście, i wypuścić tych, którzy chcieli wyjechać, Vlad słyszał wpływ kapitana Burke'a. Kapitan przynajmniej rozumiał niebezpieczeństwo, któremu stawiał czoła każdy, kto chciał uciec z Wodospadu: między ludźmi a Innymi dochodziło do tarć w tylu regionach, że miasta, znajdujące się pod kontrolą ludzi zapewniały jedynie iluzoryczne bezpieczeństwo.

Ale ci mieszkańcy Wodospadu Talulah, którzy przetrwali, współpracowali z *terra indigena* i wyjaśniali, dlaczego z co najmniej jednego pasa należy usunąć samochody, porzucone tam podczas pierwszej próby ucieczki, kilka miesięcy temu. Na parkingach stało mnóstwo nieodebranych aut – niektóre z nich należały do turystów, którym pozwolono wyjechać lub którzy uciekli w pierwszych dniach zamieszek i już nie wrócili. Niektóre pojazdy należały natomiast do ludzi zabitych podczas pierwszej szaleńczej zemsty *terra indigena* w odpowiedzi na wybuch, w którym zginęło kilku Innych z Wroniej Straży.

Nikt nie mówił o tym, ilu ludzi straciło życie. Nikt nie mówił o Żniwiarzu, który został przywieziony do Wodospadu, by pełnić funkcję kontrolera, i pozbawiał energii życiowej każdego, kto był podejrzany o przestępstwo. Zamiast tego ludzie przedstawili listę rzeczy, które uważali za niezbędne. Elektrownia zapewniała elektryczność na całym obszarze, łącznie z Wodospadem Talulah, Wielką Wyspą i Lakeside. Zapewniała również większość elektryczności na Osiedlu Nadrzecznym. Gdyby można było zagwarantować bezpieczeństwo im i ich rodzinom, ludzie pracujący w elektrowni pozostaliby w Wodospadzie i nadal wykonywaliby swoje obowiązki najlepiej, jak tylko potrafią, umożliwiając pracę nawet ludziom z Przystani Przewoźników, którzy mogliby przeszkolić jeszcze więcej pracowników.

Z tego, co mógł powiedzieć Vlad, właśnie taką wiadomość ludzie chcieli przekazać Innym: to był ich dom, chcieli tu zostać, ale nie chcieli

tu zginąć. Rozumieli też, że wszelki znak ruchu LPiNW oznaczałby koniec mieszkańców i miasta Wodospad Talulah.

Od *terra indigena* miał inne przesłanie: byli już zmęczeni użeraniem się z ludźmi; nie podobało im się, że są otoczeni tyloma ludzkimi sprawami; chcieli wrócić do domu i ograniczyć kontakty z mądrymi małpami. Chcieli również mieć okazję do obserwowania ludzi bez konieczności przejmowania odpowiedzialności za sprawy, których nie rozumieli. A było ich trochę.

Innymi słowy, chcieli na dzień lub dwa stać się turystami w takim miejscu, jak Przystań Przewoźników czy Dziedziniec w Lakeside, a potem wycofać się na ziemie, które znali i kochali.

Co sądzicie? spytał Vlad.

Widzę, że Lakeside i Przystań Przewoźników przetrwały, odrzekł Henry. Oni też chcą przetrwać.

Tak, zgodził się Ming. Nie czuję zapachu potu, który zawsze pojawia się przy kłamstwach. A Steve Przewoźnik nie wypowiedział słów, które można uznać za ostrzeżenie.

Intuita, który był burmistrzem w swojej wsi, miałby przeczucia odnośnie do każdego fałszu zagrażającego jego ludziom.

– Sanguinati przyzwyczaili się do mieszkania w ludzkich osadach i wokół nich. – Vlad był wreszcie gotowy na przekazanie słów Erebusa. – Z pomocą innych form *terra indigena* chcemy przejąć kontrolę nad Wodospadem Talulah.

Dostrzegł przerażenie w oczach ludzi, jednak nie tak wielkie, jakie byłoby kilka miesięcy wcześniej. Po tym, jak spotkali Żniwiarza, wampiry rządzące miastem nie wydawały się już tak przerażającą perspektywą.

– Sanguinati, który będzie przywódcą, jest znany wielu mieszkańcom Dziedzińca w Lakeside. Ma również kontakt z Biurem Śledczym gubernatora Hannigana, więc uwzględni potrzeby zarówno ludzi, jak i *terra indigena*. – Vlad popatrzył na przywódców *terra indigena*.

Jeśli pozostali zechcą przejąć wasze obowiązki, będziecie mogli wrócić do domu, o ile oczywiście tego chcecie.

Kiedy?

Wkrótce. Ten, kto rozwiąże nasze problemy, ma do wykonania jeszcze jedno zadanie. O ile mu się to uda. Potem przyjedzie do Lakeside, a następnie tutaj.

Sprawa została załatwiona. Ponieważ Wodospad Talulah był teraz miastem kontrolowanym przez Innych, Dziedziniec, jako taki, przestał istnieć. Vlad i Nyx, razem z kilkoma ludźmi, rozejrzą się po Wodospadzie i znajdą miejsca, w których mogliby zamieszkać Sanguinati. Reszta *terra indigena*, którzy osiądą w Wodospadzie, sama wybierze sobie domy.

Ludzie bardzo potrzebowali zaopatrzenia. Czy można było coś z tym zrobić?

Tak. Punkty kontrolne pozostaną niezmiennione, ale trzeba zrobić wszystko, by załatwić zapasy – i znaleźć kierowców, którzy będą chcieli przyjechać ciężarówkami do miasta.

Vlad podał kapitanowi policji swój adres mailowy. Steve Przewoźnik uczynił to samo. Ustalili, że postarają się rozwiązać wszelkie problemy, jakie pojawią się podczas zmiany przywództwa.

W ostatnim geście pojechali za ciężarówką Jerry'ego Saniarza na ogrodzony teren, który niegdyś był Dziedzińcem w Wodospadzie, i wypuścili cztery bizony. Może ludzie docenią mięso; a może nie. Jednak ten gest pomocy zbudował więź między Wodospadem Talulah, Przystanią Przewoźników i Lakeside.

Ilu ludzi chcą zachować terra indigena?, pomyślał Vlad, gdy razem z Henrym wracali minivanem do Lakeside. Czy Sanguinati, którzy potrafią zaadaptować się do miejskich warunków lepiej niż pozostali Inni, zostaną od nich odseparowani? A może staniemy się twierdzą, która utrzyma ludzi, potrzebnych terra indigena, podczas gdy pozostali Inni zajmą się ziemią? Nadchodzi burza. Wszyscy o tym wiemy. Nawet jeśli ludzie nie chcą tego zauważyć. Nie ma sensu martwić się o to, co może się stać, dopóki nie zobaczymy, co zostało.



Simon biegł przez Dziedziniec. Biegł, i biegł, i biegł. Wodospad Talulah to nie jego sprawa. Jeśli tamtejsi *terra indigena* chcieli przekazać je Sanguinatim i udać się do domu, to ich problem, nie jego. W Lakeside Sanguinati i Wilki się uzupełniali, byli potężnymi

drapieżnikami. Starali się też nie wchodzić ze sobą w konflikty. W porządku, w sprawie Meg trochę na siebie powarkiwali, ale jedni i drudzy ją chronili, ponieważ była nie tylko przyjaciółką, lecz także stworzeniem Namid – zarówno cudownym, jak i straszliwym.

Nagle się zatrzymał i zrobił błyskawiczny odwrót. Sanguinati pod postacią dymu nie mieli zapachu. Nie wydawali też żadnego dźwięku. On jednak wyczuł coś w ciemnościach.

Biegniesz w jakimś konkretnym celu? spytał Vlad.

Tak po prostu, dla samej radości z biegania.

Gdy odczuwasz radość, poruszasz się inaczej.

Rzeczywiście tak było? Dlaczego o tym nie wiedział?

Znowu zaczął biec, aż wreszcie dobiegł do strumienia. Przepłynął na drugą stronę, otrząpiał się, a potem zmienił w człowieka i usiadł na brzegu. Chwilę później Vlad przefrunął nad wodą i również w ludzkiej postaci dołączył do Simona.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś, że Sanguinati chcą przejąć Wodospad Talulah? – spytał Wilcza Straż.

– Nie wolno mi było się odezwać, dopóki nie nabraliśmy pewności, że *terra indigena*, którzy już tam byli, zechcą odejść. – Vlad patrzył na strumień. – Sanguinati rządzą Dziedzińcem w Toland od czasów, gdy pierwsi ludzie zbudowali tam swoje domy, a później ta ziemia stała się miastem. Widzieliśmy, jak Toland rośnie wokół nas, jak wypełnia się ludźmi. Porzucanie Dziedzińca... zdaje się niedobre. Jak byś się czuł, gdyby wszystkie Wilki zostały wyrzucone z Północnego Zachodu i Północnych Wyżyn?

– Ale przecież nie wyjechaliście stamtąd przez ludzi.

– Nie, ale już tam nie wrócimy.

Simon przyjrzał się przyjacielowi.

– Zasmuca cię to.

– Tak. Ale podoba mi się tutaj, więc utrata Toland nie jest dla mnie aż tak bolesna.

– Dlaczego akurat Wodospad Talulah? Czy Stavros nie wolałby osiąść w Dyspozytorni, gdzie znajduje się rząd całego regionu?

– Nasza pozycja tam jest już bardzo silna. Wielu Sanguinatic z Toland się tam przeniesie, ale Stavros...

– Jego obecność tam oznaczałaby walkę o dominację.
– A to jest niepotrzebne, zwłaszcza w tych czasach. – Vlad się uśmiechnął. – Poza tym uważam, że dziadek robi coś, co ludzie nazywają swataniem.

Simon zamrugał kilka razy. I jeszcze kilka.

– Ściąga Stavrosa, żeby znaleźć mu samicę? Kogo? – W chwili, w której zadał to pytanie, wszystko zrozumiał. – Nyx. A co ona o tym sądzi?

Vlad wzruszył ramionami.

– Dziadek stara się stworzyć okazję, ponieważ Nyx nie wykazała żadnego zainteresowania tamtejszymi samcami.

– Może po prostu nie jest na to gotowa.

Vlad zaśmiał się cicho.

– Ale dobrze jest być pod ręką, gdy samica zmieni zdanie.

Simon mruknął głośno.

– Czy my na pewno rozmawiamy o Nyx?

– Oczywiście.

– Od czasu dzisiejszej wizyty w Stajni Kucyków Meg jest bardzo cicha.

– Czy Jester powiedział dlaczego?

– Sam prawie się nie odzywa.

– To niedobrze. Kojot rzadko potrafi usiedzieć cicho, gdy wie o czymś, o czym reszta nie ma pojęcia.

– Henry wyczuł zapach Starszych na peryferiach Wodospadu Talulah i na drodze do domu. Uważa, że po prostu są ciekawi i chcieli się rozejrzeć.

– Z pewnością wie więcej niż ja.

– Jego zdaniem ani nam, ani ludziom nic nie grozi. Podejrzewa też, że Starsi przestali planować zagładę.

– A ty? Masz inne zdanie?

– Wydaje mi się, że on wie, dlaczego Meg jest taka cicha.

I dlaczego cały czas drapie się po prawej stronie szczęki, gdy tylko myśli, że na nią nie patrzę.



Czwartek, 21 czerwca

Jesse zapełniła sklepowe półki towarem – zupami w puszkach, sosami i koncentratami pomidorowymi oraz różnymi owocami i warzywami w puszkach. Na zapleczu stały wielkie plastikowe kosze – szczelne i odporne na ataki myszy. W jednym z nich znajdowały się dwukilogramowe worki mąki, w drugim był brązowy i biały cukier, w trzecim makaron, który nie zmieścił się na półkach. Do czwartego Jesse schowała ryż i makaron jajeczny.

Miała tylko nadzieję, że zapasy będą się nadawać do spożycia, gdy mieszkańcy Żłotej Prerii zaczną ich potrzebować.

„Musi wystarczyć do następnej wiosny”, powiedział Tolya, gdy wspomniała o swoim przeczuciu, że Żłota Preria nie będzie mieć dostępu do innych źródeł pokarmu na tej samej zasadzie, na jakiej księgarnia

w Bennett zablokowała nabywanie nowych książek. Żywność, lekarstwa. To, czego potrzebują kobiety, gdy dostają okres i stają się uszczypliwe...

Pod pewnymi względami wspomnienie o napięciu przedmiesiączkowym i samej miesiączce przy wampirze było bardziej stresujące niż polecenie mu, by zamówił żywność, którą będzie można przechowywać przez kolejne miesiące.

I nie chodziło tylko o jedzenie, lecz także o odzież – od bielizny i skarpetek, przez dżinsy i koszulki, na bluzach i płaszczach skończywszy. Buty. Kozaki. Wszystko, z czego można było wyrosnąć lub co można było zniszczyć.

Coś nadchodziło. Czuli to wszyscy mieszkańcy Złotej Prerii. *Terra indigena* wiedzieli, na co się szykują, ale nie ujawniali żadnych szczegółów.

Zastrzelono kolejne bizona – ktoś znalazł sobie okrutną i złośliwą rozrywkę. Dorosłe Wilki, zwłaszcza te, które były strażnikami i myśliwymi, wyszły poza swoje osady, próbując znaleźć winowajców wśród ludzi i zakończyć ten proces marnowania jedzenia.

Jednak nie tylko żywność marnowano. Ktoś zalał benzyną nory pieków preriowych i podpalił. Ogień strawił hektary pastwisk i zbliżył się do plonów, ale wiatr zmienił kierunek pożaru, oszczędzając zapasy Złotej Prerii na przyszły rok.

Jesse i Phil Mailer, dyrektor poczty oraz redaktor „Reportera Złotej Prerii”, pojechali do Bennett, by zgłosić to zdarzenie, ale nikt tam nic nie widział. Co miały zrobić władze Bennett? Przecież pożar nie wybuchł ani w mieście, ani na żadnym terenie należącym do ludzi.

Miała nadzieję, że się myliła co do konieczności rozpoczęcia przygotowań do odcięcia od świata, jednak owo odcięcie stawało się rzeczywistością. Intuicji nie mogli robić zakupów w żadnych sklepach w Bennett; żeby cokolwiek kupić, należało pokazać kartę pobytu. Gdy Truman Skye i Billy Rider, dwaj mężczyźni z rancza w Złotej Prerii, spytali, czy zasada ta odnosiła się również do ludzi, którzy zatrzymywali się wyłącznie na nocleg lub przyjeżdżali na dzień czy dwa, zostali pobici przez grupę zbirów. Po powrocie do domu Truman powiedział Jesse i Philowi – a także Joemu Wilczej Straży i Tolyi Sanguinatemu – że tuż obok szeryf zaczął wypisywać mandat za złe parkowanie i udał, że nie

widzi, jak ośmiu napadło na dwóch. Trumanowi i Billy'emu udało się zbiec – z kilkoma siniakami, potłuczonymi żebrami i podbitymi oczami – tylko dlatego że nagle jedno z drzew się przewróciło i przygniotło kabinę zaparkowanego obok pick-upa.

Plotkowano, że coś wbiło pazury w pień drzewa i wyrwało je z ziemi.

Ostrzeżenia nadchodziły z obu stron. Tak przynajmniej wnioskowała Jesse – a Joe temu nie zaprzeczył, chociaż nie potwierdził też, że poza Wilkami i Wyatem Niedźwiedzią Strażą, którzy obserwowali tereny między Bennett a Żółtą Prerią, istnieje coś jeszcze.

Tak więc handel z najbliższym miastem nie był możliwy. Wszystkie potrzebne towary musiały zostać dostarczone pociągiem albo ciężarówką. Problem polegał na tym, że kupowali o wiele więcej niż to, na co byłoby stać mieszkańców czy właścicieli sklepów, a nie kupiliby niczego, gdyby nie Tolya, pełniący rolę rzecznika swojej rodziny, który pożyczał im pieniądze.

Wprawdzie nikt nie miał przecucia odnośnie pożyczania pieniędzy od Sanguinatic, ale też nikomu nie przychodziło to z łatwością. Tak czy siak, mieli wybór – albo to, albo ignorowanie ostrzeżeń, mówiących, że powinni robić zapasy.

Pieluszki i zasypka dla dzieci. Koce i pościel. Ręczniki. Szczoteczki i pasta do zębów. Papier toaletowy. Na bogów! Czy właściciel sklepu był w stanie oszacować zapotrzebowanie na takie artykuły?

No i gdzie miała przechowywać wszystkie te towary?

Rozległ się dzwonek przy drzwiach wejściowych. Obróciła się do wejścia, zadowolona, że w końcu coś odwróci jej uwagę od tego tematu.

Nieznajoma dziewczyna. Mogła mieć szesnaście, może siedemnaście lat. Założyła jedną z sukienek, które w zeszłym tygodniu wisiały w witrynie sklepu z używaną odzieżą. Na stopach miała sandały. Jej jasnospielate włosy sięgały do połowy pleców. Miała bursztynowe oczy, a uszy, które niespodziewanie wyrosły spomiędzy jej włosów, były owłosione i z pewnością nie należały do człowieka.

Wilk, pomyślała Jesse. Uśmiechnęła się i powoli podeszła do dziewczyny.

– Dzień dobry. Jestem Jesse, właścicielka tego sklepu. Mogę ci w czymś pomóc? – Nad ramieniem dziewczyny dostrzegła Joego Wilczą Straż i jakiegoś obcego – drugiego Wilka? – stojących na zewnątrz i pograżonych w rozmowie z Tobiaszem. Ewidentnie robili za przyzwoitki.

– Jak się nazywasz? – spytała.

– Rachel. Chciałabym książkę?

Stwierdzenie w formie pytania. Dziewczyna nie wiedziała, czy wolno jej spytać o coś takiego.

– Książki mamy tam. – Jesse zaprowadziła gościa w stronę regałów. – Na tych dwóch półkach są nowe pozycje, które z reguły kosztują więcej. A na tych znajdują się książki używane. – Wzięła pierwszy z brzegu tom w miękkiej oprawie i wręczyła go Rachel.

Dziewczyna przyjrzała się okładce. Następnie podniosła książkę do twarzy, powąchała ją, skrzywiła się i oddała.

Interesujące... Jesse chciała spytać, co dziewczyna poczuła, jednak stwierdziła, że poczeka z tym do kolejnej wizyty.

– Możesz też wypożyczyć książki z biblioteki.

– Czy wypożyczenie oznacza, że nie można będzie ich zatrzymać?

– Tak. Czytasz książkę i oddajesz ją do biblioteki.

– Chcemy zatrzymać książkę.

Jesse pokiwała głową.

– To ma być coś dla ciebie?

Wahanie.

– Historie dla szczeniąt? Żeby im poczytać? Nieźle czytam. – Wyraźnie chciała wzbudzić ciekawość.

Innym razem, obiecała sobie Jesse, przeglądając część z książkami dla dzieci.

– No cóż, mam na przykład opowieści o zwierzętach. – Gdy Rachel przykucnęła obok, zapragnęła zapytać, czy pod tą letnią sukienką dziewczyna nosi bieliznę. Takie pytanie mogłoby jednak wywołać zażenowanie, zwłaszcza jeśli była to pierwsza próba kontaktu z człowiekiem.

– Lubimy zwierzęta – powiedziała Rachel.

– Nie wiem, czy zwierzęta z tych opowieści zachowują się tak, jak

zwierzęta, które znasz.

Dziewczyna pokiwała głową.

– To tylko pozory. – Wzięła książkę i powąchała. Tej nie oddała.

– Chcesz wybrać jeszcze jakąś dla siebie?

– Ja... – Rachel spojrzała na cenę na okładce opowieści. – Mam za mało pieniędzy, żeby kupić kolejną książkę.

– Dam ci jakąś.

Rachel pokręciła głową.

– Powinnam ją kupić.

– Z reguły tak właśnie jest. Dzisiaj jednak chciałabym podarować ci jedną z książek. Powiedzmy, że chcę cię miło przywitać.

– Och... – Dziewczyna popatrzyła na półki, a w jej bursztynowych oczach pojawiły się zachwyt i zmieszanie.

Wreszcie zaczęła opowiadać o książkach, które czytała i które lubiła najbardziej. Jesse pokazała jej książki intuickiego autora kryminałów, który pisał historie o ludziach i ich znajomych *terra indigena*, rozwiązujących różne tajemnicze zagadki. Nie wiedziała, czy w tych historiach Inni byli przedstawieni we właściwy sposób. Nie myślała o tym, gdy je czytała.

No cóż, ponowna lektura – teraz, gdy wiem już tyle o Innych, będzie interesująca. Poza tym dowiem się, co Rachel myśli o poszczególnych postaciach. Ciekawe, czy którykolwiek z terra indigena byłby zainteresowany przystąpieniem do naszego klubu książki? Muszę spytać o to Joego Wilczą Straż, myślała, wbijając na kasę wybraną przez Rachel pozycję.

Gdy dziewczyna wychodziła ze sklepu, niemal promieniała szczęściem. Prawidłowo wykonała zadanie, a przy tym doświadczyła naprawdę miłego spotkania. I nagle zrobiła się nieśmiała, gdy została przedstawiona Tobiasowi, który dotknął swojego kapelusza i zachował się, tak jak należy się zachować, kiedy poznaje się nową osobę.

Wszedł do sklepu, a Joe spojrzał na Jesse przez wystawową szybę i uśmiechnął się.

Nic nam nie będzie, pomyślała, gdy Wilki ruszyły w stronę osady terra indigena. Jeśli Inni akceptują nas jako przyjaciół, to nic nam nie będzie.

Do: MS

Oddziały już zajęły pozycję, ale zwracają na siebie niepożądaną uwagę. Albo uderzymy teraz, albo stracimy przewagę wynikającą z zaskoczenia. Musimy zakłócić ich spokój w sposób ostateczny.

Ojciec

Do: MS

Przybyły specjalne przesyłki z Cel-Romanii. Czekamy na pańskie instrukcje.

Przywódcy LPiNW,

oddziały ze Środkowego i Północnego Zachodu

Do: Przywódcy LPiNW,

oddziały ze Środkowego i Północnego Zachodu.
Rozpocząć trzeci etap odzyskiwania ziemi.

MS



Piątek, 22 czerwca

Nadzieja patrzyła na zarysowaną kartkę i czuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła.

Nie. Nie, nie, nie! Wczoraj spędziła taki przyjemny dzień na rysowaniu szczeniąt i młodych Wilków. Rysowała przyjaciół, którzy spali, bawili się i ganiali. Dlaczego więc dziś narysowała ich *takich*?

Przedarła kartkę na pół, potem jeszcze raz na pół, a następnie wsunęła papierki pod łóżko. To nie była żadna wizja. *Nie!* Jej przyjaciele byli cali i zdrowi! Żadnych brakujących kończyn. Nie próbowali się czołgać, uciekając przed niebezpieczeństwem, nie mieli roztrzaskanych łbów. Nie leżeli na polu, spaleni do tego stopnia, że nie można było ich zidentyfikować.

– To zły rysunek! – Zerwała się na równe nogi. Chciała wybiec

z domku, uciec od ołówków, kredek i papieru, które kłamały. – To się nie urzeczywistni. To nie może się urzeczywistnić.

Wyciągnęła rękę, ale nie dotknęła klamki.

Nie widziała powodu, by takie rysunki wyszły spod jej dłoni. Jeśli rysowała wizje, to nadal nie wiedziała, dlaczego młode Wilki wyglądały w niej w taki sposób. Czy kolejny rysunek da jej jakąś wskazówkę? Czy da ją Jacksonowi i Grace, którzy musieli poznać odpowiedź, by ocalić stado?

Odwróciła się od drzwi i usiadła na podłodze. Położyła na kolanach duży szkicownik i zamknęła oczy.

Co się stanie z Wilkami?

Otworzyła oczy i utkwiała wzrok w szufladzie biurka. Pragnęła euforii, tej, która przychodziła zawsze po użyciu brzytwy. Opanowała się jednak. Wzięła ołówek i pozwoliła, by wizja popłynęła z jej dłoni, by przyniosła odpowiedź.



Piątek, 22 czerwca

Poirytowana i dziwnie rozdrażniona, Meg zebrała karty prorocstw, rozsypane po całej sortowni.

– Cholera, Sam – mruknęła. – Przecież mówiłam ci, że te karty nie służą do zabawy.

Był ich ciekaw. To oczywiste. Szczeniaki interesowały się wszystkim, co je otacza. Ale przecież mówiła mu, że te karty są wyjątkowe. Wiedziała też, że Simon i Henry wyjaśnili mu, że te specjalne karty to narzędzia do przywoływania wizji. Tak jak brzytwa. Coś potencjalnie niebezpiecznego. Nic, czym mogłyby się bawić szczenięta.

A teraz karty stały się dziwne w dotyku; pokryła je jakaś nieokreślona substancja.

Rozłożyła je na dużym stole, grzbietami do góry. Każda talia miała określony wzór grzbietu, więc podzielenie je na talie nie byłoby dużym problemem. Jednak Meg nie próbowała ich rozdzielać. Zamiast tego zaczęła je dotykać. Po przesunięciu kilku z nich po blacie, poczuła narastającą podejrzliwość.

Sam z pewnością nie bawiłby się czymś, co należało do niej. Ale co z Lizzy, Sarah i Robertem? Gdy pracowała, nie zamykała tylnych drzwi do biura łącznika. Pete Denby miał biuro na drugim piętrze, Sarah i Robert czasami się tam bawili, gdy Eve Denby chciała popracować w spokoju. A Lizzy spędzała mnóstwo czasu przy targu, bawiąc się z Sarah i Robertem.

W przeciwieństwie do młodych *terra indigena*, które najpierw interesowały się wszystkim wokół, a potem zapadały w drzemkę, by dać odpocząć swym małym mózgom, ludzkie dzieci szybko się nudziły tym, co mogły mieć, i jęczały o kolejną zabawkę. Wyglądało na to, że zawsze męczyły rodziców o „to”, a jak już miały „to”, to chciały „tamto”. A jeśli im powiedziano, że nie mogą czegoś dostać, okazywało się, że właśnie „to” jest jedyna rzecz na świecie, jaką po prostu musiały mieć.

A przecież powiedziano im, że nie mogą się bawić kartami do prorocत्व.

Możliwe, że to było normalne zachowanie u ludzkich dzieci. Ponieważ dorastała w kompleksie, w którym prowadziła życie zgodne z wyznaczonym planem dnia, nie miała żadnego doświadczenia z „normalnym” zachowaniem dzieci. Nie potrafiła określić różnicy między młodzieńczym entuzjazmem a złym zachowaniem, które rozżłościłoby Innych i wywołałoby problemy dla wszystkich ludzi. Popełniła błąd, gdy Lizzy po raz pierwszy przyjechała na Dziedziniec, i w konsekwencji czuła się niepewnie w każdej kwestii dotyczącej dzieci.

Gdyby była w odpowiednim nastroju, porozmawiałaby z Ruth, która uczyła w szkole, albo z Eve Denby, która była matką, i poprosiła o jakieś wskazówki. Może dowiedziałyby się, kiedy owa niepewność wymaga cięcia, a kiedy powinna zostać potraktowana zupełnie naturalnie. W towarzystwie dzieci chciałyby się czuć tak swobodnie jak czuła się w towarzystwie szczeniąt. Ich zabawy były o wiele ostrzejsze,

ale nie napawały jej strachem.

To przyciągnęło jej myśli z powrotem do kart prorocत्व, które ktoś rozrzucił na podłodze.

Oparła dłonie o stół. Czy zamknęła drzwi, gdy wyszła na przerwę w połowie dnia? Czy Jenni, która miała klucze do tylnego wejścia do biura łącznika, weszła po pocztę dla Błyskotek i Staroci i zapomniała zamknąć za sobą drzwi? Czy dzieci, znudzone dostępnymi zabawkami, spróbowały otworzyć drzwi, zobaczyły, że są otwarte, i weszły do środka, by się rozejrzeć? Znalazły karty i postanowiły się pobawić, a na końcu, gdy im się znudziło, rzuciły karty na podłogę – albo usłyszały coś, co przypomniało im, że w ogóle nie mogą wchodzić do biura łącznika? Nathan z pewnością będzie to wiedział. Jeśli go poprosi, powęszy i powie, kto był w pokoju. A wtedy dzieciaki mogą mieć kłopoty.

Meg popatrzyła na karty i uświadomiła sobie brak dwóch wzorów. Pośpieszyła do szuflady, w której trzymała talie. Talia z kartami z natury nadal znajdowała się z tyłu szuflady. Wyjęła talię, wyjęła ją z pudełka i wymieszała z resztą na stole.

Dodała wszystkie, łącznie z tymi, które Jester kazał jej schować.

Zrobiła miejsce na szczycie stołu, zamknęła oczy i delikatnie przejechała palcami po tylnych stronach kart. Miała ich dziesiątki. Tworzyły setki, może tysiące kombinacji. W przypadku prorocत्व to się zawsze sprawdzało, prawda? Tysiące poznanych obrazów, dźwięków i zapachów sprowadzały się do konkretnych obrazów, dźwięków i zapachów, które odpowiadały na pytanie wieszczki krwi.

Nie miała żadnego pytania, nie wiedziała, dlaczego miesza karty, zamiast je posortować, pochować do pudełek i zabrać się do pracy. Po prostu tego dnia czuła się dziwnie i postanowiła sprawdzić, czy coś zobaczy.

Trzy zestawy po trzy, pomyślała, wybierając karty. Sugerowała się mrowieniem w dłoniach, nogach i klatce piersiowej. *Trzy zestawy po trzy. Podmiot, akcja, skutek.*

Otworzyła oczy i odkryła pierwszy zestaw – uświadomiła sobie, że mrowienie po prawej stronie szczęki się nasiliło.

Bizony. Strzelba. Płyta nagrobna – z takich, które nadal istniały

w niektórych częściach Thaisii jako pozostałości po czasach, gdy nie trzeba było przeprowadzać kremacji w celu oszczędzania miejsca na terenach, na których grzebano zmarłych.

Odkryła kolejny zestaw.

Wilk. Nóż. Zakapturzona postać z kosą.

– Nie... – szepnęła, odwracając ostatnie karty.

Linia horyzontu w mieście. Połączenie sił Żywiołów – tornada, fali pływów, ognia. A ostatnia karta...

Złóż je razem z kartami natury i miej nadzieję, że już nigdy nie zobaczysz żadnej z nich.

Właśnie to powiedział Jester. Ale przecież jedna z tych kart reprezentowała skutek czegoś, co miało się wydarzyć.

Mrowienie w szczęce stało się już nie do zniesienia.

– Gdzie?! – krzyknęła, zrozpaczona. – Kiedy? Skąd będę wiedzieć?!

– Arreouu? – Leniwe pytanie dobiegło z pokoju, w którym spał Nathan.

Mrowienie w prawej dłoni. Pieczenie w palcu wskazującym.

Odwróciła kartę pod tym palcem.

Karta komunikacji – narysowano na niej telefon i telegraf.

Oddychając ciężko, Meg spojrzała na telefon, stojący na ladzie.

– Ktoś do mnie zadzwoni.

– Arroo? – To już nie było leniwe pytanie.

– Nic takiego! – Podniosła głos, żeby Nathan ją usłyszał. – Mówię do siebie.

To powinno go powstrzymać na minutę albo dwie. Potem przyjdzie do sortowni, by się rozejrzeć.

Mrowienie w dłoni i szczęce zaczęło ustępować.

Wzięła notes i długopis i spisała wszystkie dziewięć kart w odpowiedniej kolejności. Potem dodała do nich kartę komunikacji. Zostawiła notes na blacie, notatkami do dołu. Następnie zebrała wszystkie karty i wrzuciła je do szuflady. Poprosi Henry'ego, żeby zrobił dla niej specjalne pudełko, na tyle duże, by pomieściło wszystkie talie. Pudełko z zamkiem. I dwoma kluczami. Jeden klucz zatrzyma dla siebie. A komu powinna dać drugi? Simonowi? Nie, zostawiłby go w Zabójczo

Dobrych Lekturach albo w swoim mieszkaniu, a wtedy bardzo łatwo byłoby go znaleźć. Więc może Henry albo Tess?

Dziadek Erebus. Tak, drugi klucz do skrzynki powinni trzymać Sanguinati.

Nie było żadnego dowodu na to, że ktoś buszował w sortowni, dopóki Nathan nie przechylił się przez ladę i nie zaczął węszyć. Jego pomruki świadczyły o tym, że doskonale wiedział, kto nie powinien znajdować się w sortowni.

Poszedł na zaplecze i minutę później wrócił w ludzkiej postaci – w koszulce, dżinsowych szortach i sandałach.

– Muszę porozmawiać z Simonem. – Spojrzał na nią ostro. – Spodziewasz się jakichś przesylek?

– Nie. Wiadomości, ale nie przesylki.

– Jake będzie pełnił straż i ostrzeże cię, jeśli ktokolwiek wejdzie do środka.

– W porządku.

Czekała. Gdy usłyszała trzaśnięcie tylnych drzwi od ZDL, wzdrygnęła się, a następnie oparła dłonie na ladzie obok otwartego okna sortowni i zawołała:

– Henry? Henry, muszę z tobą porozmawiać!

Mogła nie powiedzieć Nathanowi o kartach, ale ktoś musiał o tym wiedzieć.

I musiał to być ktoś, kto wiedział o tym, że karty prorocत्व zostały wymieszane z fantastycznymi obrazkami.

Gdy w progu stanął Henry, wzięła z blatu notes i przycisnęła go do piersi.

– Nie wiem, co to oznacza, ale jest coś, co musisz zobaczyć.



Simon wpatrywał się w kartkę z listą obrazów Meg.

– Na Dziedzińcu nie mamy żadnego bizona, przynajmniej nie na kopytach. Zabito jedynego roczniaka i każdą lodówkę załadowano bizonim mięsem, ale nie było powodu, dla którego Meg miałyby zobaczyć to w wizji. A *terra indigena* w Wodospadzie Talulah nie użyliby rewolwerów czy strzelb do zabicia bizonów, które im daliśmy.

– Strzelby – rzekł Henry. – Bizony zabija się ze strzelb.

– Na karcie jest też rewolwer.

– Nie wydaje mi się, by Meg go widziała. Napisała „strzelba”, bo to właśnie zobaczyła.

Vlad pogłaskał się po brodzie.

– A co z selektywnym postrzeganiem, w przypadku gdy na karcie jest więcej niż jeden obiekt?

– Interesująca uwaga.

– Ale na razie nie musimy się nią przejmować. – Simon ponownie przeczytał listę. – Wilki są atakowane nożami? To niezbyt mądre ze strony człowieka, zwłaszcza jeśli ma do czynienia z więcej niż jednym Wilkiem.

– Ale przecież skorzystano już z karty strzelby – zauważył Henry.

– Może Meg potrzebowała innej ludzkiej broni. Strzelba czy nóż, skutek ten sam. Widziała śmierć.

Simon spojrzął na ostatni zestaw słów i zadrżał. *Ilu ludzi zechcą zachować terra indigena?* Vlad wskazał listę i powiedział:

– Wygląda na to, że skończył nam się czas.

– Czas skończył się nam już wtedy, gdy ludzie zlekceważyli deklarację złamania przez Starszych sojuszu i postanowili sprawić jeszcze więcej problemów – zagrział Henry.

– A skąd Meg wiedziała, że karta miała mieć postać *terra indigena*? – spytał Simon.

– Jester wiedział – odparł Henry. – Co oznaczało, że w którymś momencie swego życia Kojot widział jednego lub więcej *terra indigena*, którzy byli kłami i pazurami Namid.

– Oddzielił postaci realne od postaci ze świata fantazji i powiedział Meg, że nie powinna wysyłać tej talii do innych wieszczek krwi – ciągnął Henry. – Jesse Walker miała już tę talię, ale tylko Meg wie, że nie wszystkie obrazki są zmyślane. –

Simon podał Henry’emu kartkę papieru.

– Nie wiemy, kiedy to się wydarzy. – Henry złożył ją i schował do kieszeni dzinsów. – Do Meg ma ktoś zadzwonić i będzie to sygnał do rozpoczęcia wojny. Przynajmniej dla nas.

Simon poczuł, że rozpacz chwyta go za gardło.

– Część z nas zginie. Skoro Starsi już podjęli decyzję, dlaczego

mieliby czekać, aż ktoś z nas polegnie?

– Nie wydaje mi się, żeby zmiennokształtni, tacy jak my, byli dla nich aż tak ważni – odrzekł Henry. – Ale nawet jeśli coś dla nich znamy, może muszą poczekać na jakiś konkretny sygnał do działania. Nawet jeśli czekanie oznacza śmierć kogoś z nas.



Piątek, 22 czerwca

Nadzieja upuściła czerwoną kredkę, przerażona swoim rysunkiem. Zerwała się, ale niemal od razu opadła na łóżko, ponieważ nogi, zdrętwiałe od długiego siedzenia w jednej pozycji, nie były w stanie utrzymać jej ciężaru. Poczowała, ciepłą stróżkę na udach. Ledwo zrozumiała, że się zmoczyła.

Drżąca, zapłakana i zbyt przerażona, by wołać o pomoc – zbyt przerażona tym, że nie doczeka się odpowiedzi – zmusiła się, by ponownie zerknąć na rysunek.

To było coś więcej niż śmierć. Przeważenie, które nigdy nie zostanie zapomniane.

Nie знаła tej twarzy. Ten człowiek nie mieszkał w Sweetwater. Czy rysowała ją już wcześniej? Nie mogła sobie przypomnieć.

Poczuła narastający gniew, tak ogromny, że przeszkadzał jej w myśleniu. Musiała znaleźć Jacksona i Grace. Musiała uciekać, wydostać się stąd, ukryć się gdzieś. Musiała powiedzieć... Twarz w rogu kartki, oddzielona od reszty rysunku... Ktoś, Kto Przeciera Szlak.

Wstała. Tym razem nogi nie odmówiły jej posłuszeństwa. Mogła pobiec do kabiny komunikacyjnej i zadzwonić do Pionierki. Wciąż pamiętała numer telefonu. Zadzwoni, bo przed pojawieniem się w Sweetwater niebezpieczeństwo wystąpi gdzie indziej. Zadzwoni, a potem znajdzie swoich przyjaciół i wszyscy gdzieś się ukryją.

Wybiegła z domku Wilczej Straży i niemal spadła ze schodów.

Kra!

Ktoś z Wroniej Straży ją obserwował.

Nie było czasu na wyjaśnienia. Nie, dopóki nie wysła ostrzeżenia.

Zacząła pędzić w stronę osady *terra indigena*, aż dobiegła do piaszczystej drogi. Gnała do kabiny komunikacyjnej, ścigana wizją śmierci.



Joe Wilcza Straż cicho zapukał do drzwi Tolyi w pokoju motelowym. Odwrócił się i wsłuchał w wycie Wilków. Pieśń Bitwy.

Co się stało? spytał.

Ludzie! padła odpowiedź. *Znowu strzelają do naszych bizonów! Zabijają nasze mięso!*

Poczekajcie! Mogą strzelać do was!

Ale myśliwi i strażnicy, rozwścieczeni kolejną bezsensowną rzezią, nie słuchali go.

Tolya otworzył.

– Joe?

Ludzie znów zabijają bizony.

– W biały dzień, gdy możemy ich rozpoznać? – spytał wampir podejrzliwie.

Jak dotąd ludzie byli ostrożni. Nie wysiadali ze swoich pojazdów, tak by Wilki nie mogły poczuć ich zapachów. Ale Tolya miał rację – ludzie nie ujawniliby się, chyba że to był podstęp.

Muszę powstrzymać stado.

– Idź. Będę miał oko na tutejszych ludzi.

Biegąc w kierunku stada, Joe zastanawiał się, czy przegapił jakiś sygnał, świadczący o tym, że ludzie stali się jeszcze bardziej zaciekli.



Piątek, 22 czerwca

Słyszając ryk Nathana i przeraźliwe krakanie Jake'a, Meg podbiegła do przedniej lady, by dowiedzieć się, co się dzieje. Ze zdziwienia aż otworzyła usta. Robert, Sarah i Lizzy bawili się dużą piłką w obszarze dostaw – miejscu, w którym mogła ich potrącić jakaś wielka ciężarówka. W miejscu, które nie było placem zabaw. I dzieci doskonale o tym wiedziały.

– Robercie! – krzyknęła Lizzy. – Miś Grr mówi, że nie powinniśmy się tu bawić! Mamy iść na drugą stronę!

Meg sapnęła i złapała się lady, bo dół jej pleców i brzuch wypełniło bolesne mrowienie. Kiedy usłyszała skrzypnięcie – znak, że ktoś chodzi na górze – mrowienie zniknęło tak szybko, jak się pojawiło, pozostawiając po sobie jedynie ślad bólu.

– Grr jest głupi! – Robert rzucił piłkę do Lizzy, która obróciła ją i odbiła wysoko w powietrze.

– Robercie! – krzyknął Pete Denby z okna na górze.

Na dźwięk swojego imienia, wykrzychanego przez ojca, Robert zamarł na chwilę. A potem, widząc piłkę w powietrzu nad sobą, odwrócił się i pobiegł za nią.

Ból. Brzuch, plecy, nogi. Meg przypomniała sobie obrazy ludzi rannych w wypadkach samochodowych i w oczach jej pociemniało. – Nathanie, złap go! – wrzasnęła. – Zatrzymaj go!

Na górze rozległy się szybkie kroki. Nathan rzucił się przez drzwi i złapał chłopca zaledwie kilkadziesiąt centymetrów przed ulicą – przewrócił go w sposób gwarantujący otarte łokcie i kolana. Wtedy z budynku wybiegł również Pete Denby. Dziewczynki płakały, ponieważ Pete był wściekły, a Nathan na nie warczał... A telefon dzwonił i dzwonił.

Ból w ciele Meg ponownie zelżał. Osłabła, ale poczuła pieczenie po prawej stronie szczęki.

Skupiając wzrok na rozgrywającej się scenie, podniosła.

– Czego? – spytała.

– Meg? – Głos drżał tak bardzo, że nie była pewna, z kim rozmawia.

– Nadzieja?

– Meg... uciekajcie... ukryjcie się... Śmierć...

– Nadziejo, co...?

– *Uciekajcie!*

– Nadziejo? Nadziejo!

Ale odpowiedziała jej już tylko cisza. Meg usłyszała głuchy sygnał. Rzuciła słuchawkę na widelki. Pobiegła do sortowni i zamknęła drzwi do recepcji.

Niezależnie od tego, o co chodziło z Robertem... Już się skończyło. Nadal była słaba i źle się czuła, ale przynajmniej nie bolały jej dolne partie ciała. Teraz ból umiejscowił się w szczęcie – w miejscu, w którym pragnęła się naciąć.

Uciekajcie! Słowo wykrzywane przez Nadzieję paliło ją pod skórą. Przed czym mieli uciekać? Przecież karty nie przyniosły żadnej

odpowiedzi.

Rozłożyła srebrną brzytwę, przyłożyła ostrze do prawej strony szczęki i zrobiła długie nacięcie. Odłożyła brzytwę i oparła ręce na stole. Przełknęła cierpienie i słowa, by zobaczyć przepowiednię.

Obrazy zebrały się w całość niczym plik zdjęć; przewijały się tak szybko, że z trudem je rozumiała. Wilki. Krew. Śmierć. To był wspólny element dla nich wszystkich. Ale miejsca... Podobne, lecz nie takie same. Morze trawy. Domki wzniesione w pobliżu gór. Więcej miejsc, do których miała zawitać śmierć. O wiele więcej.

Przez ułamek sekundy widziała Simona w kompleksie Wilczej Straży. Połowa jego twarzy była zalana krwią. A potem zobaczyła... zobaczyła...

Odwróciła się od stołu, pochyliła i zwymiotowała.

Uciekajcie! Ukryjcie stado!

– Sam... – szepnęła.

Odwróciła się z powrotem i jej wzrok padł na słuchawkę.

Widziała... Znała tę twarz.

Obok telefonu leżała książka telefoniczna, kupiona niedawno w Trzech P. Meg szybko znalazła literę „S” i wybrała numer.

– Sklep Wielobranżowy Walker. Mówi Jesse. – Usłyszała.

Musiała się zmusić do mówienia.

– Z tej strony Meg Corbyn.

– Meg?

Jeśli natychmiast się stąd nie wydostanie, coś w niej pęknie. Mimo wszystko próbowała ułożyć obrazy tak, by przekaz był zrozumiały.

– Bizony. Strzelba. Śmierć. Wilki. Pułapka. Śmierć. Ciało. Ciało.

Twarz Joego. Ogień, ogień, ogień.

– Meg? – spytała zaniepokojona Jesse.

Obrazy migały jej przed oczami, zbyt przerażające, by mogła je znieść.

– Uciekajcie. Ukryjcie szczeniaki. Ukryjcie dzieci. Uciekajcie.

Uciekajcie!

Ogarnęło ją przerażenie. Musiała posłuchać własnego ostrzeżenia. Wyjęła z torebki kluczyki od PNK. Wybiegając przez tylne drzwi, zderzyła się z Vladem, ale nie była w stanie ani się zatrzymać, ani

odezwać. Otworzyła drzwi do garażu i wskoczyła do PNK. Cofając, prawie wjechała w Simona.

– Meg! – krzyknął.

Spojrzała na niego, próbując znaleźć odpowiednie słowa, ale znalazła tylko jedno:

– Uciekaj!

Wcisnęła pedał gazu i ruszyła w stronę kompleksu Wilczej Straży, rozpędzając mały pojazd do maksymalnej prędkości.



Piątek, 22 czerwca

Jesse Walker wybiegła na środek głównej ulicy w Złotej Prerii i zaczęła krzyczeć – po części ze strachu, po części po to, by zagrzać innych do walki. Z sąsiednich sklepów wylegli ludzie, ale nie mogli jej w tej chwili pomóc.

Usłyszawszy krakanie, podniosła głowę. Nad nią krążyło kilka kruków. Gdy spojrzała w stronę drugiego końca miasta, dostrzegła pędzący w jej kierunku dym.

– Meg Corbyn mówi, że Wilki zmierzają prosto w pułapkę! Podnieście alarm! Powstrzymajcie je!

Kruki odfrunęły. Dym nadal pędził w jej stronę. Tuż przed nią utworzył słup i przybrał ludzką postać.

– Czy Meg powiedziała coś jeszcze? – spytał Tolya.

– Widziała twarz Joego. Powiedziała... – Jesse z trudem przełknęła ślinę. – Słowo „ciała” powtórzyła dwa razy, a „ogień” – trzy. Kazała ukryć szczeniaki i dzieci.

– Joe zawarł specjalne porozumienie z... Zresztą nieważne. Istotne jest to, że wśród wzgórz nad osadą *terra indigena* jest miejsce, w którym można się ukryć. Powiedział ci o nim?

– Tak.

– W takim razie bierz najpotrzebniejsze rzeczy i zwołaj wszystkie samice i młode do tego właśnie miejsca.

– Ale...

– Jesse Walker, zrób to natychmiast. Żadne z nas nie ma teraz czasu na wyjaśnienia. – Tolya ponownie przybrał postać dymu i szybko uniósł się w stronę otwartej przestrzeni za miastem.

Żadne z nas nie ma czasu. Na bogów na górze i na dole...

– Jesse? – Phil Mailer ruszył w jej stronę.

Pokręciła głową.

– Włącz alarm. Musimy się stąd wydostać.

Pobiegła z powrotem do sklepu i spojrzała na dwie druciane skrzynki, które stały na ladzie. Były wypełnione słoikami masła orzechowego, pudełkami płatków, czekoladą i puszkami owoców. Godzinę wcześniej zaczęła odczuwać dziwny niepokój, więc na wszelki wypadek zaczęła pakować zapasy.

– Co się dzieje? – Do sklepu wbiegła Shelley Uczona. Jesse podała jej pustą skrzynkę. – Soki w butelkach i wszystko, czym można szybko nakarmić dzieci. Rusz się!

Do jednej ze skrzynek wrzuciła pudełko sztucców, do drugiej – dwa bochenki chleba. Następnie pobiegła do działu ze sprzętem kuchennym, złapała otwieracz do puszek i dorzuciła go do reszty.

– Wziąć kilka puszek zupy? – spytała Shelley.

– Nic, co trzeba ugotować albo podgrzać przed zjedzeniem – odparła ostro Jesse. Pełne skrzynie ustawiła przy drzwiach, po czym wróciła na zaplecze i przyniosła mały plecak, strzelbę i dwa pudełka naboju.

Shelley ze zdziwienia wytrzeszczyła oczy.

– Jesse?

– Zapełniłaś już tę skrzynkę? To leć po torebkę. Masz wrócić w ciągu pięciu minut. Nie żartuję. Pięć minut. Potem wyruszamy.

– Dokąd?

– Czas start. – *Ukryjcie szczenięta. Ukryjcie dzieci.* Wiedziała, że przestanie słyszeć te słowa, dopiero gdy spełni polecenie.

Gdy alarm przestał wyć, Jesse wyszła na ulicę. Powiodła wzrokiem po ludziach. Ewidentnie czekali na wyjaśnienia.

– Musimy się ewakuować – powiedziała. – Zadzwoń do mnie *cassandra sangue*, by nas ostrzec. Nie wiem, ile to kosztowało Meg Corbyn.

– Jesse, jak brzmiało ostrzeżenie? – spytał Phil Mailer.

– Śmierć. Pułapki. Ogień. To wszystko idzie do nas. Być może niektórych z nas już dopadło. Nie jestem w stanie o tym myśleć.

Billy Rider zabrał ze stajni wóz i konie i podjechał pod sklep.

– Próbowałem złapać Tobiasa – zwrócił się do Jesse. – Tom Garcia powiedział, że niewielkie tornado rozerwało płot i wystraszyło konie, więc ludzie próbują teraz zagonić je w jedno miejsce. Powiedziałem mu o alarmie. Odparł, że zostanie na ranczu, ale stanie na czatach i zacznie bić w dzwon, gdy tylko zauważy coś podejrzanego. Ellen Garcia już tu jedzie, by się z tobą spotkać. Przywiezie swoje dzieci i wszystkie młode *terra indigena*, jakie napotka na swej drodze.

Mało prawdopodobne, by Ellen znalazła dużo młodych *terra indigena*, kręcących się bez dorosłych tak daleko od swoich osad, ale liczyło się każde ostrzeżenie.

Jesse patrzyła, jak podjeżdża niewielki autobus Złotej Prerii. Tuż za nim pojawił się minivan, pełniący funkcję taksówki.

– Przestańcie się obijać i wsiadajcie do tego przeklętego busa – warknęła do Shelley i Abigail Burch. – Musimy się ruszyć. – Wskazała taksówkę. – Pojedźcie na tamten koniec miasta i zbierzcie ze sobą wszystkie napotkane osoby. Autobus skieruje się w stronę wzgórz i zabierze wszystkich stamtąd.

Phil Mailer stanął przed nią.

– Z kim jeszcze mogę się skontaktować? Będę wysyłać wiadomości tak długo, aż padną druty. Ty miałaś najwięcej doświadczeń z *terra indigena*, więc musisz jechać. Ale niektórzy z nas zostaną. To

jest nasze miasto, nasz dom. Te budynki są po dachy wypełnione zapasami, które umożliwią nam przeżycie całego przyszłego roku. Nie pozwolę, żeby jakieś prymitywy nas stąd wykurzyły.

Rozległy się pełne aprobaty pomruki innych mężczyzn.

– Jedź już, Jesse. Jedź i zrób, co możesz, by pomóc nam wszystkim.

Nie odezwała się już, tylko usiadła obok Billy’ego Ridera, by zaprowadzić kobiety i dzieci w góry. Zastanawiała się, czy po powrocie cokolwiek jeszcze tu zostanie.



Joe zawył i poczekał na odpowiedź. Potem zawył raz jeszcze.

Odpowiedzcie! Jestem przywódcą stada!

Gdy usłyszał Pieśń Bitwy, pobiegł w kierunku, z którego dochodziła.

Joe! Stój!

Zwolnił.

Tolya?

To pułapka! Meg Corbyn miała wizję! Zadzwoń do Jesse Walker. To pułapka zastawiona na stado! Poczul ucisk w klatce piersiowej. Z trudem łapał oddech.

Dlaczego Meg miałyby mieć wizje na nasz temat?

A czy to ważne? Wysłała ostrzeżenie. Joe, wracaj. Jesse Walker zbierze wszystkie młode i zaprowadzi je do kryjówki, którą przygotowałeś w górach. Miasto również znajduje się w niebezpieczeństwie. Musisz wracać.

Muszę powstrzymać stado. Ty zajmij się miastem. Wyślij ostrzeżenia do wszystkich.

Joe pobiegł, ile sił w łapach, by znaleźć stado, zanim wpadnie w pułapkę zastawioną przez ludzi.



Piątek, 22 czerwca

Vlad zatrzymał się gwałtownie w progu sortowni. Woń wymiocin. I jeszcze ten oszałamiający zapach... Krew Meg.

– Co...? – Simon przystanął obok niego. – Nathan usłyszał dźwięk telefonu tuż po tym, jak w ostatniej chwili złapał Roberta, który wybiegał na ulicę. Jake też to słyszał.

Vlad wpatrywał się w leżącą na stole brzytwę.

– Idź za Meg. Ja spróbuję ustalić, kto dzwonił.

– Nie przemówiła. – Simon zmarszczył nos i oddalił się o kilka kroków. – Zobaczyła wizje.

– Jest przerażona. Musisz ją znaleźć, zanim stanie jej się krzywda.

Simon zdjął ubrania i rzucił je na ziemię. Wybiegł z biura łącznika już pod postacią Wilka.

Vlad tymczasem wyjął z kosza gazetę i rzucił ją na plamę wymiocin. Później posprząta. Teraz muszą znaleźć odpowiedź.

Akurat gdy dobiegł do telefonu, do sortowni wpadł Pete Denby.

– Na bogów na górze i na dole! – zawołał od progu. – Wiem, że bawili się tam, gdzie nie powinni, ale to tylko dzieci. Poza tym właśnie schodziłem na dół, żeby się z nimi rozprawić. Czy Nathan naprawdę musiał tak brutalnie przewrócić go na ziemię? Dzieciaki są przerażone!

– Następnym razem nie będziemy powstrzymywać twojego szczeniaka przed wtargnięciem na ulicę – warknął Vlad. – Nie zostawiaj młodych bez opieki, dopóki nie nauczą się unikać śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Pete wciągnął głośno powietrze, a potem się skrzywił. Vlad zobaczył, jak z ojca zmienia się w mężczyznę.

– Co się stało?

– Tego jeszcze nie wiemy. Ale Meg czegoś się przestraszyła i uciekła. Czy istnieje jakiś sposób na ustalenie, kto do niej zadzwonił, czy może to zrobić tylko policja?

– Jest sposób. Chyba że gdzieś potem zadzwoniła. W takim przypadku będzie potrzebna policja. – Pete dołączył do Vlada i wskazał jeden z przycisków na cyferblacie telefonu. – Na twoim miejscu wybrałbym „redial” i sprawdził, gdzie się dodzwonię.

Wcisnął guzik. Rozległo się kilka sygnałów. A w końcu:

– Sklep Wielobranżowy Walker.

Chwila ciszy.

– Tolya? – spytał Vlad.

– Czy Meg Corbyn powiedziała coś jeszcze? – padło pytanie.

Vlad poczuł, jak przeszywa go dreszcz.

– W tej chwili w ogóle nie mówi.

– Wilki biegną prosto w pułapkę. Joe Wilcza Straż próbuje je powstrzymać. Miasto szykuje się do ataku. Jesse Walker zabrała wszystkie młode do kryjówki we Wzgórzach Starszych.

– Kto jest z tobą?

– Mężczyźni z miasta. Vlad, czy ludzie ruszyli za wszystkimi Wilkami? Czy w ogóle za wszystkimi istotami?

– Nie mam pojęcia. Tolya, rób, co możesz, ja uczynię to samo.

Gdy się rozłączył, Pete patrzył na niego z wyczekiwaniem.

– Jest źle?

– Bardzo źle.

Vlad otworzył książkę adresową Meg i poszukał numeru ze Sweetwater. Ponownie nawiązał połączenie.

– Czego? – Męski głos, który się odezwał po drugiej stronie, był wyraźnie rozzłoszczony.

– Z tej strony Vlad Sanguinati z Dziedzińca w Lakeside. Czy może pan przekazać wiadomość Jacksonowi Wilczej Straży? To pilne.

– Lakeside? Czy wasza wieszczka też oszalała? Bo wieszczka Jacksona wbiegła tu dziś cała zasikana. Zadzwoiła do kogoś, a potem wybiegła, krzycząc, że wszyscy muszą się ukryć. Poleciał za nią ktoś z Kruczej Straży, by się upewnić, że dziewczyna wróci do stada Wilczej Straży.

– Proszę powiedzieć Jacksonowi, że *terra indigena* i Intuici znajdują się w niebezpieczeństwie. Zaatakowały nas inne gatunki ludzi.

– Ja... Dobrze, powiem mu.

Vlad rozłączył się i spojrzał na bladego jak ściana Pete'a.

– Gdzie twoje młode?

– Lorne wyszedł z Trzech P, żeby nam pomóc. Zabrał je do gabinetu lekarskiego.

– Lizzy też tam jest? – Pete przytaknął. – Niech nie ruszają się stamtąd, dopóki nie dam znaku, że mogą wyjść.

Vlad wyszedł z biura łącznika, zamienił się w dym i odfrunął w kierunku kompleksu Wilczej Straży.



Przed kompleksem Wilczej Straży Meg wyskoczyła z PNK i zaczęła krzyczeć:

– Sam! *Sam!*

Wybiegł jej na powitanie. Za nim przybiegła reszta szczeniąt i Jedynek.

Otworzyła tylne drzwi PNK.

– Wsiadaj, Sam. Wsiadaj. Musimy uciekać. Musimy się ukryć.

Wskoczył do pojazdu i natychmiast przeszedł na siedzenie pasażera. Inne szczeniaki zaczęły się wahać, bo w zachowaniu Meg

wyczuwały coś dziwnego.

– Jedynek, wskakuj... – wydyszała. Gdy tylko wskoczył na tył, złapała jedno ze szczeniąt i wrzuciła je do środka. Potem to samo zrobiła z resztą.

– Meg? – Jane, chodzące ciało Wilczej Straży, biegła do niej w ludzkiej postaci. Niania stada obnażyła zęby i zaczęła warczeć. – Meg, co ty wyprawiasz?

– Musimy uciekać! – krzyknęła, zatraskując tylne drzwi PNK.

– Ty krwawisz...

– Musimy się ukryć.

Wskoczyła za kierownicę i szybko odjechała spod kompleksu Wilczej Straży. Sam skamlał, Jedynek powarkował, przez co reszta szczeniąt zaczęła wyć.

– Cisza! – rozkazała. – Musimy być cicho! Dokąd jechać? Tam, gdzie będą mogli się ukryć przed wrogiem, który mógłby...

Z trudem przełknęła. Niemal na oślep jechała po drodze, na której PNK ledwo się mieścił. Spojrzała w boczne lusterko. Wilki biegły za nią. Ale nie było wśród nich tego, którego potrzebowała.

– Simonie... – szepnęła.

Droga się skończyła i PNK stoczył się w dół. Podskoczył jeszcze kilka razy, aż w końcu się zatrzymał. Meg wysiadła i pobiegła otworzyć tylne drzwi. Gdy szczeniaki i Jedynek wyskoczyły z pojazdu, złapała Sama – który ostatnio urósł – i zrobiła kilka chwiejnych kroków.

Drżąc na całym ciele, opadła na ziemię, nie wypuszczając go z ramion. Musieli się ukryć, bo widziała...

Żołądek znów podskoczył jej do gardła. Nie zdołała powstrzymać torsji. Zwymiotowała na siebie i na Sama.



Simon zaczął węszyć wokół kompleksu Wilczej Straży. Gdzie jest Meg? Gdzie są inne Wilki?

Stado pobiegło w tę stronę, powiedział Nathan. I Meg. Simonie... ona wciąż krwawi. Na drodze są krople krwi.

Wuju Simonie! Wuju Simonie!

Sam!

Pomocy! Meg jest chora!

Podniósł pysk, żeby zawyć. Jeśli inne Wilki podążyły za Meg, ich odpowiedź pomoże mu określić jej lokalizację. Ale nie zawył. Dlaczego Wilki były cicho? Dlaczego Sam nie wył?

On i Nathan przebiegli przez część Dziedzińca należąca do Jastrzębiej Straży. Musieli znaleźć Meg. W Dziedzińcu nie było wiele dróg, na których zmieściłby się pojazd, nawet tak niewielki, jak PNK.

Tam! Przyfrunęła do niego Jenni Wronia Straż. *Nasza Meg jest tam!*

Tam nie ma żadnej drogi. Jest tylko wąska ścieżka, z której korzystają konie i jelenie, rzekł Nathan.

Jenni przefrunęła nad ich głowami i zawróciła.

Dotarł do wskazanego przez nią miejsca i ruszył w dół po stromej pochyłości. Jakim cudem Meg udało się zjechać tędy PNK? I jak wciągną go teraz z powrotem?

Meg! Zwolnił, żeby nie wpaść na szczeniaki. Były przerażone do tego stopnia, że nie chciały zostawić Meg i dobiec do Jane czy niani. Reszta dorosłych Wilków utworzyła krąg wokół Meg. Blair i Nathan stanęli na straży.

Sam spojrział na wujka.

Meg mnie obrzygała! poskarżył się załośnie.

Szczeniaku, ona jest chora. Jest naprawdę chora.

Rana na szczęce zaczęła się zasklepiać, ale szyja wieszczki była zakrwawiona, a jej koszulka ubrudzona wymiocinami, które sprawiały, że jej krew nie pachniała już tak kusząco.

Przekonany, że czuła się zbyt źle, żeby zawstydziła ją jego nagość, zamienił się w człowieka i ukucnął obok niej.

– Meg? Co widziałaś?

– Musimy się ukryć. Ukryć się przed... – Znowu zwymiotowała. Sam zaczął wyć. Pozostałe szczeniaki się cofnęły i wreszcie znalazły schronienie wśród dorosłych Wilków.

– Kto musi się ukryć? – spytał cierpliwie Simon.

– My. Wilki. – Skupiła się na nim. Miała dziwne oczy – za duże, zbyt czarne. – Twarz Joego tak wygląda.

Jak? Zanim zdążył zadać to pytanie, podbiegł do niego Vlad. Złapał Meg za ramię.

Jesteś między postaciami, powiedział do Simona. A potem spytał Meg:

– Widziałaś coś, co dotyczyłoby reszty nas? Meg? Czy wszyscy musimy się schować, czy chodzi tylko o Wilki?

Popatrzyła na niego wzrokiem tak nieobecnym, że Simon zaczął się zastanawiać, czy jej mózg nie uległ uszkodzeniu.

– Tylko... Wilki – powiedziała wreszcie. – I ludzie żyjący w małych drewnianych domkach. – Chwila ciszy. – Domki. Ogień. Pożar.

– W porządku. – Vlad delikatnie ścisnął jej ramię, a następnie ją puścił. – Ty i Wilki ukryjcie się w jakimś bezpiecznym miejscu. Reszta z nas wyśle ostrzeżenie do tyłu stad, do ilu zdoła.

Simon spojrzał na Vlada.

Jackson?

Jego młoda wieszczka przeraziła się i uciekła, tak jak Meg, odparł ponuro Vlad. Czyli obie tak się zachowują, a przecież mieszkają w różnych częściach kontynentu. Simonie, to niedobrze.

Twarz Joego tak wygląda.

Joe?

Ostrzeżenie zostało wysłane. Nie wiem, czy dotrze na czas. Vlad wstał; jego nogi zmieniły się w dym. Zostań tutaj. A pozostali zrobią, co będą mogli. Nie chodzi tylko o Wilki. Atak jest skierowany również przeciwko Intuicom.

Wszystko, co próbowali osiągnąć on i reszta *terra indigena* w Lakeside poprzez pracę z ludźmi, zaczynało się rozpadać. Jak bardzo się rozpadnie?

Zamienił się z powrotem w Wilka. Instynktownie wyczuwał, że w ten sposób uspokoi Meg.

Simonie, idź i zrób, co będziesz mógł. Ostrzeż Steve'a Przewoźnika, powiedział Vlad.

Zrobię to w pierwszej kolejności. On przekaze ostrzeżenie do innych intuickich osad znajdujących się w zasięgu złych ludzi.

Sanguinati do końca zmienił się w dym i pomknął przed siebie.

Z Vladem idzie więcej Sanguinatich, rzekł Blair.

Pomożemy ci strzec naszej Meg, obiecała Jenni.

Ona, Starr i Jake usiedli na gałęziach pobliskich drzew.
Wuju Simonie?, zaskomlał Sam. *Nie chcę wylizywać futra do czysta.*

On też nie chciał tego robić.

Gdy tylko będziemy bezpieczni, wyczyścimy ciebie i Meg. Będą też musieli wykąpać pozostałe szczenięta, które zostały ochlapane wymiocinami. Na razie jednak żaden z Wilków nie mógł nic uczynić.

Oparłszy się pokusie wylizania zaschniętej krwi na szyi Meg, pomimo smrodu wymiocin, Simon położył łeb na ramieniu dziewczyny. Pocieszał ją w milczeniu – i próbował nie myśleć za dużo o tym, co się działo z Wilczą Strażą w pozostałych częściach Thaisii.



Piątek, 22 czerwca

Jackson wbiegł do domku Wilczej Straży. Spotkanie z Panterzą Strażą poszło nieźle. Tylko jeden z Kotów żyjących na obszarze Sweetwater przeszedł przez pierwszy poziom humanocentrycznej edukacji – czytał, pisał i dodawał oraz rozmawiał z ludźmi i robił zakupy w sklepie.

Został wykształcony na tyle, by widzieć różnicę między normalnymi ludzkimi działalnościami, takimi jak rolnictwo czy dogłądanie zwierząt, a aktywnościami nieprawidłowymi.

Wokół intuickiej osady w Sweetwater nie działo się nic podejrzanego. Źle było natomiast w Wiosce Wytrzymałych, najbliższej ludzkiej osadzie. Coś tam nie grało. Coś się zmieniło. Ale szukanie wskazówek było jak próba wbicia pazurów w powietrze z nadzieją, że

złapie się problem i się z nim rozprawi.

Jacksonie! Jacksonie! krzyknął jeden z Kruków. *Twój szczeniak jest chory!* Pobiegnął w stronę domu. Na widok Grace poczuł ogromną ulgę. Następnie dostrzegł Nadzieję. Była przerażona jak młody jelen napadnięty przez Niedźwiedzia.

– Musimy się ukryć! – krzyknęła. Minęła Grace i złapała w ramiona szczeniaki, które wybiegły jej na powitanie. – Musimy się ukryć!

– Nadziejo? – Białe włosy Grace połyskiwały w słońcu. Dziewczyna gwałtownie przystanęła i spojrzała na nią.

– Ogień. Śmierć. *Musimy się ukryć!*

Rzuciła się w stronę strumienia. Szczeniaki pobiegły za nią.

Idź z nią, Grace, powiedział Jackson. *Ja sprawdzę dom.*

Grace zdjęła ubrania, zmieniała się w Wilka i pobiegła za dziewczyną razem z nianią stada oraz młodymi.

Jackson wpadł do pokoju Nadziei w domu Wilczej Straży. Gdzie ona poszła? Nie wolno jej było zniknąć z zasięgu wzroku bez poinformowania o swoich zamiarach jakiegoś Wilka.

Nagle coś poczuł i zatrzymał się gwałtownie. Czy Nadzieja nie była trochę za duża, żeby sikać na podłogę?

Porozrzucane kredki i ołówki... Powoli obszedł łóżko. Nagle poczuł zapach krwi, niemal stłumiony ostrą wonią moczu.

Wszedł głębiej do pokoju. Ostrożnie stawiał stopy, by nie nadepnąć na kredki. Gdy obniżył łeb, żeby powąchać podłogę, dostrzegł rysunki pod łóżkiem. Wyciągnął jeden – nienaruszony, a następnie fragmenty innego. Warknął.

Szczenięta i młode ze Sweetwater. Wszystkie. Martwe. Okaleczone. Nic dziwnego, że Nadzieja chciała je ukryć. Potem spojrzał na cały rysunek. W jednym rogu znajdowała się twarz Meg Corbyn. Widok ze wzgórza na wioskę Intuitów w Sweetwater – budynki stojące w ogniu. A na środku kartki...

Nie do końca rozumiał, co widzi. To było coś jak stos martwych bizonów, tyle że...

Joe...

Wypadł z domu i ruszył pędem przed siebie, jakby teraz wszystko

zależało od niego. I w tej chwili tak właśnie było.

Pomocy! zaczął krzyczeć.

Wilku? Wilku?, rozległy się odpowiedzi od Kruczej, Jastrzębiej i Orlej Straży.

*Intuici zostaną zaatakowani. My zostaniemy zaatakowani!
Obserwujcie drogę. Ostrzegajcie, jeśli w naszą stronę będą zmierzać ludzie.*

Jacksonie? To była Grace.

Ukryj szczenięta! Ostrzeż Wilki. Uciekaj z osady!

Gdzie jesteś?

Muszę ostrzec...

Kogo? Ilu?

Wpadł do kabiny komunikacyjnej, zamienił się w człowieka i podbiegł do blatu, na którym stały telefon i komputer.

– Jacksonie? – odezwał się Jastrząb pilnujący budynku.

Jackson tylko na niego spojrział. Następnie podniósł słuchawkę i wybrał numer Żłotej Prerii. Rozległ się sygnał zajętej linii, rozłączył się więc i zadzwonił do Zabójczo Dobrych Lektur. Nikt nie odebrał.

Gdy tam stał, znów poczuł ten zapach – zapach Nadziei i moczu.

– Była tu młoda wieszczka?

Jastrząb pokiwał głową.

– Korzystała z telefonu. Wykrzyczała do słuchawki coś w stylu: „Meg, uciekajcie, ukryjcie się, śmierć”, a potem wybiegła.

Jackson zapisał rząd cyfr w notesie leżącym obok aparatu.

– Zadzwon pod ten numer – nakazał. – Dzwon tak długo, aż ktoś odbierze. A wtedy powiedz mu, nawet jeśli będzie to człowiek, że Wilki muszą się ukryć. Albo się ukryją, albo zginą.

– Dokąd idziesz?

– Ostrzec Intuitów. Nadzieja miała wizję, że płonie ich wioska.

Ponownie przybrał postać Wilka i pobiegł drogą. Nie tylko Intuici potrzebowali pomocy. Mieszkały tu też cztery szczeniaki wieszczek.



Piątek, 22 czerwca

Joe biegł, ile sił w łapach.

Wilki! Poczekajcie!

Zabijają nasze mięso!

Były zbyt wściekłe, nie posłuchają. Został wybrany na przywódcę osady *terra indigena* ze względu na kontakty z Simonem i Dziedzińcem w Lakeside, ponieważ potrzebowali kogoś, kto nawiąże trwałe relacje z ludźmi ze Żłotej Prerii. Ale bycie przywódcą osady nie było tym samym, co bycie dominującym Wilkiem. Stado właśnie to udowodniło, ignorując jego rozkaz.

Słodka krew mówi, że to pułapka!

To zwolniło inne Wilki, które pędziły w stronę ludzi. Ci byli tak skupieni na strzelaniu do bizonów, że zdawali się nie zauważać

gnających ku nim wściekłych zmiennokształtnych.

Słodka krew? Główny kontroler stada nagle zwolnił.

Wieszczka Simona, Meg, zadzwoniła do Jesse Walker, by ostrzec nas, że to pułapka.

Kolejne wilki zaczęły zwalniać. Myśliwi wśród nich nie chcieli pozwolić ludziom na dalsze strzelanie do mięsa, którego w przyszłości będą potrzebować Wilki, ale kontrolerzy, których zadaniem była ochrona stada, przestali biec w stronę ludzi stojących na pakach pick-upów i ruszyli w stronę Joego.

A potem się zatrzymali i zaczęli cofać. Tak jak oni, Joe poczuł coś, co mogło oznaczać tylko jedno: bizona zaczęły uciekać.

Gdzieś za nim rozległy się strzały i krzyki. Za nim i za bizonami. Ludzie pędzili bizona w stronę pick-upów, Wilki zostały złapane pomiędzy jednymi a drugimi.

Uciekajcie! wrzasnął Joe.

Wilki odwróciły się i pobięły w stronę samochodów i martwych już bizonów. Wielkie tusze. Jeśli zaczną się czołgać, być może uda im się uniknąć postrzału – i stratowania. Na otwartej przestrzeni nie miały szans.

Ruszyły pędem w stronę pojazdów i ludzi. Musiały dotrzeć do martwych bizonów, zanim...

Nagle strzały ucichły. Jeden z ludzi otworzył pakę któregoś z samochodów, drugi ściągnął plandekę z czegoś, co wyglądało jak duży karabin na trzech nogach. Co...?

Myśliwi, którzy znajdowali się z przodu stada, padli jako pierwsi. Dosięgły ich kule lecące zbyt szybko, by zdołali zmienić kierunek ucieczki. A bizona za nimi były coraz bliżej i bliżej, naganiane przez pozostałych ludzi.

Teraz część mężczyzn uniosła strzelby, celując w Kruki i Jastrzębie.

Uciekajcie!, wrzasnął do nich Joe. *Ostrzeżcie...!*

Łomot, łomot, łomot. Jego przednie łapy wpadły w poślizg i runął na ziemię. Musiał uciec przed pędzącymi bizonami. Musiał...

Próbował się odpychać tylnymi łapami, choć trochę zdystansować się od tych kopyt.

Kolejne łomoty, a potem uderzenie w tylną łapę i bok.

Ponownie się przewrócił, jedna z tylnych łap stała się bezużyteczna. Mimo wszystko próbował się poruszać, udało mu się częściowo ukryć za jednym z martwych bizonów.

Tak trudno było mu oddychać. Tak trudno...

Gdy bizon nadepnął na jego grzbiet, nawet nie poczuł kopyt. Ledwo słyszał triumfalne okrzyki ludzi i wystrzały, które odstraszały bizony od samochodów.

Nie zorientował się, że w pewnej chwili wokół zapanowała martwa cisza.

Skąd Meg wiedziała, że to pułapka? Co mogła zobaczyć, będąc tak daleko w Lakeside?

Niemal nic już nie słyszał. Ledwo oddychał.

– Ten jeszcze żyje.

– Już niedługo. Wrzućcie tę padlinę do reszty.

Ktoś zaczął ciągnąć go za przednie łapy. Potem podniósł i rzucił niedbale.

Co widziała Meg? Jak udało się jej odróżnić od siebie Wilki?

Widziała mnie w Lakeside. Zapamiętała moją twarz.

Nie mógł całkowicie zmienić się w człowieka. Nie miał na to sił. Ale jeśli jakimś cudem Simon i Jackson go zobaczą, jeśli Meg go teraz zobaczy, będą wiedzieć, zostaną ostrzeżeni, będą mogli... wymknąć się z innych pułapek.

Oddychając ciężko, wydawał z siebie dziwne dźwięki. Spróbował zamienić się w człowieka. Zobaczył swoją dłoń – ludzką dłoń na końcu owłosionej przedniej łapy. Poczuł, że zmienia mu się twarz.

I nagle coś uderzyło go w potylicę.



– Szefie, chcesz, żebyśmy zdjęli tego tutaj? – spytał mężczyzna. – Jego twarz jest w połowie ludzka.

Daniel Black spojrział na ciało ostatniego Wilka rzuconego na stos padliny.

– Zostawcie go. Jest dowodem na to, że wyeliminowaliśmy wroga, a nie jakieś bezmyślne zwierzęta. – Odszedł kilka kroków od stosu martwych Wilków. – Dajcie mi ten aparat. – Wyciągnął rękę. – Zrobię

wam kilka zdjęć, żeby było widać, że ludzie wyszli z tego zwycięsko.

Stanęli po obu stronach stosu i unieśli strzelby w triumfalnym geście, a Black uwiecznił ten moment. Nie był jedynym człowiekiem, który robił zdjęcia tego historycznego dnia. Mężczyźni z kilkunastu oddziałów LPiNW na całym Środkowym i Północnym Zachodzie wzięli udział w trzecim etapie projektu odzyskiwania ziemi.

Nie był jedynym mężczyzną, który wysłał do gazety jedno czy dwa zdjęcia. Ale, na bogów, on i jego ludzie znajdą się w gronie tych najlepiej nagrodzonych za tę akcję.

– A teraz – rzekł Black, patrząc w kierunku wzgórz i miasta zwanego Złotą Prerią. – Skończmy to i odbierzmy, co nasze.

Gdy on i jego ludzie wracali do samochodów, nikt nie zauważył, że nad nimi nie ma ptaków – nikt się nie zorientował, że wokół panuje wręcz idealna cisza.



Nie można było nic poradzić na rozpędzone bizona, pomyślał rozgoryczony Tolya, płynąc szybko ponad trawami. Mógłby powstrzymać jedno zwierzę albo złapać i zabić jednego z mężczyzn, którzy pędzili zwierzęta. Jednak nie udało mu się ocalić Wilków. Wszystko, co mógł teraz uczynić, to powrócić do Złotej Prerii i pomóc Intuitem ocalić miasto.

Wiatr targał źdźbłami traw. Tolya poczuł przed sobą falę gorąca. Zmienił się w słup dymu, a następnie stał się człowiekiem.

Dwa Żywioły, które strzegły tej części Thaisii. Powietrze i Ogień siedziały okrakiem na swoich wierzchowcach – jeden był biały, jeden brązowy.

Czy Żywioły mogły zrobić coś, by powstrzymać tę rzeź? To pytanie nie miało najmniejszego sensu. Nawet Sanguinati mógł sprowadzić na siebie zagrożenie, zadając pytanie, które mogło zabrzmieć jak oskarżenie.

A może Żywioły wcale nie chciały powstrzymać tej walki między Innymi a ludźmi, tak samo jak nie powstrzymywały żadnych drapieżników, walczących o jedno terytorium. Ale przecież Żywioły w Lakeside pomagały Simonowi. Żywioły w innej części Środkowego Zachodu brały udział w eliminacji Kontrolera i zniszczeniu tego

straszliwego miejsca, w którym trzymano w klatkach niektóre przedstawicielki słodkiej krwi. Może Żywioły tutaj mogłyby teraz nawiązać z nim współpracę. Bądź co bądź, Powietrze pomagało Joemu, gdy ten wysyłał bizonie mięso do Simona.

– Ludzie – powiedział. – Ludzie chcą spalić miasto Intuitów. Chcą zabić wszystkie młode, które Jesse Walker ukryła w górach.

– Skąd wiesz? – spytała Ogień.

– Meg Corbyn wypowiedziała przepowiednię i ostrzegła Jesse Walker.

– Dziewczyna-Kij?

A więc pieśń Charliego Wroniej Straży o Meg broniącej Wilka dotarła tak daleko na zachód.

– Tak. Meg Pionierka. Przyjaciółka *terra indigena* w Lakeside.

– Nasi wschodni krewniacy ją znają – zauważyła Powietrze. – Ocaliła kucyki z Dziedzińca w Lakeside.

Tolya pokiwał głową i czekał na odpowiedź.

Powietrze spojrzała w górę na przelatującą Kruczą Straż.

– Ludzie, którzy zabili Wilki. Kruki mówią, że niektórzy są z miasta, a niektórzy... – Popatrzyła na Ogień i uśmiechnęła się. – Ile bizonów zabito?

Ogień odwzajemniła uśmiech.

Coś w tych uśmiechach sprawiło, że Tolya nagle zrozumiał, dlaczego Żywioły nie powinny za bardzo angażować się w życie istot bardziej złączonych ze swymi ciałami niż postacie *terra indigena*.

Nie odezwały się więcej. Po prostu zawróciły w stronę rancz między intuicką Złotą Prerią i ludzkim Bennett.

Znów pod postacią dymu, Tolya ruszył w dalszą drogę do Złotej Prerii.

Gdy dotarł do parkingu dla ciężarówek na skraju miasta, zobaczył, jak błyskawica uderza w ziemię na północy, i szybko ocenił, że trafiła w coś przy rozstaju dróg.

Wreszcie dotarł do sklepu Jesse Walker. Gdy tylko zmienił się w ludzką postać, pośpieszyli mu naprzeciw inni ludzie.

– Nie żyją – powiedział. – Wilki nie żyją.

– Cholera – szepnął smutno Floyd Tanner. – Joe też?

Tolya pokiwał głową. Nie powie im, w jaki sposób zginęły. Jeszcze nie teraz.

– Bardzo nam przykro – Kelley Burch odezwała się po dłuższej chwili ciszy. – Wszyscy lubiliśmy Joego.

– Był dobrym przywódcą – przyznał Tolya. *I być może, tak jak Simon Wilcza Straż i Vlad, w przyszłości mogliby się ze sobą zaprzyjaźnić.*

Nie zastanawiał się nad tym, jak bardzo ta strata zasmuciła owych ludzi, dopóki nie zobaczył zmiany w ich twarzach i postawach i nie uświadomił sobie, że na razie odsunęli żałobę na bok.

Phil Mailer odchrząknął.

– Chyba powinniśmy przygotować się na resztę proroctwa. Ostrzegłem wszystkie możliwe wioski i miasta Intuitów. Otrzymałem odpowiedź od Steve’a Przewoźnika z Przystani Przewoźników. On również wszystkich zaalarmował. Uważa, że nie wszystkie miejsca należące do Intuitów znajdują się w niebezpieczeństwie. Wiele z naszych osad jest położonych zbyt głęboko na dzikich terenach, by znaleźli je inni ludzie. Czuje również, że im więcej wiosek się o tym dowie, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że któreś dadzą się zaskoczyć.

Tolya pokiwał głową. Potem spojrział na północ i wskazał coś.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy to my musieli przejmować się ogniem.



Ogień szalał po ziemi, trawiąc wszystko, co stanęło mu na drodze. Wiatr roznosił płomienie, które pochłaniały ogrodzenia i trawę – i bydło – a pożar kierował się prosto na znajdujące się w oddali budynki rancza.



Gdy dotarli do rozdroża, Daniel Black zobaczył, jak w pakę pick-upa trafia błyskawica. Następnie zerwał się taki wiatr, że pojazd wypadł z drogi.

Pozostałe samochody zjechały na bok; mężczyźni wyskoczyli, żeby pomóc swoim kolegom.

Black również wysiadł ze swojego wozu.

– Są ranni? – zawołał do swoich ludzi.

Odeszli od pierwszego pojazdu.

– Są martwi. – Jeden z mężczyzn, który jeszcze kilkanaście minut temu strzelał z taką satysfakcją, teraz wyglądał na przerażonego.

Nie powinni zginąć. Gumowe opony. Uziemienie. Przecież te środki bezpieczeństwa mają chronić ludzi podczas burzy, prawda? Jakim cudem zginęli?

A potem zobaczył szalejący ogień, który pojawił się znikąd, i poczuł pierwszy dreszcz przerażenia.

– Na wszystkich mrocznych bogów... – szepnął.

– Szefie?

Spojrzał na brygadzystę. Następnie poszedł do pick-upa, wyjął aparat i wręczył go swojemu człowiekowi.

– Powiedz o tym szeryfowi. Weź ze sobą kogoś stąd, żeby zawarł umowę z... ludźmi. A potem zanieś te zdjęcia do gazety. Rozumiesz? – Począł, aż brygadzysta odjedzie, a następnie zwrócił się do reszty: – Chodźcie ze mną. Musimy dotrzeć do rancza przed tym czymś i ocalić, co się da.

Mężczyźni popatrzyli najpierw na ogień, a potem na niego.

– Szybko! – Dopiero gdy wskoczył do pick-upa, mężczyźni weszli do kabiny i na pakę. Tylko w ten sposób mogli stąd odjechać.

Włączył silnik. Ale nagle się zawahał. Z pewnością nie wyprzedzą tego pożaru. Nie dotrze do rancza na czas. Powinien pojechać inną trasą i dokończyć zadanie, wypalić do cna to miasto wariatów.

– Co jest, kurwa?! – krzyknął jeden z jego ludzi, a po chwili na wszystkich spadł grad wielkości pięści, rozwalający metal i szkło. Przednia szyba rozpadła się w drobny mak. Mężczyźni na pace zaczęli krzyczeć z bólu. Bezskutecznie próbowali się chronić.

A przecież to był ciepły letni dzień. Żadnych burzowych chmur. W ogóle żadnych chmur. A teraz ten przeklęty pożar pędził w stronę wszystkiego, co Black zbudował. I do tego ta burza.

Spojrzał w boczne lusterko. Przez chwilę wydawało mu się, że widzi konia i jeźdźca, niezwracających uwagi na żywioły, które rozwalają wszystko na swej drodze. Gdy jeździec minął pojazd, Black dostrzegł wśród błyskawic jakiś kształt. Nie był pewny, czy po prostu sobie czegoś nie wyobraził. Teraz – nie wiedzieć, czemu – burza skręciła w stronę miasta wariatów, zasypując drogę gradem.

A potem zwolniła.

Zatrzymała się.

Czekała.

Gdyby ruszył w stronę Żółtej Prerii, jego ludzie musieliby walczyć z tą burzą przez całą drogę, a po dotarciu do miasta byłiby ranni i zupełnie bezużyteczni. Oczywiście nie mogli też wpaść w tornado i pożar. Przynajmniej jednak spróbują coś ocalić.

Ruszył w stronę rancza.



Jesse szła szeroką ścieżką. Gdy jej ludzie dotarli do osady *terra indigena*, Kruki i Jastrzębie przyniosły już wieści o śmierci Wilków. Co dziwne, dorośli w osadzie nie mieli nic przeciwko temu, żeby zabrała młode Wilczej Straży do kryjówki przygotowanej przez Joego. Były z nią wszystkie młode z tej osady. Podlotki Sów, Kruków, Jastrzębi i Orłów jechały na ludzkich ramionach i na grzbietach młodych Wilków – albo na paczkach załadowanych na dwa osły.

Jeśli będzie mieć czas – jeśli przeżyje – zastanowi się, po co Wilkom osły, wykorzystywane jako zwierzęta juczne, i co mówił o Innych fakt, że osły nie bały się tych drapieżników.

– Jesse? – szepnęła idąca za nią Shelley. – Jesse? Musimy się zatrzymać. Musimy odpocząć.

– Odpoczniemy na miejscu. – To nie mogło być dużo dalej. Joe powiedział, że to zaledwie kilka kilometrów za osadą *terra indigena*. Woda. Schronienie. Miejsce, które da się obronić.

To oznaczało również, że jeśli kryjówka zostanie otoczona przez wroga, nie będą mieć możliwości ucieczki. Przynajmniej ludzie.

– *Arroo* – powiedziała łagodnie Rachel, występując przed Jesse.

Młoda trzymała się blisko przez całą podróż. Jesse nie wiedziała, czy Rachel próbuje zachowywać się jak skautka, czy po prostu chce przebywać obok dorosłego, którego rozpoznawała.

Jedynym dorosłym Wilkiem, który został w osadzie, była niania stada. Reszta wyruszyła na walkę z ludźmi. I zginęła.

Wszystkie szczeniaki są teraz sierotami, pomyślała Jesse.

– Jesse? – Tym razem zaczęła ją Abigail Burch. – Czy możemy się zatrzymać? Dzieci są zmęczone.

Lepsze zmęczone dzieci niż martwe.

Jesse zawahała się, gdy Rachel ruszyła z powrotem do niej. Wyglądała na podekscytowaną i zadowoloną. Kilka minut później Jesse również odczuła ulgę. Woda wpływała do basenu przed strumieniem i spływała po wzgórzach do osady. Skały zapewniały schronienie, a drzewa rzucały dość dużo cienia. Nie mogli rozpalić ognia, bo znajdowali się na dzikich terenach – Joe ostrzegł, by tego nie robili – mogli jednak otulić się kocami, jeśli będą musieli tu przenocować.

Gdy już rozbiją obóz, postanowi, gdzie postawić latrynę – i gdzie trzymać osiołki.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała i ustąpiła na bok. – A teraz szybko, wchodźcie do środka.

Nie wszystkie kobiety w Złotej Prerii wyruszyły razem z nimi. Kilka wysłało wiadomości, że przeczuwają, iż muszą zostać na farmach i doglądać zwierząt. Przysłały jednak swoje dzieci. Tak naprawdę miały rację. Przecież Meg Corbyn nie kazała ukryć kobiet, tylko same dzieci. Same Wilki.

Rachel przycisnęła się do jej nóg i zadrżała. Jesse poczuła ogromny żal. Przypomniała sobie, jak Joe stał przed jej sklepem, gotowy wkroczyć do akcji i pomóc Rachel, która po raz pierwszy sama udała się na zakupy do ludzi. Jesse nie miała czasu, by lepiej go poznać, i bardzo tego żałowała. Współpracując, mogliby zbudować więź między *terra indigena* a Intuitami, mogliby stworzyć partnerskie relacje, tak jak robiono to w innych miejscach.

Rachel zaskamlała.

– Szybko – Jesse ponagliła kobiety i dzieci, których głosy nieustannie narastały. Weszła w szczelinę w skale, odwróciła się i uniosła strzelbę, gotowa do oddania strzału.

Jedne kobiety zamarły z przerażenia, inne zaczęły gorączkowo poganiać dzieci.

Nic. Nic. Nic poza tym, że niania stada zaprowadziła szczenięta do kryjóWKI za przewróconym drzewem. Nic poza tym, że Rachel stała u jej boku, dyszała i trzęsła się ze strachu.

Nic poza dziwną ciszą.

Nagle na ścieżce coś załśniło. Coś, czego tak naprawdę nie mogły

dostrzec oczy.

Coś wielkiego.

– Jest dostatecznie daleko – ostrzegła.

Warknięcie – bardziej ruch powietrza niż prawdziwy dźwięk.

– Mamy pozwolenie na ukrycie się tutaj. Zostaniemy do czasu, aż dostanę informację, że w domach tych młodych jest już bezpiecznie.

Nagle Rachel się przemieniła. Przybrała postać ludzkiej nastolatki, kucającej obok Jesse.

– Jesse Walker to nasza przyjaciółka. Ona... była przyjaciółką Joego Wilczej Straży.

Gdzie celować, skoro nic nie widać? Ciemny błysk. Czy to było oko? Bogowie, jak wielkie było to coś?

Zrobiło krok naprzód. Nie widziała tego, ale wiedziała, że podeszło bliżej.

– Jeśli jesteś jednym z *terra indigena*, którzy mieszkają wśród tych wzgórz, to powinieneś wiedzieć, dlaczego tu przyszliśmy i co się stało z Wilkami. – Powoli nabrała powietrza. – Straciliśmy dziś już dość przyjaciół. Myślę, że i ty, i ja zgadzamy się co do tego. Dlatego powiem ci, że jedyny sposób, by ktokolwiek zabrał stąd którekolwiek z młodych, to zabicie mnie.

Chwila wahania.

Znikło.

Jesse nie miała pojęcia, jak coś tak wielkiego mogło poruszać się tak szybko i cicho, ale czuła, że już tego nie ma.

– Starsi będą strzec ścieżki – szepnęła Rachel. – Dzisiaj będziemy tu bezpieczni, a rano... możemy pójść... do domu.

Jesse opuściła strzelbę.

– To był Starszy?

– Tak. To stare formy *terra indigena*. Pazury i kły Namid.

Pazury i kły Namid. Wierzę w to. Oczywiście. Na bogów na górze i na dole... – Mieszkają wśród tych wzgórz?

– Tak. Pozwalają nam zabierać trochę drewna i żółtych kamieni, żebyśmy mogli handlować z ludźmi. No i nasze... – Rachel zaczęła szlochać. – ...nasze stado mogło tu polować. – Spojrzała na pozostałe młode Wilki, które przyszły razem z nimi. – Uczyliśmy się, jak polować,

ale jeszcze jesteśmy zbyt słabi... Nie możemy... W jaki sposób nakarmimy te szczenięta?

– Coś wymyślimy – obiecała cicho Jesse. – A teraz powinnaś wrócić do wilczej formy. W futrze będzie ci cieplej.

Dziewczyna pokiwała głową. Zmieniła się i dołączyła do innych Wilków, które leżały w jednym miejscu, ciasno wtulone w siebie. Każdy rodzaj młodych *terra indigena* wybrał osobne miejsce, wszystkie straże trzymały się razem. Na środku znajdowali się Intuicy, którzy rozłożyli koce, wyjęli kubki i jedzenie.

Ellen Garcia podeszła do Jesse, która patrzyła to na ścieżkę, to na obóz, oparta o skałę.

– Na jednym z osiołków mam około czternastu kilogramów surowego mięsa – powiedziała Ellen.

– Przecież mówiłam, żebyście nie zabierały nic, czego nie da się ugotować. Czternaście kilogramów? Nie dziwię się, że musieli zostawić kilka rzeczy, nawet takich, które będą potrzebne niemowlętom i małym dzieciom.

– Nie wzięłam tego dla siebie.

Jesse popatrzyła po innych kobietach. Tobias był kierownikiem rancza w Złotej Prerii, ale to Ellen i Tom dbali o budynki i pojazdy, Ellen gotowała dla ludzi. Przeszła również kurs księgowy, prowadziła więc wszystkie księgi na ranczu, w mleczarni i na farmach. Shelley Uczoną Jesse lubiła, traktowała ją jak przyjaciółkę, Ellen natomiast uważała za pokrewną duszę – kobietę, która robiła to, co należało zrobić.

Wypuściła powietrze i spojrzała na młode *terra indigena*. Każde z nich było mięsożerne.

– Nie pomyślałam o tym – przyznała.

– Trudno, żebyś pomyślała o wszystkim. Mamy kilka psów pasterskich, więc to naturalne, że spakowałam surowe mięso. Zajmę się tą częścią obozu.

– Dzięki.

Cieszyły się chwilą spokoju, słuchając, jak inne kobiety zajmują się dziećmi. Potem Ellen rzekła:

– Ty też tak bardzo się starasz nie myśleć o tym, co dzieje się na ranczu i w mieście?

Jesse pokiwała głową.

– Cały czas myślę, że gdyby stało się najgorsze, widziałybyśmy dym, jednak nie jestem pewna, czy to prawda.

– Rano pewnie wszystkiego się dowiemy.

– Pewnie tak.

– No cóż. Najlepiej będzie, jak pójde posiekać mięso, zanim młode uświadomią sobie, że są głodne.

Jesse zmusiła się do uśmiechu.

– Karmienie takiej ekipy będzie pewnie interesującym doświadczeniem.

Gdy Ellen zabrała się do pracy, by przygotować mięso dla opierzonych i futrzastych stworzeń, Jesse nadal stała na straży. Czy Rachel widziała coś, czego nie chciały zrozumieć ludzkie oczy i uszy? Co by się zdarzyło, gdyby Wilk nie stanął po ich stronie?

Co by się zdarzyło, gdyby nie było nikogo, kto rozmawiał ze Starszymi tak jak Joe Wilcza Straż?

Potała obolały lewy nadgarstek. Nadchodzili. Była tego tak pewna, jak tego, jak się nazywa.



Ignorując martwe bizony, zebrali się wokół Wilków, których ciała rzucono na kupę. Wąchali, oglądali, rozważali.

To zabójstwo, powiedział w końcu jeden z nich. To właśnie bycie człowiekiem. To właśnie robią ludzie.

Złość narastała powoli, wypełniała mięśnie, kości i krew. A w kilku z nich... dokonała zmian. Stanęli na przednich łapach i zmienili je na nogi i biodra, żeby móc się wyprostować. Przednie łapy przybrały formę dłoni, ale palce nadal kończyły się pazurami drapieżników. Korpusy zmieniły się w potężne klatki piersiowe i ramiona, silne szyje i głowy, ale w szczękach nadal tkwiły kły, zdolne do zmiżdżenia kości.

Będą przewyższać swoje ofiary, ale dzięki tej postaci będą mogli wchodzić do mieszkań i wyciągać z nich to, co próbowało się przed nimi ukryć.

Jeden z nich odwrócił się i zrobił kilka chwiejnych kroków na swoich nowych nogach. Nowymi dłońmi złapał rogi bizona, z całej siły

skręcił i urwał zwierzęciu łeb. Rzucił na ziemię, po czym wbił szpony w brzuch ofiary i patrzył, jak wypełzają zeń wnętrzności.

To właśnie oznacza bycie człowiekiem, powiedziała postać. To właśnie robią ludzie.

To właśnie robią ludzie, zgodziła się reszta.

Ci, którzy przyjęli konieczne, acz niepożądane ludzkie postaci, zmienili się z powrotem.

A potem wszyscy ruszyli w stronę ludzkiego miasta o nazwie Bennett. Ich kroki wypełniły ziemię straszliwą ciszą.



Piątek, 22 czerwca

Jackson w wilczej postaci oraz pięciu Intuitów na koniach patrzyli na płonące samochody. Zatrzymały się – albo wybuchły – kilka metrów od prostej barykady, którą wznieśli *terra indigena* i Intuici na drodze prowadzącej do osady i wioski Sweetwater.

Pożar zaczął się od dwóch pick-upów, w których musiało być dużo kanistrów z benzyną – jadący samochodami mężczyźni planowali spalić wioskę Intuitów. Teraz ogień pędził w stronę Wioski Wytrzymałych, odległego, kontrolowanego przez ludzi miasteczka.

– Na bogów na górze i na dole – powiedział cicho jeden z mężczyzn. – Jeśli wiatr po raz kolejny zmieni kierunek...

To ogień ruszy w stronę Sweetwater. Na razie jednak pożar – który zachowywał się tak, jakby sam wybierał sobie kierunek – zmierzał ku

paru ludzkim ranczom, zbudowanym wokół Wioski Wytrzymałych. Palił pastwiska, kierując się w stronę domów i sklepów.

– Dostawy będą kosztować o wiele więcej, jeśli ciężarówki będą musiały przyjeżdżać tylko do Sweetwater – zauważył drugi mężczyzna.

– Przy założeniu, że nadal będzie jakaś droga i ciężarówki w ogóle będą mogły do nas dotrzeć – dorzucił trzeci.

Jackson widział, że starali się nie patrzeć w jego stronę.

Mieli rację. Ciężarówki z zaopatrzeniem nie będą chciały marnować paliwa na drogę do Sweetwater, skoro mogły zostawić większość towarów w wynajmowanym magazynie w ludzkim mieście. Mieli również rację co do tego, że droga przez dzikie tereny przestanie istnieć i nie było pewności, że cokolwiek będzie mogło do nich dotrzeć, niezależnie od tego, czy miasto zostanie spalone czy nie.

Miejsce sprzedaży, pomyślał, patrząc na piaszczystą drogę, wijącą się przez płonące tereny. Moglibyśmy zbudować takie miejsce tam, gdzie nasza droga łączy się z drogą utwardzoną prowadzącą do ludzkiego miasta. Są tam już stacja benzynowa i niewielki sklep. Wystarczyłby nawet magazyn, w którym można by zostawiać towary dla Intuitów i Innych. Ciężarówki tubylców ziemi nadal mogłyby korzystać z dróg, nawet gdyby Starsi całkowicie zwrócili się przeciwko ludziom. Wciąż moglibyśmy sprowadzać potrzebne towary – jeśli w ogóle coś jeszcze zostanie.

– Nie damy rady ugasić tego pożaru. Musimy pozwolić, by się dopalił – powiedział pierwszy mężczyzna.

Na nos Jacksona spadło coś mokrego. Polizał to i spojrzał w górę, zaskoczony nagłym chłodem.

Śnieg. Śnieg? Teraz?

Przecież zrzucił już zimowe futro. Dlaczego *teraz* padał śnieg?

– Cholera – mruknął ktoś z ekipy. – Nie byłem na to przygotowany.

Jackson zlizął z nosa kolejny płatek śniegu.

Jeden płatek. Drugi. Dziesiąty. Tysięczny.

– Musimy wrócić do domu, dopóki widzimy drogę. – Usłyszał. – Jacksonie?

Jeszcze przez moment patrzył, jak śnieg pada na wypaloną przez

ogień drogę, okrywając ziemię kocem. W następnej chwili z trudem widział konia i ludzi, z którymi tu przyjechał.

Nadzieja miała na sobie letnie ubranie. Pobiegnęła nad strumień. Gdy Wilki zmokną, to nic się nie stanie. Ich futro – nawet to letnie – będzie je chronić przed zimnem. Ale ona...

Wrócił do Sweetwater, cały czas przypominając sobie, że musi zostać na drodze, by Intuici szli za nim. Mogą się zgubić i zachorować, jeśli spróbują przeczekać gdzieś burzę.

Następnie wjechał w teren oświetlony promieniami słońca. Zatrzymał się tak gwałtownie, że jeden z koni niemal na niego wpadł.

– Na bogów... – sapnął ktoś z drużyny.

Promienie słońca. Ciepło.

Jackson zszedł im z drogi i wytrzepał swoje futro, a następnie odwrócił się i popatrzył na ścianę śniegu, który zaczął szybko rzednąć, aż wreszcie na ziemię spadły ostatnie leniwe płatki.

– Może powinniśmy...

Zobaczył, że mężczyźni oglądają się do tyłu, zmienił się więc w człowieka. Natychmiast pożałował, że nie ma żadnych ubrań – bynajmniej nie ze względu na wstyd, po prostu było mu zimno.

– Macie jakieś powody, by uważać, że ludzie w tych ciężarówkach nadal żyją? – Zawahali się i odwrócili od niego wzrok. Potem powoli pokręcili głowami. – W takim razie zostańcie po tej stronie barykady. Zostańcie na ziemi, po której wolno chodzić Intuicom. Przynajmniej na razie.

Kiedyś będziemy musieli się zająć tymi ciężarówkami. Trzeba będzie zwrócić zwłoki rodzinom.

Nagle Jackson wyczuł pewien zapach. Zaczął się trząść. Spojrzał na mężczyzn, ale oni dalej na niego nie patrzyli. Jak miał im powiedzieć, co mówiły mu jego instynkty?

– Dzikie tereny zaczynają się tutaj, przy barykadzie. Otaczają... nas. Otaczają tamto ludzkie miasto.

– Zawsze tak było.

– Nie w ten sposób.

Jego towarzysze pobledli.

Zapadła cisza. A potem:

– To znaczy, że nie wydostaniemy się stąd?

– Przez kilka dni nie.

Nie chciał być tak nagi, nie chciał wyglądać jak człowiek.

Szybko wrócił do wilczej postaci. I tak nie mógł powiedzieć

Intuitem nic więcej. Jeszcze nie teraz.

Pobiegł w stronę domu. Obok strumienia znalazł Grace i Nadzieję. Były razem z resztą stada. Słodka krew wyglądała na oszołomioną. Dopiero gdy polizał ją po policzku, zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła płakać.

Już dobrze, szczeniaku. Już dobrze. Nie słyszała go, ale i tak do niej mówił. A potem popatrzył na Grace. *Wszystko w porządku?*

Orły i Kruki powiedziały, że wybuchł pożar, ale nie dotarł tutaj, odparła. *A co z wioską Intuitów?*

Bezpieczna. Polizał Nadzieję po uchu – tylko tam mógł dosięgnąć. *Bez jej ostrzeżenia wszystko by się spaliło.*

Wreszcie dziewczyna przestała płakać. Obmyła opuchniętą twarz w strumieniu, podczas gdy Jackson tarzał się w trawie, by wyczyścić futro. Następnie razem z Grace zaprowadzili swojego szczeniaka z powrotem do domu Wilczej Straży. Wszedł do środka pierwszy, zabrał te straszliwe rysunki i schował je w kuchni. Poczekają tam, aż zdecyduje, co z nimi zrobić.

Grace weszła druga. Razem otworzyli okna w sypialni i łazience i zmyli z podłogi mocz. Zrobili, co mogli, by pozbyć się nieprzyjemnego zapachu.

Zostawili Nadzieję drzemiącą na ganku w towarzystwie strzegącej jej reszty stada i pobiegli do kabiny komunikacyjnej na skraju osady. Jastrząb, który odbierał telefon, popatrzył na nich smutno i wręczył Jacksonowi wiadomość po tym, jak oba Wilki przybrały ludzką postać.

– Od kogo to? – spytała Grace.

– Od Vlada Sanguinatiego – odparł Jackson. – Simon i stado z Lakeside przeżyli.

– Vlad o was pytał – wtrącił Jastrząb. – Powiedziałem mu, że stado ze Sweetwater też przetrwało. Dzwoniłem na numer, który mi podałeś, ale nie usłyszałem żadnej odpowiedzi.

– Po części już znam odpowiedź. Nasza wieszczka narysowała

wizję. – Wciąż żywił nadzieję, że Joe otrzymał ostrzeżenie na czas.

Grace łąpczywie nabrała powietrza.

– Telefon raz działa, a raz nie – rzekł Jastrząb.

– Może tak być jeszcze przez jakiś czas. – Nie mógł nic na to poradzić. Jedyne, co wszyscy mogli zrobić, to czekać. – Jeśli przyjdą jeszcze jakieś wiadomości, będziemy w domu Wilczej Straży.

Grace odezwała się dopiero, gdy wyszli z kabiny:

Spodziewałeś się jeszcze jakichś wieści?

Nie. Ile stąd otrzymało ostrzeżenie, żeby uciekać i ukryć się przed złymi ludźmi? Ilu członków Wilczej Straży znajdowało się gdzieś tam w kryjówkach?

Byli bezpieczni. Tej nocy wszyscy *terra indigena* w osadzie byli bezpieczni.



Piątek, 22 czerwca

Simon wyczuł, że Meg się zrelaksowała.

Już po wszystkim, pomyślał. Przynajmniej dla nas.

Stracił poczucie czasu. Nie wiedział, jak długo się ukrywali.

Ponieważ nie musiał się już martwić o Meg, zaczął rozważać inny problem.

Jak wydostać stąd PNK?, spytał Blaira.

Przywiążemy do niego linę. Następnie kilkoro z nas będzie pchać, a reszta ciągnąć. Damy radę.

Natychmiast zaczął się zastanawiać nad kolejnym, bardziej palącym problemem.

Jak wykąpiemy Meg? Naprawdę porządnie cuchnie.

Ja zajmę się PNK. Ty zajmij się Meg.

Westchnął, a potem poruszył łbem i położył go na plecach Meg. Tylko na plecach pachniała bardziej jak Meg, a mniej jak wymiociny Meg.



Monty wprawdzie udowodnił Kowalskiemu, że potrafi kierować, ale ten nadal żałował, że po stronie pasażera nie ma hamulca. Tuż obok minął ich radiowóz, wyznaczony do zablokowania skrzyżowania Alei Parkowej i Wroniej Alei.

Wyjechaliby na Dziedziniec wcześniej, gdyby kapitan Burke nie wezwał wszystkich do wykonania zadań awaryjnych. Nikt, łącznie z samym Burke'em, nie wiedział, co się dzieje. Jednak po tym, jak kapitan otrzymał telefon od Pete'a Denby'ego, wykonał awaryjny telefon do agenta Grega O'Sullivan, który z kolei musiał zadzwonić do gubernatora Hannigana. Mimo niewielu dostępnych informacji gubernator wydał rozkazy awaryjne, które oznaczały ultimatum dla całego Rejonu Północno-Wschodniego: blokować dostęp do każdego Dziedzińca; blokować każdą ulicę prowadzącą do osady kontrolowanej przez *terra indigena*; aresztować każdego, kto będzie próbował sforsować bariery. Wstrzymano ruch pociągów. Między miastami nie wolno było podróżować. Przeciwno każdemu, kto zaatakuje lub spróbuje zaatakować któregokolwiek z *terra indigena* albo któregokolwiek człowieka współpracującego z *terra indigena*, podjęte zostaną najbardziej ekstremalne kroki prawne.

Rozkazy Hannigana były deklaracją wojny z ruchem Ludzie Przede i Nade Wszystko. Oczekiwał, że wypełni je każdy komisariat w każdym mieście. A każdy policjant, który nie mógł – bądź nie chciał – ich słuchać, miał natychmiast odejść ze służby.

Było mnóstwo spekulacji i żadnych wyjaśnień. Żaden członek zespołu Monty'ego nie powiedział nikomu spoza „policyjnego stada” o tym, że na policję dzwoniły przerażone Merri Lee i Ruth. Doszło do sprzeczki między Robertem Denbym a Nathanem – mniej więcej w tym samym czasie, gdy coś się stało z Meg. A teraz jeszcze zniknęły Wilki. Wszystkie. Nie zamknęły sklepów, nie zamknęły nawet drzwi swoich domów. Po prostu uciekły.

Dziewczyny nie mogły znaleźć Tess, Vlada ani Henry'ego. Nie

znalazły ani jednej Wrony, która mogłaby powiedzieć im, co się dzieje, były jednak przekonane, że stało się coś bardzo poważnego.

Pete Denby powiedział to samo Burke'owi. Działo się coś bardzo złego, i to nie tylko wokół Lakeside. Dzieci znajdowały się w gabinecie lekarskim na targu. *A terra indigena...* zniknęli.

Uzbrojony w takie informacje, Burke poinformował o wszystkim O'Sullivan, a następnie obszedł hierarchię służbową z Lakeside i zadzwonił po pomoc do kapitanów patroli Zajaca i Wheatleya. Zanim komisarz policji, Kurt Wallace, członek LPiNW, w ogóle dowiedział się o istnieniu potencjalnie niszczycielskiego problemu, policja już zamykała miasto – i szykowała się na to, co nadchodziło.

– Boże, dziwnie się czuję... – mruknął Kowalski, jadąc powoli uliczkami Dziedzińca.

– Jak w wymarłym mieście, o którym czyta się w książkach.

Gdy zaparkowali na parkingu dla ciężarówek tubylców ziemi, Monty pośpieszył w stronę gabinetu lekarskiego.

– Czy Ruth i Merri Lee powiedziały, gdzie będą?

– Z dziećmi, Theral i Petem Denbym. Choć trochę bezpiecznie.

Przynajmniej taką miał nadzieję.



Vlad z przesadną delikatnością odłożył słuchawkę na widelki, akurat gdy Eve Denby wpadła do Zabójczo Dobrych Lektur. Odkąd Wilki się ukryły, udawało mu się unikać kontaktów ze stadem samic. Teraz jednak...

– Czy mój syn miał z tym wszystkim coś wspólnego? – spytała, doskakując do lady. Pokręcił głową. – W takim razie daruję mu karę.

Nie odezwał się ani słowem. Głos Tolyi w słuchawce. Taki płaski, taki... pusty.

– Posprzątam w biurze Meg. Jestem matką, nie raz miałam do czynienia z rzygami.

Nadal milczał.

– Hej... – Wyciągnęła rękę. Niemal go dotknęła. – Czy Meg naprawdę jest ranna?

Spojrzał na nią. Zobaczył na jej twarzy szczere zmartwienie. Czy to będzie mieć teraz jakieś znaczenie?

– Joe Wilcza Straż nie żyje – powiedział.

– Och... – W głosie kobiety natychmiast pojawiło się współczucie.

– Miał jakiś wypadek?

– Nie. Zadzwoniliśmy, żeby go ostrzec. Próbowaliśmy powstrzymać stado przed wpadnięciem w pułapkę, ale... – westchnął. – Pomijając nianię, która uciekła ze szczeniakami, wszystkie dorosłe Wilki w Złotej Prerii zginęły. Wyrżnięte. Przez ludzi.

Rzuciła okiem za sklepową witrynę. Pracowała po drugiej stronie ulicy. Usłyszała syreny, widziała radiowozy. Prawdopodobnie zadzwonił do niej Pete, ponieważ wiedziała, że Nathan pokłócił się z Robertem.

Przeczesała palcami krótkie włosy.

– Czy Simon... Czy wie o tym ktoś stąd?

– Jeszcze nie. – Bardzo dziwnie się czuł. Wilcza Straż i Sanguinati byli różnymi formami *terra indigena*, ale i tak bardzo dziwnie się czuł. Jedna śmierć wywoływała w nim smutek, ale całe stado... Może to właśnie dlatego głos Tolyi był taki pusty.

A może czuł się tak, ponieważ był pewien, że brzmiałby tak samo, gdyby chodziło o Simona.

– Czy mogę coś dla pana zrobić?

Skupił się na niej.

– Nie, dziękuję.

Pokiwała głową.

– Pójdę po Ruth i Merri Lee. Wysprzątamy i przewietrzymy biuro Meg. Wywiesimy w drzwiach tabliczkę „Zamknięte”.

– Tak. W porządku. – Musiał powiedzieć Dziadkowi Erebusowi.

Zawahala się.

– Słyszałam w radiu... Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale wygląda na to, że gubernator Hannigan robi, co może, żeby pomóc *terra indigena*.

Po tych słowach po prostu wyszła ze sklepu.

Ja też nie wiem, czy to ma teraz jakieś znaczenie, pomyślał.

Sprawdził drzwi wejściowe, by upewnić się, że są zamknięte, a potem przeszedł pod łukiem do Czegoś na Ząb i przekręcił zamek w drzwiach. Możliwe, że kawiarnia powinna pozostać otwarta, żeby

policja miała gdzie jeść i pić, ale nigdzie nie widział Tess – ani Nadine Fallacaro. No cóż, jeśli Nadine nagle się zjawi i będzie chciała podawać jedzenie, to nie ma sprawy.

Wróciwszy do ZDL, Vlad wszedł na górę, by sprawdzić maile. Przeczytał kilka i wyłączył komputer.

Nie tylko Wilcza Straż ze Żłotej Prerii została tego dnia stracona. Należało się zastanowić, co wydarzy się jutro.



Korzystając z kompetencji porucznika na komisariacie w Lakeside, Monty wsadził Roberta, Sarah, Lizzy i Grr do aresztu domowego. Dziewczynki upierały się, że Grr jest niewinny i że próbował powiedzieć im, że bawili się w miejscu, w którym nie powinni, ale Robert nie chciał słuchać.

Ze względu na różnicę wieku nigdy nie miał takich sprzeczek z siostrą Sierrą, ale gdyby byli w podobnym wieku, z pewnością byłyby chwile, w których próbowałyby wepchnąć go pod autobus – albo rzucić na pożarcie Wilkom.

Gdy do środka wpadła Eve Denby, czyli mama sędziego, i zażądała, żeby aresztował dzieci i zabrał je do więzienia za nieostrożne zachowanie i to, że sprawiają same problemy, pomyślał, że kobieta po prostu gra. Zgodził się, zwłaszcza że Pete, będący adwokatem dzieci, oddał się w łaskę i niełaskę wymiaru sprawiedliwości i próbował błagać o wybaczenie, jednocześnie pertraktując.

Dopiero gdy Eve zgodziła się na tygodniowy areszt domowy – bez telewizora, filmów i słodczy, Monty zorientował się, że jej nastrój nie był wywołany złym zachowaniem dzieci. Dopiero gdy wzięła go na bok i powiedziała mu o Żłotej Prerii, zrozumiał przyczyny, dla których Hannigan zablokował Rejon Północno-Wschodni. Ruch LPiNW przestał dawać o sobie znać i powstrzymał organizowanie drobnych ataków.

Kiedy Eve, Ruth i Merri Lee wyszły, Monty zadzwonił do Burke'a. Musiał go poinformować, że LPiNW wypowiedzieli oficjalną wojnę Wilkom – jeśli nie wszystkim *terra indigena*.



Gdy nadjechał PNK, Jester wybiegł na zewnątrz. Czy ludzkie szczeniaki spowodowały mało kłopotów? Dlaczego dorośli też musieli

być głupi?

– Nie powinno was tu być – warknął.

Eve Denby wyciągnęła rękę nad ramieniem Merri Lee, która prowadziła.

– Proszę dać to Simonowi albo chodzącemu ciału Wilczej Straży – powiedziała.

Jester wziął od niej złożoną kartkę papieru.

– Co to jest?

– Słyszałam...

– *Kra!*

Jester spojrział na Jenni Wronią Straż i znów warknął.

– ...że Simon ma dziewczynę i szczeniaka, oboje obrzyganych.

Spisałam instrukcje – co bym zrobiła, gdybym to ja musiała poradzić sobie z takim problemem. Możesz mu to dać albo i nie, ale gdybym była tobą, nie chciałabym z nimi uciekać, gdy są w takim stanie.

– Och... – Spojrział na kartkę. – Słuszna uwaga.

– Powiedziałam też Vladowi, że posprzątam i wywietrzymy biuro Meg. Właśnie tam jedziemy.

Merri Lee zawróciła PNK na pięć, zamiast na trzy razy, i ruszyła z powrotem do biura łącznika.

Jester włożył instrukcje do niewielkiego woreczka z drewnianymi uchwyty, które można było trzymać w zębach, po czym rozebrał się i przemienił. Następnie pobiegł do miejsca, w którym Wilki nadal zastanawiały się, jak wyczyścić Meg i Sama, tak by nikt nie musiał ich dotykać.



Powietrze pachniało furią. Czuć ją było w wodzie i ciepło unoszącym się nad ziemią. Wściekłość pędziła przez Thaisię tak szybko, jak wiadomości podawane przez radio i telewizję.

Na całym dzikim obszarze słyhać było słowa: *To właśnie oznacza bycie człowiekiem. To właśnie robią ludzie.*

Do: Ojciec

Wszystkie oczy skierowane są na środkową część Thaisii. Uderzcie teraz, a rasa ludzka zatriumfuje po obu stronach Atlantyku.

MS

Do: Erebus Sanguinati

Niemądrze będzie zabijać teraz Mikołaja Strzępiela. Jest dobrze pilnowany. Atak sprawiłby, że ludzie w Toland zaczęliby być czujni. Wydaje mi się jednak, że nie zostanie w Thaisii, gdy już kły i pazury Namid odpowiedzą na śmierć setek członków Wilczej Straży na Środkowym i Północnym Zachodzie. Ocean wzbiera, by uderzyć we Wschodnie Wybrzeże Thaisii, zwłaszcza w miasta, które wysłały statki odpowiedzialne za zatrucie ryb i zabicie części Rekiniej Straży. Rekinia Straż zagwarantowała mi bezpieczeństwo w razie zemsty Oceanu, jeśli przebywając w dokach Toland, powiem im, kiedy Strzępiel wypłynie do Cel-Romanii.

Stavros



Sobota, 23 czerwca

Wszystkie rodzaje broni i maszyn, które zostały potajemnie zbudowane i przetestowane, i wszyscy ludzie, którzy zostali powołani ze wszystkich narodów, należących do Sojuszu Cel-Romanii, ruszyli na granice, które oddzielały ludzkie ziemie od dzikich terenów.

Na pokładach samolotów leciała broń, dzięki której ta wojna miała przebiec bardzo szybko. Mieszkańcy dużych miast radowali się na myśl o większej ilości ziemi, jedzenia i przestrzeni. Jednakże ludzie powołani z mniejszych wsi, graniczących z dzikimi terenami, patrzyli na samoloty i szeptali do swych towarzyszy: „Nie wiecie. Nie macie o tym pojęcia”.

Bomby zrzucone z samolotów niszczyły osady *terra indigena*, te proste siedziby, w których zbierali się Inni, strzegący granic. Mężczyźni i maszyny jadące drogami w ślad za zniszczeniem sianym przez bomby

dobijali rannych, zabijali słabych i młodych. Zabijali również *terra indigena*, którzy wrócili i próbowali walczyć, by chronić rannych, słabych i młodych.

Szybko stało się jasne, że ludzie mają broń, z którą zmiennokształtni nie mogą walczyć. Tak więc straże zaczęły uciekać przed wrogiem.

Przez cały dzień ludzie i maszyny jeździli po drogach, zabijając i podbijając. Przestali, dopiero gdy skończyły się drogi – maszyny nie mogły jeździć po wąskich ścieżkach.

Przywódcy popatrzyli na podbite ziemie i ogłosili, że rasa ludzka odniosła zwycięstwo.

Tego wieczora tylko ludzie z niewielkich wsi na granicy zorientowali się, że wokół panuje dziwna, straszliwa cisza.



We wszystkich narodach Cel-Romanii starcy i kobiety uciekali z domów i biegli ścieżkami wydeptanymi przez całe pokolenia na dzikie tereny. Albo uciekali do odosobnionych miejsc, w których ziemia spotykała się z Morzem Śródziemnym. Tam szykowali pokarmy tradycyjne dla ludzi w okresie żałoby.

Długo w noc niosły się szepty: „Byli naszymi przyjaciółmi”, „Współdzielimy waszą żałobę. Byli naszymi przyjaciółmi”.

Ale nic im nie odpowiedziało. Nic nie wyszło spośród drzew ani nie wypłynęło spośród fal, by przyjąć ich żałobne dary. Wrócili więc do swych wiosek. Gdy sąsiedzi pytali: „Myślicie, że to zrobi jakąś różnicę?”, odpowiadali:

„Wkrótce się dowiemy”.



Obserwowali dwunożne drapieżniki. I słuchali – nie nowobogackich gatunków, lecz samego świata.

Ludzie przerwali granice między ziemią, jaką otrzymali od Namid, a dzikimi terenami, należącymi do *terra indigena*.

Teraz nie było już żadnych granic. Nie w tej części świata. A tam, gdzie nie było granic, kły i pazury Namid doskonale wiedziały, co zrobić.



Wściekłość sprawiła, że wiatr stał się jeszcze silniejszy, gdy Żywioł zwany Powietrzem gnał przez Cel-Romanię, wyrывая drzewa z korzeniami i tworząc przeszkody na drogach. Wściekłość przetaczała się w ciszy po skórze Żywiołu zwanego Ziemią, sprawdzającego podłoże pod miejscami, w których budowano latającą broń. Wściekłość padała wzdłuż linii brzegowej i wpadała do Morza Śródziemnego, zwracając uwagę starożytnej Tetydy, Żywiołu pilnującego morza.

A potem wiatr, dudnienie i deszcz ustały, jakby w ogóle ich nie było – a ludzie w Cel-Romanii zaczęli wierzyć, że tylko tyle potrafili zdziałać *terra indigena*, że podbili Innych i zatrzymają całą nową ziemię. Zaczęli się uspokajać.



Pływając w spienionych falach wokół domu na Kościstych Wyspach, Alantea słuchała opowieści pochodzących od Pięciu Sióstr, które bardzo dobrze znały Thaisię. Słuchała krzyków gniewu, dochodzących z zachodnich brzegów Cel-Romanii i z cieśniny, która łączyła jej dom z domem Tetydy.

Istniał pewien niszczycielski prąd, płynący między Cel-Romanią i Thaisią, prąd, który nie dopływał do innych części świata. Przynajmniej na razie.

Pytanie z Thaisii nadeszło niedawno, a ona i żyjące w jej domu strażę pomagali znaleźć na nie odpowiedź. W rewanżu również ma prawo zadać jakieś pytanie, prawda?

A gdy już pozna odpowiedź, postanowi, co powinna uczynić.

Do: Tolya Sanguinati



Dziadek chce, żebyś został w Złotej Prerii i informował go o tym, co się tam dzieje. Interesują go zwłaszcza fakty, o których nie informują ludzkie wiadomości.

Vlad

Do: Crispin James Montgomery

Nie jeżdżą pociągi. Ja, Sierra i dziewczynki wyjedziemy, gdy tylko

będziemy mogły. Cyrus dzwonił kilka razy, też chciał się z nami zabrać. Nie wspomniał o tym, że przywiezie żonę lub dzieci. Gdy powiedziałam mu, że będziemy mieszkać u twoich szefów, stracił zainteresowanie wyprawą. Ale to nie oznacza, że znów się tym nie zainteresuje. Pomyślałam sobie, że powinieneś o tym wiedzieć.

Mama



Sobota, 23 czerwca

Za wyjątkiem Meg Corbyn wszyscy ludzie mieszkający na Dziedzińcu spędzili noc gdzie indziej, nawet jeśli oznaczało to tylko przeprowadzkę na drugą stronę ulicy. Merri Lee została z Ruth i Kowalskim; Nadine Fallacaro spała na kanapie u Denbych, a Chris Fallacaro – w pożyczonym śpiworze; Monty i Lizzy zostali w drugiej połowie domu kapitana Burke’a, zamieszkałym wcześniej przez Denbych.

Burke powiedział mu, że może tymczasowo zamieszkać w tym miejscu albo nawet je wynająć, jeśli nie będzie chciał gnieść się w ciasnej kawalerce na Dziedzińcu ani dwupokojowym mieszkaniu, które wynajął tuż po przybyciu do Lakeside. Propozycja była bardzo hojna – poza tym Monty nie miał wątpliwości co do tego, że Burke

będzie szanował jego prywatność – ale ponieważ nie mógł, zwłaszcza w obecnej sytuacji, liczyć na stałe godziny pracy, i tak musiałyby zostawiać Lizzy Eve Denby albo Ruth Stuart. Tak więc o wiele łatwiej dla wszystkich było, gdy będą mieszkać po drugiej stronie ulicy, obok opiekunów i towarzyszy zabaw. Poza tym, mimo wydarzeń z wczorajszego dnia, Dziedziniec nadal był najlepiej chronionym miejscem w mieście.

Musiał omówić z Burke’em tyle kwestii – a przecież nie mógł tego zrobić, gdy na tylnym siedzeniu samochodu siedzieli jego siedmioletnia córka i Grr.

– Tatusiu?

Spojrzał przez ramię.

– Tak, Lizzy?

– Naprawdę nie możemy dziś oglądać telewizji ani filmów?

– Nie, ponieważ taki zapadł wyrok. Przez cały tydzień żadnej telewizji i żadnych filmów.

– Ale przecież Grr nie zrobił nic złego.

– Byliście współnikami w przestępstwie.

Widział, że usta Burke’a niebezpiecznie się wykrzywiły.

Lizzy zaczęła rozmawiać z Grr. Bu, pierwszy wypchany miś Lizzy, był stałym towarzyszem jej zabaw. Grr, którego drewniany łeb i łapy zostały wystrugane przez Henry’ego Niedźwiedzią Straż, zdawał się być raczej sumieniem, mniej podatnym na „bycie niesfornym”, nie mówiąc już o popełnianiu przestępstw.

Mimo wszystko nie potrafił zniechęcić dzieci do brojenia, zwłaszcza jeśli niebezpieczną zabawę zaczął ktoś inny.

Monty podejrzewał, że od tej pory kły Nathana Wilczej Straży będą bardziej efektywnym środkiem zapobiegawczym niż miś.

Lizzy spróbowała jeszcze raz:

– Grr pyta, czy możliwe jest skrócenie czasu kary?

– Czy mama sędziego bywa pobłażliwa? – spytał Burke tak cicho, by jego głos nie dotarł na tyły samochodu.

– Z mojego doświadczenia wynika, że nie – mruknął Monty. Aż do wczorajszego dnia, gdy ujrzał wściekłą Eve Denby, uważał tę kobietę za praktyczną, pełną energii i łagodną. Zeszłego wieczora zaczął się

zastanawiać, co by się stało z kimś, kto błaga o litość, gdyby Eve połączyła siły z jego matką.

Na bogów, gdyby był dzieckiem, każdego miesiąca dawałby Pete'owi Denby'emu połowę swojego kieszonkowego, żeby był jego adwokatem w takich sprawach.

Odwrócił głowę na bok, by ukryć uśmiech.

– Tatusiu?

– Nie wiem, Lizzy. Jeszcze nigdy nie stawałem przed tym sędzią.

– Och...

Ta rozmowa poprawiła nastrój w samochodzie, przynajmniej do chwili, w której Monty podrzucił Lizzy do mieszkania Denbych. Potem razem z Burke'em pojechali na komisariat przy Orzechowej.

– Wczoraj wieczorem o tym nie pomyślałem – rzekł Burke. – Czy w kuchni znaleźliście coś na śniadanie?

– Nie, ale Eve powiedziała, że Lizzy może zjeść śniadanie z Sarah i Robertem. – A on chętnie napiłby się kawy, nawet takiej kupionej na komisariacie. – Słyszałeś jakieś plotki?

Burke milczał przez dobrą minutę.

– Wokół Rynkowej znów były jakieś problemy. Tak samo jak wokół tego, co zostało z uniwersytetu i technikum. Niczego takiego się tu nie spodziewano. Gubernator Hannigan zamknął ten teren tak szybko, jak uniemożliwił wszelkie próby podpalenia intuickich wiosek i innych osad na dzikich terenach. Jego działania być może w jakimś stopniu ochronią Północny Wschód przed tym, co nadchodzi, ale jednocześnie pozbawił się szans na reelekcję, jeśli prawo głosu będą mieli mieszkańcy Toland. A z reguły mają w tej kwestii bardzo dużo do powiedzenia.

– A co z innymi terenami?

– Dzisiaj rano w radiu mówili o triumfie ludzi nad *terra indigena*.

– Co to znaczy?

– Pewnie wkrótce się przekonamy.



Vlad patrzył na obrazy zmieniające się na ekranie telewizora. Nie było wystarczająco dużo czasu, by ostrzec całą Wilczą Straż, poza tym nie cała Wilcza Straż pilnowała ludzkich miejsc i sojuszników. Kiedy te mądre małpy przestały być mądre? Czy uważają, że tylko

ludzie oglądają obrazki przedstawiające dzikie tańce wokół stosów martwych Wilków? Czy myślą, że tylko ludzie zauważą ciała szczeniąt, zamordowanych razem z dorosłymi? Oczywiście, ludzie bez problemu zabijali swoje młode, dlaczego więc mieliby oszczędzać inne gatunki?

Tyle miejsc. Taka wielka rzeź. W Regionie Środkowo-Zachodnim i Północno-Zachodnim zabito setki, może tysiące Wilków. Ile członków Wilczej Straży zostało w tej części Thaisii?

A potem to zobaczył – ten obraz był inny od pozostałych.

Twarz Joego tak wygląda.

– Meg!

Wyłączył telewizor, wybiegł z mieszkania i rzucił się po schodach do mieszkania Meg, zaledwie dwie pary drzwi dalej w Zielonym Kompleksie. Zapukał delikatnie, a potem nacisnął klamkę z nadzieją, że jest otwarte, że...

Popchnął drzwi na tyle, żeby zajrzeć do środka.

– Meg?

– Vlad?

Otworzył drzwi na oścież i wszedł.

– Gdzie Simon?

– Poszedł do lasu zrobić siku. – Pochyliła głowę, jakby się wahała. – Nie wiem, ile razy ja i Sam byliśmy wczoraj kąpani, ale cały czas mam wrażenie, że śmierdę rzygami. – Wyciągnęła rękę. Stwierdził, że jest niezwykle odważny, skoro podszedł do dziewczyny i ją powąchał. – Nadal, prawda? – spytała.

Wyglądała na skonsternowaną, więc odparł:

– Nie jest tak źle. – Nie dodał, że Simon mógł mieć inne zdanie na ten temat. Złapał ją za obie dłonie i podszedł bliżej. – Meg? Nie oglądaj dziś wiadomości. Nie czytaj gazet. Proszę. Zrób tę przysługę mi, Simonowi, nam wszystkim.

– Dlaczego?

– Bo widziałaś twarz Joego.

A skoro widziałaś twarz, widziałaś i resztę.

– To naprawdę się wydarzyło?

– Tak.

– Czy Simon o tym wie?

– Wie, że Joe nie żyje, ale nie widział... – Nie potrafił dokończyć.
– Dobrze. Idę do biura. Przyjdzie poczta, może jakieś przesyłki.
Ale nie będę patrzeć na „Wiadomości Lakeside” ani nie włączę radia.
– W porządku. – Samice ze stada z pewnością coś widziały, nie mógł temu zapobiec, nie chciał jednak, by Meg zobaczyła to po raz kolejny. – Nie wiem, czy maile będą dziś dochodzić. Od wczoraj telefony są głuche. Spróbuję jednak skontaktować się z Jacksonem i dowiedzieć się, jak radzi sobie Nadzieja.

Skontaktuje się też ze Steve’em Przewoźnikiem i spyta, jak się trzymają mieszkające z nimi młode *cassandra sangue* – i Jean.



Tego dnia Simon nie planował iść do Zabójczo Dobrych Lektur. Nie chciał robić nic ludzkiego poza spędzaniem czasu z Meg. Na zewnątrz.

Skończył jednak przy tylnych drzwiach księgarni, gdzie uświadomił sobie, że nie zabrał kluczy. Ani odzieży. Został natomiast otwarte drzwi do Czegoś na Ząb. Wczołgał się do środka, bojąc się wpaść na Tess, która mogła być w bardzo złym nastroju.

Zamiast Tess, zastał Nadine – na zapleczu, gdzie Tess czasem piekła ciastka.

– Nie mogłam spać, więc wzięłam się do pracy. – Popukała dłonią w pojemnik stojący na blacie. – Specjalna dostawa z piekarni Eamera. Wilcze ciasteczka. Oni pewnie też wczesnie wstali i zabrali się do roboty. Wielu z nas wstało dziś o świcie. Słyszałam, że wczoraj stracił pan przyjaciela. Bardzo mi przykro.

Zaskowytał, żeby dać znać, że słyszał jej słowa. Potem podszedł do kraty, wszedł do Zabójczo Dobrych Lektur i udał się do swojego biura. Nie po to, by zająć się pracą biurową czy czytać maile. Ostatnio wstawił sobie do biura drewnianą skrzynię – prostą, jeśli nie liczyć rzeźby wykonanej przez Henry’ego na wieku – żeby trzymać tam komplet czystych ubrań i buty. Ubrał się i zszedł z powrotem na dół. Sprawdził stany magazynowe, przełożył kilka książek. Nie planował długo zostać. Nie powiedział Meg, że idzie do sklepu, więc czekała na niego w mieszkaniu.

Gdy się odwrócił w stronę magazynu, usłyszał znajome plaśnięcie

o chodnik. Paczka „Wiadomości Lakeside”.

Wyjął z szuflady biurka zapasowe klucze, otworzył drzwi wejściowe, wziął gazety i rzucił je na ladę. Nagłówek krzychał: „Triumf ludzi! ”. Poniżej znajdowało się zdjęcie na pół strony.

Zaczął się w nie wpatrywać. Nie mógł oderwać od niego wzroku. A potem szepnął:

– Joe...



Monty, z dużym kubkiem kawy, słuchał informacji. Zignorował spojrzenia ze strony kilku policjantów, którzy zebrali się w pokoju socjalnym, by obejrzeć wiadomości i zobaczyć „graficzny dowód” triumfu ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko.

„Dzięki śmiałemu atakowi LPiNW na *terra indigena* potwory, które przez całe dekady trzymały dla siebie większość Thaisii ludzie przejęli tysiące kilometrów kwadratowych doskonałej ziemi. Jednak nie wszyscy się cieszą z działań LPiNW, mających na celu przywrócenie ludziom należnych im terenów. Pewien ranczer, mieszkający pod Bennett, miastem na Środkowym Zachodzie, powiedział nam: *To cholerni głupcy. Moja rodzina od czterech pokoleń hoduje konie i bydło i nigdy nie mieliśmy najmniejszych problemów z terra indigena. Gdy dziennikarz spytał Stewarta Dixona o straty w bydło na rzecz Wilków, ten odparł: To się nazywa czynsz. A oto powtórka zdjęć, które przysłano do naszej redakcji z całego kontynentu*”.

Monty patrzył, jak na ekranie zaczęły się pojawiać fotografie. Zapadła idealna cisza, nie odzywali się nawet policjanci należący do LPiNW. A potem pokazano ostatnie ujęcie.

– Bogowie... – szepnął i upuścił kubek z kawą. Czy Meg Corbyn to widziała...? Oczywiście, że tak.

Spojrzał w kierunku drzwi, gdy w progu stanął Burke. Tak, jego kapitan rozpoznał ciało Wilka leżącego na stosie ciał. Burke kiwnął do niego głową.

– Poruczniku? – spytał Kowalski, który nagle wyrósł obok niego. – Pójdę po samochód.

Monty wyszedł z pokoju socjalnego. Myśli galopowały w jego głowie. Pozostałe zdjęcia oczywiście były straszne, ale to twarz Joego

Wilczej Straży – na wpół zmieniona w ludzką i możliwa do rozpoznania twarz – sprawiła, że odczuł osobistą stratę i żal po Wilkach wymordowanych w innej części Thaisii.

Wątpił, by Simon Wilcza Straż chciał dziś oglądać jakichkolwiek ludzi. Wątpił, by chciał oglądać policjanta i odpowiadać na pytania o to, jakie konsekwencje dla Lakeside mogłyby mieć akcje ze Złotej Prerii. Dzisiaj jednak Monty nie jechał na Dziedziniec jako człowiek czy policjant. Dzisiaj jechał tam jako przyjaciel.



Burke przesunął się na bok, gdy Montgomery i Kowalski wybiegli z pokoju socjalnego. Następnie stanął z powrotem w drzwiach, by nikt inny stamtąd nie wyszedł.

– Panowie, nadchodzi wojna. Mimo tego, do czego chce was przekonać ruch LPiNW, nie będzie to wojna przeciwko *terra indigena*. Będzie to wojna ludzi z ludźmi. Wojna między tymi, którzy uważają, że współpraca z Innymi to jedyny sposób na przetrwanie na tym kontynencie, a tymi, którzy błędnie twierdzą, że zabijanie zmiennokształtnych coś nam da. To będzie wojna między tak zwanymi miłośnikami Wilków a zwolennikami LPiNW. – Rozejrzał się po pomieszczeniu, sprawdzając, kto patrzy mu w oczy, a kto odwraca wzrok. – A zatem mówię wam teraz, jak jest. Jeśli po obejrzeniu tych zdjęć którykolwiek z was myśli o ponownym przypięciu znaczka LPiNW, najpierw ma położyć na moim biurku swoje wypowiedzenie. – Uśmiechnął się złośliwie. – Wiem, nie ja jestem tu szefem. Jestem tylko kapitanem patroli i nie mogę decydować o pracownikach pozostałych kapitanów. Ale mówię wam tu i teraz, jeśli nie możecie – albo nie chcecie – walczyć u boku Innych w celu ocalenia tego miasta, to nie chcę was widzieć na tym komisariacie, ponieważ jeśli nastąpią tu jakiegokolwiek podziały, to zginiemy wszyscy. Nie mogę nic poradzić na to, co się dzieje w pozostałej części kontynentu, ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ocalić Lakeside. A jeśli bogowie będą miłosierni, być może dzięki ocaleniu Lakeside gubernator Hannigan będzie mógł zachować dla ludzi chociaż część Rejonu Północno-Wschodniego. – Odwrócił się, ale tylko na chwilę. – I nie próbujcie sprawdzać, czy nie blefuję. Jestem razem z Dziedzińcem w Lakeside, ponieważ moim

zdaniem to jedyny sposób na ocalenie ludzi z tego miasta. Jeśli nie chcecie stanąć u mego boku, musicie stąd zniknąć. Macie czas do końca dnia.

Wszedł do biura. Nie zdziwił się, gdy po chwili dołączył do niego Louis Gresh.

– Świetne przemówienie.

– Tak uważasz?

– Z reguły dostajesz to, czego chcesz, kiedy chodzi o wyrzucanie ludzi z komisariatu. Ale żeby powoływać się na wojnę ludzko-ludzką, gdy jest inny potencjalny wróg?

– Nie przemyśleli tego. – Burke usiadł na krześle. – Po wybicciu jednego gatunku drapieżników pozostaje pustka. Wcześniej czy później coś tę pustkę wypełni, a w tym przypadku wydaje mi się, że nastąpi to wcześniej niż później. Członkowie LPiNW chcą rozmawiać o odzyskiwaniu ziem? Nie mają pojęcia, co zaczęli – a ja nie wiem, czy ktokolwiek z nas przeżyje na tyle długo, żeby zobaczyć, jak to się skończy.



Zdecydowawszy się na oficjalną wizytę policji, Monty kazał Kowalskiemu zaparkować na parkingu dla klientów Dziedzińca.

– Zajrzyj do Denbych i przestrzeż ich przed oglądaniem wiadomości – powiedział.

– Z pewnością nie powinny tego oglądać dzieci. – Kowalski wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się rozmyślił.

Monty się uśmiechnął.

– Ja też do nich zajrzę, ale najpierw porozmawiam z Simonem.

– Nie wiem, czym oni wszyscy się zajmują, ale dziewczyny i Meg pracują w biurze łącznika, a Theral jest w gabinecie lekarskim.

– Do nich też zajrzyj.

W Zabójczo Dobrych Lekturach panowała ciemność, ale drzwi – wyjątkowo jak na tę porę – były otwarte. Monty ostrożnie wszedł do środka, kładąc dłoń na policyjnej broni.

– Simonie?

Rozległ się jakiś dźwięk. Po drugiej stronie stołu coś się poruszyło.

Ostrożnie, ostrożnie. Mógłby wyciągnąć broń przeciwko człowiekowi, ale nie przeciwko Wilkowi. Nie dzisiaj.

Simon wstał, przytrzymując się blatu, by zachować równowagę.

– Simonie...

– To wy to zrobiliście. – Ostry, chrapliwy, nie do końca ludzki głos. – Wy to zrobiliście.

– Widziałem zdjęcie. Simonie, tak bardzo mi przykro z powodu Joego.

Z czym miał do czynienia? Z szokiem? Wściekłością?
Z obezwładniającym smutkiem?

– Ilu ludzi zechcą zachować *terra indigena*? No cóż, chyba udzieliliście już odpowiedzi na to pytanie, prawda? Pokazaliście im przykład tego, co oznacza bycie człowiekiem.

Monty nie zdążył przygotować się na atak. Simon złapał go i przycisnął do półki z książkami.

– Próbowaliśmy współpracować... – warknął. – My... próbowaliśmy. Ale wy zrobiliście *to*!

Więcej niż smutek. Więcej niż wściekłość i szok.

– Czego się boicie? – spytał Monty. – Nas? Ludzi?

Simon puścił go i cofnął się, kręcąc głową.

– Mamy się was bać? I tak niedługo zostanieie wybici. Dlaczego mielibyśmy się was bać?

Monty przełknął głośno ślinę.

– Meg ci o tym powiedziała?

– Nie. Wiem od Jean.

Na bogów na górze i na dole.

Z zaplecza wyszedł Vlad.

– Simonie, Meg cię szukała. – Spojrzał na ladę. – Jest teraz w biurze łącznika. Musisz ją nakłonić, żeby wróciła do domu, żeby pozwoliła, by zastąpił ją dziś ktoś inny. Ludzie będą gadać, a ona nie powinna wiedzieć więcej, niż już wie.

Simon rozejrzał się wokół, jakby się zastanawiał, skąd się tu wziął.

– Miałem wyjść tylko na chwilę. Ja... – Ruszył na zaplecze, ale się zatrzymał. Nie patrzył Monty'emu w oczy. – Uczymy się od innych drapieżników. Zapamiętaj to sobie, poruczniku.

Wyszedł. Monty i Vlad zostali sami.

– Czy któryś z nas może w jakiś sposób pomóc? – spytał Monty.

Vlad podszedł do lady przy kasie. Wziął jeden egzemplarz „Wiadomości Lakeside”, złożył go i schował pod ladę.

– Pozbądź się reszty – powiedział. – Wolałbym nie wkładać ich do naszego kosza na śmieci. Zbyt duże ryzyko, że ktoś zobaczy coś, czego nie powinien widzieć.

– Oczywiście. Zabiorę je na komisariat. – Założył, że Eve Denby też nie będzie chciała mieć tego w swoim koszu na śmieci. – Coś jeszcze?

– A jak sądzisz, co jeszcze mogłaby zrobić policja?

– Nie pytałem jako policjant.

Zapadła cisza. Po chwili Vlad odparł łagodnie:

– Spytaj o to za kilka dni.

Monty wyszedł z księgarni, wrzucił gazety na tylne siedzenie radiowozu, a następnie przeszedł przez ulicę i skierował się do mieszkania Denbych.

Mama sędzieja uwijała się przy stole w jadalni, a młodzi przestępcy próbowali załagodzić wymiar kary.

To zły dzień na pytanie o oglądanie telewizji, pomyślał Monty.

– „Nie” oznacza „nie” – powiedziała Eve.

– Ale ja zostałem ranny! – zaprotestował Robert, pokazując zdarte łokcie i kolana, a następnie siniaki w miejscu, w którym w skórę wbiły się kły Nathana.

– Jeśli jeszcze raz usłyszę choćby słówko na temat wyroku, sąd zacznie was lekceważyć, a do wyroku dopisany zostanie punkt „brak deseru”.

Monty zauważył, że dziewczynki były bardzo cicho. Widząc wyraz twarzy Lizzy, stwierdził, że będzie musiał z nią poważnie porozmawiać. Bo jeśli walnie kogoś z całych sił misiem Grr – z jego drewnianym łbem i łapami – naprawdę może zrobić mu krzywdę.

Z drugiej strony, chłopiec zachowywał się, jakby sam miał drewnianą głowę.

– Jako twój ojciec i adwokat zalecam ci pogodzenie się z wyrokiem, który już masz. Po co dawać sądowi powód do nałożenia

dodatkowej kary – doradził Pete, kończąc dyskusję.

Monty dostał kubek kawy i tosta – i zaczął się zastanawiać, jak długo jeszcze będą to zwykłe składniki posiłków.

Po tym, jak dzieci poszły do swoich pokojów, by pościelić łóżka i posprzątać przed inspekcją, Pete zaczął cicho:

– Słyszeliśmy. Widziałem w wiadomościach dostatecznie dużo, by... Na bogów...

– Możemy coś zrobić? – spytała Eve.

– Możemy zadać to pytanie za kilka dni. – Monty wstał i wstawił talerz i kubek do zlewu. Chwilę później Eve stanęła obok niego.

– Co się stanie za kilka dni?

Wyjrzał przez okno. Był piękny letni dzień. Westchnął.

– Sam chciałbym to wiedzieć.



Poniedziałek, 25 czerwca

Komputery w wybranych newsroomach w każdej części Thaisii szumiały głośno, ściągając zdjęcie, wysłane z gazety w Bennett. Gdy pobieranie zostało zakończone, a fotografię wydrukowano i pokazano redaktorom, większość z nich parskła śmiechem, przeklinała lub patrzyła na współpracowników i pytała: „Co to, u diabła, jest?”.

Zdjęcie przedstawiało znak, zbity ze starych, przybitych do słupka desek. Napisano na nim czerwoną farbą: „NAÓCZYLIŚMY SIĘ OT WAS”.

Na ten widok intuicyjni redaktorzy, targani bardzo złymi przecuciami, ogłosili alarm w okolicznych intuicyjnych społecznościach. Większość dziennikarzy w ludzkich gazetach stwierdziła, że nie będzie marnować miejsca na pierwszej stronie na jakieś głupie żarty, niektórzy

jednak wysłali swoich ludzi, by sprawdzili potencjalny temat.

Po otrzymaniu tego zdjęcia kilka stacji telewizyjnych wysłało swoich dziennikarzy i operatorów do Bennett, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o znaku i napisać ciąg dalszy opowieści o triumfalnym odzyskiwaniu ziemi przez ruch Ludzie Przede i Nade Wszystko.



Środa, 27 czerwca

Młody dziennikarz telewizyjny patrzył na zmieniający się krajobraz za oknem pociągu pędzącego do Bennett.

– Myślisz, że to ten sam znak? – spytał inny reporter, wskazując coś za oknem. „NAÓCZYLIŚMY SIĘ OT WAS”.

– Za dużo się nie nauczyli – parsknął ktoś inny.

Żurnalista rozejrzał się po wagonie i zmarszczył czoło. Oprócz niego jedynymi pasażerami byli dziennikarze i kamerzyści z różnych gazet i stacji telewizyjnych. Pewnie, na Północnym Zachodzie gubernator dziwak zablokował możliwość podróżowania, ale przecież blokada już się skończyła – to były tylko jakieś polityczne manewry. A w takim razie w Shikago musieliby wsiąść inni ludzie. Może kolej zarezerwowała jeden wagon tylko dla dziennikarzy?

„NAÓCZYLIŚMY SIĘ OT WAS”.

Spojrzał na zegarek. Za kilka minut będą na stacji w Bennett i zobaczą kolejny z tych znaków.

To dziwne, że dziennikarz z gazety w Bennett, który wysłał pierwsze zdjęcie, nie odpowiadał na maile ani nie odbierał telefonów z innych stacji telewizyjnych czy gazet, które wysłały swoich ludzi, by sprawdzili, jak rozwinie się ta historia. To tak jakby ten ktoś wysłał im przynętę i nie chciał mieć z nimi więcej do czynienia.

Pociąg wjechał na stację.

Na peronie nie było żadnych pasażerów. Żadnych pracowników kolei.

Wysiadł razem z resztą reporterów. Na stacji panowała dziwna cisza, która zdawała się sączyć pod jego skórę i budzić pierwotne zrozumienie sytuacji.

Dziennikarze wyszli ze stacji w zwartej grupie. Zaczęli się rozglądać za taksówką albo busem, bo nie mieli ochoty targać na piechotę całego sprzętu, jednak na ulicach zastali tylko puste samochody, zaparkowane tak, jakby ich właściciele porzucili je w pośpiechu.

Żadnych przechodniów. Żadnej muzyki dobiegającej z otwartych okien.

Niektóre sklepy były zamknięte na głucho. W innych było włączone światło, właściciele zostawili otwarte drzwi.

Nagle jeden z kamerzystów zatrzymał się i wydyszał:

– Na bogów na górze i na dole...

A potem pobiegł ulicą wpatrzony w jakiś punkt w oddali. Reszta ruszyła za nim na otwartą przestrzeń za budynkami.

Dogonił ich i też to zobaczył. Stos ciał. Młodych. Starych. W ubraniach roboczych. W ubraniach codziennych. Przed stosem znajdował się kolejny ze znaków: „NAÓCZYLIŚMY SIĘ OT WAS”.

To chyba wszyscy mieszkańcy miasta, pomyślał, czując, jak zbiera mu się na wymioty. Ktoś obok niego poddał się torsjom. Coś zabiło ludzi z całego miasta i ułożyło ciała w stos, tak jak ciała Wilków wyrznięte przez LPiNW do ostatniego szczeniaka.

Zadrżał i szepnął:

– Oni nadal tu są. – Zaczął się wycofywać, próbując patrzeć we wszystkie strony na raz. Zastanawiał się przy tym, czy mieszkańcy miasta w ogóle widzieli, co ich zabiło. – Musimy wrócić do pociągu – powiedział już głośniej. – Musimy się stąd wydostać. Oni nadal tu są.

Kamerzysta nagrał krótki materiał. Dziennikarze z gazet porobili zdjęcia. Jednak strach, że pociąg odjedzie bez nich i zostawi ich na pastwę nie wiadomo czego, był zbyt silny, by poprowadzić relację na żywo.

Gdy biegli z powrotem na stację, usłyszał odgłos, który mógł być tylko wiatrem w pobliskich drzewach – ale mógł też być czymś straszliwym śmiechem.

Do: Tolya Sanguinati

Dziadek Erebus postanowił, że przejmiesz kontrolę nad miastem Bennett. Sanguinati z Dziedzińca w Toland już do ciebie jadą, razem z kilkoma członkami Wilczej Straży, którzy z tobą pracowali. Niektórzy *terra indigena* z Toland dołączą do Stavrosa, gdy przejmie rządy w Wodospadzie Talulah. Reszta ruszy na Środkowy i Północny Zachód, by przejąć kilka miast, w których są stacje kolejowe. Te miejsca nadal są dla nas bardzo cenne.

Przełącz ostrzeżenie ludziom, którzy pomagali w ocalaniu szczeniąt Wilków w Złotej Prerii: w mroku czai się niebezpieczeństwo.

Vlad

Do: Vladimir Sanguinati

Otrzymałem i zrozumiałem twoją wiadomość. Zastanawiałem się, jakie firmy będą potrzebne na początek. Zapytam o zdanie Jesse Walker. Oczywiście Wilcza Straż, pełniąca w Bennett rolę egzekutorów, bardzo się przyda, ale poproś też kilka Wilków z Toland, by przyjechały do osady *terra indigena* w Złotej Prerii. Niania stada to jedyny dorosły Wilk, który przeżył masakrę, a ktoś musi nauczyć szczeniaki polować. Ukryto dużo bizoniego mięsa, tak więc na jakiś czas młode mają zapewnione pożywienie, ale Intuici, nawet ci o najlepszych zamiarach, nie będą w stanie nauczyć ich tego, co muszą wiedzieć.

Zabito również wszystkich ludzi, którzy prowadzili rancza między Złotą Prerią a Bennett. Większość płotów, które oddzielały poszczególne

tereny, została wyrwana z ziemi – przypominają teraz przerażające ostre kule z drutu kolczastego i słupków. Tobias Walker mówi, że latem było samo da sobie radę, ale trzeba doglądać innych zwierząt, łącznie z tymi, które ludzie w mieście trzymali jako zwierzęta domowe oraz pracujące na ranczach. Robimy, co możemy, ale jest nas za mało, żebyśmy mogli zająć się taką liczbą zwierząt i innymi obowiązkami. Czy Starsi pozwoliliby niektórym ludziom – najlepiej Intuikom albo członkom Prostego Życia – na przyjazd do Bennett pod nadzorem Sanguinatich, by mogli się zająć takimi sprawami?

Tolya



Czwartek, 28 czerwca

Meg próbowała się nie wahać, gdy Henry mierzył szufladę, w której chciała trzymać pudełko z kartami prorocत्व.

– Dzięki uchwytom będziesz mogła wyjąć pudełko z szuflady, nie przycinając sobie palców – rzekł Henry.

– W porządku. – Nigdy nie zastanawiała się nad mechanicznymi aspektami wyjmowania pudełka. – I chcę mieć zamek. Z kluczem. Dwoma kluczami.

Spojrzał na nią przeciągle.

– Da się zrobić.

– To nie musi być jakieś piękne pudełko.

Nie spuszczał z niej wzroku.

– Weźmiesz to, co zrobię.

– Chodziło mi tylko... – Nagle poczuła coś na skórze, jednak nie było to ani mrowienie, ani pieczenie. Nie chodziło o przepowiednię czy wizję. Raczej o błysk zrozumienia. Mimo – a może właśnie ze względu na panujący w Thaisii chaos Henry nie pracował nad rzeźbami, potrzebował jednak czegoś, czym będzie mógł się zająć w czasie, gdy musiał być w ludzkiej postaci i pomagać Simonowi. – Dziękuję. Eee... Ruth i Merri Lee powiedziały, że powinna w nim być wyściółka. Mają sprawdzić informacje na temat tarota i kart do przepowiadania przyszłości, by sprawdzić, czy ma to być jakiś specjalny materiał, a potem mają pójść do krawcowej i dowiedzieć się, co jest dostępne.

– Przekaż im, żeby skonsultowały ze mną wymiary tego materiału.
– Myślał przez chwilę. – Albo nie, sam porozmawiam z Ruth.

Stowarzyszenie Przedsiębiorców musi omówić z nią kilka spraw.

– Nie będzie miała żadnych problemów, prawda? – Meg nie potrafiła wymyślić nic, co mogłaby zrobić Ruth – albo na przykład Merri Lee czy Theral – żeby zdenerwować Stowarzyszenie Przedsiębiorców.

– Nie, żadna z samic ze stada nie będzie mieć problemów. Przynajmniej nie z nami. – Zamknął szufladę i podszedł do Meg. – Nie przyszło więcej paczek, o których powinniśmy wiedzieć? Powiedziałybyś nam, gdyby coś przyszło, prawda?

Zamrugnęła, słysząc ostry ton.

– A dlaczego miałabym wam nie powiedzieć? Nie odbieramy paczek dla osób prywatnych. Poza tym nikt z Dziedzińca chyba nie zamawiał niczego z katalogów.

– Nie przyszło nic od Jacka Fillmore'a, który wziął się na Theral?

– Och... – *O takie paczki chodzi.* – Nie. Nie przyszło nic od czasu czekoladek. Może wyjechał z Lakeside.

– On tropi swoją ofiarę, Meg – zagrzemiał Henry. – Będzie na nią polował tak długo, aż ją złapie. Chyba że wcześniej my złapiemy jego.

– W takim razie zwróć na to uwagę.

– *Arroo!*

Meg wyjrzała przez otwarte drzwi.

– Nathan też będzie szukać.

Henry złożył kartkę z zapisanymi wymiarami pudełka i schował ją do kieszeni.

– Henry? – Zastanawiała się chwilę nad pytaniem, które chciała mu zadać, ale ostatecznie zrezygnowała. – Nieważne.

Henry bez słowa kiwnął głową i wyszedł z biura łącznika. Nasłuchiwała przez chwilę, ale nie usłyszała skrzypnięcia furtki do jego ogrodu. Pewnie poszedł prosto na spotkanie z Ruth.

Meg wyjęła z szuflady notes, w którym było już kilka różnych notatek – na przykład do *Przewodnika wieszczek krwi*. Nie, do osób prywatnych rzadko przychodzą jakieś paczki, ale otrzymała trochę towarów, które zamówiła w dużych ilościach. Chciała porozmawiać z Simonem i resztą Stowarzyszenia Przedsiębiorców o tym, w jaki sposób rozdzielić te towary wśród mieszkańców Dziedzińca, jednak ta sprawa będzie musiała poczekać.

Zrobiła to, o co poprosił ją Vlad. Nie włączyła telewizji ani radia, nie zerkała też w stronę gazety. Nie powiedzieli tego na głos, ale wiadomo było, że gdy zakończą się reperkusje związane z wymordowaniem Wilczej Straży na Środkowym i Północnym Zachodzie, Vlad pokaże jej egzemplarz „Wiadomości Lakeside”.

Zastanawiając się, czy kiedykolwiek jeszcze przeczyta gazetę, otworzyła szufladę, w której znajdowały się karty prorocत्व. Przejechała po nich dłonią.

Nie wiem nawet, jak się nimi posługiwać, zaczęła się kłócić ze sobą. Nikt nie wie, czy wybranie karty to to samo, co prorocत्व. Wieszczki krwi mogą mieć takie same zdolności do przepowiadania przyszłości, co Intuici wykorzystujący różne przedmioty.

Poczuła jednak klucie w dłoni – które szybko zmieniło się w mrowienie.

W porządku. Zadaj pytanie.

– Jakie będą reperkusje zabicia przez ludzi *terra indigena*?

Cały czas poruszała palcami nad kartami. Gdy mrowienie przerodziło się w ból, wybrała jedną z nich. Nie otwierając oczu, rozłożyła karty na blacie obrazkami do dołu. Jedna karta. Druga. Trzecia.

Otworzyła oczy, odwróciła karty i zaczęła się w nie wpatrywać, szukając odpowiedzi.

Pierwszą kartę zinterpretowała jako kartę Żywiołów: tornado, huragan, lawina, trzęsienie ziemi. Druga przedstawiała stworzenia, które,

jak się upierał Jester, nie istniały. Na trzeciej karcie widniała zakapturzona postać z kosą.

Włożyła karty z powrotem do szuflady i ponownie przejechała ręką nad wszystkimi taliami.

– Co się stanie z Lakeside?

Żadnego mrowienia ani pieczenia. To niemożliwe. *Coś* musiało się wydarzyć w Lakeside.

Zamknęła oczy i przejechała nad kartami raz jeszcze, cały czas powtarzając pytanie.

W końcu pojawiło się delikatne mrowienie.

Rozłożyła karty i obiema rękami spróbowała zlokalizować źródło mrowienia.

Udało się!

Otworzyła oczy, spojrzała na kartę i zmarszczyła brwi. Na karcie widniał tylko znak zapytania. Ale jak brzmiała odpowiedź?

Przyszłość nieznana.

Odłożyła kartę i zamknęła szufladę.

Nie miała zamiaru rozmawiać o tym z Simonem, Vladem czy którąś z przyjaciółek.

Bądź co bądź, odwrócenie kilku kart to jeszcze nie prorocstwo.

Co by się jednak stało, gdyby się nacięła i zobaczyła tę samą wizję? Zmarnowałyby skórę na pytanie, na które już uzyskała odpowiedź. Z pewnością rozżłościłoby to Simona i resztę jej przyjaciół. A ponieważ każdy, kogo poprosiłaby o wysłuchanie przepowiedni, podważyłby sens wykonania cięcia, musiałyby przełknąć słowa i przeżyć cierpienie związane z niewypowiedzeniem przepowiedni, tak by cięcie nie poszło na marne.

Przyszłość nieznana.

Przez jedną nieprzyjemną chwilę zastanawiała się, czy odpowiedź odnosi się do niej czy do miasta. Skoro nie potrafiła się oprzeć pokusie nacięcia skóry, to jaka przyszłość czeka ją albo inne *cassandra sangue*?

Podniosła notes i poszła na przód księgarni, by dotrzymać towarzystwa drzemiącemu Nathanowi i sprawdzić listę rzeczy, których przez kolejne kilka miesięcy będą potrzebować ludzie – i Inni w ludzkiej postaci.

Znaną czy nieznaną, Lakeside będzie mieć przyszłość, tak jak i ona. Nie wierzyła, że mogłoby być inaczej.



Ruthie pachnie tak, jakby była zdenerwowana, zauważył Henry. *To może mieć coś wspólnego z tym, że nasza czwórka odcina jej wyjście z pomieszczenia*, odparła Tess.

A to przecież niewielki pokój, dorzucił Vlad. *Ale pokoje nad świetlicą nie musiały być duże, by doskonale pełnić swoją funkcję.*

Henry zwrócił uwagę na to, że Simon się nie odzywa.

– Ludzkie szczeniaki potrzebują szkolenia – zaczął.

– Tak – odparła Ruthie. – Wiem, że Eve Denby i porucznik Montgomery martwią się o to, że tej jesieni dzieci mogą nie zostać przyjęte do szkoły.

– Potrzebują szkolenia *teraz*.

Zamrugła.

– Teraz? Ale... mamy lato.

– Tak. Dlatego powinny nabyć wszystkie umiejętności niezbędne o tej porze roku, tak jak nasze młode.

– Dorośli muszą pracować, a dzieci potrzebują aktywności, które pomogą im przetrwać – dorzuciła Tess. – Ponieważ są już dość duże i dostatecznie niezależne, by sprawiać kłopoty, mogą wykonywać jakąś pracę i przy okazji czegoś się nauczyć.

Ruthie spojrzała na nich z przerażeniem.

– Czego mają się nauczyć? To znaczy... ludzkie prawo mówi, że dzieciom nie wolno pracować.

– Na Dziedzińcu nie obowiązuje ludzkie prawo – warknął Simon.

– Chodzi o to – wtrącił Vlad – że ludzkie dzieci mogą pobierać nauki u doświadczonego ludzkiego nauczyciela, czyli u ciebie, albo mogą zostać wyrzucone z Dziedzińca, chyba że przebywają w towarzystwie ludzkiego dorosłego.

– Możemy też kazać Nathanowi albo Blairowi nauczyć je wartości, jakie niesie słuchanie dorosłych. – Henry pokiwał głową, za to Ruthie pobladła jak ściana.

– Zaczynasz rozumieć. Ze strony młodych tolerujemy dużo, bo to są *młode*. Ale nasze młode przez cały rok się uczą i bawią. I do naszych

młodych należą teraz wszystkie ludzkie młode, które spędzają tu czas.

– Ale ja nie mam żadnych książek ani materiałów, ani...

– Zamów kilka zestawów podręczników dla wszystkich etapów nauczania ludzkich młodych – zaproponował Simon. – Zamów materiały i sprzęt – tablicę i inne rzeczy potrzebne w szkole.

– A gdzie będzie ta szkoła? – spytała Ruth, na co Vlad zamasyzyście machnął ręką. – Tutaj?

W porządku, po usunięciu łóżka może zmieści się tu kilka ławek dla dzieci i nauczyciela.

– Może jedną z kawalerek uda się przerobić na ludzką szkołę – zaproponował Henry. – Lorne rzadko zostaje na noc, a stado policji wkrótce będzie mieć własną siedzibę po drugiej stronie ulicy. A te pokoje mogłyby być czymś w rodzaju... akademika? Tam są zlew i toaleta. Do pokoju socjalnego moglibyśmy wstawić mikrofalówkę i małą lodówkę i trochę poprzestawiać meble.

– Ale ja mam pomóc *terra indigena* uczyć się ludzkich rzeczy i wesprzeć Meg przy pisaniu *Przewodnika wieszczek krwi* – zaprotestowała Ruthie.

– I będziesz to robić – oznajmił Vlad. – Rano będziesz uczyć dzieci, a później zajmiesz się innymi zadaniami.

– Porucznik Montgomery pytał mnie, czy znalazłaby się tu jakaś praca dla jego matki – przypomniał sobie Simon. – Może mogłaby pomagać w opiece nad dziećmi? I tak przyjeżdża tu, żeby zajmować się Lizzy.

Ruthie poprawiła włosy. Widząc to, Henry zastanowił się, po co ludzie to robią. Raz spróbował, ale nie zgłębił sensu takiego gestu.

– Dobrze. – Ruthie wypuściła głośno powietrze. – Widzę potrzebę zorganizowania dzieciom czasu. Oczywiście wiem, że muszą się uczyć, zwłaszcza że przerwano im naukę w szkole. Ale Lizzy i Sarah mają siedem lat, a Robert dziewięć. Po co mam zamawiać książki dla wcześniejszych i późniejszych etapów rozwoju?

– Musisz zamówić je teraz, bo później mogą już być niedostępne – odparł Vlad. – Albo trudno dostępne.

Ruthie patrzyła na nich ze zdziwieniem.

– To zaczyna brzmieć jak jednoklasowe szkoły w miasteczkach na

dzikich terenach, o których czytałam kiedyś w książkach historycznych.

– Tak – potwierdził Henry. – Masz myśleć o nich właśnie w ten sposób.

Patrząc na nią, zastanawiał się, czy powinni przynieść do pokoju jakieś krzesło, żeby mogła usiąść. Nie myśleli, że proszą o coś tak trudnego.

Wreszcie pokiwała głową.

– Wolałabym kawalerkę zamiast takiego pokoju. Muszę się zastanowić nad rodzajem biurek – teraz usiądą w nich dzieci, ale później będą w nich siedzieć nastolatki. Sprawdzę, czy może nadają się jakieś meble, które już mamy.

– Opróżnimy jedno z mieszkań, którego okna wychodzą na teren za Zabójczo Dobrymi Lekturami i Czymś na Ząb. Dzieciom będzie o wiele łatwiej się tam skupić niż w mieszkaniu z widokiem na Wronią Aleję – rzekł Vlad.

Simonie? Zgadzasz się z tym? spytał Henry. Wilk zdawał się niespokojny.

W porządku. Musimy wracać do ZDL. Część Żywiotów chce rozmawiać ze Stowarzyszeniem Przedsiębiorców.

Simon, Henry i Tess rozstąpili się, robiąc Ruthie dojście do drzwi, które otworzył dla niej Vlad.

– Nie powiedzieliście jej, że krewni porucznika Montgomery’ego mogą przywieźć swoje młode – zauważył Vlad, gdy cała czwórka wyszła ze świetlicy i wróciła do Zabójczo Dobrych Lektur.

– Nie wydaje mi się, żeby miało to jakieś znaczenie – odparł Simon.

Otworzył drzwi wejściowe ZDL i wszedł do środka.

Niedobrze, pomyślał Henry, gdy Ziemia, Powietrze, Ogień i Woda odwróciły się do nich, ale skupiły uwagę wyłącznie na Simonie.

– Ocean ma pytanie i chce, żebyście pomogli jej w znalezieniu odpowiedzi.



– To takie dziewczynskie sprawy – powiedziała Meg i zatrzasnęła Nathanowi drzwi przed pyskiem. Ponieważ cały czas tylko ziewał, zastanawiała się, czy przypadkiem nie wiedział już, o czym musiały

porozmawiać.

Po tym, jak Ruth opowiedziała im o swoim spotkaniu ze Stowarzyszeniem Przedsiębiorców, Meg obserwowała reakcję przyjaciółek.

– Czy uczenie się latem jest czymś dziwnym? – spytała. *Cassandra sangue* musiały się uczyć codziennie, chyba że któraś była bardzo chora.

– Latem przeważnie jest przerwa, jednak rozumiem, że Inni chcą, żeby przez jakąś część dnia dzieciaki miały konkretne zajęcia – rzekła Eve. – I chcę, żeby moje dzieci były bezpieczne, chociaż wolałabym, żeby metody wychowawcze bazowały bardziej na warczeniu niż na używaniu kłków. Doceniam jednak fakt, że całe stado wychowuje i dyscyplinuje szczenięta i że Inni postrzegają nasze dzieci jako dwunożne młode.

– Traktują je w ten sposób, ponieważ ich szczenięta przez większość czasu i tak biegają na dwóch nogach – zauważyła Meg.

– Nie mam problemu z tym, że chcą zorganizować im naukę latem – odparła Ruth. – Martwi mnie to, że Stowarzyszenie Przedsiębiorców każe mi zamówić kursy dla wszystkich poziomów. Czyżby w ten sposób chcieli nam dać do zrozumienia, że ludzkie dzieci związane z Dziedzińcem już nigdy nie pójną do szkoły z resztą dzieci z Lakeside?

– Być może. A może po prostu będzie mniej papieru do drukowania książek i dlatego będzie trudniej dostać podręczniki. – Merri Lee spojrzała na Meg. – A może Inni mówią coś zupełnie innego? Meg? – Nie miała zamiaru im tego mówić. Merri Lee najwyraźniej zauważyła jej wahanie, bo dodała: – To zebranie tylko dla dziewczyn, dobrze o tym wiesz. – A więc informacje nie wyjdą poza to grono.

– Przyszłość nieznana – powiedziała cicho Meg. – Gdy spytałam, co się stanie z Lakeside, wybrałam kartę, na której widniał wielki znak zapytania i nic więcej.

– Powiedziałaś o tym Simonowi albo Henry’emu? – spytała Ruth.

Meg pokręciła głową. Teraz, skoro już powiedziała dziewczynom, będzie musiała powiedzieć też Simonowi. Potem opowiedziała przyjaciółkom o pozostałych trzech kartach. Patrzyła, jak stopniowo bledną.

– Na bogów... – szepnęła Merri Lee. – Kapitan Burke zwołał

wielkie zebranie z policjantami ze wszystkich zmian. Michael zadzwonił i powiedział, że się na nie wybiera i nie wie, czy i kiedy uda mu się wpaść do domu.

– Zadzwońmy do Steve’a Przewoźnika. – Meg odwróciła się w stronę lady, na której stał telefon. – Poda nam nazwisko kogoś, kto pracuje w jednej ze szkół w Przystani Przewoźników. Na pewno mają tam już listy książek na każdy poziom nauczania. Porozmawiamy też z nauczycielem.

– Może warto spytać o książki, które nadawałyby się również do technikum – zaproponowała Ruth. – Powinniśmy się dowiedzieć, w jaki sposób Intuici poznają tajniki takich zawodów, jak hydraulik, elektryk i tak dalej.

Meg zadzwoniła do Steve’a. Był bardzo pomocny, jednak czuła, że mocno się zastanawiał nad tym, o co pytała i dlaczego akurat o to. Ostatecznie Dziedziniec nie był jedynym miejscem, w którym będą potrzebne szkolne podręczniki. Potrzebować ich będą też młode *cassandra sangue*, które mieszkają na Wielkiej Wyspie. Tak samo jak wszystkie inne dzieci w nowym Osiedlu Nadrzecznym, nawet jeśli miałyby uczyć się do szkół w Przystani Przewoźników.

Podał jej numery telefonów i adresy mailowe do dyrektorów szkół z Przystani Przewoźników i obiecał od razu do nich zadzwonić i uprzedzić, że Meg będzie się z nimi kontaktować.

– Meg, mogę tu zostać i pilnować dostaw, a ty i Ruth biegnijcie do biura Stowarzyszenia Przedsiębiorców i wyślijcie maile – zaproponowała Merri Lee.

– Mogę jeszcze w czymś pomóc? – spytała Eve. – Dopóki Inni nie przejmą władzy nad budynkami mieszkalnymi – albo nie wyniosą mebli z tej kawalerki, tak by można było wziąć się za sprzątanie – nie będę mieć dużo pracy. Wybierałam się do Zielonego Kompleksu i chciałam sprawdzić ogród, zobaczyć, czy trzeba coś podlać albo wyrwać chwasty, podczas gdy Pete zająłby się dziećmi, ale to może poczekać.

– Chyba mamy już wszystko – powiedziała Merri Lee.

Radość, która je ogarnęła, była wprawdzie chwilowa, ale wszystkie o wiele lepiej się czuły, mogąc robić cokolwiek.



Monty spodziewał się, że na zebraniu zwołanym przez Burke'a stawią się wszyscy policjanci, niezależnie od tego, czy była to ich zmiana czy nie, nie zaskoczył go więc widok dowódcy, Louisa Gresha, i jego saperów. Był jednak zdziwiony obecnością innych kapitanów z komisariatu przy Orzechowej, którzy przyszli usłyszeć to, co Burke miał im do przekazania.

– Możesz zrobić miejsce?

Monty, zaskoczony, odskoczył na bok. Najwyraźniej w zebraniu brał udział również komendant, który zdecydowanie wyglądał na przestraszonego.

Burke stanął za podium.

– Doceniam fakt, że tak szybko odpowiedzieliście na moje wezwanie – zaczął. – Spróbuję się streścić, tak byście mogli jak najszybciej wrócić do swoich obowiązków. – Zawahał się i Monty poczuł chłodny ścisk w żołądku. Douglas Burke nigdy się nie wahał. – Jak zapewne większość z was wie, mam pierwszorzędnych informatorów. – Rozległy się nerwowe chichoty. – Informacje, które wam dziś podam, bazują na zdjęciach zrobionych przez dziennikarzy w kilku miastach na Środkowym i Północnym Zachodzie oraz na policyjnych raportach funkcjonariuszy, którzy pojechali do tych miast, ponieważ nie mogli skontaktować się z pracownikami komisariatów i budynków rządowych. – Spojrzał po twarzach zebranych. – Na podstawie tych informacji mogę stwierdzić, że *terra indigena* zemścili się na każdym mieście i ranczu, którego mieszkańcy mieli coś wspólnego z zabiciem Wilczej Straży. Wywrócili te miasta do góry nogami, w niektórych przypadkach dosłownie. Wyrznęli ludzi w ten sam sposób, w jaki ludzie wyrznęli Wilki. W niektórych przypadkach oznaczało to zabicie wszystkich ludzi, zarówno mężczyzn, jak i kobiet oraz dzieci. Czasami dzwoniło do najbliższego ludzkiego miasta i ludzie, którzy podnosili słuchawkę, dowiadywali się, że wszystkie dzieci z danej społeczności znajdują się w budynku gdzieś na skraju miasta. Owe dzieci były nietknięte, zakładałam więc, że niektóre młode Wilczej Straży również uciekły przed rzezią. – Burke odczekał chwilę, dając ludziom czas na przetrwanie tych informacji, a potem podjął: – Panowie, widziałem kilka zdjęć ludzi zabitych w akcie zemsty. Tych

zabójstw nie dokonali zmiennokształtni, z którymi z reguły mamy do czynienia. Prawdopodobnie jeszcze nigdy nie widzieliśmy takich zmiennokształtnych – i pewnie już nie zobaczymy, o ile w ogóle będziemy mieli szansę na przetrwanie. Mieszkańcy prawdziwie dzikich terenów – tych części Thaisii, w których nigdy nie było nic ludzkiego – nie chcą już, by zmiennokształtni, tacy jak Wilcza Straż, pełnili rolę bufora między nimi i nami, ponieważ właśnie pokazaliśmy im, że możemy i chcemy zabić *terra indigena*, którzy z nami współpracują. Teraz więc u naszych bram czekają inne gatunki tubylców ziemi. Zadeklarowali już, że nadużyliśmy ich zaufania, i ograniczyli nam dostęp do dróg biegnących przez ich ziemię i łączących populacje ludzi. Od tej pory powinniśmy chyba założyć, że te drogi w ogóle nie istnieją. Nie istnieją dla pojazdów na drogach ani dla pociągów. A już z pewnością nie istnieją dla statków pływających po jeziorach czy rzekach. – Burke złapał brzegi mównicy. – To, co teraz powiem, musi pozostać między nami. Będziecie chcieli powiedzieć o tym członkom swoich rodzin, przyjaciołom i najbliższym sąsiadom, ale pamiętajcie, że jeśli to uczynicie, wywołacie panikę w kwestii czegoś, co – mam nadzieję – nigdy nie nastąpi. – *Zagłada*, pomyślał Monty i zadrżał na wspomnienie słów Simona, który stwierdził, że nie boi się ludzi, bo większość z nich i tak zginie. – Każdy członek rodziny powinien mieć spakowaną torbę na wypadek konieczności nagłego wyjścia z domu – kontynuował Burke. – Kilka zmian ubrań, przybory toaletowe, łącznie z lekarstwami, które musi przyjmować dana osoba. Miejcie osobną torbę na leki stosowane ogólnie i wszystko do pierwszej pomocy albo to, co najważniejsze, włóżcie do toreb dla dorosłych. Dodajcie listę kont bankowych i wszystkie ważne dokumenty, których nie trzymacie w skrytce. Umieśćcie te torby w miejscu, z którego będą mogły bez trudu zostać zabrane. Być może wasze rodziny będą musiały opuścić domy w ciągu kilku minut.

Zapadła cisza. Funkcjonariusze zaczęli niepewnie się rozglądać. Louis Gresh odchrząknął.

– Spakowanie toreb jest w porządku, ale dokąd miałyby uciekać nasze rodziny? Jeśli *terra indigena* mają zamiar zaatakować nas za to, co się wydarzyło w innej części Thaisii, i jeśli sugerujesz, że skoro nie

będziemy już mogli korzystać z dróg na dzikich terenach, to Inni będą atakować każdego, kto spróbuje wyjechać z miasta, dokąd mamy uciekać?

– Tutaj – odparł ponuro Burke. – Współpracowaliśmy z Dziedzińcem w Lakeside przez wiele lat i zaskarbiliśmy sobie zaufanie jego przywódców. Myślę, że jeśli odpowiednio to rozegramy z Simonem Wilczą Strażą, być może uda mu się zapobiec bezpośredniemu atakowi na ten budynek i jego pracowników. Może zechce nam pomóc.

– Kapitanie? – Kowalski podniósł rękę. – Dlaczego teraz?

– Niektórzy z was poznali mojego kuzyna Shamusa Burke’a, który przyjechał do nas z Brytanii. Dzisiaj rano otrzymałem od niego telegram i to jest druga przyczyna, dla której zwołałem to zebranie. – Burke spojrział na komendanta. – Nie wiem, czy te wieści trafiły do oficjalnych kanałów, ale Celtycko-Romańska Wspólnota Narodów zaatakowała *terra indigena* żyjących wzdłuż jej granic. Mają nowy rodzaj broni: samoloty – które mogą latać na długie dystanse i zrzucać bomby, niszczące budynki i zabijające wielu ludzi. Zbombardowali osady *terra indigena* znajdujące się między Cel-Romanią a dzikimi terenami. Następnie oddziały dobiły Innych, którzy przetrwali bombardowanie. Podczas jednego ataku Sojusz Narodów rozszerzył swoje granice o wiele kilometrów.

– A co zrobili *terra indigena* w odpowiedzi na te ataki? – spytał komendant.

– Nic. – Burke pobladł jeszcze bardziej, choć wydawało się to niemożliwe. – Nic nie zrobili. Jeśli przeczytacie historię Thaisii – albo poznacie spekulacje na temat dawnych konfliktów między ludźmi a *terra indigena* na całym świecie – przekonacie się, że oni na początku nic nie robią, tylko rozważają ewentualne działania i zachowania drapieżników, chcących przejąć ich terytorium. Te godziny lub dni to przeważnie cisza przed straszliwą burzą. Nie mam wątpliwości co do tego, że *terra indigena* napadną na Cel-Romanie. Jeśli będziemy mieć szczęście, być może Inni z terenów dzikich nie zrozumieją, że ruch Ludzie Przede i Nade Wszystko jest wspólnym mianownikiem między atakami na Wilczą Straż w Thaisii i próbą przejęcia ziemi przez Cel-Romanie, wskutek czego zginęło wielu *terra indigena*. – Zamilkł. Po dłuższej

chwili dodał: – To wszystko.

Monty wyszedł z sali razem z resztą mężczyzn. W mieszkaniu jego siostry nikt nie odbierał telefonu, od czasu ostatniej wiadomości od matki nie miał z nimi żadnego kontaktu. W tej chwili mogły być wszędzie – a nigdzie nie było bezpiecznie.

– Poruczniku, czy mam przyprowadzić samochód? – spytał Kowalski.

Monty pokiwał głową.

– Sprawdź tylko wiadomości i możemy jechać.



Tuż przed zmierzchem Simon pobiegł do miejsca na Dziedzińcu, w którym mieszkały Żywioły.

Były wszystkie poza Jesienią i Zimą.

– Wilku? Czy masz odpowiedź? – zapytała Powietrze.

Możliwe. Omówił to z Blairem i Nathanem, Henrym, Vladem i Nyx. Rozmawiał nawet z Tess, żeby znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego w dwóch częściach Thaisii ludzie zabili Wilczą Straż. Przecież powinni wiedzieć, że tak zwane zwycięstwo będzie jedynie krótkotrwałą iluzją. *Czasami drapieżniki sprawdzają stado, żeby zdecydować, które zwierzę będzie najlepszą ofiarą. Ale jeśli ofiara już została wybrana, niektóre drapieżniki ruszą za innym zwierzęciem i rozbiją stado, tak by znalazła się w mniejszej grupie zwierząt. Ruszamy za jednym zwierzęciem, żeby upolować inne.*

Simon uważnie patrzył na Żywioły. Nie miał pewności, czy odpowiedź, jakiej im udzielił, miała dla nich jakiś sens.

– Gonienie jednego, żeby zabić inne – powiedziała w zamyśleniu Woda. – Zaatakować w jednym miejscu, tak żeby nikt nie zauważył początku prawdziwego ataku.

Tak. Starał się zachować spokój. Miał wrażenie, że otacza go niebezpieczny ładunek, coś jak burza, przed którą nie było ani jednego ostrzegawczego grzmotu.

– Przekażemy twoje słowa Oceanowi – powiedziała Woda.

Spotkanie zostało zakończone.

Simon pobiegł z powrotem do Zielonego Kompleksu. Poruszał się tak, jakby na niczym mu nie zależało. Uważał, że Dziedziniec nie

znajdzie się w niebezpieczeństwie dopóty, dopóki którykolwiek z jego mieszkańców nie zostanie uznany za wroga. Będzie musiał pomyśleć, w jaki sposób podzielić stado policji i wybrać tych funkcjonariuszy, którym ufał i których wpuściłby na Dziedziniec, by zapewnić im taką ochronę, jaką mają mieszkający w nim *terra indigena*.

Gdy dotarł do Zielonego Kompleksu, Meg właśnie opuszczała zimowy ogród.

– Simonie, musimy porozmawiać – powiedziała. – Nie musisz się zmieniać. Po prostu mnie wysłuchaj.

Nie wiedział, czy podobają mu się te zasady, ponieważ nie będzie mógł wyrazić swojego zdania, ale postanowił nie dyskutować. Zawrócili do ogrodu zimowego. Usiadła na szezlongu, a on zajął miejsce naprzeciw niej. Przednie łapy ustawił po obu stronach jej stóp i przysunął się do niej tak blisko, że jej kolana dotykały jego piersi.

Powiedziała mu o kartach, które wyciągnęła, zastanawiając się, co się stanie po śmierci Wilków. Powiedziała mu o znaku zapytania na karcie.

– Tak naprawdę to nie była przepowiednia, ale pomyślałam sobie, że powinieneś o tym wiedzieć – stwierdziła na koniec.

Pomyślał, że to bardzo właściwa przepowiednia. Jean widziała wizję Lakeside jako jednego z niewielu ludzkich miast, które przetrwało. Teraz Meg zobaczyła niejasną przyszłość. Po wieczornym spotkaniu z Żywiołami miał ochotę się z tym zgodzić. Niezależnie od tego, jakie działania i decyzje podejmą ludzie i Inni, w najbliższych dniach miały rozstrzygnąć się losy Lakeside.

Nie chciał, żeby Meg była nieszczęśliwa, więc polizał ją po nosie. Zaśmiała się i wyciągnęła na szezlongu. Położył się obok i pomyślał o ludzkich samcach i samicach, i o tym, jak te ostatnie często skarżyły się w telewizji, że samce z nimi nie rozmawiają i nie potrafią się porozumieć.

On i Meg porozumiewali się bardzo dobrze, nawet gdy pozostawał pod postacią Wilka. Być może szło im to lepiej niż w przypadku dwojga ludzi, bo ona nie oczekiwała, że on będzie się odzywał. Uważał, że to bardzo zabawne.

Gdy zasnęła, kilka razy po przyjacielsku polizał jej rękę.



Słowa stały się myślami niesionymi przez wiatr, który marszczył powierzchnię jezior; przez smak trawy; przez dym unoszący się nad krótkotrwałym naturalnym ogniskiem. Te myśli, te pomysły płynęły szybko na północ, południe, wschód, zachód.

Smakując je, gdy dotarły do spienionej fali, Alantea sprawiała, że zmieniały się z powrotem w słowa.

Odwrócenie uwagi. Dywersja. Atak w jednym miejscu, żeby zniszczyć prawdziwą ofiarę, która mieszkała gdzie indziej.

Mogę odwrócić uwagę. Alantea wysłała tę myśl – w formie pocałunku – na brzeg Thaisii.

My możemy być dywersją, zaproponowały Żywioty.

Poczekają na odpowiedź zębów i pazurów Namid.

Żywioty, od najmniejszych aż po te najpotężniejsze, czekały na

odpowieź przez dwa dni.

A potem, przez zaledwie ułamek sekundy, straszna i przerażająca cisza utworzyła powłokę na całym świecie. Po chwili powłoka zniknęła, pozostawiając po sobie odpowiedź.

*Odwrócenie uwagi. Dywersja. Zniszczenie prawdziwej ofiary.
Zdziesiątkowanie stad.*



Od strony położonej najdalej na północ części Thaisii zaczął wiać wiatr.

Południowy wiatr też drażnił wodne Żywioły żyjące wokół zatoki tak długo, aż wreszcie uderzyły, tworząc przypływy, które przelały się przez mury wzniesione przez ludzi w celu ochrony miast.

Jeden z Żywiołów, znany jako Ziemia, udawał, że kłóci się z Pacyfikiem, Żywiołem, rządzącym w Oceanie Pacyficznym. Ziemia tupnęła nogą, a następnie wskoczyła na grzbiet Tsunami i ruszyła na Wschodnie Wybrzeże Thaisii. Pacyfik, śmiejąc się, utworzył Tajfun i zaczął go gonić, cały czas rozważając, czy odciągnąć nadchodzącą burzę od wybrzeża, czy też pobiec z Ziemią i karmić burzę tak długo, aż rozwinie ona swój potencjał.

A w głębi Burzowych Wysp Alantea stworzyła Huragan i zaczęła go ujeżdżać.



Sobota, 30 czerwca

Nadzieja zmarszczyła czoło, patrząc na swój niedokończony rysunek. Dom Wilczej Straży wyglądał normalnie. Tak samo jak drzewa i trawa. Ale prawdziwe niebo było bezchmurne, błękitne, a niebo, które narysowała – ciemne i złowieszcze. Cienie burzowych chmur przypominały istoty z zębami i kłami.

Wyrwała kartkę ze szkicownika i odwróciła ją na drugą stronę. Nie miała zamiaru kończyć tamtego rysunku, ale Jackson powiedział, że wkrótce papier może być trudno dostępny, więc nie chciała go marnować.

Odepchnęła szczeniaka, który zaczął wachać jej kolorowe kredki.

– To nie są gałązki do żucia!

Delikwent zawył żałośnie. Drugie młode wydało z siebie odgłos,

który mógł być tylko śmiechem. Następnie wszystkie szczeniaki odeszły od niej i zaczęły się bawić w walkę – powarkiwały, przewracały się i ganiały.

Gdy wzięła do ręki czarną kredkę, była już bardziej rozluźniona. Od czasu, gdy jej historyczne ostrzeżenie pokrzyżowało plany ataku na Wilki, towarzystwa zawsze dotrzymywało jej kilka młodych. Cały czas ją obserwowały, by wyłapać jakikolwiek sygnał, zapowiadający szaleństwo. Najmłodsze szczeniaki nie wiedziały, co się działo i dlaczego; wiedziały tylko, że dorośli odpowiedzieli na niewidzialne niebezpieczeństwo – a ich Nadzieja na swój sposób wydała z siebie ostrzegawczy ryk.

Tak więc była pilnowana. Również przez młode Jastrzębie, Orły i Kruki. Dostrzegła nawet jedną z wielkich złotych Panter, która obserwowała ją z oddali.

Może powinna wejść do domu i napisać list do Meg Corbyn. Albo poprosić Grace o pozwolenie na pójście do kabiny komunikacyjnej, skąd mogłaby wysłać krótki list. Nie wiedziała, co powinna napisać, ale nagle wydało jej się to konieczne.

– Nadziejo? Co to jest?

Zamrugła i skupiła się na Jacksonie, który kucnął obok niej. Dlaczego słońce świeciło tak jasno? Czyżby się zdrzemnęła?

– Co jest co?

Wskazał kartkę papieru.

– To.

Zrobiło jej się trochę niedobrze, gdy spojrzała na prosty, niemal dziecinny obrazek. Nie pamiętała, żeby go rysowała.

Kontury granicy Thaisii, litery V, by zaznaczyć góry. Grubszymi kreskami wyznaczyła granice poszczególnych obszarów, najgrubsza dzieliła Region Środkowo-Zachodni na Północ i Południe. Nad jedną z linii narysowała szkło powiększające, przez które było widać druty i słupy linii telefonicznych i telegraficznych biegnących wzdłuż dróg. Jednak żadne druty nie łączyły słupów po obu stronach granic. Zamiast tego wzdłuż dróg leżały poukładane w stosy ludzkie czaszki, a na słupach widać było głębokie ślady pazurów.

Jackson wziął kartkę, odwrócił ją i przyjrzał się niedokończonemu

rysunkowi przedstawiającemu burzę.

– Czy mogę wysłać maila do Meg Corbyn? – spytała Nadzieja.

Spojrzał w jej bursztynowe oczy.

– Czyżbyś chciała jej coś powiedzieć?

– Nie mam pojęcia. Po prostu chciałam... wysłać do niej maila. –

Dopóki jeszcze mogę.

– Będę się kontaktował z Simonem Wilczą Strażą. Powiem mu, że pytałaś o Meg – powiedział to, niemal warcząc.

– Czyżbym znowu spowodowała jakieś kłopoty?

– Ostrzeganie nas przed kłopotami to nie to samo, co ich powodowanie. – Wstał. – Ale nie dawaj szczeniakom masła orzechowego i chleba. To twój pokarm.

– Nic im nie dałam – zagrzmiała. Jednak o wiele bardziej niż przysmak wolała mieć palce. Chociaż patrzenie, jak szczeniaki próbują zlizać masło orzechowe z nosów było bardzo zabawne.

Jackson westchnął i odszedł.

Zebrała przybory do rysowania i sprawdziła, czy ma wszystkie kredki. Teraz posiedzi na ganku i poczyta albo pomoże Grace przy pracach domowych. Zrobi wszystko, co zajmie jej myśli na tyle, by nie zauważyła chwili, w której niebo zmieni się z błękitnego w burzowe.



Jackson włożył rysunek Nadziei do kartonowej tuby i pobiegł do kabiny komunikacyjnej. Wiek temu *terra indigena* mieli niewielkie pojęcie o drutach i słupach wykorzystywanych przez ludzi do komunikowania się. Po prostu zajmowali swoją część ziemi i mieli świadomość istnienia sąsiadujących z nimi stad tubylców ziemi. Było to dobre i konieczne, zwłaszcza dla młodych Wilków, które musiały zostawić swoje stada i szukać samic lub samców. Bardziej żądne przygód Wilki przejechały długą drogę, by poznać inne części Thaisii i żyjących w nich *terra indigena*. Gdzieś po drodze część z nich zaczęła rozumieć znaczenie tych drutów i słupów dla mądrych małą, które co roku zajmowały odrobinę więcej ziemi, aż wreszcie Starsi się postavili i powiedzieli, że nie dadzą więcej dzikiej ziemi drapieżnikom na dwóch nogach.

Druty i słupy umożliwiały ludziom rozmawianie ze sobą na duże

odległości. To było dobre, a nawet korzystne zarówno dla Innych, jak i dla ludzi, zwłaszcza gdy ustalano transport jedzenia z miejsca na miejsce czy na przykład sprzedaż potrzebnych koców. Ale ludzie wykorzystywali druty i słupy do planowania ataków na *terra indigena*, a teraz on był jedynym Wilkiem, który wiedział, w jaki sposób miały one pomóc Starszym.

– Jacksonie?

Odwrócił się od kabiny komunikacyjnej i poczekał, aż intuicyjni mężczyźni do niego dojdą. Wtedy spytał:

– Czy z młodymi wieszczkami wszystko w porządku?

– Tak. Są dziś trochę nerwowe, ale wszystko z nimi w porządku. – Popatrzyli po sobie, a potem znowu na niego. – Słyszał pan dzisiejsze wiadomości? Na Zachodnim Wybrzeżu panuje dziwna pogoda. Zderzyły się ze sobą tsunami i tajfun, przerywając dwie burze, zanim te zdołały się rozwinąć. Teraz jednak burze stały się silniejsze i uderzą w większą część Zachodniego Wybrzeża. Ludzie, którzy obserwują pogodę, potrafią wyjaśnić tylko tyle, że z północy nagle napłynęło mroźne powietrze, a z południa – gorące. Natomiast na Wschodnim Wybrzeżu zbiera się potężny huragan. Nie jesteśmy pewni, czy mamy szykować się na pogodę znad gór na zachodzie czy z północy. Ale przeczuwamy, że w ciągu kolejnych kilku dni będzie naprawdę ciężko.

Popatrzyli na kartonową tubę i wtedy Jackson pomyślał o chmurach burzowych., które narysowała Nadzieja. Nadchodził więcej niż jeden rodzaj burzy.

– Będzie ciężko – zgodził się.

– Chodzi o to, że pożar, który zwrócił się przeciwko ludziom próbującym nas spalić, nie strawił całej Wioski Wytrzymałych. Zakładamy, że nie wszyscy mieszkańcy tego miasta byli na usługach ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko. Chyba że wiedzieli, co oni planują.

– To prawdopodobne.

– Kilgoro z nas miało przecucie, że powinniśmy się tam udać i upewnić się, że ci ludzie mają dostatecznie dużo zapasów, żeby przetrwać burzę. Gdybyśmy mieli stać z boku i pozwolić im cierpieć, zachowalibyśmy się nie w porządku.

Gdyby chodziło o nas czy o was, oni zrobiliby dokładnie do samo.
A może nie. Wszyscy ludzie byli wrogami, ale nie wszyscy byli źli.

– Dlaczego mi to mówicie?

Chwila wahania.

– Chcieliśmy prosić o pozwolenie. Może mógłby pan dać znać innym... gatunkom, że jedziemy do Wioski Wytrzymałych za pańską zgodą.

– Wydaje się wam, że potrzebujecie mojej zgody?

– Tak. Jesteśmy pewni, że jej potrzebujemy.

Żadnej ochrony. Teraz obecność Starszych odczują nawet tereny wykorzystywane przez ludzi do zbierania plonów i wypasu bydła. Każdy człowiek, który się tam zapyści, może nie wrócić do domu.

Spojrzał w górę i dostrzegł Orła.

Orle? Możesz obserwować i eskortować tych Intuitów? Gdyby Starsi pytali, powiedz im, że ci ludzie mają moje pozwolenie na pójście do innej wsi.

Cisza.

Będę obserwować. Jeśli ktoś mnie o to spyta, powtórzę twoje słowa.

– Idźcie już – zwrócił się do mężczyzn. – Ale wróćcie do swojej wsi, zanim zapadnie zmrok. – Zawahał się. Instynktownie nie ufał ludziom, którzy walczyli z faktem, że wybrał współpracę z Intuitami ze Sweetwater. – Gdy wrócicie, poinformujcie resztę Intuitów, że ten sposób komunikacji między poszczególnymi regionami może być utrudniony. Myślę, że będziemy mogli korzystać z telefonów i wysyłać telegramy, ale będziemy odizolowani.

– Na jak długo?

Na zawsze?

– Nie wiem.

– W takim razie jeden z nas zostanie i zacznie od razu ostrzegać innych.

Jackson kiwnął głową, po czym wszedł do kabiny komunikacyjnej i pozdrowił dyżurującą Wronę. Być może Simon o tym wiedział – albo wiedział jeszcze więcej i robił już plany dla Dziedzińca w Lakeside. Ale szczenięta Wilczej Straży w Złotej Prerii były bezbronne. A tamtejsza

wioska Intuitów była taka, jak ta tutaj – niewielka społeczność, która może nie przetrwać zbyt długo, jeśli zostanie odcięta od wszystkich innych.

Wyjął rysunek z tuby i przyjrzał się chmurom burzowym. Następnie zwinął arkusz i sięgnął po telefon. Najpierw spróbuje zadzwonić do Simona, a potem do Jesse Walker i Tolyi Sanguinatiego. Jeśli dobrze interpretował narysowaną przez Nadzieję wizję, to nie tylko Żywioły chcą rozerwać Thaisię na strzępy.

Do: Wszystkie intuickie wioski i osady

Wskutek nadchodzących burz mogą zostać zerwane linie komunikacyjne. Czas trwania awarii jest nieokreślony. Zaleca się, by trzy lub cztery wioski o największej szansie na przetrwanie burzy zostały centrami komunikacyjnymi w swoich regionach. Zaleca się również, żeby każda wioska wysyłała codziennie krótki raport do centrum komunikacyjnego w celu potwierdzenia swojego statusu.

Chrońcie zapasy i bydło, najlepiej jak potraficie. Niech bogowie mają nas w swojej opiece.

Dyspozytor Sweetwater,

Region Północno-Zachodni

Do: Ojciec

We Wschodnie Wybrzeże uderza huragan. Poparcie dla LPiNW gwałtownie spada. Ostatnie statki wypłynęły z Toland dziś wieczorem. Wkrótce będziemy razem świętować zwycięstwo Cel-Romanii.

MS



Sobota, 30 czerwca

Simon ledwo zdążył skończyć rozmowę telefoniczną z Jacksonem i przekazać informacje Vladowi, a już Steve Przewoźnik wpadł do magazynu Zabójczo Dobrych Lektur. Unikał Vlada, który próbował go powstrzymać.

– Widzieliście to? – Położył na blacie kartkę papieru.

Simon przeczytał ostrzeżenie, a następnie przesunął arkusz w stronę Vlada.

– Tego nie widzieliśmy, ale właśnie rozmawiałem z Jacksonem Wilczą Strażą, który powiedział mi to samo.

Steve głośno wypuścił powietrze.

– Penny Saniarz mianowała się koordynatorką do spraw meldunków na naszym terenie.

– Czy to nie ty, jako burmistrz Przystani Przewoźników, powinieneś wyznaczać właściwych ludzi? – spytał Vlad.

– Penny i moja mama pomagały mi poradzić sobie z lawiną zapytań o *cassandra sangue*. Teraz będziemy mieć jeszcze więcej pracy. Moja mama i tata budują barcę, dzięki której będzie można przewozić zapasy na wyspy; brat przewozi promem tyle, ile tylko może. Tak więc jeśli Penny chce się tym zająć, niech rzeka ją błogosławi. Ja próbuję ostrzec wszystkich na czas. – Przerwał na chwilę. – Czy myślicie, że stracimy linie wysokiego napięcia i telefony? Cóż, nie da się tego stwierdzić na pewno, prawda? Drzewa powyrywane z korzeniami mogą zerwać linie i pozbawić prądu cały obszar.

Simon pomyślał o kartach, które Meg wybrała w odpowiedzi na zadane pytanie. Spojrzał na Vlada. Do pewnego stopnia odczuwali wszystkie burze, nie miał jednak powodu, by zakładać, że intuickie wioski będą musiały stawić czoła kłom i pazurom Namid, po co więc dodatkowo straszyć Steve'a?

Powinniśmy mu coś powiedzieć, rzekł.

Vlad oparł się o blat.

– Możliwe, że jeśli burze będą zbyt gwałtowne, linie energetyczne zostaną zerwane. Ale przecież można je naprawić. Utrata możliwości komunikacji między regionami powinna być traktowana jako długoterminowa, a Intuici i *terra indigena* powinni się zastanowić, w jaki sposób to zrównoważyć.

Patrzyli, na minę Steve'a, rozważającego wszystkie rozwiązania, i zauważyli chwilę, w której zrozumiał, że granice Thaisii mają ulec zmianie.

– A co z radiem? – spytał. – I telewizją? To również są formy komunikacji.

Myślisz, że Starsi je rozważali? spytał Vlad.

Nie, odparł Simon. *Nie było powodu, dla którego mieliby to uczynić. Ale jeśli te środki komunikacji zaczną sprawiać jakieś problemy, Żywioty bez problemu sobie z nimi poradzą.*

– Jeżeli będziemy we właściwy sposób wykorzystywać te formy kontaktu, prawdopodobnie pozostaną one nienaruszone – rzekł dyplomatycznie Vlad.

– Dobrze. – Steve podrapał się po karku. – Pojadę teraz do Osiedla Nadrzecznego i upewnię się, że ludzie wszystko pozamykali i zabezpieczyli. Wszystkie zapasy poza jedzeniem składujemy w starym budynku przemysłowym. Aha, wczoraj przybyło kilku nowych mieszkańców. Roy Panterza Straż? Zakładam, że jest kontrolerem w tej społeczności?

– Jeśli pojawią się jakieś problemy, z pewnością sobie z nimi poradzi – rzekł wymijająco Simon. Steve mógł sobie wyobrazić, jak Roy rozwiązuje problem za pomocą swoich pazurów. – Kto jeszcze przyjechał?

– Dwie pary. Obie twierdzą, że są z Rysiowej Straży, ale jedni są Rysiami Rudymi, a drudzy Zwykłymi.

– Nazwa straży może być specyficzna dla konkretnej formy, ale czasem stanowi ogólne określenie dla *terra indigena*, którzy przyjmują postaci od spokrewnionych ze sobą zwierząt – wyjaśnił Vlad. – Niedźwiedzia Straż obejmuje wszystkie gatunki niedźwiedzi. Panterza Straż obejmuje to, co ludzie nazwaliby panterami, pumami, kuguarami, jaguarami, lampartami i pewnie jeszcze kilkoma innymi gatunkami.

– Dobrze wiedzieć. – Steve odszedł od lady. – Będziemy w kontakcie.

Poczekali na trzaśnięcie drzwi od zaplecza. Simon odezwał się pierwszy:

– Potem przyjdą Starsi.

– A jeszcze później przyjdzie śmierć – dodał Vlad. – Nie okażą nam zbyt dużo litości, o ile w ogóle jakąś okażą.

– A ile litości okazali ludzie, zabijając tylu członków Wilczej Straży na Środkowym i Północnym Zachodzie? Ile litości okazali, atakując nas tutaj? Albo gdy zrzucali bomby na *terra indigena* strzegących granic Cel-Romanii?

– Czyli tak właśnie mamy się zachowywać?

Simon pokręcił głową.

– Nie chcę być tak ludzki. Nie możemy ochronić wszystkich mieszkańców Lakeside przed burzami czy Starszymi. Ale możemy spróbować ochronić ludzkie stado. Jeśli przyprowadzimy ich na Dziedziniec, być może Starsi zostawią ich w spokoju.

– Niektórzy członkowie tego stada są związani z ludźmi, którzy nie chcą mieć z nami do czynienia. Czy wpuścimy potencjalnego wroga, żeby chronić przyjaciela?

– Nie. Jeśli ktoś z ludzkiego stada nie będzie chciał zaakceptować naszych warunków, to jego decyzja...

Gdy zadzwonił telefon, Simon warknął.

– Rozmowa może dotyczyć rozkazu – uświadomił go Vlad. – Nadal otrzymujemy rozkazy od *terra indigena*.

Słuszna uwaga. Simon podniósł słuchawkę.

– Zabójczo Dobre Lektury, słucham. Tak, przy telefonie. Tak, pamiętam, kim pan jest. – Musiał zacząć warczeć, bo Vlad go szturchnął.

– Proszę zostać na miejscu, przyjedziemy po pana. – Odłożył słuchawkę i zwrócił się do przyjaciela: – Nie szturchaj mnie.

– Ja tylko próbuję pomóc. – Vlad puknął w telefon. – Kto potrzebuje podwózki?

– Agent Greg O’Sullivan. I stado porucznika Montgomery’ego. Pojadę z Blairem i odbiorę ich ze stacji.

– A ja zadzwonię do porucznika i poproszę kapitana Burke’a, żeby wstąpił do mnie na słówko. – Vlad ruszył w stronę magazynu i schodów. Po chwili jednak się zatrzymał i odwrócił. – Wiesz, gdzie jest teraz Michael Debany?

– Pracował w ogrodzie Zielonego Kompleksu. Może nadal tam jest albo szykuje się do pracy. – Simon spróbował stłumić ekscytację, gdy dodał: – Jeździ na rowerze do ogrodu i z powrotem. – Osobiście nie miał zamiaru uczyć się jazdy na rowerze, ale bardzo pragnął jakiś pogonić. Na nogach ludzie byli zbyt wolni, żeby można było się zabawić w ganieanie. Pomijając Meg, ale to była inna zabawa. Natomiast taki rower... Ta rozrywka będzie jednak musiała poczekać. – A po co ci on?

– Muszę z nim porozmawiać w imieniu Tolyi – odparł Vlad.

Podeszli do tylnego wyjścia. Zatrzymali się na chwilę, żeby powiedzieć Merri Lee, by zajęła się sklepem. Następnie Vlad zamienił się w dym i ruszył do Zielonego Kompleksu, a Simon poczekał na Blaira, który miał podjechać vanem.

Gdy stado robiło się zbyt duże, trudno było zdobyć dostateczną ilość pożywienia, by wszystkich nakarmić. Problem polegał na tym, że

do ich stada dołączało coraz więcej dwunożnych drapieżników, które nie były zbyt dobre w zdobywaniu swojego mięsa.

Będą musieli zapracować sobie na wyżywienie i nocleg, tak jak wszyscy na Dziedzińcu. To niepracowanie latem było bardzo dziwnym pomysłem. Przecież latem, tak jak w każdą inną porę roku, też trzeba jeść. A jedzenie wymagało pracy.

Nie mógł teraz powiedzieć, czy burza, która dotrze do Lakeside, przyjdzie znad Wielkich Jezior czy znad Wschodniego Wybrzeża – albo z obu tych miejsc jednocześnie. Nie można było ustalić, ile zostało im czasu na zgromadzenie zapasów.

Czekając na Blaira, wszedł do biura łącznika. Musiał powiedzieć Meg, że ona i stado samic jeszcze tego dnia muszą zamówić książki do szkoły. Przy odrobinie szczęścia część z nich dotrze do nich jeszcze przed nadejściem burz – i Starszych.



Vlad przybrał ludzką postać, zczekał, aż Michael Debany go zobaczy, i dopiero wtedy wszedł do ogrodu.

To zawsze była cudowna chwila – dwa serca zaczynały szybciej bić, gdy ofiara i drapieżnik się rozpoznawali. Ale w przypadku ludzi po ułamku sekundy doświadczenia ostatnich lat wyciszały instynkt istniejący od pokoleń.

– Cześć – rzucił Debany. – Nieźle to wygląda, prawda?

Vlad nie widział żadnej różnicy w porównaniu do dnia poprzedniego, jeśli chodzi o ilość pokarmu w ogrodzie, ale pokiwał głową.

– Prawda. Masz chwilę?

– Pewnie. – Debany wyjął z małego plecaka ręcznik i butelkę wody. Napił się, oblał sobie twarz i wytarł ją ręcznikiem. – O co chodzi? – spytał swobodnie. Z ufnością. Przynajmniej starał się, by jego słowa tak zabrzmiały.

– Masz siostrę.

– Mam. – Ton nadal swobodny, ale w oczach pojawiła się czujność.

– Lubi zwierzęta.

– Tak. Ukończyła szkolenie na asystentkę weterynarza. Nasza

rodzina nie mogła zapłacić za dalsze kształcenie, więc siostra wróciła do domu, żeby znaleźć sobie pracę i odłożyć pieniądze na naukę. Szukała pracy związanej ze zwierzętami. Wiesz, żeby nabrać doświadczenia i jeszcze dostawać za to pieniądze.

To samo można było powiedzieć o młodszych mieszkańcach Dziedzińca.

– A czy kiedykolwiek rozważała wyprowadzkę?

– Możliwe. Ale po tym wszystkim, co się wydarzyło, nie chciałbym, żeby się stąd wynosiła.

– Nawet jeśli zapewniono by jej największe możliwe bezpieczeństwo?

– To znaczy?

– Nie możemy za nią odpowiadać, jeśli wsadzi rękę w jakąś norę i zostanie ukąszona przez grzechotnika. Z pewnością jednak nikt nie będzie chciał jej zjeść. – Vlad przyjrzał się twarzy Debany'ego. Słuchał, ale nie reagował. Typowe dla policjanta. – Tolya Sanguinati dowodzi teraz miastem Bennett.

– Słyszałem. – Głos pozbawiony emocji.

– W takim razie wiesz również, że nie ma tam już żadnych ludzi. – Kiwnięcie głową. – Przetrwały jednak domowe zwierzęta, które wymagają opieki, podobnie jak zwierzęta gospodarskie. Sanguinati, Wilcza Straż i inne gatunki *terra indigena* właśnie jadą do Bennett. Niektórzy Intuici będą tam pomagać w otwieraniu sklepów i zakładów, niezbędnych do obsługi stacji kolejowej. Nie będzie zbyt dużo ludzi, takich jak ona, przynajmniej na początku, ale będzie miała okazję do wykonywania pracy, którą, jak mówisz, chce wykonywać.

– A kto teraz zajmuje się tam zwierzętami?

– Nie mam pojęcia. Pewnie ten, kto po prostu tam jest.

Debany wytarł twarz rękawikiem.

– Powiem jej o tym. To musi być jej wybór.

Przypominasz o tym mnie czy sobie?

– Odpowiedź i tak będzie potrzebna dopiero po przejściu tych burz. *Gdy przekonamy się, co w ogóle zostało z Thaisii.*



– Dzięki, że nas odebraliście – powiedział Greg O'Sullivan, gdy

Simon podszedł do krzeseł na stacji kolejowej, gdzie agent Biura Śledczego strzegł czterech samic.

Wilcza Straż już miał mu powiedzieć, że Blair i tak musiał przyjechać na stację, by zabrać rzeczy, które zamówili na potrzeby Dziedzińca, ale to mogłoby zabrzmieć tak, jakby ludzie byli zbędnym balastem. Odparł więc tylko:

– Nie ma sprawy.

Wstała najstarsza samica. Była niska i chuda, miała ciemną karnację, brązowe oczy i krótkie włosy, bardziej siwe niż czarne. Druga dorosła samica była młodsza, miała czarne włosy i ciemną karnację, ale jej oczy błyszczały zaskakującym odcieniem zieleni.

O’Sullivan dokonał prezentacji.

– To jest Twyla Montgomery i jej córka Sierra. Dziewczynki to Carrie i Bonnie. Miłe panie, to jest Simon Wilcza Straż, przywódca Dziedzińca w Lakeside.

– Czy możemy mówić do ciebie Wilczku? – spytała dziewczynka, której brakowało z przodu jednego zęba.

– Możesz nazywać go panem Wilczą Strażą albo panem Simonem, tak jak mówiłabyś do każdego innego dorosłego – pouczyła ją Twyla. Nie podniosła głosu ani nie zaczęła grozić, ale poskromiła szczeniaka i nie było wątpliwości, że to pytanie więcej nie padnie.

Simon był pod wrażeniem – zaczął też żywić nadzieję, że wreszcie ktoś będzie potrafił utrzymać ludzkie szczeniaki w ryzach bez konieczności gryzienia ich.

– A jak my mamy do pani mówić?

– Wystarczy Twyla.

Być może. Sprawdzi, co na ten temat myśli porucznik Montgomery.

Ludzie zaczęli zwracać na nich uwagę, nie powinni więc dłużej zwlekać. Wziął część toreb sportowych, ustawionych wokół samic, i spróbował przypomnieć sobie pytania, jakie ludzie zadawali komuś wracającemu z podróży.

– Czy podróż była przyjemna?

– Tak, kiedy już udało się nam dostać miejsca – odparła Twyla. – Gdyby nie interwencja agenta O’Sullivana, pewnie nadal siedzielibyśmy

na stacji w Dyspozytorni.

– Tak? – Simon popatrzył na O’Sullivan, który niósł kilka toreb. Jedna z nich miała czarny kolor, a dwie pozostałe były różowe i pachniały małymi dziewczynkami.

– Było trochę problemów z pociągami wyjeżdżającymi z Toland i wszystkich kierowano przez Dyspozytornię – odparł cicho O’Sullivan. – Teraz, gdy pociągi nie jeżdżą po zmroku, by uniknąć nieprzyjemnych incydentów, zebrało się mnóstwo pasażerów, miejsca siedzące otrzymują tylko ci, których stać na zakup droższych biletów. Gdy przyjechałem, by złapać pociąg do Lakeside, pani Montgomery wraz z rodziną siedziała na stacji w Dyspozytorni od wielu godzin. Kiedy usłyszałem, że jej syn jest policjantem, wkroczyłem do akcji i dałem pracownikom stacji wybór: albo umieszczają nas w wagonie dla VIP-ów, albo zamykam stację, a Biuro Śledcze wszczyna śledztwo w sprawie faworyzowania niektórych pasażerów i niesprawiedliwego traktowania innych.

Simon mimowolnie się uśmiechnął.

– O’Sullivan, masz zęby, chociaż jesteś człowiekiem.

– Dzięki.

Załadowali do vana towary, bagaże i ludzi. Gdy usiadł na przednim siedzeniu pasażera, usłyszał dobiegający z oddali grzmot.



Meg otworzyła furtkę i wślizgnęła się do ogrodu Henry’ego. Nathan nadal był w biurze łącznika, a Jake siedział na żerdzi na ścianie między obszarem dostaw a ogrodem. W tej sytuacji na pewno zostanie ostrzeżona o dostawie.

Pobiegła do drzwi pracowni i zapukała we framugę.

– Henry? Mogę wejść?

Niedźwiedź odstąpił od jednej ze swoich rzeźb i spojrzał na nią pytająco.

– Przecież nigdy nie musiałaś o to pytać.

Weszła i usiadła na ławce, skąd mogła go obserwować, nie przeszkadzając mu w pracy.

– Cieszę się, że przyszałaś. Chciałem ci to pokazać. – Wziął kawałek drewna i usiadł obok niej. – Co o tym sądzisz?

Na środku wieczka zobaczyła niedokończone drzewo. W każdym

rogu znajdowało się coś, co reprezentowało jedną z czterech pór roku.

– Jest cudowne! Czy to wieko skrzyni na karty prorocत्व?

Pokiwał głową.

– Gdy nadejdzie odpowiedni czas, pomożesz mi barwić poszczególne elementy. W ten sposób drewno lepiej cię pozna.

Delikatnie przesunęła palcami po powierzchni wieka.

– Chętnie.

Odłożył kawałek drewna na bok.

– O czym myślisz, Meg? – Uniósł rękę, by nie próbowała się wykpić od odpowiedzi. – Nie przyszlabyś do mnie w godzinach pracy, gdybyś nie chciała porozmawiać, gdy inni są czymś zajęci. A ponieważ mamy nowych gości, wszyscy są zajęci.

– Henry... Ile ludzkiego jest zbyt ludzkie?

W ludzkiej postaci Henry był wielkim mężczyzną o potarganych brązowych włosach i piwnych oczach, ale nie sprawiał wrażenia człowieka. Przynajmniej nie wtedy, gdy go poznała. A teraz? Czyżby po prostu się do niego przyzwyczaiła? A może w ciągu ostatnich kilku miesięcy stracił trochę ze swojej dzikości?

– To zależy, o co pytasz.

– O *terra indigena*, o których nigdy nikt nie mówi. O tych naprawdę niebezpiecznych. No dobrze, ty też jesteś niebezpieczny, ale...
– przerwała, bojąc się, że go uraziła. Ale musiała wiedzieć, więc po chwili podjęła: – Simon przyprowadził na Dziedziniec więcej ludzi. To rodzina pułkownika Montgomery'ego, więc to bardzo miłe, ale czy oni sobie nie pomyślą, że Simon staje się zbyt ludzki, bo spędza z ludźmi tyle czasu? Czy znaleźliście się w niebezpieczeństwie? Czy to moja wina?

Henry pochylił się i oparł dłonie na udach. Na jego twarzy pojawiło się najpierw zaskoczenie, a potem rozbawienie. Po chwili powoli pokręcił głową.

– Długo się nad tym zastanawiałaś?

– Myślisz, że to zabawne?

– Zabawne? Nie. Śmieszne? – Pomachał palcem. – Zawsze istnieje niebezpieczeństwo przejęcia zbyt dużej liczby cech z jakiejś postaci, myślę jednak, że to prawda: pierwsi *terra indigena* przyjęli postać

innego drapieżnika, żeby poznać jego sposób polowania, i w ten sposób stali się jeszcze lepszymi myśliwymi. Ale ludzie to dziwny rodzaj drapieżników. Walczą głównie między sobą... – Wzruszył ramionami. – Tak, o wiele bardziej zaangażowaliśmy się w kontakty z ludźmi i nie chodzi tylko o Lakeside. Tak, istnieje ryzyko, że za bardzo zaangażowaliśmy się w ich sprawy i zapomnieliśmy, kim jesteśmy i czego potrzebuje nasz gatunek. Nie wydaje mi się jednak, by Simon stał się zbyt ludzki, z pewnością nie w negatywny sposób. Wiesz dlaczego? – Pokręciła głową, a on się uśmiechnął. – Bo ty do tego nie dopuścisz.

Wyprostowała się i westchnęła.

– Tess dziwnie się zachowuje.

– Jak to Tess.

– Myślisz, że Działanie nadal będzie mógł kupić budynki mieszkalne po drugiej stronie ulicy?

– Już je kupiliśmy. Ludzie muszą jeszcze zająć się papierkową robotą, ale to już czysta formalność. Wkrótce wszystko powinno zostać sfinalizowane.

– A gdzie chcecie umieścić ludzi do tego czasu? – W kompleksie, w którym dorastała, każda dziewczyna miała własną celę. Na żadnym obrazku treningowym nie widziała kilku osób wepchniętych do jednego pokoju, nawet na krótki czas.

– Na pewno będziesz mogła się wyciszyć, gdy tylko zajdzie taka potrzeba. Nie ponosisz odpowiedzialności za stado porucznika Montgomery’ego; to on ma się tym zająć.

– No cóż, mam zamiar popełnić ten błąd i pokazać im kucyki.

Henry wybuchnął głośnym śmiechem.

– Po ostatnim razie Jester z pewnością nie dopuści cię z małymi ludźmi do Stajni Kucyków.

To fakt – Meg popełniła poważny błąd, pokazując Lizzy kucyki. Nie miała powodu, by podejrzewać, że inne dziewczynki zareagują w ten sam sposób i będą chciały ujeżdżać konie Żywiołów, ale mimo to nie chciała ryzykować.

Na zewnątrz rozległo się krakanie Jake’a. Meg wstała.

– Chyba mam dostawę. Dziękuję, Henry. Pudełko bardzo mi się

podoba.

Pobiegła wzdłuż ogrodu, wypadła przez furtkę i pośpieszyła na zaplecze. Doskoczyła do lady akurat w chwili, gdy dostawca wsiadał do ciężarówki. Paczki i wypełniona karta dostaw leżały na blacie.

Przeniosła pakunki do sortowni, a potem włączyła radio. Nie wiedziała, jak długo słuchała prognozy pogody. Przerwała jej dopiero Tess.

Meg spojrzała na jej poskręcane zielono-rude włosy.

– Jesteś spięta.

– Tak jak ty. – Tess zerknęła wymownie na ramię Meg, która wbijała sobie palce w skórę. – Czujesz mrowienie?

To coś więcej niż mrowienie. Coś znacznie gorszego.

– Nie cięłam się od kilku dni.

– Cięcie nic nam nie powie.

– Mogłoby nam powiedzieć, czy przetrwamy.

Tess nie spuszczała z niej wzroku.

– Nie. Tym razem chyba nie.



Simon zaprowadził kapitana Burke'a i agenta O'Sullivanana na pierwsze piętro ZDL.

– Vlad sprawdza maile, porozmawiamy więc w biurze, tak by mógł nas słyszeć. Chyba że czekamy jeszcze na porucznika Montgomery'ego?

– Był bardzo niespokojny i tak naprawdę nie chciał czekać. Aby uciec przed potężną burzą albo ukryć się przed pożarem, można było wykopać głęboką norę w ziemi – jeśli nie było innej drogi ucieczki. Ale w tej samej norze można było utonąć, jeśli wraz z burzą nadeszła ulewa, albo się udusić, jeśli ziemia się zawaliła. Zmiennokształtni, tacy jak on, nie byli celem burzy, ale mieli dostać takie same ciosy.

– Nie, porucznik chce spędzić trochę czasu ze swoją rodziną – odparł Burke. – Gdy już umieści wszystkich w domu, przekażę mu stosowne informacje.

Jak miał powiedzieć tym ludziom, że spróbuje ocalić część z nich, ale nie może zaryzykować ocalenia innych, należących do tego samego stada?

Sanguinati i Wilcza Straż dotarli do Bennett, powiedział Vlad.

Jakieś wieści od Stavrosa? spytał Simon.

Nie. Vlad zamknął program pocztowy.

Wilcza Straż przyjrzał się Burke'owi.

– Podczas burz Dziedziniec będzie bezpiecznym miejscem. Jeśli stado porucznika Montgomery'ego ukryje się zbyt daleko stąd, może nie zdążyć przyprowadzić ich tu na czas.

– Mój dom nie znajduje się aż tak daleko – odparł Burke. – Poza tym i tak wzięliście już więcej ludzi, niż możecie pomieścić.

– Nie mamy tylu osobnych nor dla każdego nowego przybysza – zgodził się Simon. – Ale nad świetlicą są łóżka, w których można spać. Mogą one służyć za tymczasowe schronienie. Ludzie czasem sypiają na podłodze. Kowalski ma miękki koc, który można rozścielić.

– Ale wtedy musisz chodzić ostrożnie jak kot.

Simon cofnął się, urażony.

– Jestem Wilkiem. *Nie chodzę jak kot!* – O'Sullivan parsknął śmiechem. Burke też się uśmiechnął, ale szybko spowaźniał.

– Proponujecie ludziom schronienie? Dlaczego?

– Nie tylko ludziom – powiedział Simon w tym samym momencie, kiedy odezwał się Vlad:

– Bo nadchodzi potężna burza.

– Owszem – zgodził się Burke. – Pytanie brzmi, z której strony nadejdzie. Teraz mamy kilka możliwości.

– Kapitanie, burza, którą pan widzi, to nie jedyne, co zabije pańskich ludzi – rzekł Vlad.

– Jeśli przepowiednia Jean na temat Thaisii jest wiarygodna, to Lakeside jest jednym z kontrolowanych przez ludzi miast, które przetrwają. – Simon nie wspomniał o tym, że Meg nie była w stanie określić przyszłości Lakeside. Spojrzał na O'Sullivana i dodał: – Drugie to Dyspozytornia.

– A Toland?

– Tak, ale światło było bardzo słabe. – Nie chciał ponosić odpowiedzialności za ludzi, których nie znał, uważał jednak, że taki gest przyjaźni mógł zadecydować o przyszłości Lakeside, w jedną bądź w drugą stronę. – Policjanci, których znamy, oraz ich krewni mogą się tu ukryć. Wydaje nam się, że kły i pazury Namid nie zrobią krzywdy

żadnemu człowiekowi, który będzie z nami na Dziedzińcu.

– To bardzo wspaniałomyślna propozycja – przyznał Burke.

– Ale jeśli wśród tych ludzi będą wrogowie *terra indigena*, możemy nie być w stanie ochronić żadnego z was. – Simon spojrzał na Burke'a, pragnąc, żeby zrozumiał. – Tak więc musicie dobrze przemyśleć swój wybór.

– Robiłem zapasy dla rodzin policjantów, którzy schronili się na komisariacie przy Orzechowej. Możliwość przysłania części z tych osób tutaj... Naprawdę to doceniam. – Przez chwilę Burke zdawał się intensywnie rozmyślać. – Myślicie, że to się stanie wkrótce?

– Gdy tylko któraś z burz uderzy w Lakeside.

– Zakładam, że do tego czasu nie powinienem planować powrotu do Dyspozytorni – powiedział O'Sullivan.

Simon pokręcił głową.

– Porozmawiam z Elliotem, żeby na razie pozwolił ci pracować z konsulatu. Będiesz wtedy mógł dzwonić do gubernatora Hannigana.

O'Sullivan spojrzał na Simona.

– Już teraz zbiera tylu ludzi, ilu zdoła, by zareagować na burze na Północnym Wschodzie. Czy powinien przygotować się na coś konkretnego?

W wodzie czuć już było smak nienawiści, w powietrzu unosił się zapach furii.

– Niech przygotowuje się na śmierć wielu osób.



Monty siedział w Czymś na Ząb, pił kawę i słuchał spokojnej, rzeczowej relacji swojej matki na temat problemów napotkanych podczas kupowania biletów. Zauważywszy napięcie na twarzy Sierry, wywnioskował, że istniało o wiele więcej kłopotów, niż te, o których mówiła Twyla.

Uśmiechnął się do siostrzenic i natychmiast pożałował, że nie może ich posadzić przy innym stoliku albo, jeszcze lepiej, wysłać do Zabójczo Dobrych Lektur, by mógł szczerze porozmawiać z matką i siostrą.

– Ale miałyście przygodę.

Kątem oka dostrzegł ruch. Odwrócił się i zobaczył, jak kapitan

Burke i agent O'Sullivan podchodzą do swojego stolika.

– Szanowne panie – Burke skinął lekko głową w stronę kobiet – bardzo się cieszę, że tu z nami jesteście.

– Będzie pan chciał porozmawiać z Crispinem? – spytała Twyla.

– Tak naprawdę to muszę porozmawiać z większością z was.

Ładnie to ujął, pomyślał Monty. Nie powiedział, że chce, by dziewczynki wyszły – wtedy z pewnością chciałyby zostać – a jednocześnie wyraził się jasno.

– John Wilcza Straż pracuje w księgarni – powiedział Burke. – Poprosiłem go, by pokazał dziewczynkom sklep. Jest tam. – Wskazał ręką w stronę łuku łączącego oba sklepy. John był najgrzeczniejszym Wilkiem na całym Dziedzińcu. Nie dałby się sprowokować dzieciom i z pewnością by ich nie ugryzł, gdyby musiał się nimi zająć przez kilka minut. Uśmiechnął się do Carrie i Bonnie. – Każda z was może sobie wybrać jedną książkę. To prezent ode mnie.

Carrie zeskoczyła z krzesła.

– Możemy dostać...

– Książkę? – Sierra uśmiechnęła się do córek. – Tak, każda z was może dostać książkę, ponieważ wuj CJ wam je kupi.

Sierra nie potrafiła zbyt długo być stanowcza, dziewczynki radziły sobie z matką bez płaczu i dąsów. Natomiast Twyla była aż zbyt radykalna – wystarczyło jedno jej spojrzenie i wnuczki już maszerowały w stronę łuku i czekającego na nie Wilka.

– Pan nazywa się John? – spytała Twyla.

– Tak – padła ostrożna odpowiedź.

– Każda z nich może wybrać po jednej książce, ale nic więcej.

John podrapał się za uchem. Monty poczuł ulgę, że uszy Wilka nie były szpiczaste ani pokryte futrem.

– U nas są tylko książki. I kilka czasopism. I jakieś mapy.

– W porządku.

Po chwili wahania John zaprowadził dziewczynki do księgarni.

Wtedy Nadine podeszła do ich stolika i spojrzała na Burke'a.

– Mogę coś przynieść?

– Wystarczy, że poświęci nam pani kilka minut swojego czasu.

Proszę usiąść, pani Fallacaro.

– Właśnie piekę ciastka...

– To zajmie tylko kilka minut. A jest bardzo ważne.

Usiadła.

Burke poczekał, aż O'Sullivan przystawi sobie krzesło.

– Zaproponowałem, żebyście zamieszkały w drugiej części mojego bliźniaka. – Burke spojrzął na Twylę. – Powiedziano mi jednak, że w obecnej sytuacji o wiele lepiej będzie, jeśli zostanieie tutaj. Będzie tłoczno, zwłaszcza że Simon Wilcza Straż zaproponował schronienie kilku rodzinom policjantów, które uciekają przed nadciągającymi burzami. Jednak jest to jedyne miejsce, w którym możemy zapewnić wam bezpieczeństwo – tutaj też będą ludzie, którzy mogą wam pomóc. – Spojrzął na Nadine. – Pani ma tu pokój, a co z Chrisem?

– Mieszka w jednym z pokoi nad świetlicą. Przychodzi do mnie się kapać.

– Proszę mu powiedzieć, że musi tu zostać do czasu, gdy skończą się burze.

Nadine uśmiechnęła się ponuro.

– Kapitanie, Chris ma złamaną rękę i przyczepiono mu etykietkę miłośnika Wilków. Jest teraz zbyt łatwym celem ataku, by wyjść do ludzi.

Monty skrzywił się, słysząc, w jaki sposób wypowiedziała słowo „ludzie”, ale nie mógł mieć do niej o to pretensji. LPiNW spalili jej sklep i dom, chcieli zabić ją i Chrisa. To nieistotne, co Simon sądził na temat większego zaangażowania się w sprawy ludzi – Wilki stanęły na wysokości zadania, zapewniając Nadine i Chrisowi schronienie i ochronę.

Twyla zawiesiła wzrok na twarzy Monty'ego.

– Burza to część problemów, przez które kazałeś mi jak najszybciej przyjechać do Lakeside?

– Tak, mam.

Spojrzała na Burke'a.

– Jak bardzo będzie źle?

Utkwił w niej nieruchomy wzrok.

– Tutaj, w Lakeside? Nie wiem. Mam nadzieję, że gdy nadejdzie czas zemsty, nasze wysiłki włożone we współpracę z *terra indigena*

będą się dla kogoś liczyć. A w całej Thaisii? Teraz już możemy tylko mieć nadzieję na szczęśliwe zakończenie.

Zadzwoił kuchenny minutnik i Nadine zerwała się na równe nogi.

– Muszę wyjąć ciastka z piekarnika.

– Pani Nadine? – Słyszając cichy głos Twyli, Nadine stanęła. – Czy to pani sklep?

– Ja tu tylko pracuję. To sklep Tess. Nie wiem, gdzie ona teraz jest.

– Wydaje mi się, że nasza trójka musi wkrótce porozmawiać.

Nadine pokiwała głową i pobiegła na zaplecze.

– Uważam też, że powinnam wkrótce porozmawiać również z panem Simonem – ciągnęła Twyla.

Monty położył rękę na jej dłoni.

– Mamo?

– Niezależnie od tego, jakie zapasy zgromadzili dla ludzi, którzy tu mieszkają lub choćby zatrzymali się na kilka nocy, nie wystarczy dla wszystkich osób, które chcą przyjąć i ukryć. Niezależnie od tego, jak bardzo będziecie się starać, ci ludzie będą potrzebowali pomocy. Mam dwie ręce i potrafię pracować. Tak samo jak Sierra. Dzieci też mogą coś robić. Poprosiłeś mnie, żebym przyjechała zaopiekować się Lizzy, i mam zamiar to uczynić. Teraz jednak jest tu mnóstwo do zrobienia, a zostało mało czasu, tak więc, Crispinie, zrozum, że nie mam zamiaru siedzieć z założonymi rękami. Przecież mnie znasz.

– Tak, mamo, ale...

– Co może pani robić? – spytał Simon, podchodząc niespodziewanie do ich stolika.

Monty zastanawiał się, jak długo Wilk stał z boku i przysłuchiwał się ich rozmowie.

– Proszę mi powiedzieć, co należy zrobić, a ja powiem, czy będę umiała to wykonać – odrzekła Twyla. – Na gorąco przychodzi mi do głowy jedna rzecz. Będziecie musieli wykarmić o wiele więcej ludzi niż zwykle. Ta kawiarnia może nie podołać temu zadaniu.

– Mamy Mięso i Zieleninę na targu.

– Chętnie na to zerknę, a potem, po rozmowie z paniami Nadine i Tess, mogę podsunąć kilka pomysłów.

Bursztynowe wilcze oczy przyjrzały się Twyli ze zbyt dużym

zainteresowaniem.

– Jeśli ludzkie szczeniaki źle się zachowują, to je gryziemy – powiedział Simon.

– Gdybym miała pańskie kły zamiast protez, prawdopodobnie robiłabym to samo.

Simon wyciągnął szyję.

– Co to są protezy?

– Może porozmawiacie o tym innym razem? – zasugerował Burke.

Twyla spojrzała na Monty’ego, potem na Burke’a, na O’Sullivana, a na końcu na Simona.

– Jesteśmy tu i nic nam się nie stało. Ja i Sierra jesteśmy dorosłymi kobietami, mogącymi podjąć decyzję odnośnie do tego, kto gdzie zostaje. A wy, mężczyźni, z pewnością macie mnóstwo pracy. Nie musicie się nami przejmować.

– Ruthie, Merri Lee i Eve Denby to samice ze stada, które mają tu już swoich krewnych – rzekł Simon. – Mogą wam pomóc w podjęciu decyzji.

Gdy Wilcza Straż wrócił do Zabójczo Dobrych Lektur, Monty spojrział na matkę:

– Jesteś pewna, że dacie sobie radę? – Skierował to pytanie do niej, ale oboje wiedzieli, że bardziej chodziło mu o Sierrę i dziewczynki.

– Damy sobie radę, Crispinie. – Poklepała go po dłoni. – A ty musisz się zająć swoimi sprawami.

Burke i O’Sullivan wstali i pożegnali się. Monty pocałował matkę w policzek.

– Cieszę się, że tu jesteście – szepnął.

Potem mężczyźni wyszli przez zaplecze.

– Pójdziemy z tobą do konsulatu – zaproponował Burke.

– Co mam powiedzieć gubernatorowi? – spytał O’Sullivan.

Monty spojrział na tył biura łącznika. Usłyszał cichą muzykę, dobiegającą z otwartych okien, ale Meg puściła ją zbyt cicho, by mógł rozróżnić, czy słucha utworów tubylców ziemi czy muzyki popularnej. Musiał porozmawiać z matką i siostrą, zanim spotkają się z Meg Corbyn i zobaczą bliźny. Ostatnio nie dało się ich nie zauważyć, ponieważ dziewczyna nosiła letnią odzież.

– Oglądacie czasem programy przyrodnicze? – spytał Burke. – Widzieliście kiedyś, jak mrówkojady rozwalają wielkimi pazurami mrowiska, żeby dostać się do mrówek?

– Coś tam sobie przypominam – odparł O’Sullivan.

– Możecie więc powiedzieć gubernatorowi, że burze zmierzające w naszą stronę to szpony bestii, która rozerwie nasze miasta, żeby dostać się do mięsa.



– Możemy się przejść? – spytała Meg.

Simon zamarł w połowie zdejmowania koszulki. Dopiero po chwili ściągnął ją przez głowę, zamoczył w wodzie Zielonego Kompleksu i założył z powrotem. Westchnął, zadowolony.

– Od razu lepiej. Pewnie, że możemy. Chcesz się posmarować preparatem na owady?

Gdyby to zrobiła, musiałby trzymać się od niej tak daleko, że zamiast cicho rozmawiać, krzyczeliby do siebie.

– Nie, dam sobie radę.

– W takim razie zamocz swoją, żeby się schłodzić.

Rozejrzała się, nieco skrepowana.

– Dziewczyny nie powinny zdejmować koszulek.

– To bardzo głupia ludzka zasada – warknął Simon. – Nam jest to obojętne.

Musiała się z nim zgodzić. Przed nadchodzącą burzą powietrze było parne i gęste. Synoptycy nie mogli się zdecydować, czy burza nadejdzie do Lakeside z południa czy znad Wielkich Jezior – z północy. Byli ostrożnymi optymistami i twierdzili, że deszcz i silne wiatry huraganowe, które pustoszyły Wschodnie Wybrzeże, ominą Lakeside. Huragan się nie uspokoił, zdawał się po prostu zatrzymywać w poszczególnych miastach, by wyrządzić jak najwięcej zniszczeń, a następnie ruszać dalej na północ.

Gdy chłodny, mokry materiał dotknął jej skóry, wciągnęła gwałtownie powietrze.

– Lepiej, prawda? – Simon wziął ją za rękę.

– O wiele lepiej.

Zatrzymali się przy głównej drodze.

– Którędy? – spytał Simon.

Dobre pytanie. Jeśli pójdą w stronę targu, będą musieli minąć ogród warzywny. Było ciemno i pewnie nikt już tam nie pracował, ale mimo wszystko Meg nie chciała ryzykować, że zobaczą ją teraz ludzcy przyjaciele.

Odwróciła się w przeciwnym kierunku. Jeśli będą się trzymać głównej drogi Dziedzińca, dojdą do Kompleksu Usługowego.

– Czy chodzimy po to, żebyś się nie drapała? – spytał Simon po chwili.

Powinna wiedzieć, że się zorientuje.

– Za dużo tego, co nowe i niepewne. – Nie widziała jeszcze matki porucznika Montgomery’ego ani innych członków jego rodziny, ale sama ich obecność na Dziedzińcu wywoływała pieczenie, mrowienie i skurcze w nogach i rękach. Te potencjalne przepowiednie mogły zostać wywołane przez samą obecność agenta O’Sullivana. Ostatecznie to on miał większy wpływ na to, co mogło się wydarzyć, prawda?

Zamknęła wcześniej biuro łącznika i poszła do domu. Gdy wstawiła PNK do garażu i podłączyła ładowanie, Nathan już czekał na ganku, co wcale jej nie zaskoczyło. Trzymał straż, aż do domu wrócił Simon.

Nie wiedziała, czy to fakt bycia w domu, czy wykonywanie ruchów, których nauczyła się na zajęciach Spokojnego Umysłu, czy rozbawienie, bo razem z Nathanem w ludzkiej postaci wykonali kilka ruchów, ale mrowienie znikło. Mimo wszystko przez całe popołudnie odczuwała niepokój.

– Simonie, co się teraz stanie?

Odpowiedział dopiero po chwili:

– Nie wiem. Popsuło się mnóstwo rzeczy jednocześnie. Zginęło wielu członków Wilczej Straży. W przeszłości problemy narastały w jednym miejscu. Ta czy inna postać *terra indigena* sobie z tym radziła, ludzie, którzy sprawiali problemy, znikali, a część ziemi – albo cała – była odzyskiwana i ponownie włączana w zakres dzikich terenów.

– *Terra indigena*, o których żaden z was nie chce rozmawiać.

– Starsi.

Pokiwała głową.

– Starsi. Czy mają zamiar odzyskać Thaisię? Co się stanie z ludźmi, takim jak Intuici w Przystani Przewoźników? Przecież nie są wrogami *terra indigena*.

Przez chwilę szli w milczeniu. Wreszcie Simon się zatrzymał i rozejrzał. Patrząc na niego, Meg zastanawiała się, o ile więcej widział.

– Wiesz, dlaczego Wilki wyją? – spytał.

– Żeby powiedzieć: „Jesteśmy tutaj”.

Spojrzał na nią z uśmiechem.

– Tak. Jesteśmy tu, trzymamy straż. Jesteśmy tu, oddzielamy słabe sztuki od stad łośi i jeleni, od bizonów. Jesteśmy tu, by bronić dzikich terenów, graniczących z ludzkimi osadami. – Jego uśmiech zniknął. – Ale *terra indigena*, którzy są kłami i pazurami Namid, przyjdą się rozprawić z agresywnymi drapieżnikami, i to w miejscach, w których nie ma Wilków, śpiewających do nocnego nieba... Nie wiem, co się wydarzy w miejscach wypełnionych ciszą.

– W Lakeside nie będzie cicho. Powiesz im, że tu jesteś i nadal pełnisz straż. – Meg myślała przez chwilę. – A co z Przystanią Przewoźników czy Osiedlem Nadrzecznym? Przecież nie ma tam nikogo z Wilczej Straży.

– Ale mieszkają tam Kojoty i Lisy. Na wyspie jest też trochę Niedźwiedziej Straży, a teraz w Osiedlu Nadrzecznym są jeszcze Rysie i Pantera oraz młode Sanguinati. To różne pieśni, ale przekaz ten sam. – Objął ją nieśmiało. Spięła się, nie wiedząc, co zrobić. Atak ze strony męskich dłoni. Jej ciało wciąż reagowało na wspomnienia życia w kompleksie. Ale przecież to Simon. Wilki po prostu lubią kontakt fizyczny z członkami swego stada. Odwzajemniła uścisk. Oparła się o Simona i jej ciało się rozluźniło. – My tutaj też zostaliśmy zaatakowani – podjął cicho. – Nie wiem, ile z Lakeside przetrwa, gdy to wszystko się skończy, myślę jednak, że nasze stado wyjdzie z tego cało. Wydaje mi się, że dziewczyny znad jeziora nie dopuszczą do tego, by na Dziedzińcu było bardzo źle.

– Kiedy?

– Jutro dotrze do nas co najmniej jedna burza. – Objął ją mocniej i oparł brodę o jej głowę. – Meg, nic ci się nie stanie.

– Nic *nam* się nie stanie.

Tak bardzo chciała w to wierzyć. Ale czy sama wiara wystarczyła,
by coś się urzeczywistniło?



Sobota, 30 czerwca

Jesse Walker otworzyła drzwi sklepu wielobranżowego, zadowolona, że przebywa w zamkniętej przestrzeni. Tuż przed nadejściem burzy zamknęła okiennice. W Złotej Prerii nie było przerw w dostawie prądu – przynajmniej na razie – ale światła migotały i denerwowały ją do tego stopnia, że je wyłączyła. Wolała mrok i uspokajający pomruk lodówek, który przypominał jej, ile jedzenia mogliby stracić, gdyby w mieście brakło prądu.

– *Arroo!*

– Rachel, kochanie, wystarczy. Wejść już do środka.

Przyszła tuż przed nadejściem burzy i stała przed sklepem, wyjąc i wyjąc bez końca. Na jej wycie odpowiedziały dwa inne Wilki, które dzień wcześniej przybyły do Bennett – nowy przywódca oraz kontroler

stada ze Złotej Prerii. Jesse spodziewała się, że po dotarciu do Złotej Prerii udadzą się dalej do osady *terra indigena*. Zamiast tego zajęli jeden z pokoi w przydrożnym motelu.

Wycie wiatru i Wilków zaczęło się w tym samym czasie.

– Rachel?

Spojrzała na Jesse i zamilkła.

Jesse stanęła w drzwiach. Chciała dotrzymać Rachel towarzystwa. Poza tym czuła, że jeśli to uczyni, dowie się czegoś ważnego. Wiatr wreszcie się uspokoił, a deszcz zamienił się w mżawkę.

Na bogów na górze i na dole, nikt nie będzie mógł podróżować drogami, dopóki trochę nie wyschną – zakładając, że nie zostały całkowicie wymyte. Przynajmniej burza stosunkowo szybko nad nimi przeszła. Widziała trochę fruwających po ulicy śmieci, w kilku sklepach brakowało okiennic, ale nawałnice chyba nie spowodowały zbyt dużych zniszczeń.

– *Arroo!*

Błysk w deszczu był ostrzeżeniem przed tym, że coś tam się poruszyło. Więcej niż jedna postać. Inteligencja i potęga. Czuła to, gdy zabrała ludzkie dzieci i młode *terra indigena* do kryjówek w górach. To samo wrażenie czegoś, co znajduje się w oddali i myśli. Osądza.

Postacie ruszyły dalej, mijając miasto. Jesse oparła się o framugę i dopiero wtedy uświadomiła sobie, jak bardzo jest przerażona.

– Jesteśmy tutaj – powiedziała Rachel, już pod postacią nagiej nastolatki. – To właśnie powiedzieliśmy Starszym. Jesteśmy tu, żeby zajmować się ziemią, a wy nam pomagacie.

Dlatego nas minęli. Dlatego pozwolili nam żyć, pomyślała Jesse.

– Skarbie, albo załóż z powrotem swoje futro, albo wejdź do środka i się osusz, inaczej złapiesz przeziębienie.

– Masz ciepłe mleko? – W głosie dziewczyny pojawiła się tak wielka nadzieja, że Jesse nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

– Podgrzeję trochę. Sama też chętnie się napiję.

Rachel weszła za nią do sklepu i zaczęła z zaciekawieniem wypytywać o ludzkie przedmioty, zgromadzone na półkach. Niebezpieczeństwo minęło, strach został strząśnięty niczym woda z futra.

Podgrzewając mleko, Jesse pomyślała, że Intuici powinni trenować umiejętność pozbywania się strachu. Miała przeczucie, że Starsi już nigdy nie będą zagrożeniem, na które można spoglądać z bezpiecznej odległości.



Sobota, 30 czerwca

Stavros patrzył, jak pasażerowie wsiadają na statek. Wielu bogatych zwolenników LPiNW wsiadało na pokład ostatniego statku wypływającego z Toland, jeszcze przed nadejściem burzy nad tę część wybrzeża. Płynęli do Cel-Romanii, by przekonać się o zwycięstwie, jakie pozwoliły im osiągnąć ich pieniądze.

Głupcy.

Był tam również Mikołaj Strzępiel – w przebraniu, które nie wprowadziłoby w błąd człowieka, nie mówiąc już o *terra indigena*. Oczywiście większość wchodzących na pokład ludzi rozmawiała z nim – albo przynajmniej rozpoznała go dostatecznie dużo razy, by mógł nabrać pewności, że podczas tej podróży przebranie mu się nie przyda. Prawdopodobnie powiedział członkom swojej elity, że był to podstęp,

umożliwiający ucieczkę przed wrogami.

Teraz miał wrogów również wśród ludzi. Elity Toland może nadal go wspierały albo wierzyły, że po dotarciu do Cel-Romanii spotka je nagroda, jednak ci, którzy zauważyli, że ludzkie osady zaczęły zniknąć, wytykali LPiNW palcami, a Strzępiela nazywali szarlatanem, który ich oszukał.

To odkrycie rozbawiło Stavrosa, ponieważ nastąpiło w ślad za ostateczną przemową Strzępiela, w której mężczyzna wyznał, że nie może ponosić odpowiedzialności za działania innych ludzi, ponieważ błędnie zinterpretowali oni jego mowy motywacyjne i wezwanie do użycia siły przeciwko *terra indigena*. Każdy człowiek powinien odpowiadać za własne czyny. Mówca uciekł, zanim zaskoczony tłum zdążył zareagować.

Stavros się uśmiechnął. Teraz Mikołaj Strzępiel był tutaj – tak samo jak on. A na wodach, gdzieś poza zasięgiem wzroku z wyspy, czekała Rekinia Straż.



Stavros przefrunął z jednego zacienionego miejsca do drugiego. Obserwował i czekał – i żałował, że nie jadł nic przed wejściem na pokład. Czy na tym statku znajdzie się chociaż jedna trzeźwa osoba? Był kapitan, ale wody stały się nieprzyjazne – to taka gra wstępna Oceanu – Stavros nie chciał zabierać mężczyźnie sił. Z drugiej strony nie miał zamiaru przytępić swoich zmysłów, spożywając alkohol o niewielkiej zawartości krwi.

Tego wieczora podsłuchiwał dostatecznie dużo rozmów, by uświadomić sobie, że zwolennicy LPiNW mieli jakieś dziwne romantyczne pomysły, że zostaną uznani za bohaterów, ponieważ zapewnili ludziom żywność, stal i inne rzeczy, załatwione dla Cel-Romanii pod stołem. Teraz jednak, gdy armie Cel-Romanii podbiły nowe ziemie, owi zwolennicy stali się zbędni. Mile widziany będzie tam tylko jeden człowiek, płynący na pokładzie tego statku.

Leniwie obserwował grupkę ludzi, którzy wyszli na pokład.

Wampirze? Masz już coś dla nas?

Jeszcze nie, odparł przedstawiciel Rekiniej Straży. Rekiny płynęły na zmianę za statkiem od wielu godzin, czekając, aż Stavros dostarczy

im obiecane wyjątkowe mięso. Wkrótce będzie musiał uderzyć. Nie planował docierać do Cel-Romanii, a nie chciał wypływać zbyt daleko na otwarte wody, nawet pod postacią dymu.

Wreszcie usłyszał znajomy, zniechęcony głos.

– Dzisiaj podbiliśmy ziemię! – Mikołaj Strzępiel wszedł na dolny pokład w towarzystwie dwóch innych mężczyzn. – Wkrótce rasa ludzka podbije również to. – Machnął ręką, wskazując bezkres oceanu.

Tak uważasz? Stavros szybko oszacował odległość między nimi.

Rekiny? zawołał. *Jesteście gotowe?*

Tak.

Obserwował dwóch pozostałych mężczyzn. Ocean nocą nie był dla nich szczególnie ciekawym widokiem, a współpraca ze Strzępielem nie stanowiła już atrakcji. Pewnie zaraz wrócą do swoich kajut.

Chwilę później jeden z nich spytał:

– Idziesz z nami na karty, Mikołaju?

– Zaczniacie beze mnie – odparł Strzępiel.

– Przecież stąd nic nie widać.

– I dlatego tak dobrze się tu myśli.

Mężczyźni pokiwali głowami i wrócili do środka.

Wtedy Stavros zmienił się w człowieka. Podeszedł do relingu i uśmiechnął się do Mikołaja Strzępiela.

– Pewnie cieszy się pan z powrotu do domu – zagaił grzecznie.

Strzępiel spojrzał na niego, uważnie lustrując drogi garnitur i czarną koszulę. Stavros niemal słyszał, jak mężczyzna kombinuje, w jaki sposób podejść tę nową zdobycz, by pozyskać fundusze na wsparcie sprawy.

– Chyba się nie znamy?

– Nie. Ale uważnie przysłuchiwałem się pańskim wystąpieniom – odparł Stavros i wyciągnął rękę. – Wielu z nas bardzo się panem interesuje, panie Strzępiel.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Należy pan do jakiegoś ugrupowania?

– Raczej do towarzystwa, w którym wszyscy mają podobne upodobania.

– A jak się nazywa ta grupa?

Stavros przytrzymał mocniej dłoń Strzępiela i odsłonił kły w uśmiechu.

– Sanguinati.

Nagły szok. Przewrzenie.

Stavros błyskawicznie przyciągnął Strzępiela i rozciął jego szyję – nie żeby się najeść, ale żeby zranić.

Jedną ręką nadal trzymał jego dłoń, drugą złapał go za poły płaszcza. Sanguinatic pod postacią dymu trudno było zranić. Jednak jako ludzie wampiry miały siłę *terra indigena*. Zanim Strzępiel zdążył zawołać pomoc, Stavros przysunął się do relingu, przerzucił go przez poręcz i skoczył w toń oceanu.

Spadając, zamienił się w dym. Podfrunął do powierzchni wody w chwili, gdy Strzępiel z pluskiem przeciął taflę. Dostrzegłszy dłoń swej ofiary, Stavros zamienił się w człowieka od pasa w górę i wyciągnął męczyznę nad powierzchnię wody.

Strzępiel patrzył na niego dzikim wzrokiem, krztusił się i mrugał. Następnie krzyknął i ponownie poszedł pod wodę, gdy jeden z Rekinów nadgryzł go dla zabawy.

Stavros znów wyciągnął Strzępiela. Popatrzył na wroga, który był odpowiedzialny za zabicie tylu stworzeń, a jednocześnie jeszcze nigdy nie stawiał czoła żadnemu z *terra indigena*.

– Zniszczymy Cel-Romanię. Chciałem, żebyś przed śmiercią się o tym dowiedział – rzekł. – Myślałeś, że uda ci się pokonać *terra indigena*, ty nowobogacka zarazo? To twój gatunek wyginie – i to dzięki tobie.

Puścił Strzępiela i odfrunął na bezpieczną odległość. Wtedy dziesiątki Rekinów podpłynęły, by pozbyć się wroga, rozszarpać jego ciało kawałek po kawałku. Stopa. Dłoń. Przedramię. Udo.

Ile czasu upłynie, zanim ludzie dostrzegą nieobecność Strzępiela?, zastanawiał się Stavros, unosząc się nad falami. Jeśli długo nie wracam do domu, to kiedy ludzie zaczynają za mną tęsknić?

Wampirze. Falę obok niego rozciąła ostra płetwa. Widziałeś światło?

Stavros przybrał postać słupa dymu i powoli się odwrócił.

Światło płynęło w kierunku przeciwnym do kursu statku.

To intuicka łódź rybacka, powiedział Rekin. Kazano im na ciebie poczekać. Możesz się do nich dostać?

Tak.

To fruń. Zabiorą cię do swojego macierzystego portu. Przesiedlisz się w pobliże Pięciu Sióstr?

Tak. Do miejsca zwanego Wodospadem Talulah.

To nie nasze terytorium, ale zapamiętamy cię.

Stavros rozejrzył się wokół. Poczował krew w wodzie, ale nigdzie nie było śladu po Mikołaju Strzępielu.

Trochę mało tego mięsa, jak na trud, jaki sobie zadaliście.

Będzie więcej. Wiesz, jak Rekinia Straż mówi na ludzi na statku?

Nie, jak?

Mięso w puszcze.

Stavros błyskawicznie pofrunął nad wodą i wrócił na pokład. Już w ludzkiej postaci, pozdrowił ludzi na łodzi. Kilkoro z nich, pod przysięgą, że są zdrowi i trzeźwi, zaproponowało, że nakarmią go swą krwią. Odmówił, przyjął za to talerz klopsów i tłuczonych ziemniaków i wysłuchał rozmowy mężczyzn na temat połowów, mórza i nadziei, że zemsta Oceanu ominie ich miasto.

Nie skomentował tego, pomyślał sobie jednak, że Ocean przychylił się do ich prośby. Przysługa za przysługę.

Po posiłku znalazł spokojne miejsce do wypoczynku. Cieszył się z tego, co udało mu się zdziałać w Toland, ale objęcie rządów w Wodospadzie Talulah będzie nowym, ekscytującym przeżyciem. Będzie mu brakowało Tolyi, znajdzie się za to bliżej dziadka, Vlada i... Nyx.

Tak, był gotowy na zmiany.

Zaśmiał się w duchu. Mięso w puszcze. Musi powiedzieć o tym dziadkowi Erebusowi, gdy już dotrze do Lakeside.



Alantea zmusiła Huragan do galopu, gdy poruszali się po Wschodnim Wybrzeżu Thaisii. Za nimi pędziła Powietrze, ujeżdżająca Tornado. Fale, które zakrywały budynki, i wiatry, które niszczyły wszystko na swej drodze, sprawiły, że ludzie uciekali w popłochu – zbyt skupieni na próbie ocalenia samych siebie, by myśleć o czymkolwiek innym.

Istniały jednak miejsca, w których pozostałe Żywioły próbowały swoją obecnością złagodzić karę – to było dobre i właściwe. Ostatecznie zdziesiątkowanie stad żyjących na lądzie nie należało do jej zadań. Tym miały się zająć inne formy *terra indigena*. Jej zadanie...

Zgadzamy się? spytała Powietrze.

Zgadzamy się, odparła Alantea. Intuicka łódź rybacka znajdowała się już w porcie, a Sanguinati, który pomógł Rekiniej Straży uciszyć głos

wroga, był bezpieczny na lądzie, który poczuje zaledwie pocałunek burzy.

Skierowała Huragan w stronę miasta Toland.

Powietrze krzyknęła triumfalnie, gdy fale wzniosły się tak wysoko, że w miejsce miejskich dróg pojawiły się rzeki.

Odwrócenie uwagi. Dywersja. To nie była prawdziwa bitwa.

Alantea odwróciła Huragan od Thaisii, zostawiając Toland dla Powietrza i Tornada. Kazała swemu rumakowi biec ile sił w nogach i zaczęła zbierać wszystkie wody, by skierować swą wściekłość na Cel-Romanię.

Do: Simon Wilcza Straż

Nie mogę dotrzeć do nikogo ze Środkowego Zachodu i nie otrzymałem od nich żadnego maila ani telefonu. Podejrzewam, że padły linie telefoniczne i telegraficzne. Nadal mamy łączność z innymi intuickimi społecznościami na Północnym Wschodzie. Łączność z Południowym Wschodem jest nierówna. Nie ma żadnej informacji o kontrolowanych przez ludzi miastach wzdłuż wybrzeża w tym rejonie.

Niektóre stacje radiowe na Środkowym Zachodzie nadal nadają, a miasta intuickie w pobliżu granicy między Środkowym Zachodem i Północnym Wschodem przekazują między sobą najświeższe informacje. Według pierwszych danych burza, jak to ktoś określił, zagoniła ludzi w jedno miejsce. Późniejsze raporty mówią o znikających grupach osób – aby opisać to, co się tam dzieje, władze używają słowa „rzeź”.

Będę wysyłał ci informacje tak długo, jak tylko będę mógł. Na horyzoncie wiszą czarne chmury. Burza szybko przemieszcza się w naszym kierunku.

Steve Przewoźnik



Niedziela, 1 lipca

„Ostrzeżenia przed powodzią i wichurami obowiązują aż do odwołania. Wskutek zalanych dróg i ulic zawałonych śmieciem i gruzami, a także wskutek przewróconych linii wysokiego napięcia podróżowanie jest zabronione. Władze miast zalecają, by ludzie napełniali pojemniki wodą pitną i przygotowali się na przerwy w dostawach prądu. Mówiła dla państwa Ann Hergott z WZAS”.



Każdy nowy człowiek przybywający do Dziedzińca sprawiał, że skóra Meg zaczynała mrowić i piec w różnych miejscach. Ci ludzie musieli się tu schronić; byli rodzinami zaufanych policjantów. Z wieloma funkcjonariuszami Meg się przyjaźniła. Nigdy by sobie nie wybaczyła, gdyby którakolwiek z tych osób została przez nią odesłana

i narażona na niebezpieczeństwo.

Wszyscy byli zajęci, pędzili ścielić łóżka i szykować jedzenie. Albo burza będzie gwałtowna, ale krótka – i wszyscy poczują się jak głupcy, że zamknęli miasto z tak błahego powodu, albo powodzie i zniszczenia będą się przeplatać z zamieciaми śnieżnymi, tak jak w lutym.

W każdym razie dzisiaj na Dziedzińcu było pełno obcych, których przyszłość stała pod znakiem zapytania. Przepowiednie dotyczące tych ludzi piekły ją pod skórą, domagając się uwolnienia za pomocą brzytwy.

Rzuciła sztucce na jeden ze stolików w Mięsie i Zieleninie, nie zważając na hałas, jaki przy tym zrobiła. Odwróciła się na oślep i ruszyła w stronę drzwi, głos wołającej ją Merri Lee dobiegał jakby z oddali.

– Meg!

Dłoń na jej ramieniu.

– Muszę iść. Za dużo mrowienia. Za dużo pieczenia.

– Dokąd chcesz iść? – spytała Merri Lee. – Burza może uderzyć w każdej chwili.

– Do biura łącznika. Mogę coś posortować. Pocztę. Paczki. Cokolwiek. Potrzebuję... rutyny.

– Meg, dzisiaj nie będzie żadnej rutyny. Poza tym biuro jest puste. Nathana tam nie będzie. Kazano nam pozamykać wszystkie drzwi, żeby wiatr ich nie wyrwał.

Meg wyszarpnęła się przyjaciółce.

– Nie mogę tu zostać.

Pobiegła pod łuk przy targu, prowadzący na parking dla pracowników, a dalej do tylnych drzwi biura łącznika. Nie miała świadomości, że Merri Lee biegnie za nią, dopóki przyjaciółka nie powiedziała:

– Pośpiesz się, żebyśmy zdążyły wejść do środka.

Podmuch wiatru uderzył w nie i szarpnął drzwiami. Prawie się przewróciły. Żeby zamknąć drzwi, musiały popchnąć je z całych sił.

– Na bogów... – mruknęła Merri Lee. Sprawdziła lodówkę pod ladą, potem zajrzała do szafek. – Jeśli naprawdę mamy tu zostać, powinniśmy mieć więcej zapasów.

– Ty nie musisz zostawać. Sama dam sobie radę. – *Lepiej*, dodała

w myślach Meg. Nawet teraz, gdy próbowała się skupić na przyjaciółce, w kilku miejscach na skórze czuła pieczenie i mrowienie. – Merri, proszę. Proszę. Zostaw mnie samą, inaczej będę musiała się naciąć.

Obie wiedziały, co się stanie, jeśli teraz się skaleczy. Simon, Vlad i nie wiadomo ilu *terra indigena* naskoczą na ludzi, którzy przyszli tu, by się schronić.

– Masz swój telefon komórkowy? – spytała w końcu Merri Lee.

Meg pokiwała głową.

– I mam numery do Czegoś na Ząb oraz do Mięsa i Zieleniny.

Będziemy w kontakcie.

– Jesteś pewna?

– Tak. Proszę. – W kompleksach pracowało tylu ludzi. I te wszystkie dziewczyny. Być może nie doświadczały regularnego pieczenia i mrowienia, wywołanych obecnością innych dziewcząt, ponieważ były regularnie cięte. A może były odkryte przed sobą do tego stopnia, że przestały odczuwać możliwości jakichkolwiek innych doznań.

A może nie czuły mrowienia, wywołanego obecnością innych dziewcząt, ponieważ żadna z nich nie miała prawdziwej przyszłości.

Po wyjściu Merri Lee Meg przez chwilę odczuwała ulgę. Żadnego mrowienia, żadnego pieczenia. Weszła do sortowni, niepewna, czym powinna się zająć, zwłaszcza jeśli miałyby spędzić tu kilka godzin.

Spojrzała na pięć płyt, które puszczała sobie w tym tygodniu. Ale nie miała teraz ochoty na słuchanie muzyki. Tego dnia nie było żadnej nowej poczty, żadnych paczek ani dostaw.

Otworzyła szufladę z kartami prorocत्व.

Pomieszczenie powoli zaczęło się obracać.

Zamknęła gwałtownie szufladę i złapała się lady. Zaczęła zgrzytać zębami. Pragnęła użyć srebrnej brzytwy, by pozbyć się mrowienia i pieczenia.

Była sama, ale wokół wciąż przebywało zbyt dużo obcych. Ludzie będą się trzymać głównie części biznesowej Dziedzińca. Musiała się od tego uwolnić – od tego i od nich.

Wybiegła przez tylne drzwi i pokonała odległość między biurem a garażami, w których stało kilka PNK.

Musiała się stąd wydostać, zanim ktoś ją dostrzeże i spróbuje ją powstrzymać.

Dopiero gdy była na drodze prowadzącej do Zielonego Kompleksu, westchnęła z ulgą, ale też z niepokojem. Kiedy Simon się dowie, że nawiała, wpadnie we wściekłość.

Ale nie będzie mógł za długo na nią warczeć, bo musiał chronić Dziedziniec. Możliwe, że gdy burza się skończy, będzie zbyt zmęczony, by się gniewać.

Tak... A śwynie zaczną latać.

Rozbawiona wizją prosiaków ze skrzydłami, niemal rozluźniła uchwyt na kierownicy, gdy na jedną przerażającą chwilę silny podmuch wiatru uniósł koła po stronie pasażera.

Rozejrzała się wokół. Jeśli pojedzie prosto, dotrze do Zielonego Kompleksu – gdzie będzie zupełnie sama, ponieważ wszyscy mieszkańcy są teraz na targu ze swoimi strażami.

Jeśli pojedzie do swojego mieszkania, przyjaciele stawią czoła burzy, żeby do niej dotrzeć. Co się stanie z Samem, jeżeli jej lub Simonowi coś się przytrafi, tylko dlatego że zapragnęła samotności?

– Sam... – szepnęła. Potrzebowała spokoju, ale niekoniecznie izolacji.

A potem nagle się zorientowała, że nic nie widzi. Otworzyła okno z nadzieją, że nie ma problemów ze wzrokiem. Wystawiła głowę na zewnątrz i poczuła, jak wiatr bawi się jej włosami. Gdy chowała się do środka, zauważyła szarą grzywę rumaka.

– Mgła?

– Meg? – Powietrze przysunęła się do szyi Mgły. – Nie powinnaś być teraz na zewnątrz.

– Nie mogłam zostać z tymi obcymi ludźmi. Są mili, ale... Moja skóra. Za dużo przepowiedni. – Widziała, jak za Powietrzem uginają się gałęzie, niemal się łamiąc, ale wokół PNK nie było żadnego wiatru. – Miałam nadzieję, że Jester pozwoli mi zostać z nim w Stajni Kucyków.

Powietrze przyjrzała się jej uważnie.

– Chcesz zostać z naszymi końmi?

– Tak.

Żywioł się uśmiechnął.

– W takim razie jedź za nami.

Meg włączyła światła w PNK i pojechała za Mgłą. Nie było to trudne, ponieważ mgła, wytwarzana przez rumaka wirowała wokół Meg, ale dziewczyna bez problemu go widziała.

Zatrzymała pojazd przy Stajni Kucyków, wdzięczna, że Powietrze nadal ochraniała ją przed wiatrem. Jedne z drzwi stajni się otworzyły. Jester wybiegł na zewnątrz i pomógł jej wysiąść z PNK. Oboje zaczęli krzyczeć, gdy spadły na nich pierwsze wielkie krople deszczu.

– Masz jakieś ubrania na zmianę? – spytał Jester.

– Nie. Nie pomyślałam o tym.

– W takim razie wchodź do środka, zanim zmokniesz. – Pchnął ją w stronę drzwi.

Na dźwięk znajomego *aroo* odwróciła się w stronę drogi.

– Sam?

Sam i Jedynak biegli do niej.

– A gryźcie mnie wszyscy w ogon – warknął Jester. – Do środka. Jazda!

– PNK! – zawołała Meg, uświadomiwszy sobie, że mały pojazd mógł ulec zniszczeniu.

– Zajmę się tym. I Wilczą Strażą – mruknął Jester, wsiadając do pojazdu.

– Meg, wchodź do środka – ponaglała Powietrze. – To, co nadchodzi, nie lubi ludzi. Ale z naszymi kucykami będziesz bezpieczna.

– Dziękuję. Sam, Jedynaku, chodźcie, wejdźmy do środka.

Wbiegła do stajni, a dwa Wilki podążyły tuż za nią.

Minutę później wrócił Jester. Popatrzył na nią gniewnie.

– Wiem, że jesteś człowiekiem, ale mógłbym przysiąc, że płynie w tobie krew Kojotów. Tylko zwierzę mojego gatunku w tak prosty sposób mogłoby sprawić tyle problemów.

Zanim zdołała przeprosić lub wyjaśnić, Jester już rozmawiał z Mgłą. Przyniósł uprząż z przymocowanym koszem wyposażonym w klapki, dzięki którym przy brzydkiej pogodzie poczta pozostawała sucha. Gdy tylko kucyk został odpowiednio zaopatrzony, ruszył galopem w stronę targu.

– W tej stajni mamy świeżą słomę – rzekł Jester. – Wszyscy

możemy się tu zwinąć w kłębek i mieć oko na to, co się dzieje wokół.

– W porządku. Jesterze...

Kojot machnął ręką, jeszcze zanim zdążyła go przeprosić. Spojrzał na Sama i Jedynaka, a potem na nią.

– Dobrze, że przez większą część dnia Simon będzie bardzo zajęty. Nie wydaje mi się też, żeby Blair dotarł tu w ciągu kilku następnych godzin.

Meg rozłożyła koce na słomie, a potem usiadła z Samem. Jedynak zaczął zwiedzać stajnię.

– Ty też uciekłeś, Sam? – spytała.

Szczeniak spojrzał jej w oczy.

– *Arroo.*

Westchnęła.

– Będziemy mieć taaaakie kłopoty.

– *Rooo.*

Gdy go objęła, uświadomiła sobie, że mrowienie i pieczenie pod skórą ustały.

Wszyscy byli tam, gdzie powinni być – przynajmniej na razie.



– Tatusiu, zostań. Proszę, zostań.

Monty przytulił córkę.

– Nie mogę, Lizzy. Policja musi pomagać ludziom, którzy mogą mieć problemy podczas burzy.

– Nic nam nie będzie. – Twyla położyła ręce na ramionach dziecka.

– Jesteśmy doskonale przygotowane i damy sobie radę.

– Powiedziałaś Simonowi Wilczej Straży, że teraz to ty przejmujesz tu dowodzenie? – spytał Monty.

– Haha – uśmiechnęła się Twyla. – Ja i Eve Denby powiedziałyśmy mu, że kobiety dadzą radę zająć się tymi, którzy będą chcieli się tu schronić. Miał na tyle rozumu, by sobie stąd pójść i zająć się własnymi sprawami.

Monty zmusił się do uśmiechu.

– Tak, proszę pani. Zrozumiałem wiadomość.

Nagle uśmiech zniknął z twarzy kobiety.

– Nic nam nie będzie, Crispinie.

Pogłaskał Lizzy po włosach.

– Masz słuchać babci Twyli, tak?

– Tak, tatusiu.

Twyla i Sierra, jako najnowsze w stadzie kobiet, zostały wyznaczone do opieki nad dziećmi – było to bardzo praktyczne, zwłaszcza że z trójką z nich były spokrewnione. Umieszczono je w mieszkaniu, w którym później planowano urządzić szkołę. Miały tam wodę do picia i kanalizację, telewizję i odtwarzacz płyt oraz spory wybór filmów, nie wspominając o grach, książkach i ubraniach. Poza tym miejsce to było łatwo dostępne, zarówno dla ludzkich dorosłych, jak i dla *terra indigena*, którzy zajmowali się sprawami na Dziedzińcu. Szafki kuchenne załadowano jedzeniem. Uczyniono wszystko, co tylko możliwe, by chronić młode.

Monty pobiegł po schodach i skręcił do tylnych drzwi Zabójczo Dobrych Lektur. Jego zespół miał tam spotkanie z Burke'em. Jednocześnie zastanawiał się, gdzie Sam Wilcza Straż i Meg Corbyn przeczekają burzę.

Na bogów, pomyślał, gdy błyskawica rozcięła ciemne niebo. Wiatr popchnął go z taką siłą, że musiał zrobić krok w bok. A przecież teren za sklepami był osłonięty ze wszystkich stron. Jeśli podmuchy wiatru były tak silne tutaj, to co się działo na otwartej przestrzeni?

Gdy siłował się z huraganem, zamykając drzwi, usłyszał głos Kowalskiego, dochodzący z lewej strony:

– Tato, wiem, co mówią w radiu. Ja też słuchałem cholernych prognoz pogody. Ale mówię ci, że to będzie bardzo ciężka burza. Na tyle ciężka, że rodziny policjantów schroniły się na komisariatach. Ty, mama i Tim możecie... *Na bogów* na górze i na dole! Ci ludzie są skończeni! Nie widzisz tego? Daj mi mamę do telefonu. Tato? Tato! – A po chwili zrezygnowane westchnienie i ciche: – Kurwa...

Kowalski zaczął się przeciskać wśród stosów książek i innych towarów. Na widok Monty'ego oblał się rumieńcem.

– Czy twoja rodzina schroni się na komisariacie? – spytał cicho Monty.

Kowalski pokręcił głową.

– „Przeżyłem burzę w czasach srutututu i nie mam zamiaru stąd

wyjechać”. On nadal uważa, że ruch LPiNW „zrobi porządek z tymi stworami”. A ja przecież nie mogę mu powiedzieć, dlaczego ta burza będzie taka straszna, prawda?

– Nie, nie możesz. – Nie chodziło o burzę, która zniszczy miasto, tylko o to, co nadchodziło za nią.

Burke porozmawiał z kapitanem Zającem i kapitanem Wheatleyem z innych okręgów, które zgodziły się co do tego, że *terra indigena* mieli klucz do przetrwania Lakeside. Powiedział wszystkim komisariatom, że powinny zapewnić schronienie rodzinom policjantów, ale ludzie pracujący na ulicy Orzechowej jako jedyni potraktowali te ostrzeżenia poważnie.

– A co z rodzicami Ruth? – spytał Monty. Na widok gorzkiego uśmiechu Kowalskiego poczuł ukłucie w sercu.

– Gdy do nich zadzwoniła, jej matka powiedziała tylko: „Moja córka nie żyje” i się rozłączyła. – Po chwili Kowalski się wyprostował. – Ale w drodze na Dziedziniec są MacDonaldownie. I rodzina Michaela Debany’ego. Przywiozą łatwo psujące się jedzenie i inne zapasy, które mogą się przydać.

Monty nie wiedział, czy rodzina Merri Lee mieszka w Lakeside, i nie zapytał o to.

Nagle tylne drzwi otworzyły się z impetem i do środka wpadł Michael Debany.

– O, w mordę! Z tej burzy będzie kawał zimnej suki! – Nie zauważył Simona Wilczej Straży, który szedł tuż za nim. Zobaczył go dopiero, gdy się odwrócił, by zamknąć drzwi. – Ach... Przepraszam. Wymasknęło mi się.

– Masz rację, to zimna suka. – Simon zamknął drzwi i popatrzył na trzech mężczyzn. – Może wolicie poczekać na kapitana Burke’a z przodu sklepu? Jest tam więcej miejsca. Nie wiem, kto teraz pracuje w Czymś na Ząb, ale może znajdzie się jakaś kawa.

Innymi słowy, stoicie mi na drodze, pomyślał Monty.

– Oczywiście.

Dzwonek jego telefonu rozległ się w tej samej chwili, w której zadzwoniła komórka Simona, pośpieszył więc na przód sklepu i zatrzymał się w łuku, łączącym Zabójczo Dobre Lekrury z Czymś na

Ząb.

– Montgomery.

– Poruczniku – rzekł Burke. – Niech pan kogoś poinformuje, że dowódca Gresh przywozi na Dziedziniec swoją rodzinę. Wkrótce u was będą.

– Tak, sir.

Zobaczywszy Simona, który idzie w jego stronę, Monty otworzył usta, by coś powiedzieć, ale Wilcza Straż minął go szybko, sprawdził kawiarnię, a następnie obrócił się na pięcie i wbiegł na schody, prowadzące na piętro ZDL. Było widać, że ma w tej chwili własne problemy.

A gdy Debany i Kowalski odebrali swoje komórki, zorientował się, że problem Simona wkrótce będzie również jego problemem.



Simon wpadł do biura. Miał ochotę warczeć i wyć nad głupotą szczeniaków. Przestraszył Vlada, który sprawdzał maile i zaznaczał na mapie wciąż istniejące miasta.

Cholerna Thaisia! Dlaczego Sam uciekł tuż przed nadejściem burzy? I dlaczego zabrał ze sobą Jedyńaka?

– Simonie, co...? – Nagle zadzwonił telefon. Vlad odebrał. Po chwili powiedział: – Tak, powiem mu.

Odłożył słuchawkę, ale Simon nie dał mu czasu na powiedzenie czegokolwiek.

– Sam uciekł z kompleksu Wilczej Straży. Będziesz musiał zajmować się ludźmi, dopóki go nie znajdę. – Przy założeniu, że w ogóle go znajdzie. Próbował go poszukać przez sposób komunikacji *terra indigena*, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. To źle. Bardzo źle.

– Samowi nic nie jest – rzekł Vlad. – Jedyńakowi też nie. Meg również jest bezpieczna.

– Meg? Ale ona jest... – Nie w Czymś na Ząb, gdzie się spodziewał ją zastać. Jego zęby się wydłużyły. – Gdzie oni są?

– Razem z kucykami i Jesterem są w Stajni Kucyków. Jester twierdzi, że Meg miała zbyt dużo bodźców i chciała się ciąć, więc uciekła od obcych ludzi.

– Niania stada uważa, że Sam uciekł, bo podczas burzy chciał być

z Meg. – Simon podrapał się za uchem, a następnie wysilił się, by zmienić kły z powrotem w ludzkie zęby. – Ostatnim razem, gdy burza nawiedziła Lakeside, Meg niemal zginęła.

– Pamiętam – rzekł łagodnie Vlad. – Ale poza domem dziadka Erebusa nie ma chyba bezpieczniejszego miejsca dla całej ich trójki niż Stajnia Kucyków z końmi Żywiołów, Simonie.

Napięte mięśnie powoli zaczęły się rozluźniać. Przestał myśleć już tylko o znalezieniu Sama.

– Czy Meg coś spakowała?

– Nie. Mgła już jest w drodze na targ. Jester nie ma dostatecznie dużo jedzenia dla całej ich czwórki – a już z pewnością nie ma jedzenia dla ludzi. Możemy spytać stado samic, czy Meg trzyma w biurze jakąś zapasową odzież.

Potrafił wyczuć wszystkie ubrania, które należały do Meg. Jeśli jednak żadnych nie było, samice z pewnością będą wiedziały lepiej, co należy kupić na targu. No i Meg i te bezmózgie Wilki musieli się czymś zająć, zwłaszcza jeśli Sam zamieni się w człowieka. Co oznaczało, że jemu również należało spakować koszulki i spodnie.

Tak jakbyśmy mieli mało pracy, pomyślał, zbiegając po schodach. Ktoś zostanie zdrowo ugryziony za zmartwienie, jakie spowodowała ta trójka – nawet jeśli to zmartwienie nie trwało dłużej niż kilka minut.

Odwrócił się w stronę magazynu i niemal wpadł na obcego ludzkiego samca. Odślonił zęby, warknął i dopiero wtedy uświadomił sobie, że razem z samcem były dwie samice – jedna w wieku rozrodczym, a druga w starszym szczenięcym.

– Pan musi być panem Wilczą Strażą – powiedział mężczyzna i uśmiechnął się z wahaniem. – Michael powiedział, żebyśmy weszli tylnymi drzwiami kawiarni, ale tamte drzwi blokuje jakiś koń, który nie ma zamiaru się przesunąć.

– Michael...?

– Debany. Jestem jego ojcem. A to jego matka i siostra.

Simon przyjrzał się młodszej samicy krótko, ale uważnie. To była ta siostra, która chciała pracować ze zwierzętami – siostra, która być może pojedzie do Bennett i będzie współpracować z Tolyą.

Żałując niefortunnego powitania, przejechał językiem po zębach

i spróbował się uśmiechnąć.

– Bardzo mi przykro, że warknąłem. – Wcale nie było mu przykro, ale prawdopodobnie właśnie to powinien powiedzieć w takiej sytuacji.

– Ma pan dużo na głowie – odparł Debany.

– Aby dojść do Czegoś na Ząb, można pójść również tędy. – Zaprowadził ich do łuku, łączącego dwa sklepy, i niemal wpadł na Debany'ego.

– Tato. Dlaczego nie...

– Mgła stanęła im na drodze – odparł Simon, który stwierdził, że może skrócić całą rozmowę dzięki tym kilku słowom. – Gdzie są Ruthie i Merri Lee?

– Tutaj. Macie jakieś wieści od Meg? Karl i ja mieliśmy już iść pomóc jej szukać.

A więc znaczyła dla nich tyle, że byli gotowi zostawić własne stada. Poruszony tym faktem, Simon poczuł, że dużo łatwiej będzie mu zaakceptować ich obecność na Dziedzińcu.

– Meg jest z Jesterem w Stajni Kucyków. Razem z Samem i Jedyakiem. Mgła przybyła po zapasy.

Debany odwrócił się i podniósł głos na tyle, by być słyszonym wśród innych ludzkich głosów:

– Karl! Poruczniku! Znaleźli Meg! Nic jej nie jest!

Teraz w jego stronę ruszyły Merri Lee i Ruthie.

– Nic jej nie jest? Jesteś pewien? Potrzebuje czegoś?

– Ubrań na zmianę. Ubrań dla Sama. Książek. Jedzenia dla siebie. Boone Jastrzębia Straż przygotowuje paczkę z mięsem dla Sama i Jedyaka. Mgła im to wszystko dostarczy.

Przez chwilę wpatrywały się w Simona bez słowa. Może myślały o tym, co powiedział. A potem obie przebiegły obok niego, wykrzykując radośnie do rodziny Debany'ego, przez co zaczął się zastanawiać, kto tu dowodzi. W którymś momencie będzie musiał poświęcić trochę czasu i zacząć dominować w stadzie. Teraz jednak powinien sprawdzić, z jak dużym stadem ludzi ma do czynienia.

Boone? krzyknął do Jastrzębia, który prowadził sklep mięsny. Potrzebuję trochę mięsa dla Sama i Jedyaka. Są w Stajni Kucyków. Mgła czeka w Czymś na Ząb.

Daj mi kilka minut, przyniosę ci paczkę.

Niebo pociemniało. Wiatr ciskał gradem w okna kawiarni.

Vlad wszedł do środka, prowadząc Gresha i – jak założył Simon – jego samicę oraz młode. Za nimi szli kapitan Burke i agent O’Sullivan.

Merri Lee i Ruthie zaczęły się przepychać między nimi. Unikały osób zebranych w kawiarni, przez chwilę tylko rozmawiały z Nadine Fallacaro, która stała za ladą, a następnie ruszyły do tylnego wejścia, przy którym czekała już Mgła.

– Arroo! – Nawet ryk wydobywający się z jego ludzkiego gardła w sposób satysfakcjonujący uciszał ludzi. – Jedzenie jest tutaj oraz w Mięsie i Zieleninie. W bibliotece są książki, możecie też czytać wszystko, co znajduje się w sklepie. – Machnął ręką w stronę łuku, żeby wiedzieli, że chodzi o Zabójczo Dobre Lektury. – Szczeniaki zostaną w jednym z mieszkań z paniami Twylą i Sierrą. Mają tam książki, filmy i jedzenie. A wy, ludzie, musicie wybrać miejsce, w którym przeczekacie burzę *tutaj*. Gdy się zacznie, zamkniemy drzwi, ponieważ wszystko, co znajduje się na otwartej przestrzeni, staje się ofiarą.

Zapadła cisza.

Po chwili Burke wystąpił do przodu.

– Doceniam fakt, że proponujecie schronienie naszym rodzinom. Porucznik Montgomery i jego zespół zostaną tu, by pomóc wam, w czym tylko się da. Będą reagować na wszelkie wezwania. Ja wracam na komisariat. Reszta moich ludzi jest tutaj.

Simon spojrzał mu w oczy. Ten mężczyzna wiedział – albo się domyślał – co nadchodziło razem z burzą.

– Niech pan zostanie w budynku aż do końca burzy. To nie zagwarantuje wam bezpieczeństwa, ale na otwartej przestrzeni z pewnością jesteście bez szans.

Jeśli chcecie, żeby większość z was przeżyła, musicie pozwolić zginąć reszcie. Takie było prawdziwe przesłanie tych słów.

Burke pokiwał głową.

– Lepiej już wyruszę.

Louis Gresh spojrzał na swoją samicę.

– Ja też wracam na komisariat. Ty i dzieci będziecie tu bezpieczni.

Nie wyglądała na przekonaną, ale pokiwała głową.

– Elliot Wilcza Straż dał mi pozwolenie na pozostanie w konsulacie i podtrzymanie kontaktu z gubernatorem Hanniganem – rzekł Greg O’Sullivan. – Zasugerował, żebym jeszcze przed burzą odebrał jedzenie i żywność.

– W takim razie zrób to teraz.

– Ludzie! – W kawiarni rozległ się donośny głos kapitana Burke’a. – Ponieważ jest nas bardzo dużo, musicie brać pod uwagę to, co wam powiedziano. Różnorakie zapasy zgromadzono w dwóch miejscach. Musicie się między nie podzielić, tak by nie zdarzyło się, że w jednym miejscu brakuje żywności, a w drugim jest jej nadmiar.

Starszy Debany zaczął się rozglądać.

– Kapitan ma rację. Gdzie najbardziej możemy się przydać?

Simon popatrzył na ludzi.

Gdzie mogą się przydać *ludzie*? Nie spodziewał się, że będą chcieli coś robić, zakładał, że po prostu pragną znaleźć schronienie.

– Pracuję tu z Nadine – powiedziała Merri Lee. – Ruth i Eve Denby wydają jedzenie w Mięsie i Zieleninie. – Spojrzała na Simona. – Kosze i worek zapełniłyśmy rzeczami dla Meg. Mgła wraca już do Stajni Kucyków.

– Jak myślicie, jak długo potrwa burza? – spytał Kowalski.

Simon znów spojrzał na ludzi zgromadzonych w kawiarni. Byli tu, ponieważ oni lub ich małżonkowie rozumieli, że muszą współpracować z *terra indigena*. Zasługiwali na szczerłość.

– Czas trwania burzy zależy od tego, jak bardzo kły i pazury Namid nienawidzą ludzi w Lakeside – odparł. – Gdy się skończy, zniknie dużo ludzkich miejsc w Thaisii. Wiele z nich już zniknęło. – Zerknął na Vlada, który ponuro pokiwał głową. – Tak jak ogień niszczy stary porządek, by zrobić miejsce na to, co nowe, tak tubylcy ziemi, którzy przybywają z tą burzą, będą wszystko niszczyć. Miejmy nadzieję, że znajdziemy się wśród osób, które przetrwają i będą mogły zacząć coś nowego.

– Pójdę z kapitanem Burke’em – powiedział Nathan, stojący w łuku prowadzącym do ZDL. – Jeśli na komisariacie będzie choć jeden członek Wilczej Straży, być może nie zniszczą budynku.

Jesteś pewien? spytał Simon.

Meg jest bezpieczna, a ty i Blair musicie zostać tutaj, żeby bronić Dziedzińca. Byłem już kiedyś na komisariacie.

Żaden z ludzi się nie odezwał. Po chwili Burke powiedział:

– Dziękuję. Nie spodziewałem się, żeby ktokolwiek z was... –

Przerwał, a potem powiedział ostrzejszym tonem: – Poruczniku, zapraszam na chwilę rozmowy.

Burke wyszedł z kawiarni, a za nim ruszyli Louis Gresh i Montgomery.

Ludzie stanęli w grupie, samice rozmawiały z Nadine i Merri Lee, samce z policjantami, a młode zebrały się w stadko. Wyglądały na zagubione.

– Zostajesz tutaj? – zapytał Vlad, gdy Simon do niego dołączył.

– Tak. John jest w Mięsie i Zieleninie; pomoże obsługiwać ludzi.

Blair pilnuje Kompleksu Usługowego. Henry zostaje w swojej pracowni, więc w razie jakichś problemów będzie pod ręką. Jenni, Starr i Jake są w Błyskotkach i Starociach. Julia i Marie Jastrzębia Straż oraz Allison Sowa Straż pilnują biblioteki na targu.

Vlad rozejrzał się i zmarszczył czoło.

– A czy ktokolwiek widział Tess?



– Poczekaście na mnie w samochodzie – powiedział Burke do Louisa Gresha i Nathana Wilczej Straży. Potem spojrział na Monty'ego.

– Chcę mieć tu ciebie i twój zespół. W sklepach na tym terenie może dojść do grabieży, są jakieś niepokoje i prośby o wsparcie. Zanim jednak zaryzykujesz jakiegokolwiek działania, poczekaj, aż Wilcza Straż da ci na to pozwolenie. Rozumiesz?

Monty przyjrzał się swojemu kapitanowi.

– Wiesz, co się stanie?

– Już raz coś takiego widziałem. To będą krwawe i straszliwe wydarzenia, po których każdy z nas obieca sobie, że uczyni wszystko, by już nigdy się nie powtórzyły. Poza tym nie chcę, by w kostnicy którykolwiek z moich ludzi wyglądał jak...

– Powinienem być z wami na komisariacie.

– Twoja ekipa pracuje tutaj. To ważne, żebyś z nimi został. –

W jego głosie słychać było sugestię.

– Zakładasz, że nie wyjdziemy z tego cało.

Burke się zawahał.

– Nasze szanse bardzo wzrosły dzięki obecności Nathana Wilczej Straży na komisariacie. Nie kazałbym przyprowadzić moim ludziom rodzin do miejsca, o którym myślałbym, że zostanie zburzone. Jeśli jednak coś się stanie i nie będę się nadawał do pełnienia służby, chcę, by moje miejsce zajął kolejny w hierarchii policjant, taki, który cieszy się zaufaniem Innych.

– Przecież szef komendy nie postawi mnie nad ludźmi, którzy pracują tu dłużej niż ja.

– Monty, tu nie chodzi o staż pracy, tylko o przetrwanie.

Podskoczyli ze strachu, usłyszawszy potężny grzmot.

– Powodzenia, poruczniku.

Monty przytrzymał przez chwilę dłoń Burke'a.

– Powodzenia, sir.

Staął w drzwiach i patrzył, jak kapitan stąpa ciężko po wybrukowanym terenie i znika za rogiem. Z trudem zamknął drzwi i oparł się o nie. Czy jeśli pobiegnie do mieszkania, żeby sprawdzić, co u Lizzy, wywoła ekscytację wśród dzieci, nad którymi być może jego matce udało się już zapanować?

Usłyszał kroki, głosy i szelest płaszczy przeciwdeszczowych.

Greshowie uśmiechali się do niego.

– Idziemy do Mięsa i Zieleniny – powiedział pan Gresh.

– Lepiej się pośpieszcie. – Monty przytrzymał im drzwi i wtedy zauważył Kowalskiego.

– Poruczniku, jakieś rozkazy?

– Bądź ze mną w kontakcie i trzymaj wszystkich w budynku.

Zanim stąd wyjdziecie, poczekajcie, aż wszystko się uspokoi.

– Tak, sir. Zostajesz tutaj?

– Tak. – Powinien się skontaktować z Simonem i Vladem. A jeśli Lizzy będzie go potrzebować, dużo szybciej dotrze do mieszkań, wychodząc przez tylne drzwi Czegoś na Ząb niż od strony targu.

– Michael tu zostaje. Pete Denby też.

– Jesteśmy bezpieczni. A teraz idź już.

Będzie krwawo i strasznie, tak powiedział Burke. Musi się modlić,

żeby żaden ze znanych mu ludzi tego nie doświadczył – nie wierzył jednak, by tego dnia ktokolwiek wysłuchał jego modlitwy.



Tess odprowadziła wzrokiem czarnego sedana, który wyjechał z Dziedzińca. Następnie odczekała minutę i otworzyła przednie drzwi do biura łącznika. Wyszła na zewnątrz i założyła kaptur, zasłaniając twarz.

Wystawały spod niego tylko dwa pasemka czarnych włosów.

– Kiepski dzień na spacer – zauważyła Nyx.

Tess skrzyła w lewo; nie odrywała wzroku od chodnika. Ludzka maska przypominała teraz przezroczystą warstwę. Och, narządy jej ofiar szernieją, ich mózgi będą krwawić, ale nie tak szybko, jak wtedy, gdyby ujawniła swą prawdziwą postać, kryjącą się za maską. Ofiary będą zbyt chore, by sprawiać problemy, więc uciekną i umrą gdzie indziej – co bardzo jej pasowało, ponieważ będzie mogła pożywić się najlepszą życiową energią.

– Jesteś tu z jakiegoś konkretnego powodu? – zaczęła dopytywać Nyx.

– Chcę się upewnić, że nie stanie się nic, co może spowodować kłopoty – odparła Tess, obserwując ludzi, idących do Jelenia i Zająca. Było to miejsce dobre jak każde inne do przeczekania burzy, ponieważ można było w nim zjeść i się napić, nie sądziła jednak, by ludzie, którzy tam zmięrzali, żywili przyjazne uczucia do Dziedzińca lub jego mieszkańców.

– Mówisz o ludziach?

– Między innymi. – Poczowała, jak Nyx przysuwa się bliżej.

– Nawet twojej postaci *terra indigena* nie można przyjąć za jedną z nich.

– Gdybym zebrała tyle energii życiowej, nie musiałabym żywić się przez rok – powiedziała z rozmarzeniem Tess. Kiedy ostatnio czuła się w pełni syta?

– Nie musiałabyś jeść przez rok? – Nyx zdawała się zniesmaczona.

– A jeśli dostaniesz kogoś zgorzkniałego i będziesz musiała czekać tak długo, żeby zgłodnieć?

Tess się roześmiała. Czarne pasemka błysnęły odrobiną czerwieni.

– Powinnaś wejść do środka.

– Jestem bezpieczna przed pazurami i kłami Namid. Dym stanie im w gardłach i zaczną kasłać. Nie wiedziałaś? – Nyx delikatnie pogładziła Tess po plecach i powiedziała poważniej: – Dzisiaj nie będziesz samotnie polować na ludzi. Będę stać na czatach przy tylnym wejściu do budynku mieszkalnego. W ten sposób mogę też pilnować schodów wychodzących na Wronią Aleję.

Gdy przefrunęła przez przejście, Tess usłyszała, jak wampirzyca kogoś pogania. Zajrzała do konsulatu i dostrzegła Elliota Wilczą Straż. Szybko odwróciła wzrok, uświadomiwszy sobie, że jest z nim jakiś człowiek.

– Nie – warknął Elliot. – Nie patrz. Po prostu wejdź do środka.

Wilku, powiedziała Tess. Mam dla ciebie dobrą radę. Na twoim miejscu zasłoniłabym żaluzje na oknach wychodzących na obszar dostaw. Nie chciałabym, żeby przez przypadek stała ci się krzywda.

Przekażę tę radę Henry'emu, odparł Elliot.

Wiatr szarpnął kapturem, niemal odkrywając twarz Tess.

Weszła do biura łącznika i przekręciła zamek w drzwiach.

W mieście było dużo zwolenników LPiNW. Gdy już się napiją, by dodać sobie odwagi, przyjdą tu, szukając guza, więc nie będzie się zbytnio ukrywać.



Simon był sam w biurze ZDL. Spojrzał na swoją komórkę i już miał włączyć wiadomość, którą zapisał, żeby móc usłyszeć głos Meg, ale wybrał numer Stajni Kucyków.

– Stajnia Kucyków. Z tej strony Meg.

Gdy ją usłyszał, wpadł w chwilowy zachwyt, ale jednocześnie poczuł, że ogarnia go niezadowolenie, o którego istnieniu nie miał do tej pory pojęcia. Właśnie dlatego ryknął:

– Ugryzę cię najmocniej, jak się da!

– Nie zrobisz tego – odparła sztywno. Podejrzewał, że sobie z niego żartowała. – Natomiast przy kolejnej wypłacie dasz mi wysoką premię, ponieważ nie tylko uświadomiłam sobie, że muszę uciec od wszystkich ludzi, przez których czułam mrowienie i pieczenie skóry, w bezpieczne miejsce, w którym nie będę sama, tak byś nie musiał się o mnie martwić, lecz również dzięki mnie znalazłeś Sama i Jedynaka. –

Nie mógł się z tym nie zgodzić, ale... – Ja też chciałabym, żebyś tu był – dodała cicho. – Chciałabym, żebyś leżał tu zwinięty na słomie i razem ze mną patrzył na burzę. Wtedy ty też byłbyś bezpieczny.

– Jestem bezpieczny. – Fakt, że nie mógł tak po prostu wybiec i do niej dołączyć, sprawił, że miał wrażenie, że jest bardzo daleko od niego.

W szyby walił grad. Szlag. Czy rano zamknął okna w mieszkaniu? A ona? Czy zamknęła okna? Nie miał zamiaru o to pytać. Nie chciał jej dodatkowo martwić.

Westchnął.

– Zaczęło się. Lepiej już pójdę. A ty zostań z Jesterem.

– Zostanę.

– I nie wypuszczaj Sama na dwór, nawet na siku.

– Dobrze.

– A jeśli Jedynek ci ucieknie, to go nie goń.

– Nie będę. Jeezu, Simonie! Od kiedy zajmujesz się mikrozarządzaniem?

Nie wiedział, co to jest, ale brzmiało jak obelga – jak coś, co powinien ugryźć.

Chrząknął i się rozłączył. Gdy zszedł na dół, dotarło do niego, że ta mała zniewaga ze strony Meg poprawiła mu nastrój.

Do: Douglas Burke

Mam nadzieję, że moja wiadomość do ciebie dotrze. Wiarygodne źródła mówią, że zniknęły oddziały Cel-Romanii, stacjonujące na ziemiach zagarniętych przez *terra indigena*. Znalezione mnóstwo krwi i rozbitego sprzętu, trochę oddzielonych od reszty ciała kończyn – i ślady wskazujące na to, że pewni ludzie zginęli wskutek działania nieznannej zarazy. Niektórzy twierdzą, że żołnierze „z prowincji” zdezerterowali i wrócili do domów, zakłada się jednak, że zginęła większość ludzi stacjonujących na dzikich terenach.

Rybacy z wiosek na obszarach *terra indigena* ostrzegali rybaków z Brytanii, że w Cel-Romanii „zmieni się pogoda”, i kazali im trzymać się blisko domów.

Shady Burke



Niedziela, 1 lipca

W Lakeside błyskawica bezbłędnie trafiała w każdy poruszający się pojazd, a deszcz spływający rynnami huczał niczym Wodospad Talulah. Ulice zamieniły się w rwące potoki. Dachy zaczęły przeciekać. Piwnice zostały zalane. Wszyscy modlili się do bogów i osobistych opiekuńczych duchów, by deszcz przestał padać, zanim strumienie się przeleją.

Potem potężny północny wiatr zepchnął ulewę na południe, a miasto Lakeside spowiła gęsta mgła.

Zapanowała straszliwa cisza.

Wtedy do Lakeside weszli oni, by rozpocząć poszukiwania ofiar. Najgorsi z nich chodzili na dwóch nogach.



Douglas Burke złapał Louisa Gresha akurat w chwili, gdy deszcz zmienił się w mżawkę, a miasto spowiła ta przekłeta mgła.

– Weź swoich ludzi i zablokuj tylne drzwi – rozkazał Burke cicho, ale nagle. – Nie otwierajcie ich. Niech wszyscy zostaną w środku. Nie żartuję.

– Ale przecież burza już się skończyła – zaprotestował Gresh. – Powinniśmy się stąd wynosić.

– Louisie, burza jeszcze się nie zaczęła. – Ludzie byli niespokojni, chcieli się stąd wydostać i pomóc. Na bogów na górze i na dole! Przecież on pragnął tego samego! Gdyby jednak wyszli za wcześnie, znaleźliby się wśród ofiar, zamiast wśród tych, którzy przeżyją. – Proszę trzymać te drzwi!

Louis przyjrzał się twarzy Burke'a. Kiwnął głową i zaczął budować barykadę pod tylnymi wyjściami z komisariatu.

Zadowolony, że Gresh będzie współpracować, Burke pośpieszył do swojego biura. Nie wiedział, czy komisarz policji Kurt Wallace trafił na komisariat przy Orzechowej przez przypadek, bo chował się przed burzą, czy może stwierdził, że jeśli ukryje się wśród policjantów, uznawanych za miłośników Wilków, zapewni sobie bezpieczeństwo. Nadal jednak był oficjalnym zwolennikiem LPiNW i trzymanie go tu razem z Nathanem Wilczą Strażą wywoływało niepokój wśród niektórych cywilów i policjantów, którzy nie byli przekonani, czy ruch LPiNW nie powinien wymrzeć, tak jak wymarły dinozaury.

Po upewnieniu się, że ma naładowaną broń, Burke wziął jeszcze dwa magazynki i włożył je do kieszeni płaszcza.

Ruszył w stronę drzwi, ale nagle się zatrzymał i odwrócił.

– Nathanie?

Wilk spędził tu ostatnie godziny – i zmusił dowódcę komisariatu do trzymania Wallace'a u siebie. Teraz jednak na krześle gościa leżało ubranie, które Wilk miał na sobie w ludzkiej postaci, ale po Nathanie nie było śladu.

Mając nadzieję, że w tym miejscu nie groziło mu niebezpieczeństwo – i że nie zaatakuje nikogo, kogo uzna za wroga – Burke zaczął się przepychać wśród osób kierujących się w stronę głównego wejścia do komisariatu. Zamknął drzwi, stanął przed nimi

i wyciągnął broń.

– Nikt stąd nie wyjdzie – powiedział głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Przynajmniej do czasu, gdy nastąpi konfrontacja z szefem komisariatu albo z Wallace’em.

Rozprawi się z nimi, gdy nadejdzie właściwy moment.



Na zewnątrz Stajni Kucyków coś się poruszyło. Meg tego nie słyszała, wiedziała jednak, że tam było. Poczowała na skórze ciężar jego obecności.

Objęła mocniej Sama. Jedynek posłuchał głosu rozsądku i zakopał się w słomie na tyłach budynku. Jester wpatrywał się w drzwi, jakby miało to zapobiec ich otworzeniu.

Wszystkie kuce, na których nie jeździły teraz Żywioły, wystawiły łby z boksów. Tornado i Ruchome Piaski wyszły na środek i stanęły przodem do drzwi.

Jester spojrział na Meg, a potem ponownie skupił się na wejściu.

Nie czuła, żeby pod jej skórą zbierało się jakieś proroctwo. Żadnego mrowienia, klucia, pieczenia. Może to dlatego że żadne z nich nie miało przyszłości? A może powinna już wiedzieć, jakiego wyboru dokonać?

Jesteśmy tu, trzymamy straż. Nadal strzeżemy świata.

Podniosła głowę.

– Arroo!

– Ciii... – szepnął Jester.

– Muszą wiedzieć, że tu jesteśmy. Arroo!

– *Arroo!* – zawtórował jej Sam.

Coś uchyliło drzwi stajni, ale tylko na kilka centymetrów.

– Arroo! – zawyła ponownie.

Sam i Jedynek wyli razem z nią.

Po chwili rozległo się wycie Wilków z innych części Dziedzińca.

Jesteśmy tutaj. Czy to nie tej wiadomości zabrakło w innych częściach Thaisii? Ale nie w Lakeside. Wilcza Straż wciąż tu była.

– Arroo!

Odgłos węszenia. Prychnięcie. I... śmiech?

Drzwi stajni się zamknęły. Coś odeszło, zostawiając za sobą

dziwną ciszę.

Meg zamrugła szybko.

– Czy to... czy oni się z nas śmiali?

Jester uśmiechnął się szeroko i opadł na słomę obok niej.

– Nigdy nie słyszeli takiego wycia, więc pewnie byli ciekawi.

– Śmiali się z nas.

– To też – zgodził się radośnie Jester, po czym skoczył na równe nogi. – Meg, chcesz jeść?

– Czyli to już koniec? Burzy i... tego, co po niej?

– Dla nas tak.

Zdawał się być tego pewny.

Wstała i zaczęła otrzepywać ubranie.

– Najpierw umyję ręce.

– Tylko nie zużywaj za dużo papieru toaletowego. Organizując zapasy, nie uwzględniłem obecności samicy.

Wzięła worek, w którym trzymała rzeczy osobiste, i poszła do toalety z tyłu stajni. Zamknęła za sobą drzwi, otworzyła worek i się uśmiechnęła. Na samej górze znajdowała się rolka papieru toaletowego. Ruth i Merri Lee musiały ją zapakować.

– Ha! – zawołała i położyła papier na zbiorniku z wodą.

Zastanawiała się, czy jej małe „arroyo” stanie się kolejną legendą, którą będą sobie opowiadać Wilki.



Nathan przeciskał się przez tłum ludzi, stojących między nim a drzwiami, uważając na buty, które mogłyby podeptać jego łapy.

– Nikt stąd nie wyjdzie.

W tłumie słyhać było pomruki niezadowolenia, a w kilku przypadkach nawet głośne przekleństwa, ale głos Burke’a był najdonioślejszy, dzięki czemu z łatwością można było stwierdzić, gdzie stoi mężczyzna.

Gresh miał swoich ludzi, którzy pomagali mu strzec drzwi, ale Burke musiał samotnie stawić czoła temu tłumowi. Wyobraził sobie Burke’a z futrem i stwierdził, że byłby z niego niezły Niedźwiedź.

Dotarłszy do drzwi – i do kapitana – Nathan wyjrzał przez szybę. Gdzieś tam we mgle byli Starsi, dziesiątkujący stado. Czuł ich. Gdyby

udało mu się przekonać Burke'a, żeby uchylił drzwi choćby na centymetr, powąchałby powietrze i zorientował się, jak blisko komisariatu się znajdują. Ponieważ jednak był przekonany, że Burke nie otworzy, postanowił załatwić tę sprawę w inny sposób.

– *Arroo!* – zawył. – *Arroo!*

– Burke! – krzyknął jakiś człowiek. Zabrzmiało jak Wallace. – Niech ten stwór... stuli pysk.

– Wydaje mi się, że próbuje ocalić nam życie, odstraszać inne drapieżniki – odparł Burke. – Naprawdę chcesz, żebym kazał mu przestać?

Obaj – Nathan i Burke – czekali na odpowiedź. Ponieważ jednak nikt nie przerwał ciszy, Nathan wrócił do wycia.

Wilku, głęboki i potężny głos gdzieś blisko – zbyt blisko. Wilku, czy jesteś uwięziony w tym ludzkim miejscu?

Nie. To stado policjantów współpracuje z Dziedzińcem i Wilkami. Niektórzy pomagają Simonowi, a ja jestem tu, żeby pomóc tym, którzy strzegą samic i szczeniąt.

Coś podeszło bliżej szklanych drzwi. Coś na dwóch nogach, coś większego od Burke'a, który był wielkim mężczyzną. Nathan nie widział kształtu – zdawał się spowity mgłą – ale pazury, które nagle uderzyły w szybę i zostawiły na niej rysy, były doskonale widoczne.

Ludzie sapnęli. Niektórzy gwałtownie odskoczyli od drzwi. Policjanci w mundurze patrzyli na Nathana, na Burke'a, na szybę – i wreszcie, być może, zrozumieli.

– Kapitanie? – odezwał się jeden z funkcjonariuszy. – Kiedy...?

Burke spojrzał na Nathana. Wilk zastanawiał się przez chwilę. Starsi oddalali się od tego miejsca, ale nie byli jeszcze na tyle daleko, żeby nie mogli wrócić, gdyby ich ofiary nagle zaczęły wychodzić na zewnątrz.

Stał przed drzwiami i odwzajemnił spojrzenie kapitana.

– Jeszcze nie. Ale wkrótce. Niech policjanci z patroli zaczną porządkować wezwania, tak byśmy mogli wyruszyć, gdy tylko będzie czysto.

Burke schował broń.

– Muszę wykonać kilka telefonów – rzucił. – Dasz sobie tu radę?

– *Arroo* – odparł łagodnie Nathan.

Był przekonany, że żaden z ludzi nie będzie chciał z nim zadzierać. Ostatecznie mieli niewielki wybór – on lub polujący na ulicach *terra indigena*.



Tess wyszła z biura łącznika, zrobiła dwa kroki i się zatrzymała. W tej cholernej mgle była jak ślepa, a nie chciała na nic wpaść – ani na nikogo.

Cofnęła się o krok i wyciągnęła rękę do tyłu. Uspokoiła się, czując metalową klamkę.

Ulica Główna powinna się znajdować bezpośrednio przed nią, tuż za obszarem dostaw i chodnikiem. Nie docierał do niej jednak odgłos przejeżdżających samochodów; słyszała natomiast szum rwącej wody.

Meg będzie zawiedziona, jeśli młode rośliny w ogródku warzywnym zatoną lub zostaną wyrwane i zgniecione przez ulewę i grad. Reszta ludzkiego stada też będzie zawiedziona, ale oni nie należeli do *terra indigena* w ten sam sposób, co Meg. Ich rozczarowanie nie rozejdzie się po Dziedzińcu.

Ale ani ona, ani nikt inny nie mógł nic poradzić na nasiąkniętą wodą ziemię, odpływy i ulice, które zmieniły się w rwące potoki.

Szepty. Stłumione przekleństwa. Odgłos zwierzęcia brodzącego w wodzie. Skomlenie, gdy inne zwierzę straciło grunt pod nogami i zostało porwane przez nurt.

Tess zdjęła kaptur. Nie musiała już chować swojego prawdziwego oblicza, wystarczyła ta gęsta mgła. Ostatecznie chciała zabrać ze swych ofiar tyle życia, by zapadły na śmiertelne choroby, ale nie natychmiast. Niech pobiegną z powrotem do samochodów zaparkowanych po drugiej stronie ulicy czy do towarzyszy w Jeleniu i Zającu, którzy prawdopodobnie będą im kibicować, gdy ci zaproponują atak na *terra indigena* pod osłoną burzy. Nie rozumieli, że burza została stworzona specjalnie dla innych drapieżników, które polowały teraz w mieście. Szkoda.

Zobaczyła wyraźne smugi przecinające mgłę, tak jakby ktoś podarł pazurami szary koc. Dostrzegła kilka postaci. Cztery, pięć, sześć. Czy były uzbrojone? Musiała założyć, że tak, a nawet najgroźniejszy

przedstawiciel kłów i pazurów Namid nie mógł pozwolić sobie na lekceważenie broni, takich jak strzelby.

Nyx, na obszarze dostaw jest sześć małp. Możesz zablokować przejście, na wypadek gdyby którejś udało się mnie minąć?

Pomogę ci, jeśli wypuścisz dwie sztuki, odparła Nyx. Jestem głodna.

Są pełne płynnej odwagi. Nyx westchnęła.

Nie chcę się upić podczas posiłku. Trudno, odstęp mi jednego.

Jednego.

Sześć latarek – sześć sygnałów naprowadzających, które mówiły: „Jesteśmy tu, zjedzcie nas!”.

Tess nie widziała powodu, dla którego miałyby nie skorzystać z zaproszenia. Ruszyła w kierunku mężczyzny, który stał najbliżej niewysokiego muru między obszarem dostaw a ogrodem Henry’ego. Uderzyła go w ramię. Zaklął i spojrzał na nią. Spróbował ją złapać, ale wywinęła się z jego osłabionego uścisku, rozkoszując się pokarmem, na który od czasu przybycia do Lakeside rzadko sobie pozwalała. Gdy się odsunęła, usłyszała, jak mężczyzna zatacza się po ulicy.

Pozostała piątka ruszyła ku niej. Skierowali latarki, tak by ją oślepić. Ona jednak cały czas parła do przodu. Patrzyła im w oczy, a potem odwracała wzrok od oślepiającego światła. Śmiertelne łyki. Jeden zamachnął się łańcuchem i trafił ją w nogę. Wytrzymała jego wzrok tak długo, aż w jego czaszce zaczęło padać.

Tess! krzyknęła Nyx. Wracaj do środka!

Miała ułamek sekundy, by zrozumieć ciszę, która nagle zapadła, zanim dwa kły i pazury Namid ruszyły prosto w stronę oświetlonej zwierzyny.

To wyglądało tak, jakby mgła przybrała postać wielkich owłosionych kształtów, których nie można było opisać ani nazwać.

Tess rzuciła się w stronę biura łącznika, ale jedna jej noga już nie funkcjonowała, tak jak powinna. Potknęła się i wpadła na ścianę. Wyciągnęła rękę przed siebie. Zupełnie nieelegancko zaczęła się wspinać po murze. Usłyszała, jak pazury drapią cegły... I nagle wpadła do ogrodu Henry’ego. Przywarła do ściany.

Trochę za blisko, pomyślała. Jednak nie była to poważna próba

złapania jej.

Nyx? Wszystko w porządku?

Meg zostawiła uchylone okno w łazience. To była najszybsza możliwość dostania się do biura. Będę musiała porozmawiać z nią o opuszczaniu deski klozetowej. Prawie wylądowałam w muszli.

Tess zakryła usta dłonią.

Nie rozśmieszaj mnie. Ukrywam się w ogrodzie Henry'ego, więc technicznie rzecz biorąc, nie jestem w środku. Poza tym zostałam ranna w nogę, więc nie będę mogła pobiec, by cię kryć.

Nie powinnaś była dopuścić ludzi na tyle blisko, by cię zranili, zaczęła ją strofować Nyx.

Źle to obliczyłam. Tess próbowała uspokoić oddech. Po drugiej stronie muru rozlegały się dziwne dźwięki – ktoś się posilał, ale z całą pewnością nie byli to ludzie. Tak naprawdę nawet nie usłyszała ludzkiego krzyku, co powiedziało jej mnóstwo na temat szybkości ruchów tych tubylców ziemi.

Ciche drapanie pazurów po ceglach nad jej głową. Zapach ziemi i czegoś bardzo dzikiego, wychylającego się zza ściany, by ją powąchać.

Czy odważy się ruszyć na tyle, by spojrzeć mu w oczy? A jeśli nie będzie mogła zabrać dostatecznie dużo życia od Starszego, to czy da radę osłabić go do tego stopnia, żeby mu uciec, zanim rozerwie ją na strzępy?

Nagle zaczęła mieć wrażenie, że jej postać *terra indigena* była jednym z najgroźniejszych drapieżników Namid, dopóki nie przekroczyło się granic terenów dzikich i nie spotkało żyjących tam tubylców ziemi.

Starszy zaczął się wycofywać.

Rozległy się kolejne dźwięki. Po drugim pluśnięciu Tess się zorientowała, że Starsi wrzucili ludzkie resztki do rzeki, która płynęła teraz w miejscu ulicy. Spróbuje ostrzec Montgomery'ego i jego ludzi, zanim wyjdą na zewnątrz i znajdą... to, co znajdą.

Potem usłyszała odgłos, po którym spróbowała wstać.

Wchodzą do biura łącznika? Po co?

Nyx!

Wiem. Drugi wszedł przez tylne drzwi i zaczął wszystko

obwąchiwać.

Możesz się stamtąd wydostać?

Dym jest niesmaczny, więc aż tak bardzo się nie przejmuję. Chwila przerwy. Wydaje mi się, że kilka z nich jest teraz w sortowni.

Sortownia. Jedno z najważniejszych miejsc dla Meg. Miejsce, w którym próbowała radzić sobie ze wszystkimi zmianami na Dziedzińcu. No cóż, ona i Nyx będą musiały zaprowadzić porządek, zanim Meg ponownie tam wejdzie.

Przy założeniu, że Starsi nie ukrywali teraz po szafkach specjalnego mięsa. Tess sprawdziła, w jakim stanie jest ranna noga. Nie była złamana. Nie krwawiła.

Tess, kładź się, powiedział Henry.

Jej włosy miały teraz kolor bardziej zielony niż czarny, odważyła się więc spojrzeć w stronę pracowni, przekonana, że jej wzrok nie zrobi krzywdy Niedźwiedziowi. Stał w drzwiach pracowni i spoglądał w stronę biura łącznika.

Poczuła ten dziki zapach, który jeszcze nigdy nie miał nic wspólnego z człowiekiem – aż do tej pory. A potem rozległ się plusk i wszystko zniknęło. Nastąpiła cisza, przytłaczająca niczym mgła.

Henry wyszedł z pracowni i podszedł do Tess.

– Atakowanie sześciu wrogów, gdy nie mogą cię widzieć dostatecznie dobrze, to czysta głupota.

Wzruszyła ramionami.

– Nie miałam zamiaru puścić ich na Dziedziniec.

W sortowni zapaliło się światło, ktoś uchylił okno.

Tess pokuśtykała w tamtą stronę, a Henry grzecznie poszedł za nią.

– Nyx?

Westchnięcie.

– Chodźcie do tylnych drzwi.

Tym razem Henry nie czekał na Tess. Zanim dotarła do drewnianej bramy, on już wchodził do biura.

Szybko rozejrzała się po pomieszczeniu, ale nie zauważyła żadnych poważniejszych zniszczeń – wyglądało to bardziej tak, jakby ktoś poprzestawiał różne rzeczy, żeby się rozejrzeć i poznać zapachy.

W sortowni również nic nie zostało zdemolowane, ale...

– Słyszałam, jak ryczeli coś o wyjąłym nie-Wilku i o tym, że to miejsce pachniało jak jego nora – powiedziała Nyx.

– Zapach Meg jest tu bardzo silny – zauważył Henry. – Może im się to spodobało. – Nie był z tego zbyt zadowolony.

Tess też się to nie spodobało. Starsi byli dostatecznie zaintrygowani relacjami łączącymi Meg i Innych na Dziedzińcu, nie musieli się zastanawiać nad jej związkiem z Simonem.

– To nie to im się tak spodobało. – Nyx rzuciła na stół podrapane i zmiażdżone plastikowe pojemniki. – Zeżarły wszystkie wilcze ciasteczka.



Simon uchylił na centymetr tylne drzwi Zabójczo Dobrych Lektur i powąchał powietrze. Intensywny zapach Starszych czuć było na terenie za sklepami, jednak odeszli już z Dziedzińca. Czy wracali na dzikie ziemie? Czy może zbierali się w innej części miasta, by zorganizować wielkie polowanie?

Wystawił głowę, w każdej chwili gotowy, by się cofnąć.

– Simonie! – krzyknął Henry w tej samej chwili, w której Simon usłyszał telefon. No cóż, Vlad pracował na górze, więc mógł odebrać.

Głos Niedźwiedzia nie dochodził z pracowni ani z ogrodu, tylko z tyłu biura łącznika.

A jednocześnie:

Simonie! Napięcie w głosie Vlada sprawiło, że ruszył biegiem po schodach.

Wampir wyciągnął do niego słuchawkę. Serce Simona zaczęło walić jak oszalałe, poczuł dreszcze na całym ciele. Widział ten grymas na twarzy Vlada tylko raz w życiu.

Wziął słuchawkę.

– Z tej strony Simon.

– Albo metalowy wąż zostanie w swojej norze, albo go zabijemy. – To nie był ludzki głos. Nawet przez telefon wywoływał ciarki na grzbiecie.

– Na zawsze? – Cisza. Czy potraktowali to pytanie jak wyzwanie? – Pociągi przywożą pokarm dla ludzi mieszkających na Dziedzińcu – dodał.

- Wilku, nie potrzebujecie ludzkiego pokarmu.
- Słodka krew go potrzebuje.

Do biura weszli Henry, Tess i Nyx. Na dźwięk ostatnich słów Simona zrobili zaniepokojone miny. W porządku, mało rzeczy nie nadawało się do przewożenia ciężarówkami czy statkiem, o ile miały trafiać tylko na Dziedziniec, ale mimo wszystko dobrze byłoby wiedzieć, że pociągi przestały być środkami transportu.

– Tylko za dnia – warknął ktoś do słuchawki. – Teraz jeżdżą jedynie przy słońcu.

Co oznaczało, że pociągi nie mogły już przewozić towarów między zachodem a wschodem słońca – zasada ta niby już obowiązywała, ale nigdy nie była ściśle przestrzegana. Simon zastanawiał się, ile pociągów zostanie zniszczonych, ilu pasażerów zginie, zanim ludzie uwierzą, że dostęp do dzikich terenów naprawdę został ograniczony.

Ale nie całkowicie zamknięty – przynajmniej na razie.

- Słodka krew to ten wyjąty nie-Wilk?
- Śpiewa z Wilczą Strażą – odparł ostrożnie.

Prychnięcie. Odgłos węszenia. I... śmiech? A następnie brzęczenie w uchu. Połączenie zostało przerwane.

Wilku.

Powietrze?

Starsi wracają na dzikie tereny, myślimy jednak, że niektórzy z nich są ciekawi naszej Meg i ponownie nas odwiedzą.

Zaskomlał. Nie mógł nic na to poradzić. Odłożył słuchawkę na widełki i zauważył, że do grupy w biurze dołączył porucznik Montgomery.

– Musimy porozmawiać z kapitanem Burke'em i agentem O'Sullivanem, żeby stworzyć treść wiadomości.

– Czy policja może już stąd iść? – Montgomery wskazał miasto za oknem.

– Część ludzi próbowała zaatakować Dziedziniec – powiedziała Tess. – Starsi ich zabili. Nie widziałam dokładnie, co się wydarzyło, ale policjanci powinni się przygotować na coś bardzo złego.

- Ile ciał?
- Sześć.

– Będzie więcej – powiedział Simon, jednak za chwilę dodał: – Ale nie aż tak wiele. Ponieważ Meg-nie-Wilk rozbawiła niektórych Starszych.

– Jeśli nie macie nic przeciwko, chciałbym, żeby rodziny policjantów zostały tu na dłużej – poprosił Montgomery. – Im mniej osób na ulicach, tym lepiej.

– Rodzina Denbych chce przejść na drugą stronę ulicy i sprawdzić dom. – Vlad podszedł do okna wychodzącego na Wronią Aleję i budynki zakupione przez Dziedziniec. – Upewnijcie się, że żaluzje i rolety we wszystkich oknach wychodzących na ulicę są zaciągnięte. I niech nikt nie wychodzi na zewnątrz, chyba że naprawdę musi.

Montgomery podszedł do okna. Nagle jego ciemna karnacja przybrała popielaty odcień. Podparł się o framugę, żeby utrzymać równowagę.

– Co jest? – spytała Tess.

– Nie jestem pewien, co leży na trawnikach przed budynkami mieszkalnymi – Vlad zmusił się do zachowania spokoju – ale z gałęzi drzew zwisają jelita, przypominające osobliwy gatunek mchu.

– Poruczniku? – spytał łagodnie Simon. Ludzie nie potrafili podchodzić pragmatycznie do dostępnego mięsa – a ponieważ na Dziedzińcu było teraz tyle obcych osób, Inni nie zawsze wykorzystywali każde mięso. Gdy Montgomery odwrócił się i na niego spojrział, Simonowi zrobiło się go żal. To była brutalna prawda o tym, kto w rzeczywistości strzegł Thaisii. Jednak uważał, że druga część tej prawdy jeszcze bardziej uderzy ludzi, takich jak Montgomery. – Pod postacią Wilka możemy pomóc ci znaleźć wszystkie części. – Będzie musiał wybrać Wilki, które miały dostatecznie dużo do czynienia z ludźmi, by zrozumiały, dlaczego nie wolno im zjeść tego, co znalazły.

– Muszę zadzwonić do kapitana Burke’a – sapnął Montgomery.

– Sala Stowarzyszenia Przedsiębiorców jest pusta – odparł Henry. Poczekali, aż porucznik przejdzie przez korytarz.

– Kiedy chcesz się spotkać z ludźmi, by powiedzieć im o reszcie? – spytał Vlad.

– Za godzinę, jeśli kapitan Burke zdoła do nas dotrzeć – odparł Simon. – Chcę też, by był przy tym Nathan.

– Trzeba opatrzyć nogę Tess. Złapię Merri Lee. Pomoże mi i Nyx uporządkować biuro Meg – powiedział Henry.

– Przynajmniej na tyle, na ile nam się uda. – Nyx wyszczerzyła do Simona kły. – Starsi zjedli wszystkie wilcze ciasteczka.

Westchnął. Co innego mógł zrobić?

Po tym, jak reszta zeszła na dół, by zająć się ludźmi i wziąć się za porządkowanie, Simon zadzwonił do Stajni Kucyków. Gdy usłyszał w słuchawce głos Meg, znów poczuł ogromną ulgę.

– Simonie? To ty? Wszystko w porządku?

– To ja. Nic mi nie jest. A u ciebie?

– Też dobrze. Coś pomyślało o wejściu do Stajni Kucyków, a potem... nas wyśmiało.

Nie wszystkich was.

– Starsi zjedli wszystkie wilcze ciasteczka w sortowni.

– Oni... No cóż! Możesz ich za to pogryźć?

Na samą myśl o tym miał ochotę schować się pod biurko.

– Nie, ale... Gdy tu weszli, trochę poprzestawiali ci rzeczy.

Henry, Nyx i Merri Lee posprzątają w biurze, ale chciałem, żebyś wiedziała, na wypadek gdyby coś nie do końca było tak, jak powinno.

– Dobrze, przygotuję się na to, że coś jest inaczej. – Przez chwilę milczała. – Skontaktuję się z piekarnią Eamera i spytam, kiedy będą mogli przysłać więcej ciastek.

– Na pewno wszystko w porządku?

Miała bardzo zmęczony głos.

– Jester, Sam i ja czytaliśmy na głos Jedynakowi i kucykom historię o Drużynie Wilków. Jestem narratorem i ludzką samicą, która często mdleje. – Teraz w jej głosie pojawiła się niechęć. Może powinien zaprosić na Dziedziniec kilku autorów opowieści o Drużynie Wilków? Mógł się założyć o miesięczny zapas ciasteczek, że gdyby ich odwiedzili, w przyszłych historiach nie byłoby mdlejących ludzkich samic. – Jester czyta partie złych ludzi i dowódcy Drużyny Wilków. Oboje pomagamy Samowi czytać wypowiedzi Drużyny Wilków – kontynuowała. – Gdy zadzwoniłeś, mieliśmy właśnie przerwę na picie i przekąski.

To wyjaśniałoby zmęczenie w jej głosie.

– Zostań tam jeszcze przez kilka godzin. Potem cię odbiorę i będziemy mogli sprawdzić Zielony Kompleks i ogród.

– Dobrze. Czy chcesz porozmawiać z Jesterem? Mówi, że prawdopodobnie wiesz już, co powinieneś zrobić.

– Nie muszę z nim rozmawiać. Mam jeszcze do wykonania kilka telefonów.

Rozłączył się, żałując, że nie może czytać razem z nią opowieści o Drużynie Wilków. Jednak im szybciej poradzi sobie z ludzkimi sprawami, tym szybciej zajmie się kwestiami, które naprawdę się dla niego liczyły.



– Henry?

Niedźwiedź przestał wycierać stół na zapleczu biura łącznika i zaczął się zastanawiać nad tonem Merri Lee. Nie było to: „Ratuj, ratuj, widziałam mysz!”, ale raczej: „Rozzłościłam grzechotnika. Co mam teraz robić?”.

Wpadł do sortowni w tej samej chwili, w której przyfrunęła Nyx.

– Co się stało? – spytała.

Merri Lee wskazała dwie karty leżące na ladzie nad szufladą, w której znajdowały się karty prorocत्व Meg.

Na pierwszej karcie namalowano pięknie wykończoną, acz przerażającą postać czegoś, co Henry uznał za jedną z form Starszych. Obok leżało nadgryzione wilcze ciastko. Na kolejnej karcie znajdował się prosty rysunek uśmiechniętej twarzy.

– To baaaardzo niedobrze – powiedziała Merri Lee i wzdrygnęła się.

– Owszem. – Henry podniósł ciastko. – Ciastko zostawione na ladzie przyciągnie myszy.

Spojrzała na niego. Zrozumiał, że nie o to jej chodziło.

– Poza tym Starsi nie powinni się bawić kartami Meg. – Nyx otworzyła szufladę i koniuszkiem palca dotknęła kart. – To może jej przeszkodzić w czytaniu prorocत्व.

Teraz Merri Lee popatrzyła na Nyx.

– Muszę wyjść zaczerpnąć świeżego powietrza.

Odprowadzili ją wzrokiem.

- Wydaje się zaniepokojona – powiedział Henry.
- Oczywiście, że jest zaniepokojona – warknęła Nyx. – A ciebie nie niepokoi ta uśmiechnięta twarz?



Nathan patrzył na unoszącą się mgłę, odsłaniającą błękitne letnie niebo.

Nathanie!

Marie?

Skoro Jastrząb latał, to może można było już bezpiecznie wyjść?

Simon mówi, że powinieneś wrócić do domu. Starsi opuścili miasto.

Aż ryknął z radości. Rozganiając zgromadzonych przy drzwiach ludzi, rzucił się w stronę nory kapitana Burke'a. Wielki mężczyzna spojrzął na Nathana, gdy ten wszedł do pokoju, zamienił się w człowieka i zaczął się ubierać. Kapitan jednak cały czas rozmawiał przez telefon.

– Wygląda na to, że ma jakieś wieści. Dam ci znać, jeśli będę miał się spóźnić. Jeśli nie, będziemy za godzinę. – Burke się rozłączył, podszedł do drzwi i ryknął: – Dostaliśmy zielone światło! Ruszamy, szybko, szybko!

Nathan patrzył, jak policjanci wyruszają na swoje polowanie.

Burke wrócił do biurka.

– Za godzinę mam być na Dziedzińcu. Jak chcesz, mogę cię podwieźć – powiedział, a następnie wyciągnął przed siebie kartkę papieru. – Co o tym sądzisz?

To była wiadomość od Shady'ego Burke'a. Nathan przeczytał ją, po czym oddał kartkę kapitanowi i wzruszył ramionami.

– Ludzie nie zatrzymaliby na dłużej żadnej części dzikich terenów.

– Interesuje mnie wyrażenie „zmieni się pogoda”. Nathanie, czy u nas zmieniła się pogoda?

W tym pytaniu było trochę przebiegłości Lisiej Straży.

– Mielśmy wiatr, dużo deszczu. Nie mówiąc już o pazurach i kłach Namid, szalejących na ulicach.

– Widziałeś kiedykolwiek człowieka robiącego magiczne sztuczki?

– Burke włożył rękę do kieszeni, wyjął monetę i podstawił ją Nathanowi pod nos. – Coś jak sprawianie, że monety znikają, albo wyciąganie królików z kapeluszy?

Gdy był szczeniakiem, widział magiczną sztuczkę. Koniecznie chciał znaleźć kapelusz pełen królików, ale jedyne, co sprzedawano w sklepach, to kapelusze z króliczego futra.

– To była sztuczka? Czyli w kapeluszu nie było królika?

To takie rozczarowujące – ale ludzie najwyraźniej się tego spodziewali.

– Jesteś głodny? – spytał oschle Burke.

– Tak. – Miał nadzieję, że ludzie nie zjedli jeszcze całego mięsa na Dziedzińcu. Czekają go mnóstwo pracy i nie będzie miał czasu na gonienie za posiłkiem.

Burke poruszył dłonią i moneta zniknęła.

– Zręczne ręce. Odwrócenie uwagi od jednej rzeczy poprzez skupienie jej na czymś innym. – Kapitan odwrócił dłoń i ponownie pokazał monetę. – Nie mieliśmy tu takiej zmiany pogody, jaka zbliża się do Cel-Romanii, prawda?

– Spytaj Simona. Może on będzie wiedział.

– Tak, bardzo prawdopodobne, że wie. – Mężczyzna spojrział na monetę. – Kilkakrotnie powiedział, że *terra indigena* uczą się od innych drapieżników. Nie miał na myśli wyłącznie technik polowania, prawda? – To nie zabrzmiało jak pytanie, na które należało udzielić odpowiedzi, więc Nathan milczał. Burke schował monetę do kieszeni. – No cóż, spodziewam się, że komisarz Wallace będzie się na mnie darł za to, że jestem panikarzem i wrzodem na tyłku, nie mówiąc już o tym, że cały komisariat stał się czymś w rodzaju zakładnika.

Podszedł do drzwi gabinetu.

Simon był przywódcą Dziedzińca. Powie ludziom tyle, ile uważa za stosowne. Jednak Nathan czuł, że powinien wspomnieć Burke'owi o tym, że cały czas należy ukrywać stado policjantów.

– Kapitanie? Nie jesteś panikarzem.

Burke spojrział na niego i uśmiechnął się nerwowo.

– Wiem.



Niedziela, 1 lipca

„Potężna powódź w Toland powoduje przerwy w dostawie prądu oraz zniszczenia dróg i kolei. Na schodach jednej ze stacji telewizyjnych znaleziono odciętą głowę. Według plotek głowa należała do Mikołaja Strzępiela, mówcy motywacyjnego ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko. Pogłoski mówią, że Strzępiel wypłynął statkiem do Cel-Romanii, zanim huragan dotarł do Rejonu Północno-Wschodniego Thaisii. Po badaniach przeprowadzonych przez lekarzy medycyny sądowej udało się ustalić, że ciało Strzępiela przez pewien czas przebywało w słonej wodzie. Odmówiono komentarza odnośnie do tego, czy głowa została odcięta czy odgryziona”.



Wład usiadł przy wielkim stole w sali spotkań konsulatu.

Usłyszawszy raport o Mikołaju Strzępielu, zrozumiał, dlaczego Stavros Sanguinati cały czas siedział w Toland, zamiast przybyć tutaj i objąć stanowisko przywódcy *terra indigena* w Wodospadzie Talulah.

Wyjaśniało to również cios, jaki Ocean zadała Toland. Polowała na konkretną ofiarę i – z pomocą Stavrosa – uciszyła wroga.

Teraz Stavros był w drodze do Lakeside; jechał zmierzającymi do miasta ciężarówkami tubylców ziemi lub Intuitów. Dotarcie do miasta w ten sposób zajmie mu trochę czasu, ale dopóki nie będą mieli pewności, że „metalowe węże” rzeczywiście mogą jeździć po dzikich terenach w ciągu dnia, lepiej, żeby *terra indigena* korzystali z innych środków lokomocji.

Kiwnął głową do bladego, wyraźnie roztrzęsionego Grega O’Sullivana. Agent usiadł i rzucił na stół jakąś teczkę.

– Na bogów na górze i na dole... – wymamrotał.

– Jakież problemy?

– Nawet kilka.

Do sali weszli Simon, Henry, porucznik Montgomery i kapitan Burke, a za nimi wkroczył Elliot Wilcza Straż. Ludzie usiedli po jednej stronie stołu, *terra indigena* po drugiej, Simon zajął miejsce na szczycie.

– Musimy przestać organizować takie spotkania – Burke zwrócił się do O’Sullivana.

– Wolałbym nie zastanawiać się nad alternatywami dla takich dyskusji – odparł ponuro agent. Mówił dość cicho, ale i tak słyszały go wszystkie ostre uszy w pomieszczeniu.

Vlad zastanawiał się, o czym – i w jaki sposób – dowiedział się O’Sullivan.

– Przez ostatnią godzinę bez przerwy rozmawiałem przez telefon – odezwał się Simon. – Mam tyle informacji, że nie wiem, od czego zacząć.

– Jest takie powiedzenie: „Wszystkie drogi prowadzą przez las” – rzucił Burke. – Zacznijmy od tego.

– Dobrze. Pociągi będą mogły jeździć przez Rejon Północno-Wschodni, ale tylko w ciągu dnia.

– Już wprowadziliśmy w życie te zasady. Większość naszych kolei się dostosowała, zwłaszcza jeśli chodzi o pociągi pasażerskie – rzekł

O'Sullivan. – Dlaczego to takie ważne?

– Od tej pory nie będziemy bezpieczni w ciemnościach. Tubylcy ziemi na dzikich terenach zniszczą wszystko, co porusza się po ich terytorium po zmierzchu.

O'Sullivan zmarszczył brwi.

– Nie będziemy bezpieczni w ciemnościach? Czy to odnosi się również do pojazdów na drogach? – Simon przytaknął. – Wracamy zatem do zamykania bram miast. – O'Sullivan westchnął. – A czy na terenach przez siebie wydzierżawionych ludzie mogą zajmować się swoimi biznesami po zmroku?

Simon się zawahał.

– Być może. Ale to ludzie zaatakowali dzikie tereny i anulowali ustalenia dotyczące granic, tak więc teraz są... dziury w murach obronnych. Nie sądzę, by niektóre gatunki Starszych powstrzymywały się od inwazji na miasta.

– Wygląda na to, że miasta będą musiały wprowadzić godzinę policyjną – zauważył Burke.

Vlad zorientował się, że ani Burke, ani Montgomery nie wspomnieli o tym, iż siłą rzeczy policjanci będą musieli patrolować ulice po zmroku, by pilnować przestrzegania godziny policyjnej i egzekwowania innych ludzkich praw. A co z ludźmi, którzy jeżdżą w karetkach czy gaszą pożary?

Nie mogli tego powiedzieć. Jeszcze nie teraz. Ale był pewien jednego: niezależnie od tego, jak trudne czy przerażające stanie się od tej pory życie ludzi w Thaisii, o wiele gorsze będzie życie ludzi w Celtycko-Romańskiej Wspólnocie Narodów po tym, jak kły i pazury Namid zemściły się za śmierć zmiennokształtnych i próby przejęcia ich ziem przez ludzi.

– A co z podróżowaniem między poszczególnymi regionami? – spytał Montgomery.

Simon wruszył ramionami.

– Znam tylko zasady odnoszące się do Północnego Wschodu.

To nie do końca prawda, pomyślał Vlad. Dzięki rysunkom Nadziei Simon, ja – i Jackson – wiemy więcej o tym, co wydarzy się między tymi regionami, niż ktokolwiek na świecie.

– Wiecie już, że linie komunikacyjne między poszczególnymi regionami zostały odcięte – powiedział. – Nie można już dzwonić, wysyłać maili czy nawet telegramów do osób prywatnych bądź firm z innego regionu. Nie stwierdzono jednak zniszczonych torów czy dróg, które uniemożliwiłyby podróżowanie, międzyregionalny transport poczty bądź towarów. Zakładam więc, że nadal można podróżować, ale będzie to trudne, zwłaszcza że każdy środek transportu przewożący jakiś ładunek, musi zjechać z drogi czy na stację kolejową, zanim zapadnie zmrok. A jeśli towar jest wieszony łodzią, to musi ona przypląć do przystani.

– Jeszcze nie ma śladów zniszczeń na drogach czy torach – zauważył O’Sullivan. – Panie Sanguinati, usłyszałem słowo, które nie zostało wypowiedziane... – Przerwał. – Biuro gubernatora przygotowuje listę miast na Północnym Wschodzie, które nadal są dostępne dla ludzi.

– Czy ktokolwiek ma jakieś wieści od mieszkańców Toland? – spytał Montgomery.

– Stacje radiowe sugerują, że miasto poniosło poważne szkody, a liczba ofiar śmiertelnych wciąż wzrasta. Linie telefoniczne i telegraficzne padły. Ich naprawa może potrwać wiele dni.

– Albo miesięcy. Albo w ogóle może się nie udać – dodał Simon. – Najpierw zdziesiątkuj, potem odetnij stado.

Zapadła cisza.

– Możemy zostać kompletnie odcięci od innych miast? – spytał wreszcie Burke.

– LPiNW wywołał problemy w całej Thaisii – odparł Simon. – Chociaż ogłoszono, że zasady zostały złamane, i wszyscy doskonale wiedzieliście, że jeśli nadal będziecie tak robić, to będzie jeszcze gorzej, to nic nie mogło was powstrzymać.

– Nie wszystkich nas, Simonie – zastrzegł Monty.

– Nie wszystkich was – zgodził się Wilcza Straż. – Ale mały wykorzystywały linie telefoniczne, by knuć przeciw nam. Tak więc połączenia telefoniczne zostają zabronione. Być może nawet między miastami.

– Ale nadal mogą działać telefony komórkowe – zauważył Vlad. – Radio i telewizja wciąż mogą przekazywać informacje na odległość.

– Starsi zerwali połączenie, które widzieli – powiedział Henry. – I nie będą chcieli zmieniać tej sytuacji, ponieważ linie zostały poprowadzone przez dzikie tereny za ich zgodą, a ta zgoda została właśnie wycofana. Żywioty wiedzą, w jaki sposób wyciszyć radio i telewizję, jeśli ludzie spróbują wykorzystać je przeciw nam.

– Steve Przewoźnik mówi, że Intuici zbudowali już kabiny komunikacyjne w dwóch osadach w pobliżu Największego Jeziora – powiedział Simon. – Jedna znajduje się na Północnym Wschodzie, druga w północnej części Regionu Środkowo-Zachodniego. Operatorzy wykorzystują częstotliwości radiowe, by ze sobą rozmawiać i przekazywać informacje między poszczególnymi regionami. W każdej kabinie są również druty telegraficzne i telefoniczne, by Intuici mogli dzwonić i korzystać z maili, ale tylko we własnym regionie. Czują, że jeśli będą ostrożnie korzystać z radia, *terra indigena* na dzikich terenach nie zostaną sprowokowani do niszczenia kabin, a to oznacza komunikację między poszczególnymi terenami.

– Będą wysyłać i otrzymywać informacje za opłatą? – spytał O’Sullivan.

– Oczywiście, ale jeszcze nie ustalili tego do końca. Jak na razie będą odbierać wiadomości tylko dla Intuitów i *terra indigena*.

I prawdopodobnie nadal będą tak robić, pomyślał Vlad.

Simon wręczył Vladowi złożoną na pół kartkę.

– Przewoźnik otrzymał to dla nas.

Vlad rozłożył kartkę. „W Złotej Prerii i Bennett jesteśmy bezpieczni. Mam wieści od Jacksona Wilczej Straży. Przeżyli również wszyscy w Sweetwater. Tolya”.

Oddał liścik Simonowi, nieco zaskoczony ogromem ulgi, jaką poczuł. Spodziewał się, że Tolya to przetrwa. Ale nie spodziewał się, ile to dla niego znaczyło.

– Wielu ludzi, i wiele ludzkich miejsc, już nie istnieje – powiedział Simon. – Nie wiemy ile. Ustalenie tego to nie zadanie Dziedzińca w Lakeside. Nasze zadanie polega na strzeżeniu tego miasta, ale od tej pory nie tylko my będziemy tego pilnować. – Spojrzał z na Burke’a. – Od dzisiaj dzikie tereny zaczynają się na progach waszych domów. Będą obecne na waszych ulicach w niespotykany dotąd sposób. Następnym razem,

gdy ludzie w Thaisii zwrócą się przeciw nam, będzie jednocześnie ostatnim razem.

– Rozumiem – odparł szorstko Burke i trącił łokciem rękę O’Sullivana. – Masz jakieś pytania?

– Czy macie pomysł, gdzie mógłbym założyć niewielkie biuro śledcze? Porozmawiam o tym jeszcze z gubernatorem Hanniganem, myślę jednak, że dobrze byłoby, gdyby tu, w Lakeside, stacjonował jakiś agent.

– W konsulacie są nieużywane biurka – rzekł Elliot. – Możesz zająć jedno z nich.

– Dzięki.

– Tylko nie spodziewaj się żadnej pomocy biurowej. Cały czas nam jej brakuje.

– Zrozumiałem.

Vlad patrzył, jak wszyscy oprócz Simona opuszczają pokój.

Oparł brodę na dłoni i przyjrzał się dowódcy Dziedzińca.

– Myślisz, że O’Sullivan i inni ludzie naprawdę zrozumieli?

– Ilu ludzi chcą zachować *terra indigena*? – odparł Simon. – Albo konkretniej: ilu ludzi my chcemy zachować? Tych, których wpuściliśmy. Już z nimi tu utknęliśmy.

Nie mógł się z tym nie zgodzić.

– Mamy Dziedziniec, wioskę, miasto i społeczność, z którą musimy współpracować, łącznie z terenem, który ich wspiera.

– Nie damy rady wyżywić całego Lakeside.

– Nie musimy. Drapieżniki zbierają się, gdy jest mnóstwo jedzenia, i zostają do czasu, gdy zaczyna go brakować, a one głodują. Wtedy niektórzy zostają, ale większość odchodzi i szuka innego miejsca do zorganizowania polowań. Simonie, teraz jest mnóstwo pustych miejsc. Nie kontrolują ich już ludzie, ale jest praca do wykonania, a tam, gdzie jest praca, prawdopodobnie będzie również pożywienie.

– Tolya i Jackson przeżyli. Tak jak szczenię Nadzieja.

– A Stavros jest już w drodze do Lakeside, by porozmawiać z dziadkiem przed wyprawą do Wodospadu Talulah. – Vlad odsunął krzesło. – Znajdź Meg i idźcie do ogrodu. Niech sprawdzi, czy rośliny przetrwały.

– Prawdopodobnie unoszą się na wodzie, przecież ziemia jest rozmoczona.

Simon był jego przyjacielem, ale Vlad nigdy nie potrafił powstrzymać się przed pociągnięciem Wilka za ogon.

– Jeśli nie chcesz wycierać wody, żeby ziemia nie była tak *rozmoczona*, sugeruję, żebyś brzmiał bardziej optymistycznie.

– Meg nie chciałaby, żebym wycierał tę wodę...

– Jesteś pewien?

Simon spojrział na niego spode łba, po czym wyszedł z pokoju.

Vlad uśmiechnął się. Żaden z nich nie mógł mieć pewności, co zdaniem samic powinno być zrobione, wiedzieli jednak jedno: Inni nie będą pytać samic, co należy zrobić dla młodych roślin rosnących na rozmoczonej ziemi. Bo naprawdę mogłyby kazać im wycierać wodę.

Zastanawiając się, czy powinien opowiedzieć o ogrodzie Jesterowi, żeby Kojot zaczął sprawiać trochę kłopotów, Vlad, rozbawiony, wrócił do Zabójczo Dobrych Lektur. Musiał się zająć interesami z ludźmi, którym nie stała się krzywda, ale którzy mieli wszelkie powody, by bardzo się bać.



Cel-Romania

W wioskach wzdłuż granicy Cel-Romanii ludzie odnosili się z szacunkiem do swoich niespokojnych, bojaźliwych zwierząt, mając w pamięci historie przekazywane z pokolenia na pokolenie. Wiedzieli, co nadchodzi.

Po zachodzie słońca, gdy żołnierze biwakujący wokół wsi nie mogli już ich widzieć i zaraportować Ważnym Ludziom, wystawiali na schody tylnych wejść miseczkę ze słodkim mlekiem albo kromkę chleba, posmarowaną masłem lub umoczoną w oliwie, albo kawałek ciasta. Kładli te dary i szeptali: „Dla naszych przyjaciół”. Następnie zbierali swoje dzieci i modlili się, by dane im było zobaczyć świt.

Słyszeli huki ostrzałów i zamierające krzyki żołnierzy, którzy wyśmiewali wieśniaków z powodu zabobonów dotyczących stworzeń

żyjących na dzikich terenach i strzegących ich. Słyszeli, jak coś wali w ich drzwi i węszy wokół darów. I obejmowali mocno swych najbliższych, gdy wokół ich domów nastawała przerażająca cisza, która przechodziła do Wielkich Miast, zamieszkanym przez Ważnych Ludzi.



Żywioły pędziły na swoich rumakach przez miasta w zachodniej połowie Morza Śródziemnego, niszcząc fabryki i magazyny. Nie zostawiały po sobie nic oprócz gruzów i pożarów.

Żywioły pędziły na swoich rumakach przez miasta we wschodniej połowie Morza Śródziemnego, rozbijając kopytami budynki i sprawiając, że ziemia się rozstępowała i pochłaniała całe budowle.

A przywódcy ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko, uciekający ze swych miast, dostrzegali prawdę o świecie tuż przed tym, jak kły i pazury Namid rozrywały ich na strzępy.



Alantea jechała na Huraganie przez swoje wody, zbierając burzę pełną wściekłości i zemsty – takiej nawałnicy nikt nie widział od bardzo dawna. Dopadała niewielkie statki i łamała je na pół, zabierała wiele kilometrów w głąb lądu śmieci i toksyny i uderzała w brzegi ziemi wroga.

Po wschodniej stronie Afrikah Indeus jeździł na Tsunami, kierując się w stronę przesmyku stworzonego przez Ziemię i Trzęsienie Ziemi, który miał łagodzić skutki uderzeń ogromnych fal w tej części Cel-Romanii – fal wywołanych galopem Alantei i Huraganu po zachodniej stronie tych ziem.

A na swojej wyspie na Morzu Śródziemnym starożytna Tetyda przywoływała wody, by zalać i odebrać tereny, które dawno temu oddała Ziemi.



Gdy wody Morza Śródziemnego odzyskały swe obszary, a ludzie, którzy przetrwali, wałęsali się wokół ruin miast, szukając żywych i układając zmarłych w stosy, Szerzyciele Zarazy zesli ze swoich oddalonych legowisk, by ucztować, rozmnażać się i ustanowić nowe terytoria w miejsce zrównanych z ziemią miast.



Thaisia

Krople stały się strumyczkiem, który przerodził się w powódź awarii struktur komunikacyjnych między ludzkimi miejscami w Thaisii.

Podczas gdy drogi między niektórymi miastami pozostawały nietknięte, inne przypominały zanieczyszczone fragmentami asfaltu hałdy ziemi – albo znikwały w lejach, które rozszerzały się i pogłębiały, mogąc pomieścić załadowanego pick-upa czy wciągnięty przez konie wóz, który próbował ominąć dziurę, by przewieźć towary i wysłać je ludziom.

W każdym pociągu mogły jechać dwa wagony pasażerskie – jeden dla ludzi i jeden dla Intuitów oraz *terra indigena* – i nie więcej niż dwa tuziny wagonów towarowych i bydłych. W niektórych wagonach przewożono towary przeznaczone dla intuickich wiosek bądź osad *terra*

indigena. Cały towar przeważnie był przepuszczany przez granicę, ale pasażerowie musieli wysiadać z wagonów, chyba że mieli list od przywódcy *terra indigena*, potwierdzający, że dana osoba ma pozwolenie na podróżowanie w konkretnym kierunku.

Z początku koleje nie chciały uznać ograniczeń w kwestii liczby wagonów przypiętych do lokomotywy, jednak później nikt nie pytał, dlaczego w połowie drogi między stacjami zniszczono tory, a pasażerowie i obsługa pociągu zostali porzuceni bardzo daleko od jakichkolwiek ludzkich osad. Nikt nie pytał też o to, co widzieli policjanci, gdy wreszcie udało im się znaleźć pozostałości po tych pociągach.

Na dzikich terenach nie było litości, a w mroku czaiło się niebezpieczeństwo.

Gdy listy zaczynały krążyć po całym kontynencie, mieszkańcy Thaisii zaczęli się dowiadywać, jaką cenę poniosą za ruch Ludzie Przede i Nade Wszystko.

Do: Douglas Burke

Na dobrą sprawę Celtycko-Romańska Wspólnota Narodów przestała istnieć.

Shady



Poniedziałek, 9 lipca

Tolya Sanguinati czekał na stacji kolejowej w Bennett na nowych przybyszów.

Przez wiele dni upierał się, że niezbędne są linie telefoniczne łączące Bennett i Żółtą Prerię ze Sweetwater, że słodka krew mieszkająca z Jacksonem Wilczą Strażą nie powinna zostać całkowicie odcięta od istot, które pomagały jej utrzymać się przy życiu.

Z początku Starsi ignorowali jego argumenty oraz błagania Jacksona, ponieważ Żółta Preria i Bennett były miastami Środkowego Zachodu, natomiast Sweetwater leżało na Północnym Zachodzie, a wszystkie druty, jakie wykorzystywali ludzie do swoich rozmów, zostały zniszczone wzdłuż granic danych regionów – nikt, kto próbował naprawić linie, nie przetrwał ataku kłów i pazurów Namid.

Następnie padło pytanie: Czy to ta słodka krew była wyjącem nie-Wilkiem?

Po dokładnej analizie znaczenia tego pytania Tolya powiedział Starszym, że Nadzieja była przyjaciółką Meg Corbyn, która z kolei przyjaźniła się z Simonem Wilczą Strażą, przywódcą Dziedzińca w Lakeside.

Następnego dnia ekipy techników otrzymały pozwolenie na naprawę linii telefonicznych łączących Bennett i Złotą Prerię ze Sweetwater. I chociaż ekipy były obserwowane na każdym kroku, technicy przeżyli.

Tolya nie wiedział, kto przyjedzie pociągiem. Wcześniej jacyś Intuici spojrzeli na miasto i powiedzieli, że zostaną na tydzień, by pomóc posprzątać ulice i domy, jednak czuli, że nie było to miejsce dla nich, i poprosili o przypisanie do innego miasta. Niektórzy nawet nie wysiedli z pociągu – od razu poprosili o możliwość zakupu biletu powrotnego.

Nie było to miłe miejsce do mieszkania dla żadnego człowieka. Jeden z Intuitów zdradził, że miał wrażenie, iż to miejsce jest pełne duchów. Tolya nie powiedział młodemu człowiekowi, że to nie duchy ludzi go straszły, ale o wiele bardziej pierwotni tubylcy ziemi, którzy cały czas grasowali po mieście i wokół niego – a najbardziej przerażające z nich były te, które zmieniły się w futrzaste postacie na dwóch nogach, z długimi szponami.

Pociąg wjechał na stację. Wysiadło z niego kilku pasażerów.

Tolya był dojrzałym, dorosłym Sanguinatim w sile wieku. Z całą pewnością nie był stary. Gdy jednak patrzył na młodych ludzi, którzy wysiedli na peron, poczuł się jak niania. To oczywiste, że do miasta, takiego jak Bennett, przyjadą dorośli ludzie, którzy nie znaleźli jeszcze pary do założenia stada, ale czy oni wszyscy musieli być tacy młodzi?

Czterech samców – po sposobie, w jaki się rozglądali, wnioskował, że byli Intuitami – dostrzegło go i zachowało dystans. Wiedzieli, że był Sanguinatim i rządził tym miastem, nie mogliby tu przyjechać, nie otrzymawszy tej informacji. Nie byli jednak przyzwyczajeni do kontaktu z takimi jak on, o ile w ogóle którykolwiek z nich miał już jakiś kontakt z *terra indigena*.

Natomiast samica uśmiechnęła się szeroko i podeszła do niego

z wyciągniętą ręką.

– Jestem Barb Debany. Rodzina mówi do mnie Bee, ponieważ nazywam się Barbara Ellen i wychodzą inicjały B. E., więc... Bee. Ale w tym nowym miejscu wolałabym być nazywana Barb.

Zastanawiając się, po co powiedziała mu o imieniu, którego nie chciała używać, Tolya uścisnął jej rękę. Na ułamek sekundy zmienił dłoń w dym, by posmakować jej krwi i przekonać się, czy ta paplanina była naturalna czy też wywołana jakąś substancją chemiczną. Nie wyczuł jednak nic poza adrenaliną, wywołaną zdenerwowaniem i ekscytacją.

– Masz dokumenty, Barb Debany?

– Och, tak. – Otworzyła jeden z tych worków, jakie noszą przy sobie ludzkie samice, i zaczęła w nim grzebać, aż wreszcie, zarumieniona na twarzy, wyciągnęła list.

Tolya przyjrzał się dokumentowi podpisanemu przez Włada i Simona Wilczą Straż.

– Będziesz jedną z osób, dogłądających zwierząt i decydujących, co z nimi zrobić.

Przepłynie przez dziurki od klucza, żeby otworzyć drzwi i wypuścić psy i koty – zwierzęta, które, jak mu powiedziano, mogły mieszkać na zewnątrz, przynajmniej latem. Billy Rider, który dzielił swój czas między ranczo w Złotej Prerii a stajnię w mieście, i Tobias Walker określili miejsca, w których można wykładać jedzenie dla psów i kotów. Wszystkie klatki z radośnie śpiewającymi ptakami zostały przeniesione do jednego domu, żeby było łatwiej je karmić do czasu przybycia „człowieka od zwierząt”. Co do ryb akwariowych, sądził, że były żywym pokarmem dla kotów, i nie wspomniał o nich Billy’emu ani Tobiasowi, więc w chwili, gdy ktoś sprawdził domy, pływały już brzuchami do góry.

Ostatecznie jednak – pomijając kwestię ryb – Tolya wychodził z założenia, że w ciągu ostatnich kilku tygodni nieźle sobie poradził z problemem zwierząt.

– Powiedzieli, że jestem wykwalifikowanym weterynarzem, prawda? – spytała Barb z niepokojem. – Ale ja jestem tylko pomocnicą.

– I tak jesteś bardziej wykwalifikowana niż ktokolwiek inny, tak więc od dzisiaj będziesz weterynarzem. – Przełknęła ślinę i pobladła

nieco, przez co piegi na jej twarzy stały się bardziej widoczne. – Na razie w ramach wynagrodzenia otrzymasz pożywienie i miejsce w hotelu albo w pensjonacie. Wydaje mi się, że w pensjonacie zostało jeszcze jakieś miejsce, więc masz wybór. O ile w miarę szybko podejmiesz decyzję – dodał, widząc, że podchodzą do nich czterej mężczyźni.

Barb zerknęła przez ramię.

– Czy w pensjonacie są jeszcze jakieś dziewczyny?

– Nie ma żadnej ludzkiej samicy takiej jak ty. Tutaj w ogóle jest mało samic jakiegokolwiek gatunku.

Ponownie przełknęła ślinę. A potem nagle się uśmiechnęła.

– To część przygody, prawda? Coś, o czym będę mogła opowiadać rodzinie. Mój brat jest policjantem w Lakeside. Wręczył mi plik etykiet adresowych, zaadresowanych do niego i innych członków naszej rodziny, oraz mnóstwo znaczków i powiedział: „Masz pisać raz w tygodniu. Inaczej będzie źle”. Wydaje mi się, że to „inaczej będzie źle” chyba nie jest zbyt groźne, gdy ktoś przebywa tak daleko na zachodzie, prawda?

Tolya też się uśmiechnął.

– Chyba poznałem twojego brata podczas wizyty w Lakeside. Wiem, że z pewnością rozmawiałem z porucznikiem Montgomerym. Czy twój brat go zna?

– O, kurtka na wacie! Długie ramię sprawiedliwości rzeczywiście jest bardzo długie, prawda?

Zaśmiał się, bo wyglądała na bardzo rozzłoszczoną. Poza tym jej wersja przekleństwa niezmiernie go rozbawiła. Miał nadzieję, że ta ludzka samica zostanie tu na dłużej.

Zaprowadził swoich nowych mieszkańców do pick-upa, gdzie czekał Tobias Walker, który miał zawieźć ich na kwatery. Patrzył, jak odjeżdżają – Barb i jeden z samców w kabinie razem z Tobiasem, a pozostali trzej samce na pace z bagażami.

Spojrzał w stronę stacji kolejowej i zaczął się zastanawiać nad swoimi obowiązkami. Następnie ruszył w stronę centrum. Inni Sanguinati oraz kilka Wilków i Jastrzębi zajmowali się dostawami i kontaktami z pracownikami pociągu. Chciał sprawdzić, jak Jesse Walker i jej stado ochotników radziło sobie z magazynami kilku sklepów

z Bennett oraz zbieraniem łatwo psujących się rzeczy ze wszystkich domów. Musieli wiedzieć, co już mieli, żeby móc zaplanować, czego będą potrzebować nowi mieszkańcy miasta. Dopóki nie zatrudnią właścicieli sklepów, które wkrótce zostaną ponownie otwarte, Jesse będzie przyjeżdżać ze Złotej Prerii dwa razy w tygodniu, zostawiając własny sklep ogólnobranżowy w łapach wścibskiej Rachel Wilczej Straży.

Gdy dotarł do budynku, który miał się stać sklepem ogólnobranżowym w Bennett, sprzedającym wszystko oprócz artykułów spożywczych, zobaczył nieznaną pojeżdżającą. Zaparkował na miejscu obok niego. Ze środka wysiedli Wilk i ludzki samiec.

– Cześć – rzekł mężczyzna i przejechał palcami po rondzie kapelusza. Wyglądał na wynędzniałego, ale miał mocny – i znajomy – głos.

– Pamiętam cię – powiedział Tolya. – Ty i twoi ludzie pomogliście Joemu Wilczej Straży zapędzić bizona do wagonu bydłowego.

– Tak, to my. Bardzo mi przykro z powodu... – Pokręcił głową. – To był kiepski dzień. Jestem Stewart Dixon.

– Tolya Sanguinati.

– Teraz Tolya dowodzi tym miastem – powiedział Wilk, wężąc w powietrze i szukając wzrokiem na placu czegoś, czego nie można było dostrzec.

Tolya przyjrzał mu się.

Jesteś sam? Niektóre stada Wilków zostały wybite co do łapy, ale czasami jakiemuś Wilkowi udawało się przeżyć.

Wilk spojrzał na Stewarta Dixona.

Farmerzy, którzy mieszkają wokół naszej osady, nie lubią tych z LPiNW, tak więc moje stado nie zostało zaatakowane. Poza tym Wilki czasami polują na łosie razem ze Stewartem Dixonem, żeby przywieźć dostatecznie dużo żywności dla obu naszych stad. To nie jest wróg.

A więc między Innymi i ludźmi również były możliwe sojusze. Może można było je rozszerzyć. Ostatecznie na ranczach między Bennett a Złotą Prerią nadal żyły zwierzęta, ale nie było tam ludzi, a Tobias Walker i pracownicy na ranczu w Złotej Prerii nie dali rady sami się tym zajmować. Ale jeśli pracę – i korzyści – można było dzielić

z ranczerami, którym *terra indigena* już ufali, być może uda się doglądać wszystkich stad i utrzymać rogaciznę przy życiu do czasu, aż będzie potrzebna na mięso.

Tolya spojrzął na Stewarta Dixona.

– Przyjechałeś do miasta po zaopatrzenie?

– Miałem nadzieję kupić to, co jest dostępne.

– Dzisiaj sklepami zajmuje się Jesse Walker. – Tolya się uśmiechnął. – Niektórzy z nas mają na głowie wiele spraw. Tak się mówi, prawda? – Doskonale wiedział, że tak, ale chciał, żeby zadane w ten sposób pytanie trochę uspokoiło mężczyznę.

– Tak. – Stewart podrapał się po karku. – No cóż, szukam paliwa i jedzenia. To teraz u nas towary pierwszej potrzeby. – Nagle oblał się rumieńcem. – I jeszcze... kobiece artykuły dla żony i córek.

Tolya zaczął się zastanawiać, czy rozmawianie o takich sprawach zawsze krępowało tego mężczyznę czy po prostu nie lubił o tym rozmawiać z obcymi osobami. Potem spyta o to Jesse Walker.

– Myślę, że możemy pokryć wasze zapotrzebowania. Chodźcie za mną.

Gdy zaprowadził Dixona i Wilka do sklepu, nad stacją uniosło się wycie – na które odpowiedział towarzysz Stewarta.

Jesteśmy tu, trzymamy straż. Jesteśmy tutaj.

Gdy Wilki zaczęły wyc, ziemisty zapach i dziwna cisza, która wypełniała plac, uniosły się i ruszyły w stronę nietkniętej ziemi za miastem.

Do: Vladimir Sanguinati

Barb Debany przyjechała do Bennett i właśnie się zadomawia. Jej brat dał jej etykiety z adresami i znaczki. My, w ramach prezentu powitalnego, dorzuciliśmy pocztówki i papeterię. O wiele bardziej cieszyła się z możliwości konnej jazdy niż z pocztówek.

Tolya

Drogi Michaelu,

Od przyjazdu pracowałam przez cały dzień. Tyle małych zwierząt potrzebuje opieki do czasu, aż znajdę im nowe domy. Mieszkam w pensjonacie, adres znajdziesz poniżej. Później napiszę ci więcej.

Ucałuj mamę i tatę.

Barb

PS. Dali mi konia!



Niedziela, 17 lipca

Meg uśmiechnęła się do Simona i Vlada.

– Za tym uśmiechem coś się kryje – stwierdził wampir.

– Tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy w życiu widzisz śliczne czarno-białe zwierzątko, trącasz je łapą, a ono opryskuje cię smrodem – dorzucił Simon.

Przestała się uśmiechać.

– Wydaje mi się czy właśnie porównałeś mnie do skunksa?

Teraz oni się uśmiechnęli.

– Muszę przyznać, że już tak nie śmierdzisz – pocieszył ją Simon.

– Co?

– Meg, po co nas wezwałaś? – Vlad przeszedł do konkretów.

Ponieważ rano Meg obserwowała scenę między Twylą

Montgomery a dzieciakami, wiedziała już, że strzelanie focha, jak to określała Merri Lee, nie przynosiło upragnionych efektów. A skoro było to nieskuteczne w przypadku Twyli, to z pewnością było nieskuteczne w przypadku Simona i Włada – zwłaszcza że i tak nie zrozumieliby, co robiła, i musiałyby im to wyjaśnić. Co byłoby zawstydzające.

I niedojrzałe.

Rozbawiona swoją postawą i bardziej opanowana, położyła na stole kilka kart.

– Meg? – spytał szorstko Simon.

Wład popatrzył na nią ostro.

– Nie ustawiam kart dla wizji – wyjaśniła. – Chciałabym, żebyście wyświadczili mi przysługę. Właściwie to dwie przysługi.

– To dlatego poprosiłaś, żebyśmy przyszli do ciebie obaj? – zapytał Wład.

Wskazała wyjęte z talii karty, rozłożone na stole w sortowni. Na jednej była uśmiechnięta twarz. Na drugiej – smutna. Na trzeciej widniał znak zapytania, który wyciągnęła ostatnio, gdy spytała o przyszłość Lakeside.

– Te karty pochodzą z gry. Wmieszały się w karty prorocत्व.

– Jak to się stało? – spytał Simon.

Pokręciła głową. Nie była skarżypytą. Wiedziała, że Merri Lee i Ruth rozmawiały już z Eve Denby, Twylą i Sierrą Montgomery o tym, że dzieciom nie wolno wchodzić do biura łącznika bez nadzoru, a już na pewno nie wolno im się bawić kartami.

– To nieistotne. Istotne jest to, że te trzy karty są bardzo przydatne dla ujawnienia przepowiedni bez konieczności rozcinań mojej skóry. – Całkowicie skupili się na jej słowach. – Ale te konkretne karty... – Podeszła do szuflady i na chybił trafił wyjęła pięć kart z różnymi grzbietami, co oznaczało, że pochodziły z różnych talii. Odwróciła je i ułożyła w linii nad pięcioma pierwszymi kartami. – Widzicie? Te są z innych talii. Niektóre opisują świat naturalny, a inne są ilustracjami ludzkich lub miejskich przedmiotów. Chociaż są różne, to się uzupełniają. Widzicie to?

Wład stanął obok niej. Wziął do ręki talię kart do gry i rozłożył je w wachlarz, żeby zobaczyć więcej obrazków.

– Czyli chcesz mieć talię kart z tymi obrazkami, ale zrobione w stylu, który pasowałby do reszty talii kart, z których korzystasz?

– Tak. – Kiedyś wreszcie będzie musiała zmniejszyć liczbę kart, które staną się talią kart prorocत्व Pioniera, jednak teraz nie chciała ograniczać możliwości, zwłaszcza że nadal dowiadywała się, co mogła zrobić z takimi kartami *cassandra sangue*.

– Czy Nadzieja mogłaby je narysować? – Spytał Simon, wyciągając szyję.

Meg poczuła pod skórą delikatne mrowienie. Niezbyt mocne, ale z całą pewnością była to odpowiedź na to pytanie.

– Nie wiem. Możemy ją spytać?

– Możemy przekazać pytanie Jacksonowi.

– A nie możesz sobie kupić takiej talii? – Vlad machnął kartami. – Nadzieja będzie potrzebowała jakichś wzorów.

– Zobaczę, czy można kupić taką talię – odparła Meg. Nie dodała, że najpierw zasięgnie języka u Eve Denby.

– To była łatwa przysługa – rzekł Simon. Oczywiście nie można było zagwarantować, że karty będą dostępne. Ponieważ teraz ludzie zastanawiali się, czego potrzebują, zamiast czego pragną, dziecięce karty do gry z pewnością nie znajdowały się na liście najpotrzebniejszych rzeczy. – A jaka jest druga przysługa?

– Możecie znaleźć pracę Harry’emu dostawcy? Porzucił robotę w Dostarczamy Wszędzie, ponieważ firma zmieniła nazwę na Dostarczamy Wszędzie Ludziom. A on przecież musi pracować. – Czując ich opór, Meg zaczęła szybko mówić dalej: – Nie musicie szukać im miejsca do życia. Gdyby mógł korzystać z jednego z naszych vanów, mógłby zostać dostawcą Dziedzińca i odbierać zamówienia, które złożymy w różnych firmach w Lakeside. Albo moglibyście porozmawiać z Jerrym Saniarzem na temat zatrudnienia Harry’ego, który mógłby wozić paczki między Lakeside a Osiedlem Nadrzecznym.

– Meg... – westchnął Simon. – Nie damy rady zatrudnić wszystkich. Przecież w sklepie na placu pracują już rodzice oficera Debany’ego. To samo z rodzicami oficera MacDonalda. I kapitana Burke’a. I dowódcy Gresha, i jego samicy, i szczeniaka. Gdy stado robi się za duże, musi się podzielić, a jego część musi znaleźć sobie nowe

terytorium i nową zwierzynę. Mamy teraz pod opieką bardzo dużo ludzi. A Merri Lee i Ruthie będą miały szczeniaki – one też będą potrzebowały jedzenia, gdy zostaną odstawione od piersi.

– Jeszcze nie mają szceniaków – mruknęła Meg. Ale Simon miał konkretny cel. Po tym, jak obiecał jej codzienne podsumowanie wydarzeń z Lakeside i reszty Thaisii, przyjaciele upierali się, żeby unikała oglądania wiadomości i czytania gazet, przynajmniej do czasu, aż sprawy się uspokoją. Ponieważ wyglądanie przez okno i obserwowanie samochodów jeżdżących ulicą Główną wywoływało u niej pieczenie skóry, była pewna, że nie uda się jej oprzeć brzytwie, jeśli będzie mieć większy kontakt ze światem poza Dziedzińcem.

– Jeszcze tylko dwoje? – zaczęła prosić. – Tylko Harry i jego żona? Simon i Vlad popatrzyli po sobie.

– Ale każdy musi sobie zapracować na swoje mięso – rzekł wreszcie Simon. – Każdy w stadzie ma jakieś zadanie i ta zasada dotyczy wszystkich ludzi chcących spożywać jedzenie, jakie tu mamy lub przynosimy.

– Harry i jego żona, ale nikt więcej – zaznaczył Vlad. – My też pomagamy wspierać Osiedle Nadrzeczne. Nie zapominaj o tym.

Nawet nie próbowaliby wspierać *żadnego* z tych ludzi, gdyby jej do siebie nie przyjęli i nie traktowali jak swoją.

– Nikt więcej. – Zawahała się, a potem zaczęła się zastanawiać, czy nieprzekazanie bezpośredniej wiadomości było tchórzostwem. – Możecie powiedzieć coś ode mnie kapitanowi Burke'owi?

Vlad pokiwał głową.

Popukała w kartę ze znakiem zapytania.

– Ta karta już kiedyś się pojawiła, gdy zastanawiałam się nad przyszłością Lakeside.

– Pamiętam – powiedział Simon. – Przyszłość nieznana.

– Podśluchałam, jak agent O'Sullivan mówi, że on i kapitan Burke mają spotkanie z burmistrzem, i zaczęłam się zastanawiać, czy kapitan Burke powinien powiedzieć burmistrzowi o Lakeside.

Vlad powoli wciągnął powietrze.

– Przyszłość nieznana?

Meg pokiwała głową.

– Powinieneś wykonać telefon – Simon zwrócił się do Vlada. – Burke jest ci winien kilka przysług.

– Tobie też. Ale w porządku, mogę do niego zadzwonić.

Po wyjściu Vlada Simon oparł się o stół i delikatnie położył dłoń na rękę Meg.

– Porozmawiaj z ludzkim stadem na temat papieru do pisania listów – poprosił. – Nie tylko takiego dla samic, ale też takiego, na którego widok samce nie będą kasłać.

– Ludzie nie piszą aż tylu listów – odparła. – Piszą maile... Och, od tej pory maile można wysyłać tylko w granicach rejonu.

– Istnieją sposoby na wysyłanie wiadomości między regionami, tak jak wyślemy wiadomość Jacksonowi, ale nie są już one prywatne. Przeczytają je Intuici czy *terra indigena* pracujący w kabinach komunikacyjnych. Ludzie nie będą już mogli przeprowadzić ataku, tak jak to uczynili za czasów LPiNW.

– Simonie, jak dużo miejsc zniknęło?

– W Thaisii? Nie wiem. Trudno teraz określić, czy miejsca – i ich mieszkańcy – zniknęły, czy po prostu nie znajdują się już pod kontrolą ludzi i dlatego nie są wliczane w ludzkie miejsca. – Zastanawiał się nad tym przez dłuższą chwilę. – Przekazałaś Vladowi wiadomość dla kapitana Burke’a. A czy mam coś powiedzieć porucznikowi Montgomery’emu?

Meg zebrała karty i włożyła je z powrotem do szuflady, razem z resztą kart prorocत्व.

Co Simon powinien powiedzieć porucznikowi na temat Lakeside?

Początkowo nic nie czuła. Potem pojawiło się lekkie mrowienie. Zamknęła oczy i pozwoliła swoim palcom poszukać odpowiedzi. Gdy wybrała trzy karty, nad którymi czuła największe mrowienie, położyła je na stole i odwróciła obrazkami do góry.

Karta Wilka. Karta z telefonem i telegrafem. I karta, na której gęsta piana morska rozbijała się o brzeg.

– Nie wiem, co to znaczy...

Nagle z zaplecza przyszła do nich Woda, zostawiając na podłodze mokre ślady stóp.

– Mam wiadomość dla Wilczej Straży – powiedziała.

– Chwileczkę – odparł Simon.

Woda kiwnęła głową i wyszła.

– Chyba chciała ci coś przekazać? – rzuciła Meg.

– Aha. – Skupił się na kartach. – Stajesz się w tym naprawdę niezła. Czy mrowienie znika, gdy wybierzesz karty, które odpowiadają na zadane pytanie?

Pokiwała głową.

– Chyba że jest coś więcej, czego nie można zobaczyć w kartach.

– Czyli nie musisz się już ciąć.

Jeśli teraz w to uwierzy, może być bardzo zawiedziony, gdy jednak się natnie.

– Korzystanie z kart nie zapewnia mi euforii.

– Ale też nie wywołuje bólu i nie zostawia blizn – odparował.

Nowa blizna wzdłuż szczęki Meg martwiła wszystkich *terra indigena* bardziej niż inne, których dorobiła się podczas mieszkania na Dziedzińcu. Karty wyjawiały proroctwa, ale nie robiły nic, by zaspokoić głód euforii i uzależnienie od cięcia. Mimo wszystko udało jej się powstrzymać przed tym przez niemal cztery tygodnie.

– Nie każ Wodzie czekać – powiedziała.

Wyszedł na zewnątrz, by porozmawiać z Żywiołem, a ona schowała karty z powrotem do szuflady.

Nie, karty nie zaspokajały głodu euforii. Z tym mogło sobie poradzić wyłącznie nacinanie skóry.

Poczuła mrowienie w opuszkach. Przejechała palcami po kartach w szufladzie, aż w końcu znalazła tę, którą miała zobaczyć.

Przyjrzała się jej dokładnie. Patrzyła na nią i patrzyła.

Obrazek przedstawiał mężczyznę i kobietę stojących blisko siebie w ogrodzie. Nad nimi świecił księżyc w pełni – w kształcie serca.

Meg niepewnie schowała kartę z powrotem do szuflady. Romans? Nie. Mężczyźni... W kompleksie działy się złe rzeczy, takie, o których zapomniał jej umysł, ale doskonale pamiętało jej ciało. *To* nie mogło dawać nic, co mogłoby być euforią.

Prawda?

Zamknęła szufladę. Próbowała zignorować delikatne mrowienie, które przypominało raczej dotyk palców po wewnętrznej stronie ud.



Simon ostrożnie otworzył pudełko z książkami, wyjął specyfikację przesyłki, sprawdził wszystkie egzemplarze i wstawił je na półki w magazynie. Wszystko, co zamówił przed burzą, nagle zaczęło się pojawiać, przez co zastanawiał się, czy pociągi przewożące towary dla *terra indigena* nie zostały wcześniej zestawione na bocznice kolejowe. Teraz przysyłanie towarów Innym było bardziej korzystne, ponieważ taki pociąg z wagonem towarowym tubylców ziemi miał o wiele większe szanse na bezpieczny przejazd przez dzikie tereny. Nowym mottem zdawały się być słowa „Wszystko albo nic”.

Jemu to odpowiadało. Blair i Henry wzięli dwa pojazdy Dziedzińca, by zawieźć drugą turę towarów, przez co pomyślał, że zatrudnienie Harry’ego do rozwożenia paczek było naprawdę dobrym pomysłem.

Drzwi na zaplecze się otworzyły. Michael Debany rozejrzał się wokół.

- Czy mam rozłożyć puste pudełka? – spytał.
- Rozłożyć?
- Rozciąć na łączeniach i spłaszczyć tekturę.

Simon przez chwilę to rozważał. Czy płaska tektura przydałaby się Innym?

- Nie. Wykorzystamy pudła do wysłania książek w inne miejsca.

Debany wyjął kilka książek z górnego pudła i podał je Simonowi, bez zaznaczania ich na specyfikacji. Przypomniał mu się Sam – przynoszący zabawki dorosłym, żeby się z nim pobawili, bo z jakiegoś powodu był smutny. Ponieważ Simon nie wiedział, dlaczego Debany był smutny, położył wszystkie książki na jednej półce, zamiast rozłożyć je w odpowiednich miejscach. Zaznaczy wszystko w specyfikacji, gdy człowiek odejdzie.

- Dostałem wieści od Bee... Barb... Mojej siostry...
- Dlaczego ktoś miałby być z tego powodu nieszczęśliwy?

– To niedobrze?

– To dobrze. Zadomawia się tam i jest bardzo zajęta. – Śmiech Debany’ego był wymuszony. – Dali jej konia. Już nigdy nie wróci.

Simon przestał udawać, że pracuje, i przyjrzał się policjantowi.

– Niektóre młode zostają w stadzie, a inne muszą opuścić rodzinne tereny, by znaleźć nowe stado lub połączyć się w parę z kimś ze swojego gatunku. Ludzie też podróżują z takich powodów.

– Znalazłeś miejsce, w którym może wykonywać pracę, o jakiej marzyła. Naprawdę to doceniam.

– Nie, nie doceniasz.

Ten śmiech zabrzmiał już bardziej naturalnie.

– Doceniam, ale nie doceniam. – Westchnął Debany. – Po prostu to tak daleko stąd, wiesz? Kilka miesięcy temu Bennett też było bardzo daleko, ale mama i tata pewnie planowaliby wizytę w nowym domu Barb. Wysyłaliby do niej kilka maili tygodniowo, żeby cały czas być w kontakcie i mieć pewność, że wszystko jej się układa. Teraz jednak nie mogą wysłać jej zwykłego „cześć” i czekać na szybką, uspokajającą odpowiedź. Teraz jest inaczej.

– Tak, teraz jest inaczej. – Debany myślał o możliwościach szybkiej komunikacji, a Simon o tym, że już nigdy nie usłyszy wycia Joego Wilczej Straży. – Ale dałeś siostrze etykiety z adresami i znaczki, a Tolya i Jesse Walker podarowali jej pocztówki i papier do pisania listów. – Znając powiązania dziewczyny z Dziedzińcem w Lakeside, Tolya z pewnością będzie mieć na nią oko. Nie wiedział, czy ten fakt pocieszy policjanta, więc wołał o tym nie wspominać.

– Merri mówi, że jeśli chcę otrzymywać listy, muszę zacząć je pisać.

O tym jednak wspomni.

– Pocztówki są lepsze, chyba że piszesz długi list albo coś bardzo osobistego. W miejscach, takich jak Bennett, są teraz Wrony i Kruki, które pomagają sortować pocztę, oglądają sobie zdjęcia i czytają wiadomości. – Na widok wyrazu twarzy Debany’ego Simon wzruszył ramionami. – Inni lubią inne błyszczące przedmioty niż wy.

Gdy usłyszeli uderzenie i mamrotanie, obaj spojrzeli na przód magazynu.

– Poruczniku – odezwał się Debany.

– Michaelu. – Montgomery popatrzył po pudłach. – Zaległe zamówienia?

– Zamówienia i zaległe zamówienia – odparł Simon. – Jadą tu

jeszcze dwa kolejne vany pełne pudeł.

– Chyba przygotuję się do pracy – powiedział Debany.

– Dzisiaj po południu wreszcie podpisujemy papiery i płacimy za dwa budynki mieszkalne. Do jutra Merri Lee ma sobie wybrać norę, a Eve Denby pomoże jej posprzątać. – Ponieważ słuchał ich Montgomery, Simon oparł się pokusie spytania o ludzkie zwyczaje parzenia się i o to, czy Debany też wprowadzi się do nory. Dla ludzi seks i mieszkanie w tej samej norze to były dwie osobne sprawy. On i Meg spędzali ze sobą tyle samo czasu w tym samym miejscu – i sypiali w tym samym łóżku, co Debany i Merri Lee, ale Meg nadal zachowywała się jak dziewczyna, niegotowa na seks.

Za to jest świetna w różnych zabawach.

Pozbywając się tych myśli – i przyznając, że celowo opóźnia przekazanie Montgomery’emu informacji, które miał mu podać – uświadomił sobie, że Debany wyszedł i teraz to Montgomery podawał mu książki.

Mężczyzna wyglądał na starszego niż zwykle i przytłoczonego jakimiś nieprzyjemnymi prawdami.

– Dzisiaj rano pani Twyla delikatnie ugryzła szczeniaki – powiedział Simon.

– Moja mama przed niczym się nie cofnie. – Monty się uśmiechnął.
– Lizzy powinna o tym wiedzieć.

– Następnym razem będzie wiedzieć.

– Zawsze myślimy, że będzie dostatecznie dużo czasu, ale czasami go nie ma, prawda?

Gdy Montgomery zamarł z książkami w rękach, Simon przechylił się i odebrał je od niego.

– Niekiedy stado nie złapie mięsa na czas, by móc ocalić wszystkich członków, jeśli zbyt długo głodowali – nawet jeśli przyniesiesz mięso. – Czy to nie była teraz najważniejsza uwaga? Farmy należące do *terra indigena*, prowadzone przez Intuitów w zamian za żywność, nie ucierpiały tak podczas burz i ataku Starszych, a ogrody Dziedzińca przetrwały i teraz, podczas ciepłych, słonecznych dni szybko się rozrastały. Podczas gdy Inni łatwo przyzwyczajali się do jedzenia tego, co uda się upolować o danej porze roku, on i reszta Stowarzyszenia

Przedsiębiorców mieli świadomość, że ludzie nie myślą takimi kategoriami.

– Raporty dochodzące z Brytanii i zachodniego wybrzeża Afrikah... – Montgomery sięgnął po kolejne książki, ale żadnej nie podniósł. – Cel-Romania naprawdę nie istnieje. Wszystkie te miasta, wszyscy ci ludzie... Zginęły miliony ludzi. Całe miasta zamieniły się w kostnice. Całe kultury zostały zniszczone. Nikt nie przetrwał. – Ostatnie słowa były zaledwie szeptem.

– Zawsze jest ktoś, kto przetrwa, poruczniku – warknął Simon. Nie oznaczało to, że przetrwa dostatecznie dużo osobników, by ocalał cały gatunek, ale nie miał zamiaru mówić o tym Montgomery'emu. Nie gdy miał mu do przekazania informację.

– A co się stanie z tymi, którzy przeżyli?

Czy mężczyzna martwił się o ludzi po drugiej stronie Atlantyku czy myślał o czymś – lub o kimś innym?

– Wstaną rano i pójdą pracować na polach, zajmować się zwierzętami, pojedą wozami na targ w swej wsi, będą plotkować z przyjaciółmi, wypłyną łodziami na morze, żeby nałowić ryb do jedzenia i na sprzedaż. Na pewno istnieją rzeczy, które trudno kupić, i tak będzie jeszcze przez jakiś czas, ale ludzie, którzy dogadali się z *terra indigena*, jakoś sobie poradzą. Nawet w Cel-Romanii. My też sobie poradzimy. Twój szczeniak może nie dostanie wszystkich przysmaków, na jakie ma ochotę, i będą dni, kiedy żadne z nas nie będzie mieć pełnego brzucha, ale damy radę.

– Na Dziedzińcu.

Ponieważ Montgomery przestał pomagać przy książkach, Simon wziął listę i odhaczył pozycje z jednego pudła, po czym otworzył kolejne.

– Nie jesteśmy tu po to, by zajmować się wami – powiedział. – Opieka nad ludźmi nigdy nie była naszym zadaniem. Jesteśmy tu, by zająć się światem. – Odłożył listy na bok. – Powiedz kapitanowi Burke'owi i agentowi O'Sullivanowi, że jutro rano cała wasza trójka musi się spotkać z nami w konsulacie.

– Po co?

Simon zadrzał.

– Ponieważ do Lakeside przybywa Ocean i chce z wami porozmawiać.



– Na bogów na górze i na dole... – sapnął O’Sullivan. – Czy Wilcza Straż mówił poważnie?

Monty bardzo pragnął temu zaprzeczyć.

– Tak.

– Wielkie Jeziora to największe źródło świeżej wody na kontynencie – ciągnął O’Sullivan. – Co się stanie z Etu i Tahki, jeśli zaleje je ocean?

– Wyobrażam sobie, że zawarto pewną... ugodę... – powiedział Burke.

Jaką ugodę? pomyślał Monty.

– Co się wydarzyło na spotkaniu z burmistrzem? – W niebieskich oczach kapitana pojawiło się rozbawienie.

– Gubernator Hannigan prosił, by każdy urzędnik, który wspierał LPiNW, natychmiast złożył rezygnację, tak by ludzkie rządy na Północnym Wschodzie mogły wznowić współpracę z *terra indigena* – rzekł O’Sullivan. – Czuje, że Inni nie będą życzliwie patrzeć na żadną prośbę ze strony ludzi, jeśli ludzie będą reprezentować domniemani wrogowie.

– Zgadzam się – odparł Burke. – Gdy burmistrz Rogers zaczął się wściekać, poczułem, że muszę mu przypomnieć, iż należąc do ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko, złamał obietnicę współpracy z *terra indigena* – którą złożył po śmierci swego poprzednika, który również wspierał ten ruch.

– A ja czułem się zmuszony przypomnieć mu, że był burmistrzem pełniącym obowiązki, a nie oficjalnie wybranym urzędnikiem. Zachęciłem go do złożenia rezygnacji, zanim wyleci z pracy.

– Albo zostanie zjedzony – dodał Burke.

– To był chyba ostateczny bodziec, który nakłonił go do napisania wypowiedzenia – mówił dalej O’Sullivan. – Tak więc kapitan Burke i ja pomogliśmy mu opróżnić biurko i upewniliśmy się, że mamy wszystkie klucze do budynku rządowego i biura burmistrza, a następnie się pożegnaliśmy.

Monty patrzył na nich ze zdziwieniem.

– I co teraz się stanie? Mamy jakiś rząd?

Burke uśmiechnął się do niego w ten charakterystyczny sposób.

– Jestem za poproszeniem Elliota Wilczej Straży o to, by został tymczasowym burmistrzem do jesiennych wyborów albo do czasu, aż gubernator wyznaczy kogoś innego na zastępcę burmistrza. Elliot przynajmniej rozumie zasady działania ludzkiego rządu, jest konsulem Dziedzińca.

– Naprawdę sądzisz, że stanąby po stronie ludzi, gdyby ci przeciwstawili się potrzebom Dziedzińca? – spytał O'Sullivan.

Burke westchnął.

– Nie. Przynajmniej nie teraz. Jak już mówiłem, Simon Wilcza Straż to najbardziej postępowy przywódca *terra indigena*, jakiego spotkałem, a teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebujemy ludzi, którzy będą z nim współpracować. Zwłaszcza jeśli uwzględnimy fakt, że z czterech miejsc, w których mieszkają ludzie – chodzi o Lakeside, Przystań Przewoźników, Wodospad Talulah i nową społeczność Osiedla Nadrzecznego – Lakeside to jedyne kontrolowane przez ludzi miasto, którego rząd odpowiada przed regionalnym gubernatorem, a nie przed *terra indigena*.

O'Sullivan usiadł na brzegu biurka kapitana.

– Zaprzeczę, że to powiedziałem, ale gubernator Hannigan uważa, że między nami a Dyspozytornią mogło nie zostać już ani jedno miasto kontrolowane przez ludzi. A komunikacja z Toland była... nieregularna. Jedzie tam kilku agentów biura śledczego, by ocenić sytuację. Kilku innych ma nadzieję na poznanie kondycji niewielkich miast, położonych wokół Palczastych Jezior.

Monty zauważył, że Burke'owi drżały dłonie – co przypomniało mu o tym, że nawet wcześniejsze doświadczenia jego przełożonego z Innymi nie przygotowały go na to, co się dzieje teraz.

– Zanim w ogóle zaczniemy planować przyszłość Lakeside – powiedział Burke – chodźmy na to jutrzejsze spotkanie i dowiedzmy się, czy w ogóle mamy jakąś przyszłość.



Środa, 18 lipca

Stojąc w sali spotkań konsulatu, Monty słyszał krzyki mew i uderzenia fal o brzeg. Wreszcie poczuł słony zapach kobiety, która weszła do pomieszczenia, otoczona Żywiołami z Lakeside, Wodą i Powietrzem.

Miała kobiece kształty, ale nie mogłaby uchodzić za człowieka. Jej włosami były listownice, wśród których chodziły ślimaki i małe kraby. Miała płynne, szaroniebieskie ciało, okryte nieustannie poruszającą się szatą, przypominającą dopływające do brzegu fale – i to właśnie z niej wydobywały się odgłosy morza.

Kilka razy zaprowadził Lizzy na brzeg, żeby poszukać muszelek. Uważał, że Atlantyck jest urzekający, ale nigdy nie chciałby zaryzykować życia, wchodząc do wody – to było jeszcze zanim się dowiedział, że

istniała czująca istota, która potrafiła kierować ową wodą.

– Ocean – powiedział Simon. – Witamy na Dziedzińcu w Lakeside.

Czuje się tu nieswojo, pomyślał Monty, patrząc, jak Wilk stara się utrzymać ludzką postać. *A może nie chce wyglądać na człowieka w obecności tak niebezpiecznej formy terra indigena?*

– Rekinia Straż, Orkowa Straż i ja ubawiliśmy się historiami, które dotarły do nas z tego miejsca – powiedziała Ocean. Chociaż jej głos był cichy, słysząc było w nim głębię i pamięć o minionych sztormach.

Uszy Simona natychmiast zmieniły się w wilcze; wydał z siebie pełne frustracji sapnięcie, gdy próbował przywrócić ich ludzki kształt.

Uśmiechnęła się do Simona i pomieszczenie wypełnił delikatny szum fal, całujących piasek. Następnie popatrzyła na trzech mężczyzn i jej uśmiech zniknął, a w sali dało się słyszeć grzmoty fali sztormowej.

Vlad podszedł do stołu i rozwinął na blacie dużą mapę.

– Tak jak prosiłaś. Mam nadzieję, że jest odpowiednia.

Ocean pokiwała głową, ale nie spuszczała wzroku z trzech zdenerwowanych mężczyzn.

– Oto moje rozkazy – powiedziała. – Żaden statek płynący z Thaisii nie dotrze do Cel-Romanii. To miejsce jest zamknięte dla tutejszych ludzi. Jeśli się temu przeciwstawicie, *żaden* statek z tej ziemi nie przetrwa moich ataków.

Burke chrząknął cicho.

– A co z innymi miejscami? Na przykład z Brytanią?

Ocean skupiła się na Simonie.

– Wilku?

– Krewny kapitana Burke’a z Brytanii pomógł nam, gdy o to poprosiliśmy – odparł Simon. – Nie mamy konfliktów z żyjącymi tam ludźmi.

– W takim razie pozwalam, by statki pływały między Thaisią a Brytanią. I Felidae i Afrikah, ponieważ nie wytwarzały wrogów dla naszych pobratymców ze stałego lądu.

– A co z Tokhar-Chin? – Monty zastanawiał się, czy Wilk mógł być uznany za „pobratymca” dla kogoś takiego, jak ona.

– Nie graniczy z moją własnością. Musielibyście spytać o to strażnika Pacyfiku – odparła.

Czy naprawdę potrzebował potwierdzenia, że istnieje więcej niż jeden taki stwór? Teraz już wszyscy o tym wiedzieli.

Ocean przyjrzała się mapie Namid, skupiając się głównie na własnych wodach. Przejechała palcem po Kościstych Wyspach, zostawiając mokry ślad na papierze.

– Mój dom. Miejsce, w którym trzymam skarby odnalezione przez wodę, Rekinia i Orkową Straż dla mojej przyjemności. Mam wiele rzeczy. Starych przedmiotów. Starych map. Lubię patrzeć na to, jak wy, ludzie, myślicie, że się zmieniałam. A to nie ja się zmieniałam. – Uśmiechnęła się okrutnie, pierwotnie i przerażająco. – Na starych mapach pisaliście: „Tu są potwory”. – Kolejny mokry ślad – w miejscu, w którym wody wpływały do Morza Śródziemnego. Spojrzała na Burke’a i O’Sullivana tak przeszywającym wzrokiem, że Monty poczuł się słabo, chociaż wcale nie patrzyła na niego. Odsłoniła zęby, które mogły być z koralu. – Powinniście ponownie umieścić te słowa na mapach.

Wyszła z sali, a za nią podążyły Powietrze i Woda.

Monty oparł rękę na krześle.

– A więc – zaczął O’Sullivan – żadnego handlu z Cel-Romanią. Nie wiem, jak możemy wprowadzić to w życie.

– Nie będziecie musieli. – Simon dotknął uszu, jakby chciał się upewnić, że wróciły do ludzkiego kształtu. – Ale jeśli statki z Thaisii się nie podporządkują, Ocean zniszczy wszystkie statki płynące z tego obszaru, łącznie ze statkami rybackimi. Czy wasi ludzie mogą sobie pozwolić na utratę pożywienia pochodzącego z morza?

– Poinformujemy wszystkich o tych ustaleniach – powiedział Burke, gdy zapadła pełna napięcia cisza.

Simon przytaknął.

– Powiemy o tym również *terra indigena*.

Gdy wyszli z konsulatu, Monty uświadomił sobie, że przestał myśleć o Simonie Wilczej Straży jak o drapieżniku. W porównaniu z tym, co czaiło się gdzieś daleko, mieszkańcy Dziedzińca nie zdawali się już tacy groźni.

Otworzył tylne drzwi sedana Burke’a, ale nie wszedł do środka.

– „Tu są potwory”. Myślisz, że miała na myśli *terra indigena* czy

ludzi?

Burke spojrział na niego ponad dachem samochodu.

– Poruczniku, czy to naprawdę ma teraz jakieś znaczenie?



Czwartek, 19 lipca

Meg nie wiedziała, jak długo wpatrywała się w segregator zawierający kontakty do intuickich firm. Kiedy jednak ponownie zaczęła dostrzegać pomieszczenie sortowni, z zaskoczeniem stwierdziła, że po drugiej stronie stołu stoi Twyla Montgomery.

– Pani Twyla. Co...?

– Nie chciałam ci przeszkadzać. Byłaś taka zamyślona – powiedziała łagodnie Twyla.

– *Arreoouu?* – Z sąsiedniego pomieszczenia dochodził stukot pazurów na podłodze, gdy Nathan się zerwał, by sprawdzić, co się dzieje w sortowni.

– W porządku – powiedziała Meg, patrząc na Wilka, który oparł przednie łapy na ladzie.

– Wiem, że to zakazane miejsce... – zaczęła Twyla.
– Ale tylko dla dzieci – wtrąciła pośpiesznie Meg.
– Masz powody, dla których wprowadziłaś takie a nie inne zasady, i należy ich przestrzegać. – Kobieta widziała blizny Meg, lecz w jej ciemnych oczach nie było widać ani współczucia, ani zmieszania. – Ale ja chcę zarobić na swoje utrzymanie. Ludzie prowadzący Dziedziniec sprawdzają, jakie umiejętności mogą być przydatne, i wkrótce przydzielą każdemu jego obowiązki. W międzyczasie, jeśli chcesz, mogę pomóc w odkurzaniu i myciu podłóg. Zauważyłam, że na zapleczu można byłoby trochę posprzątać. A z przodu na podłodze jest mnóstwo kłaków.
– Puściła oko do Meg.

Nathan ryknął i wrócił na swoje posłanie.

– Dziękuję – powiedziała Meg. – Nie nadążam ze sprzątaniami.

– Mogę spytać, czym się zajmujesz?

– W tym segregatorze znajdują się nazwy intuicyjnych firm. Mam u nich zamówić tyle towaru, ile się da, tak by mieszkańcy Lakeside nie mogli narzekać, że odbieramy im przydziały. Mam też listę rzeczy, które ludzie chcieliby kupić w sklepie spożywczym na targu. Ale nie wszystko rozumiem... Na przykład mam na listach kilkanaście rodzajów płatków śniadaniowych i nie wiem, które wybrać.

– Ile rodzajów płatków jest teraz w sklepie?

– Nie wiem. Inni jedzą dużo więcej mięsa niż płatków.

Twyla powoli obeszła stół, stanęła obok Meg i spojrzała na listy.

– Jak myślisz, co z tego chciałby zjeść on? – Kiwnęła głową w stronę Nathana. – Albo te Wrony?

– Sierra dała mi listę płatków, które lubią jej dzieci...

Twyla pokręciła głową.

– Dzieci będą cię męczyć tak długo, aż im to kupisz, a potem nie będą chciały tego jeść. W ogóle się tym nie zajmuj. Po prostu kup to, co będzie najbardziej przydatne dla większości mieszkańców. –

Popukała palcem w listę. – Owsiankę można przygotowywać z jagodami, orzechami i czymś do osłodzenia. Jeśli ci się uda, zamów płatki kukurydziane i owsiane – które możesz jeść na sucho, jeśli potrzebujesz szybkiej przekąski. A ci, którzy chcą mieć coś innego, mogą kupić to w innym sklepie albo się bez tego obejść.

– Tess powiedziała coś podobnego. – Tak dokładnie Tess powiedziała, że jeśli ludzie uprą się i nie będą chcieli jeść tego, co zapewnia im Dziedziniec, to mogą głodować tak długo, aż zdechną z głodu.

Twyla poklepała Meg po dłoni.

– Nie daj się skołować innym. To, że jakiś szczeniak na ciebie szczeka, niezależnie od tego, czy ma dwie czy cztery nogi, nie oznacza jeszcze, że masz zwracać na niego uwagę. A teraz wracaj do pracy. Ja idę sprzątać.

Słuchając dobiegającego z zaplecza śpiewu Twyli, Meg odłożyła na bok segregator i listy. Tak, czuła się skołowana, ale nie chodziło o zamówione przez ludzi pokarmy i towary. Martwienie się o rzeczy, takie jak płatki śniadaniowe, było sposobem na unikanie pytania, które pojawiało się w jej umyśle za każdym razem, gdy przypomniała sobie wyciągniętą z szuflady „romantyczną” kartę.

Ile ona chciała tego, co ludzkie? Pod wieloma względami liczyła na to, że Simon nie będzie myślał jak człowiek, nie będzie się zachowywał jak człowiek. Ufała mu, bo nie był człowiekiem. Czy mogła liczyć na to, że nie poczuje się za bardzo człowiekiem, jeśli ona zapragnie trochę zbadać nieznanne tereny, żeby sprawdzić, czy romans może zapewnić inny rodzaj euforii?

Zmarnowała całe popołudnie – podpisała odbiór kilku dostaw, ale przeważnie przekładała listy z miejsca na miejsce, nic z nimi nie robiąc.

Jak bardzo ludzki potrafił być Simon, nie zmieniając tego, kim naprawdę był? Czy można było się tego dowiedzieć, tak by żadne z nich nie zostało przy tym zranione?

Nathan już wyszedł, a ona właśnie zamykała biuro, gdy wszedł Simon. Wyglądał na spoconego i gotowego do gryzienia.

– Chcę dziś popływać – powiedziała Meg, niepewna, czy ma to być sugestia czy wyzwanie.

– Z samicami?

Zrozumiałe założenie. Samice potrzebowałyby pozwolenia na pójście do dziury z wodą w części Dziedzińca należącej do Kruków.

– Nie, z tobą. Tylko my dwoje. Nawet bez Sama.

Simon wyciągnął szyję.

– Bez Sama? Dlaczego?

Przełknęła głośno ślinę.

– Chcę spróbować kąpieli na waleta.

Zamarł. Wydawało jej się, że przestał oddychać.

– To przecież pływanie bez ubrań – powiedział w końcu.

– Tak.

– Oboje płwamy bez ubrań. W ludzkiej postaci.

– Tak. Ale... Chcę spróbować, tylko tyle.

– Po zmroku?

Nie wyobrażała sobie, że mogłaby to zrobić, gdyby ktoś mógł ją zobaczyć.

– Tak.

Podrapał się za uchem.

– W porządku. Idziemy do domu?

Nie był zły ani smutny. Był... skonsternowany.

Zamknęli biuro i załadowali PNK torbami Meg i wszystkim, co zabierała z powrotem do mieszkań. Gdy odjeżdżali, miała wrażenie, że Simon odczuwał taką samą ulgę z powodu tego, że zostawiają za sobą ludzi, jak ona.



– Meg chce pływać na waleta?

Konsternacja Vlada sprawiła, że Simonowi zrobiło się lepiej.

Przynajmniej nie tylko jego to dziwiło.

– Tak właśnie powiedziała. Ze mną. Po zmroku. I oboje mamy być w ludzkiej postaci.

– Żadne z nas nigdy nie jest w ubraniach, gdy bawimy się w wodzie, chyba że chcemy je szybko przepłukać bez rozbierania się.

– Wiem. Ale dla Meg to bardzo ważne. Tylko nie wiem dlaczego. – Ryknął z frustracji. Ostatnim razem, gdy zobaczyła go nagiego w ludzkiej postaci, była na niego bardzo zła. Dlaczego teraz miało być inaczej?

Vlad zaczął chodzić po salonie Simona.

– Przed odesłaniem do Złotej Prerii przeczytałem kilka tych uroczych książek dla samic.

– Naprawdę? Po co? – Vlad tylko wzruszył ramionami. – Czy

w tych książkach było coś o pływaniu na waleta? – Simon zastanawiał się nad tym przez dłuższą chwilę. – Myślisz, że Meg też je czytała?

– Nie wiem, ale zastanawiam się, czy nie jest to jakiś etap ludzkiego flirtu, kolejny rodzaj zabawy, zanim samica będzie gotowa do godów.

– Ruthie i Kowalski nie pływali zimą nago, zanim zaczęli swoje gody.

– Ale wspólny prysznic również jest uznawany za grę wstępną. Simon opadł na sofę.

– Nie pomagasz.

Vlad usiadł obok niego.

– Ile tego, co ludzkie, chcą zachować *terra indigena*? – Zamilkł na chwilę, a potem dodał cicho: – Ile tego, co ludzkie, chcesz przejąć?

Możliwość utraty bycia Wilkiem, głównej części jego natury, przeraziła go. Ale przecież Meg nie chciała samca, który był ludzkim człowiekiem. Potrzebowała, żeby pozostał Wilkiem.

Czego potrzebowali i chcieli Starsi od Innych mieszkających na Dziedzińcu w Lakeside? Od bardzo dawna nie było żadnej nowej postaci *terra indigena*.

Nie był gotowy na przyjęcie na siebie tego ciężaru. Meg też z pewnością nie była na to gotowa. Ale zabawa mogła być miła.

– Masz zamiar powiedzieć jej, że Starsi są tak ciekawi wyjącego nie-Wilka, że chcą wrócić na Dziedziniec? – spytał Vlad.

– Nie. Wydaje mi się, że pływanie nago będzie dla niej dostatecznie stresujące.



Pojechali do dziury z wodą. Ponieważ Vlad okazał się niezbyt pomocny, Simon rozważał pytanie o ludzkie zwyczaje jakiegoś człowieka, ale w końcu się rozmyślił. Meg miała wiedzę niewiele większą niż on, więc była to po prostu kolejna rzecz, którą odkrywają razem.

Gdy słońce zaczęło zachodzić, zmienił się jej humor. Zdawała się drobna i płochliwa, tak jakby w dzień wykorzystywała cały zapas odwagi.

– Nie musimy pływać nago – powiedział, próbując zrozumieć jej nastrój. – Możemy brodzić w wodzie w ubraniach. Wtedy też się

schłodzimy.

– Nie. Chcę to zrobić.

Chcesz to zrobić tak bardzo, jak ja chcę zostać nadeptany przez bizona.

Zaparkował PNK i wyciągnął koc. Ktoś rozważnie rozstawił wokół jeziora światła na energię słoneczną, tak że Meg nie musiała potykać się w kompletnej ciemności.

Zdjęła sandały, a następnie stanęła na brzegu dziury z wodą i zrobiła bardzo nieszczęśliwą minę.

Już zaczął kombinować, jak się wycofać z tej przygody, gdy nagle się rozebrała i wskoczyła do wody. Zanurkowała, wypłynęła na powierzchnię i zaczęła pisać z zimna, ponieważ woda była o wiele chłodniejsza niż powietrze.

Rozebrał się i wskoczył za nią. Owszem, w ludzkim organizmie woda wywoływała większy szok niż u Wilka, ale tylko przez chwilę.

– Meg, wszystko w porządku?

Podpłynęła do brzegu i złapała się traw, by utrzymać się w miejscu. Cały czas miała nogi na powierzchni wody.

– Wszystko w porządku. – Przez chwilę dryfowała w milczeniu.

A potem powtórzyła łagodnie: – Wszystko w porządku.

Podpłynął bliżej.

– Po upalnym dniu taka kąpiel jest bardzo przyjemna.

Pokiwała głową.

Krucha, skomplikowana Meg. Co chciała, żeby zrobił?

Odwróciła głowę akurat na tyle, by dostrzegł nową bliznę po prawej stronie szczęki. Nie będzie mogła jej ukryć ani zimą, ani latem. A on nigdy nie zapomni, dlaczego zrobiła to cięcie.

Delikatnie pocałował tę bliznę i poczuł, jak coś w nim się zmienia – bardzo nieznacznie. Potem wszystko minęło, ale pozostawiło ślad.

Spojrzała na niego niepewnie. Jeśli jeszcze raz ją pocałuje, na pewno ucieknie, gdzie pieprz rośnie.

Polizał ją więc po nosie i rozśmieszył, a następnie z pluskiem zanurkował na środku jeziora. Chwilę później skoczyła na niego z radosnym okrzykiem, który urwał się, gdy oboje poszli pod wodę. Kaszląc, wyciągnął ją na powierzchnię.

Przez kilka minut się wygłupiali. Ich ciała ocierały się o siebie jak u dwóch Wilków podczas zabawy. Potem wyszli na brzeg i opadli na koc – ona na plecach, a on na brzuchu.

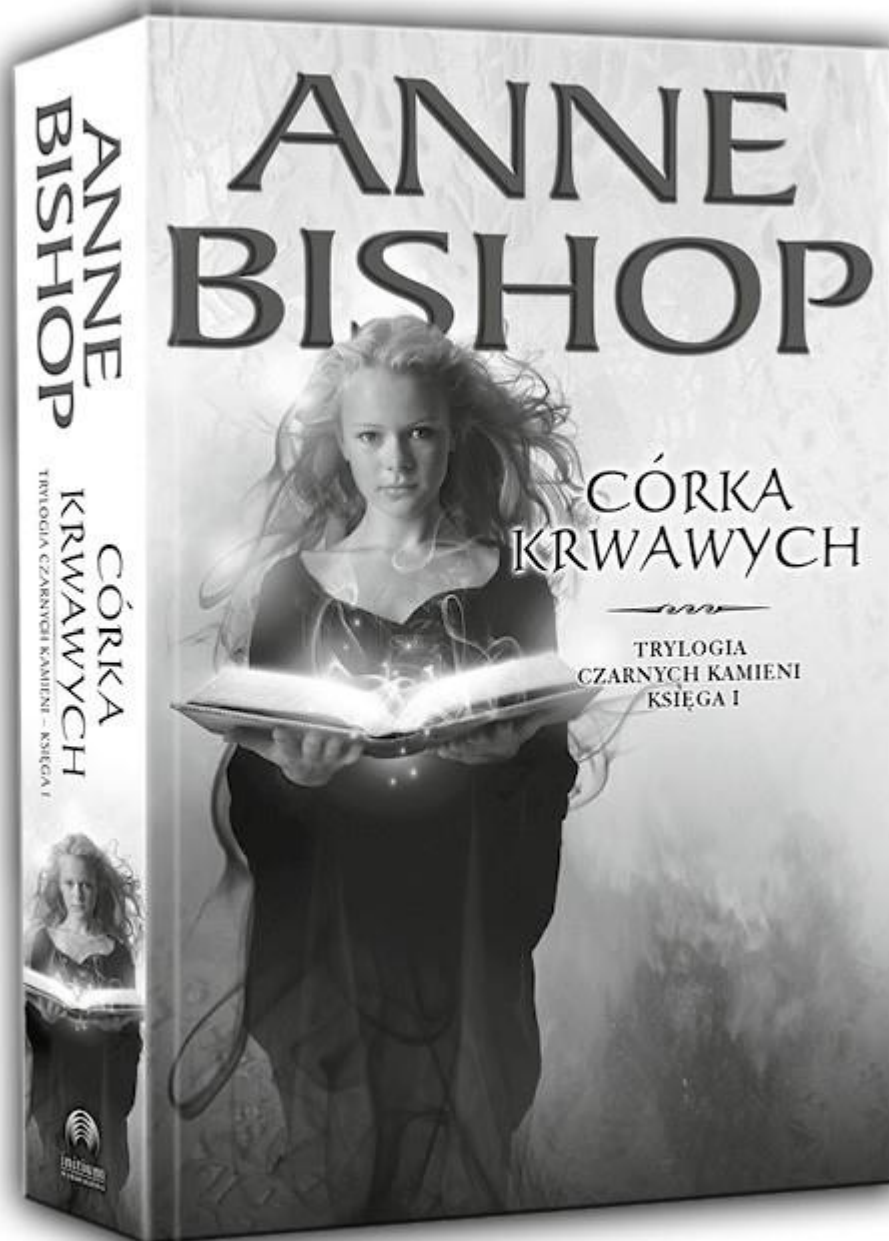
Spojrzał na nią i się uśmiechnął. Popatrzyła na niego i zaczęła się śmiać.

Słuchał, jak jej oddech się uspokaja. Zapadała w sen. Podniósł się na przedramionach i przez chwilę na nią patrzył, a następnie zamienił się w Wilka i przysunął się bliżej. Westchnął ze szczęścia, gdy wplotła palce w jego futro.

Ile tego, co ludzkie, zostało w Thaisii? Ile z tego zechcą zachować *terra indigena*? Nie znał odpowiedzi na te pytania, ale on i Meg z pewnością znajdą sposób, by zająć się swoim stadem. I wszystko będzie dobrze.

Kilka razy polizał ją po ramieniu. Poczuł się senny, więc położył łeb na łapach, cały czas czując jej palce w swoim futrze.

Tak, wszystko będzie w porządku.



Siedemset lat temu Czarna Wdowa zobaczyła w sieci marzeń i wizji, jak spełnia się starożytna przepowiednia.

Dziś Mroczne Królestwo szykuje się na przybycie swojej Królowej – Czarownicy, która będzie miała moc większą niż moc samego Wielkiego Lorda Piekła. Ale Królowa jest jeszcze bardzo młoda i podatna na wpływy, łatwo ją zdemoralizować.

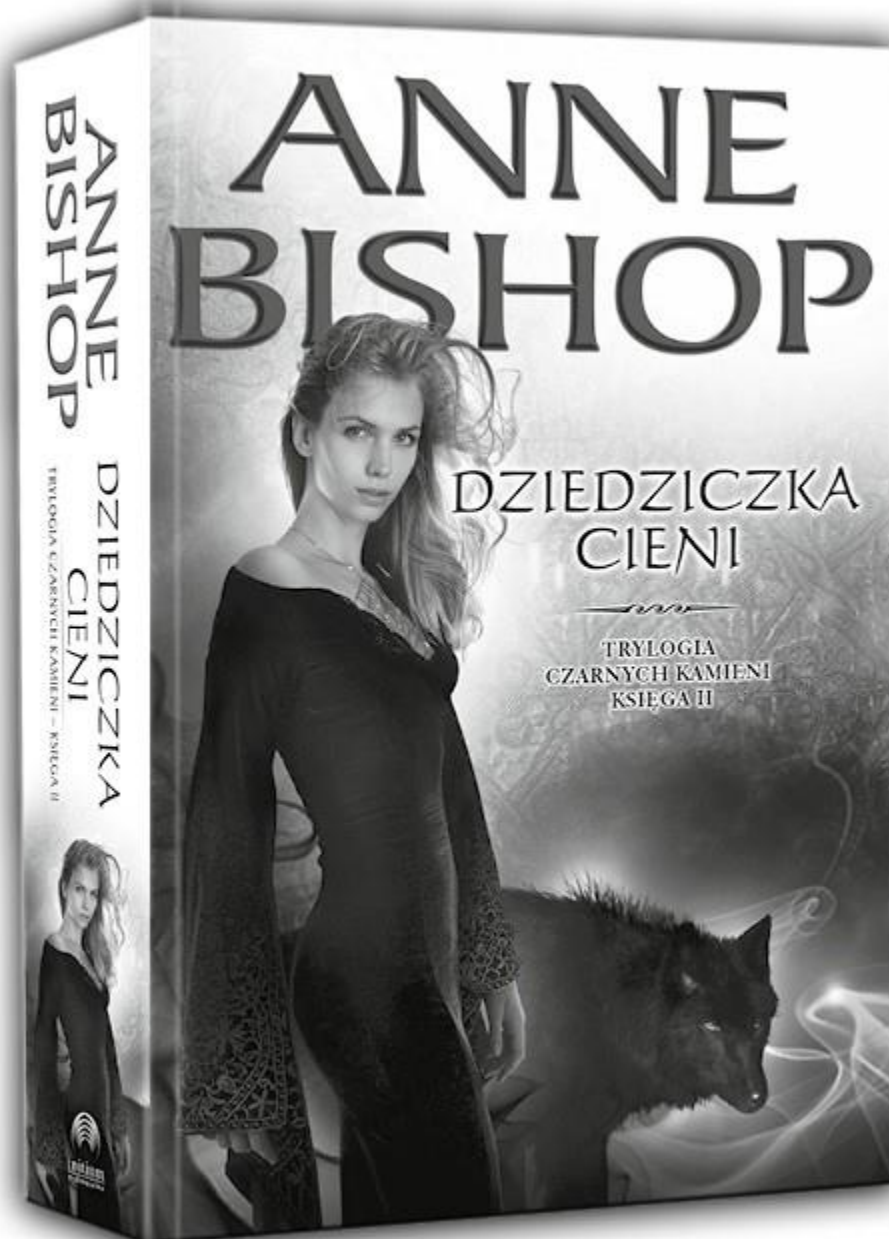
Ten, kto zyska kontrolę nad Królową, będzie władać Ciemnością.

Wie o tym dobrze trzech mężczyzn, zaprzysięgłych wrogów. Każdy z nich zdaje sobie sprawę, jak wielka moc kryje się za błękitnymi oczami niewinnej młodej dziewczyny.

Tak rozpoczyna się bezwzględna rozgrywka, pełna intryg, magii i zdrady – w której głównym orężem są miłość i nienawiść. Walka, w której wygrana może okazać się bardziej dojmująca niż klęska.

Bishop udała się jeszcze jedna rzecz, choć już bardziej dla mnie osobista, wróciła moją wiarę w literaturę fantasy. Dawno już nie czytałam tak autorskiej i intrygującej powieści.

DlaStudenta.pl



Od stuleci Krwawi czekali na przybycie Czarownicy – wcielenia magii, ale Jaenelle, młodą dziewczynę, wybraną na mocy przepowiedni, dręczą toczące się wokół niej walki, nie wszyscy bowiem oczekują jej jako zbawczyni. Niektórzy odrzucają ją jako żywy mit lub nie chcą uwierzyć w jej istnienie, inni pragną uczynić z niej marionetkę, by wykorzystać jej moc do własnych celów.

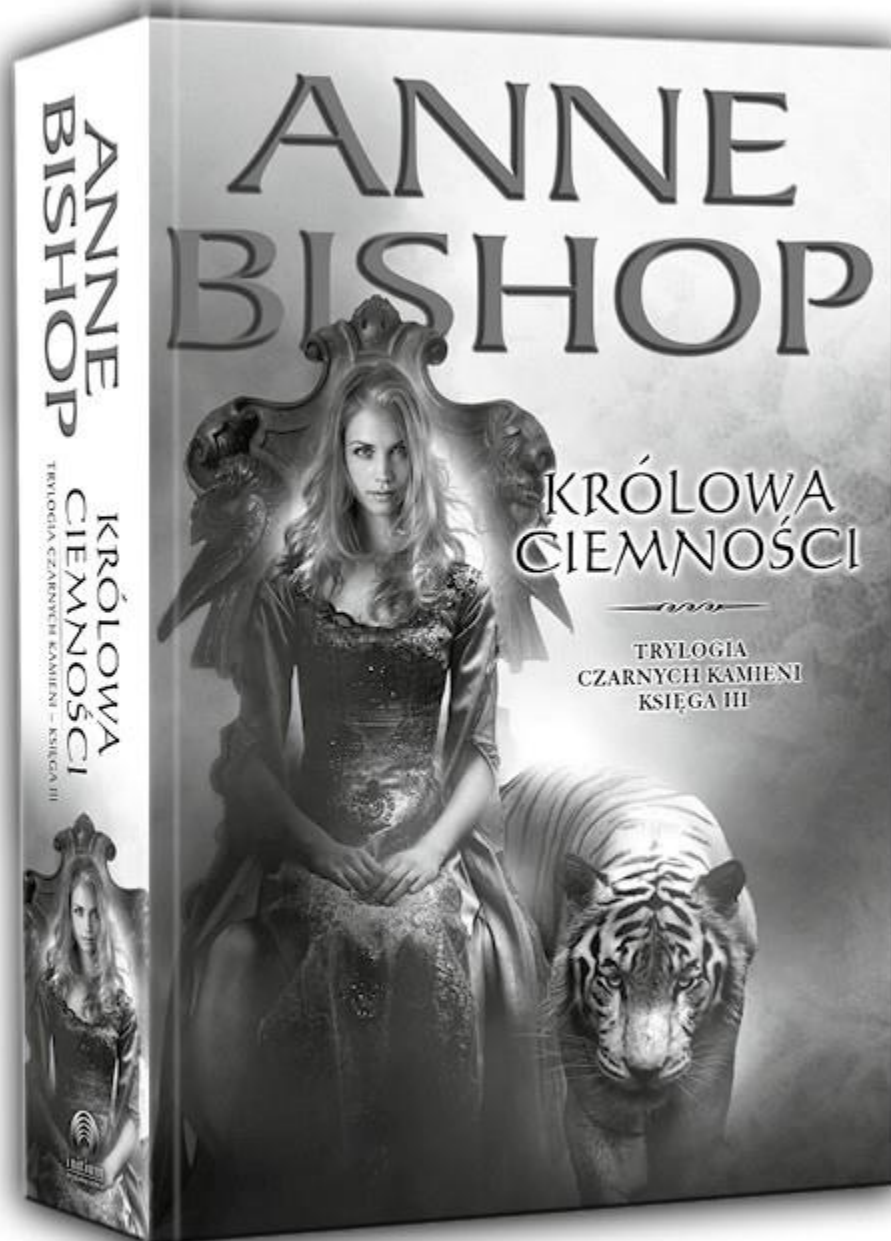
Tylko czas i miłość opiekunów Jaenelle były w stanie uleczyć jej

fizyczne rany, lecz umysł, wciąż kruchy i delikatny, z trudem może ochronić ją przed koszmarnymi wspomnieniami z dzieciństwa. Nic jednak nie uchroni jej przed przeznaczeniem – a dzień rozrachunku jest coraz bliższy. Gdy powrócą wspomnienia... gdy jej magia dojrzeje... gdy będzie zmuszona pogodzić się z losem...

Tego dnia mroczne Królestwa dowiedzą się, co to znaczy być rządzonym przez Czarownicę.

Zarówno język, styl, rysy psychologiczne, jak i szczegółowość postaci zasługują na najwyższe noty. Plastyczność opisów i zdarzeń to także wielki plus powieści, podobnie zresztą jak humor i komizm.

Paradoks.net.pl



Po złożeniu ofiary Ciemności Jaenelle Angelline panuje jako Królowa Ebon Askavi, strażniczka Królestwa Cieni. Aby ochronić swój lud i ziemię przed skażonymi Krwawymi, musi stoczyć bitwę, wyzwolić straszliwą moc Czarownicy i na zawsze zniszczyć wszystkich swoich wrogów.

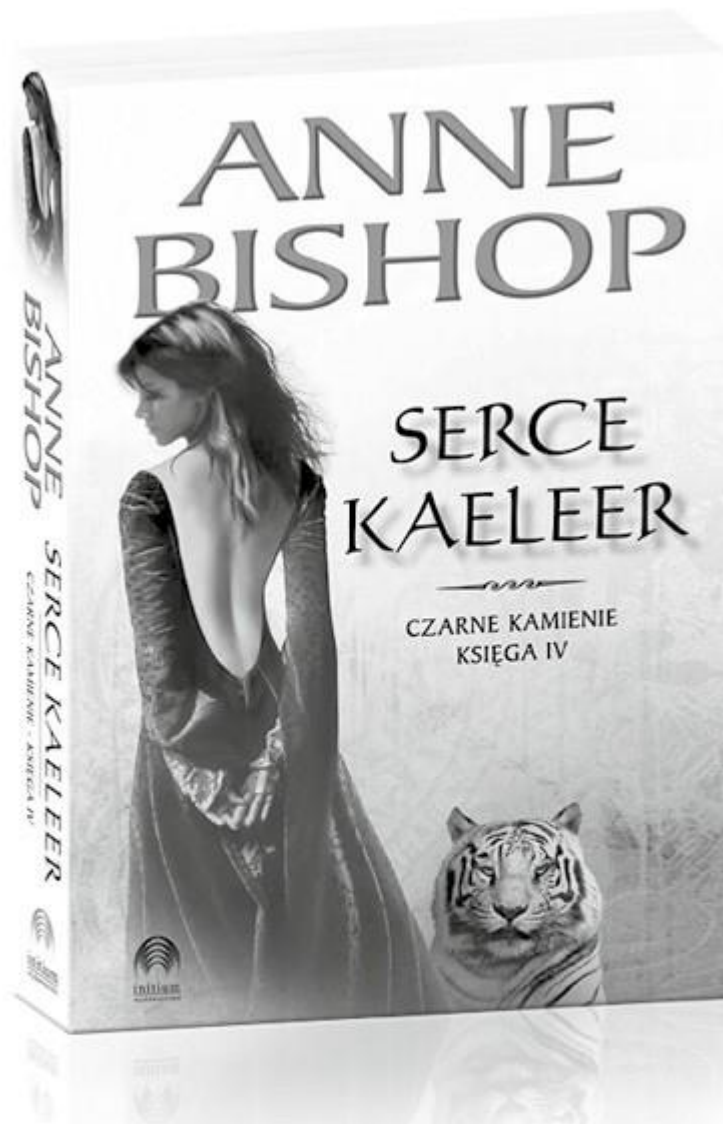
Jednak do walki nie może stanąć sama. Do królestwa przybywa oswobodzony z szaleństwa Daemon, przeznaczony jej Mążonek. Jego

bezgraniczna miłość cementuje Ciemny Dwór i umacnia rządy Jaenelle, jednak nawet ich wspólna siła może być niewystarczająca, by powstrzymać nadciągające zło.

Tylko największa ofiara ze strony Jaenelle może ocalić tych, których kocha – i królestwo, które przysięgła strzec.

Jest to jedna z tych pozycji, z którymi należy zaszyć się w jakimś miłym miejscu, ustawiając przy tym metrowy znak „Nie przeszkadzać”

Gildia.pl



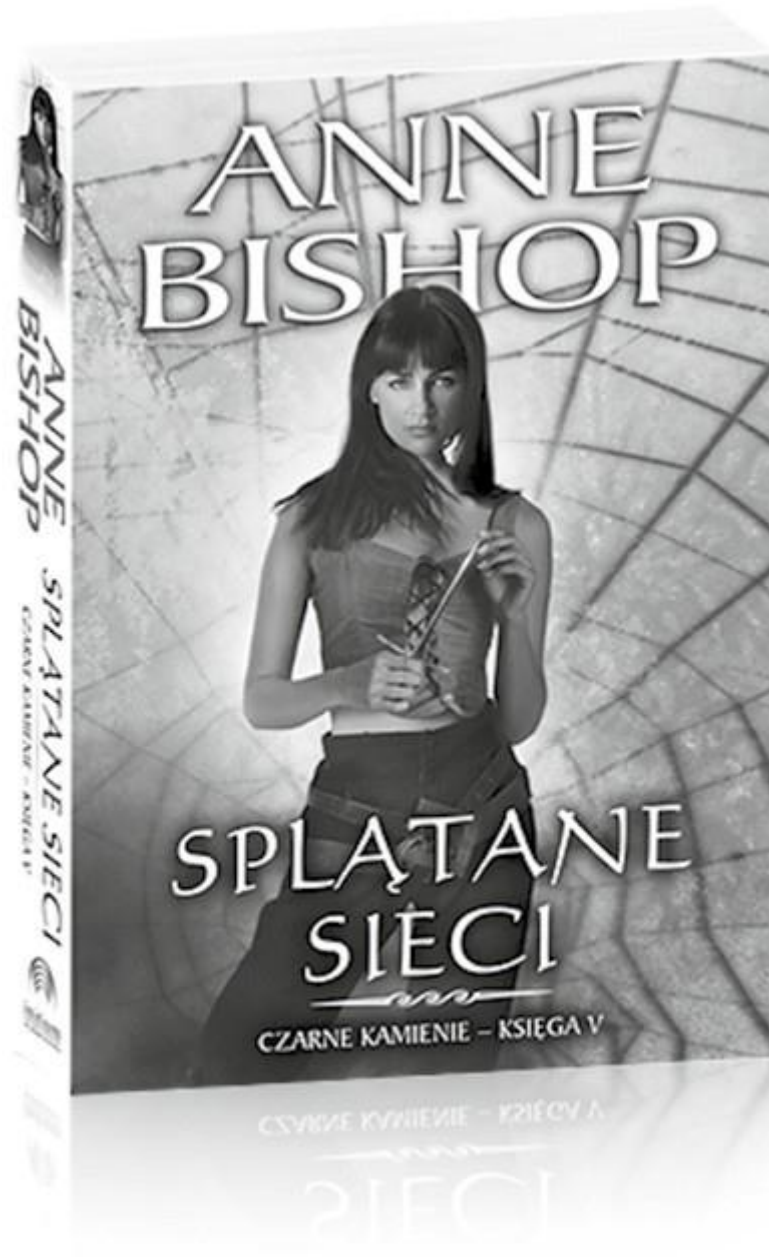
Jaenelle jest najsilniejszą Czarownicą na świecie, stanowi wcielenie wieków marzeń i nadziei. Łączą ją bliskie stosunki z trzema najsilniejszymi wojownikami Krwawych: Saetanem, Wielkim Lordem Piekła, który uczy ją magii i adoptuje ją jako swą duchową córkę, Lucivarem, uskrzydłym eyrieńskim Księciem Wojowników, który zostaje jej obrońcą, i niemal nieśmiertelnym Daemonem, który narodził się, by zostać kochankiem Czarownicy. Jaenelle zajęła należne jej miejsce Królowej Ciemności i przywróciła porządek i spokój w

Królestwach... ale koszt był ogromny.

W czterech niezwykłych opowieściach Anne Bishop przedstawia nam pochodzenie magicznych Kamieni, miłość Lucivara do prostej czarownicy, starcie Saetana z Kapłanką oraz wybór, jakiego musi dokonać Jaenelle pomiędzy magią a szczęściem z Daemonem...

W trylogii nie wszystkie wątki rozwinięto. Teraz jednak autorka umożliwia poznanie bohaterów w sytuacjach, w jakich nie mieliśmy okazji ich wcześniej oglądać. „Serce Kaeleer” wyjaśni między innymi tajemnicę przeszłości Saetana SaDiablo.

Gildia.pl



Zaproszenie podpisano „Jaenelle Angelline”.

Pierwsza przybywa na miejsce Surreal SaDiablo, była kurtyzana i zabójczyni. Zostaje jednak uwięziona w koszmarze splątanych sieci stworzonym przez Czarne Wdowy. Jeśli użyje do obrony Fachu, narazi się na uwięzienie w domu już na zawsze.

Jednak to nie Jaenelle wysłała zaproszenie.

Teraz Jaenelle wraz z rodziną muszą ratować Surreal i pozostałych uwięzionych, uważając, by samym nie dać się złapać. Muszą również

odkryć, kto stworzył to upiorne miejsce i dlaczego chce pozbawić życia członków rodziny SaDiablo.

Tylko jeden Krwawy mógł zastawić taką pułapkę...

Warto poświęcić na tę pozycję nie tylko pieniądze, ale i wolny wieczór, bo nic tak skutecznie nie odrywa od przytłaczającej rzeczywistości jak dobra powieść fantastyczna.

Valkiria.net



Dena Nehele leży w gruzach. Okrutne królowe rządzące tym terytorium zginęły podczas burzy mocy, która przetoczyła się przez Królestwa, oczyszczając je ze skazy Dorothei SaDiablo. Po latach walk z plebejuszami zostało tu zaledwie stu Książąt Wojowników – bez przywódcy i bez nadziei.

Theran Szary, ostatni potomek rodu Jareda i Lii, ma tylko jeden cel – podnieść z ruin Dena Nehele. Jednak najpierw musi znaleźć Królową, która zna Protokół, przestrzega kodeksu honorowego Krwawych i żyje

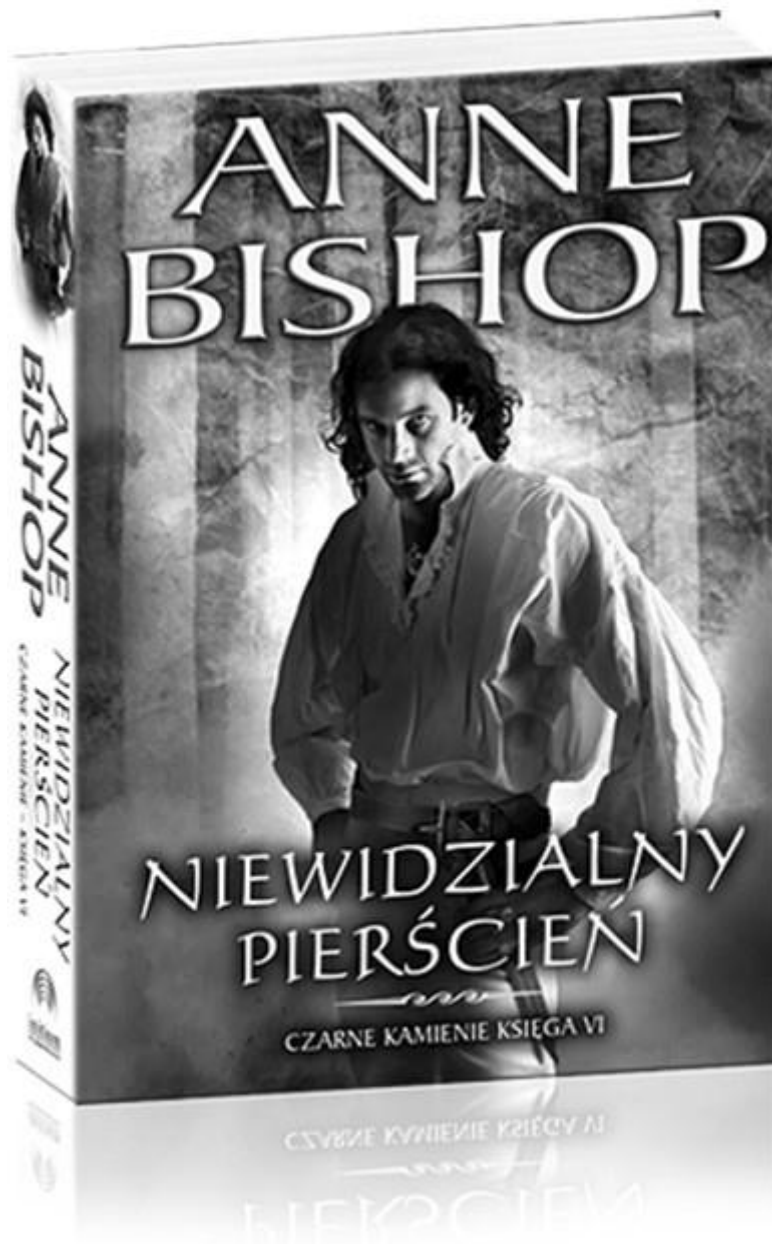
wedle Starych Obyczajów.

Cassidy to opuszczona przez cały dwór Królowa. Jest nieatrakcyjna i uważa się za niewystarczająco silną. Kiedy jednak zostaje wybrana na władczynię Dena Nehele, ponownie musi przekonać zgorzkniałych mężczyzn, by zechcieli jej służyć.

Jednym z nich jest Gray, kuzyn Therana i Księżę Wojowników, którego umysł i ciało zostały złamane torturami przez zepsute królowe Dena Nehele. Coś w nowej Królowej sprawia jednak, że mimo traumatycznych doświadczeń Gray pragnie jej służyć – odzyskując jednocześnie wiarę w to, że znów potrafi być silnym mężczyzną. Tylko Cassidy może przekonać Graya – i samą siebie – że nawet najgłębsze rany można uleczyć, czasami wystarczy tylko iskierka nadziei.

Autorka zdecydowanie weszła na wyżyny swych umiejętności. „Przymierze ciemności” jest zdecydowanie napisane w sposób doskonały. Fabuła rozwija się w sposób płynny i zaskakujący.

StacjaKultura.pl



Kiedy Jaenelle Angeline zastanawiała się, jak ochronić Krwawych z Królestwa Kaeleer przed uderzeniem własnej Hebanowej mocy, Daemon Sadi opowiedział jej historię Szarej Pani, której kilka wieków wcześniej udało się tego dokonać. Nie wspomniał jednak o roli, jaką sam pełnił w tej historii. Niewidzialny Pierścień jest relacją tamtych wydarzeń.

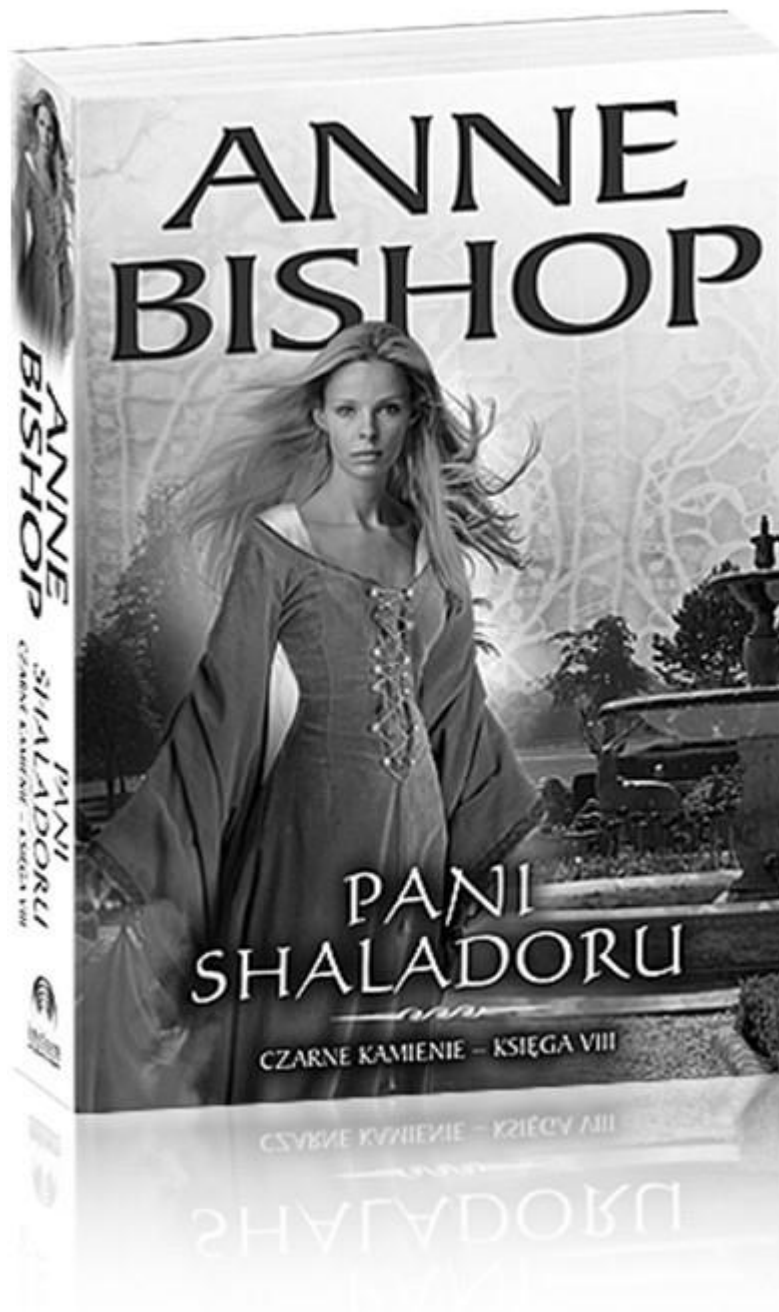
Gdy Jared, młody wojownik z Shaladoru noszący Czerwony Kamień, trafia do niewoli, na dziewięć długich lat skazany zostaje

na świadczenie usług seksualnych. Wreszcie, nie może już dłużej znieść wykorzystywania i upokorzeń, zabija swą właścicielkę i trafia na targ niewolników. Tam kupuje go Szara Pani – Królowa z Dena Nehele, osławiona opinią, że nabywani przez nią niewolnicy znikają bez śladu.

Szara Pani wraz z grupą kupionych niewolników wyrusza w drogę powrotną na swoje terytorium, uciekając przed ludźmi Dorothei SaDiablo, Najwyższej Kapłanki władającej większością Królestwa Terreille. Jared jest gotów na śmierć, ale bardzo szybko przekonuje się, że ani jego nowa właścicielka, ani towarzysze niedoli nie są osobami, za które się podają. Każdy skrywa mroczną tajemnicę, a co najgorsze – jest wśród nich zdrajca pracujący dla samej Dorothei.

Anne Bishop udowadnia, że wcale nie wyszła z literackiej wprawy, nie musi także kopiować swoich wcześniejszych pomysłów.

StacjaKultura.pl



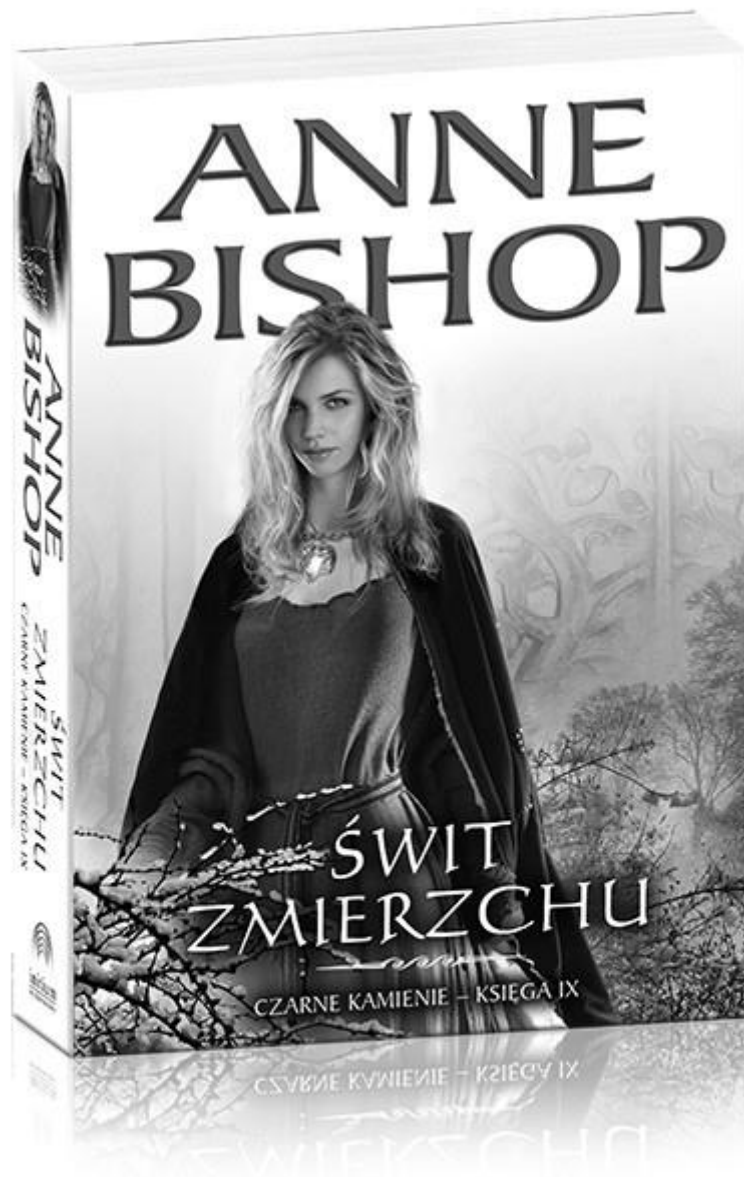
Przed wiekami Shaladorczycy, uchodźcy ze zniszczonego terytorium, znaleźli schronienie w Dena Nehele. Nim jednak zdążyli zdomować się w nowym miejscu, władzę przejęły tam okrutne królowe. Zabraniały uchodźcom kultywowania rodzimych tradycji, a tych, którzy ośmielali się stawiać opór, bezwzględnie karały. Shaladorczycy – skazani na życie w rezerwatach – nigdy nie nazwali tej krainy domem.

Po oczyszczeniu Terreille ze skazy Dorothei SaDiablo władzę w Dena Nehele obejmuje Cassidy – Królowa nosząca Różowy Kamień.

Stawiając czoła wielu przeciwnościom, stara się odbudować terytorium i udowodnić, że potrafi godnie władać zarówno nim, jak i jego ludem. Choć wie, jak trudne to wyzwanie, nie zdaje sobie sprawy, że będzie zmuszona wezwać moce, które omal nie pozbawią jej życia. Oddany Cassidy Gray pomoże jej wyjść z tej próby obronną ręką, jednak już niebawem będą na nią czyhać kolejne niebezpieczeństwa. Czarne Wdowy dostrzegają w splątanych sieciach niepokojącą wizję – nadchodzi coś, co na zawsze zmieni i Dena Nehele, i jego Królową.

Książki A. Bishop są jak tęcza, a każda jej barwa nieustannie zachwyca. Trudno ich nie kochać, a lubię gdy książki same zmuszają mnie do kochania. Oszczędza mi to wysiłku, który musiałabym wkładać w zmuszanie siebie samej do darzenia ich uczuciem. A ten świat po prostu uzależnia...

urodaizdrowie.pl



Świt Zmierzchu to podobnie jak Serce Kaeleer zbiór czterech opowiadań uzupełniających naszą wiedzę o zdarzenia, które rozgrywają się na kartach poszczególnych tomów sagi Czarnych Kamieni. Dowiemy się między innymi, w jaki sposób Surreal i Rainier poradzili sobie z traumą po tym, jak zostali podstępem uwięzieni w Domu Strachów, jaki los spotkał Falonara – niewiernego kochanka Surreal (którego postać zaznaczały dotąd jedynie niejasne aluzje), poznamy tragiczny finał romansu Saetana z Sylwią, a także zaskakującą przyszłość Daemona w

czasach, kiedy i Czarownica, i Wielki Lord Piekła odeszli, zmieniając się w szepty w Ciemności.

Nie tylko „Świt Zmierzchu”, ale i cały cykl „Czarnych Kamieni” szczerze i z całego serca mogę miłośnikom fantastyki polecić. Jest to powieść uniwersalna, z własnym, stworzonym przez autorkę światem i jego polityczną, głęboko przemyślaną hierarchią. Przygody bohaterów są intrygujące, a oni sami stworzeni zostali wręcz niesamowicie. Uprzedzam tylko, że to powieści dla dorosłych i można się w nich spodziewać również wielu mocniejszych wrażeń. Do tętniącego życiem, pełnego okrucieństwa, ale również bezinteresownej i głębokiej miłości świata krwawych ze szerszego serca zapraszam.

wszczecinie.pl



Wydanie I

ISBN 978-83-62577-50-7

www.initium.pl

e-mail: info@initium.pl

